

*Polecamy również **Stuart MacBride***

CHŁÓD GRANITU ZAMIERAJĄCE ŚWIATŁO

StuartMacBride

OTWARTE RANY

Przekład WOJCIECH SZYPUŁA

SEKS

Idąca przodem kobieta zatrzymuje się pod latarnią. Staje na jednej nodze i rozciera obolałą kostkę drugiej, jakby nie była przyzwyczajona do wysokich obcasów. Numer siódmy: dziewczyna z Torry po wieczornej popijawie wraca do domu, chwiejnym w wysokich szpilkach dla fetyszystów krokiem, ubrana w mini, chociaż luty w Abcrdeen jest cholernie zimny.

Fajna z niej laska: kręcone ciemne włosy, mały lekko zadarty nos, zgrabne nogi, długie i seksowne. Takie właśnie lubi najbardziej - lubi czuć, jak się pod nim szarpia i wiją, zanim im włoży. Zanim pokaże, kto tu rządzi.

Dziewczyna prostuje się i zataczając, rusza dalej. Mamrocze coś pod nosem, otumaniona alkoholem.

Lubi, jak są wstawione - nie nawalone tak, żeby nie wiedziały, co się dzieje, ale pijane na tyle, żeby nic nie mogły /robić. Żeby nie mogły mu się przyjrzeć.

Wstrętne suki.

Ona mija gmach NorFish. gdzie na chwilę pada na nią światło reflektorów tira, potem przecina rondo i wchodzi na brukowany Victoria Bridge nad czarną, cicho płynącą Dec. łączący Tony z centrum.

On zwalnia, zostaje trochę z tyłu. udaje, że wiąże but. czekając, aż dziewczyna prawie przejdzie na drugi brzeg. Zwykle nie poluje w tej części miasta i wie, że musi zachować ostrożność. Upewnić się, że nikt go nie obserwuje. Uśmiecha się: na szarej ulicy panują mrok i cisza, są sami - on i szczęśliwa Siódemka.

Przebiega most i bez trudu ją dogania. Jest w świetnej formie, nic łapie zadyszki. Ma na sobie dres FC Aberdeen i czarne adidas. Kto by zwracał uwagę na faceta, który wyszedł sobie pobiegać?

W lutową noc Torry jest wyjątkowo niegościnnie: żółte jak mocz światło sodowych lamp pada na poczerńiałe od brudu granitowe mury. Ta kobieta

doskonale do nich pasuje: tanie ciuchy, tania skórzana kurtka, tanie buty, tanie perfumy. Podła zdzira.

Uśmiecha się i zaciska dłoń na rękojeści noża w kieszeni. Dziwka zaraz dostanie

swojego „cukierniczka”.

Ona skręca w lewo, w jedną z przecznicy biegnącą łagodnym łukiem Victoria Street, w stronę licznych w tym rejonie przetwórci ryb. Pewnie idzie na skrót do swojej wstrętnej klatki. Albo do domu, w którym mieszka z mamą i tatą.

On znów się uśmiecha: oby to byli mama i tata - przyda jej się ktoś, z kim będzie mogła dzielić ból, kiedy już to się stanie. Bo to, co ją czeka, będzie bolało. I to bardzo.

Na ulicy żywego ducha; widać tylko tył tira zaparkowanego przed supermarketem z orientalnym żarciem. W tej okolicy znajdują się głównie zakłady przemysłowe, o tej porze puste, z pogaszonymi światłami. Nikt nic nie zobaczy. Nikt nie przybiegnie na pomoc.

Ona mijają kontener pełen poskręcanych metalowych odpadków. On przyspiesza, zmniejsza dzielący ich dystans. Jej obcasy stukają na betonowym chodniku; on w adidasach idzie bezszelestnie. Mijają dwa plastikowe pojemniki, wyładowane po brzegi rybimi łbami i wnętrznościami i przywalone brudnymi paletami, żeby mewy nie wyżerały resztek. Coraz bliżej.

Wyjmuje nóż. Drugą ręką gładzi się przez spodnie po pęczniejącym członku. To tak na szczęście. Wszystkie szczegóły widzi teraz wyraźnie, jak plamy krwi na bladej skórze.

Siódemka odwraca się w ostatniej chwili. Wytrzeszcza oczy na jego widok; dostrzega nóż. Jest zbyt wstrząśnięta, żeby krzyknąć. Zapowiada się wyjątkowa noc. Każę jej robić rzeczy, jakie nigdy nie przysłyby jej do głowy, nawet w najczarniejszych snach. Każę jej...

Jej pięść wystrzeliwuje w przód i wytrąca mu nóż z ręki. Siódemka łapie go za dres i kopie kolanem w krocze z taką siłą, że impet uderzenia podrywa go w powietrze. On wydaje z siebie cichy jęk, ale ona natychmiast zatyka mu usta. Pałący żółty błysk, potem czarne koncentryczne kręgi. Kolana się pod nim uginają. Pada na zimny, twarde chodnik, zwiija się kłębek wokół obolałych genitaliów i płacze.

- Rany boskie...- Posterunkowy Rennie spojrział na zapłakanego mężczyznę, kulącego się na ziemi wśród rybich plam. - Chyba zmiążdżyłaś mu jaja. Słyszałem, jak trzasnęły.

- Wylizę się. - Jackie Watson pchnęła napastnika twarzą na ziemię i skuła mu ręce za plecami. Uśmiechnęła się, kiedy jęknął żałością. - Do brze ci tak, łajzo... - Zerknęła na Renniego. - Nikt nie patrzy?

Kiedy powiedział, że nie, kopnęła skutego w żebra.

- To za Christine, Laurę, Gail, Sarah, Jennifer, Joannę i Sandrę.

- Chryste Panie, Jackie! - Rennie złapał ją, zanim zdążyła wymierzyć ejnego kopniaka. -A jak ktoś zobaczy?

• Mówiłeś, że nikt nie patrzy.

• Tak, ale...

- Więc o co chodzi? - Jackie wyprostowała się, patrząc z gniewem na mężczyznę w dresie. -No, skarbie, wstawaj.

Napastnik ani drgnął.

- Jak Boga kocham... - Złapała go za ucho i podniosła na nogi.- Rennie? Chcesz może...

Ale posterunkowy łączył się właśnie przez radio z centralą, żeby zameldować o powodzeniu operacji „Kochaś”: złapali drania.

Szpital Królewski wAberdeen rozrastał się jak kamienny nowotwór. Przez lata obserwowano jego remisję, ale ostatnio znów zaczął rosnać, infekując okolicę nowymi skrzydłami z betonu i stali. Ilekroć sierżant Logan McRae go widział, popadał w przygnębienie.

Tłumiąc ziewnięcie, zgniótł plastikowy kubek po kawie z automatu i wyrzucił go do

kosza. Pchnął dwuskrzydłowe, pomalowane na brązowo drzwi. Owionął go intensywny zapach środków odkażających, formaliny i śmierci.

Kostnica w szpitalu była o wiele większa od policyjnej. I znacznie weselsza. Miniwieża w kącie dudniła największymi przebojami Dr. Hooka, skutecznie zagłuszając bulgotanie wody w odpływie pod jednym ze stołów do sekcji. Kobieta w fartuchu z zielonej folii, w chirurgicznych rękawiczkach i białych kaloszach upychała należące do starszej pani organy wewnętrzne z powrotem na ich miejsca. Z głośników płynęło *Kiedy poko-• linsz piękną kobietę*.

Niezidentyfikowany denat płci męskiej, który interesował Logana, le-ł na wznak na noszach. Powieki miał zaklejone taśmą, skórę bladą jak

woskowany papier. A że sekcja zwłok była nieunikniona, nikt nie odłączył przewodów i drenów, więc zwłoki wyglądały na porzucone i zapomniane. Mężczyzna miał dwadzieścia kilka lat, krótkie blond włosy i szczupłe, muskularne ciało, jakby pół życia spędzał w siłowni. Na jego udach i brzuchu widniały krwawe smugi i długi rząd pospiesznych szwów w miejscu, w którym go pozszywali, zanim lekarz w końcu się poddał. Śmierć - służba zdrowia: jeden - zero.

Kobieta zajęta wypychaniem starszej pani podniosła wzrok.

- Pan z policji? - zagadnęła, widząc, jak Logan pochyła się nad denatem.

Kiwnął potakująco głową. Ściągnęła maskę. Spod czepka wysliznął się jej kosmyk rudych, kręconych włosów.

- Tak myślałam. Jeszcze go nie zapakowaliśmy do worka.

To oczywiste stwierdzenie nie zmieniało faktu, że nie można już było liczyć na znalezienie użytecznych śladów na zwłokach- uległy zanieczyszczeniu w izbie przyjęć i na stole operacyjnym.

- Proszę sobie nie przeszkadzać - powiedział Logan. - Poczekam.

- Dobrze.

Kobieta wzięła ze stalowego wózka zawartość klatki piersiowej starszej pani, ostrożnie włożyła ją do środka i zaczęła szyć. Logan obserwował ją przez chwilę w milczeniu; wreszcie zapytał:

- Rzuciłaby pani okiem na tego naszego N.N.?

~ Wykluczone! Ma pan pojęcie, co Hormonalna Wiedźma by ze mną zrobiła, gdyby się dowiedziała, że jakiś pospolity technik patolog grzebał w zwłokach, zanim wpadły w jej lodowate rączki?

- Nie proszę o pełną sekcję, ale... No wie pani... - Logan wzruszył ramionami. - Mogłaby pani rzucić okiem. - Uśmiechnął się, jak umiał najprzymilniej. - Inaczej będziemy musieli czekać do jutra wieczór. A im prędzej czegoś się dowiemy, tym wcześniej złapiemy tego, kto to zrobił. Bardzo proszę, to zajmie tylko chwilę. Nikt się nie dowie.

Kobieta wyduła usta, zmarszczyła brwi, westchnęła.

- No dobrze. Ale jeśli piśnie pan komuś choć słówko, skończy pan w którejś z tych lodówek, jasne?

Logan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Będę milczał jak grób.

- Okej. Zaraz z nią skończę i zobaczę, co się da zrobić.

Po dziesięciu minutach staruszka, zaszyta jak należy, wróciła do lodówki, a pani technik naciągnęła nowe rękawiczki.

- co o nim wiadomo?

- Zawinięty w koc i wyrzucony z samochodu przed drzwiami izby przyjęć. - Logan pokazał odebraną z sali na piętrze torbę foliową pełną zakrwawionych szmat. - Ubranie i koc pójdą do laboratorium, ale na razie wygląda to na wypadek: ktoś potrącił biedaka, spanikował, zabrał go do auta i zostawił pod szpitalem.

Patolożka zaczęła opukiwać zimne ciało, pomrukując „wypadek, wypadek” w rytm muzyki.

- Nie wydaje mi się. - Pokręciła głową. Kosmyk włosów barwy irn-bru* zafalował. - Proszę spojrzeć... - Zahaczyła palcem o kącik ust denata i odciągnęła go, odsłaniając zęby, wciąż zaciśnięte na rurce doprowadzającej powietrze. - Siekacze, kły i przedtrzonowce popękały, ale nos i podbródek nie są uszkodzone. Po uderzeniu zostałyby też rozcięcie na wargach. Musiał coś zgryźć... - Dotknęła policzka trupa. - Knebel. Są ślady na skórze.

Logan zmartwił.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie. Poza tym widzi pan te małe ślady po oparzeniach?

Wskazała zaognione plamki, niektóre z żółtawymi pęcherzami pośrodku. Rany boskie...

• Co jeszcze?

• Otarcia, krwiaki... Nieźle poturbowany... Ślady na nadgarstkach, jakby był do czegoś przywiązany. Ale nie sznurem, czymś grubszym. Może pasem?

Tego tylko brakowało: następna ofiara, którą przed śmiercią poddano torturom. Logan już miał zapytać o palce denata, kiedy lekarka podała mu gumowe rękawiczki i poprosiła, żeby pomógł jej obrócić ciało. Całe nogi, od ud po kostki, były oblepione ciemną, skrzepniętą krwią.

Oględziny trwały. Pani technik pokazywała Loganowi kolejne otarcia i oparzenia, aż doszła do pośladków. Kiedy je rozchyliła, rozległo się lepkie mlaśnięcie.

- A niech mnie...

Podniosła głowę, zamrugnęła i jeszcze raz spojrzała z bliska. Dr Hook zaczął właśnie *Mówiłem, że masz piękne ciało.*

- Jeżeli to był wypadek samochodowy, to chyba ktoś próbował mu zaparkować transita w tyłku. - Wyprostowała się i ściągnęła rękawiczki. - O dalsze szczegóły proszę pytać patologów. Nie zamierzam go pruć.

* Irn-bru - szkocki napój bezalkoholowy, w Szkocji popularniejszy nawet od coca-coli (przyp. tłum.).

Komenda Rejonowa Policji w Grampian nie była najładniejszym budynkiem w Aberdeen: siedmiopiętrowe gmaszysko z ciemnoszarego betonu pociętego pasami szkła, oblane chorobliwie żółtym światłem ulicznych lamp, wyglądało jak wyjątkowo paskudna galaretką lukrecjowa.

Z holu przy głównym wejściu dobiegały głośnie pokrzykiwania jakiejś niezwykle wzburzonej damulki, więc Logan postanowił tam nie wchodzić: wystarczył mu rzut oka przez oszklone drzwi - korpulentna, siwowłosa kobieta z laską wyrzaskiwała siedzącemu na dyżurze Dużemu Gary'emu, co myśli o tępotcie i upierdliwości policjantów.

- Powinniście się wstydzić! - darła się ile sił w płucach.

Logan skręcił na schody.

W stołówce panowały cisza i spokój, jak zwykle po północy. Słychać było tylko szcęk mytych naczyń i sztućców i szmer muzyki; towarzyszyła mu, gdy zasiadł do pomidorowej. Starał się nie myśleć o poszarpanym odbycie mężczyzny z kostnicy.

Kończył jeść, kiedy do bufetu podeszła znajoma postać. Burkliwie zamówiła trzy kawy, prosząc, by do jednej od razu napluto. Posterunkowa Jackie Watson - przebrała się: uwodzicielski strój, który nosiła wcześniej, zamieniła na standardowy czarny mundur; włosy spięła w regulaminowy kok. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

Logan podkradł się do niej od tyłu, złapał ją w pasie i krzyknął:

- Mam cię!

Jackie nawet nie drgnęła.

Widziałam twoje odbicie w szybie bufetu.

No tak... Co słyszać?

Przechyliła się przez kontuar, patrząc na niskiego staruszka przy ekspresie.

Ile czasu zajmuje zrobienie trzech kaw, do cholery?!

Rozumiem, że niewiele słyszać... Wzruszyła ramionami.

- No ja nie mogę... Szybciej by było popłynąć wpraw do Brazylii i samemu nazbierać ziarenek.

Kiedy trzy kawy w końcu się zmaterializowały, Logan odprowadził Jackie do pokoju przesłuchań numer 4.

- Potrzymaj.

Podawała mu dwa papierowe kubki, a z trzeciego zdjęła plastikowe wieczko, odchrząknęła i splunęła prosto w spienioną, brunatną ciecz. Przykryła kubek i potrząsnęła nim.

- Jackie! Tak nie można...

- Poważnie? No to patrz.

Zabrała mu kawy, pchnęła drzwi i weszła do pokoju. W środku Loganowi mignęła potężna sylwetka pochmurnego inspektora Inscha: stał pod ścianą z rękoma skrzyżowanymi na piersi, wyraźnie wściekły. Jackie ru-chem biodra przymknęła drzwi. Zaintrygowany Logan poszedł korytarzem kawałek dalej, do dyżurki, małej, szaroburej; stały w niej dwa plastikowe krzesła, sfatygowane biurko i bateria monitorów. Ktoś już tam siedział, dłubiąc w uchu starym, ogryzionym długopisem: posterunkowy Simon Rennie. Właśnie w tej chwili wyciągnął długopis, obejrzał czubek - i znów wsadził go sobie do ucha.

- Jeśli szukasz mózgu, to zaczniesz od złego końca - zakpił Logan, siadając na wolnym krześle.

Rennie się uśmiechnął.

- Jak się miewa ten pański N.N.?

- Nie żyje. A wasz gwałciciel? Rennie postukał długopisem w najbliższy monitor.
- Poznaje pan? Logan przysunął się, zmrużył oczy i spojrzał z bliska na migający ekran: pokój numer 4, głowa Jackie od tyłu, porysowany laminowany stół i podejrzany.
 - Jak Boga kocham, przecież to...
 - No właśnie. Rob Macintyre. Złote Dziecko. - Rennie westchnął i oklapł na oparcie krzesła. - Wie pan, co to oznacza?
 - W sobotę Aberdeen nie ma szans?
 - No. I to z Falkirk, psiakrew! Ale będzie wstyd... - Posterunkowy złapał się na głowę.
 - Z Falkirk!
- FC Aberdeen od lat nie miało takiego napastnika jak Robert Macintyre.
- Co mu się stało w twarz? Macintyre miał rozciętą i spuchniętą górną wargę.
- To robota Jackie. W jaja też mu zdrowo przykopała. Przez chwilę patrzyli w milczeniu, jak mężczyzna na ekranie wierci się

niespokojnie, popijając kawę doprawioną przez Jackie śliną. Nie prezentował się szczególnie atrakcyjnie: dwadzieścia jeden lat, odstające uszy, słabo zarysowany

podbródek, ciemne, sterczące włosy, zrosnięte, niemal poziome brwi, koścista twarz - ale skurczybyk śmigał jak wiatr i strzelał bramki na zawołanie.

- I co, przyznał się? Żałuje za grzechy?

- Gdzie tam! - prychnął Rennie. - A wie pan, na co zużył przysługujący mu jeden telefon? Kazał nam zadzwonić po mamę. Wpadła tu jak huragan, wyzywając nas od najgorszych. Ta baba jest jak rottweiler na sterydach! Jak to mówią: człowiek z Tony wyjdzie, Tony z człowieka niekoniecznie.

Logan nagłośnił fonię, nie było jednak czego słuchać. Pewnie inspektor Insch wypróbował na podejrzanym opatentowaną przez siebie metodę: milczał i czekał, aż ten z czymś się wyrwie. Dobrze wiedział, że przeciętny człowiek w stresie nie umie trzymać języka za zębami. Ale Macintyre najwyraźniej był nieprzeciętny, bo milczenie inspektora nic a nic mu nie przeszkadzało. Bardziej chyba martwiły go obolałe jądra.

- Dam ci jeszcze jedną szansę, Rob! - zagrział zza kadru głos Inscha, aż głośniki zatrzeszczały. - Albo powiesz nam wszystko o tych gwałtach, albo cię zniszczę. Twoja decyzja. Zaczynaj mówić. To będzie dobrze wyglądało w sądzie. Okaż skruchę, to może dostaniesz niższy wyrok; graj twardziela, a uznają cię za łajdaka, co poluje na młode kobiety i zasługuje na dożywocie.

I następna firmowa cisza inspektora Inscha.

- Posłuchaj no...- odezwał się w końcu Macintyre. Pochylił się, skrzywił z bólu i odsunął od stołu. Jedną rękę cały czas trzymał pod blatem. Na razie za krótko pławił się w blasku sławy, żeby pozbyć się aberde-eńskiego akcentu, i kiedy mówił, charakterystycznie przeciągał samogłoski. - Powtórzę jeszcze raz to, co już ci mówiłem; powoli, to może wreszcie zrozumiesz. Poszedłem sobie pobiegać. Muszę dbać o formę, w sobotę mam mecz. Nikogo nie zgwałciłem.

- Miałeś nóż... - wyrwało się Jackie, zanim Insch kazał się jej zamknąć.

Jego potężna sylwetka przesłoniła pół kadru i Macintyre'a, kiedy oparł się pięściami na stole. Światło lamp załśniło mu na łysinie.

- Zgwałciłeś, Rob. Śledziłeś te kobiety, napadałeś na nie, biłeś je, gwałciłeś, ciąłeś po twarzy...

- To nie ja!

- I zbierałeś trofea, debilu: wisiorki, kolczyki... Jednej zabrałeś nawet majtki! Znajdziemy je, kiedy zrobimy ci w domu rewizję.

- Jestem niewinny, jasne? Wbij sobie to wreszcie do tego wielkiego, tępego łba: nikogo nie zgwałciłem!

- Ty naprawdę myślisz, że cię puścimy? Nie potrzebujemy twojego zeznania; i bez tego wystarczy nam...

- Wiesz co? Mam powyżej uszu współpracy z policją. Chcę rozmawiać z adwokatem.

- Już to przerabialiśmy: dostaniesz adwokata, kiedy ja się na to zgodzę. Nie wcześniej.

- Tak? No to przynieście jeszcze kawy, bo to będzie długa noc. Ja nic więcej nie powiem. I nie powiedział.

3

Nocne aresztowanie Roba Macintyre'a nie zdążyło załapać się do porannego wydania „Press and Journal” - lokalnego dziennika aberdeńskiego -ale doczekało się wzmianki w tej części wiadomości telewizyjnych, która była poświęcona Szkocji: wczesnym rankiem ponura spikerka stała przed stadionem Pittodrie i wypytywała grupkę trzęsących się z zimna kibiców o zdanie na temat zarzutów pod adresem ich supergwiazdy. Bóg jeden wiedział, jakim cudem BBC tak szybko zwietrzyło sprawę. Kibice, wszyscy w czerwonych

bluzach ukochanego klubu, bez zastrzeżeń popierali swojego idola: Macintyre to porządny gość; na pewno by tego nie zrobił; ktoś go

wrabia; klub go potrzebuje...

Następny w serwisie był materiał z pożaru w Dundee.

Logan siedział w salonie, ziewał, popijał herbatę i słuchał, jak jakiś czubek z policji w Tayside tłumaczy widzom, jakie to ważne, żeby regularnie sprawdzali zasilanie domowych alarmów przeciwpożarowych.

Potem serwis dla podróżnych, prognoza pogody - i powrót do studia Londynie. Wiadomości z całego kraju upchnięto w osiem minut.

Sekcja N.N. miała się zacząć o dziesiątej, czyli za blisko trzy godziny, ale przedtem czekała go masa papierkowej roboty. Dopił herbatę i poszedł się ubrać.

Policyjna kostnica emanowała aseptyczną czystością. Białe kafelki lśniły na ścianach i podłodze, nad wypolerowanymi stołami błyszcząły osłony wyciągów, wszystkie powierzchnie robocze były sterylne. Logan włożył obowiązkowy biały kombinezon z kapturem i niebieskie ochraniacze na buty i dopiero w tym stroju wszedł do prosektorium. Gość honorowy czekał już na swoim miejscu: leżał na wznak na stole w całej swojej bladokrwawej chwale. Fotograf z BIO pstrykał zdjęcia raz za razem, dokumentując stan zwłok; drugi technik taśmą z klejem zdejmował z ciała wszystkie ślady i resztki nadające się do zbadania w laboratorium - dwuosobowa trupa taneczna, tańcząca w zwolnionym tempie w dyskotekowym rytmie błysków flesza.

Przy drugim stole stał zgarbiony doktor Fraser. Na blacie rozłożył „Press and Journal”. Słyszając kroki, podniósł wzrok i spytał Logana o dzie-sięcioliterowe słowo na „p”.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Kto dziś jest oficerem śledczym?

Patolog westchnął i przygryzł długopis.

- Bóg jeden wie; ja tylko mam być świadkiem. Ale gdzieś tu powinna być pani prokurator; możesz ją zapytać. Mnie nikt nic nie mówi.

Logan dobrze wiedział, jakie to uczucie.

Znalazł prokurator w pokoju dla publiczności. Krążyła po nim i w pierwszej chwili pomyślał, że mówi sama do siebie - dopóki nie zobaczył przypiętej do ucha słuchawki.

- Nie - powiedziała właśnie, sprawdzając coś na palmtopie. - Sprawa musi być przygotowana perfekcyjnie. Jadę się opalać i nie zamierzam w tym czasie odpowiadać na pytania sądu... A co z tymi włamaniami w Bridge of Don?

Logan postanowił jej nie przeszkadzać.

Wkrótce zresztą odpowiedź na dręczące go pytanie wparowała do kostnicy, podciągając zwisający w kroczu kombinezon i kaszląc, jakby miała zaraz wypluć płuca. Inspektor Steel, oficer śledczy: metr siedemdziesiąt osiem, wiek średni, pomarszczona jak nieszczęście, zalatująca stęchłym dymem papierosowym i Chanel No 5.

- Łazarz! - Uśmiechnęła się od ucha do ucha, gdy tylko zauważyła Logana. - Nie za świeży jak na twojego truposzczaka? Myślałam, że wo-lisz bardziej dojrzałe zwłoki.

Logan postanowił nie reagować.

- Znaleźli go wczoraj w nocy przed szpitalem. Wykrwawił się na śmierć. Żadnych świadków. Coś okropnego stało mu się w tyłek.
- Tak? - Steel uniosła brwi. - Okropnego w sensie medycznym czy raczej „lewitowałem sobie na golasa i nadziałem się na pomnik królowej Wiktorii”?
- Pomnik.

Inspektor pokiwała głową.

- No tak... A już się zastanawiałam, dlaczego akurat mnie go przydzielili. Kiedy zaczynamy? Umrę, jak nie zapalę.

Doktor Fraser podniósł wzrok znad krzyżówki, wyjął długopis z ust i zadał Steel to samo pytanie, co przed chwilą Loganowi. Inspektor przekrzywiła głowę na bok, zamyśliła się, zmarszczyła brwi - i zaproponowała:

- Pieprzenie?

- Nie. Ma „d” w środku. A poza tym na razie czekamy na doktor MacAlister.

- Aha. Zapowiada się jedna z tych szczególnych sekcji. - Westchnęła. - Dobra, Łazarz, mów.

Logan streścił jej zeznania zebrane w nocy, kiedy ofiarę operowano, i przedstawił dokumentację przyslaną ze szpitala razem z ciałem.

- Nagranie z kamer ochrony? - spytała Steel, kiedy skończył.

- Nic, co moglibyśmy wykorzystać. Numery wozu są nieczytelne, kierowca musiał zakleić czymś tablice. Miał bluzę z kapturem i czapkę z daszkiem.

- Rozumiem, gangsterska moda. Marka wozu?

- Volvo kombi, stary model.

Comoknęła w zadumie.

- To by było tyle, jeśli chodzi o łatwą sprawę. No nic, zobaczymy, może Pani Śmierć coś nam powie, kiedy już raczy przyjść!

Po następnych dziesięciu minutach inspektor zagroziła, że zaraz zacznie śpiewać *Na co czekamy?*

Dwadzieścia po dziesiątej doktor Isobel MacAlister wtoczyła się reszcie do kostnicy. Zaczerwieniona na twarzy, zignorowała kpiarskie klaski Steel i okrzyk: „A oto i ona!”, i od razu zaczęła myć ręce i przebie-rać się - nie bez pomocy - w chirurgiczny strój. Foliowy fartuch opiął się ją ciasno na powiększonym brzuchu.

- Zaczynamy - powiedziała, włączając dyktafon. - Niezidentyfikowany denat płci męskiej, wiek dwadzieścia pięć do trzydziestu lat...

Logan dziwnie się czuł, obserwując ciężarną patolog przy pracy. Tym bardziej dziwnie, że dziecko rozwijające się w jej łonie mogło być jego, gdyby sprawy inaczej się ułożyły. Ale się nie ułożyły. Zamiast więc czuć ojcowską dumę, stał i patrzył, jak Isobel kroi następne zwłoki, i napawał się żalem z domieszką ulgi. A zrobiło mu się niedobrze, kiedy Isobel kazała swojemu asystentowi wyjąć z brzucha trupa cały układ moczowo-płciowy.

Po wszystkim spotkali się w pokoju patologów przy herbacie i ciastkach. Isobel siedziała przy biurku i skarżyła się na upał, chociaż za oknem luty srożył się jak zwykle, a lodowaty deszcz bębnił o szyby.

- Wepchnięto mu w odbył jakiś duży przedmiot - mówiła, zerkając do notatek. - Wielokrotnie. Dziesięć do dwunastu centymetrów średnicy, co najmniej trzydzieści pięć centymetrów długości. Rozległe uszkodze-

nia zwieracza, okrężnica pęknięta w czterech miejscach. Stracił dużo krwi, ciśnienie spadło, serce przestało bić. Przyczyna śmierci: ciężki szok. Lekarze nie mogli mu pomóc. - Poruszyła się na krześle, próbując przysunąć

się do biurka, ale brzuch jej przeszkadzał. - Niektóre oparzenia na tułowiu są zachłapanie stearyną, ale jest też kilka śladów przypalenia papierosem. Oprócz tego krwiaki, nieduże i niegroźne.

Inspektor Steel poczęstowała się herbatnikiem.

— A ślady *związania*? — spytała z pełnymi ustami.

— Grube skórzane paski z metalowymi sprzączkami. Widać wyraźne otarcia, wygląda na to, że mocno się szarpał.

Steel parsknęła, aż okruszki pofrunęły na wszystkie strony.

— Ja mu się nie dziwię! Każdy by się szarpał, gdyby mu dupę wywracali na lewą stronę!

Zapadła lodowata cisza. Isobel zmarszczyła czoło.

— Trzeba jeszcze poczekać na wyniki toksykologii krwi — powiedziała. -Ale w żołądku znalazłam znaczną ilość alkoholu i jakieś niestrawione pigułki.

— Czyli ktoś najpierw go spił i nafaszerował prochami, potem związał, a na koniec tak długo gwałcił kaloszem, aż facet kojfnął. A ludzie mówią, że w naszych czasach nie ma już miejsca na romantyczną miłość.

Bruzdy na czole Isobel się pogłębiły.

- Chce się pani podzielić z nami jeszcze jakimiś niezwykle celnymi spostrzeżeniami, pani inspektor?

Steel uśmiechnęła się promiennie i zwędziła następne ciastko. Prokurator zapowiedziała, że ten zgon będzie traktowany jako wynik morderstwa, po czym oznajmiła, że wybiera się na urlop na Seszele i na czas, który poświęci opalaniu się i popijaniu koktajli, zostawia sprawę swojej zastępczyni. Ostrzegła, żeby nie próbowali dziewczynie wejść na głowę, bo będą mieli kłopoty. Spojrzała przy tym znacząco na Steel, ale inspektor udała, że nie wie, o co chodzi.

- Szlag by to trafił! - kłęła Steel, kiedy biegli po schodach z kostnicy na parking, a potem brnęli po kostki w wodzie do tylnego wyjścia z komendy. - Nie mogą otworzyć wewnętrznego przejścia, kiedy tak leje?

Z głównego budynku do kostnicy można było przejść korytarzami, ale tę drogę zarezerwowano dla rodzin ofiar oraz komendanta. Policjanci niższych rang musieli walczyć z żywiołem.

Kiedy znaleźli się pod dachem, Steel otrząsnęła się jak pies i przeczesała włosy palcami, chlapiąc wodą na linoleum. Miała czterdzieści trzy lata, ale wyglądała na sześćdziesiąt pięć: pokryta zmarszczkami, ściągnięta twarz, szyja obwisła jak u indyka, włosy jakby stworzone do straszenia staruszek, na palcach niedodające uroku żółte plamy od nikotyny.

- Posłuchaj... - Skręciła w stronę wind. - Ja sobie zapalę, a ty przynieś herbatę. I kanapki z bekonem; umieram z głodu. Myślałam, że ta przeklęta sekcja nigdy się nie skończy!

Logan pchnął drzwi biodrem i tyłem wszedł do gabinetu inspektor, balansując ustawionymi na tekturowej teczce dwoma herbatami i dwoma zawiniętymi w folię aluminiową paczuszkami. Steel stała przy otwartym oknie, plecami do wejścia, z papierosem w palcach, kompletnie ignorując zakaz palenia w miejscu pracy. Gryzący dym z benson & hedgesa snuł się za okno, w deszcz.

— Tak sobie myślę... — zaczęła, kiedy Logan przymknął drzwi i rozstawił posiłek na biurku. - Wielkie dzięki. Czasem wkurza mnie, że grubas Insch dostaje wszystkie duże sprawy, wszystko, co ważne, tak jak teraz tę serię gwałtów. - Odpakowała kanapkę i mówiła dalej, jedząc i paląc równocześnie: - A potem przychodzą takie chwile jak ta, kiedy widzę tego gnoja, i myślę sobie: chwała Bogu.

Logan podszedł do okna. Na parkingu stało kilka wozów transmisyjnych. Kamerzyści i reporterzy sterczelili w ulewie pod parasolami. Błyski fleszy jak pioruny rozświetlały betonowe i granitowe powierzchnie.

- Rób Macintyre.

— No właśnie: Robby Bobby Macintyre. Złote Dziecko. Czy Insch naprawdę nie mógł sobie znaleźć innego gwałciela? Przecież Macintyre to miejscowy bohater, psia jego mać! - Steel odgryzła potężny kawał bułki, obsypując sobie grafitowy żakiet mąką. —

Wiesz, co ci powiem? To będzie katastrofa dla naszego wizerunku. Gówniarz zapędził już do roboty swojego rzecznika, który staje na głowie, żeby wszyscy się dowiedzieli, jakim Macintyre jest świetnym gościem, co to nigdy przenigdy nie zrobił żadnego świństwa, a już na pewno nie zgwałcił siedmiu dziewczyn, grożąc im nożem...

Dopaliła papierosa i pstryknęła petem w deszcz. Logan nie był pewien, ale wydawało mu się, że celowała w gościa ze Sky News. Z tej odległości nie dało się stwierdzić, czy trafiła.

Odgryzła następną kęs i zaczęła powoli żuć.

— My mamy piękne, soczyste morderstwo, a Insch musi się babrać w gównie. - Wzruszyła ramionami - Lepiej on niż my, prawda?

- Poprosiłem biuro prasowe o wydrukowanie plakatów ze zdjęciem naszego N.N. i prośbą o identyfikację - powiedział Logan. - Mam też raport z laboratorium. Przebadali ubranie.

Długa cisza.

- No gadajże, co wiesz, do cholery! Nie widzisz, że jestem zajęta? Usiadła przy zagraconym biurku, oparła nogi na blacie i zapaliła następnego papierosa. Dmuchnęła dymem pod sufit.

- Już, już. - Logan wyjął papiery z teczki, przekartkował je i przeszedł do wniosków końcowych. - Bla, bla, bla... Co my tu mamy... Krew na ubraniu i kocu to najprawdopodobniej krew tej samej osoby: grupa się *zgadza*, ale nasz analizator DNA fiksuje i musieli wysłać próbki do Dun-dee... Ale właściwie nie mają wątpliwości.

- A to geniusze... - Steel przewróciła oczami. - Wpadli na coś, czego już byśmy nie wiedzieli?

- Na kocu są jakieś włókna. Jeśli znajdziemy podejrzanego, będzie można zrobić testy, ale...

- Ale nijak nas to nie zbliża do zidentyfikowania sztywniaka.

- Za to sam spis elementów garderoby wygląda ciekawie. Logan podał jej raport. Steel wydeła usta, przebiegła go wzrokiem, a potem *zaczęła* uważnie czytać.

- No, panno Marple... - odezwała się, przeczytawszy listę po raz trzeci. - Oświeć mnie. Pokaż, jaka jesteś błyskotliwa.

- Tylko spodnie, bluza i koc. Nie miał skarpetek, bielizny, kurtki. Żadnych drobiazgów osobistych: kluczy, drobnych, nawet starej chusteczki. Musiał być goły, zanim ktoś w pośpiechu go ubrał, opróżnił mu kieszenie, zawinął w koc, wrzucił do auta i...

- Na litość boską! - Steel rzuciła w niego teczką. - Oczywiście, że był goły! Przecież nie wiąże się i nie gwałci gościa w ubraniu, no nie?

- Tak... Chyba tak...

Przez chwilę patrzyła, jak Logan wije się pod jej spojrzeniem.

- Widzisz? - Uśmiechnęła się szeroko. - Właśnie za to płacą mi taką kasę.

- W każdym razie - ciągnął Logan, czując, że się rumieni - morderca zawinął go w koc najprawdopodobniej po to, żeby nie pobrudzić sobie samochodu. Ale koc zupełnie przemókł. Tylna kanapa musiała nasiąknąć jak gąbka.

- Co nam gównu daje, dopóki nie mamy tego wozu. Każ im sprawdzić, czy na pewno nie da się odczytać rejestracji. I zorganizuj odprawę: ze dwudziestu posterunkowych, ktoś z kryminalnego... Sam wiesz najlepiej. Potrzebny nam będzie dostęp do HOLMES-a, pokój operacyjny i... - Steel zmarszczyła brwi. - O czymś zapomniałam?

Logan westchnął. Jak zwykle cała robota spadnie na niego.

- Komunikat dla mediów.

- Właśnie! - Inspektor się rozpromieniła. - Przy okazji zapytaj, czy nie dałoby się nas

wcisnąć do wieczornych wiadomości: damy zdjęcie ofiary, poprosimy widzów, żeby dzwonili, a ja spróbuję obłaskawić pogo-dynkę... - Na krótką, szczęśliwą chwilę zapatrzyła się w dal, ale zaraz się otrząsnęła i wróciła do rzeczywistości. - Teraz muszę podzwonić. - Odprawiła Logana gestem. -No, zmykaj. Biegiem. Sio. Spadaj.

Logan zabrał niedopitą herbatę i wyszedł.

Piętnasta dwadzieścia dziewięć, parking z tyłu Brimmond Hill. A96 zahamował z piskiem opon między dwoma zalanyymi deszczem studzienkami; wycieraczki pracowały jak szalone. Szczyt wzgórza tonął w nisko zawieszonych chmurach; wrzosy, kolcolisty i paprocie ociekały wodą. Kierowca zaciągnął ręczny hamulec.

- I co myślisz?

- Kamień, nożyce, papier?

- Niech będzie. Raz, dwa, trzy... O cholera... - Spojrzał do przodu przez moką szybę. - Może do dwóch wygranych?

- Nie.

- No dobrze już, dobrze... Żeby to szlag trafił.

Kierowca uchylił drzwi. Ulewa zagłuszyła głosy w radiu. Włożył kurtkę przeciwdeszczową, postawił kołnierz, zsunął czapkę na oczy i wyskoczył z samochodu. Klnąc, podbiegł do wraku po drugiej stronie parkingu, starając się omijać kałuże.

Jego partner otworzył okno do połowy.

- I co?! -zawołał.

Kierowca, mamrocząc pod nosem, włączył latarkę i zajrzał do wypalonego wnętrza. Niewiele tam zostało: ramy foteli oblepione szaro-czarnymi grudami stopionego tworzywa, powykrzywiany od gorąca kawał blachy zamiast deski rozdzielczej, stopione opony. Nie ocalała żadna szyba. Na wszelki wypadek obejrzał dokładnie wóz, ale nie *znalazł* niczego ciekawego.

- Nic! - odrzyknął. - Stare volvo, którego już nikt nie kocha.

Kiedy Logan pozalałwiał wszystko i wrócił, Steel znów stała przy oknie, popatrując na dziennikarzy i kamerzystów.

- Odprawa będzie o czwartej — powiedział, siadając na wytartym ze starości krześle. - Szesnaścioro mundurowych, pięć osób z WK, osiem z administracji. Poprosiłem BIO o ładny portret ofiary z otwartymi oczami; mają go trochę podkręcić na komputerze, żeby nie wyglądał całkiem jak trup.

Ziewnęła. Steel tego nie zauważyła: zapaliła tylko następnego papierosa i znów dmuchnęła dymem w deszcz.

- Komunikat dla mediów będzie gotowy na... — Logan zerknął do notatek. - Na piątą. Ale raczej nie mamy co liczyć na wejście w wiadomościach: Rób Macintyre jest teraz na topie.

Inspektor pokiwała głową.

- I w telewizorku nie zmieszczą się naraz dwie sprawy z Aberdeen, co? Szkoda... - Westchnęła. - Chętnie pokazałabym tej małej od pogody, co to jest prawdziwy wilgotny front... Mniejsza z tym. Chłopaki na dole coś kombinują. Chcesz popatrzeć? Przy odrobinie szczęścia zobaczymy, jak Grubas Insch daje komuś w dziób.

Było za mokro na prawdziwe show telewizyjne: dziennikarze kulili się pod parasolami, celując mikrofonami, kamerami i dyktafonami w policyjny parking, na który właśnie

zajechało czarne bmw. Ulewa i grad pytań przywitały eleganckiego łajdaka, który z niego wysiadł: Sandy Moir-Farquharson, adwokat doskonały - wysoki, szpakowaty, z lekko krzywym nosem, dobrze ubrany. Młodszy wspólnik z kancelarii otworzył mu parasol nad głową. Z tylnych drzwiczek wynurzył się Rób Macintyre. Dołączył do prawnika, uśmiechając się od ucha do ucha; opuchnięta po ciosie Jackie warga najwyraźniej mu nie przeszkadzała. Miał na sobie drogi grafitowy garnitur. Kolczyk z rubinem -jego znak firmowy, czerwony jak proporczyk FC Aberdeen - lśnił w świetle reflektorów. Było oczywiste, że zakładając go, bezczelnie małpuje innych, znacznie sławniejszych piłkarzy.

Na końcu z samochodu wygramoliła się korpulentna, siwowłosa kobieta — ta sama, która wieczorem poprzedniego dnia pokrzykiwała na Dużego Gary'ego. Uśmiechała się triumfalnie.

Stojący pod parasolem wykradzionym z biura rzeczy znalezionych Logan skrzywił się z niesmakiem.

- Nie wygląda to dobrze.

Steel prychnęła i pokręciła głową. Skrzyżowała ręce na piersi. - Nie może dobrze wyglądać, jeśli Wąż przyłożył do tego ręki. Adwokat gestem uciszył dziennikarzy.

- Z prawdziwą przyjemnością muszę państwa poinformować, że sąd przychylił się do prośby mojego klienta, pana Macintyre'a; zgodził się wysłuchać jego racji i dać mu szansę odparcia tych nedorzecznych zarzutów.

- Pięknie...- Inspektor wyjęła z kieszeni paczkę papierosów.- To my go stawiamy przed sądem, a ten sukinsyn tak to zamota, jakby to był

jego pomysł!

- Dowiedziemy niewinności pana Macintyre'a ponad wszelką wątpliwość. Policja w Grampian będzie zmuszona położyć kres rozpętanej przez siebie kampanii nienawiści, mającej na celu zniszczenie reputacji mojego klienta. Wszystko wskazuje na to, że komuś tam, na górze... — Moir-Farquharson wskazał gmach komendy - ..bardzo zależy na tym, żeby Aberdeen nie wygrało ligi!

Wybuch śmiechu. A potem zaczęły się pytania:

- Zagra pan w sobotę z Falkirk?

- Co na to wszystko pańska narzeczona?

- Czy to prawda, że ma pan ofertę z Manchesteru United?

Odpowiadał adwokat, nie dając klientowi dojść do głosu. Tylko jedna reporterka zwróciła uwagę, że nie pierwszy raz Macintyre jest oskarżany o gwałt, ale Wąż zignorował ją, wybierając inne, bardziej sympatyczne pytanie o zbliżające się małżeństwo piłkarza. Nie zignorowała jej jednak matka Macintyre'a: do końca konferencji patrzyła krzywo na kobietę, która ośmieliła się wypominać jej synowi grzeszki przeszłości.

Moir-Farquharson udzielił jeszcze paru odpowiedzi, po czym odprowadził uśmiechniętego Macintyre'a i jego matkę do czekającego nieopodal bmw. Kiedy wsiadali do samochodu, towarzyszyła im istna burza fleszy.

Inspektor Steel zaciągnęła się świeżym powietrzem i splunęła na mokry od deszczu chodnik.

- Ośliżył gnojek. Już wcześniej Inch musiał mieć spaprany nastrój, ale teraz dostanie szału. - Przypaliła papierosa. Dym zakłębił się pod parasolem. - No, o wilku mowa...

Inch szedł właśnie Queen Street; wracał z biura sędziego. Miał zawziętą minę i zaciśnięte usta. Wielki parasol z trudem osłaniał go przed deszczem.

Ktoś zastąpił mu drogę: chudy mężczyzna z bródką, w okularach, z wściekłym wyrazem twarzy. Inspektor zatrzymał się, złapał intruza pod łokieć i wciągnął przez główne drzwi komendy do środka. Logan usłyszał

jeszcze:

— To on, prawda? Dlaczego go wypuściliście, do diabła?! Co z wami

jest...

Drzwi się zamknęły.

Steel została na parkingu, żeby dopalić papierosa, a Logan popędził sprawdzić, czy wszystko jest gotowe do odprawy. Mijając Inscha i rozzłoszczonego mężczyznę, pochylił się i odwrócił głowę: nie pozwolił się w to wciągnąć. Udał, że nie słyszy, jak inspektor obiecuje posadzić Macintyre'a na bardzo, bardzo długo.

O czwartej sala odpraw była pełna mundurowych obojga płci. Przyszło też paru cywilnych detektywów z kryminalnego i gruby sierżant z dochodzeniówki, objadający się serowo-cebulowymi chipsami. Nie czekając na Steel, Logan odczytał listę obecności. Wprowadził wszystkich w sprawę, przedstawił fakty - i właśnie miał zacząć prezentację połączoną z omówieniem nagrań z kamer ochrony, gdy do pokoju wparowała inspektor w towarzystwie zastępcy komendanta. Próbując ukryć złość, Logan poprosił jednego z detektywów z WK o zgaszenie światła.

- Zaczynamy - powiedział i włączył odtwarzanie. Steel i zastępca komendanta znaleźli sobie miejsca. -Nagrania dokonano wczoraj wieczorem, dwanaście po dziesiątej.

Na dużym ekranie za jego plecami pojawił się obraz wejścia do izby przyjęć. Przed drzwiami stała pusta karetka z wygaszonymi światłami. Nagle w kadr wjechało rozklekotane volvo kombi. Zahamowało gwałtownie i odbiło się od krawężnika. Za kierownicą widać było rozmazaną plamę, która wypięła się z pasów, szarpnięciem otworzyła drzwi i wyskoczyła z wozu. Logan zatrzymał odtwarzanie.

- Niebieskie dżinsy, czarne adidasy, szara bluza z kapturem, ciemnozielona bejsbolówka.

Twarz pozostawała niewidoczna, ukryta w cieniu daszka czapki.

- Tablice rejestracyjne zostały rozmyślnie zamaskowane, prawdopodobnie przez zaklejenie numerów taśmą izolacyjną. Znamy tylko markę i model auta. Kazałem już przekazać do patroli informację, że poszukujemy niebieskiego albo zielonego volvo kombi; szczegóły znajdziecie w komplecie dokumentów z odprawy. - Logan przerwał i powiódł wzrokiem po sali, próbując spojrzeć w oczy każdemu po kolei. — Tylne kanapa jest przesiąknięta krwią, więc morderca spróbuje albo ukryć samochód, albo się go pozbyć. Musimy znaleźć go wcześniej!

Znów włączył odtwarzanie. Zakapturzona postać obiegła volvo, otworzyła tylne drzwi wozu i wywlekła umierającą ofiarę, po czym wskoczyła za kierownicę i pospiesznie odjechała.

- A teraz ujęcie z kamery przy wyjeździe z parkingu.

Ekran na chwilę poszarzał, po czym pojawiła się na nim pomarańczowa budka ochrony. W środku siedział umundurowany mężczyzna. Czytał gazetę. Nagle podniósł wzrok, uśmiechnął się i pomachał. Volvo zwinęło. Kierowca uchylił okno i wsunął kwit parkingowy do szczeliny w automacie. Szlaban się podniósł. Volvo odjechało. Strażnik wrócił do przerwanej lektury.

- Czyli mamy świadka. Na końcu pakietu znajdziecie portret pamięciowy kierowcy.

Logan wyłączył odtwarzacz wideo i uruchomił projektor. Na ekranie wyświetlił się wygenerowany komputerowo portret pamięciowy: okrągła twarz, sumiaste wąsy, okulary, schludnie przystryżona bródka.

- Strażnik twierdzi, że podejrzany mówił z irlandzkim akcentem. Jeden z mundurowych podniósł rękę.
- Słucham?
- Północno- czy południowoirlandzkim?
- Strażnik mówi, że przypominał mu tego przygłupiego księdza z *Ojca Teda*, więc raczej południowo. Był opanowany i spokojny: wymienił ze strażnikiem zdawkowe uprzejmości, mimo że dopiero co wyrzucił z wozu wykrwawiającego się na śmierć człowieka. - Logan wcisnął guzik. Portret pamięciowy zniknął, a jego miejsce zajęła pośmiertna fotografia denata. -To nasza ofiara. A tu możecie zobaczyć, dlaczego umarł...

Wszyscy skrzywili się odruchowo.

Logan doprowadził odprawę do końca, podzielił ludzi na zespoły i po-przydzielał zadania. Wtedy Steel wstała i oznajmiła, że zastępca komendanta ma im jeszcze coś do powiedzenia.

- Dziękuję bardzo. - Zastępca starał się uśmiechnąć przyjaźnie. - Jak państwu wiadomo, ogromnie troszczymy się o stan zdrowia naszych funkcjonariuszy...

Kiedy wszyscy sobie poszli, Steel klapnęła ciężko na krzesło w pierwszym rzędzie. Odchyliła głowę do tyłu i aż jęknęła na widok migających jarzeniówek.

- Boże mój... Beznadziejny facet.
- Musiałem zacząć bez pani. Inspektor pokiwała głową.
- Widziałam. Dobrze się spisałeś. Na medal. Nie spóźniłabym się, ale ten skurczybyk czyhał na mnie przy damskim kiblu. Zbok jeden. Musiałam mu powiedzieć, co planujemy. - Sięgnęła pod żakiet i zaczęła się drapać pod pachą. — Troska o zdrowie funkcjonariuszy... Jeśli im się wydaje, że wezmę udział w tym ich kretyńskim programie „Bądź sprawny!”, to od razu mogą mnie w dupę pocałować!

Logan skończył sprzątać po odprawie.

- Od czego zaczniemy?

Steel spojrzała na zegarek, zmarszczyła brwi i odparła:

- Proponuję białe wino, frytki i szlugi. Już prawie fajrant.

- Ale...

- Dopiero jutro gazety wydrukują zdjęcie ofiary i portret pamięciowy mordercy. Archiwum dentystyczne jest zamknięte, więc kartoteki i tak na razie nie przeszukamy. Nie mamy szans dzisiaj nikogo zidentyfikować. Moglibyśmy najwyżej przygotować pokój operacyjny, a tym z powodzeniem może się zająć ktoś z administracji. My tymczasem pójdziemy się napić.

- Ale...

- Sierżancie? To *rozkaz*.

- Tak jest.

Archibald Simpson zaczynał jako bank, ale z czasem został przerobiony na pub. Masywny granitowy budynek przy wschodnim końcu Queen Street miał prawdziwy portyk, korynckie kolumny, ozdobny sufit, błyszczące mosiężne okucia, kandelabry i tanie piwo, a że znajdował się dosłownie dwa kroki od komendy, był ulubionym miejscem wszystkich policjantów, którzy chcieli się napić po całym dniu pętania się po deszczu.

Steel *kazała* Loganowi przynieść pierwszą kolejkę: duży kieliszek białego wina, dwie porcje frytek i kufel stelli. Jak zwykle usiadła w kącie, pod telewizorem, na końcu dawnej głównej sali bankowej. Logan marzył o tym, żeby pójść do domu i się przespać, ale gdyby tak zrobił, inspektor by się obraziła i zwała całą brudną robotę na niego. Dlatego wołał zostać, gadać o pierdołach, słuchać, jak Steel marudzi o innych sprawach: martwy włóczęga z Duthie Park - zmarł z przyczyn naturalnych, ale za cholerę nie wiedzieli, kto to właściwie był — seria włamań w Tillydrone, Bridge of Don i Rosemount, ekshibicjonista z Guild Street. Jeszcze zanim podano im frytki, zmieniła temat i zaczęła narzekać na Susan, swoją dziewczynę, która uparła się, żeby mieć kota, ale Steel wiedziała, że to tylko przymiarka do dziecka, a na taki poważny związek absolutnie nie była przygotowana. Zamówili następne drinki. Do baru powoli ściągała cała dzienna zmiana, lokal wypełniał się policjantami po służbie. Większość z nich Logan znał osobiście -poza tymi najmłodszymi - ale tylko jedną osobę miał okazję oglądać nago: posterunkową Jackie Watson, która, nachmurzona, właśnie szła ku niemu z piwem i paczką pomidorowych chipsów. Usiadła ciężko obok niego i puściła chipsy w kółko.

- Jezu... Ale gówniany dzień.
- Mnie też miło cię widzieć. - Logan się uśmiechnął: oto wpływ dwóch kufli piwa na pusty żołądek. - Widzieliśmy Węża w akcji.
- Drań. - Jackie zmarszczyła brwi. - Jak to się dzieje, że gdy tylko weźmie jakąś sprawę, zaraz urządza konferencję prasową przed komendą? Znaie jeszcze kogoś, kto by tak robił?

Logan wzruszył ramionami.

- To medialna zdzira.
- Fakt - zawtórowała mu Steel, dopijając drinka. - On jest zdzira, ale to nas dupczą regularnie jak w zegarku. Wziąć wam coś?

Zebrała zamówienia i poczłapała do baru. Logan i Jackie zostali sami.

- Facet miał czelność zarzucić mi, że zaatakowałam tego pieprzonego gwałciciela, jego klienta, kiedy leżał skuty na ziemi. Przecież to się w pale nie mieści! I wiesz co jeszcze powiedział? Że Macintyre chciał sobie tylko pobiegać, a do mnie podszedł, żeby „zapytać o drogę”! - Jackie pokazała w powietrzu sarkastyczne cudzysłowy. — Z nożem w ręce. Wyobrażasz sobie?

Logan wiedział, że lepiej się nie odzywać, więc tylko siedział i kiwał głową. Niech się dziewczyna wygada.

- A ci zasrani dziennikarze?! Przecież już go uniewinnili! Dranie. A ci, co przeszukiwali jego dom, nie znaleźliby chyba własnego dupska, nawet gdyby im dać mapę. Nic nie znaleźli: ani majtek, ani biżuterii, nic. Nic, psiaakrew!

Jackie wściekała się dalej, ale Logan stopniowo się wyłączał. Musiała po prostu upuścić trochę pary; wywalić to z siebie.

Kiedy tak złorzeczyła Macintyre'owi w najlepsze, Steel, szurając nogami, wróciła do stolika. Zadzźwięczały stawiane na blacie szklanki.

- Zapomniałam, co chcieliście - powiedziała przepaszającym tonem. — Więc wzięłam wszystkim whisky.

I tak oto dokumentnie się ululali - powoli, ale skutecznie.

Środowa odprawa o wpół do ósmej rano była znacznie bardziej bolesna niż ta we wtorek, ale Logan mógł sobie przynajmniej cierpieć cichutko w ostatnim rzędzie, bo tym razem to Steel, walcząc z kacem, mówiła

i przydzielala zadania. Na koniec zaintonowała „Nie jesteśmy pierdołami!”, a cała ekipa się do niej przyłączyła.

Loganowi mało głowa nie pękła.

Po trzech kubkach kawy poczuł się trochę lepiej, chociaż we łbie nadal mu dudniło i miał wrażenie, że zaraz umrze. W pokoju operacyjnym panowała gorączkowa krzątanina; ludzie byli wciąż podekscytowani odprawą i żądni szybkich efektów, wszędzie na ścianach wisiały mapy, tablice korkowe i zdjęcia z sekcji zwłok. Lokalne gazety prześcigały się w teoriach: Macintyre winny czy niewinny, ale niezidentyfikowane zwłoki spod szpitala też doczekały się wzmianki na pierwszej stronie „P&J”. Dziennik wydrukował podretuszowane zdjęcie z kostnicy, portret pamięciowy mordercy i kawałek tekstu, z którego jakimś cudem wynikało, że to wszystko sprawka policji.

W czym właściwie nie było nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, kto napisał artykuł: Colin Miller, gwiazda „Press and Journal”. Facet nie puszczał łatwo uraz w niepamięć.

Logan westchnął, zmiął gazetę i wyrzucił ją do kosza. Reakcja opinii publicznej na razie nie oszałamiała: odebrali może z dziesięć telefonów od ludzi, którzy twierdzili, że znali denata, a mordercy nikt nie rozpoznał. Ale wszystko się zmieni, kiedy w porze lunchu telewizja nada relację z konferencji prasowej, pomyślał. Wtedy telefony rozgrzeją się do czerwoności. Apele w telewizji zawsze napędzały im tabuny świrów - choć z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo...

- Się ma, Łazarz.

Logan podniósł wzrok na umundurowanego chudzielca z sumiastym wąsem w stylu Wyatta Earpa: sierżant Eric Mitchell spoglądał na niego sponad okularów i szczyrzył zęby jak ostatni kretyn.

- Jest tu gdzieś twoja przyjaciółeczka? Logan zmarszczył podejrzliwie brwi.

- Która?

- Watson, klocek. Jest tutaj?

- Ma drugą zmianę. Będzie o drugiej.

- Wiesz co? Daj jej może znać, żeby wzięła sobie wolny dzień.

Mitchell rzucił Loganowi zrolowany egzemplarz „Daily Mail”, mrugnął i bez pośpiechu odszedł, pogwizdując z satysfakcją.

Zanim jednak Logan *zdążył* zapytać, o co chodzi, inspektor Steel rzuciła mu na biurko plik teczek.

- To cholerstwo mnie wykończy - stwierdziła, poprawiając ramiączko stanika. - *Znajdź* ze dwóch wolnych ludzi, niech to przejrzą, dobra? To

dokumenty różnych niebieskich ptaszków; może któryś będzie pasował do portretu pamięciowego. Potem możesz iść grzebać w rentgenach uzębienia. - Dała spokój ramiączku i zaczęła się mocować z drutem w miseczce. -A przy okazji...

- Szczerze mówiąc, myślałem o tym, żeby się przejechać i sprawdzić te informacje o możliwej tożsamości ofiary - wpadł jej w słowo Logan. -Trzeba stanąć w pierwszym szeregu, niech ludzie widzą, że się angażujemy.

Miałoby to tę dodatkową zaletę, że zszedłby jej z oczu, zanim wymyśli mu kolejne beznadziejne zadania.

Inspektor się zastanowiła. Przekrzywiła głowę, wpatrując się w czoło Logana, jakby próbowała coś wyczytać wprost z jego mózgu.

- Zgoda - powiedziała w końcu. - Weź ze sobą... - Obróciła się na pięcie, wskazując posterunkowego, który w kącie notował coś na tablicy. - Tak. Weź Rickardsa. Dobrze mu zrobi, jak zobaczy kawałek świata. Może przestanie tak jęczeć, duppek jeden...

- Pani inspektor? - Funkcjonariuszka z administracji pomachała do niej plikiem papierów.

- O Boże... - stęknęła Steel i zniżyła głos do szeptu: - Kryj mnie, Logan. Muszę zająć.

Odróciła się, wyjaśniła, że ma pilne spotkanie z zastępcą komendanta, a tą sprawą zajmie się sierżant McRae. Po czym wyszła.

Logan westchnął i zabrał dokumenty.

Wziął służbowy samochód -jednego z licznych rdzewiejących vaux-halli - i kazał Rickardsowi prowadzić, żeby spokojnie zdrzemnąć się w fotelu pasażera. Wreszcie zaczął czuć się lepiej.

Wieczorem po whisky przyszła kolej na wódkę, a potem jakiś śmieszny mały człowieczek próbował poderwać Jackie. Wyśmiali go. Później było piwo, tequila i co jeszcze?... Wspomnienia trochę mu się zamazały, ale pamiętał, jak stali w kolejce po kebab przy Belmont Street. A kiedy w końcu dotarli do domu, Jackie zasnęła w kiblu.

Przetarł dłonią twarz i stłumił ziewnięcie. Chyba robił się na to za stary... Deszcz już nie padał i miasto lśniło czystością. Ulice skrzyły się w blasku niezwykle ciepłego jak na luty słońca; w blokach szarego granitu połyskiwały okruchy miki. Jechali Union Street, kierując się do Kincorth, dzielnicy mieszkaniowej na południu miasta. Mieszkancka jednego z tamtejszych domów, starsza pani, twierdziła, że rozpoznała nieboszczyka na zdjęciu w gazecie.

— A właśnie, miałem zapytać... — odezwał się Logan, kiedy Rickards skręcił na most Jerzego IV. Woda w rzece mieniła się jak szlifowane diamenty. - Brałeś udział w nalocie na burdel w Kingswells?

W odpowiedzi Rickards mruknął coś o pracy zespołowej.

— Podobno był tam jakiś loch dla... fetyszystów — ciągnął Logan, śledząc wzrokiem dwie mewy ścigające opakowanie po chipsach. - Biczę, łańcuchy, klamerki na sutki, takie rzeczy...

— No... właściwie... niby... no tak...

Rickards poczerwieniał. Wyraźnie widoczna jasna blizna przecinała mu górną wargę; można by pomyśleć, że ktoś chciał rozbić butelką zafundować mu zajęczką wargę. Logan się uśmiechnął: posterunkowy najwyraźniej nie był światowcem. Powstrzymał się od kpin i patrzył na przesuwające się za oknami miasto.

Dom starszej pani stał w trzech czwartych długości Abbotswell Cres-cent. Roztaczał się z niego widok na dwupasmową obwodnicę i przemysłowe dzielnice Craigshaw i Tullos. Uroczo. Kiedy dodać do tego bliskość Tony, nawet słońce na błękitnym niebie nie miało najmniejszych szans upiększyć okolicy.

Starsza pani poczęstowała ich herbatą i ciasteczkami.

Kwadrans później wrócili do samochodu.

- To by było tyle — stwierdził Logan.

Zadzwoił do inspektora Steel, żeby przekazać jej złe wieści - i od razu dostał dwa kolejne adresy do sprawdzenia: jeden w Mannofield, drugi w Mastrick. Z tych wizyt także nic nie wynikło.

Rickards wiercił się w fotelu, jakby miał robaki.

- Co teraz?

Logan zerknął na zegarek: dochodziła jedenasta.

- Wracamy. Możemy jeszcze... - Jego komórka odezwała się jako-fonią pisków i świstów. - Zaraz. - Wyciągnął telefon z kieszeni. - Słucham?

- Gdzie wy się, do cholery, podziewacie?!

Inspektor Steel, i to - sądząc po tonie głosu - rozdrażniona.

- Jesteśmy w Mastrick. Sama nas pani tu wysłała.

- Tak? No to... Czemu jeszcze nie skończyliście?

- Właśnie skończyliśmy. Już wracamy.

- To dobrze. O dwunastej jest konferencja prasowa; załapiemy się do południowych wiadomości. Kiedy mówię „my”, mam na myśli nas dwoje. Nie spóźnijcie się. A po drodze możecie sprawdzić jeszcze jedno zgłoszenie: zadzwoniła do nas jedna babka, twierdzi, że ten trup mieszka po są-

siedzku, z rodzicami. Tylko radzę pamiętać: jak nie wrócisz na dwunastą, zabiję.

Logan zapisał adres, rozłączył się i jęknął.

- Zmiana planów. Dodatkowy przystanek po drodze.

Blackburn bardziej przypominało plac budowy niż dzielnicę-sypialnię: upchnięte na miniaturowych parcelach maleńkie domki, nie wszystkie jeszcze wykończone, ciągnęły się daleko na zachód i północ. Kosztowały fortunę, a mieszkało się w nich jak na kurzej fermie. Dom, którego adres dała im Steel, był drugi od końca ślepej uliczki, która nie miała jeszcze nawet porządnej nawierzchni, tylko cienką warstwę kruszejącego asfaltu, pełną dziur i pokrytą schnącym błotem. Łoskot spychaczy przebijał się przez zgrzyt pił tarczowych i dudnienie młotów pneumatycznych. Kremowy obłok kurzu z wolna pochłaniał okolicę.

Pod numerem 7 znajdowała się „luksusowa willa” z czterema sypialniami, postawiona na działce wielkości znaczka pocztowego. Logan kazał Rickardsowi zadzwonić do drzwi, a sam zapatrzył się na łagodnie falujące wzgórza na północy. Zastanawiał się, ile czasu trzeba, żeby one także zostały całe zabudowane.

Drzwi otworzyła im zabiegana kobieta w workowatej koszulce i spodniach od dresu, z dzieckiem na biodrze.

- Tak? - spytała, jakby lekko podenerwowana. Logan uśmiechnął się uspokajająco. Dzieciak, z rozdziawioną buzią, wpatrywał się w niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami.

- Pani... ~ Zajrzał do notatek. - Brown? Dzień dobry. Dzwoniła pani do nas dziś rano w sprawie tego człowieka? Pokazał zdjęcie. Skinęła głową.

- Tak mi się wydaje, że to on. Jest podobny do syna sąsiadów, Jason ma chyba na imię... - Dzieciak zaczął się wiercić, więc przycisnęła go do piersi. Wczepił się jej rączkami we włosy, nie odrywając wzroku od stojących na progu policjantów. - Oni wyjechali na urlop, ale on został. Opiekuje się domem.

- Jest pani pewna, że to on?

Logan wręczył jej zdjęcie. Zagryzła wargę.

- No... Bardzo podobny. - Zachichotała nerwowo. - Pytałam Paula, też powiedział, że to mógłby być on.

- Kiedy ostatnio widziała pani Jasona? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem... cały dom na mojej głowie... Ze dwa dni temu?

- Rozumiem. - Logan schował zdjęcie. Dziecko się rozplakało. - Jak Ja-son ma na

nazwisko? - Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć malucha.

- Nie wiem, naprawdę. Wprowadziliśmy się trzy tygodnie temu, wszystko jeszcze w pudłach... - Podrzuciła chłopca, gruchając z czułością: - Kto jest synusiem mamusi? No kto? Może w biurze budowy będą wiedzieli?

- Dziękuję za pomoc.

Logan i Rickards podeszli do sąsiedniego domu, podzwonili do drzwi, zajrzeli przez okno od frontu do wysprzątanego na wysoki połysk salonu, gustownie urządzonego, z obrazami na ścianach, po czym obeszlą dom dookoła. Ogródek na tyłach tonął w błocie gęsto upstrzonym nasionami trawy. Na środku stał samotny wiatraczek, jak zapomniana antena ze zwisającym smutno żółtym plastikowym przewodem. W garażu była tylko czarna plama oleju na posadzce.

Rickards wrócił na ulicę i popatrzył w górę, w puste okna.

- Co pan o tym myśli?

- To samo, co o całej tej wycieczce: zda się psu na budę. - Logan wsiadł do samochodu i spojrzął na zegarek. - Rany boskie, za dwadzieścia dwunasta! Jedziemy! Bo nas Steel udusi!

Cudem zdążyli. Sala już się zapełniała: kamerzyści, dziennikarze i fotoreporterzy wytyczali swoje terytoria między rzędami składanych krzesel. Wszystkie oczy były zwrócone na podwyższenie i stojący na nim stół.

- Już myślałam, że nie przyjedziecie!

Logan odwrócił się i stanął oko w oko z inspektorem Steel; nerwowo obracała w palcach zgniecioną paczkę papierosów, jak nikotynowy różaniec.

- Znaleźliście coś?

- Nie.

- Szlag by to... - Zgniotła paczkę jeszcze bardziej.

- Jakiś problem?

Wzruszyła ramionami, spojrzała do tyłu, powiodła wzrokiem po gęstniejącym tłumie dziennikarzy.

- Po prostu dobrze by było mieć jakieś konkrety. Na razie trzymamy w tajemnicy przyczynę tej śmierci, ale sam wiesz, jakie jest to miasto. Wcześniej czy później ktoś coś chlapnie. - Zerknęła z ukosa na Logana. - Ale komu ja to mówię...

- A to co niby ma znaczyć?!

- Nic. - Steel wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Zupełnie nic. Kogo obchodzi pisanina „Daily Mail”? O psiakrew, jest zastępcą komendanta. Logan odprowadził ją wzrokiem. Nie miał zielonego pojęcia, o co jej chodziło.

Konferencja zaczęła się punkt dwunasta. Ledwie wicekomendant wyrecytował swoje „Dziękuję państwu za przybycie”, Logan uciekł myślami gdzie indziej. Nie powinien być do niczego potrzebny, dopóki nie zaczną się pytania od dziennikarzy - a i wtedy mogliby się obejść bez niego. Wodził więc oczami po dziennikarskiej hordzie, wypatrując znajomych twarzy. Skwaszony Colin Miller siedział w trzecim rzędzie, mamrocząc do cyfrowego dyktafonu. Pewnie szykował się do spuszczenia policji batów w następnym numerze „P&J”.

Dwóch innych Logan znał z poprzednich konferencji, kilku z telewizji - ale cały czas wracał spojrzeniem do Mille-ra: do jego kwaśnej miny i czarnych skórzanych rękawiczek. Colin nie wyglądał na ojca, który wyczekuje narodzin potomka. Podniósł wzrok znad dyktafonu i zobaczył, że Logan mu się przygląda. Zmarszczył brwi. Nadal miał do niego żal o obcięte palce, tak jakby to Logan trzymał nożyce...

Zastępca komendanta poprosił o zadawanie pytań i Logan na nich musiał się skupić.

Po zakończeniu spotkania popędził do pokoju operacyjnego. Steel była drugą osobą czyniącą jakieś tajemnicze aluzje do „Daily Mail”, a on musiał się wreszcie dowiedzieć, o co chodzi. Egzemplarz, który rzucił mu Eric, leżał tam, gdzie go zostawił. Przejrzał go pobieżnie, szukając czegoś w stylu SIERŻANT LOGAN McRAE ZNOWU SPIEPZYŁ SPRAWĘ!, ale niczego podobnego nie znalazł. Za to rozkładówkę w samym środku gazety zajmował artykuł zatytułowany POLICJA PRZEŚLADUJE NAPASTNIKA FC ABERDEEN! z ogromnym zdjęciem paskudnej gęby Roba Macintyre'a i przypomnieniem jego błyskawicznej kariery. Dalej przedstawiono policyjne śledztwo jako element „nieustającej kampanii, której celem jest pozbawienie FC Aberdeen niepowtarzalnej szansy na zwycięstwo w lidze”.

„Macintyre (1. 21) jest dla zdesperowanych samotnych kobiet łakomym i oczywistym kąskiem: młody, sławny, bogaty, a najlepsze lata wciąż przed nim”. Ale to nie o ten kawałek chodziło Mitchellowi i Steel.

Mieli na myśli cytaty na specjalnej wkładce do gazety - ogromne białe litery na czerwonym tle krzyczały: „Jasne, że jest winny. Ten sk... na mnie napadł!” Te słowa przypisywano posterunkowej Jackie Watson (1. 28), którą dalej cytowano tak: „(...) takich gnojników jak on powinno się zamykać na resztę życia!”

Logan jęknął z rozpaczy. Nic dziwnego, że Eric radził Jackie wziąć wolny dzień: kiedy zgłosi się na służbę, czeka ją niezła awantura. Spojrzał na wiszący na ścianie zegar: Jackie przyjdzie za kwadrans!

- Cholera jasna!

Zadzwoił do domu, modląc się w duchu, żeby jeszcze ją zastać. I zastał.

- Co jest?! - rzuciła wściekle do słuchawki. Spóźnił się.

- Rozumiem, że widziałaś gazetę?

- Widziałam duży pokój! Pobjowisko!

- O Boże... Posłuchaj, pamiętasz, żebyś rozmawiała z jakimś dziennikarzem?

- Co? Słuchaj, muszę się szykować do...

- Piszą o tobie w „Daily Mail”. „Jasne, że jest winny! Ten skurwiel na mnie napadł!”

Brzmi znajomo?

W słuchawce na chwilę zrobiło się cicho, a potem posypały się przekleństwa. Całe mnóstwo wyzwisk.

- Drań nawet nie miauknął, że jest z gazety!

- Kto?

- Ten obleśny kurdupel z pubu... Pamiętasz? Mówiłam ci, że postawił mi drinka. Gęba mu się nie zamykała, nic tylko: „Widziałem cię w telewizji”, „Policjantki są super” i „Dasz mi swój numer telefonu?” Skurczybyk!

- Wiesz, co teraz będzie?

- Hrabia Dracula.

- Eric radzi, żebyś wzięła sobie wolne.

Jackie parsknęła śmiechem - głuchym i bez przekonania.

- Odkładanie tego rzeczywiście mi pomoże, bez dwóch zdań...

- No nie, chyba faktycznie nie.

- Co mamy?

Inspektor Steel spojrzała znad ramienia Logana na raport, który trzymał w rękach. Jej oddech zalatywał starym papierosem i miętówkami. Logan westchnął i zaczął odliczać na palcach:

36

- Ponad sześćdziesiąt osób zadzwoniło z informacją, że знаły ofiarę. Siedem dwuosobowych zespołów dokładnie sprawdza teraz te telefony. Jeśli chodzi o podejrzanego, to na liście notowanych za przestępstwa na tle seksualnym jest pięciu, którzy przypominają gościa z portretu pamięciowego: dwóch gwałcicieli, jeden pedofil, ekshibicjonista i facet, który napastował księdza.

- Księdza? - Steel się uśmiechnęła. - Pewnie miał dość chłopców z chóru.

- Ale nie wydaje mi się, żeby któryś z nich to zrobił. Ekshibicjoniści są mocni w głębie, ale jak przychodzi co do czego, to im nie staje. Ofiara była za stara dla pedofila. Obaj gwałciciele napadali wyłącznie na kobiety. A miłośnik księży dopiero co wyszedł z Peterhead i jest pod opieką kuratora, który twierdzi, że podopieczny siedział grzecznie w domu, kiedy ktoś podrzucił naszego denata na ostry dyżur.

Inspektor zapatrzyła się w dal i odparła:

- I tak lepiej ich przesłuchać. Wszystkich, księdzofila też. Przynajmniej nie będzie się można przyczepić, że nic nie robimy. — Zniżyła głos do szeptu. - Watson coś mówiła?

- Nie.

Ledwie Jackie zjawiła się w komendzie, natychmiast zaprowadzono ją na górę, do Wydziału Wewnętrznego.

- Szkoda, że ten twój dziennikarz z Glasgow się za nianie wstawi. Czasy, kiedy Logan mógł liczyć na życzliwość Colina Millera, bezpowrotnie minęły.

- To co? Mam ich zgarnąć? Znowu chwila namysłu.

- Nie. Pojedziemy ich odwiedzić. Jak nie będzie mnie w biurze, ominą mnie badania do „Bądź sprawny!” - Steel obróciła w dłoni paczkę papierosów. - A jak uda mi się tego odpowiednio długo odwlec, to może w ogóle o mnie zapomną.

Pierwszy gwałciciel zdudził jej się po piętnastu minutach. Drugi - po siedmiu, kiedy to nachyliła się do Logana i szepnęła:

- A może byśmy tak przez przypadek skopali mu dupsko?

Ekshibicjonista też jej nie zaimponował, nie po tym, jak tuż za progiem zawołała:

- No! To pokaż nam, co tam masz!

Iain Watt był wyższy, niż z pozoru wyglądał, ale okropnie się garbił. Miał jakieś trzydzieści pięć lat, przerzedzone ciemne włosy, nadwagę i nosił

kardigan — typowy pan Nikt, żyjący w wielkim pustym domu przy Don Street, którą studenci przechodzili w drodze na uniwersytet. Steel patrzyła z okna w salonie, jak grupka młodych dziewcząt mija dom, śmiejąc się i żartując; długie włosy, krągłości... Logan dałby sobie głowę uciąć, że usłyszał jej tęskne westchnienie.

- Jak to się robi? - spytała, kiedy studentki skrzyły za róg. - Czekasz, aż podejda, wyskakujesz i pokazujesz im swój „ogromny członek”? Tak po prostu?

- Ja... - Wart nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Wbił wzrok w nieskazitelnie czystą owczą skórę na podłodze. - Chodzę na terapię. Biorę leki...

- Tak? A co, już ci nie staje? - Steel zaciągnęła zasłony i pokój pograżył się w półmroku; wąska smuga światła padała prosto na łysinę Wat-ta. - Jeśli jeszcze kiedyś usłyszysz choćby plotkę, że ktoś w tej okolicy straszy ludzi wackiem, leki nie będą ci

potrzebne. Sama cię załatwię, raz na zawsze. Butem. Zrozumiałeś?

Watt poczerwieniał.

- Nie... nie czuję takiej potrzeby. Chodzę na terapię.

- Już mówiesz. - Długa przerwa. - Ale dlaczego właściwie to zrobisz?

Na czole mężczyzny zaczął się perlić pot. W miarę jak cisza się przeciągała, kropelki łączyły się w strużki i spływały mu po policzku.

- Ja... - Odkasznął. - Nie wiem, o czym pani mówi.

- Ale my wiemy. — Głos Steel był cichy, prawie współczujący.

- Tylko że... - Watt zerknął ukradkiem na drzwi i znów wbił wzrok w owczą skórę. - Tylko że ja...

- No? Nie zmuszaj mnie, żebyś była okrutna. Zakrył twarz dłońmi i zaczął płakać.

- Ja nie chciałem!

Logan spojrział pytająco na Steel; wzruszyła ramionami: też nie miała pojęcia, do czego facet się przyznaje.

- Może nam o tym po prostu opowiesz, lain? - zaproponował. - Poczujesz się lepiej, jak ktoś cię wysłucha.

Watt przygryzł dolną wargę. Łzy i smarki ściekały mu po twarzy, mieszając się z potem. Zaokrąglone, przygarbione ramiona drżały, kiedy prowadził ich do kuchni.

- Nie chciałem! - szlochał. - Nie chciałem! I tak w kółko.

Logan zaczynał się poważnie martwić, co takiego ten facet ma na sumieniu.

Watt wyciągnął rękę w stronę jednej z szuflad, ale sierżant był szybszy: złapał go za nadgarstek. Tak na wszelki wypadek - nie wiedzieli przecież, czy w szufladzie nie trzyma noży.

— Wiesz co? Może ja to wyjmę? — zaproponował cicho, spokojnie. — Co ty na to? Odsuń się, a ja... O tak...

Z kieszeni wyjął lateksowe rękawiczki, naciągnął je i otworzył szufladę. W środku znalazł latarkę, paczkę baterii paluszków i zakrwawioną damską bieliznę - dokładnie taką, jaką miała na sobie Laura Shand, kiedy Rób Macintyre podobno ją gwałcił. Taką, jaką Macintyre niby to zabrał w charakterze trofeum.

Inspektor Steel wyraziła to, o czym oboje pomyśleli:

- O żesz kurwa...

Łutowe słońce skryło się za szaro-czarnym gmaszyskiem komendy, parking był pogrążony w cieniu, mroczny i zimny.

- To będzie koszmar - stwierdziła Steel, kiedy Logan zameldował jej, że Watt czeka na przesłuchanie. Westchnęła, wypuszczając w powietrze wątlą smużkę tytoniowego dymu. - Insch się zapieni jak rzadko kiedy... -Wyprostowała się i pstryknęła niedopałek pod bmw komendanta. - Ale to nie nasz problem.

W zadumie pociągnęła nosem, a potem kazała Loganowi wygrzebać z archiwum wszystko na temat Laury Shand: stenogramy przesłuchań, protokoły lekarskie... Wszystko. Chciała poczytać o ofierze Watta, zanim *zacznie* z nim rozmawiać.

W taki oto sposób Logan wylądował przed drzwiami pokoju Inscha. W archiwum

powiedziano mu, że inspektor wypożyczył komplet dokumentów do tej sprawy; pracował nad aktem oskarżenia dla Macintyre'a i usiłował przypisać mu także tę zbrodnię. Logan wziął głęboki wdech i otworzył drzwi.

Jeden z największych pokoiów operacyjnych w komendzie był prawie pusty. Dwie pracownice administracji pakowały do kartonów pozostałości operacji „Kochaś”, oczyszczając teren pod następne duże śledztwo. A na brzegu trzeszczącego biurka siedział inspektor Insch, potężny, wysoki, łysy grubas z łapami jak szufle, w pękającym w szwach garniturze. Wyglądał

jak rozeżłona różowitka gąsienica przed wylinką. Garściami wrzucał sobie do ust rodzyнки w czekoladzie. Logan odchrząknął i powiedział:

- Panie inspektorze? Bardzo przepraszam, ale potrzebne mi są akta sprawy Laury Shand.

Insch przestał żuć i łypnął na niego złowrogo.

- Tak? - zadudnił basem. - A po co? Uff, zaczyna się...

- Eee... Aresztowaliśmy człowieka, który twierdzi, że ją napadł - odparł Logan. - Panie inspektorze - dodał na wszelki wypadek. Inspektor dźwignął się z biurka. Spochmurniał.

- Niech się pan nie wygłupia. To Macintyre ją napadł.

- To znaczy... — Myśl! - Ten nasz pewnie kłamie, ale wolimy się upewnić. Wie pan, chcemy wykazać, że nie miał nic wspólnego... Przecież nie mógł mieć, bo to Macintyre... - Logan zaczynał bełkotać. - Więc po prostu chciałbym pożyczyć te akta, panie inspektorze. I nie będę już panu głowy zawracał.

- Kogo macie?

Logan czuł, jak przyklejony uśmiech zsuwa mu się z ust.

- To Iain Watt, ekshibicjonista. Pewnie przesadzamy... Oczy Inscha wyglądały teraz jak maleńkie węgielki, pałające wściekle w zaróżowionej, świńskiej twarzy.

- Oby - mruknął, wręczając Loganowi teczkę. Logan uznał, że kusiłby los, pytając inspektora o werdykt w sprawie Jackie.

Osiemnasta trzydzieści osiem. Pokój przesłuchań numer 5 cuchnął strachem i starym potem. Iain Watt siedział po przeciwnej stronie zdezelowanego stołu; jego biały kombinezon szeleścił przy każdym ruchu. Wiercił się i kręcił młynka palcami, opowiadając Loganowi i Steel o terapii i o doktorze Gouldingu, który twierdził, że robi ogromne postępy... Nie patrzył na leżącą przed nim foliową torebkę, w której znajdowały się majtki Laury Shand - różowe w szare świnki, poplamione ciemnobrunatną krwią.

- Skoro robisz takie postępy, to skąd się to wzięło u ciebie szufladzie? - spytała Steel, szturchając torebkę.

- Bo ja... - Watt zwiesił głowę. - Czasem ją widywałem, jak gdzieś szła. W Seaton Park... Mogę dostać szklankę wody?

- Nie. Opowiedz nam o niej. Cisza. A potem:

- Od dawna o tym myślałem... Znowu cisza.

- Nie wątpię, draniu.

- To nie tak! Doktor Goulding cały czas mi tłumaczy, że powinienem nawiązywać znajomości z kobietami, próbować tworzyć poważne związki... Żeby zacząć inaczej o nich myśleć, a nie tylko... wie pani... - Watt wziął głęboki wdech. Zadrżał. - Chciałem tylko powiedzieć jej: „Cześć”. Po prostu. „Cześć”, potem może: „Ładna dziś pogoda, prawda?” Może by mi odpowiedziała, byłoby miło, porozmawialibyśmy i wszystko by się ułożyło i... -

Wzrok Watta prześliznął się po zakrwawionej bieliźnie. Obliznął wargi. - Myślałem o tym od tygodni. Doktor Goulding powtarzał mi, że muszę zrobić pierwszy ruch. Ćwiczyłem przed lustrem, było świetnie...

Przedłużającą się ciszę mącił tylko metaliczny warkot rejestratora, który uwieczniał dźwięk i obraz dla potomności. Logan przysunął się do stołu.

- Ale potem coś poszło nie tak, prawda, Iain? Watt pokręcił głową.

- Powiedziałem: „Cześć. Ładny dzień, prawda?“, a ona nic, po prostu szła dalej, jakby mnie tam w ogóle nie było...

- Więc się na nią rzuciłeś - westchnęła Steel.

- Wcale nie! Najpierw pomyślałem, że nie usłyszała. Albo że może przypadkiem mam rozpięty rozporek. Przypadkiem, rozumiecie? - Przeniósł wzrok ze Steel na Logana, szukając u nich zrozumienia. - Ale nie... Ona mnie nie lubiła. Nie chciała ze mną rozmawiać. Zrobiłem pierwszy krok, jak radził doktor, a ona...

- I wtedy ją zaatakowałeś - spróbowała Steel po raz drugi.

- Nie. Wróciłem do domu i zjadłem tosta z fasolką. Potem zacząłem czytać gazetę. Pisali o tym facecie, co napada z nożem na kobiety i... i uprawia z nimi seks. Seks... Pomyślałem sobie, że... że... Wyszedłem. Czekałem na nią. Nie odezwała się do mnie...

- Kurczę... Czy to możliwe, że wszystko zmyślił?

Inspektor Steel stała z papierosem przy oknie. Słońce zachodziło, złocąc granitowe iglice Kolegium Marischala; głębokie sine cienie czały się już w zakamarkach, gotowe lada chwila pochłonać miasto.

- Dzwoniłem do Laury Shand - powiedział Logan, siedzący po drugiej stronie biurka. - Ma przyjechać, żeby oficjalnie zidentyfikować napastnika. Powie pani Inschowi? - spytał z udawaną nonszalancją.

- O czym? Że rozwaliliśmy mu śledztwo? - Steel westchnęła i zapatrzyła się w żarzący się czubek papierosa. - Chyba powinnam rzucić to

draństwo, ale... - Zaciągnęła się dymem. - Pieprzyć to. - Wyjęła komórkę, nacisnęła kilka guzików i przytknęła aparat do ucha. - Insch?... Tak, to ja... Kazałam mu wziąć akta... Nie. Watt się *przyznał*. Macintyre nie zgwałcił Laury... Halo? Insch? - Wydęła wargi, przesłała komórce całusa, po czym wyłączyła ją i schowała. — Rozłączył się.

- Aha... - Logan czuł pismo nosem. Nie chciał być w pobliżu, kiedy dojdzie do konfrontacji. - Pani inspektor? Skoro nie jestem już potrzebny, pójdę...

Na korytarzu rozległ się głuchy łoskot, jakby ktoś trzasnął drzwiami.

- Chyba naprawdę... - Centymetr po centymetrze cofał się do wyjścia. - Powiniennem przygotować dokumenty do okazania i...

Za późno. Drzwi otworzyły się z impetem i w progu stanął inspektor Insch - bardzo, ale to bardzo wkurzony, z olbrzymią, czerwoną twarzą. Wycelował gruby paluch w Steel.

- Co ty sobie wyobrażasz?!

Steel pokręciła głową, dopaliła papierosa i wyrzuciła pęta za okno.

- Taka praca. Nie przepadam za nią, nie bardziej niż...

- Nie miałaś prawa...

- Watt się przyznał. Jego zeznanie pasuje do *zeznań* Laury Shand...

- On kłamie! - Frunące w powietrzu drobinki śliny zaślśniły w wieczornym świetle.

- Insch, kiedy ty wreszcie dorośniesz? - Steel opadła ciężko na sfatygowane krzesło. — Zamknij drzwi. Chyba nie chcesz, żeby cała komenda słyszała, jak robisz z siebie durnia.

Wymagało to od Inscha sporego wysiłku, ale - czerwony jak burak i rozwścieczony - wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Logan znalazł się w potrzasku.

- Nie pomyślałaś o tym, że ten twój golas przyznał się tylko po to, żeby zwrócić na

siebie uwagę? Przecież to ekshibicjonista!

- To dlaczego wszystko się zgadza, co? — Steel wzięła do ręki akta sprawy Shand. - Nie jedna czy dwie rzeczy, ale wszystko, kapujesz? Wszystko! W szufladzie w kuchni trzymał jej zakrwawione majtasy!

- Nie żartuj? To ci dopiero wygodny splot wydarzeń... Ty masz podejrzanego, a moja sprawa się wali. Podważasz okoliczności gwałtu i...

- Przecież nie zrobiłam tego celowo! Działaliśmy na ślepo, zarzuciliśmy przynętę, bo a nuż coś się trafi... I Watt dał się złapać. To mogło być cokolwiek: ekshibicjonizm, kradzież radia z samochodu...

- Sposób działania w przypadku Shand był dokładnie taki sam jak w pozostałych!

Steel rozłożyła ręce.

- Facet przeczytał o tym w gazecie: mężczyzna plus nóż plus kobieta równa się seks. W szufladzie... miał... jej... majtki - powtórzyła z naciskiem na każde słowo. - To on ją zgwałcił.

- A może... - Insch zmarszczył brwi. - Może po prostu był świadkiem? Widział, jak Macintyre gwałci Shand, a potem zabrał bieliznę na pamiątkę?

- Daj spokój. - Steel przesunęła dłonią po twarzy, deformując ją na chwilę kompletnie. - I zrozumiem, na litość boską: Macintyre mógł zgwałcić wszystkie pozostałe kobiety, ale nie Laurę.

- Tyle że...

- Nie! Wbij to sobie wreszcie do głowy: to nie on zgwałcił Laurę Shand!

Insch stanął tuż przy biurku.

- Co ty sobie wyobrażasz? - spytał przyciszonym, złowrogim tonem. — Że z kim rozmawiasz?

- Z tobą! — Steel odepchnęła się na krześle i wstała. Nachyliła się do Inscha, tak że prawie zetknęli się nosami. - Od miesiąca biadolisz jak rozkapryszona cipa, ale mnie nie interesuje, co cię gryzie w dupsko, Insch. To twoja sprawa, więc przestań wyzywać się na nas wszystkich! Watt zgwałcił Laurę Shand. Koniec, kropka.

Twarz Inscha na moment przybrała odcień ciemnofioletowy. Obrócił się na pięcie, wyszedł z pokoju i trzasnął drzwiami z taką siłą, że Logano-wi zawibrowały wnętrznosci.

Po przejściu Inscha w całej komendzie zaległa niesamowita cisza. Wracając do swojego boksu w WK, Logan nie słyszał nawet szeptów. Dwadzieścia minut zajęło mu sprawdzenie maili i sporządzenie elektronicznego albumu, w którym Laura Shand miała rozpoznać Iaina Watta: jego fotografia znalazła się wśród zdjęć jedenastu innych przestępców z bazy danych szkockiej policji. Była to właściwie formalność: na podstawie zeznania Watta i wyników z laboratorium mogli go w ciemno wysłać do Peterhead - bez względu na to, czy pokrzywdzona go rozpozna, czy nie.

A potem nie mógł już tego dłużej odkładać: zadzwonił do pełniącego dyżur Dużego Gary'ego i zapytał, gdzie jest Jackie.

- Nie mam pojęcia — usłyszał w odpowiedzi. — Poszła od razu do wewnętrznego, ale gdyby chcieli ją wyrzucić albo zawiesić, wezwaliby mnie jako przedstawiciela związku. - Dało się słyszeć stłumione siorbnięcie,

jakby Gary popijał herbatę. - Pewnie tylko dostanie klapsa i na tym się skończy.

- Pewnie tak... Dzięki, Gary.

Logan rozłączył się i wybrał numer komórki Jackie. Dzwoniła i dzwoniła, w końcu *zapiszczała* i przełączyła go do poczty głosowej. W Wydziale Wewnętrznym nie było sensu o

nic pytać, bo i tak nic by mu nie powiedzieli. Zaczął więc łązić po komendzie, wypytyując wszystkich spotkanych ludzi o posterunkową Watson.

Znalazł ją w piwnicy, w archiwum, gdzie umierały w spokoju zapomniane akta. Przekopywała się przez stare, nierozwiązane śledztwa, klnąc pod nosem, a właściwie wygłaszając nieustanny wściekły monolog o tym, co zrobi temu draniowi z „Daily Mail”, jeśli kiedyś dostanie go w swoje ręce. Rzuciła zakurzone pudło na betonową posadzkę, otworzyła je i ze złością zajrzała do środka.

Logan zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej.

- Cześć.

Spojrzała na niego wściekła, aż się cofnął, podnosząc ręce w obronnym geście.

- Rany! Nie wiem, o co ci chodzi, ale przepraszam! Jackie znów skupiła się na pudle.

- Wyobrażasz sobie? - Wyjęła plik papierów spięty gumką tak starą, że zaczynała się kruszyć. — Połowy tych śmieci nie ma w żadnym spisie! Co za lenie śmierdzące...

- Wszystko w porządku?

Wzruszyła ramionami i zaczęła spisywać zawartość pliku w ogromnym notesie.

- Sam popatrz: czy naprawdę tak trudno po prostu napisać, co jest w pudłach?

- Jackie?

- Kurczę, tu są sprawy sprzed trzydziestu, czterdziestu lat. Nie mogli ich opisywać na bieżąco? - Cisnęła papiery z powrotem do pudła. Gumka pękła na tysiąc kawałków. - Co za cholerstwo!

- Jackie... Już dobrze.

- Przydałoby się ściągnąć tych dziadów z emerytury i kazać im tu przyjść, niech sami inwentaryzują swoje zasrane śledztwa! - Wyjęła następny plik i znów zaczęła notować. - Trzeba je było rozwiązać! Kogo dziś obchodzi, że dwadzieścia lat temu ktoś pobił jakiegoś palanta? Przecież i tak już nikogo nie złapiemy!

W kącikach jej oczu zalśniły łzy gniewu.

- Jackie!

- Rozmawiali ze mną jak z dzieckiem, rozumiesz?! Albo jak z jakimś tępym garnkotłukiem, co nie umie trzymać gęby na kłódkę! Tak jakbym zrobiła to specjalnie!

- Chodź tutaj.

Logan pomógł jej wstać i mocno ją przytulił.

We wtorek z samego rana gówno wpadło w wentylator; Logan poczuł smród od razu, dziesięć po siódmej, gdy tylko zasiadł do lektury nowego „Press and Journal”. MÓWIŁEM, ŻE JESTEM NEWMINNY! - krzyczał nagłówek na pierwszej stronie, nad brzydką, uszatą podobizną Roba Macintyre'a.

Czytał w kuchni, zapominając o stygnącej kawie. W artykule znalazła się wzmianka o tym, jak inspektor Steel i miejscowy „bohater” sierżant McRae oskarżają znanego policji ekshibicjonistę o jeden z gwałtów zarzucanych dotąd Macintyre'owi. Adwokat Macintyre'a zapowiedział, że w tej sytuacji będzie się domagał oddalenia w całości pozwu skierowanego przeciw jego klientowi. Na koniec znalazło się miejsce dla soczystego cytatu / Sandy'ego Węża, który podkreślał, że ta sytuacja dowodzi, iż jego klient padł ofiarą cynicznej policyjnej

kampanii nienawiści.

Nie musiał szukać nazwiska autora, żeby wiedzieć, kto to napisał: Co-lin Skurczybyk Miller kontratakuję. Pierwszy raz określenie „bohater”, które na dobre przyłgnęło w jego tekstach do Logana, zostało ujęte w ironiczny cudzysłów.

Skrzywił się, wylał resztkę kawy do zlewu i poszedł do pracy.

Inspektor Steel jeszcze nie dotarła i musiał zacząć odprawę sam. Znowu. Przywlokła się pięć minut przed końcem, skarżąc się, że zastępca komendanta z samego rana wezwał ją do siebie. Logan powiedział, co miał powiedzieć, i spojrzał na nią wyczekująco.

- Chce pani coś dodać, pani inspektor?

— A żebyście wiedzieli... — Podniosła zaciśniętą pięść. — Nie jesteśmy pierdołami! Cisza.

- No, dalej. Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie zawołacie razem ze mną. Nie jesteśmy pierdołami!

Tym razem wszyscy się przyłączyli. Logan starał się nie przewracać oczami, gdy Steel zaczęła swoje tradycyjne „Nie słyszę was!” W końcu uznała, że ma dosyć, i *kazała* im brać dupę w troki. Logan został.

- Widziała pani gazety? Pokiwała głową.

- A jak myślisz, o czym chciał ze mną rozmawiać zastępca komendanta? Prokurator, idąc na urlop, zostawia piękny, solidny akt oskarżenia, który dwadzieścia cztery godziny później wali się gruzy.

- Macintyre może beknąć jeszcze za sześć gwałtów.

- Ha! - Steel wyjęła papierosy i z ponurą miną *zajrzała* do paczki. -Niby tak, ale po tej sprawie z Watterem przysięgli stracą pewność siebie: skoro pomyliliśmy się w przypadku Laury Shand, to jaką mają gwarancję, że nie spieprzyliśmy pozostałych? A Rób Macintyre będzie sobie siedział tuż obok jak mały, paskudny aniołek, któremu Wąż poleruje aureolkę. -Pokręciła głową. - Insch może sobie być wrednym grubasem, ale takiego pasztetu nikomu bym nie życzyła.

Wstała i przeciągnęła się z rozmachem, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

- Gdyby ktoś pytał, wyszłam na fajkę. Masz jakieś plany?

- O dziesiątej przyjdzie Laura Shand, żeby zidentyfikować gwałciela. Poza tym niczego nie planuję.

Dopiero kiedy powiedział to na głos, dotarło do niego, jaki popełnił błąd: dał Steel pretekst, żeby znalazła mu zajęcie.

- Świetnie. Sprawdź w BIO, czy ślady z domu Watta nie wskazują, żeby miał coś wspólnego z pozostałymi gwałtami Macintyre'a. Przy okazji zagoń więcej ludzi do pracy z tym portretem pamięciowym, niech wypytują; ktoś musiał przecież gościa znać. - Przerwała na chwilę, zamyśliła się i podrapała po głowie. - I pogoń tych darmozjadów, co grzebią w rentgenach dentystycznych. To jest śledztwo w sprawie morderstwa, a nie sjesta!

Posterunkowy Rickards, odpowiedzialny za kartoteki dentystyczne, siedział przy małym biurku w kącie pokoju operacyjnego, obłożony stertami papierów. Rozmawiał przez telefon i jednocześnie coś gryzmolił na formularzu. Logan odczekał, aż się rozłączy.

- Mamy coś?

Rickards skrzywił się i westchnął.

- To szukanie igły w stogu siana. Dentyści mają mniej więcej po trzy tysiące pacjentów w kartotekach. A inspektor kazał mi sprawdzić informacje ze wszystkich gabinetów od Dundee

po Peterhead. To będzie trwało wieki.

- Dasz sobie radę.

Logan odwrócił się do wyjścia, kiedy Rickards złapał go jeszcze za rękaw.

- Panie sierżancie... — Rickards *zniżył* głos do szeptu.— Tak sobie myślałem o tym denacie... - Rumieniec rozlał mu się ponad biały kołnierzyk koszuli na całą twarz, która błyskawicznie przybrała kolor gotowanej szynki. - Czy on... Czy miał bliznę na pośladku?

Logan zmarszczył brwi.

- Zaczekaj.

Wyjął z szafki raport z sekcji zwłok, przekartkował go i znalazł opis oględzin zewnętrznych wraz ze schematycznym rysunkiem ciała widzianego z przodu i z tyłu, z zaznaczonymi skaleczeniami, oparzeniami, otarciami, krwiakami i bliznami.

- I co? - spytał Rickards.

- Na lewym czy prawym?

- Na lewym — odparł po krótkim namyśle posterunkowy.

- Zgadza się.

- W takim razie chyba wiem, kto to jest.

I inspektor Steel trzymała nogi na biurku, kubek z kawą w ręce i papierosa w kąciku ust.

- Jakim cudem ten cały Rickards rozpoznał faceta po zadku? Tak dobrze się znali?

Logan wzruszył ramionami.

- Mówi, że widział go na jednym z DVD, które skonfiskowali w nalocie na burdel. Kazałem mu wygrzebać ten film z archiwum dowodów rzeczowych.

- Pięknie! Nie ma to jak ostry pornos na poprawę nastroju z samego rana!

Spotkali się w sali narad. Rickards walczył z odtwarzaczem, a Steel przez ten czas oglądała okładkę.

- *James Bondagel* - *Zmrużyła* oczy, odsunęła pudełko na odległość wyprostowanej ręki i zaczęła czytać adnotacje drobnym druczkiem. - Kręcone w Aberdeen! Super! Nie wiedziałam, że mamy tu własny przemysł porno.

Posterunkowy uśmiechnął się i przykucnął przez telewizorem, który wreszcie dał znak życia.

- Kręcą całkiem sporo filmów - powiedział. - Nawet nie najgorszych, tylko trzeba się przyzwyczaić do akcentu, bo trochę... - Odwrócił się, zobaczył minę inspektora Steel i umilkł. A zaraz potem poczerwieniał jak burak. - Tak mówili ci goście, których przymknęliśmy. Ehm... - Odkaslnął, poruszył się niespokojnie i dodał: - Jesteśmy... no... gotowi.

- Nie wątpię.

Steel usadowiła się przy końcu długiego stołu konferencyjnego. Ekran przybrał granatową barwę; wyświetliła się najpierw informacja, że film jest chroniony prawem autorskim, a następnie, że Brytyjska Rada do spraw Klasyfikacji Filmów oceniła go jako dozwolony od lat osiemnastu. Potem pojawiło się logo wytwórni i Logan parsknął śmiechem: znaczek CROCO-DILDO FILMS LTD! przedstawiał coś, co dałoby się opisać tylko tak: krokodyl na baterie stojący na tylnych łapach. Na tle słabo maskowanej przeróbki tematu muzycznego z filmów o Jamesie Bondzie poleciały napisy.

Rickards nacisnął guzik na pilocie i obraz wyraźnie przyspieszył: sportowy wóz, dom, chyba plaża w Balmedie, ludzie śmigający z prędkością sześćdziesiąt cztery razy większą od

normalnej. Nagle na ekranie zrobiło się różowo.

- Puść to! - zawołała Steel. - Zwolnij! Rickards nie zareagował.
- Zaraz będzie to, co nas interesuje.
- Ale mnie interesuje to, co jest teraz!

Znowu samochody, następna rezydencja, brunetka w bikini, grubas z kozią bródką- i znów różowo.

- Daj spokój! Chcemy pooglądać!
- Jeszcze... O, jest!

Rickards włączył normalne odtwarzanie i podrygujące nerwowo figurki bardziej upodobniły się do ludzi, i to ludzi w bardzo konkretnej sytuacji. Scena wyglądała na wariację ogranego motywu „zli ludzie łapią i torturują tajnego agenta, żeby później zostawić go samego i dać mu uciec”. Z tą różnicą, że mężczyzna w smokingu leżał na brzuchu na stole do masażu, przypięty do niego pasami i chłostany przez rudowłosą, cycatą kobietę w lateksowym stroju zakonnicy.

- O, teraz. — Rickards popukał w ekran. Zakonnica właśnie ściągnęła Jamesowi Bondage spodnie i slipy. - Bandzior.

Z cienia wyłoniła się trzecia postać: mężczyzna pod trzydziestkę, z krótkimi blond włosami, w ciemnych okularach i stroju księdza. Zdjął okulary i powiedział:

- „Opór naprawdę nie ma sensu, panie Bondage. I tak wszystko nam pan wyśpiewa”.

Zakonnica przestała bić Jamesa i przypięła sobie neonowoniebieski sztuczny członek.

Rickards nacisnął pauzę.

- Widzicie? To on!

Pokazał jedno z poprawionych na komputerze pośmiertnych zdjęć ofiary. Logan musiał przyznać, że ma trochę racji.

- A gdzie ta blizna?

Posterunkowy znów włączył przewijanie w przód, ku wielkiemu niezadowoleniu inspektor Steel. Różowo, bardziej różowo, ludziki śmigające na wszystkie strony - i normalne odtwarzanie: ksiądz-bandzior obsługiwał zakonnice od tyłu, Bondage zajęty był przodem. W przód, w tył, w przód, w tył, w przód, w tył... Stopklatka. Sierpowata blizna rzucała się w oczy.

Rickards spojrzał na nich wyczekująco.

- I co państwo na to?

Logan otworzył raport z sekcji: blizna na pośladku ofiary była identyczna z tą wypełniającą w tej chwili ekran telewizora.

- To on, bez dwóch zdań.
- On? Czyli kto? - spytała Steel.

Logan myślał, że to już niemożliwe, ale Rickards poczerwieniał jeszcze bardziej, zanim odparł:

- W napisach jest wymieniony jako Dick Longlay.
- Pięknie, kurna: Dick Longlay. Wymarzone pseudo dla gwiazdy porno. Nie mógł się nazwać po prostu Wielka Pyta? - Inspektor obejrzała okładkę filmu. - Mamy do nich jakiś adres?

Rickards kiwnął głową, czym zasłużył sobie na długie, badawcze spojrzenie Steel.

- No to słucham; nie umiem czytać w myślach! Posterunkowy podał jej adres. Uśmiechnęła się.

- Czas pogonić im kota. Mam ochotę na wycieczkę do Crocodildo Films.

- To na pewno tutaj?

Inspektor zrobiła dwa kroki w tył i zadarła głowę. Nieduża hala przemysłowa stała przy wąskiej uliczce odchodzącej od Hutcheon Street. Tablica na ścianie głosiła CLARKRUG TRAINING SYSTEMS LTD.

Rickards sprawdził adres w notatniku.

- Na to wygląda. To ich oficjalny adres.

W recepcji przywitały ich kwiaty w doniczkach, na ścianach wisiały zdjęcia platform wiertniczych i ludzi pozujących ze sprzętem BHP. Na środku pomieszczenia na mahoniowych postumentach stały dwa ogromne, wiekowe projekторы, zamknięte w szklanych pudłach jak eksponaty w muzeum przyrodniczym. Recepcjonistka - otyła kobieta po sześćdziesiątce - odłożyła plotkarskie „Hello” i uśmiechnęła się do gości.

- W czym mogę pomóc? - zapytała głosem mamuśki, która odbierając w domu telefon, zmienia ton na bardziej wyniosły. Logan mignął jej przed oczami odznaką.

- Chcielibyśmy porozmawiać z kimś o... - Nie bardzo wiedział, jak zapytać o Crocodildo Films. Kobięcina wyglądała na taką, którą łatwo zszokować. - Jak by to...

- Rany boskie! - Steel go odepchnęła. - Chcemy porozmawiać o por-nolach.

- Aha... - Wyniosły ton zniknął. - Zaczekajcie - dodała recepcjonistka z wyraźnym już szkockim akcentem. - Dam znać szefowi.

Wybrała jakiś numer na centralce, wysłuchała paru dzwonek, a potem z głośnika dobiegło pstryknięcie i trzaski.

- Jak Boga kocham... - mruknął ktoś bez entuzjazmu. - Co znowu? Przecież mówiłem, że kręcimy!

Recepcjonistka nadęła się gniewnie.

- Alexandre Lloydzie Clark! Jak śmiesz się tak odzywać do matki?! Chwila ciszy, a potem z trudem skrywane zniecierpliwienie w głosie:

- Co się stało, mammo?

- Masz gości.

- Powiedz im, żeby spadali. Jestem zajęty. Jeśli... Inspektor Steel pochyliła się nad biurkiem i krzyknęła:

- Jesteśmy z policji! Znowu cisza.

- Mammo? Znowu przełączyłaś na głośnik? Ile razy mam ci powtarzać...

- Musimy porozmawiać, panie Clark. -

- W sprawie włamania, tak? Czas najwyższy!

- Włamania? - Steel bezgłośnie poruszyła ustami, spoglądając pytająco na Logana; on tylko wzruszył ramionami. - Nie - odparła. - Chodzi o...

- Przyjdźcie jutro. Dziś naprawdę nie mam czasu. Umówcie się... Steel przerwała mu, zanim recepcjonistka zdążyła sięgnąć po terminarz:

- Posłuchaj, skarbie. Albo pomożesz nam w śledztwie, albo cię aresztuję, z boku jeden, i zawlokę na komendę. Twój wybór.

- A niech was diabli wezmą... Dobrze, zaraz przyjadę do biura. Inspektor się rozpromieniła.

- Nie, proszę się nie kłopotać. To my przyjedziemy do pana.

- Jak chCecie...

Clark podał im adres składowiska kontenerów w Altens. Steel nie posiadała się ze szczęścia.

- Zawsze chciałam zobaczyć, jak się kręci pomosy. Myślicie, że miałabym szansę w castingu?

Sceneria Altens nie należała do ładnych: skupisko przemysłowych placów na południowych obrzeżach miasta; ohydne biurowce firm naftowych; magazyny pod chmurką; hamburgery i zapiekanki sprzedawane z samochodów; porzucone naczepy tirów - niektóre wyładowane rurami wiertniczymi, inne zapomniane, zaśmiecone

unurzany w smarze zwojami stalowych lin. Ekipę filmową znaleźli obok stosu kontenerów używanych w transporcie morskim; światła, kamery - i niewiele poza tym.

- Który tu nazywa się Clark?! - zawołała Steel.

Prawie wszyscy wskazali grubasa w obszernej puchowej kurtce i wełnianej czapce, z siwiejącą bródką i styropianowym kubkiem w ręce. Buchająca z kubka para osiadała mu na śmiesznych, małych okularkach w prostokątnej oprawce. Nie był aż tak potężny jak inspektor Insch, ale niewiele mu brakowało. Znieruchomiał, jakby przytąpali go w jakiejś wstydlivej sytuacji, po czym uśmiechnął się przymilnie.

- Zander Clark, przez „Z”. - Podał im na powitanie rękę w rękawiczce. - Witam. Jesteście państwo...

- Z policji. - Steel spojrzała na kamery, reflektory, grupkę ludzi zebraną nad scenariuszem. - To kiedy będzie jakieś bzykanko? Zander parsknął kawą.

- Óśś! - Złapał inspektor za rękę i odciągnął kawałek dalej. - Tu się kręci instruktaż BHP, jasne? Nie chcę, żeby mój klient się dowiedział, że dorabiam sobie filmami dla dorosłych.

- Nie ma się czym chwalić, co? Ja to rozumiem, jeden już widziałam.

51

Steel pokazała mu *Jamesa Bondage*.

- Przeciwnie. - Zander wyprostował się dumnie na całe swoje sto dziewięćdziesiąt centymetrów. - Moje filmy zdobywają nagrody wszędzie w Europie. Nie mam się czego wstydzić. Po prostu nie mieszam branż.

- Boi się pan, że klient się zniechęci, kiedy usłyszy, że kręci pan dziełka, w których zakonnice pukają tajnych agentów?

Skrzywił się i zmarszczył brwi, bardziej jednak rozżalony niż zły.

- Chciała się pani ze mną widzieć...

- Ażak, rzeczywiście. - Steel wskazała na DVD. - Chodzi o tego gościa. Dick Longlay. Kto to jest?

Zander wyjął jej pudełko z rąk i obejrzał okładkę.

- Jason - powiedział w końcu. - Jason Fettes. Wypromowałem go.

- Każąc mu posuwać zakonnicę w duecie?

- Ma pani z tym jakiś problem? Filmy erotyczne sadła pani zbyt „realistyczne”? To, że jeszcze nigdy nie uprawiała pani seksu, nie oznacza... Logan wszedł mu w słowo, zanim sprawy przybrały gorszy obrót:

- Kiedy ostatnio widział pan pana Fettesa?

Clark spojrzał jeszcze ze złością na Steel, po czym odwrócił się do niej plecami.

- Dwa tygodnie temu: ściągnąłem go, żeby zrobił postsynchrony do najnowszego filmu; dźwięk był po prostu tragiczny. — Wskazał chudego jak kościotrup mężczyznę z mikrofonem na długim drągu; chudzielec wyraźnie się nudził. - Słowo daję, jak się facet nie weźmie do roboty, wyleję go prosto na ten kościsty zadek.

- Wróćmy do Jasona.

- A tak. Sporo razem pracujemy. Wystąpił w *Jamesie Bondage*, potem w sequelu, czyli *Pozdrowieniach z gumką*, w takich dwóch o hydrauliku... Pan rozumie, czasem trzeba; taka tradycja. Później w *Harriet Potter i Komnacie Rozpusty*, w *Jamie i magicznej pałeczce*, no i oczywiście w *Crocodildo Dundee*. Za *Crocodildo* dostałem nagrodę XRCO dla najlepszego filmu. - Clark promieniał z dumy. - Zamierzam też obsadzić Jasona w najnowszym filmie *Świder na każdą dziurę*. To będzie o inspektorze ubezpieczeniowym, który płynie na platformę wiertniczą, gdzie odkrywa, że wojowniczi Wikingów, takie Amazonki, przybyły z

przeszłości i zmuszają wszystkich nacierzy do seksu, aż ci padną z wyczerpania. To będzie hit, mówię panu.

- Rozumiem. - Logan omal nie parsknął śmiechem. - Ma pan jego adres?

-Nie przy sobie...- Clark zmarszczył brwi.- Mieszka chyba I wCults... Nie, nie, ostatnio się przeprowadził. Do Blackburn. Jego staruszkowie kupili sobie jeden z tych nowych domów. Logan ugryzł się w język, żeby nie zakląć.

- Chcesz mi powiedzieć, że już wczoraj rano byliście u niego w domu, wy tępe pały? - Steel odwróciła się w fotelu, żeby widzieć siedzącego z tyłu Logana. -1 nawet mnie nie poinformowaliście!

Rickards za kierownicą poczerwieniał jak burak, ale nie odrywał oczu od drogi i milczał. Logan musiał sam sobie radzić.

- To nie nasza wina! Ta kobieta nawet nie była pewna, czy to on! Poza tym dlaczego pani tak naskoczyła na Clarka? Po co robić sobie wroga?

- No wiecie...— Steel wzruszyła ramionami.— Nastawiłam się na oglądanie ostrego seksu, a oni tam sobie jeżdżą wózkami widłowymi, palanty jedne. - Odwróciła się i spojrzała do przodu. - Poza tym to nie moja wina, że jest takim spaślakiem i przypomina mi Inscha.

Zanim dojechali do Blackburn, błękitne niebo zasnuło się szarosinymi chmurami. Lodowaty wiatr hulał wśród na wpół gotowych domów; krokwie sterczały jak obrane z mięsa żebra.

- O żesz w mordę, ale wygwizdów! - mruknęła Steel, gramoląc się z samochodu. — Rickards, przejdź się do sąsiadów, popytaj, czy od poniedziałku ktoś widział Jasona Wielką Pytę. Wyjdziemy na idiotów, jeśli to nie on.

Posterunkowy wykonał polecenie, a inspektor zapaliła papierosa, wcisnęła ręce głęboko w kieszenie i ruszyła ścieżką.

Dom był tak samo pusty i zamknięty na głucho jak dzień wcześniej, ale Steel uparła się, żeby zajrzeć przez wszystkie okna; zdeptali przy tym grządki i wybrudzili palcami szyby. Zdążyli przejść do garażu, zanim Rickards wrócił z wiadomością, że sąsiadka od wczoraj nie widziała Jasona, ale zaprasza na herbatę, jeśli by mieli ochotę wpaść.

- Pewnie, że mam ochotę! — Steel ostatni raz dmuchnęła dymem i zgasiła niedopałek na białonej ceglanej ścianie. - Cycki sobie tu odmrażam. Logan starał się sobie tego nie wyobrażać.

- Przejdę się do biura budowy, może...

Przerwał, bo na podjazd zajechał duży czerwony citroen, z tylną kanapą wyładowaną pakunkami i walizkami. Kierowca zgasił silnik, spojrzał na umundurowanego Rickardsa i wysiadł.

- Niech to szlag trafi! — zaczął. Miał pięćdziesiąt parę lat i mocno przerzedzone szpakowate włosy. — Znowu ci wandale ze wsi, tak?! Mówiłem

budowlańcom, żeby zorganizowali wreszcie jakąś ochronę, ale gdzie tam! Posłuchali mnie? W życiu! Wyjechaliśmy na dwa tygodnie... Co tym razem zniszczyli?

Logan i Rickards spojrzeli na inspektor Steel; była to jedna z tych sytuacji, w których wyższa ranga okazuje się brzemieniem, nie przywilejem. Najstarszy stopniem funkcjonariusz przekazuje smutną wiadomość rodzinie - takie są zasady. Ale Steel ich nie uznawała.

- No, sierżancie - szepnęła. - Do roboty. Tylko delikatnie, dobrze? Ekstra.

- Nie przyjechaliśmy z powodu wandalii, proszę pana. - Logan podał mężczyźnie zrobione w kostnicy zdjęcie Jasona. - Poznaje pan tego człowieka?

Poirytowane westchnienie i niechętnie pytanie:

- Co znowu zmalował?
- Mam dla pana złe wiadomości.

10

Zostawili posterunkowego Rickardsa w salonie z matką Jasona: siedziała na kanapie bez ruchu i bez słowa, jakby wcale jej tam nie było. Pan Fettes radził sobie trochę lepiej: krzątał się po kuchni i przeproszał za przykry zapach; mały terierek skakał z zapalem dookoła niego, poszczekując i merdając kikutek ogona. Pan Fettes wziął miskę z dywanika przed pralką, opłukał ją pod kranem - i cały czas tłumaczył, że Jock to bardzo grzeczny piesek, bo załatwiał się w kuchni, a mógłby przecież napaskudzić w całym domu. Został sam na całe dwa i pół dnia. Naprawdę, trzeba mu było przyznać, że jest niesamowity: przecież Jason ani go nie karmił, ani nawet nie wypuścił na podwórko. Bo Jason...

Otwieracz do puszek z łoskotem spadł na podłogę. Pan Fettes skulił się i rozpląkał.

Inspektor Steel objęła go ramieniem i posadziła na krześle przy stole.

- Pozwoli pan, że ja malucha nakarmię, dobrze? Pan na razie spokojnie sobie posiedzi, a potem napijemy się herbatki.

Zerknęła na Logana, bezgłośnie poruszając wargami: rozejrzyj się po domu.

54

Pokój Jasona było łatwo znaleźć: duża sypialnia z biurkiem pod komputer w kącie i regałem z Ikei, zastawionym książkami science fiction i fantasy. Żadnych plakatów na ścianach, za to sporo oprawionych w ramki fotografii Jasona z przyjaciółmi, Jasona na plaży, Jasona w Ameryce w towarzystwie ślicznej brunetki... Był na wszystkich zdjęciach. Pamiątki dla potomności.

Logan włożył lateksowe rękawiczki i ostrożnie otworzył szafę. Ubrania były mocno znoszone, ale kiedyś musiały sporo kosztować. W kieszeniach nie *znalazł* nic ciekawego: kilka rachunków z Burger Kinga, trochę prawie nieczytelnych zapisków na serwetkach, garść paprochów i trzy żebrowane prezerwatywy. Pogrzebał w nocnej szafce: skarpetki, slipy, chusteczki, znowu skarpetki, srebrny kluczyk, plik tanich pisemek pornograficznych, filmy z Crocodildo. Logan odłożył DVD na biurko i zajrzał pod łóżko, gdzie *znalazł* hantle, plastikowy kosz z T-shirtami i podłużną metalową skrzynkę. Z kłódką. Srebrny kluczyk z szafki nocnej pasował jak ulał.

Otworzył skrzynkę, zagwizdał przez zęby i zamknął ją z powrotem.

Na biurku wały się płyty CD i skrawki papieru. Dwa listy z Equi-ty, związku zawodowego aktorów, który z żalem zawiadomił, że wniosek Jasona o przyjęcie w poczet członków został odrzucony, ponieważ w „filmach dla dorosłych” zatrudnił się dorywczo, a nie na podstawie regulaminowej umowy. Kilka stron wyrwanych ze „Stage”, z zakreślonymi na czerwono ogłoszeniami o castingach. No i mandat za złe parkowanie. Logan rzucił na niego przelotnie okiem, zamierzając go odłożyć, gdy jego wzrok przykuł numer rejestracyjny: na pewno za stary, żeby mogło chodzić o czerwonego citroena sprzed domu. A garaż był pusty.

Zadzwoił do centrali i poprosił o rozesłanie informacji, że poszukuje wozu na takich a takich numerach. W słuchawce usłyszał klekot klawiatury i odpowiedź:

- Przyjąłem. Szukamy niebieskiego volvo kombi, numer rejestracyjny...

- Słucham?

- Na tych numerach jeździ niebieskie volvo kombi. Logan westchnął.

Oczywiście.

Steel wyszła do ogródka na papierosa. Obserwowała pędzące coraz niżej chmury. Para z jej oddechu mieszała się z dymem. Inspektor wydawała się stara i zmęczona.

- Wybacz, Łazarz - odezwała się, kiedy Logan do niej dołączył. - Nie potrafiłabym komuś powiedzieć, że zabili mu dziecko. Niezły ze mnie

inspektor, co? - Zaciągnęła się papierosem. - Sto sześćdziesiąt siedem. Tyle razy przekazywałam rodzinom złe wieści. Właśnie to sobie policzyłam. Sto sześćdziesiąt siedem osób. - Westchnęła ciężko. - Co za pochrza-niona robota. Trzeba mieć świra, żeby...

- Znalazłem coś w pokoju Jasona. Ten samochód, którym go przywieziono do szpitala... To chyba był jego wóz.

- Cholera jasna.

- No właśnie. Powiedziałem też panu Fettesowi, że musimy zabrać komputer i inne drobiazgi do laboratorium.

- Biedak nie miał pojęcia, że kochany synuś grywa w pornosach. To daje człowiekowi do myślenia, nie uważasz?

- Chce pani, żeby Rickards z nimi został?

- Słucham? - Steel otrząsnęła się z zadumy. - Lepiej nie. Nie ma przeszkolenia, Bóg jeden wie, co mogłoby mu strzelić do łba. Ściągnij tu kogoś z rodzinnego. Jak tylko się pojawi, wracamy na komendę.

Włożyli do bagażnika komputer Jasona, podłużną skrzynkę spod łóżka i kolekcję pornograficznych filmów i gazetek. Pan Fettes zajął miejsce z tyłu, obok inspektor Steel; miał dokonać oficjalnej identyfikacji zwłok. W kostnicy raz tylko spojrzął na Jasona.

- Wydaje się taki mały... - powiedział.

I głosem niewiele głośniejszym od szeptu poprosił, żeby go odwieźć do domu. Steel wezwała radiowóz.

Pokój operacyjny na górze był prawie pusty — dwóch posterunkowych siedziało przy telefonach, inni funkcjonariusze poszli na lunch. Logan wpisał na listę dowodów rzeczowych przedmioty przywiezione z domu Jasona, po czym od razu pokwitował ich pobranie, żeby móc je spokojnie obejrzeć. Steel od razu rzuciła się na pornografię: oglądała okładki filmów i teatralnym tonem odczytywała najsmakowitsze kąski z zamieszczonych tam streszczeń i recenzji. Potem zainteresowała się pisemkami. Nie grzeszyły przesadną klasą i z pewnością nie owijały niczego w bawełnę. We wszystkich pojawiał się Jason Fettes.

- Ja cię kręcę... - mruknęła Steel. Jedna z rozkładówek przedstawiała Jasona w towarzystwie dwóch kobiet i mężczyzny w gumowej masce. -Kolekcja pornoli z sobą samym w roli głównej. Narcyz i onanista w jednym. - Odłożyła pisemko na stos. - Co jest w tym pudle?

Logan otworzył kluczykiem skrzynkę i podniósł wieko.

— O żesz w mordę... — Steel wyjęła ze środka gumowy kombinezon z przypinanymi rękawami, nogawkami, rękawiczkami i butami. Wsunęła

palec w lateksowej rękawiczce w otwór w kroczu; drugi taki sam znajdował się z tyłu. - Myślicie, że to z Marksa & Spencera?

W skrzynce był też gumowy czarny kaptur z małymi dziurkami na oczy i nos. Poza tym kolekcja biczów, szpicrut, knebli i dziwnych różowych przedmiotów, najczęściej zasilanych bateriami.

Logan wziął do ręki przedmiot w kształcie grzybka.

- A to co, do diabła?

- Korek analny - odpowiedzieli Steel i Rickards unisono. Rickards natychmiast się

zaczerwienił.

- No, Sherlocku... - Steel z uśmiechem sięgnęła po plastikowe etui. -Widzę, że mamy tu specjalistę od różnych dewiacji. A to co?

Otworzyła pojemnik. W środku znajdował się kłęb przewodów, miękkie elektrody i pilot.

Czerwień na twarzy posterunkowego przybrała intensywnie szkarłatny odcień.

- Zestaw do elektrostymulacji.

- Serio? - Steel wyglądała na autentycznie zaskoczoną.

- Można... to pomaga... prąd... wzmacnia... no wiecie...

- I co? - Inspektor wzięła do ręki pilota i zaczęła się bawić przyciskami. - Dobre to jest?

- To... zależy... bo...

Logan postanowił przyjść Rickardsowi z pomocą.

- To by przynajmniej wyjaśniało ślady po paskach na ciele Jasona.

- To znaczy? - Steel odłożyła pilota i zamknęła etui.

- Widać już, że lubił wiązanie, przebieranki i takie rzeczy. Ktoś go gdzieś poderwał, zawiózł do domu, związał... A potem sprawy zaszły za daleko, facet spanikował i wyrzucił go pod szpitalem. Nieszczęśliwy wypadek. Przypadkiem zdarzyło się nieszczęście.

- Przypadkiem... Jak można przypadkiem zaruchać kogoś na

śmierć?

- Wie pani, jacy są ci sado-maso. - Logan wskazał zawartość skrzynki. - Najpierw jedno wiąże drugie, żeby mu dać klapsa, a potem są bicze, łańcuchy, klamerki na sutki i... korki analne. - Może to było złudzenie, ale wydawało mu się, że Rickards patrzy na niego wilkiem. — Poza tym nie oszukujmy się: jeśli chce się kogoś zabić, są lepsze sposoby. Związała pani klienta, zakneblowała, to czemu go po prostu nie udusić? Nie założyć mu foliowego worka na głowę? No i po co go potem zawozić do szpitala?

Steel zmarszczyła brwi, najwyraźniej próbując ułożyć w myślach inny scenariusz.

- Do dupy to wszystko... — mruknęła w końcu. — Moje piękne, soczyste morderstwo właśnie trafił szlag.

Wyszła, żeby zameldować zastępcy komendanta o postępach w śledztwie.

Posterunkowy Rickards poczekał, aż drzwi się za nią zamkną, i nasko-czył na Logana:

- Jak pan może?! To, że Jason był inny, to jeszcze nie powód, żeby mówić o nim jak o zboczeńcu! Logan wytrzeszczył oczy.

- O rany, Rickards... Ty taki jesteś, prawda? Siedzisz w BDSM?

- Ja...

Posterunkowy poczerwieniał i odszedł gniewnym krokiem. Uśmiechnięty Logan zaczął pakować rzeczy Fettesa z powrotem do skrzynki.

- Dobra, proszę wszystkich o uwagę. - Steel wyszła na środek sali. Elita aberdeedzkiej policji sadowiła się wygodnie na krzesłach. - Znamy tożsamość ofiary.

Skinęła na Logana, który wcisnął guzik i na ekranie za plecami inspektor pojawiła się uśmiechnięta twarz. Zdjęcie zrobiono na plaży, z pewnością o wiele cieplejszej niż plaże północno-wschodniej Szkocji.

- Jason Fettes, pseudonim Dick Longlay - ciągnęła Steel. Odczekała, aż ucichną chichoty. - Występował w pornofilmach Crocodildo Films, dzięki czemu nasz posterunkowy Rickards zdołał go zidentyfikować.

Odpowiedzią były przeciągłe gwizdy i niedwuznaczne uwagi pod adresem Rickardsa, który chyba najchętniej pod ziemię by się zapadł ze wstydu - a poczerwieniał jeszcze

bardziej, kiedy Steel przeszła do opisu akcesoriów znalezionych w domu Fettesa. Logan wyświetlił zdjęcie gumowego kombinezonu, rozłożonego na podłodze w pokoju operacyjnym.

- Musimy zacząć rozpytywać o niego w sex-shopach i wszędzie tam, gdzie tacy ludzie regularnie bywają. Czyli Ellon. Czyli Westhill.

Logan nie odrywał wzroku od Rickardsa; posterunkowy w tym momencie chciał chyba coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Mamy teorię, że to była zabawa erotyczna, która źle się skończyła. Należy zakładać, że Fettes pojechał z przyszłym zabójcą z własnej woli. U niego w domu nie znaleźliśmy śladów krwi, więc musieli pojechać do mieszkania pana Wąsacza.

Pstryk. Na ekranie pojawił się portret pamięciowy mordercy.

- Jesteśmy prawie pewni, że kontakt nawiązali za pośrednictwem tej strony internetowej... — Steel przerwała, czekając, aż Logan wyświetli

właściwy kadr: zdjęcie utrzymanej w czerni i różu witryny WWW BON-DAGEOPOLIS! - Fettes miał tam swój anons; informatycy znaleźli kopię na dysku z jego komputera... - Z pakietu dokumentów przygotowanych na odprawę wyjęła jedną kartkę i przeczytała na głos: - Prawdziwy gwiazdor filmów porno szuka switcha do ostrej zabawy. Wszystkie chwytły dozwolone.

Posterunkowy Rennie podniósł rękę.

- Co to jest switch?

- Zapytajmy o to naszego eksperta - odparła Steel i tak długo wpatrywała się natarczywie w Rickardsa, aż ten wykrztusił:

- To termin z dziedziny BDSM: ktoś, kto może być w związku albo osobą dominującą, albo uległą. Panem albo sługą.

I zaczerwienił się wściekle, gdy posypały się kolejne niewybredne żarciki.

- Dziękuję. - Steel mrugnęła do Rickardsa porozumiewawczo. - Wystarczy tego...

Rennie znów podniósł rękę.

- A co to jest BDSM?

- Skrót od Bondage*, Domination, Sadoomasochism. Na razie proszę słuchać; potem możecie się umówić z posterunkowym Rickardsem, który wam wszystko zademonstruje.

Znów wybuchy śmiechu. W końcu udało się przywrócić jaki taki porządek, ale chichoty nie ustawały już do końca odprawy. Odkąd okazało się, że mają do czynienia z „nieszczęśliwym wypadkiem”, a nie z morderstwem, sprawa zaczęła wyglądać mniej poważnie. Kiedy Steel zakończyła spotkanie, Rickards pierwszy wybiegł z sali.

- Niech go pani tak nie dręczy - powiedział Logan, kiedy ostatni policjanci wyszli. - Mam wrażenie, że nie bawi się najlepiej.

- No ja nie mogę, same primadonny w tej policji. - Steel przewróciła oczami, wyjęła paczkę papierosów i zajrzała do środka. - Dobrze, porozmawiam z nim. Ale mogę najpierw zapalić?

Kiedy Steel składała płuca w ofierze bogu nikotyny, Logan poszedł poszukać Jackie. Znalazł ją tam, gdzie dzień wcześniej: w archiwum w piwnicy, brudną od kurzu jak nieszczęście.

- Jak leci?

Wstała z klęczek i wzruszyła ramionami.

* W tym przypadku „wiązanie” (przyp. tłum.).

- Nowy dzień, stary syf. A u ciebie?
- Musiałem powiedzieć jednemu małżeństwu, że ich syn został zamordowany.
- Czyli też kiepsko. - Jackie zapisała coś w notatniku i odłożyła plik teczek z powrotem na półkę. - Słyszałeś o Macintyrze? Wąż załatwił mu dodatkowe przesłuchanie; twierdzi, że zdobył „nowe dowody”. Jutro mamy się stawić w sądzie.

- Jutro?

- Tak. -Zrzuciła na podłogę no we pudło akt. -Wpale się nie mieści, co? Jakie rzeczy mogą człowiekowi ująć na sucho, jeśli jest sławny. - Otworzyła karton. - Powiem ci coś: jeśli ten ośliszły adwokacina wybroni Macintyre'a, nie będzie miał życia. Już ja się o to postaram. Obu ich załatwię.

Logan jej wierzył.

- Pójdziemy wieczorem coś zjeść? Jest ten nowy tapas bar przy Union Street. Moglibyśmy coś wypić, a potem wrócić do domu i pobaraszkować.

- Coś wypić? Co to znaczy? Ja nie piję ot tak po prostu; mogę się najwyżej ubzdryngolić, spać do upadłego, schlać jak świnia. - Uśmiechnęła się. - Za to reszta bardzo mi się podoba.

Ale jakoś się nie złożyło.

Wpół do ósmej. Lało jak z cebra; krople deszczu spadały z chmur jak lodowate sztylety, roztrzaskując się na nierównej nawierzchni parkingu i rozpraszając światło reflektorów. Logan *zatrzymał* wóz i zgasił silnik. Słońce dawno zaszło i nastąpiła zimna, wietrzna noc. Ciemna masa Brim-mond Hill wznosiła się pod samo niebo i tylko migające czerwone światła zainstalowanego na górze nadajnika pozwalały się domyślać, gdzie jest szczyt - ale nawet one co chwila ginęły w ulewie. Radiowóz A20 stał w głębi parkingu, biało-niebieski kogut kręcił się leniwie, światła rozmywały się w deszczu.

Inspektor Steel siedziała obok Logana, nasłuchując stukotu kropli o dach.

- Francowate osły... Przemokniemy do suchej nitki.

Wyjęła z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów, odruchowo poczęstowała Logana, zanim przypomniała sobie, że sierżant już nie pali. Sama zapaliła. Ręką, w której trzymała zapalniczkę, wskazała wypalony wrak auta.

- Są pewni, że to jego samochód?

Logan pokiwał głową, zakaszał i uchylił okno, żeby wypuścić dym. Równomierny szum deszczu, stukot kropli o liście kolcolistu i krzewy wrzosu, i plusk wody w kałużach przybrały na sile.

- Znaleźli go już we wtorek, grupki, ale nie wpadli na to, że to wóz, którego szukamy, bo nie był niebieski. — Rzeczywiście, po spaleniu volvo zrobiło się szarobure w czarne cętki. - Dopiero dziś po południu sprawdzili numer nadwozia w komputerze, żeby wystawić właścicielowi mandat za porzucenie wraku. No i ktoś w końcu rozpoznał nazwisko Fettesa.

Steel zakłęta jak szewc.

- Czyli już dwa dni temu mogliśmy znać jego tożsamość!

Logan tylko wzruszył ramionami.

Budny, obdrapany ford transit wjechał dziurawą drogą na parking. Ktoś wygramolił się z radiowozu, postawił kołnierz i podbiegł do vauxhal-la. Deszcz dudnił głośno o wysoką policyjną czapkę. Posterunkowy schylił się i zajrzał przez otwarte okno.

- Mamy zabezpieczyć teren, zanim ci z BIO wezmą się do roboty? Steel zmrużyła oczy, przyglądając mu się przez kłęby dymu.

- Teraz to chyba bez sensu, co? Deszcz i tak wszystko zmył, psia mać! Dlaczego nie dacie znać od razu, jak tylko znaleźliście to gówno?! Policjant wzruszył ramionami.

- Nie do mnie te pretensje, ja wtedy byłem na zwolnieniu - odparł.
- Dobrze, zabezpieczajcie sobie, co chcecie. — Steel spochmurniała. Posterunkowy szybko się ulotnił. - Dużo nam to da. Wrak i tak wygląda jak węglowy brykiet. Wyobrażasz sobie, żeby po pożarze i takim deszczu zostało tam jeszcze coś do zbadania?
- Raczej nie. Ale przynajmniej wiemy już, że zabójca jest nasz, tutejszy. Steel zakrztusiła się dymem.
- Słucham, panno Marple. Zaskocz mnie.
- *Znaleźli* volvo we wtorek wieczorem, tak? To znaczy, że ten, kto je porzucił i spalił, zrobił to w nocy z poniedziałku na wtorek i wrócił stąd piechotą do domu.
Chcąc nie chcąc, Steel musiała mu przyznać rację. Brimmond Hill nie było może kompletnym pustkowiem, ale niewiele mu do tego brakowało: ktokolwiek przywiózł tu samochód, żeby go spalić, musiał się liczyć z długą i nużącą drogą powrotną.
- Do Kingswells?
Kingswells leżało po drugiej stronie wzgórza.
- Może... Ale musiałby znać okolicę jak własną kieszeń, żeby po ciemku nie skręcić karku.
- Niby tak...
Trzej technicy z B10 wysiedli z transita i klnąc pod nosem, zaczęli się mocować z niebieską płachtą ochronną: usiłowali rozpiąć ją nad volvo.

- Nie ciesz się tak, do cholery; twój geniusz nie przybliżył nas na razie do złapania skurczybyka. - Steel uchyliła okno i pstryknęła niedopałkiem w deszcz. - *Zaczynam* się zastanawiać, czy nie tracimy niepotrzebnie czasu. Nikt nie zatłukł Fettesa na śmierć, prawda? Lubił ostry seks, coś poszło nie tak, umarł. — Przymknęła oczy, ścisnęła palcami nasadę nosa i westchnęła. - Gość nie zabił go przecież umyślnie, prawda? Wyobrażasz sobie, jak to jest żyć z czymś takim na sumieniu?

W milczeniu patrzyli, jak technicy z B10 mokną na deszczu, starając się chronić ślady, których zapewne już nie było.

- Cholerna, bezsensowna strata czasu - stwierdziła Steel. - Spadamy. Jak coś znajdą, zadzwonią. Nie zadzwonili.

11

Za kwadrans dziewiąta rano- stanowczo zbyt wcześnie, żeby zajechać pod licencjonowany sex shop przy Crown Street i czekać, aż go otworzą. Ale Logan nie miał wyboru: inspektor Steel uparła się, żeby przyjechać właśnie o tej porze. Siedziała obok niego, w fotelu pasażera, pogryzając chipsy bekonowe i popijając je im-bru z puszki. Mżawka osiadała na szybie auta; mokre granitowe mury ciemniały, upodabniając się do ciemnoszarego nieba. Logan ziewnął, zasłaniając usta wierzchem dłoni, i zaczął się mościć na fotelu; miał nadzieję, że będzie się mógł chwilę zdrzemnąć. Steel szturchnęła go w ramię.

- Nie spać.

Wyciągnęła przed siebie rękę: niski, łysy mężczyzna w okularach, szczelnie opatulony dla ochrony przed zimnem, szedł ulicą, niosąc pokaźny pęk kluczy.

Sklep wyglądał bardzo dyskretnie: matowe okno wystawowe z różowym napisem SECRET TIMES. Mężczyzna wybrał jeden klucz, przykucnął i zdjął kłódkę z kraty na drzwiach. Poczekali,

aż je otworzy, i dopiero wtedy wysiedli z auta.

W środku przywitały ich regały z kasetami wideo, płytami DVD i przeróżnymi wynalazkami z lateksu. Łysy właśnie się rozbierał.

- Otwieramy o dziesiątej - poinformował obojętnym tonem.
- To tak się wita wiernych klientów, Frank?

62

- Słucham? — Sprzedawca zdjął zaparowane okulary, przetarł je rękawem swetra i założył z powrotem. — Inspektor Steel! Miło panią znowu widzieć. - Tym razem się uśmiechnął, odsłaniając równe białe zęby, lśniąca, jakby dopiero wyjął je z opakowania. Zerknął na Logana i zwrócił się do Steel scenicznym szeptem: - Ale to jeszcze nie przyszło. Powiedzieli, że nie mają w magazynie i muszą zamówić.

Steel pokręciła głową.

- Ja nie w tej sprawie, Frank. Chciałam tylko zapytać: znasz może tego gościa?

Logan pokazał portret pamięciowy: bejsbolówka, okrągła twarz, okulary, wąsy, bródka. Frank wziął wydruk do ręki.

- Co przeszkrobał?

- Nie twój interes. Znasz go? To ktoś ze środowiska BDSM. Frank zmrużył oczy i po chwili oddał portret Loganowi.

- Nie. Ale bywaj ą u nas tacy. Mam popytać?

- Nie zaszkodzi. - Steel odwróciła się i podeszła do drzwi. Przystanęła w progu. - A swojemu dostawcy powiedz, żeby się pospieszył. Jestem w najlepszym wieku do erotycznych podbojów i szkoda mi tracić czas.

Objechali pozostałe sex shopy i w ostatniej chwili zdążyli wrócić do komendy na umówione spotkanie z komisarzem szefującym Wydziałowi Kryminalnemu.

- Gdyby ktoś pytał, musieliśmy przesłuchać podejrzanego - uprzedziła Steel, wyskakując z samochodu.

Wbiegła do wnętrza budynku, jęcząc, że nie ma nawet czasu na papierosa. Logan odprowadził samochód na parking.

W pokoju operacyjnym życie toczyło się jak zwykle. Od czasu do czasu telefonowali jacyś natchnieni idioci, twierdząc, że widzieli niebieskie volvo kombi; że rozpoznali mężczyznę z portretu pamięciowego; że znali denata, który według nich wcale nie nazywał się Jason Fettes. Zadzwoiła nawet para, która utrzymywała, że rano widziała nieboszczyka na zakupach w Boots - mimo że leżał w tym czasie w chłodzonej szufladzie w kostnicy.

Logan dosiadł się do kobiety z administracji, chudej jak szkielet czterdziestolatki, i pomógł jej przejrzeć zalecenia generowane przez ogromny system śledczy Home Office i poprzydzielać niektóre z proponowanych przez HOLMES-a zadań funkcjonariuszom bez zajęcia. Przerzucił raporty ze śledztwa, a potem, nie mając chwilowo nic lepszego do roboty, zbiegł do piwnicy, żeby zobaczyć, co słycać u Jackie.

Tyle że jej tam *nie* było.

W dyżurce Duży Gary spojrział na niego z taką miną, jakby Logan w dzieciństwie spadł z dużej wysokości i uderzył się w główkę.

- Poszła do sądu, głąbie. Dzisiaj jest to dodatkowe przesłuchanie w sprawie Macintyre'a.
- Cholerny świat... Kompletnie o tym zapomniał.
- Jak się pospieszysz, zdążysz jej jeszcze pokibicować - pocieszył go Gary.

Zamoczył kitkاتا w herbacie i zlizał stopioną czekoladę. - Eric mówi, że zaraz będzie jej kolej.

W sądzie panował większy ruch niż zwykle: w galerii dla publiczności stłoczyła się masa ludzi, którzy chcieli zobaczyć, jak dzięki Sandy'emu Moir-Farquharsonowi gwałt ujdzie Macintyre'owi płazem. Wnętrze zawsze kojarzyło się Loganowi z dawnym kinem: ściany barwy magnolii, balkon, rzędy siedzeń i tylko zamiast ekranu wysokie drewniane podium z portykiem i kolumnami, zwieńczone patronującym obradom sądu królewskim herbem... obwieszonym gumkami do spinania dokumentów, którymi woźni i sprzątaczkі strzelali dla zabawy, kiedy sąd świecił pustkami i nikt nie patrzył. Na owalnym podwyższeniu zajmowali miejsca protokolant i jego asystent — zwrócenі twarzą do niemytej gawiedzi — oraz obrońca i prokurator, naprzeciw sędziego w todze i jedwabiach.

W innych okolicznościach przesłuchanie odbyłoby się w małej salce na tyłach gmachu, za zamkniętymi drzwiami, ale obrona zażądała spotkania w sali sądu, na co ku powszechnemu zdumieniu sędziego Ritchie wyraził zgodę. W komendzie mówiło się, że sędziego, wierny kibic FC Aber-deen, potrzebuje dodatkowego karnetu na mecze.

Waż szalał w najlepsze, kiedy Logan wśliznął się do sali i znalazł miejsce blisko wyjścia, za plecami Renniego. Posterunkowy miał na sobie dyżurny „sądowy” garnitur, w którym zawsze bardziej przypominał oskarżonego niż świadka.

Logan pochylał się i spytał szeptem:

- Jak to wygląda?

Posterunkowy odwrócił się ze zbolaną miną.

- Kiepsko. Myślałem, że Insch urwie Wężowi łeb, kiedy ten zaczął pieprzyć o tym, jak to uprzedzona policja dręczy jego klienta.

- A ona? - Logan wskazał boks dla świadków, skąd Jackie z zaciętą miną obserwowała popisy adwokata. - Jak sobie radzi?

- No wiesz... Na razie jeszcze nikogo nie pobiła.

- Aha.

- Wysoki Sąd widzi zatem, że ilekroć policja z Grampian wszczynala śledztwo przeciwko mojemu klientowi, kończyło się ono wycofaniem zarzutów i umorzeniem, ponieważ złośliwe oskarżenia kobiet okazywały się całkowicie bezpodstawne. Mój klient drażni inspektora Inscha i jemu podobnych, tymczasem jest niewinnym człowiekiem, którego nie można wrobić w...

Prokurator zerwała się na równe nogi.

- Wysoki Sądzie! Zgłaszam sprzeciw!

Waż nie czekał nawet na decyzję sędziego: uśmiechnął się fałszywie i przeprosił.

- Zmierzałem do tego, że mówi się wprawdzie, że każdy sam dźwiga swój krzyż, ale policjanci w Grampian wolą raczej ostrzyć noże...

Logan powiódł wzrokiem po tłumie. Łatwo rozpoznał ogromną sylwetkę Inscha: inspektor był wściekły i tak czerwony na twarzy, jakby głowa miała mu za chwilę eksplodować. Po przesłuchaniu będzie nie do zniesienia. Rachael Tulloch, która zastępowała wylegającą się na seszel-skiej plaży prokurator generalną, wyglądała niewiele lepiej. Siedziała przy biurku obok stanowiska oskarżycieli i zawzięcie coś notowała.

Moir-Farquharson kontynuował swój monodram. Podniósł w górę foliową torebkę, tak aby wszyscy mogli zobaczyć, co znajduje się w środku.

- Pani posterunkowa Watson, może nam pani powiedzieć, co to jest? Jackie kiwnęła głową.

- Nóż, którym zaatakował mnie Macintyre. Adwokat się uśmiechnął.

- O tym zadecydują przysięgli. Twierdzi pani, że mój klient rzucił się na panią z tym nożem, ale policyjne laboratorium nie znalazło na rękojeści jego odcisków palców. Prawda?

- Miał rękawiczki.

- Zatem nie macie żadnych dowodów, że ten nóż jest własnością mojego klienta ani że mój klient w ogóle go kiedykolwiek używał, czy tak?

- Zaatakował mnie...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani posterunkowa.

- Nie... Nie mamy materialnych dowodów, ale...

- Nie macie dowodów. - Sandy uśmiechnął się do sędziego. - Nie mają dowodów, Wysoki Sądzie. Mój klient wyszedł na przebieżkę, aby przygotować się do jutrzejszego meczu z Falkirk, i zaczął tę kobietę, aby zapytać ją o drogę. To ona go zaatakowała.

- Co to zapie...

- Posterunkowa! - Sędzia pogroził Jackie młotkiem. - To moje ostatnie ostrzeżenie. Jackie zamilkła, chociaż wszystko się w niej gotowało.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Zaatakowała pani pana Macintyre'a, pani posterunkowa. Myślę się? Niewiele brakowało, żeby go pani trwale okaleczyła. Złamała mu pani dwa zęby, powaliła go na ziemię, skuła i dalej biła!

- Gów... Ja go tylko obezwładniłam.

- Kopnęła go pani w zębra! Mamy zdjęcia!

Na dowód prawdziwości swoich słów Wąż pokazał błyszczącą odbitkę w dużym formacie.

- Sam się przewrócił. Może pan spytać posterunkowego Renniego.

- Dostała już pani jedno upomnienie za nieuzasadnione użycie siły, prawda, pani posterunkowa?

I tak to szło przez następnych pięć minut: Moir-Farquharson podważał wiarygodność Jackie jako świadka, czyniąc z niej pospolitego zbrojnego z policyjną odznaką. Jackie wyglądała tak, jakby miała ochotę go udusić.

- Wysoki Sądzie... - Wąż wykręcił powolny piruet, wskazując na piłkarza, który siedział wyprostowany, trzymając mamę za rączkę, jak grzeczny chłopiec. - Robert Macintyre to powszechnie szanowany członek naszej społeczności; dla wielu dorosłych bohater, dla dzieci źródło inspiracji, człowiek niestrudzony w wysiłkach na rzecz wspierania miejscowych organizacji dobroczynnych. Wszyscy słyszeliśmy, co powiedziała posterunkowa Watson: nie ma żadnych dowodów, które świadczyłyby przeciwko mojemu klientowi. Wykazałem, że zeznania tak zwanych ofiar, twierdzących, że rozpoznały w panu Macintyre napastnika, pozostawiają wiele wątpliwości. Nie zapominajmy, że policja jeszcze niedawno stanowczo upierała się, że Laurę Shand również napadł Robert Macintyre, a tymczasem okazało się, że ktoś inny przyznał się do tego przestępstwa. No i pamiętajmy o najważniejszym: mój klient ma alibi na każdą noc, kiedy dokonywano gwałtów, o które się go oskarża. W obliczu tych faktów, Wysoki Sądzie, zmuszony jestem zapytać, dlaczego to złośliwe i niepoważne śledztwo w ogóle jest jeszcze kontynuowane? Wypadałoby chyba, aby biuro prokuratora generalnego odstąpiło od jego prowadzenia, zamiast dalej wyrzucać w błoto pieniądze podatników.

Sędzia wydał wargi, chwilę się zastanawiał, po czym zapytał panią wiceprokurator, czy chciałaby coś dodać. Rachael Tulloch bez entuzjazmu odparła, że musi się najpierw skonsultować z przełożoną. Długie, kręcone, rudawe włosy ściągnęła w koński ogon, który trochę zaczynał się rozlatywać - podobnie jak nadzorowana przez nią sprawa.

Sędzia westchnął teatralnie i zarządził półgodzinną przerwę.

Jackie wyszła z boksu, nie odrywając wzroku od Węża, który po prostu odwrócił się do niej plecami i podał rękę swojemu roześmianemu klientowi.

- Nie mogę w to uwierzyć... — mruknęła, kiedy stanęła przy biurku wiceprokurator. - Kto temu łajdakowi dał alibi?

- Jego przekłeta narzeczona -jęknęła Rachael Tulloch. - Dziewczyna zaklina się na wszystkie świętości, że każdą z tych nocy spędzili razem. Dlaczego takie rzeczy muszą mi się przytrafiać właśnie wtedy, kiedy prokurator jest na urlopie?

Jackie spojrzała na Macintyre'a, eleganta z odstającymi uszami.

- Wypuszczą go.

To nie było pytanie, tylko proste stwierdzenie faktu.

Wiceprokurator zmarszczyła brwi i sięgnęła po telefon.

- Nie, jeśli tylko będę miała coś do powiedzenia.

Logan siedział smętnie przy biurku, naprzeciw inspektor Steel, która z zapalem stukiała w klawiaturę komputera.

- Rozchmurz się, jak Boga Kocham... Przecież to jeszcze nie koniec świata.

Wzruszył ramionami i dalej gapił się na szary, granitowy kłoc Kolegium Marischała. Mżawka przeszła w regularną ulewę, deszcz rozbryzgiwał się na zębatych wieżyczkach, tłukł o asfalt jezdni i betonowe krawężniki, na równi przemacał ludzi uczciwych i łotrów.

- Wiesz co? - Steel oderwała się na chwilę od pisania. - Pamiętam, jak Macintyre był jeszcze mały: wiecznie się gnojek w coś pakował, ale zawsze mógł liczyć na mamusię, że będzie za niego kłamać. - Dalej mówiła z wyraźnym aberdeeeńskim akcentem: - „Niemożliwe, żeby spalił szopę pani męża, paniusiu. Całą noc był w domu!”

— Podpalenie i gwałt to dwie różne rzeczy. Poza tym teraz kłamię jego narzeczona, nie matka.

- Ale sam rozumiesz, że od czegoś musiał zacząć. - Inspektor dokończyła pismo i zamaszystym gestem podniosła ręce znad klawiatury. — Wiem, obcięli nam budżet i zabrali ludzi, nadal jednak uważam, że damy radę. Musimy tylko skupić się na środowisku BDSM i handlarzach poraosami. - Z uśmiechem zarzuciła nogi na biurko, roztrącając stosik raportów. — Uwierz mi, Łazarz: coś mi mówi, że szybko kogoś złapiemy. Czuję to przez skórę.

Pżemoc

Trzy tygodnie później

12

Logan zatrzymał się i rozejrzał po pustej ulicy: zaparkowane samochody, kontener pełen gruzu, deszcz. Nigdzie nie było nawet śladu Seana Morrisona ani jego małych, wrednych koleżków. Niedobrze. Obrócił się w miejscu. Gdzie się podział ten mały skurczybyk?

Przez całą North Silver Street deptał Seanowi po piętach; niewiele brakowało, żeby zgubił go na Golden Square, kiedy jakiś dureń w mikrobusie wrzucił wsteczny i zaczął cofać, nie patrząc w lusterko. A teraz stał w zakrwawionym ubraniu w połowie długości Crimon Place, a małego Morrisona nie było nigdzie widać.

Prawą stronę ulicy zajmowały domy mieszkalne: niskie bloki na jednym końcu, nieduże szeregowce na drugim. Ich granitowe ściany kontrastowały z betonowo-szklanymi murami biurowców naprzeciwko. Logan był pewien, że Sean nie wbiegł do żadnego z budynków mieszkalnych, a wydawało się wątpliwe, żeby wpuszczono go do biur. Nie kiedy tak wyglądał.

Olbrzymi parking ciągnął się przez cały kwartał, aż do Huntly Street, podobnie jak chodnik wzdłuż biurowca GlobalSantaFe - ale Logan widział, jak Sean minął je biegiem i wypadł na Crimon Place; drobne ręce i nogi ośmiolatka pracowały jak tłoki.

Został jeszcze parking King's Gate w głębi ulicy, na pewno jednak Sean nie zdążył do niego dobiec. Musiał się gdzieś schować.

Logan zacisnął zęby - szew na brzuchu bolał okropnie - i ruszył dalej truchtem, sięgając po telefon, żeby wezwać posiłki. Wybrał numer. Telefon po drugiej stronie dzwonił i dzwonił, i dzwonił...

Zzianą, spocona policjantka pojawiła się na drugim końcu ulicy. Była zaczerwieniona z wysiłku, wysoki kask i nieprzemakalna kurtka błyszczały na deszczu.

- Widziałaś go?! - zawołał Logan. W centrali nadal nikt nie odbierał.

Pokręciła głową.

- Nie... Zniknął... Gnojek biega... jak...

Trzask przy uchu: ktoś zaczął Loganowi tłumaczyć, że centralka się zepsuła, więc... Logan przerwał mu i kazał natychmiast przysłać radiowóz na Crimon Place, bo gdzieś w okolicy ukrywa się Sean Morrison. Rozłączył się i ruszył dalej.

- Sprawdzaj samochody! - zawołał do posterunkowej.

Idąc, zaglądał pod i pomiędzy auta. Brodził w kałużach; zimny deszcz padał na jezdnię, chodniki, bmw, porsche, wyklepane fiesty, rovery; przeinaczał mu na wylot marynarkę i zlepił włosy w strąki.

- Tutaj! - Policjantka pierwsza znalazła chłopca. - Za kontenerem!

Sean Morrison - osiem lat, metr trzydzieści wzrostu, rozbity nos, dzinsy i czerwona bluza FC Aberdeen z kapturem - wyciągnął z pojemnika kawał drewnianej poręczy, niewiele mniejszy od kija bejsbolowego, zamachnął się i trafił posterunkową prosto w twarz. Stęknęła, zgięła się w pół i poleciała do tyłu; szkarłatna mgielka przesłoniła jej oczy, zawisła na moment w powietrzu, wyraźnie widoczna na tle niskich szarosinych chmur. Logan zamarł w bezruchu; Sean również. Obaj patrzyli, jak policjantka osuwa się na mokry asfalt. Dopiero po chwili ośmiolatek spojrzał na sierżanta, odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Logan *przez* dłuższą chwilę się wahał - nie wiedział, czy najpierw sprawdzić, co z posterunkową, czy łąpać gnojka, który ją uderzył. Popędził za chłopcem.

Sean Morrison biegał całkiem szybko jak na swój wiek, ale nogi miał jednak znacznie krótsze niż Logan, a w dodatku cały czas trzymał w rękach swoją prowizoryczną broń. Skręcił gwałtownie w prawo, ślizgając się na mokrym asfalcie; spod modnych adidasów bryznęły strugi wody. Wskoczył na chodnik i minął siedzibę Boys' Brigade*; Logan deptał mu po piętach.

Nagle Sean zatrzymał się i wziął zamach odłamkiem poręczy.

Logan zdążył zasłonić twarz rękami, zanim spadł cios - dostatecznie silny, żeby zatrzymać go w pół kroku. Pośliznął się, nogi wyjechały mu do przodu i runął na ziemię, bez tchu, z brzuchem palącym jak żywy ogień. Sean zaklął, wyzwał go od „skurwielichujówpierdolonych” i znów wyrznął drągiem, tym razem w plecy. Następne przekleństwa i drąg pofrunął w powietrze. Trzask. Alarm samochodowy rozdarł powietrze. But trafił

* The Boys' Brigade - brytyjska organizacja chrześcijańska dla chłopców (przyp. tłum.).

Logana w głowę. Logan skulił się, osłaniając brzuch. Sean z całej siły uderzył go żebra, aż zatrzeszczały. Mały bandyta wziął krótki rozbieg — i znów kopnął, w plecy. Szykował się do następnego ciosu, kiedy ponad pisk alarmu wzniósł się zboląły, gniewny głos:

- Chodź no tu, gówniarzu!

Logan otworzył oczy. Sean Morrison okręcił się na pięcie, zamierzając rzucić się do ucieczki.

- O, nie!

Wyciągnął rękę i złapał go za kostkę. Sean się przewrócił. Zaklął. Logan dźwignął się z ziemi i zatoczył na alfę romeo z rozbitą przednią szybą. Złapał się za głowę. Policjantka podbiegła do niego. Obraz rozmywał mu się przed oczami w rytmie dudnienia w uszach.

Posterunkową miała zakrwawioną twarz, zapuchnięte oko i złamany nos, z którego spływały krwawe bańki. Złapała Seana Morrisona za kołnierz i podniosła.

- Już po tobie, smarkaczu!

Obejrzała się na Logana, spytała, czy dobrze się czuje - i nagle pobladła jak płótno. Trach. Puściła Seana; najpierw poleciał na ziemię, a potem błyskawicznie się poderwał. Posterunkową z rozdziawionymi ustami wpatrywała się w nóż: ostrze weszło pomiędzy ochronną kamizelkę a obojczyk. Zatrzepotała rękami. Krew chlusnęła jej na pierś. Spojrzała błagalnie na Logana i runęła na chodnik jak wór ziemniaków.

Logan złapał ją w powietrzu, by nie roztrzaskała sobie głowy o beton. Położył ją ostrożnie, chwycił przypiętą do jej ramienia krótkofalówkę i krzyknął:

- Mamy rannego! Róg Crimon Place i Skene Terrace! Powtarzam: mamy rannego!

Trzymał jej głowę na kolanach. Kobieta dygotała i pojękiwała z bólu. Świeża krew wsiąkała mu w spodnie. Sean Morrison uciekł.

Cztery godziny później w izbie przyjęć rozmawiał z pielęgniarką z kosmatym znamieniem na twarzy. Posterunkową cudem przeżyła: nóż o milimetr ominął tętnicę, inaczej wykrwawiłaby się na śmierć. Była w ciężkim stanie, ale jej życiu nie groziło niebezpieczeństwo.

Deszcz trochę zelżał. Zrobiło się chłodniej - nie na tyle, żeby zaczął sypać śnieg, ale niewiele brakowało. Logan włączył komórkę. Sześć wiadomości. Pierwsza była od Jackie, usiłującej ukryć zdenerwowanie, kiedy wypytywała go o pościg za Seanem Morrisonem. Drugi nagrał się Rennie: emeryta, którego poszukiwali, widziano w Turriff. Potem dzwonił Duży

Gary z prośbą, żeby Logan na bieżąco informował go o stanie zdrowia rannej. Sean Morrison przepadł jak kamień w wodę. Wiadomości od Steel Logan miał ochotę skasować od razu, ale po namyśle jednak je odtworzył. Najpierw typowe dla niej marudzenie:

- „Zastępca komendanta znów się nas czepia. Dlaczego nie aresztowaliśmy podejrzanych w sprawie śmierci Jasona Fettesa? Jego starzy znów zaplują się w gazetach, że nic nie robimy. Ale przecież próbowaliśmy, prawda? Nie nasza wina, że ich synalek uwielbiał sado-maso... - Stłumione przekleństwo. -1 dlaczego nie przymknęliśmy jeszcze nikogo za te włamania? - Dalsze biadolenie. - Wiesz co? Jak jeszcze raz tu przylezie, dupek jeden, wsadzę mu do gardła grzybek od Fettesa! Zobaczmy, jak mu się spodoba...”

Wiadomość jeszcze się nie skończyła, ale Logan miał dość. Wykaso-wałjaj odsłuchał

drugą, bardziej aktualną:

- Co ty, w kulki sobie lecisz?! Gówniarz ma osiem lat! Jakim cudem wam uciekł? Jak to...
Zaczekaj, ktoś dzwoni... Cisza. Piiip. Nowa wiadomość:

- „O czym to ja... A tak: ma osiem lat! No żesz w mordę jeża... - Ka-słanie. - Dzwonili ze szpitala, w sprawie tej naszej kobitki, którą gnojek dźgnął: przebite płuco. Żle to wygląda. Za piętnaście szósta będzie konferencja prasowa, więc rusz dupę i wracaj”.

Westchnął ciężko. W głowie mu huczało, żebra bolały go wściekle, skórę miał poobcieraną i posiniaczoną w miejscach, gdzie trafił go but Morrisona, a marynarka zeszywniała mu od zakrzepłej krwi. Marzył tylko o tym, żeby pojechać do domu, tyknąć ze dwie pigułki, które lekarz wydał mu po upokarzającym badaniu - „Ośmioletnie dziecko tak pana urządziło? Poważnie?! Maggie! Chodź, musisz to zobaczyć!”- wziąć gorący prysznic, a potem zwinąć się w kłębek na łóżku i użalając się nad sobą, poczekać, aż Jackie przyjdzie do domu. A wtedy ona też by się nad nim użaliła. A zamiast tego miał jechać na konferencję, rozpoczynającą się za... Spojrzał na zegarek: trochę ponad pół godziny. Zaklął pod nosem, wrócił do szpitala i zaczął szukać któregoś z dyżurujących tam policjantów, żeby podrzucił go do komendy.

W komendzie zaczęli się już niepokoić, kiedy Logan wkuśtykał do sali prasowej: rzędy kamer i zachłanne twarze z krajowych gazet, wyczekujące głównego dania.

- Gdzieś ty był, do cholery?

Steel czekała z niezapalonym papierosem w kąciku ust, pstrykając tanią, jednorazową zapalniczką. Posterunkowy Rennie kręcił się przy niej ' jak podenerwowany pies.

- W szpitalu. - Logan pokazał na papierosa. - Wpadną w szal, jeśli tu pani zapali.

- Jerry Cochrane, kretyń jeden, wziął i umarł, i teraz każdy głupi będzie się dopytywał, co zrobimy w tej sprawie. - Wyjęła papierosa z ust i schowała go z powrotem do paczki. - Że też to ja musiałam dostać tę gównianą sprawę, a nie na przykład Grubas Insch. Dla niego katastrofa w mediach to przecież chleb powszedni. A ja nie potrzebuję takich bezna-dziejnych. .. - Dopiero teraz zauważyła, że marynarka i koszula Logana są całe we krwi. - Żeby cię szlag trafił! Nie mogłeś się przebrać? Wchodzimy za siedem minut!

- Byłem w szpitalu!

- Kurwa mać. Kurwa, kurwa, kurwa...- Inspektor skrzywiła się i spojrzała na Renniego. - Znajdźcie sobie jakiś cichy kącik i zamieńcie się ubraniami. Jesteście podobnej postury.

Rennie próbował zaprotestować, ale Steel była szybsza:

- Migiem!

Pokój przesłuchań numer 3 był pusty, więc tam właśnie się schowali. Logan, krzywiąc się z bólu, ściągnął marynarkę, koszulę i spodnie; Rennie rozebrał się do bokserów- z Fredem Flintstone'em- spojrzał na posiniaczone żebra i brzuch sierżanta i mruknął:

- Rany... Fatalnie pan wygląda. Logan nie miał nawet siły się skrzywić.

- Wielkie dzięki.

Wrócił do sali trzydzieści sekund przed czasem i kulejąc, podszedł do Steel.

- Zadowolona? - spytał, dając do zrozumienia, że sam nie jest szczęśliwy. Gdyby zbyt gwałtownie usiadł, pewnie pękłyby pożyczone spodnie. Steel otaksowała go wzrokiem.

- Obłeci. Ale mogłeś się trochę uczesać: włosy masz jakby piorun strzelił w miotłę.

Takie słowa w jej ustach były przejawem niewąskiego tupetu. Logan zrobił, co mógł, przeczesując włosy palcami, aż w końcu z aprobatą skinęła głową.

- Tak lepiej. Zdażyliście... - Drzwi otworzyły się z rozmachem i do sali wparował

komendant. -A niech to, Bóg we własnej osobie. - Głęboki wdech. - Dobra, pamiętaj: nie jesteśmy pierdołami...

Stół był dłuższy niż zwykle: miał się przy nim dodatkowo zmieścić ktoś z Wydziału Spraw Rodzinnych i blada jak ściana, sześćdziesięcioośmioletnia kobieta o zaczerwienionych oczach i drżących rękach: wdowa po zamordowanym Cochrane. Logan poczekał, aż starsza pani usiądzie, i dopiero wtedy zajął miejsce obok inspektor Steel. Usiadł ostrożnie, starając się oszczędzić obite żebra i spodnie Renniego.

- No dobrze. - Komendant wstał. Siwe włosy załśniły w świetle reflektorów jak żywcem wyjęte z reklamy szamponu. - *Zanim* zaczniemy, chciałbym, żeby jedna rzecz była jasna. Panią Cochrane, która jest tutaj z nami, spotkała dziś tragedia. Straciła męża, z którym przeżyła blisko pięćdziesiąt lat. Przyszła do nas, ponieważ chce nam pomóc *złapać* morderców. Jeśli ktoś wyrwie się z jakimś niestosownym komentarzem albo zacznie zadawać nietaktowne pytania, wyleci za drzwi i dostanie szlaban na przyszłe konferencje. Zrozumieliście?

Odpowiedziała mu krępująca cisza. Kiwnął głową.

- Cieszę się - powiedział i usiadł. - W dniu dzisiejszym o godzinie dwunastej jedenaście ciężarna kobieta, robiąca zakupy w St Nicholas Cen-tre, została napadnięta przez gang dzieci w wieku od sześciu do dziewięciu lat. Złodzieje próbowali jej ukraść portfel, a kiedy stawiała opór, zaczęli ją bić. Pan Cochrane stanął w jej obronie...

Logan nie musiał dalej słuchać - jako jeden z pierwszych *znalazł* się na miejscu *zdarzenia*, kiedy wyskoczył kupić chipsy i kanapkę. Usłyszał krzyki, wpadł do centrum handlowego, przebiegł między wieszakami - w samą porę, żeby zobaczyć, jak Sean Morrison kradnie leżącemu na ziemi starszemu *mężczyźnie* portfel i ucieka. Logan wezwał posiłki, podbiegł do ofiary i zaczął tamować krwawienie. Kazał ochroniarzowi ze sklepu uciskać ranę po nożu, dopóki nie przyjedzie karetka, i pognął za małymi bandytami. Nie złapał ich.

Teraz patrzył, jak pani Cochrane zwraca się z gorącą prośbą do widzów, aby pomogli namierzyć morderców jej męża. Płynące jej po bladych, po-brużdżonych policzkach łzy lśniły w ostrym świetle telewizyjnych lamp. Komendant podziękował jej, pogratulował odwagi i poprosił dziennikarzy o zadawanie pytań.

Zaczął się zwyczajnie: „Czy macie jakichś podejrzanych?“, „Czy w najbliższym czasie dokonacie aresztowań?“ i tak dalej, dopóki reporterka ze Sky News nie spytała o Iainę Wata: czy zostanie oskarżony także o inne gwałty, do tej pory przypisywane Macintyre'owi?

Komendant spojrział na nią krzywo. Sprawa „gwałtociela z granitowego miasta“, jak gazety zaczęły nazywać Watta, była drażliwa. Konferencja prasowa niespodziewanie dobiegła końca.

© Dłonie tak prażyło, że samochód nagrzewał się jak wnętrze piekarnika, ale kiedy Logan wysiadł, zmroziło go lutowe powietrze. Plecy bolały go jak diabli; siniaki po uderzeniach i kopniakach Seana Morrisona rozlały ' mu się po skórze jak zielony i fioletowy atrament po bibule. King's Gate ciągnęła się w dół z boczka od ronda King's Cross na Anderson Drive do miejsca, w którym kręcili The Beechgrove Garden. Panorama Aberdeen ze szczytu wzgórza zapierała dech w piersi: lśniący w słońcu szary granit, czarne łupkowe dachy, wieże kościołów, szafirowe wody Morza Północnego, jaskrawopomarańczowy statek zaopatrzeniowy płynący na południe, w stronę portu. Szkoda tylko, że było tak przeraźliwie

zimno.

- Jezu Chryste! - Inspektor Steel zatupała, zakłęta, wyjęła papierosa i zapaliła. Lodowaty wiatr natychmiast uniósł dym. - W mojej lodówce jest cieplej niż tutaj!

Logan udał, że nie słyszy. Patrzył na dom Morrisonów - duży, granitowy budynek, przed którym parkowało wielkie bmw z napędem na cztery koła. Nie wyglądał jak dom rodzinny wrednego złodziejzka i mordercy. Po obu stronach ulicy stały samochody; w większości z nich siedzieli znudzeni reporterzy, gotowi do akcji, z kamerami i notebookami pod ręką. Na razie nie zauważyli przybycia policji.

- Zaczynać? - zapytał Logan.

Potań obolały krzyż. Środki przeciwbólowe przepisane wieczorem przez lekarza były pięciokrotnie słabsze od tych, do których był przyzwyczajony. Równie dobrze mógłby zajadać landrynki - przynajmniej smak miały lepszy.

Steel się wzdrygnęła. Dłonie wcisnęła głęboko pod pachy i kopciła jak lokomotywa.

- Jeszcze chwilę... Rano wypaliłam tylko jedną fajkę, więc tą zamierzam się nacieszyć, choćbym miała zamarznąć.

Logan westchnął i demonstracyjnie zerknął na zegarek.

- Dochodzi wpół do dziewiątej. Musimy się sprężyć, jeśli chcemy zdążyć na sekcję.

- Plasterki nikotynowe, też coś! - Inspektor zmrużyła oczy, spoglądając w słońce. - Tak sobie myślę, że tę jedną sekcję chyba można sobie darować. Wiemy, jak staruszek zginął, prawda?

- Niby tak... - Logan patrzył, jak pomarańczowy kadłub statku zaopatrzeniowego znika za St Nicholas House. - Co robimy z Jasonem Fet-tesem?

- Jak to: co robimy? To ślepy zaułek. Nikt nic nie wie i nikogo to nie obchodzi. Może poza rodzicami Jasona i tymi gnojami z „P&J”.

Colin Miller rozpoczął nową „kampanię w imię sprawiedliwości”, żeby mieć pretekst do opluwania policji. Inspektor zmarszczyła brwi; papieros w jej ustach dymił bezproduktywnie.

- Nie mamy dowodów, świadków, śladów... Nic.

- Wiem, ale zastępca komendanta spodziewa się dziś sprawozdania. Pamięta pani?

- To już dzisiaj? - Steel zakłęta. - Cholera, przez tego Jasona, Mor-risona i te kurewskie włamania moje statystyki wyglądają beznadziejnie. - Pstryknęła papierosem na środek ulicy, prosto pod koła autobusu numer 23. - Dobrze, że przynajmniej w tym przypadku sprawa szybko zostanie zamknięta.

Logan nie pierwszy raz słyszał takie zapewnienie.

Ruszyli w stronę domu Morrisonów, przed którym stał policjant w mundurze, zapewne przemarznięty do kości. Byli przy sąsiedniej posesji, kiedy drogę zastąpił im drobny, łysiejący człowieczek z dyktafonem.

- Ken Inglis, Radio Scotland. Pani inspektor, czy znaleźliście już chłopca?

Można by pomyśleć, że ktoś wrzucił zarżniętą zębę do zbiornika z piraniami: dookoła zaroilo się od dziennikarzy, którzy zwęszyli krew.

- Jeszcze nie - odparła Steel pod obstrzałem fleszy. - Badamy różne wątki w śledztwie. A teraz przepraszam państwa...

- ITI News: czy to prawda, że Morrison miał już do czynienia z policją?

- Nie mogę komentować...

- Czy posterunkowa Nairn odzyskała przytomność?

- Joanna Calder, „Guardian”: czy nie niepokoić się państwo o bezpieczeństwo chłopca?

Steel zamachała do policjanta przed domem Morrisonów, a on ciężkim krokiem ruszył do akcji: utorował im drogę wśród pytań i kamer, po czym zatrzymał dziennikarzy przed furtką,

żeby Logan i Steel mogli spokojnie podejść do drzwi frontowych. Na obrzeżach dziennikarskiej sfery czaili się posępni jak gradowe chmury obywatele - na razie bez transparentów. Na razie.

Logan nacisnął guzik dzwonka.

Wnętrze wyglądało jak wyjęte z reklamy środków do pielęgnacji mebli z połyskiem: wszystko lśniło. Logan stanął przy kominku, grzejąc sobie tył nóg. Steel usadowiła się na sofie, przy dietetycznych ciasteczkach i herbacie. Na drugiej sofie przysiadła pani Morrison, pulchna, wystraszona i wyglądająca znacznie starzej niż na swoje trzydzieści dwa lata. Jej mąż spacerował po pokoju, wyłamując palce. Co chwila zmieniał mu się humor: był na przemian zmartwiony, wściekły i zakłopotany.

- Sean nigdy wcześniej nie zrobił czegoś podobnego!

- No mam nadzieję! - prychnęła Steel. - Złe by było, gdyby dźganie nożem policjantów i starszych panów weszło mu w krew! Logan wybrał mniej konfrontacyjne podejście:

- Od wczoraj nie było go w domu, tak?

Matka chłopca pokręciła głową; kasztanowe loki zafalowały wokół jej owalnej twarzy, zaróżowione oczy zaszklily się łzami.

- Wyszedł rano do szkoły i od tamtej pory go nie widzieliśmy. Nie wrócił na noc! A jeśli coś mu się stało? Jeśli stała mu się krzywda?! Steel odstawiła kubek.

- Na mój gust powinniśmy się raczej martwić, czy to on nikogo więcej nie skrzywdził.

- To dobre dziecko!

- Które właśnie zabiło człowieka. Pan Morrison zmarszczył brwi.

- Sean ma dopiero osiem lat.

- Jerry Cochrane miał siedemdziesiąt dwa, ale mu to nie pomogło. I tak możemy mówić o szczęściu, że Sean nie zabił także policjantki. Państwa kochany syneczek to...

Logan wpadł Steel w słowo:

- Panie Morrison, czy przeszukał pan garaż i inne budynki? Może Sean jednak wrócił tu na noc?

- Już to widzę, przy tych wszystkich przeklętych dziennikarzach, co koczują nam na trawniku. Przecież to jakaś...

- Panie Morrison...

- Tak, sprawdziłem. Oczywiście, że sprawdziłem! Wasi ludzie też je przeszukali, dwa razy: wczoraj wieczorem i dzisiaj rano.

- Nie wie pan, gdzie mógłby pójść? Do kolegi, do krewnych... Nic panu nie przychodzi do głowy?

- A wy czemu go nie szukacie?! W nocy był mróz, dzieciak ma osiem lat i może...

Zadzwoił telefon. Oczy pani Morrison zrobiły się wielkie jak spodki, wargi jej zadrżały. Odsunęła się od aparatu. Jej mąż nawet nie drgnął; tylko się w niego wpatrywał.

Steel odczekała do piątego dzwonka, zanim zapytała:

- Ktoś z państwa odbierze?

- No... Tak... — Pan Morrison oblizał wargi, wyłamał palce i podniósł słuchawkę, zaraz jednak ją rzucił i odskoczył od niej jak oparzony.

- Niech zgadnę: pomyłka?

- Ludzie dzwonią bez przerwy, odkąd w telewizji powiedzieli, co się stało. Że... że starszy człowiek został... zraniony. Mówią okropne...

Kolejny dzwonek telefonu. Tym razem Steel sięgnęła po słuchawkę, przy okazji rozlewając herbatę na niski stolik przy sofie.

- Tak? Kto mówi? — Przez chwilę słuchała w skupieniu, jakby próbowała rozpoznać

mówiącego po głosie. - Posłuchaj no, pipo głupia. Tu policja. Jeśli jeszcze raz tutaj zadzwonisz, dowiem się, gdzie mieszkasz, przyjadę i tak ci skopię dupsko, że przez miesiąc będzie ci się odbijało talkiem do stóp! - Odsunęła słuchawkę od ucha. - No proszę, rozłączyła się. Kto by pomyślał...

Połączyła się z usługą identyfikacji dzwoniącego i powtórzyła na głos odczytany przez automat numer, żeby Logan mógł go zapisać. Uśmiechnęła się do pana Morrisona.

- Poślemy tam radiowóz, napędzimy babie stracha. Jesteście państwo w książce telefonicznej? Morrison pokiwał głową.

- Tak myślałam. - Steel odłożyła słuchawkę i sięgnęła po herbatę. - Proponuję zmienić numer i go sobie zastrzec.

- Nie możemy... Co będzie, jak Sean zadzwoni?

- Sean ma komórkę?

Rodzice wymienili zatroskane spojrzenia.

- Naszym zdaniem dzieciom nie powinno się dawać komórek - powiedział pan Morrison. - Podobno zwiększają ryzyko raka mózgu? - Usiadł ciężko w fotelu. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. - On może być gdziekolwiek...

Na wszelki wypadek Steel kazała Loganowi sprawdzić szopę i garaż; sama została w ciepłym domu i poprosiła o następną herbatę.

Ekipa, która wcześniej była u Morrisonów, przyłożyła się do pracy; w garażu panował niewiarygodny bałagan, wszystkie drobiazgi zostały zrzucone w jeden kąt: puszki z farbą, pudła ze szpargałami, trzy pary nart, deska windsurfingowa, jakieś śmieci... Logan zajrzał do wszystkich szafek,

pod blat roboczego stołu, do zamrażarki, ale Seana nigdzie nie było. Nie było go również w szopie z narzędziami ani w ogrodzie.

Wrócił do domu i przeszukał go pokój po pokoju; *zajrzał* nawet do pralki i suszarki - uparty ośmiolatek potrafi się wcisnąć prawie wszędzie. Po godzinnych poszukiwaniach zszedł ze strychu w garniturze oblepionym włókienkami wełny mineralnej, którą zaizolowano dach, wykastlując kurz z płuc. Inspektor Steel już na niego czekała.

- I co?

- Nic.

Zgarnął z twarzy pajęczynę.

- Trudno. Ale zawsze warto spróbować.

Wyszli, przepchnęli się przez tłum dziennikarzy i wrócili do samochodu, udając, że nie słyszą pytań. Usiedli bezpiecznie w zdezelowanym vauxhallu, którego Logan zabrał z parkingu przy komendzie. Steel, mrużąc oczy, wpatrywała się w dom Morrisonów.

- Jak myślisz, przyjdzie do domu? Logan pokiwał głową i uruchomił silnik.

- Powinna pani zobaczyć jego pokój: ma więcej gadżetów niż ja. Rodzice rozpieszczają go bez pamięci. Jedna noc na zimnie i zaraz zatęskni za domem.

- Zwariowałaś? Dopiero co zadźgał staruszka i pchnął nożem policjantkę. To nie Krzys z *Kubusia Puchatka*. Podejrzewam, że mały skurwiel gdzieś się przyczai...

- Ale w końcu będzie musiał wyjść. - Logan ruszył i skręcił w stronę centrum. - Ma tylko pięć dych, bo tyle miał w portfelu Cochrane. W dodatku nie bardzo może je wydać: w Aberdeen chyba każdy by go dziś rozpoznał.

Policja próbowała wmówić dziennikarzom, że chodzi o zwykłe zaginięcie dziecka: rozesłali do mediów zdjęcie z prośbą, żeby zawiadomić ich o miejscu pobytu chłopca. Tyle że kiedy jeden ze świadków zabójstwa w St. Nicholas Centre zobaczył fotografię, zadzwonił do „Daily Record” i powiedział, że to Sean zadźgał Jerry’ego Cochrane’a. Prasa miała używanie: OŚMIOLATEK - MORDERCA! NOWE OBLICZE ZŁA! UCZEŃ PODSTAWÓWKI ZABIŁ EMERYTA! Taki nagłówek dała na pierwszej

stronie co druga gazeta w Szkocji i całkiem sporo poza jej granicami.

- Można by spróbować pochodzić za jego kumplami. Może ktoś donosi mu jedzenie?

Steel przekrzywiła głowę i przygryzła policzek, przetrawiając słowa Logana.

- Nie, to by trwało całe wieki. Nie mamy czasu. Zresztą na jego miejscu wsiadłabym w pierwszy autobus do Londynu, Brighton albo innej dziury zabitej dechami.

- Chłopak ma osiem lat.

- No i? Kiedy ostatnio miałeś do czynienia z dziećmi? Dziś osiem to tyle co kiedyś trzynaście. Zgadzam się, wyglądają niewinnie jak aniołki, ale bzykają się już bez opamiętania. - Inspektor wyjęła paczkę papierosów, potrząsnęła nią i z westchnieniem schowała z powrotem. - Proponuję je wyłapać i zwieźć na komendę. Niech się najedzą stracha. A nuż któreś go sygnie. A ty sprawdź nagrania z kamer ochrony na dworcu autobusowym i na stacji kolejowej. I niech mundurowi pogadają z kierowcami... A właśnie, przy okazji: machnij ten raport w sprawie Fettesa. Nie możesz przecież tak sobie siedzieć i cały dzień nic nie robić.

Zanim Logan uwinął się z wypełnianiem obowiązków inspektor Steel, pierwsza dziewczynka z bandy Morrisona przyjechała z ojcem na posterunek i trafiła do pokoju przesłuchań numer 2. Śmierdziało w nim brudnymi skarpetami, zwietrzałą kawą i przetrwonionym czosnkiem. W tym odorze marynowali się wszyscy obecni. Inspektor Steel siedziała na tanim, plastikowym krześle, wpatrując się w dziewczynkę naprzeciwko: Natalie Lenox, osiem lat, długie ciemne włosy, jasna cera, ogryzione paznokcie, okrągła buzia - i gniewna mina. Ojciec był jej powiększoną, bezwłosą kopia. Patrzył ze złością, jak Logan wjeżdża do pokoju wózkiem z magnetowidem i telewizorem, ustawia je w kącie i podłącza.

- Żądam adwokata.

- Już to przerabialiśmy - westchnęła Steel. -1 to dwa razy. Nie będzie żadnego adwokata.

- To ja nic więcej nie powiem.

- Mnie to nie przeszkadza: pan zamknie kłapaczkę, a ja sobie porozmawiam z Natalie.

- Ona też nic nie powie.

Steel przywołała na twarz swój najbardziej uroczy uśmiech - co niczego nie oznaczało.

- Panie Lenox... Jeśli będzie się pan upierał przy utrudnianiu nam śledztwa, każę pana wyprowadzić i zastąpić innym uprawnionym do tego dorosłym. Co pan na to?

- Nie możecie tego zrobić!

- Zakład? Natalie jest zamieszana w morderstwo siedemdziesięcio-dwuletniego mężczyzny, więc wydaje mi się...

- Ona nic o tym nie wie! - Lenox szturchnął córkę. - Powiedz im! j Powiedz, że nie miałaś z tym nic wspólnego.

- Nie miałam z tym nic wspólnego - odezwała się z aberdeeńskim \ akcentem, równie ponurym jak ciastowata buzia. -Nic.

- Czyżby? - Logan włączył magnetowid. - A co powiesz na to?

Ekran zamigotał i zygzakowata linia przepełzła po nim z dołu do góry, odslaniając fragment wnętrza St Nicholas Centre od strony Union Street. Ludzie chodzili objuczeni zakupami, pchali wózki z dziećmi. W kadrze pojawiła się ciężarna kobieta: szła ciężko, miała dużą torebkę i reklamówkę z The Body Shop. Kiedy minęła kasę loterii, nagle obskoczyły ją dzieci: było ich z pół tuzina, w większości ubranych w bluzy z kapturami, żeby kamera nie zarejestrowała ich twarzy. Steel zatrzymała film.

- Lewy dolny róg, dziewczynka w zielonej bluzie.

Obraz ruszył. Dziewczynka podbiegła do ciężarnej i wpadła na nią z takim impetem, że wytrąciła jej torebkę z ręki. Kobieta się zachwiała. Dziewczynka podtrzymała ją, żeby nie straciła równowagi; uśmiechała się przy tym od ucha do ucha. To była Natalie Lenox; okrągła twarz i długie włosy nie pozostawiały wątpliwości. Zapewne właśnie przepraszała za swoją niezdarność, a jej dwóch kolegów pomagało pozbierać rozrzucone rzeczy, kradnąc przy okazji portfel. Sean Morrison oddał kobiecie torebkę i skromnie się uklonił, ale ona musiała nabrać podejrzeń, bo złapała go za rękaw i zaczęła krzyczeć.

- No więc... - Ojciec Natalie oblizał wargi i zaczął jeszcze raz. - No więc wpadła na kogoś. To nie przestępstwo.

- To nie był pierwszy raz. Mamy kilkanaście zgłoszeń o kradzieży torebek, portfeli i portmonetek. Wszyscy poszkodowani zeznali, że potrąciła ich mała dziewczynka z kolegami. Chce się pan założyć, że rozpoznają Natalie, kiedy pokażemy im zdjęcie?

Sean tymczasem wyrzwał kobietę pięścią w głowę. Przewróciła się, ale go nie puściła, więc zaczął ją kopać. W tym momencie w kadr wbiegł Jery Cochrane. Ludzie widoczni przy brzegu ekranu przystawali i patrzyli, jak odciąga chłopca od leżącej kobiety; trzymał go za kołnierz i coś krzyczał. Sean go uderzył; mężczyzna mu oddał, na odlew, prosto w nos. I wtedy się to wydarzyło: błysk noża i zdziwienie na twarzy Jerry'ego Cochrane'a. Starszy pan osunął się na ziemię. Puścił Seana, który rzucił się na niego z pięściami. Tłum wstrząśniętych kupujących przyglądał się biernie tej scenie. Nagle cała banda dzieciaków doskoczyła do Cochrane'a. Steel zatrzymała odtwarzanie. Mogli sobie obejrzeć, jak Natalie Lenox kopie starszego pana w głowę.

- To jak? Nadal uważa pan, że nie miała z tym nic wspólnego?

Lenox zbladł. I to bardzo.

- Ja...

Steel wyłączyła telewizor.

- Chcę usłyszeć, gdzie jest Sean Morrison. Natychmiast. Natalie patrzyła na nią wściekła. Bez słowa. Jej ojciec z wysiłkiem przełknął ślinę i pacnął ją otwartą dłońią w tył głowy.

- No gadaj! Cisza.

- Powiem inaczej — odezwała się Steel. — Czeka cię poprawczak, spotkasz w nim całe mnóstwo wrednych chłopców i dziewczynek. Nie będzie mamusi ani tatusia, którzy by się tobą opiekowali i kupowali ci zabawki.

- Przecież... Nie możecie jej wsadzić do więzienia! Ma osiem lat! Logan wrzucił ramionami.

- W Szkocji taka jest dolna granica wiekowa odpowiedzialności za przestępstwa kryminalne, panie Lenox. Sam pan widział: napaść, pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Dostanie od czterech do pięciu lat i wyjdzie z poprawczaka jako nastolatka. Zdziwi się pan, jak szybko dzieci się zmieniają w tym wieku.

- Rany boskie... - Lenox zasłonił usta drżącą dłońią. - Jej matka tego nie przeżyje.

- W takim razie niech mała nam pomoże złapać Seana. Może wtedy porozmawiamy z prokuratorem generalnym, spróbujemy go przekonać, że Natalie zgodziła się współpracować...

- Zgodzi się! Pewnie, że się zgodzi! Mam rację? Ale Natalie tylko patrzyła na niego gniewnym wzrokiem. W oczach zalśniły jej gorące łzy wściekłości. Błyszczały jak nóż Seana Morrisona.

Mój Boże... - Steel oparła się ciężko o ścianę pokoju przesłuchań, przyciskając do piersi kubek z niedopitą kawą. - Przesłuchiwałam wielu seryjnych morderców i niektórzy okazywali więcej ludzkich uczuć. — Wzdrygnęła się. - Bogu niech będą dzięki, że nigdy nie chciałam mieć dzieci... Przeróżające małe dranie.

Przesłuchali troje członków gangu Seana Morrisona; żadne nie zamierzało na razie wydać szefa, za to każde przyszło ze spanikowanym, roztrzę-

sionym rodzicem, który nie miał zielonego pojęcia, jak zabawia się jego pociecha. Dopóki nie obejrzał nagrania z kamery. Steel zamieszała brunatną ciecz w kubku.

- Jak byłam mała, szanowało się starszych... No, może nie „szanowało”, ale każdy wiedział, że jak odpyskujesz dorosłemu, to będą bęcki. W dodatku ten dorosły poskarży się rodzicom, a oni złożą ci tyłek drugi raz. — Pokiwała w zadumie głową i upiła łyk kawy. — Skoro o tyłkach mowa... Nie widziałeś tego dupka Renniego?

- Nie. A co znowu zrobił?

Nie wiedząc czemu Loganowi stanął przed oczami zastawiony kontenerami plac w Altens. Zmarszczył brwi, próbując zrozumieć dlaczego.

- W tym rzecz, że nic. A ja... - Inspektor spojrzała podejrzliwie na Logana. - Co jest? Znowu śnisz na jawie o moich toczonych z alabastru udach?

- Zander Clark.

- Kto?

- Ten reżyser pornosów. Nie zapytał, co zrobił Jason. Zapytaliśmy go, czy zna gościa z filmu. A on nie zapytał.

- No i?

- No... - Logan wzruszył ramionami. - Ludzie zawsze pytają...

- Wcale nie zawsze.

- Ale...

- To jakiś żart, tak? Wiesz, zaleciało mi trochę panną Marple. - Steel parsknęła śmiechem, gardłowo, trochę chrypliwie. - Mam zwołać spotkanie w jadalni? Z profesorem Plumem, panną Scarlet i pułkownikiem Mu-stardem*?

Logan nie zniżył się do tego, by zareagować na tę prowokację.

- Nieważne. Jest piątek wieczór. Postawię ci piwo. Co ty na to? I tak już czas się zbierać.

- A ekipy poszukiwawcze?

- Co z nimi? O kurde... Za pół godziny zrobi się ciemno, nie? Wszystkie obiboki wrócą i będą chciały złożyć raport. - Steel jęknęła. - Podzielimy się nimi po połowie, co? I zdążymy do pubu przed siódmą.

Logan wziął do ręki małe opakowanie mało skutecznych proszków, które dali mu w szpitalu na obolałą głowę i obite żebra. Zostały mu ostatnie dwie tabletki.

* Postaci z wydanej w Wielkiej Brytanii i USA planszowej gry detektywistycznej *Cluedo* (przyp. tłum.)

- Nie powinienem pić.

- Mój lekarz mówi, że nie powinnam palić, pić ani podrywać jego recepcjonistki. I co z tego?

Ludzie z terenu zaczęli się schodzić około szóstej. Niewiele mieli ciekawego do powiedzenia jak na siedem godzin spędzonych w lodowatych lutowych plenerach. Nikt nie widział Seana Morrisona; chłopak nie schował się w żadnej szopie, garażu ani altance. Przeszukano nawet zabudowania szkoły imienia Roberta Gordona, żeby sprawdzić, czy Sean

nie znalazł sobie kryjówek tam, gdzie powinien pobierać nauki.

- Dyrektor mówi, że Sean regularnie wagaruje - meldowała sina z zimna posterunkowa, przyciskając do piersi kubek z gorącą czekoladą. - Kłopoty zaczęły się mniej więcej pół roku temu: bicie słabszych, przeklinanie, kradzieże... Paskudny gówniarz. Rodzice byli wzywani z dziesięć razy. Nic z tego nie wynikło.

- Poważnie? - Logan podrapał się po brodzie; zarost chrzęścił pod palcami. - Ojciec mówił nam, że mały nie sprawiał żadnych problemów. Posterunkowa prychnęła pogardliwie.

- No to kłamał. - Przeszła z nogi na nogę. - Coś jeszcze, panie sierżancie? Czy mogę iść się przebrać? Bo wie pan, dzisiaj jest wieczór karaoke - wyjaśniła.

Logan życzył jej powodzenia, po czym wysłuchał następnego raportu.

Inspektor Steel skończyła pierwsza - czemu trudno było się dziwić: zamiast odbierać meldunki, *kazała* wszystkim pruć do pubu.

- To jak? - Wcisnęła ręce w kieszenie spodni. - Koniec na dzisiaj? Logan pokręcił głową.

- Muszę zrobić rozpiskę ludzi na jutro. Poza tym myślałem o tym, żeby załatwić konsultanta i zacząć regularne poszukiwania, w parkach, w lasach... - Konsultant zająłby się też logistyką i koordynowaniem całej operacji, co na razie spoczywało na barkach Logana. - Może matka ma rację i chłopak leży gdzieś ranny w rowie? Jego zdjęcie poszło do gazet; ktoś mógł go rozpoznać i pomścić Jerry'ego Cochrane'a.

- Tego by nam jeszcze brakowało... - Steel pokręciła głową i zakłęta pod nosem. - Miała z tego być ładna, miła, łatwa sprawa: wiemy, kto jest winny, wszystko jest na taśmie, są świadkowie, są wyniki badań z laboratorium...

Tylko że Sean Morrison zapadł się pod ziemię.

Logan stał w przedniej części sali odpraw i walczył z nudnościami. Zresztą nie on jeden: kac gigant męczył pół ekipy. Nie pomogło, że wykazał odrobinę rozsądku i przestał pić po pierwszej kolejce płonącego dram-

i buie - chociaż dopiero po tym, jak na nocnej sesji karaoke w Cafe Bardot musiał wysłuchać *Uważasz, że jestem seksowna?* w wykonaniu inspektor Steel. Takiego występu nie dałoby się łatwo zapomnieć. Niestety.

Inspektor przedstawiła im właśnie świeżo sprowadzonego konsultanta, wysokiego, chudego sierżanta o wydatnej szczęce i opadających powiekach, który od razu zaczął im ze szczegółami tłumaczyć założenia dzisiejszych poszukiwań, podział terenu, organizację zespołów i inne sprawy, odciążając w ten sposób Logana.

- Dobrze - powiedziała Steel, kiedy skończył. - Sean Morrison to wredny drań, nie zapominajcie jednak, że ma dopiero osiem lat. Od dwóch dni nie był w domu, a noce są teraz mroźne. Najprawdopodobniej zaszył się gdzieś z flaszką wódki i plikiem pisemek dla dorosłych, ale równie dobrze może właśnie zamarać na śmierć gdzieś pod jakimś krzakiem. Miejcie oczy szeroko otwarte.

Kazała im powtórzyć chórem sakramentalne „Nie jesteśmy pierdołami!” i rozejść się do roboty.

- Chce pani jeszcze raz pojechać do Morrisonów? - spytał Logan.

- Pojedźcie we dwóch z Rickardsem; nie chcę już słuchać jego białolenia, jak to wszyscy sobie na nim używają. Mnie czeka audyencja u Jego Świątobliwości Komendanta. Muszę mu jakoś wmówić, że sprawa Morrisona nie jest jedną wielką porażką... - Steel wyjęła z kieszeni paczkę nikotynowej gumy, wzięła dwie kapsułki do ust i krzywiąc się, *zaczęła* żuć. - Damy radę. Dziś znajdziemy Morrisona, zamkniemy go i świat znów będzie piękny. Byłoby tylko komendant nie wypytywał mnie o inne śledztwa.

Nad miastem osiadł popielaty całun, wysysając kolory ze wszystkiego; granitowe mury domów zlewały się z monochromatycznym niebem. Rickards dopiero na School Hill *zaczął*

się skarżyć na niewybredne żarty, jakich padł ofiarą po tamtej pierwszej odprawie poświęconej Jasonowi Fet-tesowi. Logan nie słuchał. Obserwował przechodniów i samochody, wypatrując ośmiolatka w czerwonej bluzie z kapturem.

Rickards nadal jęczał, kiedy wjechali w King's Gate i zaparkowali powyżej domu Morrisonów, bo tylko tam znaleźli wolne miejsce.

- Pocieszę cię - powiedział Logan. - Wszyscy myślą, że to niewinne żarty. Wyobraź sobie, co by było, gdyby się dowiedzieli, że naprawdę w tym siedzisz.

Rickards zmarszczył groźnie brwi.

- Wcale nie siedzę.

- Daj spokój. Naprawdę mam ci wierzyć, że rozpoznałeś tylek Jasona Fettesa, bo mignął ci na zarekwirovanym DVD? Żeby go tak zapamiętać, musiałeś go widzieć dziesiątki razy.

Logan odpiął pasy i wysiadł. Ranek był jednolicie szary. Efektowna panorama z poprzedniego dnia zniknęła bez śladu — wszystkie jej elementy znajdowały się wprawdzie na swoim miejscu, ale stały się zimne i nieciekawe. Morze miało kolor gliny; rysowało się ciemną plamą pod jeszcze ciemniejszą linią horyzontu. Wcześniej czy później musiało zacząć lać.

Rickards też wysiadł.

- Ja... - Zaczerwienił się, przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Nie patrzył Loganowi w oczy. — Nikomu pan nie powiedział?

- Oczywiście, że nie! Możecie się przebierać w lateks i okładać pejciami do woli. To wasza sprawa i nikomu nic do tego.

- Żałuję, że wyrwałem się z tym, że znam Fettesa... Logan spojrzął na niego pytająco.

- Naprawdę?

Posterunkowy westchnął ciężko.

- No, nie. Nie chciałem, żeby pozostał anonimowym trupem.

- Nikt na to nie zasługuje.

Tłum dziennikarzy pod domem Morrisonów zgęstniał w porównaniu z poprzednim dniem. Przyjechały nawet dwa wozy transmisyjne, ocierając się satelitarnymi talerzami o gałęzie przydrożnych nagich buków. Przy furtce zebrała się grupka demonstrantów, którzy tym razem mieli już transparenty: WSTYDŹCIE SIĘ! SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA JERRY'EGO! DZIECI NIE POWINNY ZABJAĆ! Można by się spodziewać, że będą pałać słuszną złością i wykrzykiwać gniewne hasła, tymczasem kulili się z zimna wokół termosu z herbatą i klęli na pogodę. Na widok policjantów wykrzesali z siebie resztki energii, żeby pokrzyzczeć i odegrać scenkę przed kamerami. Logan puścił Rickardsa przodem, każąc mu torować drogę i ignorując podtykane pod nos obiektywy i mikrofony. Powtarzał w kółko: „Bez komentarza”, aż bezpiecznie przekroczyli próg domu.

Pan Morrison siedział w zaciemnionym salonie i wydawał się o pięć lat starszy niż dzień wcześniej. Miał podkrążone oczy i bladą twarz. Funkcjonariuszka WSR wprowadziła ich do pokoju. Morrison zerwał się na równe nogi i zaczął wyłamywać palce.

- Czy... Udało się wam... Nie potrafił dokończyć.

- Jeszcze go nie znaleźliśmy. - Logan gestem wskazał mu fotel i kazał-Rickardsowi zaparzyć herbatę. - Przyjechałem, żeby zadać panu parę dodatkowych pytań.

- Ale jak... - Nerwowe kaszlnięcie. — Czy policja sądzi, że coś mu się stało?

- Mamy nadzieję, że nie, panie Morrison. Sean wygląda mi na zaradnego chłopa.

Ojciec trochę się uspokoił, ale tylko trochę.

- Wczoraj byliśmy w szkole, rozmawialiśmy z dyrektorem - ciągnął Logan. — Twierdzi, że Sean od pół roku sprawia problemy wychowawcze.

- No tak... — Morrison wbił wzrok w swoje dłonie. — Bo widzi pan, jego matka... Ona całowałaby ziemię, po której przeszedł. I tak sobie myślę, że... No... Chyba go trochę rozpieściliśmy, ale... - Wzruszył ramionami.

- Pół roku temu. Co się wtedy stało?

- We wrześniu? Ukradł koledze tornister. - Morrison zapatrzył się na zasłony w oknie, oddzielające go od obiektywów i smętnego dnia. - Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Potem kogoś uderzył, komuś tam ukradł pieniądze na obiad, zaczął wagarować... Niewiele brakowało, żeby sprawa skończyła się w sądzie. Miał szczęście, że nie wyrzucili go ze szkoły.

Logan usiadł na sofie.

- Mówił panu, dlaczego to robi? Morrison parsknął gorzkim śmiechem.

- Nie. Przecież takie właśnie są dzieci, prawda? Rodzice zawsze dowiadują się ostatni. W jednej chwili wszystko jest w porządku, a w następnej człowiek musi się tłumaczyć przed jakąś wzburzoną kobieciną, bo się okazuje, że jego dzieciak ugryzł jej dzieciaka. Kiedy wróciliśmy z Guildford, zauważyliśmy, że bardzo się zmienił...

- Z Guildford?

- Pojechaliśmy, Gwen i ja, do Guildford. Ojciec Gwen miał wyznaczoną operację, wszczęcie bypassów. Jej matka zupełnie nie potrafiła się pozbierać. Nie chcieliśmy, żeby Sean jechał z nami, bo przecież... Rozumie pan, operacja mogła się nie udać.

Rickards postawił na stoliku trzy kubki z herbatą. Nie udało mu się znaleźć żadnych ciasteczek.

- No tak. - Logan poczęstował się herbatą. - U kogo mieszkał Sean, kiedy państwo wyjechaliście?

Morrison kilka razy poruszył bezgłośnie ustami, po czym stwierdził, że nie ma pojęcia. U kolegi z klasy, ale u którego...

- Gwen na pewno wie, ale teraz śpi. Lekarz przepisał jej coś na...

- To ważne, proszę pana.

- Jasne. - Morrison wstał i znów zaczął wyłamywać palce. - Naturalnie. Pójdę... Zapytam.

Nazwiska nie było na liście współników Seana. Pani Morrison twierdziła, że tamten chłopiec i Sean od dawna nie rozmawiają ze sobą. Kiedyś regularnie ich odwiedzał, ale potem, po powrocie od jej rodziców, przestali go widywać.

- Wie pan, jacy są mali chłopcy - tłumaczyła mu, przeciągając słowa, jak osoba po uszy nafaszerowana środkami uspokajającymi. - W jednej chwili serdecznie się przyjaźnią, w następnej nawet o sobie nie pamiętają.

Miała jednak adres tamtej rodziny - i tym sposobem Logan z Rickardsem wylądowali przed dużym granitowym domem przy Hamilton Place. Dziecko mogłoby przebiec tu od Morrisonów w siedem, osiem minut.

- Aha... - przytaknął Logan z telefonem przy uchu. - Ile osób?

- Matka, ojciec i troje dzieci: chłopiec i dwie dziewczynki.

- Notowani?

Cisza. Jego rozmówca z centrali przeglądał policyjne rejestry.

- Nie... Ojciec zatrzymany za jazdę po pijanemu, ale to było siedem lat temu. Od tamtej pory nic.

- Dobra, dziękuję za...

- Zgłosili serię włamań. *Zaczęła* się pięć miesięcy temu... Poza tym akty wandalizmu... wrzesień, październik... aż do Bożego Narodzenia. Wybite okna, drzwi pomazane farbą, takie tam... Proszę poczekać, jeszcze coś sprawdzę...

Dłuższa przerwa. Logan dałby sobie głowę uciąć, że słyszy w słuchawce, jak ktoś chrupie chipsy.

- Nie, tylko oni. Przy Hamilton Place nie było więcej takich zgłoszeń. Dwa razy kradzież roweru, ale to przy drugim końcu, i...

- Wystarczy, naprawdę. Dziękuję.

Logan nie miał ochoty wysłuchiwać pełnej historii kryminalnej całej ulicy. Schował telefon. Była sobota rano, po dziesiątej. Przy odrobinie szczęścia powinni zastać całą rodzinę w domu.

Drzwi otworzył im tysiący mężczyzna po trzydziestce - nieco starszy od ojca Seana i *znacznie* grubszy. Na widok Rickardsa stwierdził:

- Nareszcie, do cholery! Dzwoniliśmy w czwartek.

- W czwartek? - odruchowo powtórzył Logan.

- Tak, w czwartek! Wybili nam okno! Ludzie, czy wy tam w ogóle ze sobą nie rozmawiacie? A może chodzi tylko o to, żeby was czymś zająć? Przyjedziecie, pogadacie i na tym się skończy, tak jak poprzednio. No nie?

Jakie to typowe: centrala mogła mu przedyktować kompletną listę przestępstw i wykroczeń popełnionych w tej okolicy od początku XX wie-

ku, ale nie potrafiła przekazać, że mieszkańcy czekają na interwencję policji w jakiejś bieżącej sprawie.

- Nie przyjechaliśmy z powodu wybitego okna, panie Whyte. Chodzi o Seana Mormona.

Mężczyzna wyraźnie spochmurniał.

- Nie mamy nic do powiedzenia o tym małym skur... Absolutnie nic.

- Przyjaźnił się z pańskim synem...- Logan *zajrzał* do notatek.-Z Ewanem. *Zgadza się?*

- Kiedyś tak.

Whyte cofnął się od progu. Z nieba spadły pierwsze krople deszczu, tworząc na błękitnych drzwiach szybko pękające bąble.

- Ta wielka przyjaźń skończyła się pół roku temu.

- Mniej więcej.

- Czy to nie wtedy zaczęliście się państwo uskarżać na wandali? Whyte pomału przymykał drzwi.

- Powiedziałem panu: nie chcę rozmawiać o chłopaku Morrisonów. Ewan od miesiący się z nim nie zadaje. Tak że przepraszam bardzo, ale mam inne...

- To nie potrwa długo. - Logan wsunął stopę w szparę między drzwiami a framugą. - Zresztą nie chciałby pan chyba, aby ludzie gadali, że nie chciał nam pan pomóc złapać Seana, prawda? Ktoś mógłby pomyśleć, że go pan kryje.

Whyte skrzywił się, zaklął, ale wpuścił ich do środka.

Pan Whyte krzątał się po salonie; zbierał zabawki i książeczki do kolorowania i kładł je na niskim stoliku, wyraźnie zły, że dał się wymanewrować w taki sposób. Logan rozglądał się po pokoju: eklektyczne dekoracje; pianino; zdjęcia z wakacji na różnych nadmorskich plażach. Przez łukowato sklepione przejście bez drzwi salon łączył się z jadalnią, do której z przeciwnej strony przylegała oranżeria, pełna wypchanych zwierząt i kolorowych ozdóbek z plastiku. Za oknem rozciągał się wyjątkowo zadbane ogród z oczkiem wodnym dla złotych rybek i miniaturowym wodospadem. Bardzo stylowy. Starszy mężczyzna, nie zważając na deszcz, przycinał

rozrośnięty wiciokrzew. Używał do tego dużego sekatora, któremu Logan nie miał ochoty dłużej się przyglądać. Whyte wszystko już posprzątał.

- Pewnie napilibyście się, panowie, herbaty.

Powiedział to z takim niesmakiem, że Logan spodziewał się, że napluje im do kubków. Herbatka a la Jackie Watson.

- Prawdę mówiąc, niekoniecznie, dziękuję. Wolalbym po prostu porozmawiać z panem o Seanie Morrisonie. Whyte usiadł ciężko w fotelu.

- Były z nim same kłopoty. Przeczuwałem, że w końcu komuś zrobi krzywdę. Biedny starszerek... Powinno się znów wprowadzić karę chłosty. Logan pokiwał głową.

- Jeśli następnym razem prawodawca zapyta mnie o zdanie, nie omieszkać mu o tym wspomnieć. Ale kiedyś Sean był całkiem zwyczajnym, grzecznym chłopcem, prawda?

Whyte poruszył się niespokojnie.

- Ja tam swoje wiedziałem...

- To dlaczego zgodził się pan, żeby u was zamieszkał, gdy we wrześniu jego rodzice pojechali do Guildford?

- A, wtedy... No... Hm... Wtedy to on się jeszcze przyzwoicie zachowywał.

- Ale potem już nie.

- Niech pan posłucha: nie mam pojęcia, co się mogło stać. Jednego dnia wszystko było okej, a następnego nagle zmarkotniał i nic go nie interesowało. Chodziliśmy na kręgle, gokarty, do kina, nawet na ten cholerny LaserQuest. A on siedział ze spuszczoną głową i nic nie mówił.

- To było wtedy, kiedy u państwa mieszkał?

- No tak, a kiedy by indziej? W dodatku szybko mu się pogarszało. Mieszkał z nami trzy tygodnie; to był koszmar. - Whyte spojrział na zegarek. - Długo to jeszcze potrwa? Muszę zawieźć córki na balet.

- Dlaczego się zmienił?

- A bo ja wiem? - Urażony ton. - Powiedziałem przecież: wszystko było dobrze, aż tu pewnego dnia: bach! Pewnie coś się stało w szkole: ktoś mu dokuczał, może jakiś nauczyciel się czepiał... A może po prostu oblał jakiś sprawdzian. - Whyte wstał i przeczeszał palcami resztki włosów. - Naprawdę nie mam teraz czasu. Dziewczynki nie mogą się spóźnić, bo instruktorka odeśle je do domu. A mnie nikt nie zwróci pieniędzy.

- Dobrze, nie będę pana zatrzymywał. Ale chciałbym jeszcze porozmawiać z pańską żoną. Jest w domu?

- W soboty zawozi Ewana na mecz. Liga piątek.

Whyte podszedł do schodów i zawołał do swoich „księżniczek”, żeby szybko przyniosły spódniczki i baletki, bo muszą już jechać, inaczej się spóźnią. Odpowiedział mu tupot drobnych stopek na piętze i na schodach pojawiły się dwie dziewczynki w różowych kostiumach baletowych i narzuconych na nie wełnianych płaszczkach. Miały po pięć lat i podskakiwały jak piłeczki, kiedy tata próbował włożyć im kalosze.

Apotem spojrzały na Rickardsa - i z piskiem schowały się za nogami ojca, ukradkiem zerkając na obcego policjanta, który przyszedł do nich do domu.

- Niech pan nie bierze tego do siebie - powiedział Whyte. - Po prostu nie lubią ludzi w mundurach. Szkoda, że pan nie widział, jak reagują na listonosza. No, dzieciaki, kto ostatni w samochodzie, ten ciapa!

Logan wręczył mu wizytówkę.

- Proszę dać znać, gdyby sobie pan coś przypomniał. I proszę pamiętać, że chcę jeszcze porozmawiać z żoną i synem.

- Dobrze, dobrze, przekażę im. - Whyte schował wizytówkę, nie patrząc na nią, i wygonił gości na deszcz. - Molly, skarbie, zapnij porządnie pasy, bo inaczej zły policjant cię

aresztuje!

- To Morrison, prawda? - spytał Rickards, kiedy auto Whyte'a wyjechało tyłem na ulicę. Dziewczynki wpatrywały się w niego, jakby mu rogi wyrosły. - To on tu rozrabia?

- Jeśli nie, to mielibyśmy niezły zbieg okoliczności. - Logan pokiwał głową. - Zresztą założę się, że Whyte też o tym wie. Tylko nie rozumiem, dlaczego ojciec Seana udaje głupiego. Założę się, że Whyte poleciał już do niego i mu nawrzucał. Wcale mu się nie dziwię.

- Może nie chce przyznać, że jego syn to straszny drań?

- Nie za późno na takie wątpliwości?

Wrócili do samochodu. Logan przyglądał się spływającym po szybie kroplom, dopóki Rickards nie uruchomił silnika i nie zmiotł ich wycieraczką.

- Dokąd teraz?

- Zaczekaj jeszcze chwilę.

Logan wyjął telefon i zadzwonił do centrali.

- Te skargi Whyte'ów na wandali... Mówili, że kogoś podejrzewają? Ciszę po drugiej stronie zmaćlił klekot klawiatury.

- Żadnego nazwiska... Odcisków palców nie ma w bazie: gość nosi rękawiczki... okno... samochód... rybka... znowu okno... Nic. Oficer prowadzący podejrzewa, że ktoś się mści za jakieś zadawnione urazy.

- Genialne... Ostatnie zgłoszenie jest z czwartku, tak?

- Tak, dziewiąta wieczór.

Tego samego dnia Sean Morrison pchnął dwie osoby nożem. Logan podziękował, rozłączył się i zabębnił palcami w deskę rozdzielczą.

- Panie sierżancie?

- Zaraz wracam.

Logan wysiadł, zostawiając Rickardsa w samochodzie, okrążył dom Whyte'ów i przez furtkę wszedł do ogródka na tyłach. Woda w oczku miała barwę cyny; drżała i mieniła się od uderzających w nią kropel deszczu. Ogrodnik skończył przycinać krzewy i teraz małym rydlem przekopywał rabatkę. Deszcz zupełnie mu nie przeszkadzał.

- Nie za wcześnie? - spytał Logan, podchodząc bliżej i uśmiechając się przyjaźnie.

- Nigdy nie jest za wcześnie na porządkowanie ogrodu. Cień aberdeńskiego akcentu, nieznacznym.

- Od dawna pracuje pan u Whyte'ów?

Starszy mężczyzna przykucnął na piętach, skrzywił się i wbił rydel w ziemię. Zdjął oblepione błotem rękawice.

- Nie pracuję, tylko jestem ojcem Daniela, Stęknął i się wyprostował.

- Długo pan tu mieszka?

- Osiem miesięcy. Od śmierci mojej Mary. Bez niej nasz dom zrobił się taki pusty...

Osiem miesięcy. To wyjaśniało, dlaczego nie figurował w bazie danych jako jeden z mieszkańców.

- Czyli był pan tu wtedy, kiedy państwo Whyte'owie opiekowali się Seanem Morrisonem?

- Coś okropnego, prawda? A to był taki miły chłopiec. Nie mogę uwierzyć, że zrobił komuś krzywdę.

- Pański syn ma go za potwora. Whyte senior uśmiechnął się smutno.

- Cóż... Sean Morrison bardzo przypomina jego młodszego brata. Daniel zawsze był o niego zazdrosny. - Pociągnął nosem i spojrzał na stawek. Pod powierzchnią przesuwiał się złocisty kształt. — My się do tego przyczyniliśmy, ja i Mary. Rozpieszczaliśmy Craiga. Postępowaliśmy źle, ale był takim ślicznym dzieckiem...

W ogrodzie zapadła cisza.

— Mary bardzo się zmieniła po tym, jak... — Zakłopotane chrząknięcie. - Nie ma sensu tego rozpamiętywać.

Może to deszcz ściekł mu z czoła do oczu, a może zalśniły w nich łzy. Logan zostawił go sam na sam ze wspomnieniami.

Inspektor Steel siedziała przy biurku, kiedy Logan pchnął drzwi plecami i tyłem wszedł do pokoju, niosąc dwie herbaty. Miała wielką mokrą plamę na lewej piersi i gniewną minę.

- Gdzieś ty był, do cholery?

Logan starał się nie patrzeć na plamę.

- Chciała się pani ze mną widzieć?

- Piętnaście minut temu!

Rzuciła mu kartkę formatu A4: notatkę służbową od samego komendanta. Logan przebiegł ją wzrokiem, pomrukując pod nosem, aż doszedł do kluczowego fragmentu.

- Hm... Mogło być gorzej.

- Niby jak? - Steel otworzyła okno i zaczęła szukać papierosów. - Jak „gorzej“?

- On się na pewno...

- Dlaczego musieli go przydzielić akurat mnie? - Znalazła papierosy i teraz polowała na zapalniczkę. — Przecież to będzie koszmar!

To dlatego kazała mu wszystko rzucić i stawić się u niej w gabinecie: chciała sobie pomarudzić, że przydzielili jej Inscha, aby ją „odciążył z nadmiaru spraw”. Logan westchnął ciężko.

- Niech mu pani przekaze te włamania. Albo Fettesa.

- Żartujesz? Przecież wiesz, jaki on jest: dasz mu palec, to całą rękę chwyci. Skończy się na tym, że to ja będę pracowała dla niego, a nie odwrotnie! — Zapalniczka: skrrit, skrrit, skrrit. Wylądowała w koszu. — Co za syf... Gdybym chciała pomocy, poprosiłabym.

Tak wyglądał początek piętnastominutowej tyrady, zakończonej:

- Będziesz go musiał mieć na oku.

- Ja?! - Logan aż podskoczył. - Dlaczego ja? Niech Rennie się nim zajmie. Albo Rickards.

Steel tylko pokręciła głową.

- Wykluczone. Gdybym rzuciła mu Renniego na pożarcie, to by było jak kopanie bezbronnego kociaka. A ten sado-maso Rickards miałby za dużo frajdy ze współpracy z Inschem. Sam pomyśl: znęcaliby się nad sobą nawzajem, a robota w ogóle by się nie posuwała do przodu. — Pociągnęła łyk herbaty. - Dlatego to musisz być ty. Młody jesteś, dasz radę.

Inspektor Insch należał do ludzi, którym lepiej się nie narażać - tymczasem ostatnio, niestety, naprawdę trudno było mu się nie narażać. Logan wziął głęboki wdech i zapukał do drzwi. Ostatnich dwadzieścia minut spędził w stołówce, rozmyślając nad tym, jak czymś zając

inspektora, nie dając przy tym zrobić się w pracę dla niego.

- Wejść - zadudnił bas zza drzwi, równie ciepły i sympatyczny jak zgrzyt rzeźniczej piły do kości.

Gabinet Inscha był większy niż pokój Steel i o wiele schludniejszy. Na ścianach wisiały oprawione w ramki afisze teatralne z *Kiss me Kate*, *Chicago* i kilku pantomim; niektóre przedstawiały Inscha w niedorzecznych przebraniach. Główne miejsce zajmował plakat z *Mikado* w mahoniowej ramie, zawieszony naprzeciw biurka.

Inspektor podniósł wzrok na Logana.

- A, to pan - powiedział i wrócił do wściekłego bębnienia w klawiaturę.

- Inspektor Steel kazała mi przyjść i...

- Kto wpadł na pomysł, że mam dla niej pracować?!

Logan usiadł na jednym z krzeseł, gotów wysłuchać płaczącej skargi, ale Insch tylko pozgrzytał zębami i dalej dręczył klawiaturę.

Widząc, że nic złego chwilowo się nie wydarzy, Logan pokazał mu dwie szare koperty.

- To akta tych włamań. Są...

- Nie interesuje mnie to. — Inspektor wcisnął Enter, odsunął się od biurka i spojrzał na Logana ponad piramidką z zetkniętych czubkami palców. - Niech mi pan coś powie o trupie.

- O którym? O włóczędzie? Starszym panu zasztyletowanym we wtorek? Czy o zajechanym na śmierć gwiazdorze porno?

- O gwiazdorze. I proszę nie zapominać, sierżancie, że był człowiekiem.

Logan omal nie zapadł się pod ziemię ze wstydu.

- Przepraszam, panie inspektorze.

Oto wpływ inspektor Steel; za długo z nią pracował.

Powiedział Inschowi wszystko, co wiedział o Jasonie Fettesie - od kariery prowincjonalnej pornogwiazdy zaczynając, na gumowym stroju sado-maso kończąc. Obiektywnie i profesjonalnie.

Insch słuchał w milczeniu, pogryzając owocowe cukierki; od czasu do czasu notował coś na żółtych samoprzylepnych karteczkach.

- Ta strona WWW: Bondageopolis... Rozmawialiście z dostawcą In-ternetu?

- To miejscowa firemka. Przesłali nam maile z jego konta. Nie ma w nich nic, co wiązałoby się z jego śmiercią. Za to poprzez listę Ulubionych w komputerze doszliśmy do tego, że miał przynajmniej jedno konto na Hotmailu i więcej niż jedno na Yahoo!

- I?

- Anonimowe. Nie trzeba przy zakładaniu podawać żadnych prawdziwych danych. Można się zarejestrować jako Osama bin Laden i nikt się tym nie zainteresuje. A Fettes był bardzo ostrożny. Regularnie czyścił komputer z plików tymczasowych i nie kazał przeglądarce zapamiętywać haseł.

- Czyli nie możecie się załogować, podszywając się pod niego.

- Nie. Nasi informatycy przeszukają jego maile; może przesyłał coś sam do siebie. Wytypowali już kilka podejrzanych kont, ale z tymi darmowymi serwisami pocztowymi są same problemy. Nie dość, że mamy ustawę o ochronie danych osobowych, to jeszcze wszystko musi iść przez centralę w Stanach. Po prostu dramat.

Insch oparł się na łokciach i spojrzał na zapisane karteczki.

- Dobra. Chcę dostać komplet dokumentów: zapisy przesłuchań, raporty z sekcji, aktualizacje, wszystko. Wydruki z HOLMES-a też. Przejrzemy je po południu.

- Tak jest.

To by było tyle, jeśli chodzi o odcięcie się od Inscha.

Przed wieczorem mieli całe śledztwo rozpisane krok po kroku, a Insch ani razu nie warknął na Logana. W obecnej sytuacji był to swoisty rekord. Inspektor zmarszczył brwi i spojrzał na

zegarek.

- Proszę rano zebrać wszystkich ludzi. Zrobimy odprawę i zaczniemy od nowa. Gdzie się podział ten błazen Rennie?

- Nie mam pojęcia, panie inspektorze.

- Jak go pan zobaczy, proszę mu powiedzieć, że najpóźniej o wpół do siódmej chcę go widzieć w Centrum Sztuki. Bo inaczej zrobię sobie z jego jaj breloczek do kluczy.

I wyszedł.

Logan odetchnął z ulgą. Współpraca z Inschem okazała się bardziej czasochłonna niż dawniej, ale przynajmniej mógł już spokojnie iść do

domu. Podpisywał właśnie listę w dyżurce, kiedy napatoczył się na inspektor Steel. Na jego widok prychnęła pogardliwie.

- Co to, wymykamy się przed czasem do domciu?

- Mój dyżur skończył się dwadzieścia minut temu, więc nie, nie przed czasem.

- No, no, no... Co to za gderanie? Jak się układa współpraca z Grubasem? Ciągnął cię za ramię od stanika i gonił po pokoju?

- Inspektor Insch chce wziąć sprawę Jasona Fettesa. Steel nie kryła zdziwienia.

- Fetyszyści, sex-shopy, obłeśne czaty w Internecie? To mi do niego nie pasuje. Ale co tam: niech bierze, co chce. Dla mnie jedno zmartwienie mniej. Proponowałeś mi włamania?

- Nie był zainteresowany.

- Tak jak ja... - Steel westchnęła. - Też ich pewnie nie chcesz, co?

- Niespecjalnie. Wolałbym...

- Nie, wiesz co? To nawet niezły pomysł. Będziesz miał wymówkę, żeby od czasu do czasu odpocząć od Grubasa.

- Ale...

- Bez gadania: podjęłam decyzję. Możesz sobie wziąć tego zboczusia Rickardsa. Za jakieś dwa tygodnie daj mi znać, jak wam idzie, to wystarczy. I nie przejmuj się: nie oczekuję, żebyście rozwiązali tę sprawę.

Logan wcale nie poczuł się lepiej po tych słowach.

Kapuśniaczek padał leniwymi falami; latarnie przy Union Street lśniły jak ogromne świetliki. Logan postawił kołnierz i przyspieszył kroku, żeby zdążyć do domu, zanim przemoknie do suchej nitki. W mieszkaniu panowała złowroga cisza. Za kwadrans siódma, a Jackie ani widu, ani sły-chu - pewnie prosto ze służby poszła na piwo. Zaczynało jej to wchodzić w krew, zwłaszcza po tym, jak oskarżenie przeciw Macintyre'owi legło w gruzach. Zadzwonił do niej, ale od razu połączył się z pocztą głosową. Miał więc do wyboru: sam zadbać o siebie albo spędzić kolejny wieczór w pubie. Pogrzebał w szafkach w kuchni, zajrzał do lodówki, w końcu postanowił się przespacerować po chińszczyznę na wynos.

Zamykał właśnie drzwi wejściowe, kiedy rozdzwonił się telefon. Zdążył odebrać, zanim skończyło się powitanie nagrane na automatycznej sekretarce.

- Słucham?

- Kto mówi? - spytał znajomy głos Dużego Gary'ego.

- A kto według ciebie? To ty do mnie dzwonicz, zapomniałeś?

- No tak, ale myślałem, że to ten nowy kochaś Watson. Macie podobne głosy.

- Bardzo śmieszne. Czego chcesz?

- Szukałem Inscha, ale nie mogę go nigdzie złapać. Wyłączył komórkę. A ty jesteś następny w kolejce.

- Wcale nie...
- Jesteś, jesteś. Pytałem Steel; powiedziała, że teraz podlegasz In-schowi. Logan westchnął. Franca jedna.
- O co chodzi?
- Dzwonili z Tayside. Mają zgłoszenie gwałtu, który idealnie pasuje do Roba Macintyre'a.

W Centrum Sztuki powitały Logana dźwięki maltretowanego fortepianu. Plakaty wiszące przed wejściem, w olbrzymim, wspartym na kolumnach portyku, zapowiadały na ten tydzień cykl spektakli Becketta, ale *Czekając na Godot* został odwołany, o czym informował wielki czerwony napis. Co wyjaśniało, jakim cudem Insch zdołał zagarnąć salę dla siebie i zorganizować próbę w sobotę wieczorem. Zazwyczaj przedstawienie trafiało na prawdziwą scenę dzień lub dwa przed premierą, nie wcześniej, ale sądząc po odgłosach dobiegających ze sceny, *Mikado* Inscha był od premiery bardzo daleki.

Logan wśliznął się dyskretnie do sali teatralnej: dywany koloru burgunda, mahoniowa boazeria, rzędy pustych siedzeń - i scena, dudniąca pod stopami gromady najbardziej niezgrabnych ludzi, jakich w życiu widział, ubranych przeważnie w dżinsy i luźne bluzy. W pierwszym rzędzie siedział inspektor Insch.

— Jeszcze raz — mówił właśnie. — Od: „Zerwę twoją maskę”. Tylko, na miłość boską, trzymajcie rytm!

Przez minutę Logan stał i patrzył, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Posterunkowy Rennie wyróżniał się z tłumu: przesadzał z grą aktorską i wymachiwał rękami jak zwariowany wiatrak. Tym razem w refrenie prawie wstrzelili się w rytm. Prawie. Insch kazał im powtórzyć. Logan, który nie miał ochoty cierpieć katuszy po raz trzeci, podszedł do inspektora i postukał go w ramię.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam wiadomość z centrali: . dzwonili z policji w Tayside...

Insch wysłuchał krótkiej i skąpej informacji Logana, po czym zwrócił się do swoich aktorów, zapowiadając, że będą ćwiczyć do skutku: albo zaczną śpiewać jak należy, albo padną z wyczerpania; jemu jest to obojętne. Zostawił ich pod niezbyt czułą opieką pianisty i wyszedł z Loganem do foyer.

- Niech pan jedzie na komendę i dowie się, czy tamci zdobyli jakieś dowody. Nie zniszczyliśmy jeszcze próbki DNA Macintyre'a; jeśli coś nam przypasuje, będzie ugotowany. A najlepiej niech pan każe tym z Tayside przestać mailem wszystko, co mają. Ja tu skończę za... - Insch spojrział na zegarek, po czym popatrzył na dwuskrzydłowe drzwi, zza których dobiegała kakofonia sygnalizująca kolejną nieudaną wycieczkę do świata Gil-berta i Sullivana. - Niech pan potem tu wróci. Jeszcze nas pan zastanie.

Nasłuchując odgłosów z sali teatralnej, Logan miał wrażenie, że choćby wrócił za rok, i tak nie da się tego słuchać.

Ostatnia strona wysunęła się z drukarki. Policja w Tayside nie znalazła żadnych śladów: nie było włosów, fragmentów naskórka, nasienia - nic. Ale sposób działania gwałtciela był taki sam jak w przypadku Roba Macintyre'a: samotna kobieta, wracając po nocy do domu, skróciła sobie drogę przez ciemną uliczkę i została napadnięta od tyłu. Napastnik - mówiący z aberdeeńskim akcentem — grożąc jej nożem, kazał się jej położyć na ziemi, pociął ją i zgwałcił. Wyglądało to identycznie z wszystkimi innymi napadami, którymi

próbowali obciążyć Macintyre'a. I dokładnie jak w tamtych przypadkach, nie mieli na niego żadnego haka.

Logan wepchnął wydruki do koperty i wrócił do Centrum Sztuki. Prawie półtorej godziny czekał, aż komplet dokumentów dotrze z Dundee, ale kiedy przyjechał do teatru, zastał Inscha w połowie tradycyjnej przemowy motywacyjnej. To samo mówił na odprawach, kiedy już wytłumaczył podwładnym, że są beznadziejni i przynoszą wstyd mundurowi policjanta.

- Idźcie się odświeżyć i przebrać. Widzimy się w pubie. Byliście dziś świetni - dodał z wymuszonym uśmiechem.

Odprowadził ich wzrokiem, kiedy podekscytowani schodzili ze sceny, a potem usiadł ciężko w fotelu na widowni, zwiesił głowę, oparł ją na dłoniach i zaczął cicho kłać.

Logan odczekał jeszcze parę sekund, zanim się odezwał:

- Mam te papiery, o które pan prosił, inspektorze. Insch popatrzył na niego. Na jego twarzy malowało się cierpienie niespełnionego artysty.

- Nie przepada pan za teatrem, prawda, sierżancie?

- Nieszczególnie, panie inspektorze.

- W takich chwilach naprawdę nie mam do pana pretensji. - Insch w zadumie pokiwał głową i westchnął ciężko. - No dobrze, obejrzymy to sobie.

Rozłożyli wydruki na fortepianie stojącym w kanale dla orkiestry: wyniki badania krwi, raporty lekarskie, zdjęcia ofiary przed i po, niewyraźny portret pamięciowy napastnika, który pasowałby do każdego.

- Nikki Bruce, lat dwadzieścia trzy. Wracała do domu ze spotkania z przyjaciółmi. Zwymiotowała pod klubem i taksówkarz powiedział, że jej nie weźmie. Szła Broughty Fen Road. Tam właśnie została napadnięta.

Inspektor, marszcząc brwi, oglądał zdjęcia. Nikki „przed” była ładną, młodą kobietą; miała błyszczące oczy i figlarny uśmiech. Nikki „po” zmieniła się nie do poznania: jedno oko zapuchnięte, drugie przekrwione, skrzywiony, spłaszczony nos, obrzmiałe i rozcięte wargi, wybite trzy lub cztery zęby, twarz cała w bandażach i opatrunkach, spod których wзираły siniaki. Można by pomyśleć, że to nie ta sama dziewczyna.

- Gdzie w tym czasie był Macintyre?

- Sądziłem, że już nie jest podejrzany.

Z gardła Inscha wydobył się niebezpieczny, basowy pomruk.

- Akurat!

Wyjął telefon i zadzwonił do prokuratury, żeby zapytać o możliwość wystawienia nakazu, który pozwoliłby mu ściągnąć Macintyre'a na przesłuchanie. Ale chyba niewiele wskórał.

- Nie, nie... Ale on... Oczywiście, że to on! Identyczny sposób działania, więc... Nie, nie chcemy... ale... - Inspektor położył masywną dłoń na papierach i je zmiął. - Tak, rozumiem. Nie, naturalnie, że nie. Dziękuję.

Rozłączył się, powoli schował telefon i cisnął wydruki na scenę.

- Niech to szlag!

Kartki zalśniły bielą w świetle reflektorów, zanim sfrunęły na szare deski. Niektóre spadły z powrotem do kanału orkiestry. Logan wstrzymał oddech i czekał, aż złość inspektora skrupi się na nim.

Ale Insch tylko się skrzywił, przyłożył palce do tętnicy szyjnej i zaczął wdychać i wydychać powietrze przez nos. Po chwili przestał się trząść, jego twarz odzyskała normalną barwę i znów mógł regularnie oddychać.

- Panie inspektorze... - odezwał się Logan, wiedząc, że najprawdopodobniej zaraz tego pożałuje. - Dobrze się pan czuje?

- Prokurator powiedziała, że bez niepodważalnych dowodów wskazujących na Macintyre'a jako napastnika nie możemy go przesłuchiwać, bo wniesie skargę, że go dręczymy. Jeżeli

chcemy z nim porozmawiać, powinniśmy

do niego pojechać i grzecznie poprosić o spotkanie. - Inspektor znów *zaczynał* się denerwować.
-Ale na razie przede wszystkim muszę się napić.

Radiowóz przemknął Broad Street, kiedy Logan z Inschem schodzili po schodkach do pubu mieszczącego się w podziemiach pobliskiej kamienicy. Inspektor był pogrążony w ponurej zadumie, a Logan próbował rozprostować zmięte wydruki i nadać ich plikowi pozory ładu. Pub znajdował się mniej więcej w tej samej odległości od komendy co Archibald Simpson, ale nie należało się w nim spodziewać tłumu policjantów po służbie - i właśnie dlatego Insch wybrał go na spotkanie swojej trupy. Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby projektował je fetyszysta z fiksacją na punkcie barierok: były dosłownie wszędzie, dzieliły pub na małe boksy, w których siedzieli studenci i ludzie z modnymi fryzurami.

Podeszli do baru.

- To co robimy z Macintyre'em? - spytał Logan, kiedy inspektor zamawiał drinki, chipsy i orzeszki.

- Pojedziemy się z nim spotkać. Uśmiechniemy się grzecznie. Zadamy parę pytań. I wymyślimy, jak łajdaka przyspilić. Może zastępca komendanta zgodzi się na dyskretną obserwację jego domu. Wcześniej czy później drań będzie przecież musiał wyjść...

Logan nie miał jednak złudzeń: bez poparcia prokurator zastępca komendanta nie zechce nawet tknąć tej sprawy.

Obsada *Mikado* zebrała się na pięterku, w małym pomieszczeniu nad barem, trochę mniej obarierkowanym. Rennie zabawiał trzy kobiety, które śmiały się do rozpuku, usłyszawszy puentę wyjątkowo sprośnego żartu. Szcherząc zęby jak idiota, posterunkowy spojrział na Logana.

- O, pan sierżant! Przedstawiam panu Sophie, Annę i Liz, moje niegrzeczne uczennice. Liz, posuń się, niech sobie sierżant kłapnie. - Dopełnił prezentacji, przedstawiając Logana jako „policyjnego bohatera”. - Załapał się pan na kawałek próby?

Logan upewnił się, że Insch go nie słyszy, zanim odparł:

- Na sam koniec, na przemowę inspektora. Niewinne kłamstewko.

- No tak...- Rennie spoważniał i pokiwał głową.- Dziś byliśmy beznadziejni. Naprawdę beznadziejni.

Anna - albo Liz, Logan nie był pewien - pacnęła go w ramię.

- Pieprzenie! Debs grała świetnie.

Wskazała poważną kobietę, siedzącą z boku i w tej chwili pogrążoną w rozmowie z Inschem. Logan nie od razu ją rozpoznał — z ciemnymi lo-

kami i zaróżowionymi policzkami zupełnie nie przypominała jędzowatej megieiry z teatru.

Jedna z dwóch pozostałych dziewczyn Renniego przewróciła oczami.

- Debs zawsze gra świetnie. Za to Eric...

- Jezu, nawet mi nie mów o Ericu!

Cała ich rozmowa zdawała się kręcić wokół wspólnych przedstawień oraz tego, kto z kim sypia. A Logan nie miał zielonego pojęcia, o kim mówią.

Godzinę i trzy piwa później udało mu się wreszcie wymknąć do domu. Wcześniej, ilekroć próbował wyjść, Rennie zawsze zdążył przynieść z baru następną kolejkę. Skończyło się na tym, że musiał się powołać na rzekomą randkę z Jackie, żeby go puścili. Nie chodziło o to, że aktorzy z zespołu inspektora byli złymi ludźmi; po prostu kompletnie nic go z nimi nie łączyło. Rennie i Insch stanowili, naturalnie, wyjątek, ale ich miał na co dzień w pracy.

Wspólny temat udało mu się znaleźć ze „świetną” Debs - rozmawiali o Nowej Zelandii i

Władcy Pierścieni, choć i w tym przypadku rozmowa obracała się wokół aktorstwa, plenerów i scenariuszy. Ale jeszcze bardziej ciekawa okazała się zawartość jej torebki, do której Logan miał okazję zerknąć, kiedy po oblaniu się winem Debs szukała chusteczki: puderniczka, szminka, komórka, książka lana Rankina, tampony, miętówki i coś, co wyglądało jak obszyte futerkiem kajdanki.

Ludzie są różni.

Północ. Szczęk i łomot przy drzwiach wejściowych, głośny chichot - i Jackie wparowała do sypialni. Logan jęknął, kiedy pstryknęła przełącznikiem i oślepiło go światło. Naciągnął kołdrę na głowę i słuchał, jak Jackie potyka się o sprzęty. Pstryk. Znow zrobiło się ciemno. Zimne ciało, chcąc się ogrzać, przyłgnęło do niego i przycisnęło lodowate dłonie do jego piersi.

- Aaa! Zabieraj je, ty potworze!

Jackie zachichotała i przywarła do niego jeszcze mocniej.

- Śmierdzisz jak gorzelnia! — sapnął.

- A tak! Jestem pijana. - Jackie prychnęła i wtuliła zimny nos w jego szyję. - Byłam bardzo, bardzo niegrzeczna. Chyba musisz mi dać klapsa.

- Masz stopy jak z lodówki!

- Mmm, uwielbiam, kiedy jesteś taki męski... I wskoczyła na niego.

Dziesięć po siódmej: poranna odprawa u Inscha szła pełną parą. Inspektor przysiadł na krawędzi biurka i basem wydawał polecenia, zagryzając kolejne zdania rodzynekami w czekoladzie. Jak ogromna, różowa

maszyna do jedzenia. Śledztwo za długo tkwiło w miejscu. Więc albo coś się zmieni, albo on wszystkim skopie tyłki.

Nie miały dużo roboty z tym kopaniem - po tym, jak dochodzenie zdegradowano do rangi śledztwa w sprawie nieszczęśliwego wypadku erotycznego, ekipę okrojono o ponad dwie trzecie i zesłano do mniejszej salki. Zostali Insch, Logan, Rennie i garstka mundurowych. Przy czym Logan tylko na pół etatu.

- A pan dokąd się wybiera? — zdziwił się Insch, widząc, jak sierżant wymyka się z pokoju po zakończeniu odprawy.

- Włamania. Pan nie chciał tej sprawy, więc padło na mnie.

- Ale nie dziś. - Inspektor pokręcił głową. - Dziś mam dla pana inną robotę.

Podał Loganowi foliową torebkę z narcystyczną kolekcją pornosów Fettesa.

- Co to jest?

- Steel od tego powinna była zacząć. Proszę to przejrzeć, może znajdzie pan tu człowieka, który przywiózł Fettesa do szpitala. Mogli razem pracować.

Kiedy Insch to powiedział, wniosek wydał się Loganowi oczywisty. Szkoda tylko, że miał spędzić cały dzień na oglądaniu denata uprawiającego seks. Marna perspektywa. Zwłaszcza że był obecny przy sekcji jego zwłok.

- Rozkaz.

- Tylko niech się pan spręży. O dziesiątej jestem umówiony z Mac-intyre'em. Potrzebuję kogoś, kto w razie potrzeby przypilnuje, żebym skurczybyka nie udusił gołymi rękami.

Logan chciał się poskarżyć, że dwie i pół godziny to trochę mało; obejrzenie sześciu filmów i przekartkowanie ośmiu pisemek, ale Insch pogroził mu palcem.

- Pewnie chciałby się pan poskarżyć? Nie radzę. Przed uduszeniem pana nikt mnie nie powstrzyma.

W pojedynkę nie miał szans wyrobić się z analizą kolekcji Fettesa pr/r< dziesiątą, zgarnął więc Rickardsa i zarekwirował pokój zawalony pudłami i torebkami na dowody rzeczowe. Kafelki na suficie żółkły jał

od nikotyny, pastelowa farba oblażyła płacami ze ścian, jarzeniówka bzy-czała i migiała bez przerwy — ale innego wolnego miejsca nie było. Teraz I brakowało im już tylko odtwarzacza DVD.

- Mam pomysł - powiedział Rickards i zniknął.

Logan został sam w zagrożonym pokoju. Klnąc na czym świat stoi, | zaczął przekładać kartony w jeden kąt. Zanim posterunkowy wrócił, wy-łgospodarował dość miejsca do pracy.

- Tylko niech pan nikomu nie mówi, dobrze? - Rickards postawił na |stole okazałych rozmiarów pudło. - Sierżantowi Mitchellowi powiedzia-ł, że musimy jeszcze raz zdjąć z nich odciski palców.

Z pudła wyjął całkiem nowe laptopy i małą drukarkę fotograficzną, agan był pod wrażeniem. Skąd...

- Z tego nalotu na burdel. Panienci udzielały się w pokazach na żywo ez Internet. — Rickards podłączył sprzęt. — Możemy na tym drukować opłatki z filmów.

Maszynaria ze świstem obudziła się do życia. Zadowolony z siebie po-unkowy pokiwał głową.

- Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz - mruknął Logan i na iybił trafił wybrał jeden z filmów.

Rickards wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Bogu dzięki.

Do dziesiątej zgromadzili nieduży stos portretów męskich porno-iriazdek. Szybko to poszło: przewijali film na podglądzie, wciskali pauzę 1"każdym razem, kiedy na ekranie pojawiała się jakaś nowa twarz, robi-nt ekranu na laptop, drukowali - i lecieli dalej. Oczywiście całkiem i aktorów się powtarzało. Trzech z nich można było od biedy uznać za obnych do człowieka z portretu pamięciowego. Należało tylko zmru-I oczy i zapomnieć o bródce.

I Na odwrocie zdjęć Logan zapisał tytuły filmów, po czym poszedł szu-llnscha.

Za pieniądze z piłki Rób Macintyre kupił sobie ogromny granitowy I przy jednej z bardziej ekskluzywnych przecznic Great Western Road ebme porsche 911; stało właśnie przy krawężniku. Stalowszarcie nie-odbijało się w karoserii. Według bazy danych Urzędu Komunikacji YUdziestojednoletni gwiazdor FC Aberdeen miał także mercedesa i audi pmbi, wszystkie na indywidualnych tablicach. Logan przyznał, że facet

wydaje pieniądze równie szybko, jak zarabia. Najwyraźniej lubił aberde-eńskągrę „Patrz, to moja bryka! Ależ mi się powodzi”.

Ubłocony rangę rover lnscha zdecydowanie nie pasował do tego miejsca. Inspektor siedział za kierownicą, zerkał na dom i chrupał miętówki.

- Widział pan, co piszą dzisiejsze gazety?

- To co zwykle. Chociaż miałem nadzieję, że znudzi im się w końcu obrzucanie nas błotem.

Nagłówek z pierwszej strony „P&J” krzyczał: POLICJA NIE POTRAFI ZŁAPAĆ OŚMIOLATKA MORDERCY! Czyli Colin Miller znowu w akcji, tym razem zarzucający policjantom, że własnego tyłka *znaleźć* nie potrafią,

a co dopiero mówić o Seanie Morrisonie. Materiał był wyjątkowo wredny, nawet jak na Millera.

Logan uchylił okno, wpuszczając do środka odrobinę świeżego powietrza. Samochód cuchnął mokrym psem.

- Co niby powinniśmy zrobić? Przekopać całe miasto? To, że ma osiem lat, nie oznacza, że...

Inspektor wyraźnie spochmurniał.

- Co się stało?

- Nie chodziło mi o tego zaginionego gówniarza, tylko o gwałt w Dun-dee! - Insch pokręcił głową i wysiadł. - Dalej, nie będziemy tak sterczeć cały dzień. Macintyre zgodził się nam łaskawie poświęcić całe dwadzieścia minut swojego cennego czasu. Nie zamierzam ich tracić na słuchanie pańskiego utyskiwania.

Drzwi otworzyła im prześliczna brunetka z mocno dekoncentrującym dekoltem. Miała dyndający między piersiami złoty wisiołek z rubinem, pierścionek zaręczynowy z kamieniem wielkości okrągłego lizaka i nogi jak tancerka na rurze. Modelowy przykład przyszłej żony piłkarza. Była w ciąży, chyba w czwartym miesiącu; biodrówki artystycznie podkreślały lekko wypukły brzuch. Stroju dopełniała kusa, głęboko wcięta koszulka i rozpięta bluzka. Kolczyk z rubinem w przekłutym pępku lśnił zachęcająco.

- Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie zostawicie go w spokoju! - powiedziała, prowadząc ich korytarzem. - Przecież on muchy by nie skrzywdził! Lepiej byście się zabrali do łapania prawdziwych przestępców, zamiast dręczyć mojego Roberta...

Wnętrze wyglądało jak z reklamy Ikei: minimalistyczne linie, jasne drewno, artystyczne zdjęcia, grafiki, muszle i dziwne przedmioty ze szkła w drewnianych ramach. Nic nie wydawało się prawdziwe, tak jakby cały dom był kupiony za jednym zamachem z katalogu, a nie wyposażony i urządzany przez lata. Nie miał duszy. Logan spodziewał się raczej tandety.

Macintyre czekał na nich w pokoju od frontu. Siedział z nogami opartymi na niskim stoliku, z puszką coli w jednej i telefonem w drugiej ręce; rozmawiał z kimś, po aberdeeńsku przeciągając zgłoski.

- Nogi! - burknęła na niego narzeczona.

Jak oparzony spuścił je na dywan, zastonił mikrofon i przeprosił. Logan nie miał okazji poznać go osobiście - widywał go tylko w sądzie, w telewizji i na boisku. Spróbował sobie wyobrazić, jak ten wstrętny typ rzuca na ziemię dziewczynę z Dundee i tnie japo twarzy.

Jeśli naprawdę on to zrobił, to Jackie słusznie się wściekała: zasłużył na to, żeby ktoś solidnie go skopał. Logan patrzył, jak Macintyre spokojnie wraca do przerwanej rozmowy. A na straży jego bez troski stał Sandy Moir--Farquharson, zwrócony plecami do olbrzymiego tropikalnego akwarium, z taką miną, że Logan miał ochotę obejrzeć sobie podeszwy butów, czy na pewno w nic nie wdepnął.

- No proszę, pan Farquharson - powiedział Insch, starannie wymawiając nazwisko adwokata zgodnie z pisownią: Far-kuar-son, w dziecinnej próbie rozdrażnienia przeciwnika. - Macintyre nie uprzedził nas, że pan też przyjdzie. Niezmiernie miło mi pana widzieć.

- Niech pan sobie daruje ten teatrzyk amatorski, panie Insch - prychnął Wąż. - Nie jestem w nastroju. Mój klient zgodził się z wami porozmawiać, ponieważ nie życzy sobie, żebyście jak zwykle wyciągnęli jakieś kretyńskie wnioski z tej napaści w Dundee. Nie wolno wam jednak przesłuchiwać, poniżać ani zastraszać pana Macintyre'a. Czy to jasne?

Krew napłynęła inspektorowi do twarzy.

- Nie będzie mnie pan pouczał, jak mam rozmawiać z podejrzanym!

- Niech pan to sobie wreszcie wbije do tej różowej, tępej pały: pan Macintyre nie jest podejrzanym. Ostatnią żalostną próbą wrobienia mojego klienta w gwałt skompromitowaliście się w sądzie. Co więcej...

Zaskrzypiały otwierane drzwi. Do pokoju weszła matka Macintyre'a, popychając wózek z herbatą i ciasteczkami.

- Już dobrze - wtrącił się Macintyre, kpiąco przeciągając zgłoski. Jego matka

rozdawała tymczasem filiżanki i spodeczki. - Odpuść mu. Taką ma pracę.

Kiedy odłożył telefon, Logan dostrzegł w jego uchu wkrętkę z rubinem, czerwoną jak wisiorek jego narzeczonej - i jak barwy klubowe FC Aberdeen. Jak krew. Nagle odniósł wrażenie, że piłkarz zwyczajnie przegina, przesadza z odgrywaniem dobrodusznego prowincjusza przepytywanego przez złego i okrutnego policjanta.

Macintyre wskazał Inschowi miejsce na drogiej, eleganckiej kanapie.

- Słucham, inspektorze. Śmiało. Postaram się panu pomóc.

Waż nie był tym chyba zachwycony, ale nic nie powiedział. Inspektor usiadł, wyjął z kieszeni gazetę i położył ją na lśniącym stoliku tak, żeby piłkarz mógł bez trudu przeczytać nagłówek: *GWAŁCIELE NAŚLADOWCA UDERZA W DUNDEE!*

- Chciałbym się dowiedzieć, gdzie pan był w piątek wieczorem.

- Proszę bardzo. Byłem z Ashley, prawda, skarbie? Logan zauważył, że narzeczonej odruchowo sięgnęła do wisiorka z rubinem. Kiwnęła głową.

- Tak, to prawda. Całą noc byliśmy razem. - Posłała policjantom olśniewający uśmiech. - Chrapał, jakby drewno piłowali.

- Nie słuchajcie jej, ja nie chrapię.

- Właśnie że chrapiesz, ty...

Insch przerwał tę uroczą domową sprzeczkę:

- Gdzie? Gdzie państwo spędziliście noc?

- W łóżku — odpowiedział Macintyre.

- W mieście — odparła równocześnie z nim Ashley. *Zaraz jednak zaczerwieńnięła się i rzuciła w przyszłego męża poduszką.* - Poszliśmy na piwo, kupiliśmy kolację na wynos i resztę nocy spędziliśmy już tutaj.

- *Zgadza się* - dodała matka piłkarza, podając ciasteczka z nadzieniem i herbatniki. - Byłam w domu, kiedy wrócili. Insch wytrzeszczył oczy.

- Proszę mi nie mówić, że pan Macintyre nadal mieszka z mamusią!

- To ja mieszkam z nim, nie on ze mną. Mój Robby kupił ten dom od ręki, bez kredytu. Ilu synów stać na coś takiego?

Insch zapytał, w którym pubie byli i gdzie kupili kolację. Logan wszystko notował, spodziewając się, że inspektor każe mu sprawdzić alibi Macintyre'a.

- Jeżeli to wszystko, panie inspektorze...- wtrącił się adwokat. -Wydaje mi się, że mój klient łaskawie poświęcił już panom wystarczająco dużo czasu. Dalsze pytania może mi pan przesłać na piśmie. Przekażę panu odpowiedzi pana Macintyre'a.

- Tak pan myśli?

Insch dźwignął się z obitej skórą kanapy i stanął nad Moir-Farquhar-sonem, jakby chciał go zastraszyć swoimi gabarytami. Wąż nawet okiem nie mrugnął.

-- Każdą próbę bezpośredniego kontaktu z moim klientem potraktuję jako nękanie. Biorąc pod uwagę pańskie niedawne wybryki, przypusz-

czam, że sąd chętnie wyda panu *zakaz* zbliżania się do pana Macintyre'a. Nie uważa pan?

Wybuch nastąpił w samochodzie. Inspektor zamknął drzwi i okna i za-| czął złorzeczyć całemu światu. Logan stał na chodniku i wcale nie spieszyło mu się z powrotem na komendę. W końcu Insch ochłonął, wykonał swo-| je ćwiczenie z oddychaniem przez nos i mierzeniem pulsu, otworzył drzwi po stronie pasażera i kazał sierżantowi wsiadać, bo przecież nie mogą tak sterczeć cały dzień.

Jak na niedzielny poranek ruch był wyjątkowo duży i inspektor przez całą drogę powrotną mamrotał złowrogo pod nosem.

- Panie inspektorze... Dobrze się pan czuje?

Insch łypnął na Logana wściekle i odparł, że nie, wcale się dobrze nie czuje, do cholery. Zapadło krępujące milczenie. Logan postanowił spróbować innego podejścia:

- Te filmy Fettesa... Mamy trzech ludzi, którzy pasują do portretu pamięciowego. Inspektor uśmiechnął się bez entuzjazmu.

- Naprawdę? Nazwiska też?

- Tylko pseudonimy, jak to w tej branży. - Logan wyjął z kieszeni trzy błyszczące wydruki. - Będziemy musieli o nich zapytać reżysera.

Insch wziął od niego zdjęcia i zerkał na nie, przytrzymując je przy kierownicy.

- Widzi pan? - Oddał fotki Loganowi. Humor wyraźnie mu się poprawił. - Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd prowadzę tę sprawę, i już są wyniki. — Zawrócił i słuchając wskazówek Logana, ruszył do Clark-Rig Training Systems Ltd. - Niech pan zajrzy do schowka na drzwiach, powinny tam być jakieś toffi...

Matka Zandera Clarka pucowała biurko, kiedy Logan z Inschem weszli do recepcji.

- O rany... - mruknęła na widok inspektora. - Ale z pana kawał chłopa...

- Zastaliśmy pani syna? - spytał Logan, zanim zdążyła wpakować ich wszystkich w kłopoty.

- Słucham? A tak, tak... Zwykle niedziele mamy wolne, ale Zander zawsze jest bardzo podekscytowany, kiedy kręci coś nowego. Wejdźcie panowie, proszę. - Wskazała na granatowe drzwi w głębi korytarza. - Tylko cicho, bo filmują.

Studio było ogromne - można by w nim zaparkować cztery albo pięć piętrusów i jeszcze zostałyby miejsce dla orkiestry. Zbudowano w nim plan filmowy, który prawdopodobnie miał przedstawiać fragment sektora mieszkalnego platformy wiertniczej: trzy pokoiki z kojami, prysznic i kawałek korytarza oświetlone zawieszonymi u góry potężnymi reflektorami. Logan był jednak przekonany, że dziś nie kręci się tu instruktażu BHP -chyba że tytuł filmu brzmiał *Jak uniknąć zakażenia chorobami wenerycznymi przenoszonymi przez lesbijki z rodu Wikingów*.

Obaj z Inschem stanęli jak wryci, patrząc na mężczyznę w pomarańczowym kombinezonie. Wszedł do pokoju, w którym dwie tlenione blondyny - włosy zaplecione w warkoczyki i niewiarygodnie wielkie piersi - wspomagając się żelem poślizgowym, zawierały bliższą znajomość z dwustronnym gumowym fiutkiem. Facet ze steadicamem obszedł dookoła mężczyznę w kombinezonie, zatrzymał się dokładnie za jego plecami i zogniskował kamerę na łóżku i kobietach.

- Cięcie! - Zander Clark wstał przed monitorem i wkroczył na plan. -Brian: doskonale. Claire, Gemma... Więcej energii! - Przysiadł obok kobiet na łóżku. — Posłuchajcie: wy się macie cieszyć życiem! Pięćset lat przesiedziałyście w lodowych jaskiniach Ragnaroku, zanim wreszcie udało się wam wyjść! Jesteście wolne!

Dziewczyny spojrzały po sobie.

- Wiesz, Zander... To nie takie łatwe cieszyć się życiem z gumową pyłą w...

- Ragnarok to wydarzenie! - zadudnił Insch, aż echo poszło. - Nie miejsce.

Dźwiękowiec odwrócił się i widząc intruzów, szturchnął reżysera mikrofonem.

- Ma pan gości.

- Jak pragnę zdrowia! - Zander zamachał rękami. - Plan jest zamknięty! Tu nie wolno wchodzić! - Zawahał się i spojrzał pytająco na Logana. - My się chyba znamy?

Insch skinął głową.

- Sierżancie? Proszę pokazać temu miłemu panu odznakę. Zander pstryknął palcami.

- No tak! Był pan tu razem z tą inspektorem, prawda? Brzydka, pomarszczona wiedźma, która uważa, że filmy erotyczne to coś poniżej jej godności. Przyjechaliście panowie w sprawie

włamania? - Podał rękę Inscho-wi. - Zander Clark, przez „Z”.

Logan miał rację: reżyser nie był aż tak gruby i wysoki jak inspektor, ale niewiele mu brakowało. Nikt by ich nie odróżnił, gdyby nie włosy, broda i okulary.

Insch uściśnął mu dłoń, aż Zander skrzywił się z bólu.

- Chcemy z panem porozmawiać o pańskich pracownikach.

- No dobrze... - Zander cofnął rękę i wcisnął ją pod pachę, po czym odwrócił się do ekipy. - Przerwa! Jesteście dzisiaj świetni! Był znacznie bardziej przekonujący niż Insch w teatrze.

- Powiem wam coś w zaufaniu — dodał półgłosem, zwracając się do Inscha i Logana, podczas gdy panie na łóżku odpięły się od gumowego łącznika i otuliły puchatymi, różowymi szlafroczkami. - Czasem ta robota przypomina żonglowanie gromadą wściekłych kotów.

- Świetnie pana rozumiem. - Inspektor pokiwał głową. -1 pewnie połowa z nich nie potrafi zapamiętać swoich kwestii.

Zander uśmiechnął się, wziął go pod ramię i poprowadził do opartego na kozłach blatu z termosami, ciastkami i kanapkami.

- Boże, gdybym dostawał po funcie za każdego dubla! Umieją najwyżej zawołać „Aaach!”, „Oooch!” i „Mocniej!”, ale jak da im się jakiś bardziej złożony tekst, to można na to stracić cały dzień. Ma pan coś wspólnego ze sztuką, inspektorze?

- W skali lokalnej. Musicale, czasem jakaś pantomima...

- Właśnie! - Clark grzmotnął Inscha w plecy. - Wiedziałem, że skądś pana znam! *Aladyn*, dwa lata temu. Grał pan złego stryja Abanazę. Kapitalna rola.

- Nie wydaje mi się...

- Nie, nie, proszę nic więcej nie mówić. Nadał pan tej roli głębię emocjonalną, a to niełatwe, kiedy maluchy na widowni co chwila krzyczą: „Uważaj! Jest za tobą!”

Logan odszedł od nich, zanim zaczęli dyskutować o różnicach metody aktorskiej w porno i pantomimie.

Obsada i ekipa podzieliły się: dźwiękowcy, kamerzyści, charakteryzatorzy i oświetleniowcy zaszyli się w jednym z pokojów na planie, aktorzy tymczasem opuścili plan, żeby spokojnie zapalić i porozmawiać o *EastEn-derach*. Logan postanowił najpierw zagadnąć aktorów.

- Przepraszam bardzo...

Skandynawskie Amazonki jednocześnie odwróciły się w jego stronę. Z bliska mógł zauważyć niesymetryczne rysy twarzy i maskującą defekty skóry warstwę podkładu: zwyczajne, blade kobiety ucharakteryzowane

na kogoś, kim z pewnością nie są. Zresztą Pan Pomarańczowy Kombinezon też nie wyglądał jak z obrazka.

- Wybacz, skarbie - powiedziała Gemma, strząsając popiół z papierosa. - Jesteśmy w pracy. Nie mamy teraz czasu dla fanów. Logan pokazał jej odznakę.

- Co za zbieg okoliczności: ja też jestem w pracy.

Dziewczyny cofnęły się odruchowo, za to Pan Kombinezon łypnął na niego groźnie. Mierzył niecałe metr sześćdziesiąt i Logan domyślał się, że nie dla wzrostu go zatrudniono.

- Nie dotarło? My tu pracujemy! - Naprężył mięśnie i zrobił mini,¹ prawdziwego twardziela. - Spadaj!

Logan spojrział mu w oczy i odczekał, aż Pan Kombinezon spuści wzrok i cofnie się do swoich Amazonek. Rozdał im zdjęcia aktorów z kolekcji Jasona.

- Znacie tych ludzi?

- Rany! - Pan Kombinezon podniósł pierwszą fotkę do oczu, odwrócił ją, przeczytał tytuły filmów. - To ja. Kurczę... Claire? Pamiętasz *Siedem wspaniałych*... ?

- Jasne! *Najszybszy vibrator na Dzikim Zachodzie!* Przez tydzień nic mogłam normalnie

chodzić! - Claire wzięła zdjęcie od Pana Kombinezon;! i parsknęła śmiechem. -Ależ był z ciebie tłuścioch, Brian!

Logan zajrzał do papierów: odchudzony Pan Kombinezon w niczym nie przypominał mężczyzny z portretu pamięciowego. Ale dla porządku zapytał Briana, co robił tamtej nocy, kiedy zamordowano Fettesa.

- Urlopowalem w Eurodisneylandzie. Wyrwaliśmy się tam z mojądzicw-czyną jej dzieciakiem.

Całe dwa tygodnie chodziłem nawalony jak szpak. To łatwo da się sprawdzić.

- A tamci dwaj?

Gemma rozpoznała aktora z *Pozdrowień z gumką*:

- To Frank Garvie. Chyba robi w komputerach... A ten... - Przyjr/u« i ła się ostatniemu wydrukowi.- Mat McEwan. Nie żyje. Przedawkowu] w święta. Szkoda chłopaka, fajny był.

Logan podziękował, po czym na wszelki wypadek zadał jescz/c 10 same pytania kamerzystom - ale wyglądało na to, że gwiazdy nie kłamin Kiedy wrócił do stolika z przekąskami, Insch i Zander zaśmiewali sic <In rozpuku, popijając kawę i opychając się ciastem.

- Chodzi o to, żeby zaskoczyć widza- tłumaczył reżyser, prycludi-i¹ lukrem. - W takim filmie nie można postawić tylko na seks, seks, seks, m > trzeba jest prawdziwy przekaz emocjonalny. Film musi mieć ducha! I >I.i

I tego sam nigdy nie występuję. W moich filmach nie ma zboczeń, poniżania |kobiet, przemocy... - Przełknął kawałek strucli. - Owszem, czasem jakieś Mazanie, jakiś klaps, tyle że wszystko za zgodą partnerów. I hetero. Insch otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, Logan był jednak szybszy:

- A *James Bondage* i zakonnica z plastikowym penisem?

- No bez przesady: to też hetero. Zakręcone, ale hetero. Innych nie obie.

- Nie? A te dwie dziewczyny, te... z Ragnaroku?

Clark uśmiechnął się wyrozumiale i poklepał Logana po plecach.

- Dziewczyna z dziewczyną to nie homo. To czysta erotyka.

- Aha... rozumiem... Panie inspektorze? Udało mi się zidentyfikować ktorów z filmów Fettesa: jeden nie żyje, drugi jest tutaj, na planie, a trzeci ok temu wycofał się z branży.

Clark rzucił okiem na wydruki.

- A, Frank... Trema go zjadła. Duch był chętny, lecz ciało niesko-je. Zatrudnił się w firmie komputerowej w Bridge of Don. Zaprojektował szą stronę WWW. Nie wiem, czy to pomoże, ale powinienem gdzieś tu mieć jego wizytówkę...

Insch zapewnił go, że bardzo by im się przydała. Clark zabrał ich do epcji i na firmowym papierze zanotował im oba adresy Garwiego - dołowy i służbowy.

- No, ja muszę wracać na plan, ale na pożegnanie mam jeszcze coś i pana - powiedział do inspektora i z pudła pod biurkiem wyłowił pły-DVD. - *Crocodiido Dundee*, moje arcydzieło. Chętnie usłyszę pana pinię. Naprawdę, to bardzo miłe móc z kimś dla odmiany porozmawiać prawdziwej sztuce.

Odprowadził ich do drzwi, pożegnał się najpierw z Inschem, a potem aganem, do którego mrugnął porozumiewawczo.

- Proszę pamiętać, sierzancie: zakręcone, ale hetero.

Pochłonięty lekturą informacji na okładce filmu Insch dał Loganowi kluczyki.

- Wie pan co, sierżancie? - zagadnął, kiedy Logan prowadził opor-ego rangę rovera przez ulice, na których w niedzielę w porze lunchu nie

było wielkiego ruchu. — Zawsze chciałem pracować w tej branży. Może nie dokładnie w takiej jak Clark, ale w prawdziwych filmach, z kamerami, oświetleniem, klapsami...

Pierwszy raz w życiu Logan usłyszał tęskne westchnienie Inscha.

- Nie uważa pan, że facet jest trochę podejrzanym? - spytał, skręcając w King Street. - We wszystkich jego filmach musi być seks analny i wibratory. To jakaś obsesja.

- Do czego pan zmierza?

- Jason Fettes: krwotok wewnętrzny, poszarpany zwieracz, przemieszczenie organów... - Wcisnęli się między autobus a brudną zieloną ciężarówkę. - No i kiedy przyjechaliśmy do niego ze Steel i pokazaliśmy mu zdjęcie Fettesa, nie zapytał, co Jason zrobił.

Insch zmarszczył brwi i zaczął grzebać w schowku na desce rozdzielczej - lawina papierków po słodyczach spadła na podłogę.

- Nie wszyscy pytają- stwierdził, wkładając toffi do ust. - Za dużo czasu spędza pan z inspektor Steel. To źle robi na głowę.

Nie zastali Franka Gandego w domu, pojechali więc do niego do biura. Kompleks Aberdeen Science and Technology Park wybudowano w Bridge of Don w wąskim pasie zieleni, wśród drzew. Parkingi ziały pustką, oprócz dosłownie paru samochodów dostrzegli tylko pasące się na poboczu stadko saren. Firma Garwiego wynajmowała dwa pokoje w jednym ze skrzydeł Davidson House - biurowca w kształcie rozgwiazdy, na końcu kampusu 1. Sam Garvie nie przypominał gwiazdora porno: lekko zaokrąglony, tysięjący, ogolony, w krawacie. Nie było widać tatuażu z krukiem i czaszką na podrygujących w *Pozdrowieniach z gumką* pośladkach. Cóż, to nie tego typu biuro.

Inni pracownicy wyszli na lunch, mieli więc całe biuro do swojej dyspozycji: kilka boksów ozdobionych kwiatkami w doniczkach, plastikowymi Dartami Yaderami i komiksami z Dilbertem. Żaluzje były zaciągnięte, żeby promienie słońca nie odbijały się od monitorów. Garvie z nerwowym uśmiechem patrzył, jak inspektor sadowi się na krześle i taksuje biuro wzrokiem.

- Widzę, że na dobre rozstał się pan z branżą porno?

- Właściwie tak... Wolałbym, żeby ludzie nie wiedzieli o mojej przeszłości. Mam tu dobrą pracę...

- Jako informatyk.

- Pensja jest wyższa, w weekendy płacą mi za nadgodziny. A poza tym... no...

Insch wpatrywał się w niego bez słowa, czekając, aż Garvie poczuje i się skrępowany ciszą i podejmie wątek. Nie musiał czekać długo.

- Nie mogłem już tak dalej, rozumie pan? Miałem problemy z erekcją. Nie stawał mi. Próbował pan kiedyś bzykać dwie dziewczyny naraz na oczach tłumu ludzi? Kamerzystów, dźwiękowców, oświetleniowców; ktoś ciągle pokrzykuje, udziela wskazówek... To nie takie proste. - Założył ręce na piersi, przygryzł wargę. - No i jeszcze... Jak by to... — Zakłopotane kaszlnięcie. - Wiecie, kto to jest gay-for-pay? Hetero, który gra geja, za kasę. No więc ze mną było odwrotnie.

- I nikt o tym nie wie. Garvie zwiesił głowę.

- Paru znajomych tak, ale nie rodzice. I nie ludzie stąd, z firmy. Dlatego nie chciałem...

rozumiecie panowie... - Wzruszył ramionami.

- Proszę się nie obawiać, umiemy być dyskretni. Prawda, sierżancie? To był znak dla Logana.

- Gdzie pan był w poniedziałek, cztery tygodnie temu?

- Cztery tygodnie temu... Zaraz... - Garvie zajrzał do kalendarza--reklamówki ze *Star Treka*. - W domu, tak mi się wydaje... W poniedziałki zwykle mam sesje RPG, ale wtedy coś złapałem i leżałem w łóżku.

- Czy to „coś” miało jakieś imię? - spytał z uśmiechem Insch. Garvie się zaczerwienił.

- Nie byłoby sensu... ja ciągle nie mogę... - Odchrząknął i spojrzał na kapitana Kirka walczącego na arenie ze Spockiem. - Jestem impotentem.

- Rozumiem. Czy ktoś może potwierdzić, że był pan wtedy chory?

- Nie, chyba że wystarczy wam mój kot. A co ja niby zrobiłem?

- Zna pan niejakiego Jasona Fettesa?

- Nie — odparł bez namysłu Garvie.

- Naprawdę nie? - Logan pokazał mu jeden z filmów. - To ciekawe... Razem graliście w *Pozdrowieniach z gumką*.

- No tak... - Garvie nie odrywał wzroku od Kirka i Spocka. - Ale jak się pracuje w takim filmie, to nie zawsze jest okazja poznać osobiście...

- A podwójna penetracja aktorki o pseudonimie Misty w waszym wykonaniu? Fettes był na dole, jeśli można tak powiedzieć. Cisza. I po chwili:

- Wolałbym o tym nie mówić.

Insch poczęstował się cukierkiem z leżącej na biurku otwartej paczki.

- To ma pan pecha.

- On... — Westchnienie. - Zrozumcie panowie, naprawdę niełatwo mi o tym mówić. Widziałem gazety, ale...

- Ale nie zgłosił się pan do nas, żeby go zidentyfikować.

- Chciałem to zrobić! Tylko...

Znowu cisza.

Pod pachami Gandego rysowały się coraz większe ciemne plamy; woń przetrawionego curry biła z niego jak trujący opar. Wiercił się niespokojnie, patrzył to w sufit, to na własne dłonie, to na startrekowy kalendarz, byle tylko nie spojrzeć policjantom w oczy. Choćby się starał, nie mógłby im się wydać bardziej winny.

- Nie myślałem... że to coś zmieni... - Otarł pot z czoła i wytarł rękę w spodnie. — Po prostu czasem pracowaliśmy razem, to wszystko.

- Spotykaliście się na gruncie towarzyskim? Nerwowo młynek palcami.

- Ja... raczej nie... jak by... — Cały czerwony. — Bo my... to znaczy: on... Widywaliście się... - Przełknięcie śliny. - Na imprezach.

- Jakich imprezach?

- BDSM.

Insch zmarszczył brwi.

- A co to niby...

- Wiązanie, dominacja, sadomasochizm - wyjaśnił Logan. - Z tego, co wiemy, wynika, że Fettes mocno siedział w tym środowisku.

Zapanowało niezręczne milczenie, przerwane dopiero kasznięciem Gandego. Wyłamał palce i mówił dalej:

- Kiedy zaczęły się moje... problemy, próbowałem... no... to czasem pomagało. To nie... - Wziął się w garść. - Chodziliśmy na imprezy, głównie do Ellon albo do Cults; parę razy byliśmy w Westhill. Oni tam mają Czarny Pokój. Najczęściej to jest taka zwyczajna

sypialnia... Tylko z wyposażeniem, poduszki i tak dalej... Zaciemnione okna. Miałem taki lateksowy, czerwony superkostium, robiony na zamówienie, z Kastleya. To najlepsza marka. Szkoda, że już się w niego nie mieszczę... - Garvie odetchnął głęboko. - Imprezy z założenia są anonimowe, ale wiedziałem, jak się Jason... No i czasem spotykaliśmy się... - Przerwał i wzruszył ramionami.

- Jason był gejem?

Niewiele brakowało, żeby Garvie parsknął śmiechem.

- To nie tak. Gej, hetero... Nie o to chodzi. Nie rozumiałby pan.

- No dobrze. Spotykaliście się z Jasonem na imprezach BDSM i uprawialiście seks. Dlaczego powiedział pan, że go nie znał?

-- A jak pan myśli? W każdym razie na pewno nie zrobiłbym mu krzywdy. Jasne?

Logan pochylił się nad biurkiem i wyrozumiale położył dłoń na ramie-[niu Gandego.

- Nawet gdyby cię o to poprosił? Gdyby tego chciał? Czy nie tak ¹ właśnie było, Frank? Chciał, żebyś go skrzywdził, a ty po prostu prze- sadziłeś?

- Nie! Wiedziałem, że tak będzie, że będziecie się czepiać. To nie ja.

- Wypadki się zdarzają, Frank. My to rozumiemy.

- Ja tego nie zrobiłem! Od miesiąca nie widziałem się z Jasonem!

- Zmarł cztery tygodnie temu. Gande zerwał się na równe nogi.

- Ja tego nie zrobiłem!

- Spokojnie, Frank...

- Nie wrobiecie mnie! Jestem niewinny! - Startł pot z twarzy. - To nie fair!

- Nie fair? - obruszył się Insch. - To może ja ci powiem, co jest nie fair: kiedy młody człowiek leży w kostnicy, a jego morderca dalej chodzi po świecie. To dopiero jest nie fair.

Garvie cały się trząsał.

- Żądam adwokata.

- Nie wątpię. Sierżancie? Proszę zabrać pana Gandego do samochodu. Przejedziemy się.

Gande usiadł z tyłu z Loganem, który miał go pilnować. Insch włączył blokadę zamków i pojechali do miasta. Niebo pociemniało, wiatr porywał pianę ze stalowoszarych grzywaczy, kiedy jechali nadmorską esplanadą.

Nieliczni twardziele spacerowali z psami; wiatr tarosił ich kurtki i płaszcze. Pole golfowe Kings Links świeciło pustkami, podobnie jak ulica o dziurawej nawierzchni. Nowy pasażer rangę rovera siedział skulony, strzelał oczami na boki, drżał i cicho pojękiwał. Pocił się obficie. Nie miał ochoty na rozmowę.

- Nie utrudniaj życia nam i sobie, Frank - perswadował Logan. - Po prostu porozmawiaj z nami.

Gande bez słowa odsunął się od niego najdalej, jak mógł, i wcisnął w drzwi. Logan dał sobie spokój; westchnął i zaczął podziwiać widoki. Od strony morza miejsce pola golfowego zajęła strzelnica, oddzielona od ulicy zdewastowanym torem do minigolfa; przez szparę w chmurach na zdobiące go cztery białe, pordzewiałe kotwice i kruszące się bryły betonu padały złote promienie słońca. Na wyłysiałym spłachetku trawy mały chłopiec popychał kijem piłeczkę golfową, nie przejmując się złowrogimi chmurami

i wściekle wyjąłym wiatrem. Logan mu zazdrościł: chciałby znów być tak niewinny i bez...

- Niech się pan zatrzyma!

Inschowi nie *trzeba* było tego dwa razy powtarzać: od razu wgniół pedał hamulca w

podłogę. Rangę rover zahamował z piskiem opon. Logan szarpnął klamkę.

Daremnie.

- Przeklęta blokada!
- Ale o co cho...
- Proszę mnie wypuścić!
- Sierzancie?!

Logan nacisnął guzik, otworzył okno, wystawił przez nie rękę i otworzył sobie drzwi od zewnątrz. Insch odpiął pasy.

- Co się stało?!

Logan wyskoczył z wozu i pognał na złamanie karku w dół stromego zbocza, w stronę kotwicy wytyczającej północny skraj minigolfowego poletka.

- Morrison! - odkrzyknął przez ramię. - Niech pan wezwie posiłki!

Omali się nie przewrócić przy skoku przez krzew kolcolistu - pośliznął się na trawie, ale zamłócił rękami i udało mu się nie stracić równowagi. Chłopiec, odwrócony plecami do niego i pochylony nad kijem, zapomniał o bożym świecie, usiłując wtoczyć piłeczkę do starej rury odpływowej. Podniósł wzrok dopiero w ostatniej chwili, tuż przed tym, jak Logan go staranował i razem runęli na ziemię. Dzieciak wrzasnął przeraźliwie, kiedy zdyszany sierżant wcisnął mu twarz w mokrą trawę i sięgnął po kajdanki.

- Seanie Morrison... aresztuję cię... za zabójstwo... Jerry'ego Cochrane'a...

Z tyłu ktoś krzyczał.

- ..oraz próbę zabójstwa... posterunkowej Jess Nairn. Nie ruszaj się! Nie musisz nic mówić, ale zatajenie podczas przesłuchania faktów...

Gniewne głosy rozbrzmiewały coraz bliżej. Sean się szarpał. Logan przydusił go kolanem, starając się nie cieszyć zbytnio z okrzyku bólu. To gnojka odczyt kopania policjantów po głowie.

- ...na które chciałbyś się później powołać w sądzie, może ci utrudnić obronę...

- Puść go!

- Wszystko, co powiesz, zostanie zaprotokołowane. - Logan wyjął odznakę i pokazał ją rozwścieczonemu mężczyźnie, który pędził w jego stronę, i biegnącej za nim kobiecie. - Policja! Nie zbliżać się! Sytuacja jest pod...

Pięść trafiła go w policzek. Głowa odskoczyła mu w bok i Logan runął | w trawę. Nie zdążył wstać, kiedy mężczyzna skoczył na niego i wyrznął go f w skroń. W uszach mu zahuczało. Ledwie słyszał krzyk kobiety.

Chwytał napastnika za jądra, z całej siły, jakby chciał je zmiażdżyć. | | ukręcić przy okazji. Facet zsiniał na twarzy, z ust pociekła mu strużka śli-| ny. Logan zepchnął go z siebie, podniósł się chwiejnie i kopnął go w tyłek. Mężczyzna wyciągnął się jak długi. Sierżant zatoczył się, złapał równowagę i usiadł ciężko na kole atrapy armatniej lawety między drugim a trzecim dołkiem.

- Krzyczałem... - stęknął, czując w ustach metaliczny smak krwi. - „Policja! Nie zbliżać się!” Którego kawałka... pan... nie zrozumiał?

- Ty łobuzie! - Kobieta splunęła na niego.

Logan podniósł odznakę leżącą w trawie obok nóg Seana i pokazał jej.

- Policja!

Oparł dłonie na kolanach, próbując opanować mdłości. Zapłakana kobieta podbiegła do chłopca. Pomogła mu wstać, obcałowała go po czole i policzkach, a potem podeszła do Logana - i dała mu w twarz.

Miała lepszy prawy sierpowy niż ten facet.

- Ty łajdaku! Ty pieprzony łajdaku!

Na następny cios Logan był już przygotowany: złapał ją za rękę i gwałtownie

szarpnął. Straciła równowagę, poleciała na lawetę, między koła, i upadła przed trzecim dołkiem. Jęknęła cicho.

- Co się z wami dzieje, ludzie?! - Poderwał się. - Jestem policjantem! Ten dzieciak jest podejrzany o morderstwo! Auć!

Poczuł ból w ustach: upadając, ugryzł się w policzek. Splunął krwią na ziemię.

Rangę rover Inscha zatrzymał się przy pustej budce, w której w sezonie wypożyczano kije i piłki do minigolfa. Inspektor wyskoczył z wozu, zamknął go pilotem - skuty Garvie został w środku - i zdumiewająco szybkim krokiem ruszył w stronę Logana.

- Dorwał go pan? Logan kiwnął głową.

- Tam jest.

Skrzywił się i pomacał palcem w ustach. Ząb mu się ruszał.

Insch podniósł chłopca. Ośmioletni morderca płakał jak bóbr i bełkotał bez opamiętania; smarki i łzy płynęły mu po twarzy. Logan wyjął palec z ust.

- O kurwa...

To nie był Sean Morrison.

20

W gabinecie komendanta nie było szczęśliwych ludzi. Inspektorowie Steel i Insch siedzieli obok siebie przed biurkiem, za którym tronował „Bóg” we własnej osobie, stukając palcami w oficjalną skargę, złożoną przez rodzinę chłopca. Hrabia Nosferatu - czyli inspektor Napier: rudy, wredny i paskudny szef Wydziału Wewnętrznego - czał się przy oknie, zerkając nieprzyjaźnie na Logana relacjonującego wydarzenia, które doprowadziły do tej kolejnej katastrofy. Wcześniej kazali sierżantowi czekać pod drzwiami przez blisko godzinę, zanim zdecydowali, co z nim zrobić. Duży Gary stawiał się na zebranie jako przedstawiciel związku - a więc sprawa była poważna. Najprawdopodobniej zamierzali go wylać.

Czuł na sobie świdrujące spojrzenie Napiera; oczy inspektora wbijały mu się w plecy jak para kuchennych noży. Od czasu Potwora z Mastrick Napier wyłaził ze skóry, żeby uprzykrzyć mu życie; próba udupienia sierżanta McRae stała się jego ukochanym zajęciem. To mu się spodoba: Lo-gan przeszedł do gróźb wytoczenia procesu, jakimi straszili policję rodzice dziecka, i na tym zakończył swoje wyjaśnienia. Przez chwilę ciszę mąciło tylko metaliczne pbrzękiwanie kaloryfera pod oknem.

- Pan naprawdę myślał, że to Sean Morrison, sierżancie? - zapytał w końcu komendant.

- Tak, panie komendancie.

A może będzie miał fart i skończy się na zawieszeniu?

- Zdecydował się pan na użycie siły, ponieważ pana zdaniem chłopiec jest niebezpieczny? - Komendant zetknął dłonie czubkami palców. - Oś-miolatek?

- Kiedy poprzednio próbowaliśmy go złapać, pchnął policjantkę nożem, panie komendancie. Niewiele wcześniej zabił...

- A wy pozwoliliście mu uciec. - Napier. Głos jak okrucieństwo lodu. -Gdyby nie pański... „szczególny stan”, sierżancie, posterunkowa Nairn nie musiałaby przychodzić panu z pomocą, prawda?

Logan nie odpowiedział, a inspektor dalej się z niego natrzęsał:

- Ale przecież chyba nawet pan powinien sobie poradzić z ośmiolatkiem.

Komendant uciszył go gestem.

- Zdaje pan sobie sprawę, że za coś takiego rzucą nas lwom na pożarcie? Nie dość, że policja z Grampian nie umie złapać ośmioletniego

mordercy, to jeszcze działamy na oślep i napadamy na Bogu ducha winne dzieci i ich rodziców!

- Rodzice sami się na mnie rzucili! Ja tylko... Komendant mu przerwał:

- Czy pan wie, jak bardzo niekompetentni musimy się wydawać po czymś takim?

Logan uznał, że to pytanie retoryczne, komendant jednak wpatrywał się w niego wyczekująco.

- Myślałem, że to Sean Morrison - powtórzył w końcu. Ciężkie westchnienie.

- I tylko dlatego nie zostanie pan zawieszony. Ale jeśli jeszcze kiedyś przyjdzie panu do głowy aresztować dziecko, niechże pan wybierze to właściwe, na litość boską!

Gdyby ktoś pytał, powiedziałby, że pracuje nad sprawą trzech milionów włamań, którą Steel zwała mu na głowę, ale gdyby zebrało mu się na uczciwość, musiałby przyznać, że jest w paskudnym nastroju i zwyczajnie chowa się w ciasnym pokoiku, w którym z Rickardsem przeglądali kolekcję porno-filmów Jasona Fettesa. Policyjny lekarz dał mu dwa kompresy z lodem, żeby obłożył sobie nimi obolałą głowę, niewiele jednak pomogły.

Cholera by wzięła tych rodziców! Co im do łbów strzeliło, żeby ubrać dzieciaka tak samo jak ubierał się Sean Morrison? We wszystkich gazetach były zdjęcia gnojka, w telewizji tak samo...

Siedział, gapił się na laptopy podwędzone przez Rickardsa z magazynu dowodów rzeczowych - i nagle zaczął kłać jak szewc. Gdyby ktoś się dowiedział, że używali ich do oglądania świńskich filmików, czekałoby go następne spotkanie z Napierem, który znów chętnie by mu dopiekł. Wszedł pod biurko i zaczął rozplątywać kable i wyciągać wtyczki, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się z impetem i olbrzymi cień padł na blat. Insch.

- Co pan tam robi, do diabła?! Zresztą nieważne. Niech pan bierze kurtkę: pani prokurator spodobał się Garvie w roli podejrzanego. Znał ofiarę, obaj należeli do środowiska BDSM, uprawiali seks czy co tam te dzi-wadła wyczyniają, w dodatku Garvie jest impotentem.

Logan wystawił głowę spod biurka i zobaczył, jak sześcienne żelka o smaku coli znikają w ustach inspektora.

- Impotent, czyli frustrat seksualny - ciągnął Insch, ssąc ją w zadumie. - Garvie kupuje takiego gigantycznego sztucznego penisa, przypina sobie, wiąże Fettesa i ponoszą go emocje. Nagle wszędzie jest pełno krwi i trzeba pędzić do szpitala.

- Więc potrzebny nam będzie nakaz rewizji...

Insch pomachał w powietrzu dwoma kartkami papieru.

- Z pieczątką i podpisem. Zaczekamy tylko na ekipę z BIO. - Uśmiechnął się. Łysina załśniła mu w blasku buczonej jarzeniówki. - Nie mówiłem? Steel nie dała rady w cztery tygodnie, mnie wystarczył jeden dzień. Niecały.

Mieszkanie Garwiego na pozór wyglądało niepozornie: dwa pokoje na drugim piętrze w jednym z wielu trzypiętrowych, pudełkowatych budynków w Danestone, na północnym brzegu Donu. Kręte ślepe uliczki, żółta cegła, dachy kryte esówką. Środek dzielnicy przecinały gigantyczne słupy wysokiego napięcia, jak trójnodzy Marsjanie Wellsa, unieruchomieni w drodze na wojnę. Dom Garyiego stał blisko jednego z nich; przez uchylone okno w kuchni dolatywało słabe buczenie drutów. Mieszkanie było typowym mieszkaniem współczesnego maniaka SF: w salonie kolekcja DVD — kompletny *Star Trek* (pierwsza seria, *Następne Pokolenie*, *Deep Space Ninę*, *Yoyager i Enterprise*), *Buffy*, *Gwiezdne Wrota*, *Ucieczka w kosmos*, *Sim-psonowie* i stos japońskich anime; PlayStation, Xbox i TiVo połączone ze sobą i podpięte do dużego zestawu głośników; ogromny ekran na ścianie; zawieszony nad drzwiami

nowoczesny projektor; skórzana kanapa. W jednej sypialni znajdowała się pracownia z paroma komputerami oraz mnóstwem książek i komiksów - gazetki były popakowane - każda osobno - w plastikowe torebki, jakby Gande bał się, że mogą się czymś zarazić.

Fetyszystyczne zabawki: robiony na zamówienie ciemnoczerwony kostium z gum, przeróżne skórzane uprząże, paski, packi i bicze, znaleźli w dużym pokoju. Zajmowały połowę szafy wnękowej.

- Halo, Houston... - mruknął technik z BIO, kiedy wyłowił z otchłani szafy wielkiego czarnego fallusa. - Rakieta gotowa do startu.

Sztuczny penis miał dobre pół metra długości i kolorystycznie kontrastował z białym kombinezonem technika. Trafił do dużej foliowej torby. Potem wydobyli znajomy grzybek z różowego plastiku.

- Co za...

Insch nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo Logan mu przerwał:

- Korek analny, inspektor wybałuszył oczy.

- Eee... Inspektor Steel mi o nich opowiadała. Znaleźliśmy taki u Fet-tesa w domu.

Logan poczuł, że się czerwieni. Nagle zrobiło mu się gorąco i niewygodnie w papierowym skafandrze.

Kolekcję filmów dla dorosłych Garvie trzymał na regaliku przy łóżku. F Ułożone alfabetycznie DVD zawierały kilka tytułów z jego udziałem oraz 1.spory zbiór ostrego gejowskiego porno z USA i Holandii. Z szuflady ze skarpetkami wyjęli nieopisane kasety wideo i dwa stare pudełka na taśmę filmową o szerokości siedemnastu milimetrów, z wyblakłymi, brązowymi podpisami: ZEMSTA LOKAJA I WESOŁE PSOTY.

- Panie inspektorze? - odezwał się Logan, kiedy technicy włożyli pudełka do torebek. - Garvie nie wygląda mi na gościa, który pasjonowałby się starymi filmami z projektora...

Miał rację. Przewrócili mieszkanie do góry nogami, ale nie znaleźli żadnego urządzenia, na którym dałoby się obejrzyć takie starocie.

- Wygląda mi to podejrzanie — stwierdził Logan.

Upał się, żeby zajrzeć do pudełek, spodziewając się pokaznej działki narkotyków - i bardzo się rozczarował, kiedy okazało się, że zawierają dokładnie to, o czym informowały ich opisy: zwoje starej, kruchej, celuloidowej taśmy filmowej.

- Nic nie szkodzi - pocieszył go Insch, kiedy filmy wróciły do pudełek, a pudełka do torebek. - Niedługo na pewno coś znajdziemy. Prawo średniej.

Wyszedł z sypialni i stanął przed drzwiami, pogryzając cukierki. Logan patrzył, jak ekipa z BIO zaczyna pobierać próbki włókien z pościeli i dywanów w poszukiwaniu śladów krwi i spermy.

Godzinę później siedzieli już w samochodzie. Technicy kończyli pakować do transita sprzęt i próbki do analizy.

- Bez sensu - mruknął Insch. Logan włączył silnik. - Tam powinna być masa krwi. Nawet jeśli gość ma jakąś gumową pościel, powinien zostać ślad między sypialnią a drzwiami wyjściowymi... - Zapatrzył się w dal. - Niech pan sprawdzi wszystkie hotele i pensjonaty w okolicy; może któryś wynajmuje ludziom ze środowiska BDSM pokoje na godziny. Nie zaszkodzi pokazać zdjęć Fettesa i Garviego. Może gdzieś się wtedy zatrzymali na noc. I niech mundurowi pochodzą po domach. Czy Fettes regularnie odwiedzał Garyiego? - Włożył rękę do schowka, ale tym razem nic nie znalazł. - Cholera... Dobra, na razie jedziemy do komendy. Nie ma co tracić czasu.

Kiedy wrócił do domu, w mieszkaniu było ciepło, a telewizor rywalizował z wieżą w kuchni o to, które z nich wprawi ściany w większe drżenie. W sypialni Jackie wciągała właśnie stare czarne dzinsy na grube rajstopy. Nie usłyszała go za pierwszym razem, więc powtórzył:

- Ogłuchłaś na starość?!

- Co? - Spojrzała na niego zdziwiona. Zapięła spodnie. - To przez tego kretyna z dołu: odkąd przyszedł, słucha smęcenia Whitney Houston. - Poglądziła go po obolałym policzku.- Nieźle oberwałeś... Ale Duży Gary mówi, że cię nie wywalili.

- Napier nie był zachwycony.

- Nigdy nie jest.

Jackie włożyła czarną, pikowaną kurtkę. Z górnej szuflady komody wyjęła wełnianą czapkę, również czarną.

- Wybierasz się gdzieś?

Kiwnęła głową, upychając niesfome loki pod czapką.

- Rennie przez cały dzień gadał jak nakręcony o tym ich *Mikado*. Założyłam się z nim o dwie dychy, że będzie beznadziejny, więc idę na próbę, żeby się z niego ponabijać.

Przeszukała kieszenie kurtki, aż wygrzebała z nich ciepłe, czarne rękawiczki.

- Wyglądasz, jakbyś szła na włam.

- No wielkie dzięki. - Naciągnęła rękawiczki i spojrzała na niego, przekrzywiając głowę. - Chcesz się przejść?

- Nie, widziałem ich. Dwie dychy masz jak w banku.

- Tak myślałam. Nie czekaj na mnie, później pójdziemy na drinka. A sam wiesz, jaki jest Rennie, kiedy się wstawi. I wyszła.

Poniedziałek wstał zimny i pogodny. Brzask malował niebo jasnym błękitem, kiedy Jackie, idąc do Castlegate, odprowadzała po drodze Loga-na do komendy, gdzie początek dnia zapowiedziano na siódmą. Nos i uszy szczerwieniły jej od mrozu, zanim doszli do King Street; szron skrzył się na chodnikach, para z oddechów długo wisała w powietrzu. Jackie stłumiła kolejne ziewnięcie i trochę się rozchmurzyła— pierwszy raz, odkąd o szóstej zadzwonił budzik.

- To o której właściwie wróciłaś? - spytał Logan, starając się nie myśleć o najnowszym „P&J” i artykule zatytułowanym POLICJANT RZUCIŁ SIĘ NA MOJE DZIECKO!

Jackie wcisnęła ręce głębiej w kieszenie.

- Nie wiem, późno. Miałaś rację: są fatalni. To były najłatwiej zarobione dwie dychy w całym moim życiu. Nawet się nie uśmiechnęła.

- Chcesz o tym pogadać?

- O czym, o próbie? - Wzruszyła ramionami. - Katastrofa...

- Jakaś taka markotna jesteś.

- Co ty powiesz....

Przystanęli, czekając, aż strumień samochodów zatrzyma się na światłach, żeby przejść na drugą stronę ulicy i przeczną przy Tolbooth dotrzeć do bocznego wejścia komendy.

- No dobrze, chodzi o Macintyre'a. Wypuściliśmy skurczybyka, a on przeniósł się do Dundee i tam dalej gwałci.

- Może to nie on.

- Żartujesz? To na pewno ten skurwiol. - Światła się zmieniły i Jackie weszła na jezdnię. -1 co, gdzie jest? W więzieniu? Nie, szlag by to, siedzi łajdak w swojej superchacie i wozi się superbrykami razem z tą swoją ciężką dupencją. Jak ta suka może mu dawać alibi?!

Przecież dobrze wie, że jest winny!

Pożegnali się przy kostnicy i Jackie poszła w swoją stronę, przeklinając Roba Macintyre'a, a Logan - na górę, do pokoju operacyjnego.

Poranna odprawa u Inscha, poświęcona sprawie Fettesa, odbywała się w triumfalnej atmosferze, której nie zmąciło nawet blisko godzinne opóźnienie. Inspektor przysiadł na biurku z przodu sali i opowiadał o Franku Garvii: były gwiazdor porno miał się o wpół do dwunastej stawić w sądzie, gdzie prokurator zamierzała poprosić o zgodę na aresztowanie go bez możliwości wyjścia za kaucją- na co sędzia najprawdopodobniej się nie zgodzi.

- Nie prowadzimy oficjalnego śledztwa w sprawie morderstwa - wyjaśnił basem Insch - jednak tak właśnie będziemy je traktować. Może i wygląda to na wypadek, na ostry seks, w którym jednego z partnerów trochę poniosło, ale Garvie na pewno ma coś na sumieniu. Związał Jaso-na Fettesa, przypiął go pasami do stołu i wsadził mu coś tak głęboko, że poszarpał mu jelita. Fettes połamał sobie zęby, zaciskając je z bólu. Zmarł w męczarniach. Musimy się dowiedzieć, gdzie to się stało. Dokąd Garvie go zabrał.

Problem z właścicielami pensjonatów polegał na tym, że kiedy pytało się ich, czy w ich przybytkach odbywają się schadzki, wszyscy zgodnie odpowiadali: „Nie”. W Aberdeen zawsze trudno było o miejsca noclegowe; hotele i hoteliki świetnie zarabiały na pracownikach koncernów naftowych i nie musiały wynajmować pokoi na godziny. Skończyło się na tym, że Logan obszedł wszystkie większe sklepy z dywanami, pytając, czy jakiś pensjonat nie wymieniał ostatnio dywanów i chodników, co mogłoby oznaczać, że próbował pozbyć się podejrzanych krwawych plam.

Tracił czas, i tyle; przecież gdyby któryś z właścicieli *znalazł* rano ślady krwi na dywanie, najpierw wezwałby policję. To logiczne. Ale Insch był nieugięty, a Logan uznał, że nie ma sensu się spierać: inspektor tylko by na niego nawrzeszczał.

Wziął sobie Rickardsa do pomocy, zabrał z parkingu trędownatego vauxhalla i posadził posterunkowego za kółkiem. Niebo było krystalicznie błękitne; jedna strona ulicy pławiła się w słońcu, druga drżała z zimna w lodowatym cieniu. Pojechali w górę Schoolhill, gdzie Rickards przepuścił na światłach całą armię dzieciaków w mundurkach szkoły imienia Roberta Gordona: chłopców w grafitowych spodniach, dziewczynki w spódnicach w kratę; ciemne bluzy, wystające spod nich koszule i przekrzywione krawaty. Prawie wszystkie dzieciaki, idąc, rozmawiały przez komórki.

Światło zmieniło się na zielone. Rickards odczekał, aż dwóch beztruskich maruderów przejdzie przez ulicę i wreszcie ruszył, mijając tłoczącą się przed bramą umundurowaną gromadę: dzieci zgodnie odwlekały moment wejścia do szkoły. Cieszyły się wolnością.

Logan odprowadził je wzrokiem.

- Zatrzymaj się.

- Słucham?

- Zjedź tutaj. - Logan wskazał chodnik przed szarym gmachem galerii sztuki.

Rickards wykonał polecenie.

Weszli w tłum, kierując się w stronę małej grupki dzieci stojących przy pomniku założyciela szkoły. Piątka maluchów śmiała się do rozpuku, poszturchując małą, rudowłosą dziewczynkę. Logan złapał za kark prowodyra - chłopca w wieku siedmiu, może ośmiu lat, w drogich okularach przeciwsłonecznych. Śmiechy ucichły jak nożem uciął.

- Puść mnie! - wrzasnął smarkacz, młócąc rękami. - Puść mnie, ku-tafonie!

Logan popchnął go w ramiona Rickardsa, zanim mały zdążył mu zrobić krzywdę. Posterunkowy złapał chłopca oburącz za kurtkę, uniemożli-

wiając mu ucieczkę. Korzystając z tego, że nikt nie zwraca na nią uwagi, ruda dziewczynka

się ulotniła.

- Peter, prawda? - spytał Logan szarpiącego się dzieciaka. - Też nosisz przy sobie nóż, jak twój kumpel Sean?

Chłopiec - z bandy Seana - miał tak samo paskudną i zawziętą minę jak w piątek na przesłuchaniu.

- Tata powiedział, że nie muszę z wami rozmawiać, palanty!

- Jak chcesz. Siedź cicho, a my cię przeszukamy. Peter *zaczai* się szarpać jeszcze gwałtowniej. Rickards mocniej zacisnął ręce.

- Policja bije! - wrzasnął dzieciak ile sił w płucach. - Nie możecie mnie rewidować! Ja nic nie zrobiłem!

- Mam powody podejrzewać, że nosisz przy sobie broń. To oznacza, że mam prawo cię przeszukać. Możemy...

- Dotknął mojego tyłka! - Oburzony Peter odwrócił się do Rickardsa. — Zboczeniec! Molestuje dzieci!

- Zamknij się i wyjmij wszystko z kieszeni.

- Myślisz, że taki z ciebie twardziel, co? A Sean skopał ci dupę! Jak tylko ten zaszran pedofil mnie puści, też ci dowalę!

- Rodzice na pewno są z ciebie dumni — mruknął Logan. — Trzymaj go mocno - zwrócił się do Rickardsa. W kurtce znalazł iPoda, przenośną konsolę do gier, paczkę chipsów i komórkę. - Co my tu widzimy...

Otworzył i włączył telefon. Na tapecie wyświetliło się zdjęcie nagiej kobiety. Klawiatura nie była zablokowana.

- Masz za niego rachunek, Peter, prawda? Chyba go nie ukradłeś?

- Pierdol się!

Logan wyświetlił książkę telefoniczną i zaczął przewijać nazwiska, aż znalazł to, czego szukał: SEAN - KOMÓRKA. Telefon, którego mały Morri-son - jak zarzekali się jego rodzice - nie miał. Wybrał numer i podniósł aparat do ucha. Telefon dzwonił i dzwonił, i dzwonił...

- Pete?

- Nie. Pamiętasz mnie, Sean?

Peter szarpnął się rozpaczliwie w uścisku Rickardsa.

- To psy! Policyjne kurwy, Sean!

Cisza w słuchawce - ale nie taka, jak po przerwaniu połączenia. Po drugiej stronie ktoś bardzo przestraszony starał się oddychać jak najciszej.

- Sean? Ta policjantka wyzdrowieje. Możesz wrócić do domu.

- Nie słuchaj skurwiela, Sean! Nie... Rickards zatkał chłopakowi usta.

Stłumiony oddech w słuchawce.

- Rodzice się o ciebie martwią, Sean.

- Ja...

Niczego więcej się Logan nie doczekał.

- No, Sean, powiedz, gdzie jesteś. Przyjedziemy po ciebie. Wszystko będzie dobrze. Przerwał, ale odpowiedziała mu tylko cisza. Czas spróbować czegoś innego.

- Długo to w sobie dusisz, Sean. Pół roku. Co się wtedy stało? Zaskoczonemu Seanowi zaparło dech w piersi.

- Nie chciałbyś o tym porozmawiać? Połączenie zostało przerwane. Logan zamknął telefon.

- Gdzie on jest?-spytał Petera. Wściekły grymas.

- Wszystko powiem tacie! I nauczycielom! Macie przesrane, wyleją was i...

- Wyjechał, prawda? Dokąd? Do Londynu? Do Edynburga? Peter uśmiechnął się przebiegle.

- Tak... Tak, wyjechał. Do Londynu. Nigdy go nie złapiecie.

Zagrały dzwony w kościele Świętego Mikołaja: dziewiąta. Dzieci zaczęły się rozchodzić na lekcje. Logan spisał sobie numer do Seana i rzucił telefon skwaszonemu gówniarzowi. Jednocześnie kazał posterunkowemu go puścić. Ośmiolatek rzucił się naprzód i złapał komórkę w ostatniej chwili, zanim spadła na chodnik.

Poszli do samochodu. Logan polecił Rickardsowi zawrócić na rondzie, a sam nie spuszczał wzroku z kumpli Seana. Spodziewał się, że któryś z dzieci spróbuje uciec, skontaktować się z ośmioletnim mordercą i zaprowadzi ich do niego - ale one jedno po drugim weszły na teren szkoły i zniknęły mu z oczu.

- Niedobrze...

Patrzył na mijany mur szkoły. Inch czy Steel? Inch czy Steel? Ten wybór wcale mu się nie podobał.

- Dobra, jedziemy do komendy. Posterunkowy Rickards był wyraźnie poruszony.

- Ale inspektor...

- Wiem: wścieknie się. Wyszadzi mnie przy komendzie i objedzi sklepy z dywanami. Dasz sobie radę, co?

- To znaczy...

— Przy okazji sprawdź alibi Macintyre'a. — Logan podał mu swoje notatki z ostatniej wizyty w domu piłkarza: adres pubu i knajki z chińskiego - zna. - Jeśli coś znajdziesz, najpierw dzwoń do mnie!

Przy odrobinie szczęścia Inch nigdy się nie dowie, że Logan rzucił go dla Steel.

22

Jak to: rozmawiałeś z nim?

Steel wyglądała tak, jakby ktoś próbował ją uczesać żywą fretką. Siedziała przy biurku z nogami na blacie i papierosem w kąciku ust. Popiół osypywał się jej na bluzkę jak płatki łupieżu.

- Zrobiłem rewizję jednemu z jego kumpli - wyjaśnił Logan z uśmiechem. - Miał wpisany w komórkę numer Seana. Steel zmarszczyła brwi.

- Rodzice się zaklinali, że mały nie ma komórki.

- Poza tym wiem, że nadal jest w Aberdeen. Peter twierdził, że Sean uciekł do Londynu, ale nie potrafi tak dobrze kłamać, jak mu się wydaje. Logan podał Steel nagryzmołony na kawałku papieru numer telefonu.

- Śliczności ty moje... - Inspektor podniosła słuchawkę i wybrała numer. Chwilę posłuchała i się rozłączyła. - Poczta głosowa.

- Pewnie rozmawia tylko z tymi, którzy dzwonią ze znajomych numerów. Ale moglibyśmy go teraz...

Inspektor już dzwoniła dalej: poprosiła centralę, żeby zaczęli namierzać telefon Seana. Przystłoniła mikrofon dłonią.

- Leć do operacyjnego. Wszystkie ekipy poszukiwawcze mają się zebrać w... - Czekala na informację. - ... w Cragiebuckler... - Mała dzielnica mieszkaniowa na zachód od centrum, między Rubislaw i Mannofield. — Hazledene Road! - Rzuciła słuchawką. - Mamy go!

Tropienie człowieka na podstawie zamiaru na jego telefon nie jest stuprocentowo dokładne, ale pozwoliło im zawęzić obszar poszukiwań do kwadratu o boku pięćdziesięciu metrów. Dwa radiowozy zablokowały ulicę z obu stron; inne odcięły także kilka sąsiednich uliczek - na wypadek, gdyby Sean próbował uciekać przez ogródki. Dziesięć dwuosobowych zespołów chodziło po domach. Tym razem na pewno im się nie wymknie.

Steel spacerowała po chodniku, drapiąc nerwowo ramię. Zgłaszały się kolejne ekipy: nic, nic, nic, nic...

- Pani inspektor!

Jeden z posterunkowych zamachał do niej od progu sąsiedniego domu. Steel z nadzieją podeszła bliżej.

- Znaleźliście drania?

Policjant pokręcił głową i pokazał jej foliową torebkę. W środku był telefon komórkowy.

- Nie ma go tutaj.

W domu panował straszny bałagan: opakowania po chipsach, komiksy, niepozmywane talerze i kubki, niedojedzone puszkę fasolki, opakowania po gotowych daniach z mikrofalówki, puste butelki z barku ustawione przy kaloryferze... Ale Seana Morrisona nie znaleźli. Przewrócili dom do góry nogami, przeszukali wszystkie szafy i komody, zajrzeli pod łóżka i na poddasze, przetrząsnęli szopę w ogrodzie.

Steel stała w ogródku i klęła, na czym świat stoi.

- Gdzie on się podział, do diabła?!

- Wygląda na to, że dostał się do środka przez okno w łazience na piętrze - powiedział Logan, wskazując ślady na deskach i odrapaną farbę na framudze. - Wypił, co było do wypicia, zjadł pizzę i wszystko, co *znalazł* w zamrażarce.

- Kurwa mać! - Steel kopnęła plastikową wywrotką prosto w ogrodzenie. - Gdybyś rano po prostu zapisał ten numer, zamiast od razu do niego dzwonić, jeszcze by tu był!

- Nie wiedziałem, że zwieje!

Logan zaczął się cofać w stronę domu, ale Steel nieustępliwie szła za nim, klnąc i wrzeszcząc.

- Pewnie, że zwiał! Co się z tobą dzieje? Popieprzyło ci się w głowie?!

Logan oparł się o drzwi do kuchni.

- Gdyby nie ja, nawet byśmy nie wiedzieli, że tu był!

- Nie próbuj odwracać kota ogonem!

Teraz już oboje znaleźli się w środku, w elegancko urządzonej kuchni, zaświnionej resztkami jedzenia i zawalonej pustymi opakowaniami. Granitowy blat odciął Loganowi dalszą drogę ucieczki.

- Przecież nie zrobiłem tego...

Spojrzał na niedojedzony makaron błyskawiczny w naczyniu obok to-stera. Dotknął plastikowego pojemnika: ciepły.

- Od czterech dni szukamy gówniarza, a ty... Logan wcisnął pojemnik w dłoń Steel.

- Jeszcze przed chwilą tu był. - Sięgnął po czajnik i wylał z niego j wodę do zlewu: wrzątek parował obficie, rozbryzgując się na brudnych na-I czyniach. - Kiedy pani zadzwoniła, nie rozpoznał numeru, więc wyrzucił j telefon i dał nogę.

Steel spojrzała na pojemnik z makaronem - i w jednej chwili całkiem oklapła. Zapadła krępująca cisza.

- Aha... No tak... - Rzuciła pojemnik do zlewu i oparła się o lodówkę. - Przepraszam. - Potarła dłonią czoło. - Cholera... Liczyłam na to, że tym razem go złapiemy. - Westchnęła. - Wygląda na to, że wszystkie moje sprawy I się *rozłążą*. Jestem królową syfu. Jak ja to wytłumaczyć komendantowi?

Policjanci opuszczali dom. Logan *zajrzał* jeszcze raz do salonu. Sean Morrison żył jak

dził się zwierzę: włamał się do cudzego domu i urządził sobie legowisko. Właściciele nieźle się zdziwią, kiedy wróca. Na kominku stało duże zdjęcie w ramce: mąż, żona, troje dzieci i golden retriever. Dzieci miały na sobie znajome ciemne bluzy i ciemnoszare flanelowe spodnie - mundurki Roberta Gordona. Tej samej szkoły, do której chodził Sean Morrison.

- Skąd wiedział...

- Jeszcze tu jesteś? - Przygnębiona Steel wsunęła głowę do pokoju, znowu drapiąc się po ręce. - Przeklęte plastry nikotynowe... Psu na budę...

- Skąd Sean wiedział, że nic mu tu nie grozi? Niech pani spojrzy: mieszkał tu od kilku dni. Co by się stało, gdyby właściciele wrócili?

- No co?

Logan uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Chyba już wiem, jak go znaleźć.

Na dworze świeciło słońce. Steel przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę, a Logan z telefonem przy uchu słuchał dyktowanej mu przez Dużego Gary'ego listy nazwisk i adresów. W końcu podziękował, rozłączył się i zwrócił do Steel:

- Państwo Strutherowie. - Wskazał dom, z którego przed chwilą wyszli. - Wyjechali z dziećmi na dwa tygodnie do Alicante. Najstarszy syn chodzi z Seanem do jednej klasy. W szkole powiedzieli, że jeszcze trzy rodziny wybrały się na wakacje w środku semestru: MacKenzie, Dunca-nowie i Burnettowie. Sean włamuje się do domów, o których wie, że stoją puste. Może bezpiecznie opróżnić barek i zamrażarkę.

Steel zamknęła oczy i *zadarta* głowę.

- Dzięki Bogu...

Logan zerknął na zegarek.

- Mamy jeden adres w Rosemount, jeden w Cults i jeden w Kings-wells. Do Kingswells musiałby pojechać autobusem, a wszyscy kierowcy znają go ze zdjęcia. Mógłby pójść do Cults, ale to kawał drogi. Zostaje Rosemount: piętnaście minut spacerkiem.

- A jeśli podpieprzył komuś rower? - Steel wyjęła komórkę, połączyła się z centralą i poprosiła o wysłanie dwóch nieoznakowanych wozów pod każdy z trzech adresów. - Wiesz co, Łazarz? Jeśli kiedyś mi się odmieni i będę hetero, masz u mnie darmowy numer.

Dwie godziny później z zajmowanego przez nią fotela pasażera dało się słyszeć głośne burczenie w brzuchu.

- Gdzie on jest? - Przeszukała kieszenie, zakłęła i oklapła smętnie. - Skoczysz po fajki?

- Na pewno zaraz przyjdzie! - mruknął Logan. - Bo gdzie się podzie-je? A pani mówiła, że ogranicza palenie.

- Nawet mi tu nie zaczynaj... - Steel wydeła policzki i wypuściła powietrze z płuc. - Oceniali cię już?

- Nie.

- Farciarz. - Znow nadeła się jak najeżka. - Jestem głodna jak wilk. Dom przy Whitehall Place był bardzo cichy i pusty, okna częściowo zasłonięte.

- Nie powinniśmy jeszcze raz zajrzeć do środka? Może już przyszedł?

- Niemożliwe. Widzielibyśmy go.

Inspektor wyjęła krótkofalówkę i połączyła się z ekipą obserwującą dom od strony ogrodu - ale tylko nasłuchiwała się skarg od marznących na posterunkach ludzi. Schowała radio z powrotem do kieszeni.

- Gdzie on jest?!

- Może czeka, aż się ściemni? Steel zakłęła szpetnie.

- Nie zamierzam tu siedzieć do wieczoru. Chodź. - Wysiadła. - Znajdziemy jakiegoś porządnego obywatela, który poczęstuje nas herbatą.

Pani McRitchie mieszkała naprzeciwko i nie należała do kobiet, które poprzestałyby na herbacie. Weszła do pokoju gościnnego, niosąc tacę z makaronem z sosem serowym.

- Mam nadzieję, że zgłodnieliście! - oznajmiła, stawiając jedzenie na stoliku przy sofie.
- Czyś ty... - Steel wytrzeszczyła oczy. - Frytki! Alice, jesteś niesamowita! - Unurzała swój ą porcję w pieprzu, soli i occie i zaczęła się opychać. - Jezu... Tego mi było trzeba.

Z pokoju mieli doskonały widok na dom państwa Burnettów, którzy na dwa tygodnie wyjechali na Seszele.

- Widzisz? - Steel siorbnęła herbaty. - Tu jest cieplej i wygodniej niż w tym zakichanym aucie.

- Do wieczora jeszcze cztery godziny - zauważył Logan. - A do zapadnięcia ciemności nawet pięć.

- I co z tego? - spytała Steel z pełnymi ustami.

- Muszę coś załatwić dla Inscha.

- Pieprzyć Inscha. - Inspektor machnęła lekceważąco ręką. - Pojechaliśmy na akcję, komendant myśli, że podjęliśmy „działania zapobiegawcze”, a my siedzimy wygodnie w ciepélku i spokojnie czekamy na Seana Morrisona. Nieczęsto trafia się taka okazja. - Zgarnęła do ust górę makaronu ociekającą sosem. - Ciesz się, póki możesz.

Niby tak, ale Logana dręczyły wyrzuty sumienia, że zostawił Rickar-dsa samego z dywaniarzami. Postanowił zadzwonić do niego, gdy tylko skończy jeść.

Kiedy makaron z sosem zniknął, przyszedł czas na kawałek ciasta i następną herbatę, aż wreszcie inspektor Steel usadowiła się w starym skórzanym fotelu z aktualnym numerem „P&J” w ręce. Pięć minut później spała jak suseł.

Logan wyjął komórkę.

- Rickards? Taaa... Nie, na razie ani śladu. A tobie jak idzie?

Nieźbyt dobrze. Co drugi sklep zastaniał się ustawą o ochronie danych osobowych, w pozostałych wydobycie jakichkolwiek przydatnych informacji ze starych, trzeszczących komputerów trwało całe wieki. Na razie nic nie znalazł.

Logan kazał mu szukać dalej, rozłączył się i poszedł nalać sobie herbaty.

Insch, czego Logan od dawna się obawiał, zadzwonił krótko po trzeciej. Inspektor Steel pochrapywała cicho w fotelu, okryta „P&J” jak pledem z gazetowym wzorem. W telewizji leciała powtórka *W samo południe*, a pani McRitchie siedziała na sofie i rozwiązywała sudoku. Logan przeprosił ją, wyszedł z pokoju i odebrał telefon w sypialni na górze, gdzie słuchając krzyków Inscha, mógł mieć oko na ulicę.

- Gdzie pan się podziewa, do stu tysięcy diabłów?! Dlaczego nie jeździ pan po sklepach z dywanami?!

Ciekawe, jak się tego dowiedział. Logan przekazał mu informacje od Rickardsa, licząc na to, że choć trochę go ułagodzi.

Nic z tego.

- Dupa w troki, ale już! Przed końcem dnia chcę mieć pełną listę!

- Nie mogę, panie inspektorze. Czekamy w zasadzce...

- W zasadzce? Od tego są mundurowi, psiakrew. My musimy zająć się Garviem!

- Steel kazała mi...

- Aaa, rozumiem: kiedy Steel rozkazuje, pan tańczy, jak panu zagra. Ale kiedy j a...

- Jak poszło przesłuchanie?

Logan miał nadzieję odwrócić uwagę inspektora, jednak i to mu się nie udało. Usłyszał za to dwuminutowe kazanie o tym, jak bardzo zawiódł i rozczarował rodziców Jasona Fettesa. Westchnął, odsunął telefon od ucha i usiłował pomyśleć o czymś przyjemnym.

- Dla pańskiej informacji dodam, że ten oślisły drań wyszedł za kaucją- zakończył swoją tyradę Insch. - Jest na wolności!

- Kazał go pan śledzić? Cisza.

- Oczywiście, że kazałem. Może jestem prostakiem, ale na pewno nie idiotą!

- Nie chciałem...

- Wcześniej czy później wróci tam, gdzie pojechał z Fettesem. Wie, że depczemy mu po piętach, więc będzie się chciał pozbyć dowodów. -Inspektor pomału się uspokajał. - Jutro z samego rana ma się pan stawić u mnie w gabinecie. Jasne? Pracuje pan dla mnie, nie dla Steel.

- Tak jest.

Przecież nie miał nic do powiedzenia w tej kwestii.

- Jeżeli będzie pan rozmawiał z Watson... Z nią też chcę się jutro widzieć. Jak tylko trzeba coś zrobić, wszyscy gdzieś znikają. Koniec rozmowy.

O wpół do piątej zaczęło się zmierzchać. Niebo ześliznęło się w półmrok, ostry róż ozdobił szare chmury, jak żarzące się węgle na sinym tle. Dzieci wracały ze szkoły -jedne grupkami, inne w pojedynkę; mgła z oddechów snuła się za nimi w zimnym wieczornym powietrzu. Żadne nie przypominało Seana Morrisona.

- I co? - Steel stanęła przy oknie.

- Już niedługo. - Taką przynajmniej Logan miał nadzieję. - Na jego | miejscu odczekałbym, aż ludzie zaczną siadać do kolacji: wtedy będązają-fci, nie zauważą, że ktoś włamuje się do sąsiadów... Tam!

Chłopiec w znajomym szkolnym mundurku szedł powoli ulicą, szu-| rając nogami i zygzakując od krawężnika do krawężnika. Steel wyteżyła | wzrok; zmarszczki wokół jej oczu się pogłębiły.

- Nie ma dzinsów ani bluzy z kapturem.

- Bo się przebrał. Wie, że go szukamy, że mamy jego rysopis. Ukradł mundurek z domu Strutherów. I teraz wygląda jak jeden z wielu wracających do domu uczniów.

- Niby tak...

Chłopiec zatrzymał się, zawiązał but i ruszył dalej. Minął dom Bur-nettów.

- Może bada teren? Żeby...

- To nie on.

- On, on. Zobacz pani, że zaraz wróci...

Logan przerwał. Chłopiec przystanął cztery domy od Burnettów: drzwi się otworzyły, kobiety głos krzyknął coś o panierowanej rybie i dzieciak bez entuzjazmu zniknął w środku. Szczęknął zamek.

- Cholera jasna.

Szósta wieczór. Niebo ciemne jak siniak. Czasem przejechał samochód, ale poza tym ulica była jak wymarła.

- Niedługo przyjdzie...- powtórzył Logan z udawanym optymizmem, przestępując z nogi na nogę.

- Wątpię - westchnęła Steel. - Przy moim szczęściu okaże się, że tym razem nawiął na dobre. Zaczynam myśleć, że przynoszę pecha...

W oknie domu naprzeciwko zapaliło się światło. Inspektor zamarła w bezruchu. Ktoś

wszedł do domu Burnettów.

- Mam cię, gnojku! - Wyciągnęła krótkofalówkę i zaczęła sprawdzać posterunki. - Kto go widział...? Jak dostał się do środka...? A co, posnęliście tam...? Tak... Wiem, że zimno... Nie... Ja też nie przyjechałam tu na piknik... Nie! Czekajcie na mój sygnał. - Rozłączyła się, przerywając rozmówcy w pół słowa. - Mężczydusze.

- Nie widzieli go?

- Nie. - Prychnęła lekceważąco i włożyła buty. - Nie mam pojęcia, jakim cudem przeszli podstawowe szkolenie.

Pożegnali się z panią McRitchie i przebiegli na drugą stronę ulicy, kierując się do drzwi. Reszcie ekipy Steel kazała zająć pozycje w ogródku.

- Jak wejdziemy? - spytał Logan

Podkradli się do drzwi, gdzie czekało już na nich dwoje posterunkowych w kamizelkach ochronnych, z pałkami i miotaczami gazu pieprzowego w rękach.

Inspektor wzruszyła ramionami.

- Mamy nakaz aresztowania Seana Morrisona... Jakby ktoś pytał, ścigamy go. Jasne? - Dała znak potężnej posterunkowej, kobiecie o udach jak pień drzewa. - Wypieprz te drzwi.

Bum! *Zadrżały*, ale nie puściły. Drugi kopniak wyrwał zamek z framugi. Drzwi otworzyły się na oścież i odbiły od ściany; na podłogę posypały się kawałki drewna.

- Nie ruszać się! - wrzasnęła posterunkowa Duża. - Policja! Wpadła do środka. Jej partner za nią. Łoskot na tyłach domu.

- Policja!

I tupot ciężkich buciorów od strony tylnego wejścia.

Steel wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Zawsze, jak to robią, ciarki przechodzą mi po plecach.

Przeszukali dom od piwnicy po strych i z powrotem: ani śladu Seana Morrisona.

Inspektor Steel stała w wypucowanym na wysoki połysk salonie i klęła, na czym świat stoi.

- Jak mogliśmy go nie zauważyć?! Przecież to zwykły dzieciak, nie jakiś w dupę kopany Houdini! - Spojrzała groźnie na ekipę ogrodową. - To przez was! Wy go przegapiliście!

Cofnęli się zgodnie, mamrocząc, że jest zimno i ciemno i że są pewni, że Sean się koło nich nie przemknął... Odpowiedziały im jeszcze głośniejsze złorzeczenia.

Smętny Logan przeszedł do ciemnej jadalni, uciekając przed Steel, zanim i jego zaatakuje. Wyjął telefon i usiadł ciężko na krześle. Z pamięci wklepał na klawiaturze swój numer domowy; Jackie na pewno już wróciła

I i łamała sobie głowę, co się z nim stało. Po ósmym dzwonku połączył się Iz automatyczną sekretarką, która głosem Jackie oznajmiła, że oboje walczą I właśnie z przestępcami albo pijana umór, ale po sygnale można zostawić [wiadomość. Zrezygnował.

Jakim cudem Sean Morrison zdołał im uciec? Bez sensu. Przecież to | prawie jak...

Nagle zapaliła się lampa w kącie. Zaśniły wypolerowane srebra.

- A niech to wszyscy...

Wyłącznik czasowy. Burnettowie nastawili go tak, żeby wieczorami ; dom wyglądał na zamieszany. Odstraszyli włamywaczy, a przy okazji i zrobili policjantów w balona. Seana Morrisona nigdy tu nie było.

Stęknął, wstał i wyłączył to cholerstwo. W pokoju znów zrobiło się f ciemno. Podeszedł do okna. Zastanawiał się, jak szybko po opieprzu od ; Steel utopi swoje smutki w butelce wina i misce chińszczyzny. Bo jakoś nie wątpił, że inspektor będzie miała do niego pretensje. Był taki pewny, że Sean przyjdzie...

Ktoś stał po drugiej stronie ulicy i obserwował dom: mały chłopiec w dżinsach i grubej, pikowanej kurtce, z plecakiem na ramieniu i rozdzia- wioną buzią.

Sean Morrison.

Logan wybiegł do przedpokoju.

— Jest przed domem! — zawołał.

Wypadł przez frontowe drzwi i popędził po schodkach. Sean wahał się przez ułamek sekundy, zanim rzucił się do ucieczki. Logan pognął za nim, słysząc stłumione okrzyki, gdy do pościgu dołączali inni policjanci. Za jego plecami zadudniły ciężkie buty.

Sean skręcił ostro w Westfield Terrace. Wyrzucił plecak. Kątem oka Logan dostrzegł za sobajakiś cień: to jeden z posterunkowych go dogonił. Dystans dzielący ich od uciekiniera szybko się zmniejszał.

W połowie długości uliczki przy krawężniku stał samochód. Sean wskoczył na maskę, z maski na dach i jednym susem przesadził dwumetrowy mur, lądując w czyimś ogrodzie. Posterunkowy pierwszy dopadł muru, wspiął się i zeskoczył na drugą stronę. Czujnik ruchu zareagował i włączył reflektor.

Zdyszany Logan pokonał mur i spadł w kępę iglaków. Wygrzebał się z niej w samą porę, żeby zobaczyć, jak posterunkowy łapie za nogę Seana próbującego przedostać się przez ogrodzenie do sąsiedniego ogródka.

Chłopiec krzyknął.

- Złaź, gówniarzu! - Policjant ściągnął go na dół i zaczęli się tarzać po ziemi, klnąc zawzięcie. Nagle rozległ się głośny krzyk bólu i posterunkowy puścił Seana. Prawą ręką ścisnął swój lewy nadgarstek, wpatrując się w rozciętą dłoń. Świeża krew załśniła neonowo w blasku reflektora.

Sean poderwał się i zaczął biec. Klął i płakał jednocześnie, ściskając w dłoni błyszczący nóż kuchenny. Spojrzał na ranego policjanta, na Lo-gana i na posterunkową, która właśnie przesadziła mur, wpadła w ozdobne krzaki i rozciągnęła się jak długa na trawie. Szczercząc groźnie zęby, cofnął się pod ogrodzenie i wyciągnął nóż przed siebie.

- Wy pierdolce! Zastrane pierdolce!

Otworzyło się wychodzące na ogród okno. Starszy człowiek wyjrzał przez nie i zagroził, że wezwie policję.

- To koniec, Sean - powiedział łagodnie Logan. - Odlóż nóż. Daj spokój, wiem, że nie chcesz już nikomu zrobić krzywdy - perswadował.

- Zabiję cię, chuju! - Łzy spływały Seanowi po policzkach, ciekło mu z nosa, wargi drżały. - Zabiję...

Za plecami Logana policjantka stęknęła, podnosząc się z ziemi. W ogródku wylądował następny mundurowy.

- Już nie musisz uciekać.

- Kutafonygłupie...

Nóż *zadrżał* w ręce chłopca, ostrze opadło w dół, celując w zdeptaną trawę.

- Ćśś, Sean... Już dobrze...

Policjantka wyminęła Logana, podeszła do dzieciaka i strzeliła mu gazem w twarz.

- To za Jess Nairn, gnoju!

Krzyki Seana było słychać aż w Peterhead.

- Trochę go jeszcze będą oczy piekły, ale opuchlizna szybko zejdzie. Chociaż to i tak niewiele zmienia, biorąc pod uwagę, dokąd go zabierają... - Doktor Wilson stał w korytarzu oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach, pochmurny jak długi listopadowy weekend. Westchnął ponuro. - Jutro mam wizytę u onkologa...

Logan pokiwał głową. Nie bardzo miał ochotę dać się znowu wciągnąć w jego świat bólu i cierpienia.

- Można go przesłuchać?

Wilson zamyślił się, a potem wzruszył ramionami.

- To chyba nie ma znaczenia, co?

Odkleił się od ściany, zabrał torbę i poszedł sobie, szurając nogami i mamrocząc pod nosem.

- Co powiedział doktor Smutas? - zapytała Steel, kiedy Logan do niej f zajął. - Pokazał ci swojego guza?

- Sean nie odniósł żadnych trwałych obrażeń. Może go pani przesłu-[chiwać do woli. Duży Gary mówi, że ojciec gnojka już jest na dole i drze l ryja: brutalność policji, prawa człowieka, odpowiedzialność karna... Norii malka.

Inspektor spojrzała na zegarek.

- Dwadzieścia siedem minut do początku imprezy... Myślisz, że war-[to spróbować?

- Jak pani chce.

Steel potarła nos żółtym od nikotyny palcem.

- Nie zaszkodzi. *Zabierz* go do pokoju przesłuchań. Może przynaj-f mniej napędzimy mu stracha.

Równie dobrze mogli przesłuchiwać kamień: siedział przy stole ponury jak gradowa chmura, milczał i ze złością zerkał w obiektyw kamery. Twarz miał zaczerwienioną i opuchniętą, jakby poparzył się na słońcu; na-, biegle krwią oczy wciąż łzawiły po gazie. Nawet nie potwierdził, jak się nazywa.

Obok niego siedział ojciec. Obejmował małego bandziora ramieniem i trząsł się z gniewu.

- Domagam się, żeby mój syn został przewieziony do szpitala!

- Wykluczone - odparła Steel. - Trzeci raz nie zamierzam powtarzać. Zbadał go nasz lekarz dyżurny. Nic mu nie będzie.

- Ale on cierpi! Zobaczcie, co wasi szurmowcy z nim zrobili! Zobaczcie! - Złapał Seana za brodę. Kiedy chłopak się wyrwał, na zaczerwienionej skórze zostały białe ślady palców.

- Przecież to dziecko! Ma osiem lat!

Steel grzmotnęła otwartą dłoń w blat, aż podskoczyły plastikowe filiżanki.

- Posłuchaj pan: pańskie niewiniątko próbowało dziś w nocy zadźgać dwóch naszych ludzi; jeden trafił na ostry dyżur, lekarze zszywają mu rękę. Wcześniej pchnął nożem policjantkę, a jeszcze wcześniej zabił człowieka!

- Żądamy adwokata.

Logan postukał Steel w ramię.

- Siódma piętnaście — szepnęła jej do ucha. — Konferencja zaczyna się za pięć minut.

Inspektor ze zgrzytem odsunęła krzesło i wstała.

- Jest pan tu tylko dlatego, że się na to zgodziłam, panie Morrison. Mogę pana w każdej

chwili wyrzucić i wezwać kogoś z Wydziału Spraw Rodzinnych, o tak. - Pstryknęła mu palcami przed nosem. - Mam na taśmie, jak Sean morduje mężczyznę. Mam świadka, policjanta, który widział, jak pchnął nożem posterunkową Jess Nairn. Dzisiaj znowu tego próbował, na co mam jeszcze więcej świadków. I wreszcie mam noże, odciski palców, wszystko. Niepotrzebne mi jego zeznanie.

Kiwnęła na Logana.

- Przesłuchanie przerwane - powiedział. - Godzina dziewiętnasta szesnaście.

Steel oparła się o stół, owiewając ojca Seana tytoniowym oddechem.

- Sean trafi do „ośrodka wychowawczego”, zostanie tam, aż skończy szesnaście lat. Trochę przypomina to dom dziecka, tyle że pensjonariusze są w nim trzymani pod kluczem. Potem do dwudziestego pierwszego roku życia będzie siedział w zakładzie karnym dla młodocianych przestępców, skąd pójdzie prosto do więzienia. Przy odrobinie szczęścia wyjdzie w samą porę, żeby świętować swoje trzydzieste urodziny. Chce mu pan pomóc? Skrócić odsiadkę? To niech go pan przekona, żeby zaczął mówić.

Wszyscy już na nich czekali. Komendant zasłonił dłonią mikrofon i szepnął coś do Steel, kiedy sadowiła się na krześle - pewnie pochwalił ją za świetnie wykonaną robotę, bo uśmiechnęła się z satysfakcją. Konferencja się rozpoczęła.

Logan słuchał, jak komendant informuje o schwytaniu Seana Morrisona i prosi o zadawanie pytań. Pierwsze:

- Dlaczego złapanie ośmioletniego chłopca zajęło policji aż cztery dni?

I drugie:

- Czy planowane jest dochodzenie w sprawie niewłaściwego prowadzenia śledztwa?

Ale to Colin Miller zadał pytanie, którego Logan obawiał się najbardziej:

- Czy to prawda, że podczas aresztowania policja użyła przemocy wobec Seana Morrisona? Steel zgrzytnęła zębami.

- Nie, to nieprawda.

Wdała się w szczegółowe wyjaśnienia, ale dziennikarze już zwietrzyli krew. Czy to prawda, że poprzedniego dnia sierzant McRae napadł i poturbo-ł wał dziecko? Czy policjanci mszczą się za to, że Sean Morrison zranił posterunkową Nairn? Czy w policji Grampian kultywuje się tradycję samosądu?

Komendant długo nie wytrzymał: konferencja została zakończona, a dziennikarzy poproszono, by opuścili komendę.

- To łajdaki! - klęła Steel. - Gdzie się podziało „Dobra robota!” i „Sto lat, sto lat!”

Logan zszedł z drogi pędzącemu korytarzem komendantowi, któremu po piętach deptał rzecznik prasowy policji.

- Bóg też nie jest zachwycony.

Steel odprowadziła komendanta wzrokiem.

- Chrzań ich wszystkich. Idziemy do pubu. Kto jak kto, ale my na pewno zasłużyliśmy na to, żeby ktoś nas poklepał po plecach.

Logan postawił drinki na klejącym się od piwa stoliku i rzucił między nie sześć paczek chipsów; zapanowało krótkie szaleństwo, kiedy Steel i dwaj mundurowi z ekipy polującej na Seana Morrisona rzucili się na keczupowe.

Po trzeciej kolejce przestali wreszcie rozmawiać o pracy i przeszli do piłki nożnej i weekendowego hat-tricka Roba Macintyre'a w meczu z St. Mirren - taktownie pomijając oskarżenia o gwałt, zgola nieistotne wobec faktu, że FC Aberdeen wygrało 4:1. Nagle Steel podniosła rękę, patrząc ponad ramieniem Logana w kierunku baru.

- Lepiej późno niż wcale! - zawołała na widok posterunkowego, który schwycił Morrisona. Miał obandażowaną rękę. - Łazarz? Przynies mu drinka! Ja stawiam! Podwójna whisky!

Logan czekał przy barze, aż barman do niego podejdzie, kiedy ktoś stuknął go w ramię.

Odwrócił się, myśląc, że to Steel albo Jackie, ale zobaczył posterunkowego Rickardsa w obszarpanych dżinsach, T-shircie z pornograficznym nadrukiem i wyświechtanej kurtce.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie sierżancie... Sierżant Mitchell powiedział, że tu pana znajdę.

- Napijesz się? Steel stawia: złapaliśmy Seana Morrisona. Logan zdawał sobie sprawę, że szczerzy zęby jak ostatni kretyn, ale nic nie mógł na to poradzić.

Rickards chyba nie najlepiej się tutaj czuł.

- Chciałem tylko powiedzieć, że obeździłem wszystkich sprzedawców dywanów. W ostatnich miesiącach żaden pensjonat nic od nich nie kupił. Przykro mi.

- To nie twoja wina, szansę i tak były minimalne... - Logan zmarszczył brwi. - Zaraz: przecież twoja zmiana skończyła się trzy godziny temu. Nie mów mi, że tyle czasu czekałeś na mnie w komendzie...

- Słucham? Nie, skąd. - Rickards się skrzywił. - To by było żałosne, nie? Kurczę... - Zaczerwienił się. - Miałem trochę wolnego czasu, więc zacząłem przeglądać zgłoszenia włamań. Wie pan, liczyłem na to, że może znajdę jakąś prawidłowość...

- W takim razie stanowczo zasłużyłeś na kielicha. Logan zamówił drinki, jakie chciała Steel, i spytał Rickardsa, czego się napije.

- Dziękuję, panie sierżancie, ale nie. Nie mogę...

- Możesz. Piwko? Rickards poczerwieniał.

- Wszyscy się ze mnie nabijają, od czasu tamtej odprawy. Nic, tylko aluzje, półstówka, dwuznaczności... Niektórzy wpychają mi kondomy przez kratkę w szafce. Mam dość.

Logan zamówił dla niego piwo.

- Posłuchaj: jeśli dasz po sobie poznać, że cię to rusza, będą cię dręczyć. To dla nich frajda, że tak silnie reagujesz. Po prostu. A jedno piwo cię chyba nie zabije, co? - Wziął drinki i wręczył kufel posterunkowemu. - To rozkaz.

Rickards uśmiechnął się krzywo.

- Tak jest.

Na dworze, pod ozdobnym portykiem, było ciszej i spokojniej. Logan schował się przed wiatrem za kolumną i czekał, aż Jackie odbierze telefon u nich w domu. Doczekał się automatycznej sekretarki, więc spróbował dodzwonić się na komórkę. Dzwoniła i dzwoniła, bez końca...

- Halo?

- Cześć! Mamy go!

- Co? - Z roztargnieniem.

- Złapaliśmy Seana Morrisona!

- A tak, słyszałam w wiadomościach. Fajnie.

- Jesteśmy w pubie. Wpadniesz? Cisza.

- Nie, wiesz... Nie mogę. Pamiętasz Jeanette, moją koleżankę? Facet ją rzucił. Ma straszego doła, nie bardzo mogę ją tak zostawić.

- Aha... - Logan starał się ukryć rozczarowanie. - Dobra. W porządku.

- Przepraszam... Nie czekaj na mnie, nie wiem, kiedy uda mi się wyrwać. Pewnie późno. Jak ona się raz rozklei, to koniec.

Przejechał przegubowy autobus, omal nie potracając skąpo ubranej ziewczyny i jej chłopaka o neandertalskich rysach. Logan słyszał, jak eklinają kierowcę.

- Posłuchaj, Jeanette zaraz wyjdzie z łazienki, muszę lecieć.

- Ale...
Jackie się rozłączyła.

Stał na górnym schodku i przez chwilę wpatrywał się w telefon, zanim fiknął go i wrócił do pubu.

W czwartek z samego rana stawiał się w gabinecie Inscha; musiał wysłuchać narzekania inspektora na to, że ma za mało ludzi i środków, aby ze sprawy Garwiego zrobić porządne dochodzenie w sprawie morderstwa. Nadal nie znaleźli miejsca, w które Garvie mógł przewieźć Fettesa, żeby go zabić. Nie był właścicielem ani najemcą żadnej innej nieruchomości; nie opiekował się żadnym podstarzałym krewnym ani znajomym; pomysł z pensjonatami okazał się ślepą uliczką. Został im właściwie tylko ogromny, czarny, gumowy penis z szafy Garwiego - owszem, oblepiony DNA różnych osób, ale nie Jasona Fettesa.

Nachmurzony inspektor otworzył następne duże opakowanie żelek.

- Prokurator nie jest zadowolona - powiedział, odgryzając łebek różowemu misiowi. - Twierdzi, że bez dowodów przebadanych w laboratorium nie mamy co liczyć na wyrok skazujący... - Tym razem cała garść i zwierzątek zniknęła w jego ustach. -A ja muszę się jeszcze użerać z tymi i skretyniałymi terrorystami! Tak jakbym i bez tego nie miał dość roboty!

Z podajnika z pocztą przychodzącą wyjął najnowszy egzemplarz „Scottish Suna” i rzucił go na blat biurka. MACINTYRE MÓWI. „PÓJDĘ DO SĄDU!”, głosił tytuł nad zdjęciem paskudnego piłkarza i jego eleganckiego adwokata; POLICJA ZŁAPAŁA CHŁOPCA MORDERCĘ - ta informacja zasługiwała na wzmiankę w małej ramce z boku strony.

— Do tej pory mógł ledwie się użalać tylko na to, że go nękamy, ale teraz ma gnojek nowe pretensje: zniesławienie!

Drobinki śliny zalśniły w świetle jarzeniówek. Insch zgrzytnął zębami. Poczzerwieniał ze złości. Ponad ramieniem Logana zerknął na plakat z *Mikado*.

- Ma alibi na piątek wieczór?

- Kazałem Rickardsowi je sprawdzić: Macintyre z dziewczyną wyszli z pubu o dziewiątej, spacerowali się do chińskiej knajpy, wzięli makaron z kurczakiem, wołowinę w sosie z czarnej fasoli...

- Nie pytałem o menu, do diabła!

- Przepraszam. Z restauracji wyszli o wpół do dziesiątej. Insch uśmiechnął się ponuro.

- Nikki Bruce została napadnięta między dwunastą a piętnaście po dwunastej w nocy. Zdażyłby, skurwiel, pojechać do Dundee i upatrzeć ją sobie przed klubem.

- Tylko że jego narzeczona *zarzeka* się, że noc spędzili razem. A my nie mamy dowodów, że było inaczej, więc... Inspektor już się nie uśmiechał.

- Po czyjej właściwie stronie pan stoi, sierżancie?

Logan milczał. Insch patrzył na niego krzywo, a niezręczna cisza się przeciągała. W końcu inspektor nie wytrzymał i rzucił teczką Fettesa przez blat.

- Niech pan przejrzy wszystko, co znaleźliśmy w domu Garwiego. Wszystko! Musimy znaleźć jakiś ślad.

Rickards czekał już w maleńkim, prowizorycznym pokoju operacyjnym, kiedy Logan

wszedł, niosąc ogromne pudło z dowodami rzeczowymi. Posterunkowy pomógł mu je postawić na stole i *zajrzał* podejrzliwie do środka. Każdy przedmiot był pokryty czarną lub białą patyną proszku do zdejmowania odcisków palców i zapakowane w osobną torebkę foliową.

- Trzeba w tym pogrzebać - oświadczył Logan. - Insch się uparł. I zanim coś powiesz... Wiem. Mnie też się to nie podoba.

- O Boże... - Rickards wyjął kilka filmów DVD: *Deutsche Mannlie-be, Knechtschaftgummijungen* i inne tego rodzaju; na okładkach półnaczy mężczyźni; niektórzy w bawarskich szortach na szelkach. - To znaczy, że musimy je obejrzeć?

- Nie my. - Logan poklepał go po ramieniu. - Ty musisz. Ja idę do BIO, porozmawiać o tych serwerach.

- Daj żyć, chłopie! - zawołał mężczyzna w średnim wieku, w koszulce z napisem Skate Or Die. Biurko miał całe zavalone laptopami, myszkami komputerowymi i żółtymi karteczkami samoprzylepnymi. - Jeszcze się nie przekopaliśmy przez te skarby z burdelu. Nie da rady, żebyśmy do tej waszej roboty zabrali się wcześniej niż za tydzień.

To się Loganowi nie spodobało.

- Może ci z Dundee by coś pomogli? Podobno to eksperci... Wzruszenie ramion.

- Mają na głowie jakiś większy przekręt. Orientacyjny okres PSZS: cztery tygodnie.

- PSZS?

- Pieprzenia się ze sprawą.

Informatyk wziął z zaśmieconego biurka ogryziony długopis i wsadził go do ust. Namiastka papierosa.

- Insch złapie pianę, jeśli tego szybko nie załatwimy. Skate Or Die zaklął.

- No to pięknie: Finnie z jednej strony, Insch z drugiej. Co za tydzień...

- Może chociaż rzucilibyście okiem?

- Wykluczone. Finnie i tak już mi nie daje spokoju. - Wyjął długopis z ust i odruchowo strząsnął nieistniejący popiół na podłogę. - Chyba żeby... Zobaczę, co się da zrobić, okej? Ale niczego nie obiecuję.

Lepsze to niż nic.

O dziewiątej Logan doszedł do wniosku, że Rickards zasłużył na przerwę. Wyciągnął go do stołówki, kupił mu herbatę i bułkę z dżemem - zniknęły w mgnieniu oka.

- Dużo ci jeszcze zostało? - spytał, kiedy posterunkowy wycierał ręce w serwetkę.

- Sześć. - Rickards zdjął okulary i przetarł oczy. - Niemiecki gejom-ski hardcore oglądany w przyspieszonym tempie jest mniej zabawny, niżby się mogło wydawać.

- Znowu opowiadasz o swoim życiu erotycznym? - Dosiadł się do nich posterunkowy Rennie z croissantem i kubkiem smakowitej kawy. Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Mówię wam, tak niewiele brakowało...

- Nie jestem gejem! - Rickards zerwał się na równe nogi. - Odbiło wam, do ciężkiej cholery?! Coś wam powiem: przez miesiąc uprawiam seks więcej razy niż wy przez cały rok! - Pochylił się nad stołem i szturchnął Renniego w ramię. W stołówce zrobiło się cicho jak makiem zasiał. - Z kobietami! I co z tego, że to jest BDSM? Może ty nie potrafisz tego zrozumieć, ale nie rób ze mnie geja!

I rozwścieczony wyszedł.

Rennie siedział jak skamieniały, z rozdziawionymi ustami. Ktoś nieśmiało się odezwał.

- Ja tylko żartowałem...

- Nowiem... Drażliwy jest.

- Serio? - Rennie odgryzł pokaźny kawałek croissanta i zapił go kawą. - Nie chciałem go urazić, tak sobie tylko jaja robię... - Spojrzał w stronę drzwi. - Pewnie już dzwoni do kumpli

z mafii kajdankowej. Jak się jutro obudzę, znajdę w pościeli koński łeb w masce.

Logan wrócił do małego pokoiku.

- Nie uważasz, że za bardzo się przejąłeś? — spytał, siadając ze świeżym kubkiem herbaty naprzeciwko naburmuszonego Rickardsa. Posterunkowy rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Powiedział im pan, prawda? Ja panu zaufałem, a pan...

- Nic nikomu nie powiedziałem! Rennie po prostu sobie zażartował. Nikt nic nie wiedział, dopóki nie wykrzyczałeś tego na całą stołówkę.

Rickards już otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, i zdrętwiał. Zrozumiał, co zrobił, i w jego oczach odmalowało się przerażenie.

- Ażeby to...

Ukrył twarz w dłoniach.

- Gratuluję - mruknął Logan. - Właśnie wyszedłeś z ukrycia.

Zbliżała się pora lunchu, zanim przekopali się przez całą kolekcję porno Franka Garyiego. Rickards pomału *zaczynał* się godzić ze swoją nową sytuacją. DVD zawierały to, co obiecywały ich opisy; większość została nakręcona chałupniczo, na domowym sprzęcie; Garyie występował w nich w swoim czerwonym gumowym kombinezonie, czasem z przyjaciółmi, ale najczęściej sam. Rickards nie obejrzał tylko dwóch starych celuloidowych filmów. Logan wziął do ręki pudełko z *Zemstą lokaja*. Ekipa audiowizualna Biura Identyfikacji Ofiar stwierdziła, że film pochodzi najprawdopodobniej z epoki wiktoriańskiej i nie dysponują żadnym urządzeniem, na którym dałoby się go odtworzyć. Nie miało to zresztą wielkiego znaczenia: cokolwiek nielegalnego zarejestrowano na tej taśmie, uległo już przedawnieniu. Nie znajdują tam nic, co pomogłoby powiązać Franka Garwiego z Jasonem Fettesem.

Rickards sięgnął po drugie pudełko.

- Panie sierżancie... - Obracał je w palcach. *Wesołe psoty*. - To chyba kradzione.

Odłożył pudełko na stół i pogrzebał w stercie papierów pod kaloryferem, Wyjął z niej plik formularzy i pomrukując pod nosem, zaczął je przeglądać.

- Mam: trzy pudełka z wiktoriańskimi filmami porno. Skradzione i z ClarkRig Training Systems. Wiedziałem, że z czymś mi się kojarzą. - Rickards uśmiechnął się z dumą. - Nie mówiłem? Ja naprawdę przeczytałem te raporty.

Logan zerknął na listę skradzionych przedmiotów. Rickards miał rację: Zander Clark, naczelny pornograf Aberdeen, zgłosił kradzież filmów. Razem z nimi zginęło sporo starych zabawek i akcesoriów erotycznych, a także komputery, komórki i cyfrowe kamery wideo. Uśmiechnął się szeroko.

Zadzwoił do Inscha, ale kiedy połączył się bezpośrednio z pocztą głosową, wybrał numer Steel. To samo. Zatelefonował więc do centrali, gdzie kobieta - tak silny akcent z Banff, że z trudem ją rozumiał - poinformowała go, że oboje inspektorzy są na szkoleniu o zagrożeniach terroryzmem, które skończy się dopiero po szóstej. Rozłączył się i zamyślony postukał telefonem w podbródek.

- Chyba powinniśmy odwiedzić pana Garwiego. Zobaczmy, jak wyjaśni to, że trzymał w szufladzie kradzioną wiktoriańską pornografię. Pojechali okrężną drogą, żeby najpierw sprawdzić pewną teorię.

Zandera przez „Z” znaleźli w montażowni. Na stole stał ogromny kubek z kawą i talerz z lunchem: mięso, ziemniaki z cebulą, kiszone buraki ociekające czerwoną zalewą. Clark bawił się pokrętlami na konsolce, a na ekranie ludzie w kaskach poruszali się skokami. Kiedy Logan i Rickards weszli, nawet na nich nie spojrzeli.

- Zaraz będę wolny... to ważna scena...

- A kiedy pojawią się rozebrane kobiety Wikingów? Reżyser wcisnął jakiś guzik i ludzie w kaskach znieruchomieli.

- Wcale. - Cofnął i włączył odtwarzanie, wpatrując się z napięciem w ekran. - Świetnie! - Nagarnął na widelec porcję jedzenia i wepchnął sobie do ust. - To instruktaż filmu *Bezpieczeństwo przede wszystkim, czyli jak magazynować kontenery*. Większość reżyserów w takich filmach nie przejmuje się fabułą czy narracją; po prostu kleją scenę po scenie: „Tego nie robić, tamtego nie robić...” Moje filmy BHP zawsze mają jakiś temat, jakąś myśl przewodnią. Dlatego zdobywają nagrody.

- Rozumiem - Logan wziął od Rickardsa pudełko ze starym filmem. - Chcieliśmy zapytać, czy te pudełka nie wydają się panu znajome... Clark wytrzeszczył oczy.

- *Zemsta lokaja!* Więc złapaliście drania! - Wyciągnął rękę i zabrał posterunkowemu drugie pudełko. - *I Wesole psoty!* - Zmarszczył brwi, zdziwiony. - A *Kotka Kąty* i reszta?

- Jaka znowu kotka?

- *Kotka Kąty*. To o kobiecie, która wychodzi na plan przebrana za kotkę i się liże. Numer cyrkowy z czasów wiktoriańskich: kobieta-guma w filmie porno z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego. Prawdziwa rzadkość. - Czule przytulił odzyskane filmy do piersi. - Resztę też już macie, tak?

- Prowadzimy śledztwo wielotorowo - odparł Logan. Zwykle oznaczało to „nie mamy zielonego pojęcia, co się dzieje”, więc miło było dla odmiany móc nie kłamać. - Na razie musimy zatrzymać te filmy w charakterze dowodów rzeczowych. — Clark wyraźnie posmutniał. — Ale zwrócimy je panu.

Clark pokiwał głową.

- Dobrze, że się znalazły... Proszę chwilkę poczekać. - Wyszedł do recepcji i po chwili wrócił z dwoma DVD. — Miałem wyrzuty sumienia, że poprzednio ich panom nie dałem. To mój najlepszy film.

I wręczył im po jednym egzemplarzu *Crocodildo Dundee*. Logan obrócił pudełko w rękach. Na okładce, częściowo zastonięty długimi, opalonymi nogami głównej bohaterki, stał przebrany za gangstera Jason Fettes. To z jego powodu tu przyszli.

- Nie zapytał pan, co on zrobił.

- Kto? - Clarka uśmiechnął się niewyraźnie.

- Jason Fettes. Dick Longlay. Nie zapytał pan, co takiego zrobił.

- Nie?

- A wiedział pan, prawda?

Logan schował film do kieszeni i oparł się o stół mikserski. Skrzyżował ramiona na piersi, stosując opatentowaną przez Inscha taktykę milczącego przesłuchania.

- No więc... Ja... To zależy... Wiedziałem i nie wiedziałem... — Reżyser odkasznął. - Wiedziałem, że Jason robi różne rzeczy, to wszystko. Nie miałem pojęcia, że został zabity, co to, to nie! Kiedy pracuję nad filmem, zapominam o bożym świecie.

- Różne rzeczy? Chodzi panu o BDSM? Clark się zaczerwienił.

- Jason się... sprzedawał. Wynajmował. Do seksu.

- Serio?

Reżyser kiwnął głową.

- Strasznie chciał się stąd wyrwać, zagrać w Hollywood, zostać prawdziwym aktorem.

Pracował nawet nad własnym scenariuszem... Nie wyobrażacie sobie panowie, ilu ludzi chciałoby się przespać z prawdziwą

[gwiazdą porno, nawet tutaj, w takim Aberdeen. - Niezręczna cisza. - Maile j do Jasona przychodziły czasem na stronę Crocodildo Films.

Logan milczał. Zander Clark, producent filmów porno, zaczynał się j pocić.

- Ja... Nie byłem jego alfonsem, nie myślcie sobie! Nie miałem z tym [nic wspólnego. Po prostu traktowaliśmy te listy tak samo jak pocztę od fanów i przekazywaliśmy Jasonowi. Słowo daję!

- Ma pan kopie?

- Nie. Wszystko kasowałem. To nie dotyczyło ani firmy, ani mnie osobiście. Jeśli Jason chciał sobie dorobić na boku, spełniając marzenia pań w średnim wieku... - Paznokciem palca wskazującego zaczął drapać naderwaną skórkę na kciuku. - Naprawdę, nic więcej nie wiem.

- Proszę podać nam adres mailowy, na który przekazywaliście jego pocztę.

- Jasne, oczywiście. Ja zawsze chętnie współpracuję z policją- dodał Clark z udawaną dobroduszością. Był beznadziejnym aktorem.

- No proszę... - mruknął Logan, kiedy reżyser poszedł sprawdzić adres Fettesa. - Czasem nawet panna Marple może mieć rację.

G arwiego nie było w biurze. Niezbyt sympatyczny mężczyzna w polo i džinsach, nie przebierając w słowach, powiedział Loganowi, co myśli o policjantach naprzykrzających się ludziom, aż ci nie wytrzymują napięcia i muszą brać zwolnienie. Pojechali więc do mieszkania Gandego w Danestone. Słońce schowało się już za domem, którego siny cień kładł się na zmrożoną trawę i połyskujący od szronu szary asfalt. Rickards dzwonił i dzwonił, dopóki w końcu nie otworzyło się okno na drugim piętrze. Pojawiła się w nim zmęczona, półprzytomna twarz.

- Idźcie stąd!

Logan uśmiechnął się przymilnie.

- Wpuść nas, Frank. Jest zimno.

- Źle się czuję.

Chyba nie kłamał: miał fioletowe wory pod oczami i jednodniowy, siny zarost na podwójnym podbródku i białych policzkach.

- Jeśli chcesz, mogę załatwić nakaz, Frank.

Garvie pobladł jeszcze bardziej i zniknął. Trzydzieści sekund później *zabrzącał* zamek w drzwiach. Weszli na klatkę i, po schodach, na drugie piętro. Odkąd przed dwudziestoma czterema godzinami przeprowadzili rewizję, trochę się tu zmieniło; czerwoną farbą ktoś namalował na drzwiach: ZBOCZENEC!!!

Garvie wpuścił ich do środka, zatrzasnął drzwi i zasunął zasuwę. Maleńki przedpokój zalatywał środkiem odkażającym, czuć było jednak odór ekskrementów i spalenizny. Informatyk przyjął ich w zaciemnionym pokoju gościnnym. Jedynym źródłem światła był tu ekran projekcyjny, po którym ze świstem przelatował właśnie *Enterprise*. Gospodarz włączył pauzę. Dźwięki ucichły. Teraz, z bliska, Logan dostrzegł świeży siniec na szyi eksgwiazdora porno. Czyżby ktoś próbował go udusić?

Garvie usiadł ciężko na czarnej skórzanej sofie, przewracając dwie puste butelki po winie; spadły na podłogę.

- Długo to potrwa? - zagadnął, nie patrząc na nich.

- To zależy od ciebie - odparł Logan, sadowiac się w fotelu. - Przyjechaliśmy... O, to coś nowego? - zapytał, wskazując przymocowany do sufitu stalowy hak. Niemożliwe, żeby wcześniej go nie zauważył.

Garvie tylko zerknął.

- Nie. Czego chcecie?

- Najchętniej herbaty z mlekiem. Rickards, zajmiesz się tym? Posterunkowy kiwnął głową i wyszedł do kuchni, skąd po chwili dały się słyszeć odgłosy otwierania i zamykania szuflad i szafek.

- Mamy problem, Frank. - Logan wyjął pudełka z wiktoriańskimi filmami. - Znaleźliśmy je u ciebie w domu. Garvie łypnął na nie i zaraz spuścił wzrok.

- Pierwszy raz je widzę.

- Trzymałeś je w szafce nocnej, razem ze swoimi filmami i skarpetkami. Kojarzysz?

- Ja...

Nic więcej nie chciał powiedzieć.

- Sąkradzione. Ktoś włamał się do ClarkRig Training Systems i ukradł sporo eksponatów z prywatnej kolekcji twojego byłego pracodawcy. Nie uważasz, że to ciekawy zbieg okoliczności?

Garvie wytrzeszczył oczy.

- Ja ich nie ukradłem!

- Nie opowiadaj bajek, Frank. Wiedziałeś, że Clark je ma; wiedziałeś, ile są warte. Włamałeś się tam i...

- Ja je kupiłem!

- Kupiłeś?

- Od jednego gościa w pubie. Wiedziałem... - Garvie kaszlnął i zaczął jeszcze raz: - Wiedziałem, że to są filmy Zandera, nawet chciałem mu je oddać, tylko... jakoś się nie złożyło...

- Ten gość z pubu... Jak się nazywa?

- Nie... - Garvie wbił wzrok w poplamione spodnie od dresu. - Nie znam go.

Logan wstał i smutno pokręcił głową.

- Rzadko zdarza mi się spotykać tak beznadziejnych kłamców. Franku Garvie, aresztuję cię za posiadanie rzeczy pochodzących z kradzieży. Nie musisz nic mówić...

- Roń! Roń Berwick! Czasem sprzedaje różne rzeczy w pubach w Bridge of Don. Mieszka pod Balmedie. A z tą kradzieżą nie miałem nic wspólnego, przysięgam!

- Gdzie pod Balmedie? Garvie wszystko im powiedział.

Popołudnie było rześkie i pogodne; szadź skrzyła się jak lukier na ocienionej trawie i bezlistnych gałęziach. Idealny błękit nieba przechodził na horyzoncie w mglistą biel, tuż ponad ciemną linią morza, ledwie widoczną z zabudowań farmy leżącej dwanaście kilometrów na północ od Aberdeen. Dawniej w podkowiastym kompleksie granitowych budynków znajdowała się olbrzymia obora dla bydła lub świń, ale ktoś podzielił go i przerobił na sześć szeregowców z mansardami, wykończonych lakierowanym drewnem. Obok wybudowano sześć garaży. Według informacji z centrali Ronald Berwick mieszkał w ostatnim domu, wraz z żoną, trójką dzieci i labradorem.

- Panie sierżancie... - Rickards poruszył się niespokojnie za kierownicą sfatygowanego vauxhalla. Ubrani na czarno, zamaskowani i uzbrojeni policjanci wysiadali pojedynczo z

brudnobiałej furgonetki. - Czy to nie... - Zakradali się pod dom Berwicków. Na głowach mieli wielkie hełmy, w rękach pistolety maszynowe heckler and koch, a w kaburach na biodrze Glocki kaliber 9 milimetrów. - .. Nie przesada?

- Nie.

Logan musiał się trochę nagimnastykować, żeby przekonać inspektora w centrali do przydzielenia mu oddziału z bronią, ale nie zamierzał przeżywać podobnej wpadki jak przy poprzednim nalocie na skład kradzionych towarów ani uczestniczyć w następnym pogrzebie policjanta - nie mówiąc już o tym, że znów na niego spadałaby odpowiedzialność.

Dwóch ludzi w czerni przywarło do ściany po obu stronach wejścia. Trzeci stanął na wprost drzwi z przenośnym taranem w rękach, pozostali obiegli budynek od tyłu. Jakiś mały chłopczyk patrzył przez okno domu naprzeciwko, z nosem przyklejonym do szyby i szeroko otwartymi oczami.

Radiotelefon Rickardsa zapiszczał, zatrzeszczał i zgłosił się dowódca:

- Tu jedynka. Zajęliśmy pozycję.

- Tu dwójka: jesteśmy na tyłach. Nikogo nie widać.

Logan dał sygnał do ataku. Uderzone taranem drzwi wyskoczyły z zawiasów i wpadły do przedpokoju. Trzech policjantów w strojach komandosów wparowało do środka, krzyząc:

- Policja! Na ziemię! Nie ruszać się!

Pięć minut później dowódca stanął w progu i dał znak, że teren *zabezpieczony*. Obeszło się bez jednego wystrzału.

W domu pachniało świeżą farbą. Na ścianach nie było żadnych zdjęć ani obrazów, dywan w salonie został przykryty gazetami, obok elektrycznego kominka stała drabina, a przy niej otwarte puszki z farbą. Nagle dał się słyszeć podniesiony głos:

- Trzymaj ręce na widoku! Odpowiedział mu okrzyk przerażenia.

Logan przebiegł przez salon do krótkiego korytarza. Jedna z policjantek celowała z pistoletu do kogoś za następnymi otwartymi drzwiami.

- Drugi raz nie powtórzę!

Ktoś zajęczał cicho. Logan zajrzał za drzwi i zobaczył przerażonego mężczyznę po trzydziestce: siedział na sedesie ze spodniami opuszczonymi do kostek i trząsł się jak galareta. Był błydy jak ściana, ręce trzymał nad głową i kurczowo zaciskał powieki.

- Ronald Berwick?

- Nie zabijajcie mnie, błagam!

Logan kazał posterunkowej opuścić broń.

- Kiedy pan skończy, panie Berwick, chciałbym z panem porozmawiać. Zaczekam w kuchni. Niech pan nie zapomni umyć rąk.

Kuchnia połączona z jadalnią świeciła pustkami tak jak reszta domu. Ogromna lodówka w amerykańskim stylu stała w kącie, pomrukując cicho; do jej drzwi nie przyczepiono żadnej karteczki z magnesem ani dziecięcego rysunku. Nie było też kalendarza, kwiatków, ozdóbek... Nic.

Policjanci przyprowadzili Ronalda Berwicka i trzymając go na muszce, kazali mu *zaparzyć* dziewięć herbat: sześć dla antyterrorystów, po jednej dla Logana i Rickardsa i jedną dla niego samego. Przy okazji wygrzebał skądś paczkę herbatników.

- No, tak lepiej - stwierdził Logan, kiedy roztrzęsiony Berwick usiadł przy kuchennym stole. - Jak się pan czuje? Berwick spojrzał na niego zdziwiony.

- Siedziałem na kiblu, kiedy ktoś wykopał drzwi do łazienki i wycelował mi gnata w głowę. Jak pan myśli, jak się czuję? Zesrałem się ze strachu!

Logan omal nie parsknął śmiechem.

- Mam nakaz rewizji. Szukamy przedmiotów pochodzących z kradzieży.

- No to super - jęknął Berwick. — Najpierw Margaret, teraz jeszcze to. - Zgarbił się nad swoim kubkiem i smętnie popatrzył do środka. - Kurwa, kurwa, kurwa mać... - mamrotał pod nosem.

Przeszukali cały dom, ale nie znaleźli żadnych wiktoriańskich zabawek erotycznych.

- W porządku — powiedział Logan, kiedy jeden z policjantów wychylił się z włazu prowadzącego na poddasze i poinformował, że nic tam nie ma. - Zajrzyjmy jeszcze do garażu.

Wyszli na dwór. Do chłopca, który przyglądał się, jak wyłamywali drzwi, dołączyła młodsza dziewczynka; wpatrywali się w policjantów, jakby w całej okolicy od wieków nie widziano niczego bardziej interesującego. Kiedy Berwick prowadził ludzi Logana do ostatniego garażu w szeregu, dzieci wybiegły na próg, żeby niczego nie przegapić.

Logan puścił Rickardsa przodem: posterunkowy otworzył zamek i podniósł kłapę garażu. Wnętrze przypominało skarbiec Aladyna, tyle że zawałony po brzegi urządzeniami elektrycznymi, wyjętymi z oryginalnych opakowań i wrzuconymi luzem do dużych kartonów. Były tam pudła pełne kamer cyfrowych, nagrywarek DVD, odtwarzaczy mp3, laptopów, komputerów stacjonarnych, sreber, ramek, świeczników, filmów na DVD, płyt CD, biżuterii...

- O Boże... - Logan nie umiał ukryć zdziwienia. - Ile domów trzeba okraść, żeby się tak nachapać?

Berwick nagle zainteresował się swoimi butami.

- Nigdy przedtem nie widziałem tych rzeczy.

- No już bez żartów. Dobrze pan wie, że możemy po prostu przewieźć cały ten towar na komendę i poszperać w archiwum. Na wszystkich są pańskie odciski palców. Dlaczego nie chce nam pan oszczędzić roboty? Proszę po prostu powiedzieć, komu pan to ukraść. W sądzie będzie to lepiej wyglądało.

Berwick przetrwał te słowa i westchnął ciężko.

- Jasny gwint... Kto mnie podkablował?

- Proszę nam podać adresy. Przekażę prokuratorowi, że zgodził się pan współpracować.

- Margaret, prawda? Mściwa suka. Nie dość, że zabrała mi dzieci i wypłaciła całą kasę ze spółdzielni, to jeszcze musiała mnie wsypać. - Patrzył, jak Rickards wciska się do garażu. — Jest pan żonaty, inspektorze?

- Sierżancie. I nie, nie jestem żonaty.

- To dobrze. - Berwick pokiwał głową. - Bo to od ślubu zaczynają się kłopoty. Człowiek sobie żyły wypruwa, żeby było co do garnka włożyć i na łeb nie kapąło. A tu ona nagle zaczyna wychodzić sobie gdzieś wieczorami, zamiast zajmować się dziećmi. „Idę do koleżanki”. Kłamliwa cipa.

W głębi garażu Rickards ściągnął pudło ze stosu i wyjął ze środka przezroczysty fioletowy członek z gumy.

- Znalazłem coś! Logan jęknął.

- Weź włoż rękawiczki, jak Boga kocham...

- Domyśla się pan, co naprawdę robiła, prawda? - mówił dalej Berwick. Rickards naciągnął tymczasem lateksowe rękawiczki i zaczął wyjmować z pudła przeróżne akcesoria erotyczne. - Różnęła się z gościem, który przyszedł nam zainstalować Internet. To ja narażam życie i wolność, żeby opłacić jej fryzjera i lekcje francuskiego, a ona bzyka się z jakimś świrem od komputerów. - Skurczył się w sobie. - A kiedy powiedziałem jej, co o tym myślę, obraziła się. Jak śmiem ją śledzić?! Gdzie się podziało wzajemne zaufanie?! Ona sypia z innym, a ja dostaję opieprz za brak zaufania. .. Kobiety są podłe.

Rickards podniósł wysoko do góry okrągły metalowy pojemnik.

- *Kotka Katy!*

- Wyszedłem, jak zwykle, na robotę, a kiedy wróciłem, jej już nie było. Zabrała dzieci i wszystko, co dało się wynieść. Wynajęła do tego specjalnie firmę przeprowadzkową. Wyobraża pan sobie? - Berwick prychnął, patrząc, jak posterunkowy z entuzjazmem przekopuje się przez wiktoriańskie zbiory Zandera Clarka. - W kuchni zostawiła mi liścik: „Odchodzę. Matka zawsze mi powtarzała, że stać mnie na coś lepszego. Wierzę jej”. - Pokręcił głową. - Niech pan nigdy nie ufa kobiecie. Wydyma pana przy pierwszej okazji.

Było już dobrze po szóstej, ale Logan ciągle siedział w pokoju operacyjnym inspektor Steel, wśród rozrastającej się sterty dokumentów, zajęty wypisywaniem papierów, których wymagało zakończenie sprawy włamań.

Po drugiej stronie biurka Rickards próbował dopasować skradzione rzeczy do adresów miejsc, skąd zniknęły. Nie udało im się odzyskać wszystkiego - lecz Logan nawet tego nie oczekiwał. Wiedział z doświadczenia, że ludzie często dopisują do listy skradzionych przedmiotów jeden lub dwa takie, których nigdy nie mieli, ale zawsze o nich marzyli, przekonani, że firma ubezpieczeniowa z przyjemnością im je ufunduje. Poza tym Berwick sprzedawał towar w pubach, żeby sfinansować remont domu.

Skończył wypełniać jeden komplet formularzy i wcisnął: drukuj. Odczekał, aż drukarka laserowa skończy burczeć i popiskiwać, i wstał, by wyjąć z niej po papiery.

- Ile mamy? - zapytał, spinając kartki zszywką i odkładając je na stos.

Rickards spojrział na niego znad komputera.

- Ja zrobiłem dwadzieścia.

Logan kiwnął głową i zerknął na zegarek.

- Czyli do... siódmej powinniśmy skończyć? - Stłumił ziewnięcie. - Potem idziemy na pizzę. Nieczęsto...

- Przykro mi, panie sierżancie, ale... - Na twarzy Rickardsa powoli rozlewał się rumieniec. - Jestem dziś... umówiony.

- Aha. - Logan klapnął na krzesło i wyświetlił następny raport. - Chciałbym cię o coś zapytać... Jakich ludzi to kręci?

- Hm... - Posterunkowy odchrząknął i sczerwieniał jeszcze mocniej. - To... My...

Drzwi się nagle otworzyły; poczuł ulgę - dopóki nie zobaczył, że w progu stoi Steel, z włosami jak sierść spłoszonej wiewiórki. Na bluzce pod pachami miała dwie ciemnoniebieskie plamy potu.

- No i? - spytała. - *Zgadza się?*

Logan skinieniem głowy wskazał rosnący stosik gotowych papierów.

- Sześćdziesiąt dwa włamania.

- Sześćdziesiąt dwa, tak? To prawie wszystkie! Oskarżycie go o tamte pozostałe też?

- Spróbujemy, ale nie jest łatwo. Wyparł się, a sprzęt sprzedał, więc nie mamy dowodów.

- Szkoda... Mimo to chyba nie powinnam narzekać: sześćdziesiąt dwa... - Steel wcisnęła ręce do kieszeni i się rozpromieniła. - Włamania wyjaśnione, Sean Morrison zatrzymany; w tym miesiącu będę miała świetną średnią. Dobra, jak tylko skończycie z tymi papierami, idziemy się napić, ja stawiam. We trójkę: ty, ja i Klapsik.

Spanikowany posterunkowy zerknął na Logana.

- Klapsik?! ...

- Pani inspektor... Posterunkowy Rickards mówił mi właśnie, że musi dziś odwiedzić matkę.

Napijemy się we dwójkę. Steel nie kryła rozczarowania.

- Naprawdę? Oj, Klapsik, sześćdziesiąt dwa włamy to nie w kij dmuchał. Jest co uczcić...
- Przerwała, dając Rickardsonowi szansę na zmianę zdania, ale on tylko spurpurowiał i przeprosił. Wzruszyła ramionami. -Jak chcesz. Będzie więcej dla nas.

Godzinę później po Rickardsonie nie było już śladu: pobiegł się przebrać w gumowy kaftanik, czy co tam planował z kumplami z BDSM; szczyrzył zęby od ucha do ucha - bo sierżant go pochwalił. Logan starał się przy tym unikać wymyślonej przez Steel pieszczotliwej ksywki; znał inspektor nie od dziś i wiedział, że Klapsik to w gruncie rzeczy łagodny wymiar kary. Wziął z drukarki ostatni wydruk, wyłączył sprzęt i światło, ziewnął i zszedł na dół. Było pusto, więc bocznymi drzwiami ominął weneckie lustro i wszedł do dyżurki, gdzie Duży Gary z zapamiętaniem siorbał kawę i obsypywał „Evening Express” okruchami herbatnika w czekoladzie.

- Hm? - zapytał, kiedy Logan wziął sobie ciastko.

- Nie mam pojęcia. Od tygodnia jestem na dziennej zmianie i ślaniem się na nogach.

Gary splukał biskwita potężnym haustem kawy.

- Masz gówniany grafik, zdajesz sobie chyba sprawę? - Zdjął z półki gruby zeszyt. - Weź sobie trzy dni wolnego, od soboty przejdź na nockę... - Mrugnął porozumiewawczo. - I znowu się zgrasz z piękną panną Watson.

Logan się uśmiechnął.

- Najwyższy czas.

Rzeczywiście, miło by dla odmiany pobycć trochę razem. Spojrzał na zegarek: Jackie miała dzienną zmianę, więc powinna już wrócić do domu. Może namówiłby ją na bibę z okazji rozwiązania sprawy włamań? Zadzwoił do inspektor Steel; sądząc po odgłosach ze słuchawki, już była w pubie.

- Łazarz! -1 piła już co najmniej drugą whisky. - Gdzie jesteś?

- Właśnie skończyłem i...

- No to świetnie. Dołącz do nas.

- Mogę przyprowadzić Jackie?

-A dlaczego miałbyś nie móc? Kurczę, sześćdziesiąt dwa włamy! Nawet Renniemu mogę postawić kolację!

W tle rozległo się triumfalne: „Super!”

Logan rozłączył się, uśmiechnął i zadzwonił do domu. Zgłosiła się automatyczna sekretarka. Znowu. Wybrał numer komórki Jackie.

- Nie poszłabyś ze mną i Steel na kolację? Ona stawia. Jackie się zawahała.

- Chciałabym, ale nie mogę. Dzwoniła Jeanette: zamknęła się w łazience z butelką wódki i albumem ze zdjęciami, więc mam następny spieprzony wieczór. Jak kiedyś dorwę tego jej narzeczonego, to chyba łeb mu urwę.

- Hm... - Logan próbował sobie przypomnieć Jeanette; daremnie. -Ale o jutrzejszym pamiętasz?

- O jutrzejszym czym... Cholera! - Kłęła jeszcze przez chwilę, po czym zapytała: - Nie dałoby się tego przełożyć na przyszły tydzień?

- To jej pięćdziesiąte piąte urodziny. Wykluczone.

- Przecież nawet nie chcesz tam iść!

- Nie chcę, ale muszę. Wiesz, co będzie, jeśli nie przyjdiesz. Kolejne przekleństwo.

- Dobrze. Pójdę z tobą na te głupie urodziny. Zadowolony?

- Nieszczególnie. Posłuchaj: nie musimy nawet siedzieć do końca... -Logan próbował być rozsądny.

- Dobrze, dobrze... Muszę lecieć.

Klik, i tyle.
Logan poszedł do pubu.

26

Następnego dnia rano inspektor Steel wyglądała jeszcze bardziej makabrycznie niż zwykle; siedziała sztywno przed komendantem, który chwalił ją, Logana i Rickardsa, że wykonali kawał dobrej roboty.

- Rzadko się zdarza, żebyśmy jednego dnia wykreślali sześćdziesiąt dwie sprawy z rejestru spraw nierozwiązanych - mówił, opierając się na parapecie. Szare chmury pędziły wysoko po niebie za jego plecami. - Nawet gazety nam dziś odpuściły.

Rzeczywiście: na pierwszej stronie „Press and Journal” pisał o lokalnym przedsiębiorcy budowlanym, którego przywieziono do szpitala z połamanymi nogami.

Może Loganowi tylko się zdawało, ale Rickards wiercił się jakoś bardziej niż zwykle. Jakby miał owsiki.

- Teraz pozostaje tylko rozgryźć do końca sprawę Fettesa - ciągnął z uśmiechem komendant. -1 będzie pięknie.

Steel ostrożnie kiwnęła głową i wymamrotała coś o inspektorze In-schu, który nie ustaje w wysiłkach...

- Świetnie. - Komendant wrócił za biurko. - Rozumiem w takim razie, że szykujemy solidny materiał dowodowy, którego żaden adwokat nie podważy.

- Właściwie tak. - Głos Steel brzmiał jak sapanie Dartha Yadera i jednocześnie zgrzyt maszyny do piaskowania. - Nie obejdzie się pewnie bez mojego nadzoru, ale Insch cieszy się moim pełnym zaufaniem.

W ten sposób zapewniała sobie splendory, jeśli Inschowi się powiedzie, i mogła na niego rzucić winę, gdyby jednak zawiódł.

- Rozumiem. Biorąc pod uwagę ostatnie... hm... komplikacje, chciałbym, żeby zachowała pani czujność, pani inspektor. Nie życzę sobie następnej katastrofy, takiej jak w przypadku Roberta Macintyre'a. - Komendant wziął do ręki srebrny nożyk do listów. Trzymał go za czubek, jakby zamierzał nim w kogoś rzucić. - A pan, sierżancie McRae...

- Słucham, panie komendancie? - Logan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że czeka go jakaś paskudna niespodzianka.

- Nieczęsto mam okazję w ciągu tygodnia rozważyć udzielenie nagany i pochwały temu samemu człowiekowi. Będę miał na pana oko.

- Eee... Dziękuję, panie komendancie.

Nie wiedział, czy komendant chwali go czy mu grozi.

Nie zdążyli nawet z Rickardsem dojść do schodów, kiedy spadła na nich katastrofa w osobie posterunkowego Renniego.

- Wszędzie was szukałem! Inspektor Insch prosi, żebyście przy najbliższej sposobności zaszczylili go swoim towarzystwem.

- Co dokładnie powiedział?

- Powiedział, żeby brał pan dupę w troki i biegł do operacyjnego. I żeby zabrał pan ze sobą sado... - Rennie ugryzł się w język, odchrząknął i dokończył: - Żeby pan przyprowadził posterunkowego Rickardsa.

— Nie da rady. — Logan pokręcił głową. — W ogóle nie powinno nas tu być. - Gdyby nie

Steel, która zadzwoniła o wpół do dziewiątej, żeby mu powiedzieć, że komendant chce go pogłaskać po główce, dalej odsypiałby uroczystą kolację i ostre picie. - Wracam... - Odliczył na palcach do trzech. - .. w sobotę.

Rennie uśmiechnął się przepraszająco.

- Inspektor naprawdę kazał się wam pospieszyć. Logan westchnął.

- No jasne.

Insch rozmawiał z urzędniczką z administracji, kiedy do pokoju wpa-rował Logan ze swoją dwuosobową drużyną wesołych policjantów. Stanęli przy tablicy ogłoszeń, czekając, aż inspektor skończy. Renniego nie trzeba było specjalnie zachęcać, żeby zaczął się chwalić, jakie to fantastyczne występować w *Mikado* i jak Sophie, Anna i Liz na niego lecą.

- Mówię wam, jeśli dobrze to rozegram, to trójkącik mam jak w banku. A może nawet coś więcej. Rickards prychnął.

- Co ty? Nigdy nie byłeś w trójkącie?

- Właściwie... - Rennie przestąpił z nogi na nogę na brudnej, szarzielonej wykładzinie. - Nie.

- A w ogóle jak wam idzie? — spytał Logan, zmieniając temat, zanim któryś z nich zdążył jego zapytać o trójkąty. - Próby... i tak dalej?

- Coraz lepiej, ale bez rewelacji. Wszyscy poza Debs drepczą po scenie jak Teletubisie.

Logan parsknął śmiechem.

- No tak, Jackie wspominała, że zachowujecie się jak upośledzeni. -Widząc zdumioną minę Renniego, dodał: - Nie pamiętasz? Próba w niedzielę, przegrany zakład... Dwadzieścia funciaków?

- Nie. - Rennie pokręcił głową. - Próby są w poniedziałki, środy i piątki. Na pewno powiedziała... Aaa, w tę niedzielę? No tak, jasne. W niedzielę. - Pacnął się otwartą dłonią w czoło. - Oczywiście. Zna mnie pan, sierżancie: zero pomyślunku. W niedzielę. No pewnie.

- Rennie?! Do mnie! - zawołał Insch znad trzymanego w rękach raportu.

Posterunkowy podbiegł do niego, chwilę porozmawiali półgłosem i Rennie, obarczony nowym zadaniem, wypadł z pokoju. Insch oddał raport urzędniczce i dźwignął się zza biurka, aż kości zatrzęszczały.

- Sierżancie McRae? Od rana próbuję się do pana dodzwonić.

- Byliśmy u komendanta, panie inspektorze. Wie pan, że on nie lubi, jak się komuś komórka rozdzwoni, kiedy...

- Proszę do mnie do gabinetu. Pan i posterunkowy Rickards.

Zebrał się we trzech u Inscha. Inspektor kazał Rickardsowi zamknąć drzwi, a sam rozsiadł się w czarnym, skórzanym fotelu za biurkiem i spoglądał na nich w milczeniu.

- Gdzie raport z wczorajszej roboty? Powinien czekać rano na biurku. Postukał w blat serdelkowatym palcem.

- Musieliśmy odhaczyć włamanie...

- Nie interesuje mnie to. Kiedy zlecam wam zadanie, oczekuję, że zostanie wykonane! Twarz Inscha *zaczynała* przybierać niepokojąco znajomy, buraczany odcień.

Rickards złamał żelazną regułę: zaczął się bronić.

- To nie fair! Rozwiązaliśmy wczoraj sprawę sześćdziesięciu dwóch włamań za jednym zamachem, komendant nas pochwalił...

- Pytałem was o zdanie, posterunkowy? - Ściszony, niebezpieczny głos. Rickards wypiął pierś i wyprężył się na całe swoje metr sześćdziesiąt dwa.

- Za pozwoleniem...

Logan kopnął go w piszczel, zanim posterunkowy zdążył się wpakować w gorsze kłopoty. Rickards się zamknął. W Inschu wzbierał słuszny gniew.

- Nie ważcie się mnie więcej „zapozwoleniować”, posterunkowy. — Wstał i spojrzał z góry na Rickardsa. - Jeśli chcecie coś powiedzieć, po prostu mówcie!

- Nie, panie inspektorze. Nie mam nic do dodania.

- Gadaj!

Logan zamknął oczy, modląc się w duchu, żeby Rickards wykazał się odrobiną intuicji i trzymał język za zębami. Ale nie:

- Wczoraj rozwiązałyśmy mnóstwo spraw, panie inspektorze. Przejawiliśmy inicjatywę. Komendant nas pochwalił.

- Komendant was pochwalił... - Twarz Inscha z ciemnoróżowej zrobiła się fioletowa. Logan nie mógł oderwać wzroku od żyłki, która pulsowała inspektorowi na czole jak ryjący pod skórą robak. - Musicie coś zrozumieć, posterunkowy. Kiedy mówię „Skacz!”, skaczecie; nie pyskujecie mi, nie biadolicie i nie wyjeżdżacie z żadnym „za pozwoleniem”. Możecie najwyżej spytać „Jak wysoko?”, ale potem macie skakać, do wszystkich diabłów! -Wycelował palec w Logana. - Pan to powinien wiedzieć najlepiej!

- Tak jest.

Nie było sensu się spierać; w ten sposób tylko przedłużyłby przykrą scenę. Lepiej przyjmować ciosy i starać się łagodzić ich siłę.

Inspektor sprawdził sobie puls na szyi i ciężko stoczył się z powrotem na fotel.

- Co się wczoraj działo?

Logan w dwóch zdaniach wyjaśnił mu, że Garvie kupował kradzione porno od człowieka, którego następnie oskarżyli o sześćdziesiąt dwa włamania.

- A Zander Clark twierdzi, że Fettes dorabiał sobie jako męska prostytutka: wynajmował się paniom w średnim wieku, które miały ochotę przespać się z prawdziwym gwiazdorem porno. Za pośrednictwem strony internetowej Crocodildo Films przyjmował maile z propozycjami; przesyłali mu je na Hotmail.

Wręczył inspektorowi otrzymaną od Clarka kartkę z adresem mailo-wym. Insch chrząknął, sięgnął do teczki Jasona Fettesa i zaczął kartkować dokumenty. *Znalazł* raport BIO z badania komputera ofiary.

- Jak zwykle, psiakrew: nie ma tego adresu na liście, którą od nich dostaliśmy. - Zamknął teczkę i rzucił ją na biurko. - Pogońcie ich: chcę dostać wszystkie maile, wysłane lub odebrane z tego adresu przez ostatnie pół roku. Garvie na pewno się z nim kontaktował. Przy okazji dowiedzcie się, co z tymi cholernymi serwerami. A jak pan spotka Watson, proszę jej powiedzieć, że też chcę się z nią widzieć. - Insch rozsiadł się wygodnie i włączył komputer. - Na co jeszcze czekacie? Do roboty!

Na szczęście Rickards miał dość oleju w głowie, żeby z dalszymi skargami poczekać, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu inspektora.

- Dlaczego musieliśmy to znosić? Nie jesteśmy dziećmi! A pan nawet nie...

- Dlatego, że dobrze znam inspektora. W takich chwilach nie ma sensu się z nim sprzeczać. Będzie się tylko dalej nakręcał, a i tak jest już w paskudnym nastroju.

- Ale nie powinien...

Logan uciszył posterunkowego gestem.

- Nie masz jeszcze wielkiego doświadczenia w pracy z inspektorami, prawda? Widzisz, oni wszyscy mówią, że prowadzą politykę otwartych drzwi, że możesz się do nich zwrócić z każdą sprawą i każda opinia się liczy, ale jak przychodzi co do czego, wszystko okazuje nie warte się funta kłaków. To oni prowadzą śledztwa; jak coś się popieprzy, to oni świecą oczami, nie my.

- Tylko że mu nie daje prawa tak nas traktować!
- Zgadzam się z tobą, ale nie wrócę się tam wyklócać o swoje. A ty?

161

Rozmowa z panem Skate Or Die, ulubionym maniakiem komputerowym BIO, rozpoczęła się od jego dziesięciminutowej tyrady o tym, jak to

nikt nie rozumie, jakie trudne jest sądowe badanie komputerów i że to nie jego wina, że laboratorium w Dundee jest po szyję zawałone pracą. Gdy Logan przekazał mu polecenie Inscha, usłyszał następną przemowę.

Kiedy wreszcie przyszedł koniec zmiany, miał ochotę jak najszybciej wrócić do domu, zrobić sobie gorącą kąpiel i zapomnieć o Grubasie Inschu. W dyżurce znów zastał Dużego Gary'ego, który w jednej wielkiej jak bochen chleba łapie trzymał kubek z herbatą, w drugiej baton z rodzynkami.

- Gdzieś ty był, facet? - zapytał Gary, jak zwykle z pełnymi ustami. - Insch mi od rana dupę zawraca i wypytuje, co się z tobą dzieje. Weź włącz telefon!

Logan pokazał mu środkowy palec i podpisał się na liście.

- Mam wolne, zapomniałeś? Ale skoro tak bardzo cię to interesuje, to ci powiem: byłem na górze, u komendanta. Osobiście udzielił mi pochwały.

- O rany... - Gary udał, że ociera łzę z kącika oka. - To piękna chwila dla nas wszystkich. Mimo to włącz telefon; nie jestem twoją sekretarką.

Podał Loganowi zwitek ledwie czytelnych karteluszków. Powtarzały się na nich krótkie komunikaty: ZADZWOŃ DO INSCHA!, GDZIE JESTEŚ?! i tym podobne. Logan zmiął je i wyrzucił do kosza. Dopiero wtedy włączył komórkę. Odsłuchiwał kolejne wiadomości od Inscha, którego głos zdradzał narastającą irytację. Na samym końcu *znalazł* wiadomość od Jackie: przypomniiała mu, żeby kupił na wieczór prezent i kartę z życzeniami, a potem narzekala na Roba Macintyre'a, który rano wystąpił w radiu, skarżąc się na policję i wymierzona w niego kampanię nienawiści.

„Wyobrażasz sobie? Ten skunks podpisał umowę na napisanie książki?! Jakim idiotą trzeba być, żeby...”

Na tym wiadomość się urywała. Logan wykasował ją, podobnie jak wszystkie poprzednie. Sprawa Macintyre'a przeradzała się u Jackie w obsesję. Każdego dnia drażniło ją coś nowego i Logan mógł być pewien, że uraczy go kolejnym kazaniem o tym, jak to należałoby piłkarzynę powiesić *za jaja*. *Zaczynał* mieć tego dość.

Schował telefon do kieszeni i wyszedł w miasto, żeby rozejrzeć się za takim prezentem, na który kobieta po pięćdziesiątce za bardzo by nie narzekala.

Zdążył właśnie wybrać dzwonki wiatrowe w kształcie słoników, kiedy rozdzwoniła mu się komórka: Królowa Zimy, znana również jako doktor Isobel MacAlister.

— Nie wrócił na noc do domu! Nie wrócił!

Wyjął kartę kredytową. Sprzedawczyni zaczęła pakować prezent.

- Isobel, janic...

- Colin! Nie wrócił na noc do domu!

W jej głosie słyszał powstrzymywane łzy, co było do niej kompletnie niepodobne.

- Może ma jakąś zleconą robotę? Gdzieś wyjechał...

- Powiedziałyby mi! - Isobel zawahała się i zniżyła głos do szeptu: - Wiesz, co się stało poprzednim razem, kiedy...

- Na pewno nic mu nie jest. Niedługo...

- Musisz go znaleźć!

Logan wziął od sprzedawczyni foliową torbę z elegancko zapakowanymi słonikami i,

starając się zachować zimną krew, obiecał Isobel, że zrobi, co będzie mógł.

Dwie godziny później wszedł do Globe Inn przy North Silver Street, usiadł przy barze i zamówił kufel stelli i grzanekę z serem i cebulą.

- Widzisz... - zaczął, kiedy barmanka poszła przekazać zamówienie do kuchni. - Ona dostaje świra z nerwów, a to źle wpływa na trupy w kostnicy.

Colin Miller- dziennikarz „P&J”, mistrz reportażu, niezmordowany krytyk policji- ze szczególnym uwzględnieniem sierżanta Logana McRae - spojrzał na niego przekrwionym okiem i kazał mu się odpieprzyć. Nawet posterunkowy Rickards nie powiedziałby o nim, że jest wysoki, ale niedostatki wzrostu nadrabiał solidną posturą, choć pokaźna masa mięśniowa z wolną miękką i przekształcała się w brzuszek przyszłego tatusia. Zamiast tradycyjnego garnituru miał na sobie dżinsy, grubą koszulę w kratę i powycieraną skórzaną kurtkę. Emanował silną alkoholową aurą. Dłonie w czarnych rękawiczkach zacisnął na stojącym przed nim kuflu. O dziwo nie miał żadnej biżuterii. No i był nieogolony.

- Colin, daj spokój. Isobel się martwi. Nie wróciłeś na noc do domu; boi się, że stało się coś strasznego.

- Tak? Coś takiego jak poprzednim razem?

Wstawiony Miller bełkotał z silnym akcentem z Glasgow. Podniósł ręce i poruszył palcami, pokazując Loganowi usztywnione na zawsze stawy; plastikowe protezy, które zastąpiły kość i ciało.

- Colin, ona się o ciebie boi.

- Nie twój zasrany interes, ty wścibski sukinsynu. Logan westchnął.

- Posłuchaj: przepraszam. Po raz sto pięćdziesiąty: przepraszam! Nie chciałem, żeby do tego doszło. Nie zrobiłem tego celowo. Co jeszcze mam powiedzieć?!

- A może tak dla odmiany w ogóle byś się zamknął? - Miller wstał, dopił piwo i trzasnął kuflem w blat. - Nie potrzebuję cię, ty w dupę kopany policyjny bohaterze. - Szturchnął Logana w ramię. - Więc odwal się ode mnie raz na zawsze.

Okręcił się na pięcie, wpadł na stół z marmurowym blatem, złapał równowagę i chwiejnym krokiem poszedł do toalety.

Logan wyjął komórkę i wybrał numer Isobel.

- Nic mu nie jest. Trochę za dużo wypił - poinformował.

Rozłączył się, zanim zaczęła go wypytywać albo rugać, i na wszelki wypadek wyłączył telefon.

Barman przyniósł grzanekę z serem. Miller wrócił i zamówił następny kufel mocnego piwa i podwójną highland park. Whisky mieniła się bursztynowo.

- Wezwę taksówkę i odwiezę cię do domu - zaproponował Logan. - Co ty na to?

- Odpierdol się. Co ty na to?

Logan wziął grzanekę - biały tost był ozdobiony muszelkowatym, brązowym wzorkiem - i przełamał ją na pół po przekątnej. Kawałki cebuli wyzierały spomiędzy kromek. Jedną połówkę dał Millerowi.

- Masz.

Dziennikarz spojrzał na trójkątny kawałek chleba.

- Tylko sobie nie myśl, że teraz będziemy kwita - zastrzegł, ale zjadł grzanekę, owinąwszy

ją wcześniej w serwetkę Logana, żeby nie zapaskudzić sobie rękawiczek. Nawet napruty musiał dbać o wygląd. - Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

- Nie ty jeden żyjesz z tego, że wiesz różne rzeczy.

- To prawda.

Zapadła cisza. Ktoś nastawił w szafie grającej starą piosenkę Deacon Blue. Słuchali w milczeniu.

- Nie jestem gotowy na dzieciaka - powiedział w końcu Miller, mrużąc oczy i wpatrując się w swoje odbicie w lustrze za barem. - Ledwie umiem się zatroszczyć sam o siebie... - Przerwał. Obrócił w palcach pustą szklankę po whisky. - A Izzy... Jezu, jak ona się boi, że nie będzie mogła

wrócić do pracy. Jest przerażona! Będzie wychowywać malucha, a oni tam przyjmą kogoś nowego, żeby kroić trupy, i już nigdy nie zobaczy swojego ukochanego prosektorium...

Zamyślenie, łyk piwa, potężne beknięcie.

- Nie gadaj głupot. Będziecie świetnymi rodzicami. Miller nawet na niego nie spojrział.

- A co ty wiesz, do diabła?

- Niewiele, to prawda - przyznał Logan z uśmiechem. - Ale przecież trzeba tak powiedzieć, nie?

- Ano trzeba...

Dziennikarz zachwiał się na stołku.

- Chodź, Colin. Jedziemy do domu.

Logan zamówił taksówkę i załadował do niej Millera. Kierowcy pokazał odznakę, zanim ten *zaczai* się stawiać, że nie zamierza prac tapicerki, jeśli pijany klient mu jazarzyga. Ale niepotrzebnie się martwił: Colin tylko przyłożył głowę do oparcia fotela - i zasnął jak dziecko; chrapał cicho przez całe pięć minut jazdy do Rubislaw Den. Tam Logan zapłacił za kurs i wywłók Colina z wozu. Było pochmurne popołudnie.

Gniazdko miłosne doktor Isobel MacAlister było znacznie większe niż mieszkanie Logana: trzy kondygnacje najlepszego granitu w najdroższej dzielnicy Aberdeen, przy ulicy gęsto zastawionej modnymi samochodami sportowymi i ogromnymi terenówkami. Z kieszeni Millera wygrzebał klucze i otworzył drzwi.

W przedpokoju przywitał ich koncert elektronicznych pisków. Miller prawie po omacku otworzył szafkę przy wejściu, wpisał kod - zero, pięć, jeden, zero: piąty października, urodziny Isobel; pewnie w ten sposób chciała sobie zagwarantować, żeby Colin o nich pamiętał - i rozbroił alarm.

- Kazała go... kazała go zainstalować... po tym, jak... - Miller pokazał Loganowi palce w rękawiczkach. - Wiesz, na wszelki... - Z wysiłkiem przełknął ślinę, spochmurniał, odetchnął głęboko. - No, na wszelki wypadek. - Powlókł się do kuchni. - Chodź, mam tu... trochę whisky... jest w...

- Nie wolałbyś się napić kawy?

- Whisky, whisky, whisky...

Z szafki obok kuchenki Miller wyjął dwie szklanki; zadźwięczały jak kryształowe dzwoneczki, kiedy niezdarnie postawił je na stole. Zaczął szukać butelki. Logan nastawił czajnik.

- Coś ci powiem, Łazarz... - zadudnił z głębi spiżarni. - Kiedyś... kiedyś naprawdę cię lubiłem. - Wynurzył się, walcząc z zatyczką opróżnionej

do połowy butelki jednosłodowej whisky. - Zawsze był z ciebie... dupek, ale... Ale byliśmy kumplami. - Usiadł ciężko przy stole. *Zmarszczył* brwi. - Dlaczego musiałeś to spieprzyć?

- To był wypadek, Colin. - Logan przeszukał zmywarkę, wyjął z niej kubek, wsypał do

niego górę kawy rozpuszczalnej i cukru i zalał wszystko wrzątkiem. - Nie chciałem, żeby to tak wyszło, przecież wiesz...

- Ta-dam! - Miller ściągnął prawą rękawiczkę i rzucił ją na stół. W palcu środkowym nie miał dwóch paliczków, w małym brakowało jednego. Kikuty były różowe i błyszczące. - Wiesz, jak one swędzą? Swędzą jak skurwysyn...

Zmrużył oko, przymierzył i hojnie nalał whisky do obu szklanek. Zdjął drugą rękawiczkę i dwoma kikutami podrapał się po porośniętym krótką szczecinią podbródka.

Logan postawił przed nim kawę, ale Miller jakby jej nie zauważył; po prostu sięgnął po whisky i wznosił toast:

- Za słoneczne Aberdeen, psia jego mać. — Począł, aż Logan weźmie swojego drinka. Stuknęli się szklankami. - I za zamieszkujących je owcojebów.

Dwadzieścia minut później Logan wyszedł, zamknął drzwi i wrzucił klucze do środka przez otwór na listy. Miller spał jak suszeł na kanapie w salonie: na pewno jutro będzie miał potężnego kaca, ale wcześniej Iso-bel go zabije. Chyba że Bóg się nad nim zlituje...

Logan uśmiechnął się i ruszył piechotą do centrum. Nie zdążył nawet dojść do ronda Queen's Cross, kiedy zadzwonił telefon. Inspektor Insch, zły jak osa, dopytywał się, co się z nim dzieje.

- Mam dzisiaj dzień wolny, panie inspektorze. Chciałem...

- Gdzie pan jest?

- Słucham? Przy Queen's Road, wracam do...

- Chwileczkę... - Logan nie zrozumiał ani słowa ze ściszonej wymiany zdań, ale w końcu Insch odezwał się znowu do słuchawki: - Niech pan tam zaczeka. Posłałem już po pana radiowóz.

- Ale...

- Jedziemy do Dundee.

Siedzieli z tyłu. Insch podawał Loganowi dokumenty z akt sprawy Macintyre'a. Jechali na południe dwupasmową drogą szybkiego ruchu. Kierowcy wydawało się chyba, że bierze udział w próbie pobicia rekordu prędkości na lądzie. Wyprzedzał limuzyny, hatchbacki, sportowe coupe i ciężarówki.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego musieliśmy rzucić wszystko w diabły i pędzić do Dundee - poskarżył się Logan, biorąc z rąk Inscha następne zeznanie.

Inspektor spojrzał na niego groźnie.

- A chce pan, żeby Macintyre chodził sobie na wolności i dalej gwałcił? Im prędzej go przyskrzynimy, tym wcześniej zniknie z ulic.

Fakt. Logan przeglądał zeznanie, ale nie mógł się na nim skoncentrować.

- Na pewno zdążymy z powrotem? Mam...

- Ostatni raz powtarzam: zdążymy. Nie spóźni się pan na to swoje przeklęte przyjęcie. A teraz niech się pan skupi. - Insch grubym palcem postukał w trzymane przez Logana papiery. - Christine Forrester. Ostatnia ofiara Macintyre'a w Aberdeen.

Logan zajrzał do dokumentów.

- Jezus Maria...

- Z każdą następną jest coraz gorzej.

Chirurdzy przez siedem godzin zszywali twarz i szyję Christine Forrester, zanim zdołali jej przywrócić w miarę normalny wygląd. Logan nie mógł długo patrzeć na zdjęcie. Zrobiło mu się niedobrze - czy z powodu samej fotografii, czy raczej dlatego, że próbował czytać drobny druk w radiowozie pędzącym sto pięćdziesiąt na godzinę?

Odłożył odbitkę.

- Dlaczego ja?-zapytał.

Insch mruknął coś niezrozumiale i wyjął ogromną paczkę żelatynowych miśków.

- Wziąłbym Watson, gdyby nie jej niewyparzona gęba. Jeślibym teraz, po tym jej tekście w gazetach, dopuścił ją do śledztwa, podniósłby się krzyk, że urządzamy polowanie na czarownice.

Logan patrzył, jak garść misiów znika w ustach inspektora. Z trudem powstrzymywał się od wyobrażania sobie, jak piszcza przeraźliwie z bólu.

- Pan jest przekonany, że to Macintyre.

- Oczywiście, że to on, do cholery!

Płacz umierających niedźwiadków prawie zagłuszył słowa inspektora.

Logan pokiwał głową. Insch przypominał mu Jackie — tak samo jak ona nie potrafił uwolnić się od obsesji. Choć się do tego nie przyznawał, to naprawdę było polowanie na czarownice.

Bez słowa wrócił do przeglądania papierów.

Szpital Ninewells w Dundee: rozległy labirynt korytarzy i połączonych nimi budynków. Znajoma woń środków odkażających i buczenie jarzeniówek

przygnębiały Logana, kiedy szedł za Inschem po schodach na oddział neurologiczny. W dyżurce siedziała ubrana w biało-zielony fartuch pielęgniarka w średnim wieku. Zerknęła spod okularów na plik formularzy. Insch poczęstował się czekoladką z otwartego pudełka na stole.

- Nikki Bruce? - zapytał. Oddziałowa spojrzała na niego.

- Panowie z rodziny? - odezwała się z typową dla Fife intonacją. Inspektor pokazał jej odznakę.

- Z policji. Chcielibyśmy...

- Tak, wiem. Nikki czeka na panów.

Wstała — ledwie sięgała Inschowi do piersi — i zaprowadziła ich wąskim korytarzem do prywatnego, jednoosobowego pokoju.

- Dużo wycierpiała. Nie męczcie jej za bardzo.

Napełnione helem, lśniące metalicznie balony z misiami i kotkami podrygiwały leniwie w podmuchach powietrza z klimatyzacji. Do tablicy korkowej nad łóżkiem przypięto mnóstwo kartek z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Kwiatów nie było. Nikki siedziała w łóżku, oparta o stos wykrochmalonych białych poduszek, ze słuchawkami od iPoda w uszach. Półmrok skuwał jej rysy. W zgięciu łokcia miała wklutą kroplówkę.

Insch odchrząknął i usiadł przy łóżku na krześle; Loganowi nie pozostało nic innego, jak przysunąć sobie z kąta plastikowy fotelik. Nikki drgnęła, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ma gości. Westchnęła i drżącą, obandażowaną ręką wyłączyła muzykę.

Inspektor zapytał ją o zdrowie; w jego głosie było tyle współczucia, że Logan ledwie go rozpoznał.

- Przykro mi, ale musimy pani zadać kilka pytań - ciągnął Insch. - Na pewno czuje się pani na siłach, żeby z nami porozmawiać?

Nikki kiwnęła głową. Kiedy oczy Logana przywykły do półmroku, mógł wreszcie zauważyć zmiany, jakie zaszły w jej wyglądzie przez ostatnie dwa dni. Krwiaki rozkwitły w pełni i cała twarz zrobiła się obrzmiała i ciemnosiną; świeże opatrunki okrywały rany i szwy; na białej gazie pojawiły się żółte i czerwone plamki, znacząc ślady cięć noża napastnika. Mówiła cicho, z wysiłkiem, chwilami popłakując. Opowiadała inspektorowi o przyjęciu urodzinowym w klubie, o tym, że za dużo wypiła... A potem... Pamiętała tylko, że zwymiotowała na postoiu taksówek i musiała wracać do domu piechotą. Nóż. Ciało napastnika. Krew...

Logan znów dostał mdłości. Jak, do diabła, człowiek może zrobić coś takiego

człowiekowi?!

Insch zakończył rozmowę, jeszcze raz przeprosił, położył dziewczynie rękę na ramieniu i obiecał, że dołoży wszelkich starań, aby złapać sprawcę.

Wyszli i zostawili ją samą- z jej bólem i żalem.

W dyżurce czekał na nich mężczyzna w garniturze. Pospolite rysy twarzy, dłonie jak szufle; na pierwszy rzut oka rozpoznawało się w nim policjanta z WK.

- I co?

Insch wziął sobie następną czekoladkę.

- Nic konkretnego. Ale sposób działania dokładnie taki jak u Mac-intyre'a. Wszystko się zgadza.

- To już wiemy. Sami to wam powiedzieliśmy! - Policjant mówił z akcentem z Dundee. - Nie po to prosiliśmy was o przyjazd, żebyście powtarzali nam oczywistości.

- Posłuchaj no, słonko. - Insch zrobił krok w przód, zmuszając go do cofnięcia się. Zniżył głos do złowieszczego szeptu: - Ten sukinsyn napadł sześć kobiet. To poważne śledztwo, a nie konkurs sikania na odległość. Jasne?

- Kogo pan nazywa „słonkiem”? - Policjant się nastroszył i wyprężył pierś. - Dla pana to ja jestem nadkomisarz Campbell. Może mi pan ewentualnie mówić „panie komisarzu”. Rozumiemy się?

Insch zaczął niebezpiecznie czerwienić, ale zdołał wykrztusić:

- Tak, panie komisarzu. Przepraszam.

- No. Już lepiej. - Campbell odwrócił się do Logana. - To są akta sprawy?

Logan spojrział pytająco na Inscha, a kiedy ten kiwnął głową, podał teczkę Campbellowi.

- Sądząc po zdjęciach, napastnik się rozkręca - powiedział. - Ofiary są coraz poważniej okaleczone. Jeszcze trochę i kogoś zabije.

- Pięknie...- Campbell przekartkował dokumenty.- Najpierw go szkolicie, wsiowe głupki, a potem wypuszczacie u nas. Wielkie dzięki...

- Panie komisarzu... - Logan wiedział, że pewnie tego pożałuje, ale ktoś musiał to powiedzieć na głos. - To nie musi być Rób Macintyre. To może być jakiś naśladowca.

Campbell spiorunował go wzrokiem.

- Naprawdę, sierżancie? Jeszcze jakieś błyskotliwe spostrzeżenia? Chciałby się pan z nami podzielić?

Logan miał kilka pomysłów, w większości dotyczących pana nadko-misarza, jego matki i końskiego zadu, ale postanowił się nie odzywać.

169

- Tak myślałem. - Campbell zamknął akta i wsunął je sobie pod pachę. - Przejmujemy sprawę. Jeśli będziemy chcieli usłyszeć jakiś nowy truizm, zadzwonimy. A tymczasem starajcie się trzymać swoich gwałcicieli u siebie, dobrze?

- Postaramy się - zapewnił Insch. Wyglądał, jakby głowa miała mu zaraz eksplodować.

Wracali do Aberdeen ciemną, krętą ekspresówką, która przemykała za oknami wozu z taką samą prędkością jak poprzednio, czyli o trzydzieści kilometrów na godzinę powyżej dozwolonej. Posterunkowy Stirling Moss miał ciężką nogę.

- Przepraszani — powiedział Logan, kiedy wyprzedzili tira z dostawą do supermarketu Asda. - Chciałem po prostu być obiektywny. Cisza. A potem:

- Nie życzę sobie, żeby podważał pan mój autorytet przed takimi ćwokami jak Campbell!

- Nie chciałem...

- To robota Macintyre'a, jasne? Widział pan, co zrobił tej dziewczynie; ma dopiero

dwadzieścia trzy lata, do końca życia będzie jednak oszpecona. I nie są to tylko rany widoczne gołym okiem, ale także takie, które nigdy się nie goją.

Logan nie wiedział, co powiedzieć, a inspektor chyba nie oczekiwał odpowiedzi, bo założył ręce na piersi i przymknął oczy. Kierowca włączył radio i rock z lat siedemdziesiątych wypełnił wnętrze auta pozerającego drogę do Aberdeen.

Jackie wróciła do domu dopiero za kwadrans ósma. Głośno tupiąc, otrzepała się ze śniegu, zakłęta pod nosem, wyplątała się z obszernej, pikowanej kurtki i przytuliła do kaloryfera, narzekając na pogodę. Nos miała czerwony jak koszulki piłkarzy FC Aberdeen.

- Do weekendu miało nie padać... Zaparzysz kawę?

- Gdzieś ty była?! Już prawie ósma! - Logan wszedł za nią do pokoju. Zrzuciła buty i stanęła tyłem do piecyka elektrycznego, dosłownie parę centymetrów od żarzących się prętów. - Jeszcze sobie coś odmroziysz.

Jackie chyba niespecjalnie się tym przejęła.

- Steel cię szukała. Mówiła coś o spotkaniu z prokuratorem w sprawie Morrisona.

- Super... - Tyle, jeśli chodzi o dzień wolny. - Ale to teraz nieważne. Musisz się sprężyć, jeśli chcesz wziąć prysznic przed wyjściem. Zamówi-

łem taksówkę na ósmą. - Wyniósł buty Jackie do przedpokoju. - Kupiłem kartkę i takie dzwonki wiatrowe ze słonikami - rzucił przez ramię.

- Rany boskie... Nie mów mi, że to dzisiaj? - Jackie znów zakłęta. - Dlaczego właśnie dziś?

- Bo dziś sajej urodziny. Nie wracajmy do tego, dobrze?

- Tak tylko mi się wymknęło...

Logan pokręcił głową i poszedł się szykować.

Dwanaście po ósmej przed domem zatrąbił klakson. Logan wyrzał zza zasłony: taksówka już czekała.

- Czas najwyższy - mruknął. - Jackie?! Jesteś gotowa? Cisza. Wziął ze stołu paczkę i kartę z życzeniami i wyrwał do przedpokoju. Z sypialni dobiegł go głos Jackie, tak jakby mówiła sama do siebie:

- Nie mogę. Muszę iść na te głupie urodziny... nie... Logan znieruchomiał z dłońmi na klamce. Słuchał.

- Tak... Daj spokój, nie przespałam dwóch ostatnich nocy... Jestem wykończona. - Długa chwila ciszy. - Nie, niczego nie podejrzewa... Dziś nie da rady, przełożmy to na jutro... No. Ja też.

Telefon zapisał. Rozmowa się skończyła.

Logan odsunął się od uchylonych drzwi.

Taksówkarz znowu zatrąbił. Jackie wyszła z sypialni, wkładając płaszcz. Na widok Logana zamarła - ale tylko na chwilę.

- No chodź - powiedziała. - Myślałam, że się nam spieszy.

Urodziny nie wypadły tak beznadziejnie, jak się spodziewał - tylko o wiele gorzej. Jackie nieustannie zerknęła na zegarek, jakby miała inne, ciekawsze zajęcie. Przez cały czas była marudna i rozkapryszona jak rozpieszczone dziecko.

Od jak dawna to trwa? Ta znajomość z mężczyzną z telefonu... Od kiedy Jackie go oszukuje? Rzekome problemy Jeanette, niedzielna próba, której nie było... Same kłamstwa.

Jak to powiedział Ronald Berwick, mistrz włamywaczy?

„Niech pan nigdy nie ufa kobiecie. Wydyma pana przy pierwszej okazji”.

Z nocnego śniegu niewiele zostało: cieniutka warstwa bieli stopiła się pod pierwszym dotknięciem słońca. Jezdnie parowały. Logan wyglądał przez okno w gabinecie inspektor Steel, ale właściwie nie patrzył na spacerujących ludzi, którzy cieszyli się krótką odwilżą. Był pogrążony w myślach. Kiedy po telefonie Jackie wybrał na stacjonarnym usługę identyfikacji dzwoniącego, uzyskał numer Renniego. A jakże. Zawsze byli ze sobą blisko. Łajdak Simon Rennie. Zdradziecki, dwulicowy...

- ...czy jestem tylko starą, zawistną krową? Halo? Ziemia do Łazarza! Łazarz, zgłoś się!

- Przepraszam. Zamyśliłem się.

- Mówiłam, że gówniarzowi grozi od ośmiu do dwunastu lat odsiadki. Prokurator będzie wnioskowała o więcej, ale sam wiesz, jacy są sędziowie, kiedy zobaczą dziecko. Mięczaki.

- A, Morrison... - Logan znów wyjrzał przez okno. - Zastanawiała się pani kiedyś, co mu się stało? Że się tak zmienił?

- Nie, i nic mnie to nie obchodzi. Złapaliśmy gnoja, więc pójdzie siedzieć. Na długo. Nic więcej mnie nie interesuje.

- Uhm. - Radiowóz skręcił w Queen's Street i zatrzymał się, przepuszczając na pasach starszą kobietę. Słońce odbiło się oślepiająco od przedniej szyby. - Pół roku temu był normalnym ośmiolatkiem, a potem stał się mordercą. Spora zmiana, jak na takiego malucha.

- Mówisz jak facet z opieki społecznej. To wstrętny gnojek, rozpuszczony jak dziadowski bicz. Co tu więcej kombinować?

Zgrzytnęła tania zapalniczka. Biała smuga zaczęła się snuć za okno.

- Nikt nie morduje starszków tylko dlatego, że rodzice nie kupili mu kucyka. - Logan obejrzał się przez ramię: zadowolona z siebie Steel siedziała wyciągnięta na krześle, z rękami zarzuconymi nad głowę, zaparta nogami o dywan. Kopciła jak lokomotywa. - Coś się musiało stać.

Wyjęła papierosa z ust i spojrzała na sierżanta przez kłęby dymu.

- Mam prośbę: nie psuj mi frajdy. Wygraliśmy. Ciesz się z tego. - Zerknęła na zegarek. - Chodź, zdążymy się jeszcze wysikać, zanim przyjdzie prokurator. I rozchmurz się trochę! Doktor Smutas wygląda przy tobie, jakby szalał ze szczęścia.

Prokurator - cała w złocistej opaleniznie - usiadła na najmniej brudnym z krzeseł w gabinecie inspektor Steel. Za to jej zastępczyni, którą zostawiła na placu boju, kiedy sama poleciała grzać się na słońcu, wyglądała jak typowa mieszkanka zimowego Aberdeen. Rachael Tulloch: biała, prawie biała skóra, długie, falujące, kasztanowe włosy spięte luźno w koński ogon. Bawiła się nimi odruchowo, kiedy prokurator i Steel dyskutowały o liście zarzutów wobec Seana Morrisona.

Śliczna dziewczyna. Logan nie wierzył własnym oczom: jak mógł tego wcześniej nie zauważyć? Nie chodząca piękność, ale naprawdę ładna - tak zwyczajnie, po szkocku, jak fajna babka z sąsiedztwa. Podniosła głowę, zauważyła, że się jej przygląda, i się uśmiechnęła.

Czując się jak nastolatek przyłapany na podglądaniu, zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

Kiedy spotkanie się skończyło, zaczęła na niego. Steel i prokurator już wyszły. Rozpuściła włosy, opadły jej na ramiona i plecy.

- Słyszałam, że właściwie sam złapał pan Morrisona.

Logan próbował jej to wyjaśnić, ale nie zamierzała go słuchać.

- I rozwiązał tajemnicę tych wszystkich włamań. - Uśmiechnęła się, przewróciła oczami i z teatralnym amerykańskim akcentem spytała: - Jest coś, czego pan nie potrafi, panie McRae?
- Ja... Właściwie...

Nagle okazało się, że nie umie zebrać dwóch słów do kupy.

Rachael wzięła głęboki wdech.

- Wydaje mi się, że ciągle jestem panu winna drinka. - Dotknęła jego ramienia. - Wtedy...
- A, tamto... - Pomyślał o Jackie i Renniem. „Nie, niczego nie podejrzewa”. - Coś sobie przypominam... Duży džin z tonikiem?
- Kiedy?
- Może... dziś wieczorem?
- O siódmej. Hotel Ferry Hill House, w barze, nie w klubie. Niech się pan nie spóźni.

Uśmiechnęła się, okręciła na pięcie i pobiegła za panią prokurator. Obejrzała się tylko dwa razy.

Na schodach prawie się zderzył z Dużym Garym, który jęknął na jego widok.

- A ty co tu robisz? Miałeś mieć wolne do soboty.
- Inspektor Steel.
- Po co nam w ogóle jakiś grafik dyżurów? - Gary zapisał coś w notatniku. - Masz pojęcie, kiedy Jej Świątobliwość pozwoli ci wrócić do normalnych obowiązków?
- Nie. Widziałeś Renniego?

Nie wiedział, co zrobi posterunkowemu, kiedy go spotka - na pewno jednak coś paskudnego.

- Jest w sądzie, do wieczora. - Gary schował notes. - Dwie bezprawne eksmisje, trzy kradzieże sklepowe, jedno publiczne obnażanie się. Ale jutro ma normalnie być w pracy.

Logan podziękował i zszedł do pokoiku operacyjnego. Usiadł w klitce bez okien i wyobrażał sobie, jak pędzi do sądu, łapie Renniego za gardło i spuszcza mu manto. Właśnie skakał mu po genitaliach, kiedy zadzwonił telefon.

Skate Or Die z zespołu informatyków BIO. Sprawdzili serwery z domu Garthdee'ego.

- Garviego, nie Garthdee'ego. - Logan zmarszczył brwi. - Frank Garvie.
- Mniejsza z tym. Podłączyłem je i obejrzałem dziś rano. Całe zaszyfrowane.
- Możecie złamać szyfr? Cisza, potem pogardliwy śmiech.
- Nie.
- Już do was idę.

Serwery skonfiskowane z mieszkania Garviego stały w samym środku wysypiska puszek po dietetycznej coli i kawałków drutu, podłączone do ciekłokrystalicznych monitorów, na których ciemnym tle wyświetlały się teraz kilometry zielonkawych cyfr i liter.

- Dwustupięćdziesięciosześciobitowe szyfrowanie asymetryczne - tłumaczył Loganowi informatyk z długopisem w ustach. - W kompie nie ma żadnych dodatkowych zabezpieczeń, wszystko podane jak na tacy, ale bez klucza nic nie zrobimy.
- Na pewno coś możecie...
- Zapomnij, facet. - Skate Or Die postukał swoją namiastką papierosa w jeden z komputerów. - Wojsko do szyfrowania tajnych dokumentów

używa szyfrów studwudziestoośmiobitowych. Dwieście pięćdziesiąt sześć bitów oznacza zabezpieczenie biliony razy mocniejsze. To poziom supertaj-ny, top secret: NSA, MI6, tego typu sprawy. Jeszcze przez co najmniej dwadzieścia pięć lat nie złamiemy takich szyfrów. Od razu wyjaśnię, że w necie można kupić software szyfrujący taniej niż bilet na mecz piłkarski. - Długopis wrócił między zęby. - Bez klucza niczego się nie dowiemy.

- Nie, nie ma go. - Głos kierowcy A13. - Popytaliśmy wśród sąsiadów, ale nikt go nie widział od wczorajszego wieczoru. Wtedy musiał być nieźle nawalony, bo na klatce darł się, że jest niewinny, i wyzywał ich od skurwieli.

Logan zasłonił mikrofon i powtórzył wiadomość Inschowi:

- Nie ma go w domu. Inspektor spochmurniał.

- Niech sprawdzają regularnie, co godzinę. Jak tylko wróci, chcę dostać ten przeklęty klucz do szyfru.

O jedenastej Logan siedział już w swoim ponurym pokoiku operacyjnym. Nie zapalił światła; zamiast dobrać się do rosnącej sterty papierów, myślał o Jackie i Renniem. Jak mogła mu to zrobić? I to jeszcze z Ren-niem!

Simon Rennie. Drań. Łajdak. Dupek. Świnia. Skur...

Skrzypnęły otwierane drzwi.

- Halo... - powiedział ktoś i pokój zalała powódź światła. Logan zamrugał zmełł przekleństwo w zębach. W progu stał Duży Gary z ręką na wyłączniku światła.

- Co tak siedzisz po ciemku?

- Czego chcesz?

- Rany, ależ z ciebie świergolek... Dzwonił ten twój koleżka z Glasgow. Logan czekał na ciąg dalszy, ale żaden ciąg dalszy nie nastąpił.

- I co?

- I nic. Czy ja wyglądam na twoją sekretarkę? Może gdybyś czasem włączał komórkę, byłbyś lepiej poinformowany?

- W porządku. - Logan znów zagapił się na ścianę. - Coś jeszcze? Gary westchnął i pokręcił głową.

- Poddaję się - mruknął, zgasił światło i wyszedł.

Logan oddzwonił z komórki do Millera. Dzwonił i dzwonił bez końca, zanim w słuchawce rozległ się głos Colina, głębszy i bardziej ochryple niż zwykle.

- Czego?

- Się masz, Colin. Jak się czujesz?

- Jakby mi kot do gęby naszczał.

- Dzwoniłeś.

- Ja? - Chrapliwy śmiech. - Posłuchaj, czy ja wczoraj... zrobiłem coś głupiego?

- Owszem. Isobel już się do ciebie odzywa?

- Trochę pokrzyczała.

Niewąski eufemizm: doktor MacAlister nie należała do ludzi, którzy cierpią w milczeniu. Colin jęknął cicho.

- Powiedziała, że jestem nieodpowiedzialnym draniem. Zniknąć tak bez słowa? Różne rzeczy mogły się wydarzyć. Wiesz, jak poprzednio, kiedy mnie wystawiłeś i...

- Wałkowaliśmy to wczoraj i już mi wybaczyłeś. Powiedziłeś, że jestem twoim najlepszym kumplem.

- No to się naprawdę musiałem uzbdryngolić...

- Trudno. Nie da się odwołać przebaczenia.

Cisza po tych słowach wlokła się niemiłosiernie. Logan zaczął podejrzewać, że Miller się rozłączył, gdy nagle usłyszał:

- Izzy powiedziała, że od teraz mam być grzeczny.

- To *znaczy*, że nie będziesz się nad nami znęcał na pierwszej stronie „P&J”?

- Pomyślę. — Miller się rozkaszał. — Boże święty...

- Posłuchaj, Colin... Znowu się kumplujemy, prawda? - Logan się zawahał: oto nadarza się doskonała okazja, żeby zemścić się na Renniem. Miller mógłby obrobić mu

tyłek. - Nie znalazłbyś jakichś haków na jednego gościa?

- Zależy na kogo.

Rennie, Rennie, Rennie... Logan zamknął oczy. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie, nie mógł tego zrobić. Nawet Renniemu.

- Jesteś tam? O kogo chodzi? Ależ oczywiście, że mógł.

- Posterunkowy Simon Rennie.

Odpowiedziała mu długa cisza. Kiedy Miller znów się odezwał, w jego głosie brzmiała znajoma zawodowa zajadłość:

- Coś przeszkrobał?

- To się okaże, jak coś na niego znajdziesz.

- I będę to mógł opublikować?

- Masz wolną rękę. Bylebyś wcześniej mi o tym powiedział.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Miller się rozłączył.

Stało się. Teraz już nie było odwrotu. Jeżeli Rennie coś przeszkrobał, Miller dobierze mu się do tyłka i obsmaruje go w gazecie. Zniszczy go.

Musiało minąć prawie pięć minut, żeby Logan poczuł wyrzuty sumienia. Siedząc po ciemku, w samotności, zakrył twarz rękami i kłął, kłął, kłął.

29

Kiedy wrócił wieczorem do domu - niemal przez cały dzień łamał sobie głowę w swojej kanciapie - Jackie właśnie wychodziła, jak zwykle ubrana na czarno, niczym złodziejka. Minęli się w progu. Przystanęła i spojrzała na niego rozeźlona.

- Słyszałeś o tym nowym gwałcie?

- Wczoraj w Dundee? Tak.

To był najokrutniejszy z dotychczasowych napadów: Wendy Nichol, dwadzieścia sześć lat, programistka z firmy produkującej gry komputerowe, samotna matka pięcioletniej córeczki. Gdyby taksówkarz nie zobaczył jej nogi pod krzakiem, wykrwawiłaby się na śmierć. Insch się wściekł, kiedy zadzwonili z Tayside i komisarz Cameron całą winę zwał na niego, bo nie umiał wsadzić Macintyre'a za kratki.

- Nie do wiary, cholera jasna, po prostu nie do wiary, jakim cudem... - zaczęła Jackie. - Posłuchaj, dziś wieczorem znowu wychodzę.

- No tak.

To nawet nie było pytanie. Logan starał się ukryć narastającą złość.

- No tak. Wiesz, jak jest.

Pokiwał głową. A jakże, wiedział. Dokładnie wiedział.

- Ja też wychodzę. Ty znowu jedziesz do Cathy? Użył innego imienia, próbując ją zaskoczyć.

- Do Jeanette.

Spryciara; nie dała się złapać.

- Jasne, do Jeanette.

Miał wrażenie, że Jackie chce coś powiedzieć, ale tylko cmoknęła go w policzek.

- Nie czekaj z kolacją- rzuciła i wybiegła.

Jeszcze przez chwilę stał w drzwiach, a potem ruszył za nią, na Maris-chal Street, na deszcz, i patrzył: Jackie szła z telefonem przy uchu. Skręciła w prawo w Union Street i

zatrzymała się pod wiatą przystanku naprzeciwko Tolbooth. Schowała telefon i czekała; para z jej oddechu kłębiła się w zimnym nocnym powietrzu.

Podbiegł do The Tilted Wig; stąd Jackie nie mogła go zobaczyć, a on miał ją na oku. Mokre włosy kleiły mu się do głowy, marynarka nasiąkała wodą. Kilka autobusów zdążyło przyjechać i odjechać, zanim na przystanku zatrzymał się Citroen z wycieraczkami włączonymi na pełny regulator. Jackie rozłożyła ręce.

- No, nareszcie! - zawołała i otworzyła drzwi od strony pasażera.

Włączyła się lampka pod sufitem. Kiedy Jackie wsiadała i zamykała za sobą drzwi, Logan zdążył sobie dobrze obejrzeć kierowcę. Simon Rennie.

Citroen zamigał kierunkowskazem i włączył się do ruchu. Przemoknięty do suchej nitki Logan odprowadził go wzrokiem.

Ferry Hill House należał do nielicznych w Aberdeen przyjaznych przybytków, które mogły się poszczycić własnym ogródkiem piwnym. Fotele i stoliki piknikowe stały puste i mokły smętnie na deszczu. Logan wszedł do środka; wyglądał jak przemoczony szczur. Drżąc z zimna, zdjął marynarkę i rozejrzał się po sali. Dochodziła siódma. Ani śladu Rachael.

Wszystkie stoliki przy palenisku były zajęte, wybrał więc najlepsze w tej sytuacji rozwiązanie: powiesił ociekającą wodą marynarkę na oparciu krzesła i poszedł po piwo. Wrócił do stolika i zapatrzył się w kufel. Może jeszcze nie za późno, żeby się wycofać? Może powinien po prostu iść do domu? Przecież to...

- Jednak pan przyszedł!

Podniósł głowę: Rachael Tulloch zdejmowała właśnie pomarańczową kurtkę przeciwdeszczową. Za późno, żeby uciekać. Odsunęła krzesło po drugiej stronie i usiadła; kropelki wody skapywały jej z włosów na stolik.

- Widzę, że ma pan już coś do picia. Przyniosę...

- Nie, ja przyniosę. Dżin z tonikiem? Zaczzerwieniła się.

- Poproszę.

Kiedy wrócił do stolika, właśnie chowała szminkę do torebki.

- Dzięki. Nie uwierzyłby pan, jaki miałam dzień. No, zdrowie. Podniosła szklankę. Logan stuknął w nią kuflem i zaczęli popijać w milczeniu.

- Hm... Dziś w sądzie odbyła się rozprawa w sprawie tych eksmisji w Tillydrone.

- Tak? To świetnie.

- No... - Chwila ciszy. - Nie sądziłam, że pan przyjdzie. - Rachael bawiła się szklanką, nie patrząc na Logana. - Myślałam, że się pan jakoś wyłga, odmówi, coś wymyśli...

Logan chciał parsknąć śmiechem, ale wypadło to trochę nienaturalnie.

- Przepraszam. - Pociągnął łyk piwa. - Miło mi, że mnie pani zaprosiła. Nie był pewien, czy kłamię. Uśmiechnęła się. Oczy jej rozblęły.

Do indyjskiej knajpki przy Crown Street szli tylko pięć minut, ale oboje zdążyli przemoknąć do suchej nitki. Przynajmniej mając coś do jedzenia, mogli uniknąć niezręcznych cichych chwil - które zresztą zdarzały się coraz rzadziej. Rozmawiali głównie o pracy. Logan opowiedział o należącej do Zandera Clarka kolekcji wiktoriańskiej pornografii, a potem przytoczył anegdotę o tym, jak inspektor Steel ścigała prostytutkę, która kradła drobiazgi z pólek w Ann Summers, a uciekając, gubiła wibratory, majtki z dziuraw kroczu i tubki żelów nawilżających. Rachael zrewanżowała mu się opowieścią o mężczyźnie, który próbował usunąć ciężę swojej dziewczynie, używając na to całą butelkę bielinki.

Wieczór trwał, a Logan usilnie starał się nie myśleć, co robi Jackie - tym bardziej że przecież nie miało to żadnego znaczenia: sypia z Renniem, więc między nimi wszystko skończone. Rano każe się jej wyprowadzić i będzie po sprawie. Żartował i sypał dykteryjkami jak z rękawa, wmawiając sobie, że nic go to nie obchodzi.

W końcu wyszli z restauracji i przystanęli na schodach, czekając na taksówkę.

- Wiesz co? - odezwała się Rachael. Jej oddech pachniał kardamo-nem, kminem rzymskim i czosnkiem. - Naprawdę bardzo się cieszę, że przyszedłeś.
- Spuściła wzrok na swoje wełniane rękawiczki. Policzki miała zaróżowione od chłodu.
- Ja też. - Tym razem mówił serio.
- Nie chciałbyś... - Wzięła głęboki wdech. - A tam, pieprzyć to. - Złapała go za kłapy, przyciągnęła bliżej i pocałowała. Usta miała ciepłe, miękkie, delikatnie korzenne...

I wtedy zadzwonił jego telefon.

- Jasny gwint... - Rachael parsknęła śmiechem, kiedy spojrzał na wyświetlacz: centrala.
- Przepraszam.

Oddzwonił i natychmiast usłyszał głos sierżanta Mitchella:

- Nie, nie chcę. A teraz zbieraj się i...
- Czym mogę służyć, Eric?
- Słucham? Alleluja! Włączył telefon! Trzeźwy jesteś?
- Tak. - W restauracji pił już tylko wodę, bojąc się, że po pijaku mógłby się zbłąźnić. — A co?

- Inspektor Insch się wkurza. Kazaliście załodze A13 przez cały dzień sprawdzać taki jeden adres w Danestone, dom niejakiego Franka Garvie-go... Kojarzysz?

Logan przytaknął.

- Świetnie. Mamy stamtąd zgłoszenie: zakłócenie porządku.
- I co? - Logan nie bardzo rozumiał, dlaczego miałyby go to interesować.
- I Insch mówi, że musisz...
- Ale...

Rachael na migi zapraszała go na kawę.

- Jeśli chcesz powiedzieć Inschowi, żeby się odpieprzył, zrób to sam. Mnie do tego nie mieszaj.

Zacisnął mocno powieki, w duchu życząc Inschowi bolesnej i upokarzającej śmierci. Szlag by go trafił, dziada jednego!

- Dobra. Będzie mi potrzebny samochód.
- OF2 jedzie w tamte okolice. Podrzuca cię. Rozłączył się.
- Przykro mi...
- Musisz gdzieś jechać, tak?

Za plecami Rachael zatrzymała się taksówka.

- No właśnie. Wiesz, jaki ostatnio jest Insch.
- Słyszałam. - Rachael otworzyła drzwi. - Chodź, podwożę cię na komendę.

Logan przebiegł przez zalewany deszczem parking i wpadł do środka, zanim taksówka na dobre zniknęła w ciemnościach. Miał nadzieję, że mimo licznych śladów szminki nie przypomina transwestyty. Wóz OF2 - mała, brudna furgonetka z zakratowanymi tylnymi oknami - stał na tyłach komendy, z włączonym silnikiem. Dudniła w nim jakaś opera, zagłuszając deszcz.

Wskoczył na siedzenie pasażera i się zakrzusił. Wnętrze samochodu cuchnęło mokrym psem.

- Przyzwyczaj się pan - stwierdziła kobieta za kierownicą. - Wykąpię je, jak wrócimy do domu. Prawda, maleństwa?

Logan odwrócił się i spojrzał prosto w pyski dwóch ogromnych owczarków niemieckich, które siedziały z tyłu z wilgotnymi nosami przyciśniętymi do kraty oddzielającej je od kierowcy

i pasażera. Większy z pary zawarczał groźnie.

Kobieta parsknęła śmiechem.

- Nie bój się, malutki, ten pan nie zrobi ci krzywdy. - Poklepała Loga-na po kolanie. - Tylko niech im pan nie patrzy w oczy, na Boga.

Logan się odwrócił. Bardzo szybko.

Jadąc do Danestone, policjantka non stop rozmawiała z Loganem i psami, streszczając im film dokumentalny, który oglądała poprzedniego dnia na BBC2, o Ślicznym Księżu Karolku, co zamiast stanąć na czele jakobickiej rebelii, zabawiał się w łóżku z dwoma włoskimi kurtyzanami i jakimś Irlandczykiem.

- Ja sama mam kuzyna geja, wprost uwielbia drambuie — dodała, skręcając w ślepą uliczkę, przy której mieszkał Garvie. -Ale on jest z Elgin.

W świetle koguta A13 deszcz rozbłyskiwał błękitem, jak naelektryzowa-ny. Logan podziękował za podwózkę, wysiadł i podbiegł do radiowozu.

- Co tu się stało?

Posterunkowy pokazał na dom Garwiego.

- Pół godziny temu zadzwonił sąsiad ze skargą na hałas. Od tamtej pory dzwoniąco pięć minut i pytają, dlaczego jeszcze nic z tym nie zrobiliśmy.

- Kiedy Garvie wrócił?

Policjant wrzucił ramionami. Logan zaklął.

- Mielicie pilnować tego domu!

- Niech pan tak na mnie nie patrzy, zacząłem zmianę o dziesiątej.

- Jak Boga kocham...

Logan postawił kołnierz, podbiegł krótką ścieżką do drzwi wejściowych i wpadł na klatkę schodową. Z góry dobiegały wściekle pokrzykiwania, niezdolne zagłuszyć ryku powtarzającej się frazy muzycznej. Popędził po schodach; hałas z każdym krokiem narastał.

Bum! Bum! Bum!

- Ścisz tę muzykę, bałwanie! - Męski głos.

- Mam dość, następnym razem nie poproszę...

- No i widzi pani, z kim my tu musimy żyć? — Piskliwe, kobiece narzekanie.

- Otwieraj, zboku pieprzony! - Ten sam mężczyzna.

Zebrawi się na drugim piętrze: pięcioro rozeźlonych mieszkańców i rozdrażniona policjantka. Hałas z mieszkania Gandego był ogłuszający, muzyka dudniła, ryczała i zawodziła, dźwięki smyczków i klawiszy łączyły

się w crescendo, od którego dzwoniły zęby. Potem chwila ciszy - i wszystko zaczynało się od nowa, zapętłone w nieskończoność. Nic dziwnego, że sąsiedzi chodzili po ścianach: po godzinie takiej katorgi nawet papież wzięby kij bejsbolowy i wyszedł na Union Street mordować przechodniów. Lżyli Gandego, wypisując też obelgi na drzwiach jego mieszkania.

- Macie coś? - Logan postukał policjantkę w ramię, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Co?!

- Pytałem, czy coś macie!

Zmieszła się, pokręciła głową i odparła:

- Nie! Odkąd przyjechaliśmy, nic się nie zmieniło. Właściciel nie reaguje...

- Dobra.

Logan przykucnął przed drzwiami. Poczł silną woń moczu. Włożył lateksową rękawiczkę, uchylił kłapkę zasłaniającą szparę na listy i zajrzał do środka. W przedpokoju było ciemno, odrobina światła przesączała się tylko z salonu, skąd dobiegał makabryczny jazgot.

- Też próbowałam - poinformowała go posterunkowa. - Nie widać gościa.

Logan dał jej znak, żeby zeszła z nim piętro niżej. A wtedy sąsiedzi znów zaczęli łomotać w drzwi i krzyżeć.

- Sami są sobie winni. Terroryzują biedaka: to mazanie po drzwiach, sikanie przez szparę, psie gówna w płonących papierowych torebkach... Więc znalazł najbardziej działający na nerwy kawałek muzyczny w swojej kolekcji, zapętlił go, nagłośnił na maksa i pojechał spać do jakiegoś hotelu. Odgrywa się.

Posterunkowa pokiwała głową.

- Co robimy?

Logan spojrział w górę schodów. Dudniąca fraza znów się zaczynała.

- Musimy się włamać. Inaczej zlinczują go, jak tylko wróci. Pani...

- Dlaczego nic nie robicie, wy cholerne pasożyty?! Łysiejący mężczyzna w średnim wieku zbiegł do nich. Był czerwony jak burak; wyglądał, jakby zaraz miał dostać apopleksji.

- Czy wiadomo panu coś o aktach wandalizmu w mieszkaniu pana Gariego?

Mężczyzna znieruchomiał i zbladł, ale zaraz znów poczerwieniał.

- Pan mnie o coś oskarża?!

- Tak właśnie myślałem. - Logan spojrział na policjantkę. - Zapisła pani nazwisko i adres tego dżentelmena?

- Oczywiście, panie sierżancie.

- Świetnie. — Odwrócił się i spiorunował wzrokiem apoplektyka, który cofał się po schodach, aż zniknął im z oczu. Muzyka zagrziała ponownie. -Chodźmy. Jak jeszcze trochę tego posłucham, nakładę komuś po ryju.

Posterunkowa poprosiła go, by chwilę zaczekał, i zbiegła na dół, w deszczową noc omiataną leniwymi błyskami granatowego światła. Szybko wróciła, otrząsnęła się z wody i pokazała mu coś, co do złudzenia przypominało nieduży pistolet.

- Kupiłam przez Internet - wyjaśniła. - Nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła go wypróbować.

- Zaraz, jeszcze moment - powiedział Logan, kiedy weszli na pierwsze piętro.

Wyjął komórkę i zadzwonił do centrali. Zgłosił, że z obawy o bezpieczeństwo lokatora zamierza wyważyć drzwi do jego mieszkania.

Wściekły tłumek piętro wyżej zniknął bez śladu: pan Łysawy wyjaśnił im pewnie, że policja woli się dobrać im do skóry za wandalizm niż zrobić coś z tą potępieńczą serenadą.

- Wyważamy drzwi!

- Nie trzeba.

Posterunkowa pewnym krokiem podeszła do drzwi i wcisnęła czubek lufy „pistoletu” do zamka. Przekręciła lekko, pociągnęła za spust - ale jeśli coś się wydarzyło, muzyka zagłuszyła wszelkie dźwięki.

- Ha! Proszę zobaczyć!

Drzwi się otworzyły. Natężenie hałasu wzrosło. Logan zatkał sobie uszy i wszedł do mieszkania. Dywanik w przedpokoju śmierdzał moczem, więc Logan szybko przemknął do salonu, gdzie kino domowe wypluwało dźwięki z niewiarygodną mocą; podłoga zawibrowała mu pod stopami, kiedy muzyka osiągnęła apogeum. Wszedł do środka.

Frank Garie wisiał na wkręconym w sufit stalowym haku. I podrygiwał.

Zapętlona fraza zaczęła się od początku.

Ekipa z BIO zjawiała się dopiero po dwudziestu minutach: kobieta w białym kombinezonie, z torbą na próbki, stłumiła ziewnięcie.

- Tylko... pani jedna? — zdziwił się Logan, kiedy zaczęła się rozglądać po cichym już mieszkaniu. Wzruszyła ramionami.

- Przyjęcie pożegnalne łaina; odchodzi na emeryturę. Zostałam sama na dyżurze.

Przystanęła w salonie i obrzuciła zwłoki długim, badawczym spojrzeniem. Garvie był ubrany w opięty lśniący kostium z ciemnoczerwonej gumy. Na twarzy miał maskę. Z otworów w kroczu i przy odbycie wystawały czarne przewody, podłączone do pudełka na podłodze. Ciało nie zwisało swobodnie, lecz bezwładne, z ugiętymi kolanami, opierało się palcami o parkiet. Biały jedwabny sznur łączył hak w suficie z katowskim węzłem na karku Garwiego; werznął się tak głęboko w szyję, że prawie zniknął w fałdach obleczonego gumą ciała.

- Ktoś stwierdził zgon? - spytała kobieta z BIO, wypatrując śladów na dywanie.

- Poprosiłem o to ludzi z karetki - odparł Logan.

Sam wcześniej dokonał oględzin ciała. Mężczyzna był nie tylko martwy, ale już zimny; musiał umrzeć przed kilkoma godzinami. Ogłuszający jazgot dobiegał z kina domowego: *Buffy, postrach wampirów*, koncert czwarty. Garvie musiał włączyć odtwarzanie wszystkich fragmentów po kolei, a kiedy płyta się skończyła, odtwarzacz wrócił do początku i odgrywał w kółko podkład muzyczny do głównego menu.

Kobieta pokiwała głową.

- Okej. Teraz proszę wyjść; zawołam pana, jak się ze wszystkim uporam. Będzie pan musiał włożyć...

- Kombinezon i ochraniacze na buty, wiem.

- To dobrze. A teraz żegnam. Mam tu roboty za trzech.

Trzy godziny później Logan siedział na tylnej kanapie A13 i jadł kanapkę kupioną w pobliskim całodobowym supermarkecie, kiedy wreszcie przyjechała patolog.

- Radzę uważać - powiedział posterunkowy na widok parkującego za radiowozem srebrnego mercedesa Isobel. - Wiedźma przyjechała.

Colin Miller wyskoczył zza kierownicy mercedesa, obiegł go dookoła i pomógł Isobel wysiąść. Tak się wokół niej krzątał, że w końcu dostał po łapach i zarobił wściekłe spojrzenie. A zaraz potem Isobel go przeprosiła.

Wyprostowała się, oddychając z wysiłkiem, jedną rękę oparła na krzyżu, drugą na pękatym brzuchu. W końcu kaczkowatym krokiem ruszyła do domu.

Logan wepchnął niedojedzoną kanapkę do torebki, wysiadł, podążył za Iso-bel, zawahał się i skręcił do mercedesa. Otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Kiepsko wyglądasz.

Miller próbował mu pokazać środkowy palec, ale protezy zepsuły cały efekt i wyszło to tak, jakby straszył Logana zdeformowaną pacynką. Dał sobie spokój.

- To ten sam Garvie, którego aresztowaliście w związku ze śmiercią Fettesa?

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci powiedzieć nic...

- A ja myślałem, że znów się kumplujemy. No co? Nadaję się do wyszukiwania haków na twoich kumpli z policji, ale nie do tego, żebyś mi coś powiedział o waszych samobójcach?

- Masz rację. Frank Garvie pracował w biznesie pornograficznym, tak jak Jason Fettes.

Miller spojrzął ponad jego ramieniem na dom Garwiego.

- Co ty powiesz...

- Ale na razie nic nie drukuj, jasne? Dopiero...

- Sierżancie McRae? — Posterunkowy z A13 machał do niego radiotelefonem. - Do pana, z centrali.

Logan odwrócił się do Millera i powtórzył:

- Niczego nie publikuj bez mojej zgody, pamiętaj.

- Dobrze, dobrze. Ale rozejrzeć się chyba mogę, co?

- Panie sierżancie?

- Słyszałem, już idę. A ty... - Miał ochotę wygłosić mowę na temat odpowiedzialności społecznej i prawa jednostek do prywatności. - Żeby tylko mnie przez ciebie nie wylali.

Dzwonił nadinspektor z ostrym aberdeeńskim akcentem, ciekawy postępów w sprawie samobójstwa Garviego i dopominający się o zwolnienie radiowozu A13 - bo przecież ktoś musi patrolować miasto, nawet za kwadrans trzecia w paskudną piątkową noc. Logan przekazał, co miał do przekazania, i pobiegł za Isobel. Dogonił ją na pierwszym półpiętrze; stała oparta o ścianę i ciężko dyszała.

- Dobrze się czujesz? Skrzywiła się i pogładziła brzuch.

- Mam zgagę, opuchnięte kostki, przygnieciony pęcherz, wieczne napady złości, mały o drugiej nad ranem urządza sobie gimnastykę, a ja jestem wielka jak nadmuchiwany zamek dla dzieci. I wcale nie czekam z utęsknieniem, co mi nowy dzień przyniesie...

- No to wróc po prostu do domu. W końcu to tylko samobójstwo, możemy...

- Naprawdę myślisz, że mogłabym sobie odpuścić ostatniego trupa, jakiego zobaczę przez następne pół roku? Wykluczone.

Na górze pomógł jej się przebrać w największy papierowy kombinezon, jaki znaleźli; suwak ledwie się zapiął.

- Isobel...? — Podał jej lateksowe rękawiczki. — Czy kiedy byliśmy razem...

To głupie.

- Co?

- Nic. Zmarszczyła brwi.

- O co ci chodzi?

Wziął głęboki wdech, spojrzał jej w oczy i zapytał:

- Czy kiedy byliśmy razem, spotykałaś się z kimś jeszcze? Czekał na jej reakcję, wypatrywał jej - ale takiej nie przewidywał. Podbródek jej zadrżał, oczy zaszkliły się łzami, zaczęła płakać.

- O rany, przepraszam, nie chciałem... Ja przecież nie specjalnie... Uderzyła go otwartą dłonią w pierś.

- Auć!

- Jak możesz mnie pytać o coś takiego? - Naparła na niego, gdy zaczął się cofać. - Jakim prawem, do diabła... - znów go uderzyła - ..śmiesz... mnie... o to... pytać?! — I jeszcze raz, na wszelki wypadek.

- Przepraszam!- Wpadł na ścianę.- Ja...- Niewiele brakowało, żeby powiedział jej o Jackie i Renniem, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Zamknął oczy i zwiesił głowę. - Przepraszam.

Musiła usłyszeć w jego głosie coś, co sprawiło, że położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu i powiedziała, żeby się nie martwił; że on i Jackie też doczekają się dziecka. Miał ochotę roześmiać się głośno, ale bał się, że będzie to śmiech wymuszony i straszny, więc zamiast tego po prostu otworzył drzwi do mieszkania Garyiego.

Kobieta z BIO stała w przedpokoju z laptopem w rękach; przewody od komputera biegły pod drzwiami do salonu. Dała Loganowi i Isobel znak, żeby się cofnęli.

- Jeszcze minutkę, to ostatnie panoramiczne... - Zapiszczał jakiś elektroniczny gadżet. - W porządku, możecie wejść. Pobrałam próbki włókien, płynów ustrojowych, zdjęłam odciski

palców, wszystko jest obfotografowane i sfilmowane. Nie widać śladów włamania. Okna pozamykane, zasłony zaciągnięte. Z tego kostiumu zdjęłam bardzo ładne odciski... - Ziewnęła

rozdzierająco, nie zawracając sobie głowy zasłanianiem ust i błyskając całą paletą starych, dobrych, szkockich plomb. - Uff... Która godzina?

Zakłęta, słysząc odpowiedź Logana, potarła twarz dłonią i zaczęła pakować zestaw do fotografii panoramicznej: zdjęła kuliste niby-akwarium ze statywu i schowała do pokrowca, narzekając pod nosem, że musi pracować sama, bo wszyscy poszli się napić.

Isobel okrążyła ciało: przyglądała mu się uważnie, poszturchiwała je, badała muskulaturę pod kombinezonem. Nagle przystanąła, pociągnęła nosem i dźgnęła palcem gumę wybrzuszoną nad sznurem. Zmarszczyła brwi.

- Coś nie tak? - zainteresował się Logan.

- Być może... - Zsunęła kaptur, odsłaniając szyję denata. Lateks zaskrzypiał o gumę, kiedy dotknęła nagiej, woskowej skóry.- Zimna... należałoby się spodziewać, że ciało będzie bardziej sztywne.

- Kiedy tu przyszedliśmy, podrygiwał jeszcze... Isobel była wstrząśnięta.

- To czemu go nie odciąłeś?!

- Bo już nie żył. Sprawdziłem.

- Nie wygłupiaj się. Trupy nie podrygują.

Logan pokazał jej leżącą na perskim dywanie czarną skrzynkę. Dwa cienkie druciki łączyły ją z kłapką w kroczu kombinezonu, trzeci biegł do podobnego otworu, umieszczonego bardziej z tyłu.

- Chcesz zobaczyć?

Kiedy Isobel kiwnęła głową, włożył wtyczkę do gniazdka. Ciało zaczęło rytmicznie drgać.

- To elektrostymulator - wyjaśnił, patrząc na tańczącego Franka Gar-viego. - Podobno wzmacnia orgazm.

- Wyłącz to.

Komenda była pusta, ciszę mącił tylko dobiegający gdzieś z daleka turkot froterki. Logan zaparzył sobie kawy w czajniku w biurze WK, a że mleko w lodówce okazało się przeterminowane, zadowolił się czarną.

Uzupełnienie dokumentacji po wizycie w domu Gar-viego i znalezieniu jego zwłok zajęło mu dwie godziny. Potem usiadł zrezygnowany przed komputerem i zaczął przeglądać zeznania sąsiadów, zebrane w czasie, gdy jednoosobowy zespół BIO pracował w mieszkaniu. Nie czytał ich nawet, po prostu chciał jakoś zabić czas. Odłożyć na później nieuniknioną konfrontację z Jackie: oskarżenia, kłamstwa, krzyki... Zdrada. Ale najgorsze, naprawdę najgorsze w tym wszystkim było to, że mimo złości i żalu, jakie

do niej czuł, mimo przemożnej chęci, żeby wepchnąć Renniemu pięść do gardła - nadal ją kochał.

Ale niestety - to koniec.

Wrócił więc do zeznań i kłamstw świadków. Nie, nie dręczyli lokatora spod czwórki. Napisy na drzwiach, panie władzo? Ja?! Sikanie przez szparę? W życiu!

W progu pojawiła się znajoma sylwetka z parującym kubkiem w dłoni: Duży Gary. Na widok Logana stanął jak wryty.

- Eee...

- Nie przejmuj się. Nie ma ani mililitra mleka, które mógłbyś podkraść.
- Kiepsko... - Gary smętnie zajął do kubka. - Wcale nie zamierzałem go podkraść...
- Kompletnie nie umiesz kłamać. Wzruszenie ramion.
- To dlatego nigdy nie próbowałem się przenieść do WK: jestem zbyt uczciwy. Ale co ty tu jeszcze robisz o tej porze?

- Sprawdzam, czy wszystko przygotowane na przyjście Inscha.
- Jak chcesz... Przypomnij mu, że tylko do południa trwa zrzutka na pożegnalny prezent dla Królowej Zimy. - Gary wyraźnie spochmurniał. - Zresztą na razie czarno to widzę. Jak tak dalej pójdzie, damy jej jakąś zabawkę z biura rzeczy znalezionych i ręcznie malowaną laurkę z życzeniami.

Logan poczerwieniał ze wstydu i sięgnął po portfel.

- Dorzucę...

Ile: piąta? Dychę? Sypiali ze sobą pół roku i przez ten czas go nie zdradzała. To już coś. Wyciągnął sfatygowaną dwudziestkę i podał Gary'emu. Ten gwizdnął z podziwem przez zęby i podniósł ją do światła.

- Jejku, prawdziwa! Zajrzyj do mnie w wolnej chwili, podpiszesz się na kartce. - Odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi. -1 weź wreszcie wolne, do diabła! - zawołał od progu. - Spieprzysz nam całe rozliczenie nadgodzin.

- Pobudka, śpiący królewiczu. - Zapach kawy, bekonu i starych papierosów. - Nie płacimy ci za spanie na służbie.

Logan uchylił jedno oko i zobaczył stojącą nad nim inspektor Steel.

Stęknął, spuścił nogi z zafoliowanego materaca na podłogę, i po omacku zaczął szukać butów.

- Rany boskie... Fatalnie wyglądasz.

- Która godzina?

Ziewnął, przeciągnął się. Miał wrażenie, że wyściółka jego czaszki jest bardziej chropowata i gorąca niż zazwyczaj, jakby ktoś bombardował mu ją rozpalonym żwirem, kiedy spał.

- Trzymaj. - Steel podała mu kubek kawy z mlekiem. - Tobie bardziej się przyda.

Zawahał się, ale w końcu się skusił. Upił solidny łyk, odstawił kubek na podłogę i zaczął się zmagać z marynarką. Dopiero za drugim razem udało mu się skupić wzrok na tyle, żeby odczytać godzinę: ósma siedemnaście. Spał całe dwie godziny.

Steel usiadła na materacu obok niego i dojadła kanapkę z bekonem. Logan wreszcie zdołał wciągnąć buty.

- Ciesz się, że tu przynajmniej zostawiają ci sznurówki. - Oblizała ketchup z palców. - Niech zgadnę: kłopoty w rajcu?

- Insch przyszedł?

- Ponury Grubas utknął w korku na drodze do Oldmeldrum. Jakiś dureń próbował tam wyprzedzić traktor: rozsmarowało go równo po całej masce diabelnie wielkiej ciężarówce. Tak że jak Insch tu dotrze, będzie w parszywym humorze. Jak zwykle. - Uśmiechnęła się, zmierzyła Logana wzrokiem i poklepała go po ramieniu. - Idź do domu.

- Nie mogę. - Dźwignął się na nogi. - Muszę przekazać sprawę Gar-viego. O dziesiątej jest sekcja.

A Jackie powinna mieć wolny dzień, więc nie chciał wracać do domu.

- Rozumiem... Przynajmniej weź prysznic. Śmierdzisz wczorajszym curry.

Miał jeszcze mokre włosy, kiedy przyjechał Insch - twarz na dzień dobry o trzy odcienie bardziej czerwona niż zwykle.

- McRae?! - ryknął. - Do mnie!

Wyminął Logana i począł do swojego gabinetu. Posterunkowi rozbiegali się przed nim jak spłoszone myszy.

Insch pomrukiwał złowrogo pod nosem, przeglądając papiery, które Logan dla niego przygotował. W końcu wziął do ręki ostatnią kartkę ze stosu: list pożegnalny Garviego, opakowany w foliową koszulkę.

- „Przepraszam”. To wszystko? Logan stłumił ziewnięcie.

- Na odwrocie jest wiersz.

- Aha. - Insch odwrócił kartkę i czytał, poruszając bezgłośnie ustami. — Nawet nie taki najgorszy — stwierdził, doczytawszy do końca. Znow odwrócił list. - „Przepraszam”... Cóż, byłoby lepiej, gdyby nie po-

minął: „za zamordowanie Jasona Fettesa”, ale to chyba musi nam wystarczyć. - Wsunął kartkę z powrotem do akt. - Co z kluczem do zaszyfrowanych plików?

Logan pokazał mu małą torebkę foliową z okruciami plastiku i poskręcanyimi kawałkami metalu.

- Znalezliśmy to w kuchni.

Inspektor wyrwał mu jaz ręki i obejrzał, marszcząc brwi.

- Damy radę?...

- Informatycy mówią, że pendrive został wielokrotnie zmiażdżony młotkiem. Dane sanie do odzyskania.

- Pfff... - Insch rzucił torebkę na biurko i wbił wzrok w plakat z *Mi-kado*. -A udało im się coś ustalić w sprawie adresów mailowych Fettesa?

- Jeszcze nie.

- No jak pragnę zdrowia... Przecież ten hotmailowy macie już od dawna!

- Poganiam ich - skłamał Logan. - Zaraz znowu do nich pójdę, jak tylko z panem porozmawiam.

- No to niech im pan powie, żeby się sprężali. To, że Garvie nie żyje, nie oznacza, że nie należy zamknąć tego śledztwa jak pan Bóg przykazał. Nie chcę, żeby zostało zapomniane. Jasne?

- Tak jest.

- Sekcja zwłok?

- O dziesiątej.

Insch spojrział na zegarek.

- To co pan tu jeszcze robi? Proszę pogonić tych kretynów komputerowców. I niech pan przyśle do mnie Renniego.

Logan kiwnął głową. Miał wrażenie, że pod czaszką zapłonął mu żywy ogień. Mógł unikać Jackie, ale chyba powinien zamienić parę słów z tym skurwielem Rennie.

Słucham, Rennie.

- Gdzie jesteś?

- Słucham? Na dole. Jak zwykle robię herbatę. Mam... Logan nie czekał dłużej. Rozłączył się i zszedł na drugie piętro.

Posterunkowy stał oparty o ścianę i ziewał rozziewając, czekając, aż woda się zagotuje. Spojrzał na Logana i się uśmiechnął.

- Coś panu powiem - zagadnął scenicznym szeptem. - Nie domyśliłby się pan. Żonka Beattiego pozowała do fajnych zdjęć. Pan zobaczy... -Wyrzebał z kieszeni wymiętoszoną broszurkę, wyjętą z jednego z odważ-niejszych pisemek dla panów, i podsunął Loganowi pod nos. - No bo wie pan, myśmy zawsze myśleli, że ona jest trochę...

- Mogę prosić na słówko, posterunkowy? - spytał Logan, nie zatrzymując się.

- Mnie?Ale... Oczywiście.

Rennie schował broszurkę do kieszeni i poszedł za Loganem do niby to pokoju operacyjnego. Klitka bardzo szybko upodabniała się do zagraconego schowka; akta i przeróżne śmieci piętrzyły się w niej coraz wyżej.

- W czym mogę...

- Wiem wszystko.

Logan kopniakiem zamknął drzwi. Odkąd się o nich dowiedział - o Ja-ckie i posterunkowym Palancie - cały czas się zastanawiał, co będzie czuł w takiej chwili jak ta. I ze zdumieniem stwierdził, że jest kurewsko wner-wiony.

Rennie cofnął się przed nim, wpadł na biurko, strącił stertę papierów na podłogę.

- Zaraz! Nie wiem, o czym pan...

Logan złapał go za kłapy i pchnął na ścianę.

- Zaufałem ci!

Posterunkowy wybałuszył oczy.

- To nie był mój pomysł, myśmy...

- Nawet nie próbuj... - Logan zacisnął dłoń w pięść.

- To Insch! Insch nam kazał! Logan na chwilę zaniemówił.

- Insch? A co on ma z tym...

- Mieliśmy to robić na zmianę...

- Na zmianę?!

Dość tego dobrego. Teraz ci przyłożę.

- Ale... ja gram w poniedziałki i środy i kiedy Jackie poszła z panem na to przyjęcie, ja nie zdążyłem na czas pod dom Macintyre'a... Logan puścił Renniego.

- Macintyre'a?

- Żeby go obserwować. Przyjechałem dopiero po próbie i siedziałem tanrdo rana. Na pewno nie mógł wyjść wcześniej. Nie chciałem, żeby się wymknął i zgwałcił następną dziewczynę...

- Rany boskie...

Logan osunął się na skrzypiące krzesło. Zrobiło mu się niedobrze. Oni po prostu pilnowali tego piłkarza... A on się całował z zastępczynią prokurator! Ukrył twarz w dłoniach i jęknął. Na dzisiaj znowu umówił się z Rachael. Jackie go zabije.

- Chciałem panu powiedzieć - bełkotał Rennie. - Ale Insch zabronił mi pana w to mieszać, bo... Dobrze się pan czuje?

- Nie - odparł Logan i walnął głową w biurko.

Pożegnalny występ doktor Isobel MacAlister odbywał się przy zdumiewająco skromnej widowni: zjawili się tylko Logan, inspektor Insch i Brian, jej długowłosego asystenta. Bogu dzięki, że nie był to żaden podejrzany zgon, który wymagałby obecności prokuratora, bo i Rachael musiałaby przyjść. A Logana przerażała myśl, że miałby z nią porozmawiać...

Jakiś nerwus z ogoloną głową i mnóstwem tików otworzył z łoskotem drzwi i wszedł do kostnicy.

- Doktor Milne - przedstawiła go Isobel. W jej głosie dało się słyszeć większą niż zwykle dezaprobatę. - Zastąpi mnie, kiedy pójdę na macierzyński.

- Cześć. - Nerwus pomachał do nich. - Mówcie mi Graeme. Na pewno się...

- Może zaczniemy? - przerwała mu Isobel.

Ciało Franka Garviego zajmowało prawie cały stalowy stół. W innej sytuacji zostałby dawno rozebrany, a kombinezon odesłano by do laboratorium, ale Isobel uparła się, żeby osobiście obdrzeć zwłoki z gumy; argumentowała to tym, że tak obcisły strój należy do okoliczności zgonu, a ona musi je poznać. Logan miał jednak wrażenie, że po prostu chce maksymalnie przeciągnąć sekcję. Ostatnią przed urlopem. Żeby zabawa trwała jak najdłużej.

Najpierw zdjęła Garviemu maskę; odwijana guma skrzypiała i mlaskała, odsłaniając trupią twarz. Usta były lekko rozchylone, pomiędzy bladych warg wystawało coś czerwonego i błyszczącego.

- Knebel z kulką - stwierdziła Isobel.

Kazała Brianowi sfotografować knebel *in situ*, zanim go wyjęła. Następnie poluzowała i zdjęła sznur zaciśnięty na szyi denata; został wrzucony do torby foliowej, ometkowany i wciągnięty do ewidencji dowodów rzeczowych. Dopiero wtedy rozcięła skalpelem szwy kombinezonu; guma gwałtownie skurczyła się do swoich pierwotnych rozmiarów. Woskowane ciało Garviego wybrzuszyło się i spłynęło na blat.

Cztery i pół godziny później było po sekcji. Wszystko, co Isobel wyjęła z ekskwiizy porno, wróciło na swoje miejsce - poza mózgiem, który pływał w plastikowym wiaderku z formaliną, oraz osiemnastocentymetrową sondą, wyjętą z odbytu zmarłego i stanowiącą element układu elektro-stymulatora.

- Co mogę powiedzieć... - zaczęła Isobel, kiedy jej asystent i nowy patolog przenieśli zbezczeszczone zwłoki Franka Garviego na nosze. - Prawie na pewno było to samobójstwo. Na kombinezonie w okolicy genitaliów znalazłam znaczne ilości płynu nasiennego: elektrody na penisie i w kroczu osuszyły prostatę. Do tego sznur na szyi i knebel... wygląda mi to na autoerotyczne podduszanie doprowadzone do logicznego finału. Krwiaki na szyi świadczą o tym, że próbował nie pierwszy raz... - Rozejrzała się po ukochanym prosektorium. Woda bulgotała w odpływie stołu, zmywając ostatnie ślady Franka Garviego. - Będę... — Głos jej się załamał. - Będzie mi brakowało tego miejsca. - Wierzchem dłoni otarła łzy z oczu. - Przepraszam.

Wyszła. Insch i Logan odprowadzili ją wzrokiem.

- No to pięknie. - Inspektor zatarł ręce. - Pora na lunch.

- Trzeba było przyjść wcześniej - powiedział kucharz, stawiając na stole dwa talerze z odgrzaną w mikrofalówce musaką. - Frytki się skończyły. — Widząc minę Inscha, dodał pospiesznie: - To nie moja wina! Właśnie czyścimy frytkownicę. Prawdę mówiąc, nie powinienem was w ogóle obsługiwać.

- Co słyhać w sprawie Roba Macintyre'a? - spytał Logan, kiedy kucharz wrócił do brudnych naczyń.

Inspektor, który obficie posypywał swoją porcję solą i pieprzem, znieruchomiał.

- Nie ma żadnej sprawy — odparł i zaczął jeść. — Zapomniał pan? Logan patrzył na niego bez słowa. Obrócił przeciw Inschowi jego własną broń.

- No co? - Inspektor przełknął jedną porcję, wziął do ust następną, zaczął żuć... W końcu mruknął: - Kto się wygadał, hę? Pewnie Watson? Wiedziałem, że nie wolno...

- Rennie. Nie pozostawiłem mu wyboru. - Co było prawie prawdą. -Dlaczego nie powiedział mi pan, że chcecie mieć oko na Macintyre'a?

- Nie musiał pan o tym wiedzieć. Nikt nie musi. Dlatego jeśli piśnie pan-choć słówko, osobiście dopilnuję, żeby pańskie jaja zawisły na ścianie w moim gabinecie. Jasne?

- Jak słońce.

Insch pokiwał głową i pochłonął ostatni kawałek musaki.

- Trzymamy jeden samochód na stałe pod domem Macintyre'a. Rennie i Watson na zmianę w nim siedzą. Nie jest to wymarzone rozwiązanie, niestety nic lepszego nie wymyśliłem.

- Ale przecież... — Logan patrzył, jak inspektor wyciera talerz palcem, zbierając sos i tłuszcz, i oblizuje go do czysta. - Nie może pan tak po prostu...

- Obiecałem coś tym kobietom. Zasługują na sprawiedliwość. Robert Macintyre je zgwałcił i wsadzę go za kratki, choćby mnie to miało zabić!

Szef Wydziału Kryminalnego czekał na nich w pokoju operacyjnym obsługującym sprawę Fettesa. Stał oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersi, uśmiechem na twarzy i resztką włosów na głowie.

- Witam, panie inspektorze - powiedział.

Insch stanął jak wryty. Pokój był właściwie pusty. Garstka mundurowych i detektywów z WK zniknęła bez śladu. Zostały tylko chuda jak szczapa kobieta z administracji i kilka pudeł na akta.

- Gdzie moje...

- Mam dla pana dobrą wiadomość. - Z teczki na stole nadkomisarz wyjął plik papierów. - Garvie był pańskim głównym podejrzanym, zgadza się? I popełnił samobójstwo?

- Owszem... — przytaknął ostrożnie Insch, nie wiedząc, do czego facet zmierza.

- Jest pan pewien, że był zamieszany w śmierć... - Nadkomisarz zajrzał do dokumentów. — Jasona Fettesa?

- Tak. Szukamy jeszcze stu procentowych dowodów...

- Świetnie. W takim razie obniżamy priorytet tego śledztwa. Pańscy ludzie zostali przydzieleni do innych, pilniejszych dochodzeń. Niech pan dokończy papierologię i sprawa zostanie zamknięta.

Inspektor chciał coś powiedzieć, ale nadkomisarz uciszył go gestem.

- Proszę mi jeszcze nie dziękować. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął z niej zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa i wręczył je Inschowi. — Kto jak kto, ale pan na pewno to doceni.

Insch przejrzał dokument i się rozpromienił.

- Wiedziałem. -Nadkomisarz mrugnął porozumiewawczo. - Proszę go tylko za bardzo nie drażnić, dobrze? Jeżeli dostanę więcej niż trzy skargi na pańskie zachowanie, oddam tę robotę komuś innemu. Rozumiemy się?

- Tak jest. Dziękuję.

- Spisał się pan na medal. Tak trzymać, inspektorze.

Nadkomisarz zgarnął papiery, pomachał im obu na pożegnanie i wyszedł.

Logan czekał na jakieś wyjaśnienie, ale Insch postanowił odtańczyć taniec zwycięstwa. Nie był to najprzyjemniejszy widok.

- W życiu by się pan nie domyślił, co się stało - wysapał w końcu, spocony i cały

czerwony. - Sandy Wąż wylądował w szpitalu. Ktoś mu nieźle skopał tyłek.

Wzniósł ręce do nieba w triumfalnym geście i zaczął śpiewać z radości.

Jackie z nikim nie romansowała, Moir-Farquharson dostał bęcki... Logan się uśmiechnął. Może inspektor jednak miał rację; może wcale nie był to taki najgorszy dzień.

bzpital Królewski w Aberdeen. Jednoosobowy pokój, okno zastonięte żaluzjami przed słabiotkim zimowym słońcem - i wściekły Sandy Moir-Farquharson. Wyglądał fatalnie: rozcięta warga, opuchnięty policzek, podbite oko, nos oklejony plastrem i wzmocniony plastikową protezką, sterylny opatrunek na czole, kroplówka z morfiną w lewym przedramieniu, prawa ręka na kołdrze, w gipsie od łokcia po czubki palców.

- So pana tak bawi, inspekteze?

Brakowało mu także co najmniej dwóch zębów.

Insch na chwilę zamknął oczy, zanim odparł:

- Przypomniała mi się anegdota, słyszałem ją przed tygodniem. Zachowanie powagi kosztowało go sporo wysiłku.

- Nie chszę... - Adwokat zakaszłał i skrzywił się z bólu. - Aaa...

Oddech miał szybki i przyspieszony. Loganowi nawet zrobiło się go żal. Kiedy jechali z Inschem do szpitala, żartowali sobie z prawnika w najlepsze; naśmiewali się z człowieka, który został ciężko pobity i trafił do szpitala.

Moir-Farquharson oklapł na poduszkach. Na czole zalśniła mu warstewka potu.

- Nie chszę pana.

- Słucham?

-- Nie chszę, zęby to pan prowadził tę sprawę. Niech dążą kogosz innego.

Insch pokręcił smutno głową.

- Przykro mi, panie Farquharson, ale to nie agencja matrymonialna. [Proszę nam opowiedzieć o tym, co się panu przydarzyło.

- Zostałem napadnięty!

- Naprawdę? - Insch wyjął z kieszeni elegancki notes w czarnej ' oprawce i zaczął go kartkować. - Ach tak, rzeczywiście. Przepraszam. ' Napadnięto pana wczoraj wieczorem, gdy wychodził pan z kancelarii. • Jak pan myśli, kto może pana nie lubić? Ma pan jakichś wrogów? Kogoś, fi komu się pan naraził? Kogo pan oszukał? Sąsiedzi, znajomi, przechodnie, mieszkańcy miasta? Myśli pan, że ktoś może mieć winić pana o to, że to dzięki panu pedofile, bandyci, włamywacze i gwałciciele chodzą swobodnie po ulicach?

Odpowiedział mu gniewny grymas.

- Jak pan fmie stać tu psede mną i...

Logan wpadł mu w słowo, zanim dyskusja zdążyła się zaognić:

- Mogę pana zapewnić, że tego rodzaju sytuacje traktujemy bardzo poważnie.

Adwokat spojrział na niego gniewnie jedynym sprawnym okiem.

- Pana też nie chszę! Obaj sę tylko sfietnie bawicie!

- Jeżeli pan chce, może pan złożyć skargę...

- Ocywiście! Na pewno złożę! Jesce...

- Ale przecież dobrze pan wie, że inspektor Insch i ja zrobimy, co w naszej mocy, aby znaleźć winnych.

Ciszę po tych słowach maćił tylko krzyk innego pacjenta, który gdzieś z głębi korytarza przywoływał pielęgniarkę.

- No dobrze - ciągnął Logan. - Proszę nam opowiedzieć, co się działo przed napadem.

- No i? - spytał Insch, kiedy wracali do komendy. - Co pan o tym myśli?
- Portfel, zegarek, aktówka... To mógł być zwykły napad rabunkowy. Chociaż... - Logan zmarszczył brwi. - Trochę dziwny, prawda? Bardziej mi to wygląda na pobicie za karę. Właśnie że facet wszędzie ma wrogów.
- Powinien się cieszyć, że żyje. Gdyby nie znalazła go sprzątaczką, cały świat odetchnąłby wczoraj z ulgą... No co? Co pan tak na mnie patrzy? Przecież żartuję.
- Są jakieś ślady?
Insch grzebał w kieszeniach, aż znalazł paczkę rodzynek w czekoladzie.

- Całą noc lało. Znaleźli dwie plamy krwi przy samochodzie, poza tym deszcz wszystko zmył. Mają jeszcze tylko jakieś odciski palców na drzwiach od strony kierowcy.
Ruch wzmagął się, w miarę jak zbliżali się do centrum; wkrótce poruszali się w prawdziwie żółwym tempie.
- Powinniśmy chyba zacząć od ofiar, świadków, ludzi, których upokorzył przed sądem.
- Uhm. - Insch rozerwał w końcu opakowanie, wysypał sobie garść rodzynek na dłoń i wrzucił je do ust. - Niech pan zacznie od Watson. Jest pamiętliwa jak diabli.
Tego właśnie Logan obawiał się najbardziej.

Za pięć piąta: koniec dziennej zmiany. Pora na ostatnią herbatkę przed wyjściem do domu. Logan zaszył się w pokoju żartobliwie nazywanym „apartamentem telewizyjnym” - w mikroskopijnej klitce: szafka na akta, komputer z mnóstwem wymiennych szuflad na twarde dyski z kamer w policyjnych samochodach, i wciśnięty między nie multiplexer. Dawno, dawno temu multiplexer był szczytowym osiągnięciem techniki, teraz jednak kojarzył się raczej z parową maszyną do tortur.

Zwalczył młodości, wyjął z odtwarzacza zabraną z kamery monitoringu kasetę i włożył następną. Ten, kto pilnował kamer, mógł nimi w pewnym zakresie kierować: obraz się porusza, a więc tak chce operator. Dlatego przeglądanie taśm było ciekawym ćwiczeniem odporności na chorobę lo-komocyjną, gdy okazywało się, że operatorzy kręcili kamerami na wszystkie strony, dokonywali najazdów i odjazdów, jakby bawili się jakąś grą komputerową. Loganowi nie pomagał też upał: wiekowy, spisany na straty wiatrak stał nieruchomo na dywanie, nawet kiedy go kopał. Logan uchylił więc drzwi i zablokował je w skazanej na porażkę próbie wpuszczenia do środka choć odrobiny świeżego powietrza.

Przesunął pokrętko na pulpicie i zaczął przewijać taśmę na podglądzie do przodu. Szukał kogoś, kto uciekałby z Golden Square - tam mieściła się kancelaria Węża - mniej więcej w tym samym czasie, kiedy adwokat został napadnięty. Centrum Aberdeen było nafaszerowane kamerami niczym rezerwat przyrodniczy. Na podłodze piętrzyła się więc sterta kaset z nich wszystkich, nagranych poprzedniego wieczoru i nocą.

Włożyć taśmę. Przewinąć - wrrr - do godziny dwudziestej pierwszej. Gapić się na ludzi przemykających przed obiektywem w tempie jednej klatki na sekundę. Wpatrywać podejrzanych sytuacji. Zmagać się z wyrzutami sumienia w stosunku do Jackie. Poczucie jeszcze gorsze wyrzuty

[sumienia wobec Rachael, której wciąż nie powiedział, że to była jedna i wielka pomyłka; odczekać, aż zegar na taśmie dojdzie do dwudziestej [pierwszej trzydzieści. Wyjąć taśmę z odtwarzacza. Powtórzyć.

Najciekawszy moment trafił mu się podczas przeglądania taśmy z Union iTerrace. Kamera była przekrzywiona pod dziwnym kątem, obiektyw częściowo zasłonięty ogonem wczepionego do parapetu spalonego gołębia. Zza zasłony szarych piór wyzierała wąska uliczka łącząca

Terrace z Diamond Street. Wpół do dziesiątej: samochody jeżdżą, mokry od deszczu asfalt lśni ; w światłach reflektorów, ludzie wchodzą w kadr, pijacek, znowu samochody, autobus, znowu ludzie... Wpatrywał się w każdą twarz, próbując rozpoznać kogoś z listy „Wrogów Węża”, którą ułożyli do spółki z Inschem. I wtedy to się stało.

Dwie dziewczyny szły chwiejnie Union Street, obejmując się i podpie-, rając nawzajem - tyleż dla towarzystwa, co dla zachowania równowagi. Ta z lewej miała na sobie coś, co od biedy można by nazwać krótką spódniczką- chociaż noc była lodowata -jej koleżanka skąpą bluzeczkę i spodnie, tak cienkie, że wyglądały jak namalowane na skórze. Tylko że poszłyby na nie dużo, naprawdę dużo farby, bo dziewczyna była przy kości. Na widok kamery parsknęły śmiechem. Duża *zadana* bluzkę i zakofyła piersiami.

- Chryste Panie...

Logan nie wiedział, czy się śmiać czy płakać. Równie dobrze mógłby patrzeć, jak ktoś wymachuje dwoma zawiniętymi w poszewkę melonami.

Od strony Diamond Place w kadr weszła trzecia postać, mężczyzna z rękami w kieszeniach. Zdziwił się na widok dziewczyn, wyminął je, kulejąc, i przyspieszył, starając się nie gapić na odsłonięte piersi. Dziewczyna zresztą zaraz opuściła bluzkę; wybuchnęły śmiechem, po czym ruszyły dalej i zniknęły z kadru. Logan wyjął kasetę i przykleił do niej żółtą karteczkę z napisem EKSHIBICJONISTKA. Przy odrobinie szczęścia dziewczyna trafi do świątecznego filmiku montowanego z wystąpień idiotów, którzy świetnie się bawili, pokazując do kamery cycki, wacka albo tyłek.

Odnioś kasety do centrali monitoringu i wrócił do domu.

Ósma wieczór. Logan wyprostował się, otrząsnął, zamrugał i zaczął się zastanawiać, gdzie właściwie jest... W salonie. Na sofie. Przed telewizorem, w którym leciały jakieś głupoty. Przenikliwe dźwięki dzwoniącej komórki mieszały się ze śpiewem jakiejś pękatej „gwiazdy” na ekranie. Sięgnął po pilota, skrócił męki śpiewaczki i odebrał telefon.

- Słucham?- Próbował udawać, że wcale nie obudził się dopiero przed sekundą.

- Logan? Cześć, tu Rachael.

O kurde. Kurde, kurde, kurde, kurde...

- Rachael... Cześć. Właśnie...

- Myślałam, że jesteśmy umówieni?

Spojrzał na zegarek. Ósma. Od pół godziny powinien być w kinie. Czyli Rachael prawdopodobnie jest na niego wściekła.

- Słuchaj, przepraszam. - Dlaczego nie zadzwonił i nie odwołał spotkania, do diabła?! - Mam teraz nową sprawę, napad z pobiciem, i jak wróciłem do domu... - Westchnął. - Przysnąłem.

- Rozumiem...

- Naprawdę jest mi strasznie przykro. Pamiętasz, jak do mnie dzwonili? Byłem całą noc na nogach, zdrzemnąłem się dopiero nad ranem, dwie godziny. A potem znowu cały dzień w robocie. Ktoś pobił Farąharsona...

Usiadł ciężko na sofie, przetaił twarz dłonią - i dalej łamał sobie głowę, jak jej powiedzieć, że to wszystko jest pomyłką.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale rozumiem cię doskonale. Ilu ja facetów wystawiłam w ten sposób... - Zakłopotane kasznięcie. - To znaczy, na pewno nie jakieś setki, nic z tych rzeczy. Jednego, góra dwóch. Nie jestem wcale... no wiesz...

Cisza. Czekala na jego ruch.

- Jeszcze raz przepraszam - zaczął, grając na czas. - Musimy...

- Poczekaj, mam drugi telefon.

W słuchawce zrobiło się cicho. Rachael przełączyła go w tryb oczekiwania.

Zaklął, wstał i podszedł do okna. Wyrżał na dwór: parapet pokrywała cienka biała pierzynka, maleńkie płatki śniegu wirowały w świetle ulicznych lamp. Gdzieś z oddali dobiegał śpiew, tłumiony przez podwójną szybę. Musi to wykrztusić: popełnił błąd. Zaczął się spotykać z Rachael, kiedy myślał, że Jackie ma romans, i... Nie, to by brzmiało tak, jakby po prostu szukał u niej pocieszenia, a tego, nawet jeśli to była prawda, wołałaby nie wiedzieć. Powinien...

- Przepraszam, ale muszę lecieć. Jakiś podejrzany zgon w Tillydrone. Zadzwoń później, dobrze?

- Rachael? Zaczekaj... Ale już się rozłączyła.

Ulica była pusta i cicha. Przy krawężnikach parkowały luksusowe auta; przez szpary w zasłonach światło przesączało się z domów do zasypanych śniegiem ogródków, z pomarańczowo-czarnego nieba cały czas

I spadały świeże płatki: topiły się na asfalcie, lgnęły do bezlistnych drzew, i kleiły się do karoserii samochodów - wszystkich poza niepozornym srebrnym vauxhallem, zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy niż stał dom Roba Macintyre'a, dwa budynki dalej.

Logan wskoczył na fotel pasażera.

Jackie nawet się nie odwróciła.

- Zastanawiałam się, kiedy się zorientujesz.

Znowu miała na sobie czarny kostium włamywacza i rękawiczki. W dłoniach trzymała kubek od kraciastego temosu.

- Czemu mi nie powiedziałaś, że obserwujecie Macintyre'a?

- Insch się bał, że się wygadasz przed Steel.

- Jasne. O niczym innym nie marzę. Wzruszyła ramionami.

- Nie mój problem.

Logan zmarszczył brwi i wyrżał przez okno.

- A jednak mogłaś mi powiedzieć. Cisza.

- Wiesz, co będzie, jak ktoś się dowie, że prowadzicie obserwację bez autoryzacji...

- Kto jak kto, ale ty na pewno nie powinieneś mnie pouczać w kwestii nieautoryzowanych obserwacji!

- Sama widzisz, jak to się skończyło!

Jackie spojrzała na niego pierwszy raz, odkąd wsiadł do samochodu.

- Rozmawiałam z Rennie, więc nie pieprz mi o zaufaniu. Ty mi nie zaufałeś.

Logan modlił się w duchu, żeby nie zauważyła, jak się czerwieni.

- Nie bądź śmieszna...

- Rennie może i jest głupi jak but, ale ja na pewno nie. Kapujesz? Dobrze wiem, co ci po głowie chodziło. - Odwróciła się w fotelu i szturchnęła go w ramię, wyraźnie zła. - Jak mogłeś pomyśleć, że mam romans?! I to jeszcze z Rennie! - Drugi raz go uderzyła. - Co się z tobą dzieje?

- Ja...

- Wcale nie! Po prostu mi nie ufasz i...

- A co miałem sobie pomyśleć? - Jeszcze nie krzyczał, ale niewiele brakowało. - Wciążnie nie ma cię w domu, wymykasz się na jakieś schadzki. A potem jeszcze słyszę, jak rozmawiasz z nim przez telefon i mówisz, że niczego nie podejrzewam, jak ostatni dupek...

- Macintyre! Macintyre nie podejrzewa, że go obserwuję, do kurwy nędzy! Od ośmiu miesięcy jesteśmy razem. Mogłaś po prostu zapytać.

W samochodzie zrobiło się cicho.

- Mogłaś mi powiedzieć.

- Ale nie powiedziałam, jasne?

Jackie wpatrzyła się w dom Macintyre'a. Logan *zaczynał* żałować, że do niej przyszedł.

Kuksaniec pod żebro wyrwał go ze snu i przywrócił światu żywych.

- Pfff... - Zamrugał.

Jackie spojrzała na niego z ukosa.

- Chrapiesz.

- Wcale nie spałem. - Wyprostował się i przeciągnął, na ile ciasne wewnątrz pozwalało.

Zadrzał. - Zimno...

- Trzeba się było cieplej ubrać.

Zamiast odpowiedzieć, ugryzł się w język i spojrzał na zegar: minęła pierwsza.

- Ktoś pobił Sandy'ego Węża. - Szukał neutralnego tematu.

- Słyszałam. Cisza.

- Posłuchaj, jeśli chcesz, żebyśmy sobie poszedł, powiedz. Mam dość ludzi, którzy na mnie warczą.

Otworzył drzwi i wysiadł. Noc była mroźna. Przez moment wydawało się, że Jackie coś powie, ale zaraz znów utkwiała wzrok w domu Macintyre'a.

- Jak chcesz.

Zamknął drzwiczki, postawił kołnierz i...

W cieniu stał jakiś mężczyzna - niedaleko, przy trzecim, może czwartym samochodzie za vauxhallem. Niski, krępy. Wpatrywał się w dom piłkarza.

Nie miał pojęcia, że ktoś go obserwuje.

Logan delikatnie zapukał w okno od strony pasażera. Żadnej reakcji. Jeszcze raz. Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i Jackie wystawiła głowę.

- Co znowu, do cholery?!

Mężczyzna nagle spojrzał w ich stronę, wytrzeszczył oczy i rzucił się do ucieczki, najszybciej jak mu na to pozwalały krótkie nóżki. Logan zaklął i popędził za nim, ślizgając się na oblodzonym chodniku. Usłyszał, jak Jackie uruchamia silnik i zawraca na trzy, żeby ruszyć we właściwym kierunku.

Intruz biegł szybko - miał lepsze buty niż Logan - i już po chwili skręcił w Great Western Road, do centrum. Kiedy Logan wybiegł zza rogu, już go nie zobaczył.

Jackie zahamowała ostro na skrzyżowaniu. Oba okna miała otwarte.

- Gdzie teraz? - zawołała.

Wskazał jej najbliższe światła uliczne i vauxhall zaczął się oddalać.

Logan — zgięty wpół i zdyszany jak starsza pani na koncercie Toma Jone-sa - zatrzymał się w połowie długości Burns Road. Zaglądał we wszystkie przecznice i zaułki, ale po panu Czyhającym w Mroku nie został żaden ślad. Minęło już dziesięć minut, jak im uciekł. Jackie jeszcze nie wróciła; miejsce, w którym do niedawna stał vauxhall, ziało pustką wśród ośnieżonych samochodów jak dziura po wybitym zębie.

Wcisnął dłonie pod pachy i przytupywał, żeby rozgrzać nogi; miał nadzieję, że Jackie wkrótce da sobie spokój z pościgiem i przyjedzie po niego, bo zrobiło się piekielnie zimno. Płatki śniegu kreśliły w powietrzu leniwe spiralki, para z oddechu gęstniała w białe chmury. Przez jakiś czas chodził po ulicy w tę i z powrotem, żeby pobudzić krążenie. Było stanowczo

za zimno, żeby tak się błąkać po nocy...

Zatrzymał się. Jego wzrok przykuła strużka moczu na chodniku: zamarzła między wysokim bukszpanowym żywopłotem a krawężnikiem. Mniej więcej tam zauważył intruza.

- A niech to...

Facet po prostu skręcił w krzaki na siku. To dlatego zaczął uciekać: nie chciał, żeby wścickły właściciel domu dał mu po łbie za podtruwanie żywopłotu.

Logan zaklął pod nosem i dalej krążył po ulicy. Ależ zrobił z siebie dumnia. Przy takiej pogodzie trzeba być skończonym idiotą, żeby sterczeć jak kołek na dworze.

Ponieważ z wolna tracił czucie w palcach u nóg, wołał nie analizować ironii tego stwierdzenia.

Ale to przecież oczywiste: należało przyjechać samochodem. I siedzieć w ciepélku, zamiast błąkać się na śniegu. Trzeba było zostać w wozie, razem z Jackie. Przynajmniej by nie *zamarzł*, nawet jeśli od niej wiałoby mrozem.

Podążył wzrokiem za zmrożonymi szczykami do wysłużonego renault clio. Mieszkańcy tej okolicy raczej nie jeździli takimi samochodami. Od

biedy mógłby należeć do czyjegoś dzieciaka, ale i wtedy powinien być nowszy. Logan podszedł bliżej, schylił się i *zajrzał* do środka. Sreberka po czekoladzie, opakowania po chipsach, torebka galaretek cytrynowych, dwie kanapki od Marksa & Spencera, trzy puszkki red bulla i termofor. Parujący termofor.

Wyjął chusteczkę, owinał nią dłoń i pociągnął za klamkę. Drzwi były otwarte.

A więc Tajemniczy Sikacz naprawdę obserwował dom Macintyre'a. Szybki telefon do centrali pozwolił Loganowi poznać tożsamość właściciela renault: Russell McGillivray, zamieszkały przy George Street.

Stał obok samochodu i zastanawiał się, co to wszystko znaczy. Zapas jedzenia. Termofor. Zgoda, to mógł być zbieg okoliczności, może panu McGillivrayowi zupełnie co innego chodziło po głowie - ale jakoś w to wątpił. Rozejrzał się, czy nikt go nie widzi, pchnął do przodu fotel pasażera i wcisnął się za niego. Zgarnął termofor, wsunął go pod kurtkę, przytulił do piersi, a potem zamknął drzwi i napawał się ciepłem.

Pogrzebał wśród papierów na tylnej kanapie i *znalazł* dwa stare egzemplarze „Daily Mail”. Może McGillivray jest dziennikarzem? Ale przecież wtedy by nie uciekał, prawda? Zsunął się jak najniżej i w ogóle starał się zniknąć.

Obok przejechał samochód. Warkot silnika nie cichł jednak stopniowo w oddali, po prostu nagle umilkł. Zapewne Jackie wróciła na stanowisko. Logan wyjął komórkę i zadzwonił do niej.

- Jackie?

- Gdzie jesteś, do ciężkiej cholery? Ja już...

- Posłuchaj: znalazłem wóz tego gościa. Stoi zaparkowany dwadzieścia metrów za tobą. Facet po niego wróci. Dlatego musisz zniknąć, kapujesz? Jak cię zobaczy, da nogę.

- Nigdzie nie zniknę! Insh chyba by mi łeb urwał. Poza tym ten fran-cowaty Macintyre w każdej chwili może wyjść z domu.

- Nie powinnaś...

- Zapomniałaś już, co się stało, kiedy poprzednio urwałam się z dyżuru? My poszliśmy sobie na te przekłete urodziny, a jakaś biedaczka...

- Na litość boską! - Podniósł głos. - Nie każę ci przecież schodzić z posterunku! Po prostu schowaj się, żeby nie było cię widać! Złowroga cisza trwała długo.

- Wiem, że twoim zdaniem to nieważne...

.- Jak to? Kiedy powiedziałem, że to nieważne?!

- Powiedziałeś...

- Nic nie powiedziałem! Jak mogłem coś powiedzieć, skoro ty mi f o niczym nie powiedziałaś? A mogłaś, zamiast zachowywać się na urodzi-[nach jak rozkapryszony bachor! Coś bym wymyślił, jakieś usprawiedliwienie dla ciebie. Kurczę, a potem przyjechałbym po ciebie z wielką torbą [ciastek i pudełkiem lodów! Ale nie, bo ty...

Przerwała połączenie.

Zaklął pod nosem, sięgnął na przednie siedzenie, wziął kanapkę i red [. bulla i pograżył się w zadumie.

Minęło prawie czterdzieści pięć minut, zanim zawarli rozejm: Jackie
• zadzwoniła, żeby poinformować go o „podejrzanym palancie”, który mig-
; nał jej przy końcu uliczki. Logan podniósł się i przesunął tak, żeby wyjrzeć
/ przez tylną szybę, pomiędzy dwoma naklejkami. Niska, krępa postać stała
pod latarnią, obserwując okolicę. Para buchała jej z ust.

Wyjął spod kurtki chłodny już termofor i odłożył go na dywanik. ' Tajemniczy nieznajomy jeszcze raz spojrzął w głąb ulicy i ruszył w stronę clio. Logan skulił się, nasłuchując skrzypienia śniegu pod butami: chrup, chrup, chrup. Cień padł na samochód. Zadzwończy kluczyki, rozległ się metaliczny szczęk i drzwi po stronie kierowcy otworzyły się. Przemarznięty mężczyzna wśliznął się za kierownicę. Śmierdział, jakby od dawna się nie mył. Uruchomił silnik i włączył ogrzewanie na maksa.

Zataił ręce, spojrzął na dom Macintyre'a i wrzucił bieg. Logan poczekał, aż sięgnie do hamulca ręcznego. Wtedy wychylił się znad siedzenia i zapytał:

- Gdzie się pan wybiera?

Facet wrzasnął tak głośno, że szyby zawibrowały. Samochodem szarpnęło, silnik zgasł, kierowca rozpaczliwie sięgnął do klamki, ale Logan był szybszy: wcisnął włącznik centralnego zamka i przecisnął się na przedni fotel.

Kierowca przyglądał mu się przerażony, pot perlił mu się na czole.

- Nie mam pieniędzy!

Był młody - najwyżej dwadzieścia parę lat - nerwowy i strasznie blady, nawet jeśli wziąć poprawkę na trupie światło lamp ulicznych. Logan mignął mu legitymacją.

- Policja. Pan Russell McGillivray?

- Ja... Ja nic nie zrobiłem! A pan mnie wystraszył! Złożę skargę...

- Jak się pan nazywa? Trzeci raz nie zapytam. Kierowca odkaslnął.

- Don... Don Machem... Ale znajomi mówią na mnie Hamish, wie pan, jak ten z telewizji...

- Zdaje pan sobie sprawę, że podanie policji fałszywych danych osobowych jest wykroczeniem?

- Ja nie kłamię!

Logan przyglądał mu się bez słowa.

- Naprawdę! Nie kłamię!

- To pański samochód, panie Macbeth?

- Nie... Tak... To znaczy... Kolegi.

- Rozumiem...— Logan pokiwał głową.- Panie Macbeth, aresztuję pana pod zarzutem utrudniania pracy policji poprzez podanie fałszywych...

- Daj pan spokój, przecież pana nie okłamałem! Nie okłamałem!

Spróbował zwiać: kciukiem odblokował centralny zamek, otworzył drzwi, wyskoczył na jezdnię - i znalazł się twarzą w twarz z posterunkową Jackie Watson, znaną również jako Żyleta.

- Nawet nie próbuj...

Był na tyle głupi, że spróbował.

- Wygląda na to, panie „Macbeth”, że zaszło małe nieporozumienie -powiedział Logan, kiedy wrócił do pokoju przesłuchań numer 1 z wynikami badań daktyloskopijnych. - Sprawdziliśmy pańskie odciski palców w naszej bazie danych i okazało się, że należą do Russella McGillivraya. Nie uważa pan, że to dziwne?

Don Macbeth, alias Russell McGillivray, poruszył się niespokojnie. Pomacał się po genitaliach, jakby chciał się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu po nieudanej próbie konfrontacji z Jackie.

- No bo... - Skóra lśniła mu od potu, całe ciało dygotało w nerwowych tikach. Obgryzał paznokcie. Tik. Gryz. Tik. Gryz. Tik... - Mógłbym zajarać? Strasznie mi się chce...

Głos mu drżał, a kwaśny, nieświeży oddech mieszał się z odorem niemytych pach.

- To jak, Russell? Powiesz mi, co robiłeś przed domem Roba Mac-intyre'a o pierwszej w nocy?

- To znaczy... to trochę... — Zakaszłał, przygryzł policzek.— Bądź człowiekiem, daj szluga... Kurwa, umrę, jak nie zapalę!

- Zobaczymy. Ale najpierw wszystko mi wyśpiewasz. Co tam robiłeś? Znow tiki.

- Bo ja jestem... jego fanem. Wielkim fanem. I bardzo chciałem zdobyć autograf.

- Jasne. A ja jestem Harry Potter. - Logan sięgnął po akta McGillivraya i zaczął je przeglądać. - Trzy razy notowany za posiadanie narkotyków,

dwa razy za włamanie, raz za paserstwo, raz za prowadzenie samochodu pod wpływem... - Uśmiechnął się. - No proszę, a teraz jeszcze będziemy musieli cię udupić za prowadzenie bez uprawnień. Mało tego, podanie fałszywych danych i stawianie oporu podczas aresztowania. O, a to co? Jesteś na zwolnieniu warunkowym. - Zagwizdał przez zęby. - Nie chciałbym znaleźć się w twojej skórze.

- O żesz ku...

McGillivray skulił się, oparł głowę o blat stołu i nakrył ją rękami.

- No, Russell? Zanim odwieziemy cię do pierdła za recydywę na warunkowym, powiedz mi, po co zacząłeś się pod domem Roba Macintyre'a? McGillivray spojrzał na niego spomiędzy splecionych palców.

- Jestem chory. Bardzo chory...

Logan wyjął z kieszeni wymięte opakowanie bensonów & hedgesów, podkradzione z gabinetu inspektor Steel, i położył je na stole. Jak magnes ściągnęło wzrok McGillivraya — łakomie oblizał wargi. Obok papierosów Logan położył zapalniczkę.

- Może ja zacznę, co?

Spocony, roztrzęsiony McGillivray pokiwał głową, nie odrywając oczu od papierosów.

- Wiesz, co jeszcze ciekawego znalazłem, kiedy przepuściłem twoje odciski przez komputer? Po części pasują do odcisków, które zdjęliśmy z samochodu pana Moir-Farquharsona. Wczoraj wieczorem, około dwudziestej pierwszej piętnaście, został napadnięty i pobity, tuż przed tym, jak udało ci się za friko obejrzeć cycki pewnej dziewczyny. Pamiętasz?

- Ja... Nie, nie pamiętam. Byłem w domu z...

- Nagrały cię kamery monitoringu, Russell. Tak że może zacznijmy od początku, dobrze? Dziś złapaliśmy cię pod domem Roba Macintyre'a, a wczoraj kręciłeś się w pobliżu miejsca, gdzie pobito jego adwokata. Wyjaśnisz to?

Tik. Dreszcz.

- Byłem... Byłem... Jednego, malutkiego szluga... Logan pokręcił przecząco głową i wziął do ręki zapalniczkę. Obrócił ją w palcach, schował do kieszeni i sięgnął po papierosy.

- Jezu, daj pan żyć! Ja tu błagam...

- To pewnie rozkoszne uczucie, nakłaść po gębie takiej prawniczej szmacie. Nikt nie będzie miał o to do ciebie pretensji, co?

- Tylko jednego macha! Maleńkiego. Miejże litość, gościu...

- Najpierw pogadamy, potem zapalisz.

Trwało to prawie godzinę, ale w końcu McGillivray przyznał się do wszystkiego - za cenę jednego dymka.

- Potrzebowałem forsy. Na... No wie pan, na coś tam potrzebowałem. - Potarł zgięcie łokcia, usiłując coś sobie przypomnieć. - A to przecież był adwokat, nie? Więc kasiasty. A potem pomyślałem, że temu piłkarzowi też by można wklepać, coś by się przy nim znalazło. Obiecał mi pan, że dostanę fajka... - Zaskomlał jak szczeniak. - Że jak powiem, to dostanę!

Logan poczęstował go papierosem inspektor Steel.

34

A to niewdzięczny drań.

Insch stał tyłem do okna. Za jego plecami sobota czaiła się nad miastem: ołowiane niebo w każdej chwili mogło sypnąć gęstym śniegiem - przykryłby cieniutką warstwę zmrożonej brei; latarnie bursztynowym blaskiem rozświetlały ponury, mroczny poranek.

- Cztery lata temu Wąż załatwił McGillivrayowi niewinnienie po tym, jak okradł emeryta z oszczędności życia, a ten mimo to teraz go pobił. - Zamyślił się, żując. - Nie żebym narzekał, ale gdzie się podział honor złodzieja i takie tam... - Włożył do ust następne toffi w czekoladzie. - No, grunt, że mamy wyniki. Nie powinienem się skarżyć.

- Moir-Farquharson przyjdzie o ósmej, żeby go obfotografować. - Logan zajrzał do dokumentów. - Nie ma pan pojęcia, jaka masa ludzi prosiła nas o odbitki...

- Naprawdę? To ja też sobie zamówię. Jeśli trafi się naprawdę ładna fotka tej paskudnej gęby, ze wszystkimi sińcami, dam ją na swoją kartkę świąteczną. - Insch przysiadł na biurku i przeciągnął się, ziewając rozdzierająco. - Te nocne nasiadówki mnie wykończą. Coś panu poradzę: niech się pan nigdy, przenigdy nie zgadza reżyserować Gilberta i Sullivana dla bandy pozbawionych talentu jełopów. Bóg jeden wie, jak mi to szkodzi na ciśnienie... - Dwa palce przy szyi. - Nie wpadłby pan porobić za suflera?

- Dziś jestem zajęty, panie inspektorze. Insch nic na to nie powiedział. Tylko patrzył.

- Emm... - Logan spojrział na zegarek. - Wie pan, ta papierkowa robota... - Zaczął się cofać do wyjścia. - Więc ja już sobie... - Pokazał na drzwi.

Prawie mu się udało.

- Wpół do siódmej, kaplica baptystów przy Summer Street. Tylko f niech pan włoży ciepłe gacie. Będzie lodowato.

Nerwowy telefon od inspektor Steel - wściekała się na złodzieja, który i ukradł jej z biurka paczkę bensonów & hedgesów, na świat, który schodzi na psy, i na całą policję. Logan uświadomił sobie, że jest spóźniony. Zanim zbiegł¹ na dół, Sandy Moir-Farquharson czekał już w holu od kwadransu, a elita sił porządkowych z Grampian wymyślała najróżniejsze preteksty, byle tylko przedfilować przed nim i obejrzeć jego podbite oko i okaleczoną twarz.

- Skończyłeś już? - spytał Logan, kiedy uśmiechnięty od ucha do ucha Duży Gary kolejny raz przemaszerał z holu do zamykanego szy-¹ frowym zamkiem korytarza.

- Jest coraz fajniej. Wiesz, jak się nazywa prawnik, któremu ktoś skopał dupę?

- Gary...

- Nie, zaczekaj... To było inaczej: co dostaniesz, jak skopiesz prawnikowi dupę?
 - Zabiorę go do fotografa, zanim złoży następną skargę.
- Logan wyszedł do holu, starając się nie słyszeć rozwiązania zagadki:
- Medal!

Nie było to żadne studio fotograficzne - po prostu wydzielony kąt w pokoju na trzecim piętrze, z szarym, pomarszczonym tłem, jednym stołkiem i dwoma lampami błyskowymi na statywach.

Sandy Wąż kazał zamknąć drzwi - zanim zdejmie koszulę - czym okrutnie rozczarował zgromadzony na korytarzu tłumek. Fotograf zainstalował na wolnym statywie ogromnego cyfrowego nikona i zaczął podłączać flesze. Moir-Farquharson zmagał się tymczasem z opornym rękawem koszuli, który nijak nie chciał przejść przez gips na ręce.

Od pobicia upłynęło zaledwie półtorej doby, ale siniaki wyglądały już niezwykle efektownie: mozaika fioletowych, czarnych, zielonych i błękitnych krwiaków pokrywała niemal cały tułów Węża.

- Spodnie też - powiedział fotograf. Zrobił kilka zdjęć i przeglądał je na wbudowanym w aparat ekraniku.

- Nie rozumiem, dlaczego muszę...
- Chodzi o postępowanie dowodowe. Potrzebujemy...
- Niech pan sobie nie myśli, że nie wiem, co tu jest grane! Pan i ta banda szakali... Chcecie mnie upokorzyć!

- Panie Moir-Farquharson - westchnął Logan. - To standardowe postępowanie przy każdym poważnym pobiciu, i dobrze pan o tym wie. Im więcej dowodów, tym wyższy wyrok dla sprawcy. A pan na pewno chce, żeby siedział jak najdłużej, prawda?

Patrzył, jak Wąż przetrawia jego słowa. Prawdopodobnie walczył ze sobą: wyjątkowo powinien starać się wtrącić kogoś do więzienia zamiast pomóc mu się od niego wymigać.

- Jeśli gdzieś zobaczę te zdjęcia wykorzystane w innych celach niż procesowe albo usłyszę o takim ich użyciu, pozwę was do sądu - zagroził adwokat i niechętnie się rozebrał.

W majtkach i skarpetkach, półnagi i zakłopotany, nagle wydał się Lo-ganowi zupełnie innym człowiekiem. Chude nogi, lekki brzusek, siwiejące włosy na piersi... I sińce na całym ciele. Russell McGillivray nieźle się na nim wyżył.

Fotograf pracował szybko i sumiennie, dokumentując obrażenia-szczególnie krwiak na lewej ręce: ciemnofioletowy, w kształcie odcisku buta, tak wyraźny, że widać było poszczególne elementy bieżnika na podeszwie.

Kiedy sesja się skończyła i Moir-Farquharson powoli i ostrożnie się ubrał, Logan podsunął mu album ze zdjęciami notowanych, aby rozpoznał wśród nich napastnika, wybrał przy tym jedenastu przestępców z bazy danych, wśród nich McGillivraya. Podał album adwokatowi, on jednak nikogo nie wskazał.

- Było ciemno - powiedział tylko.
- Na pewno nikogo pan nie rozpoznał?

Wąż spojrział ze złością na Logana. Jedno oko miał błękitne, drugie czerwone jak u wampira - źrenica zdawała się pływać w samym środku krwawego wiru.

- Na pewno! Było ciemno. Gdybym go zobaczył, na bank bym go rozpoznał. - Jeszcze raz rzucił okiem na zdjęcia podejrzanych. - Nie pomogę wam zrobić w tę sprawę niewinnego człowieka tylko dlatego, że nie chce się wam *znaleźć* prawdziwego sprawcy! Wiedziałem, że tak będzie...

- Mamy już odciski palców i zeznanie... napastnik *przyznał* się do winy.

Logan sięgnął po album, ale prawnik nie pozwolił go sobie odebrać. Wpatrywał się z

uporem w małe portreciki.

- Niewdzięczny drań!

- Pewnie się pan zdziwi, panie Moir-Farquharson, ale to samo powiedział inspektor Insch.

Odprowadził Węża do drzwi i obiecał, że da mu znać, gdy tylko sąd I wyznaczy termin rozprawy. Bardzo się zdziwił, kiedy Moir-Farquharson podał mu na pożegnanie rękę i pochwalił go za dobrze wykonaną robotę - brzmiało to wprawdzie tak, jakby zmagał się z każdą sylabą z osobna, ale jednak jakoś to wydusił - po czym wykuśtykał na dwór. Było zimno, ¹ z nieba spadały pierwsze tego dnia płatki śniegu. Logan stał pod daszkiem przy wejściu i odprowadzał wzrokiem Węża. Nie mógł zrozumieć, jak można kimś gardzić i jednocześnie mu współczuć.

Noc w celi nie pomogła Russellowi McGillivray'owi. Śmierdział jak nieszczęście, woń starego potu mieszała się z kwaśnym odorem błyskawicznie postępującego zespołu odstawienia. McGillivray potrzebował następnej działki jak człowiek, który się dusi, któremu brak powietrza. Jego ciało na przemian dygotało w drgawkach i tężało na kamień; mokrą od potu twarz miał bladą jak brzuch ropuchy, oczy przekrwione i podkrążone. Koszmar każdej teściowej.

Logan postawił jedną z dwóch przyniesionych kaw na zielonkawej terakocie i zamknął drzwi.

- No i co, Russell? - Potrząsnął wyjętą z kieszeni niedopaloną paczką papierosów Steel. - Chcesz mieć swoje pięć minut sławy? Zbolały uśmiech. I błagalny głos:

- Daj... Daj fajka.

- To pójdzie szybko: myk, do sądu, tam raz, dwa, trzy wyrok, i siup do Craiginchess na dwa lata za naruszenie ograniczeń zwolnienia warunkowego. Do tego prowadzenie samochodu bez prawka i ubezpieczenia, stawianie oporu podczas aresztowania, utrudnianie śledztwa, próba zabójstwa...

- Co?! - McGillivray zerwał się na równe nogi i zaczął rozpaczliwie wyłamywać palce, aż stawy trzeszczały. — Nikogo nie zabiłem!

- Nie wspomniałem o tym wczoraj wieczorem? - Logan wzruszył ramionami. - No popatrz, musiało mi się zapomnieć. Jak myślisz...

- Nikogo nie zabiłem!

Logan wygrzebał papierosa i wyjął z kieszeni zapalniczkę.

- Ostatni dymek dla skazańca.

- Ja nikogo nie zabiłem!

- Nie, ale bardzo się starałeś. Gdyby nie sprzątaczką, pobili byś go na śmierć.

- Jezu, kurde, ja chrzanię...

- Masz. - Logan przypalił i podał mu papierosa. Poczł dawno zapomniany dym. - Ciesz się, póki możesz.

McGillivray owinął się wokół papierosa, paląc go łapczywie, jakby dzięki nikotynie wszystko, co złe, mogło zniknąć z jego życia.

- Nie jestem mordercą... Miałem tylko... dać im nauczkę.

- Temu adwokatowi, tak? I?... - Logan przerwał, choć znał odpowiedź.

- I temu zasranemu piłkarzykowi. Trzy stowy za dwóch.

- Trzy stowy? To grosze, Russell. Psujesz rynek.

- To nie moja wina! Potrzebuję na leki...

- Kto? Kto ci zapłacił?

McGillivray wzruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę. Papierosa trzymał w stulonej dłoni, jakby chciał go ukryć.

- Nie znam gościa. Taki jeden, w pubie.

Logan zaserwował mu krępującą ciszę; spodobałaby się Inschowi, gdyby nie wybiegł na wcześniejszy lunch, żeby nakrzyczeć na kobietę szyjącą kostiumy Japońskich dżentelmenów".

- Nie znam go, no kurna, nie znam... Nie zapytałem, jak się nazywa. Trzy stówki za obu.

- Płatne z góry? Gotówką?

McGillivray chciwie wyssał z filtra resztki dymu i zgniótł niedopałek obcasem.

- Dostanę jeszcze jednego?

- Zapłacił ci z góry?

McGillivray oblizał wargi, wpatrzony w kieszeń Logana, w której kryły się bensonny & hedgesy.

- Sto z góry. Sto po adwokacie. I sto po piłkarzu... - Wzdrygnął się. - Przecież to gwałcieciel, nie? Skurwiel jeden... To nie moja wina! Wy... Logan wyjął papierosa. Błysk o oczach

McGillivraya.

- Co to za pub, Russell?

- Nie pamiętam.

Logan pokręcił głową i złamał papierosa na pół.

- Który pub?

- Ja pierdolę! Daj spokój, nie jestem...

Miękkie trzask! Papieros znów skrócił się o połowę.

- Garthdee Arms!

- Nazwisko.

- Nie powiedział, jak się nazywa! Naprawdę nie powiedział! — Panika w oczach utkwionych w ułomek papierosa. - Wysoki, wymięty... Broda, okulary... No do kurwy nędzy...

Logan dał mu to, co zostało.

Komputer w niespełna dwadzieścia minut wygenerował portret pamięci-[ciowy: szczupła twarz, worki pod oczami, okrągłe okulary, wysokie czoło, broda. Logan westchnął i zrobił wydruk; nie musiał nawet publikować por-, tretu w wewnętrznej policyjnej sieci, żeby wiedzieć, o kogo chodzi. Trzecią i ofiarą Macintyre'a była Gail Dunbar. Portret przedstawiał jej męża, który po uwolnieniu piłkarza przez sąd naskoczył na Inscha. Inspektor obiecał mu wtedy sprawiedliwość.

Zgarnęli go z biura do nieoznakowanego samochodu i przewieźli do komendy, żeby pobrać odciski palców i próbki DNA oraz zrobić mu zdjęcia. Od zawziętego milczenia szybko przeszedł do oskarżycielskich wrzasków: ten adwokat pomógł piłkarzowi wyłgać się od odpowiedzialności! I to po tym, co zrobił Gail! Zasłużył sobie na karę!

Żałował tylko, że McGillivray nie zaczął od Macintyre'a, ale tak poza tym te dwieście funtów to była świetna inwestycja.

Wracając z lunchu, Insch natknął się na Dunbara, kiedy Rennie i Ri-ckards odprowadzali go do aresztu. Rozpoznał inspektora i zaczął krzyczeć:

- To przez ciebie! Obiecałeś! Obiecałeś, że pójdziesz siedzieć! Obiecałeś, ty pieprzony grubasie! I zaczął się szarpać.

- O rany... - stęknął Logan, opierając się plecami o ścianę. Posterunkowi zawlekli Dunbara do celi. Cały czas kłął, miotał się i darł wniebogłosey.

- Facet ma rację - mruknął Insch, kiedy Dunbar trafił za kratki i wrzaski przycichły. - Nie wiemy, jak udupić Macintyre'a. Ale kiedy sobie pomyślę, że ktoś mógłby zgwałcić moją żonę, to... też coś bym z tym zrobił. — Zapatrzył się w dal. — Z tą różnicą, że nie zdałbym się na jakiegoś ćpuna, tylko załatwił gnoja własnymi rękami.

Zrobiło się w pół do trzeciej i Logan właśnie zamierzał wyłączyć komputer, kiedy do pokoju wparował Rennie, klnąc jak szewc. Do policzka przyciskał kłęb zwiniętych mokrych, papierowych ręczników.

- A to skurwiel! Pierdolony mały, zafafluniony...

- Co ci się stało?

- Ten wasz pojeb z bródką mnie uderzył! We trzech musieliśmy go wepchać do celi.

- To nauczyciel z podstawówki.

- Skończony drań, nie żaden nauczyciel! — Rennie odsunął kompres i pomacał się po opuchliznie. -A na dzisiaj byłem umówiony... - Spojrzał z ukosa na grudkę mokrego papieru i wyrzucił ją do kosza. - Insch kazał zapytać, czy pana podwieźć. Na próbę.

Logan pokręcił głową.

- Wracam do domu. Poza tym wydawało mi się, że próby są w poniedziałki, środy i piątki.

- Do premiery zostały dwa tygodnie, więc ćwiczmy w zasadzie codziennie, aż...

- A kto będzie miał oko na Macintyre'a? Rennie się zaczerwienił.

- Później mogę tam podjechać, jeśli...

- Jackie, tak? Na litość boską! - Jeżeli przez następne dwa tygodnie ona każdą noc spędzi w samochodzie pod domem piłkarza, na kimś się wyżyje. Na kim? Też pytanie. - A jeśli będzie musiała przejść na nocną zmianę? Albo nawet na popołudniową?

Rennie wzruszył ramionami.

- Robię, co mi każą.

- Bez sensu. - Logan wstał. - Wiemy, że Macintyre nie poluje już w Aberdeen. Wystarczy wprowadzić jego numer rejestracyjny do systemu śledzącego ASRTR i zadzwonić do Tayside, gdyby wyjechał z miasta.

- Ale... inspektor nie chce, żeby ktoś się dowiedział...

- Tak? Coś ci powiem: guzik mnie to obchodzi. - Wziął kurtkę i szedł na dół.

Rennie powłókł się za nim jak biedny szczeniak, skamłając, że Inschowi się to nie spodoba i że lepiej się nie wychylać...

Centrala monitoringu, bez okien. Cicho i spokojnie. Tylko blask siedemdziesięciu jeden czternastocalowych monitorów: widoki różnych miejsc w Aberdeen.

Przy ustawionym na środku sali biurku siedzieli trzech techników ze słuchawkami na uszach; popijali herbatę i zdalnie kierowali kamerami. Logan zaczepił najwyższego rangą inspektora: czy może zamienić z nim dwa słowa w pokoju po drugiej stronie korytarza?

- Poprosiłbym o przysługę - powiedział, kiedy drzwi się za nimi zamknęły. Podenerwowany Rennie został na korytarzu. - Trzeba wprowadzić te tablice do ASRTR.

Zapisał na kartce numery rejestracyjne wszystkich samochodów Roba Macintyre'a - łatwe do zapamiętania, bo dobierane na zamówienie.

Inspektor wziął spis do ręki, mając taką minę, jakby ktoś podał mu truciznę.

- Po co?

- Jest pan mi coś winien.

- Nie możemy tak po prostu wprowadzać numerów do systemu. Przyjdzie kontrola i...

- Zadzwońcie do mnie, jeśli któryś z tych wozów wyjedzie poza miasto. Godzina obojętna. W razie czego powiecie, że dwa tygodnie temu Insch kazał wam je śledzić.

- Insch, tak? — Inspektor spojrział na spis i zmarszczył brwi. — To samochody Roba Macintyre'a, prawda? Są w systemie od dawna. Nikt nam nie kazał przestać je obserwować.

ASRTR, Automatyczny System Rozpoznawania Tablic Rejestracyjnych w Aberdeen, sprawdzał wszystkie samochody przyjeżdżające i wyjeżdżające którąś z głównych arterii, zapisywał numery rejestracyjne i w lokalnych oraz ogólnokrajowych bazach danych wyszukiwał przypisane do nich samochody. Jeżeli samochód znajdował się na liście poszukiwanych, komputer dawał sygnał. Wszystkie auta Macintyre'a były na takiej liście i żaden, według danych, nie wyjechał z Aberdeen. Logan jeszcze raz przejrzał rejestr i zaklął.

- Może w Dundee coś mają? Inspektor pokręcił głową.

- Nic. Daliby nam znać, gdyby coś złapali. Pracują na tej samej bazie danych.

- Cholera... — Logan przysiadł na biurku. — Zadzwońcie do nich, co? Bardzo proszę.

- To nic nie da. Oni też...

- Niech sprawdzą nagranie z kamery przy drodze wyjazdowej z Aberdeen. Może zasłonił czymś tablice? Kupił coś takiego przez Internet?...

- Pewnie pan nie uwierzy, ale już to zrobiliśmy. Insch wpadł do nas jak huragan od razu po pierwszym gwałcie tego naśladowcy. Po drugim zresztą też. Sprawdziliśmy my, sprawdzili chłopcy z Tayside... Macintyre'a tam nie było.

Rennie próbował przez ten czas - bez powodzenia - poderwać jedną z dziewczyn z administracji. Logan wyminał go i zbiegł po schodach. Posterunkowy popędził za nim.

- Panie sierżancie... Ten facet nikomu nie powie, prawda? Insch by mnie zabił, gdyby się...

- To nie Macintyre. Każdy jego samochód włączyłby alarm w ASRTR. Albo w Dundee działa jakiś naśladowca, albo w ogóle od początku Macintyre nie miał z tym nic wspólnego.

Rennie jęknął.

- Inspektor się wścieknie.

- Trudno.

Logan wyszedł na zasypany śniegiem parking z tyłu komendy.

- To jak, obejrzy pan próbę? - spytał Rennie, ślizgając się w lodowatej brei.

- Nie.

- O rany! Insch pomyśli...

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie zamierzam tracić wieczoru na podziwianie, jak płąsacie po scenie i zapominacie swoich kwestii. Nie krzyw się tak: nie przyjdę i już.

Kaplica baptystów była dokładnie tak wyziębiona i przygnębiająca, jak Logan się spodziewał: na podłodze z ciemnych desek stare ślady brudnych butów i dołki po damskich szpilkach, dawno temu ktoś pomalował ściany na pastelowy kolor, ale farba odłaziła całymi płatami, jakby przybytek cierpiał na jakąś wyjątkowo nieprzyjemną chorobę skóry. Insch siedział przy składanym stoliku - obserwował zmagających się z operetką japońskich dżentelmenów i uczennice.

Obsada była nieco... ułomna, to chyba dobre słowo. Nie pamiętali swoich kwestii,

zapominali, gdzie i kiedy powinni się znaleźć, i powodowali tym regularne wybuchy gniewu inspektora, który - czerwony na twarzy - wygłaszał tyrady o poczuciu czasu, orientacji w przestrzeni i uczeniu się tych przeklętych ról. Jediną osobą, na którą nie krzyczał, była Deb-bie Kerr, czyli Debs, grająca Katishę. Logan rozumiał, dlaczego Insch ją oszczędza: ona jedna sprawiała wrażenie, że wie, co robi. Bo o Renniem nie dałoby się tego powiedzieć; Loganowi zdarzało się widywać meduzy, które miały lepszą koordynację ruchów.

Wytrzymał całe dwie godziny, zanim wymamrotał jakieś usprawiedliwienie, i wymknął się cichcem. Starannie wybrał moment: Insch był tak zajęty pokrzykiwaniem na aktorów, że niczego nie zauważył.

W restauracji właściwie nie było kolejki, tylko dwie atrakcyjne dziewczyny oglądały menu i sprzeczały się, która płaci. Logan zamówił rybę z frytkami, marynowane cebulki, im-bru i puree z zielonego groszku. Dwa razy. Odebrał papierową torbę zjedzeniem i wyszedł na Great Western Road. Octowy zapach kolacji buchał mu prosto w nos.

Śnieg padał powoli, ale bez przerwy: grube, wilgotne płatki kleiły mu się do włosów i kurtki, zbierały grubą warstwą w ogródkach, zmieniały w brunatną maź na jezdniach. Dawniej, za jego dzieciństwa, śniegi *zaczynały* się na długo przed Bożym Narodzeniem, przerwa świąteczna była więc porą jazdy na sankach, lepienia pomobałwanów, gry w śnieżki - ale z biegiem czasu zima stała się całkiem nieprzewidywalna i teraz śnieg mógł spaść byle kiedy, między grudniem a kwietniem, niesiony huraganową wichurą nie bardziej gwałtowną niż w świecie doktora Żywago. Północny wschód Szkocji upodabniał się do Syberii.

Kiedy dotarł pod dom Macintyre'a, dłonie, stopy i twarz miał jak z lodu, za to po kręgosłupie spływała mu strużka potu. Takie są skutki spacerowania zimą w grubej kurtce z torbą gorącego żarcia na brzuchu.

Jackie zaparkowała samochód w tym samym miejscu co poprzednio: mogła stąd obserwować dom piłkarza, nie rzucając się w oczy. Zdziwiła się trochę, kiedy Logan bez ceregieli wsiadł do vauxhalla.

- Nie przypominam sobie...

- Ryba z frytkami. - Wyjął torbę spod kurtki. - Pomyślałem, że pewnie masz dosyć zimnych kanapek i kawy z termosu.

Otworzyła zawiniętą w papier paczuszkę. Samochód wypełniły ciepłe, smakowite zapachy.

- Dzięki.

Zjedli w milczeniu.

W niedzielny poranek należałoby się wylegiwać w łóżku i późno jeść śniadanie. Tymczasem Logan po nocy spędzonej w fotelu pasażera starego vauxhalla vectry czuł się jak zbity pies. Brzask malował niebo jasnym fioletem, rozlewającym się wśród cichych, szarych budynków i barwiącym śnieg na różowo. Za kierownicą Jackie pochrapywała cicho, z nogami rozrzuconymi jak u żaby i otwartymi ustami. Bardzo kobieco. Ale przynajmniej zaczęli normalnie rozmawiać.

Logan spróbował się przeciągnąć, ziewnął, pokręcił głową i spojrzął na zegarek: szósta dwadzieścia dwie. Zdawał sobie sprawę, że tracą czas - ASRTR wychwyciłby Macintyre'a, gdyby ten rzeczywiście jeździł do Dundee napadać kobiety — ale jeśli w ten sposób mógł zapobiec dalszym kłótniom i zakończyć gniewne milczenie, był gotów bohatercko przetrwać noc w tym

brudnym, niewygodnym samochodzie. Nawet poświęcić dzień wolny.

Prawie od kwadransu w jednym z okien na piętrze świeciło się światło. Nagle otworzyły się drzwi i Macintyre wyszedł na mróz. W jednej ręce niósł ciężką torbę sportową, drugą przyciskał komórkę do ucha. Logan potrząsnął Jackie za ramię.

- Pfff,ehm,khe...

Zamrugła i ziewnęła potężnie. Tymczasem Macintyre zamknął drzwi na klucz i podszedł do swojego nowiutkiego srebrnego audi na indywidualnych numerach.

Jackie odczekała, aż audi dojedzie do końca ulicy i zamiga lewym kierunkowskazem, sygnalizując skręt w Great Western Road, i dopiero wtedy ruszyła. Gdyby skręcił w prawo, znalazłoby się na South Anderson Drive i wylotówce na Dundee; ale Macintyre kierował się do centrum.

Pojechali za nim, zachowując bezpieczny dystans. Dołączyli do długiej kolumny samochodów, posuwającej się wolno za ciężarówką zakładu oczyszczania miasta, której żółte migające światła odbijały się w ciemnych, martwych witrynach przy Union Street, potem przy King Street... W połowie długości King Street Macintyre skręcił w prawo, w zaśnieżoną przecznicę, a Jackie za nim, trzymając się jak najdalej.

Kiedy Macintyre wjechał na parking przed stadionem Pittodrie, pojechała dalej i zatrzymała się dopiero przy końcu uliczki. Patrzyli, jak futbolista wysiada z samochodu, wyjmując z bagażnika torbę i powoli idzie do wejścia dla piłkarzy. Po drodze przybił piątkę z jakimś neandertalem.

- Kicha - stwierdził Logan. - Po prostu przyjechał na trening. Dałby sobie jednak głowę uciąć, że zanim Macintyre zniknął im z oczu, spojrzał prosto na nich i mrugnął porozumiewawczo.

Inversnecky Cafe w Aberdeen to prawdziwa instytucja. Ciemnozielony, parterowy budynek przycupnął obok pół tuzina innych restauracji i lodziami nad szarym, zimowym Morzem Północnym. Znajdujący się na rogu salon gier był otwarty, ale w lodowaty niedzielny poranek nie narzekał na nadmiar klientów. Tylko wielkie jak buldogi mewy, drepczące smętnie po chodnikach i tarmoszące porzucone opakowania po frytkach i hamburgerach, podziwiała migające lampki.

O dziwo, Colin Miller czekał już na Logana, kiedy ten zatrzymał się na jednym z miejsc parkingowych przed lokalem. Stał przy ścianie, palił papierosa i gapił się na morze, wsłuchany w łoskot fal i krzyk mew.

- Nie wiedziałem, że palisz.

Wyrwany z zadumy Miller skrzywił się i pokręcił głową.

- Nie palę, i jeśli powiesz Izzy coś innego, załatwię cię na cacy. I tak jest już na mnie zła.

Wyglądał trochę lepiej niż kiedy poprzednio się widzieli: ogolił się, za to sińce pod oczami były ciemne jak nisko zawieszony nad morzem chmury. Ale przynajmniej ubrał się bardziej po swojemu: elegancki garnitur, czerwony wełniany szalik, gruby czarny płaszcz, czarne skórzane rękawiczki. Wyjął papierosa z ust, rozkaszał się i pstryknął niedopałkiem na jezdnię.

W restauracji było ciepło. Syk i bulgotanie ekspresu zagłuszały radio nastawione na Northsound 2; pogodynka zwiastowała apokalipsę na cały nadchodzący tydzień. Klientów było więcej, niż się Logan spodziewał: pary i rodziny zjechały się tłumnie, żadne prawdziwej szkockiej smażeńi-ny gwarantującej choroby serca - do Inversnecky nie wpadało się na grejp-fruty i płatki z mlekiem. Wysoki, chudy mężczyzna, z dnia na dzień coraz bardziej tysy, przyjął zamówienie i dał im wolną rękę w wyborze stolika. Miller usiadł jak najbliżej piecyka, skarżąc się na paskudną pogodę w tym gównianym mieście.

- Mamy marzec — przypomniał mu Logan, sadowiąc się naprzeciwko. - Czego się spodziewałeś? Fali upałów? To nie Costa del Soi.

Dziennikarz rzucił mu gniewne spojrzenie i zatarł zgrabią ręce nad piecykiem.

- Prędzej Costa del Shit.

Podniósł wzrok i zobaczył kelnera — stał przy ich stoliku z dwoma kawami i słuchał zdumiony.

- Bez urazy - dodał Colin.
- Zdajesz sobie sprawę, że napluje ci do śniadania? - spytał Logan, kiedy kelner sobie poszedł.

- Gdzie tam... Martin jest w porządku. Często tu bywam, dobrze mnie zna.

Logan też dobrze znał Millera.

- No to mów. Po co ta cała tajemnica?

Kiedy po nocy spędzonej w samochodzie wrócił do domu, na automatycznej sekretarce czekała tajemnicza wiadomość: Spotkajmy się w In-versnecky o dziewiątej. Ty stawiasz.

- Słucham? A, tamto... - Miller wzruszył ramionami i wsypał sobie do kawy drugą porcję cukru. - Chciałem się wyrwać z domu. Półtora dnia posiedziała na urlopie i już *zaczyna* chodzić po ścianach. Te pół roku to będzie koszmar.

- A następnych osiemnaście lat? Albo dłużej? Mój brat wyprowadził się z domu, dopiero jak skończył trzydzieści dwa. - Logan wyszczerzył zęby w uśmiechu. — A jak się trafi dziewczynka, do problemów dojdą jej chłopcy, ciąża, narkotyki, tatuaże, kolczyki...

- Możesz przestać?

- Czemu?

- Po prostu przestań! I bez ich docinków jest fatalnie.

Drzwi się otworzyły, zadźwięczał dzwoneczek i do środka weszła para z czerwonymi nosami; dmuchnęło lodowate powietrze. Miller się wzdygnął, chociaż siedzieli tuż przy piecyku.

- A wiesz, co jest najgorsze? - Skrzywił się z niesmakiem. - W gazecie chcą, żebym prowadził *Pamiętnik bobasa*. Jestem, psia mać, dziennikarzem śledczym, a oni mi każą pisać jakieś pierdółki o przewijaniu małego obesrańca...

Rozkręcił się na dobre i zaczął biadolić, jak to nikt go nie docenia, chociaż nawet „Scotsman” zaproponował mu fortunę za zmianę pracy i przeprowadzkę do Edynburga. Twierdził, że poważnie się zastanawia, czy nie przyjąć tej oferty, chociaż Logan dobrze wiedział, że za skarby świata nie wróci do centralnej Szkocji -jeśli nie chce stracić reszty palców. Uciszył się, dopiero kiedy Martin podał im śniadanie.

Logan sięgnął po ketchup.

- Pamiętasz, jak prosiłem cię, żebyś poszukał haka na kogoś?...

- Posterunkowy Simon Allan Rennie, lat dwadzieścia pięć, sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ukończył Akademię w Powis. Zawieszony na sześć dni za bójkę z nauczycielem matematyki. Mieszka przy Dee Street...

Logan chłonał szczegóły z życia posterunkowego, jedząc kielbasę, bekon, grzyby i jajko. Miller dowiedział się o Rennie dosłownie wszystkiego, od imienia jego pierwszej sympatii, po liczbę skarg, jakie obywatele wnieśli przeciwko niemu w ostatnich trzech latach. Ale w gruncie rzeczy okazało się, że Simon Rennie zwany Draniem jest czysty jak łąza.

- Skądżeś ty to wszystko wykopał?

Miller uśmiechnął się i nagarnął sobie fasolki na odkrojony rożek tosta.

- To mój zawód. - Jak na siebie, był dziwnie skromny. Wsunął widelec do ust i *zaczął żuć*.

- A o Garviego nie zapytasz?

Logan odłożył sztućce.

- A co Garvie ma z nim wspólnego?

- Z nim nic, ale tkwił po uszy w długach. Cały ten złom, który miał w domu: komputery, kino domowe, zabawki, kosztował fortunę. Dlatego żeby sobie dorobić, prowadził na boku własną działalność.

Logan nachylił się nad stołem.

- Niech zgadnę: sprzedawał ostre pornosy? - zagadnął szeptem. -BDSM?

- Facet, nie żyjemy w średniowieczu! - Wszystkie oczy spoczęły na dziennikarzu, który wybuchnął śmiechem. - Za friko można sobie ściągnąć z Internetu takie rzeczy, że głowa mała. Nie, Garvie wynajmował przestrzeń dyskową. Zaszifrowaną. Zaszifrowane dyski kupują ludzie, którzy naprawdę nie chcą, żeby ktoś się dowiedział, co na nich trzymają.

Loganowi przypomniał się rozbity w drobny mak pendrive w mieszkaniu Garwiego.

- Co na nich było?

Niestety encyklopedyczna wiedza Colina Millera nie sięgała tak daleko.

- Nie mam pojęcia, przynajmniej na razie. Ale obiecuję ci, że jak tylko się dowiem, od razu trafi to na pierwszą stronę.

37

Prawie godzinę zajęło mu zebranie wszystkich brudnych naczyń i upchnięcie ich do zmywarki. Mieszkanie wyglądało jak chlew -jak zwykle, kiedy oboje pracowali na pełnych obrotach, bijąc rekordy nadgodzin. Większość popołudnia spędził na doprowadzaniu go do stanu względnej używalności. Odkurzał właśnie salon, kiedy rozległ się dzwonek: przeciągły, natarczywy dźwięk, który w końcu przedarł się przez buczenie odkurzacza. Przed drzwiami stał trzęsący się z zimna posterunkowy Rickards, z rękami w kieszeniach kurtki.

- Niech zgadnę... - powiedział Logan, zapraszając go do środka. -Inspektor Steel przypomniała sobie nagle . . .

- Nie, panie sierżancie. Nadkomisarz kazał ściągnąć pana do komendy. Jak najszybciej.

- Ale po co? Od tygodni nie miałem ani dnia wolnego. Czy to nie może...

- Nalegał. I to bardzo.

To się Loganowi wcale nie spodobało.

Biuro komendanta wyglądało jak żywcem wyjęte z horroru: zebrali się w nim inspektor Inch, szef WK, Duży Gary i ten rudy sukinkot, inspektor Napier; wszyscy mieli wyjątkowo nieszczęśliwe miny. Komendant siedział przy biurku z twarzą jak chmura gradowa i wzrokiem utkwionym w Jackie, która stała na baczność na środku pokoju.

- .. .pani tak nie uważa, prawda? - Na widok Logana Sandy Moir-Far-aharson przerwał. Jego usta rozciągnęły się w przebiegłym uśmiechu. -No proszę, kogo my tu mamy... Wspólnik posterunkowej Watson.

Logan zignorował go.

- Panie inspektorze?... - zwrócił się do Inscha. Ale zamiast inspektora odpowiedział mu komendant:

- Co wyście sobie wyobrażali, sierżancie?! Nie pomyśleliście o konsekwencjach, do diabła? Policja z Grampian nie potrzebuje lekkomyślnych funkcjonariuszy, którzy hańbią jej imię!

Logan potrzebował konkretniejszej wskazówki.

- Słucham, panie komendancie?

Sandy Wąż złapał się za złamaną rękę i pochylił na krześle.

- Razem z posterunkową Watson prowadził pan obserwację domu Roba Macintyre'a, bez autoryzacji zwierzchników. Mimo że sąd wydał wam zakaz zbliżania się do mojego klienta. - Uśmiechnął się jak rekin; wybite zęby zostały zastąpione śnieżnobiałymi tymczasowymi protezami. - To oczywiście łamanie prawa mojego klienta do prywatności. Nie będziemy tego tolerować.

Czyli Logan się nie mylił: ten pieprzony piłkarzyna naprawdę do nich mrugnął. Ale może jeszcze nie za późno, żeby się wyłgać? Przecież jest słowo przeciw słowu, Macintyre kontra oni...

- Niech pan nie próbuje zaprzeczać.

Moir-Farquharson pokazał mu kamerę i włączył odtwarzanie. W zatłoczonym pomieszczeniu rozległ się cienki głosik z wyraźnym aberdekańskim akcentem: ktoś mówił do mikrofonu. Na wbudowanym ekraniku pojawiło się zbliżenie drogiego zegarka na rękę: trzecia piętnaście rano. Operator obrócił kamerę w dłoni i w tym samym ujęciu skierował ją sobie w twarz: Rób Macintyre uśmiechnął się i pomachał do obiektywu, po czym odwrócił kamerę od siebie i wycelował za okno. Chwilę trwało, zanim autofokus i program automatycznej ekspozycji zareagowały na zmianę warunków, ale w końcu ekran pokazał ciemną ulicę, zaparkowane rzędem samocho-

dy i padający śnieg. Obraz drgnął i nastąpiło zbliżenie na przygnębiająco 'znajomego vauxhalla i jego pasażerów: Logana i Jackie, wpatrujących się | w dom Macintyre'a.

Waż miał rację. Nie było sensu *zaprzeczać* - więc Logan nie zaprze-fczył.

Komendant uderzył otwartą dłonią w biurko. Wszystko się zatrzęsło.

- Jak mogliście być tacy głupi? Wiedzieliście przecież, że nie wolno się wam zbliżać do Macintyre'a!

Logan zerknął z ukosa na Jackie, która stała smętnie obok niego. Najwyraźniej nie zdradziła, że to był pomysł Inscha, bo inaczej inspektor stałby tu obok nich i wysłuchiwał tej samej połajanki. Po zadowolonej minie Napiera domyślał się, co ich czeka: *zarzut* poważnego naruszenia obowiązków, zawieszenie, degradacja. O ile będą mieli szczęście. A wszystko przez to, że ten głupi grubas uparł się, żeby przyskrzynić Macintyre'a.

Logan wziął głęboki wdech — i spytał, z którego dnia pochodzi nagranie.

- Słucham?! - Komendanta zatkało. - To znaczy... Byliście tam więcej niż raz?!

- Sam pan widzi! - Waż wyłączył kamerę. - Mówiłem przecież, że śledzą mojego klienta bez zgody przełożonych.

- Czy ten film został nagrany dziś w nocy, czy wczoraj? - powtórzył Logan.

- Dziś. Pokiwał głową.

- No to się *zgadza*. Rzeczywiście, siedzieliśmy pod domem Macintyre^.

Inspektor Napier wstał; przypominał modliszkę w czarnym mundurze.

- Sierżancie McRae, zawieszam pana w obowiązkach ze skutkiem natychmiastowym w oczekiwaniu na oficjalną ocenę pańskiego postępowania, której dokona Wydział Wewnętrzny. Wykazał się pan rażąco...

- Chcieliśmy go chronić. Macintyre'a. Komendant nie dał

Napierowi dojść do słowa.

- Że co?

- Po tym, jak pan Moir-Farquharson został napadnięty, sporządziłem listę jego potencjalnych wrogów. - To akurat było prawdą. Poza tym łgał jak z nut. - Na pierwszych miejscach znalazły się kobiety rzekomo zgwałcone przez Macintyre'a; mogły chcieć się mścić na sprawcy i jego adwokacie. Wiedząc, że sąd wydał zakaz zbliżania się do pana Macintyre'a,

poprosiłem posterunkową Watson, żeby towarzyszyła mi w tej nieoficjalnej misji na wypadek, gdyby pan Macintyre również miał stać się obiektem ataku.

Zrobiło się cicho. Pierwszy odezwał się Moir-Farquharson:

- Chyba nie sądzi pan, że uwierzemy...

- Dzięki temu właśnie złapaliśmy Russella McGillivraya. Gdybyśmy nie obserwowali domu pana Macintyre'a, McGillivray napadłby także na niego. I kto wie, czy tym razem nie posunąłby się do czegoś gorszego niż w pańskim przypadku. Mogło dojść do morderstwa.

Czerwona z gniewu twarz komendanta powoli odzyskiwała normalną barwę. Uśmiechnął się szeroko.

- A dziś w nocy...

- Wróciliśmy, bo nie mieliśmy pewności, czy McGillivray działał sam.

Komendant przeniósł wzrok z Logana na Jackie, potem na Moir-Farquharsona - i z powrotem.

- Rozumiem. Obserwowaliście dom Macintyre'a tylko dlatego...

- Że obawialiśmy się o jego bezpieczeństwo. Tak jest, panie komendancie.

- I to w czasie wolnym od służby. - Komendant pokiwał głową. - W takim razie jestem wam winien przeprosiny, sierżancie. Świetnie się spisaliście.

Moir-Farquharson zerwał się na równe nogi, krzywiąc się z bólu.

- Ale...

- Pan i posterunkową Watson zostaniecie przedstawieni do wyróżnienia.

- Ale...

- No, skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy, możemy wracać do pracy. Przepraszam państwa, niestety mam pilne sprawy do załatwienia. Komendant sięgnął po telefon. Spotkanie się skończyło. Wyszli. Adwokat spojrzął z niedowierzaniem na Logana.

- Ale... - Odkaslnął i zaczął jeszcze raz: - Biorąc pod uwagę wszystkie zaistniałe okoliczności, chyba nie powinniście już dłużej obserwować domu mojego klienta.

- Pamięta pan, co mi pan powiedział, kiedy pokazałem panu zdjęcie Russella McGillivraya?

Moir-Farquharson zmarszczył brwi.

- Nazwałem go... niewdzięcznym draniem.

-- Trafi pan sam do wyjścia, prawda?

38

Kiedy siedzieli potem w gabinecie u Inscha, który klnąc pod nosem, szarpał wielką torbę żelowych dinozaurów, Logan musiał przyznać, że spodziewał się atmosfery triumfu. Tymczasem inspektor wziął po prostu szarą kopertę ze stosu poczty przychodzącej i rzucił ją na biurko.

Stempel policji w Tayside. Kolejny gwałt.

- Skurwiel...

Jessica Stirling została napadnięta przy Kingsway- dwupasmowej drodze przelotowej przecinającej Dundee. Miała dziewiętnaście lat. Logan nie dał rady nawet obejrzeć zdjęć.

- Przyjechała do Dundee na urodziny koleżanki. - Insch zapatrzył się na fioletowego brachiozaura. - Uczyła się aktorstwa musicalowego w RADA. Chciała być gwiazdą... - Schował nietkniętego brachiozaura do torby. - Sprawdźcie godzinę.

Logan przekartkował raport: napadnięta między drugą czterdzieści a trzecią dwadzieścia w nocy. Dokładnie w tym samym czasie, kiedy Macintyre nagrywał ich na taśmę.

Insch odwrócił się do okna.

- To nie on. Ja się z nim pieprzę tyle czasu, a to nie on. - Prychnął śmiechem, ale raczej niewesołym. - Gdybym nie był taki przekonany o jego winie, to może nawet poszukalibyśmy kogoś innego, a te dziewczyny nie... - Zgarbił się i przetaił twarz dłonią. Wyglądał, jakby w dziesięć sekund postarzał się o dziesięć lat. - Idźcie może do domu, co? Zapomnijcie o poprzedniej nocy. To nie on - dodał bezbarwnym, wypranym z emocji głosem.

- Ale panie inspektorze... - Jackie nie odpuszczała. - Ten drań naprawdę się na mnie

rzucił. To na pewno...

- To nie on! - Insch odwrócił się do niej. Twarz miał fioletową ze złości. - Zrozumiano? Myliliśmy się. Od samego początku. - Porwał z biurka plik papierów i rzucił nim o ścianę. - Nie on!

- Ale...

- To koniec, posterunkową. Koniec. - Znow wyjrzał przez okno. - Spieprzyłem sprawę. Idźcie do domu.

Jackie, chwiała Bogu, nie powiedziała nic więcej. Chwyliła tylko kurtkę i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Logan dogonił ją na schodach. Pędziła do szatni w piwnicy.

- Posłuchaj... — Złapał ją za rękę. — Wiem, że to kiepsko wygląda...

- Daruj sobie ten protekcyjny ton.

- Co mam powiedzieć? Nie mógł zgwałcić tej dziewczyny w Dundee! Obserwowaliśmy jego dom, sama tam byłaś i widziałas, że nigdzie nie wychodził, bo...

- Cholerny Russell McGillivray miał rację.

Weszła do szatni dla kobiet i zamknęła Loganowi drzwi przed nosem.

- Co u pana?

- Słucham?

Logan podniósł wzrok znad kubka z herbatą. Rickards i Rennie siadali właśnie naprzeciwko niego przy stoliku w stołówce. Siniak na twarzy Ren-niego przybrał odcień popołudniowego cienia zarostu.

- Ach tak. Świetnie. Doskonale.

- Mam propozycję. - Rennie objął Rickardsa ramieniem. - Może dziś po próbie urządzimy sobie taki męski wieczór gdzieś na mieście? No... piwo, wódeczka, pogadamy jak faceci...

- Ja odpadam. - Rickards poczerwieniał i zaczął się mętnie tłumaczyć, że jest umówiony i nie może odwołać spotkania.

- Aaa, rozumiem... - Rennie uśmiechnął się znacząco. - Idziemy się spotkać z kumplami od wiazania, co? Obiecaliśmy? Och, proszę mi dać klapsa, panie policjancie!

- Odpier...

- Jacy oni są? - wtrącił się Logan. Przypomniał mu się Garvie i jego zaszyfrowane dane. - Ludzie z tego środowiska. Jacy są?

- No... różni. Inni niż pan czy Rennie... Rennie parsknął śmiechem.

- Ajakże!

- Chodziło mi o to, że nie ma jakiegoś jednego „typu”. Każdy jest inny.

- Aha.

Tego właśnie Logan się obawiał.

- Wie pan co? - Rennie odpakował sobie herbatnika. - Powinien pan z nim iść. Serio.

- To też są ludzie, kurczę... - Rickards spiorunował go wzrokiem. - Nie jakieś dziwadła. Nie można sobie tak po prostu tam pójść, żeby się pośmiać ze „zboków”.

- Dobrze, już dobrze - Rennie podniósł ręce w obronnym geście. - Tak tylko powiedziałem.

- No to tak nie mów. To...

- Tyle że... - Logan dopił herbatę. - To nie taki zły pomysł. — Będzie mógł popytać, a nuż znajdzie kogoś, kto skojarzy Gandego i jego wynajmowane serwery. Poza tym przyda

mu się jakaś wymówka, żeby chwilowo nie wracać do domu: niech Jackie najpierw ochłonie. - Chętnie bym poszedł.

Rickards zbladł.

- Ale... ale...

- Proszę się nie obawiać, posterunkowy. Nie skompromituję pana.

- Ale...

- No to załatwione! - Rennie klepnął go w plecy. - Jeśli dobrze to rozegrasz, to „następnym razem może ja też przyjdę”, jak powiedziała aktorka do biskupa.

Bar na piętrze Cafe lei zmienił się, od kiedy Logan wpadł tu ostatnio. Wtedy cały był wyłożony białą-czarną szachownicą ceramicznych płytek i przypominał wiktoriański szałet publiczny. Później jednak pomalowano go na pastelowo i zainstalowano projektory - dla efektów świetlnych na ścianach. Bar na parterze świecił pustkami, co za kwadrans siódma w niedzielę nie powinno dziwić, za to na piętrze zebrało się towarzystwo jak z jakiegoś kółka miłośników dobrej lektury. Logan wbiegł po schodach i zobaczył kilkanaście osób przy stolikach, pochylonych nad mocno za-czytanymi egzemplarzami *Black and Blue* lana Rankina. Dyskutowały

z ożywieniem.

Już chciał zapytać Rickardsa, czy na pewno dobrze trafili, gdy ten podszedł do najbliższego stolika i zagadnął potężną kobietę w garsonce: przynieść jej to, co zawsze? Kilka osób odwróciło się, pomachało mu na powitanie - i znieruchomiało na widok Logana. Ale wszyscy szybko stracili zainteresowanie nowym gościem i dyskutowali dalej.

Podszedł za Rickardsem do baru.

- Myślałem, że to ma być...

- Piwo, czy piwo i coś mocniejszego?

- Chętnie.

Logan powiódł wzrokiem po zebranych w barze molach książkowych. To prawnicy, bankowcy, agenci ubezpieczeniowi, księgowi, menedżerowie średniego stopnia...? Wyglądali całkiem normalnie. Może raptem dwojgu z nich dałoby się przypiąć łatkę „cyganeria”, ale spodziewał się kolczyków w najdziwniejszych miejscach, ogolonych głów, tatuaży... Więc trochę się rozczarował.

- Proszę.

Na kontuarze wylądował kufel stelli i kieliszek jakiejś bardzo zimnej, bezbarwnej cieczy. Rickards wziął to samo.

- Wiesz co... - Logan powąchał na próbę zawartość kieliszka. Czyżby wódka? - Muszę przyznać, że spodziewałem się czegoś innego.

- Przecież mówiłem, że to nie wystawa dziwołagów. I miał rację.

- A te książki?

- Po nich można poznać, że ktoś jest stąd, z naszego środowiska. Mamy umówione miejsce spotkań. Jak widzisz kogoś z *Black and Blue* w garści, możesz go zaczepić.

- Nie wiedziałem, że łan Rankin to taki...

- Gdzie tam. Po prostu niektóre sceny rozgrywają się tutaj, a poza tym ten tytuł... *Black and Blue**. Rozumie pan? *Black and Blue*... Myślałem, że to oczywiste.

Logan spojrzął na niego podejrzliwie.

- Przepraszam, panie...

- „Panie”? — Niska, krągła kobieta o zielonych oczach i związanych w kucyk

orzechowych włosach podeszła do baru. Ubrana była swobodnie, ale z gustem i na pewno nie tanio. W ręce trzymała pusty kieliszek. - A to co, John? Masz nowego pana?

Twarz Rickardsa upodobniła się kolorem do tyłka pawiana.

- My nie... On nie... To znaczy... Logan postanowił mu pomóc.

- Jestem jego szefem — wyjaśnił. — Pracujemy razem. Nie należę do „środowiska”.

- Ach tak? - Kobieta przeniosła ciężar ciała na jedną nogę, drugą zawadiacko odstawiała w bok i oparła ręce na biodrach, jak rasowa aktorka panto-mimiczna. Zmierzyła Logana wzrokiem.

- No cóż, ludzie są różni. - Szturchnęła Rickardsa w pierś. - Postawisz dziewczynie drinka, marynarzu?

Posterunkowemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Minęła niespełna godzina, a Logan mógł z przekonaniem stwierdzić, że znajomi Rickardsa niewiele różnią się od aktorów z trupy inspektora Ins-cha. Obie grupy miały swój własny język skrótowców i eufemizmów, obie śmiały się z anegdot o ludziach, których on nie znał, i obie - gdyby chciał

* *Black and blue* - w wolnym tłumaczeniu: sprać kogoś na kwaśne jabłko (przyp. tłum.). i być absolutnie szczerzy — po pierwszej półgodzinie stawały się dla niewta-i jemniczonego tak samo nudne. W dodatku nikt w lei nie wiedział nic o Fran-t ku Garviem. Na północnym wschodzie kraju było kilka knajpek, w których i spotykali się miłośnicy BDSM, i towarzystwo z różnych lokali raczej się nie l mieszało. Jeżeli Garvie działał w środowisku Ellon, nie musiał znać ludzi | z Aberdeen. Zresztą niektórzy nie chcieli, by znano ich pod nazwiskiem na-! wet w lokalnych społecznościach - stąd takie pseudonimy, jak Pani Maureen czy Zakręcony Dave. Wiadomo, jak przedstawiał się im Garvie?

Podobieństwa stały się jeszcze bardziej oczywiste, gdy kobieta, która początkowo wzięła Logana za nowego „pana” Rickardsa, dopadła go przy barze i zaczęła mu opowiadać o tym, jak grała główną rolę w *Jasiu i magicznej fasoli*; o wolności, jaką daje świadomość, że stajemy się kimś innym, kimś pozbawionym ograniczeń, otwartym na nowe doświadczenia. Jak ktoś, kto przez całe życie je wyłącznie lody waniliowe, ma odkryć smak czekoladowych?

Logan uśmiechał się, kiwał głową i nie mógł zrozumieć, co sobie właściwie wyobrażał, przychodząc w takie miejsce. Kobieta jeszcze raz otaksowała go wzrokiem, jakby w myślach przymierzała go do skórzanej uprząży.

- Nigdy tego nie próbowałaś, co?

- Nie.

- To jak myślisz, kim jestem? Panią, sługą, domina czy niewolnikiem?

- Eee... - A czym się różni sługa od niewolnika? To nie to samo? Ale ta kobieta na pewno nie była niewolnicą. - Panią...?

- A właśnie że nie! - Uśmiechnęła się. - Bo to nie pan czy pani ma władzę.

- No tak, oczywiście... - Zachłannym haustem dopił piwo i zerknął w kierunku drzwi.

- Zastanów się: kto ma władzę? Ten, kto trzyma pejcz, czy ten, kto jest nim bity?

- No cóż, ja...

- Jeżeli ktoś mnie bije, robi to dla mojej przyjemności; robi to po to, żeby mnie podniecić. Facet na drugim końcu bicza to tylko rekwizyt. Nie ma nic do gadania, chociaż z pozoru mogłoby się wydawać inaczej. Bo widzisz...

- Ojej! - Logan poderwał się i sięgnął do kieszeni. - Przepraszam, mam telefon z wibratorem. Za każdym razem, jak ktoś dzwoni, to dla mnie szok.- Wcisnął guzik. Ekranik się zaświecił.— Kurczę, przepraszam... Muszę odebrać. Halo? ... Tak, poczekaj...

Z telefonem przy uchu złapał swoją kurtkę i zbiegł po schodach na dół.

Pod śliwkowym niebem Union Street mieniła się jak choinka w przemyskających po niej żółtych reflektorach i czerwonych światłach stopu. Był chłodny niedzielny wieczór, początek marca, a mniej więcej połowa przechodniów nie włożyła nawet kurtek, zupełnie nie przejmując się przymrozkiem. Na wpół rozebrani nastolatki mijali się na chodnikach z ludźmi starszymi, zdawałoby się rozsądniej szymi, ale wszystkich łączyła chęć na-prucia się i pomidalenia w jakimś ciemnym kącie w pubie czy klubie.

Przestał udawać, że z kimś rozmawia, i odsłuchał wiadomości. Jackie nadal nie dała znaku życia. Zadzwoił do domu. Drrryń, drrryń. Drrryń, drrryń. Drrryń, drrryń. Automatyczna sekretarka. Spróbował na komórkę.

- Jackie? Może miałabyś ochotę coś przekąsić? Albo wypić kielicha?

Nie zapalała jakimś wielkim entuzjazmem, ale i tak miło było usłyszeć, jak odmawia. Nie miała nastroju: nadal wściekała się, że tak skończyła się cała ta sprawa z Macintyre'em. Znał ją, więc mógł się spodziewać, że wróci wstawiona do domu o trzeciej nad ranem, zalutując wódką i kebabem. Ale mniejsza z tym: jak chce, niech marudzi. On zamówi pizzę, znajdzie jakiś fajny film na Sky i resztę wieczoru spędzi na sofie. Może to i nie superrozrywka, ale lepsza niż biadolenie jak rozkapryszony bachor. A Jackie prędzej czy później będzie się musiała pogodzić z faktem, że Rób Macintyre jest niewinny.

Furtka skrzypi, kiedy wspina się na nią po ciemku i zeskakuje po drugiej stronie; deszcz lodowatych kropelek lśni w ciemności. Noc spowija świat, kształty są niewyraźne - nawet dla niego, chociaż świetnie widzi w ciemnościach - ale wcale się tym nie przejmując. Wie, że nikt go tu nie zobaczy. Nigdy nikogo tu nie ma. Policjanci to debile, w pale się nie mieści, że mogą być aż takimi idiotami. Uśmiecha się i truchtem pokonuje ścieżkę prowadzącą między ogródkami do parkingu i garaży. Naprawdę myśleli, że się nie dowie, że go pilnują? Że gdyby nie ten obleśny adwokat, to by sam na to nie wpadł?

Ale fakt, to adwokat poradził mu, żeby ich sfilmować. Szkoda, że nie mógł widzieć ich min, kiedy zobaczyli nagranie.

Nie przestaje się uśmiechać, gdy otwiera drzwiczki nieoznakowanego czerwonego hatchbacka, wrzuca torbę na tylne siedzenie i siada za kierownicą. Dzisiaj Dziewiątkę czeka niezapomniana noc. Dla niego święto. Koniec z policją. Koniec z oskarżeniami. Został tylko on - i wiele tych smakowitych suk, które będą go błagać, żeby pokazał im, czym się kończy zabawa z ogniem. Szczęśliwa Dziewiątka.

Ciekawe, jak ona wygląda.

Same skrajności, jak w Aberdeen: po mroźnym, śnieżnym i wietrznym weekendzie nastął zdumiewająco ciepły poniedziałek, zwodzący miesz-i kańców fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, błękitnym niebem, wąłymi pasemkami chmur i drobnym śniegiem. W zacisznym zakątku w Cults, wśród osłaniających od wiatru granitowych murów byłoby całkiem przy-'jemnie, gdyby nie ogłuszające wycie syreny alarmu jednego ze sklepów z alkoholem.

- Nadal nie rozumiem, co my tu robimy!

- Co?! - Steel przyłożyła dłoń do ucha. Logan powtórzył:

- Mam spotkanie w sprawie tego gnoja Morrisona, a nie zamierzam. ... - Alarm ucichł.

- ... Słuchać tego pieprzenia... Aha. No tak.

- Tłumek gapiów patrzył na nią jak na tańczącą małpę. - Tak jak powiedziałam, sierżancie, proszę kontynuować.

Ze sklepu wybiegł właściciel; zakrywając głowę rękami, wzywał pomocy. Butelka po

whisky świsnęła mu koło ucha i roztrzaskała się na chodniku.

- Chciał mnie zabić!

Po piętach deptał mu posterunkowy Rickards, za którym z kolei leciały butelki dżinu.

Schowali się za parkującym przy krawężniku radiowozem.

- I co, Klapsik? - Steel podeszła do nich z rękami w kieszeniach. -Przekonałeś go, tak jak prosiłam?

Kolejna butelka, tym razem brandy, przezołkowała w powietrzu i rozprysnęła się na ziemi deszczem szklanych odłamków i bursztynowych kropeł alkoholu. Właściciel sklepu wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć.

- Ta brandy kosztuje dziewięć dych za butelkę! Rickards skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Nie, pani inspektor. Przykro mi. Steel pokręciła głową.

- Fetyszysta nie wyręczy lesbijki... - Przywołała Logana. - Chodź, Łazarz, idziemy. Ty pierwszy. Na wypadek, gdyby facetowi zebrało się na figle.

Logan przywarł do ściany i zajrzał przez okno: totalny chaos; podłogi; zaścielało szkło - butelki pełne i puste, całe i rozbite. Intruza nie było nigdzie widać. Musiał...

Butelka roztrzaskała się tuż obok jego głowy. Zbrojone szkło pokryło się pajęczyną rys, advocaat spłynął po szybie. Logan spojrzał pytająco na Steel; wzruszyła ramionami.

- Jak tylko będziesz gotowy.

Wychylił głowę zza framugi drzwi i zawołał:

- Chcemy porozmawiać!

W nagrodę dostał cztery puszki tennantsa i butelkę merlota. Wino się rozbiło, puszki odkształciły, rozszczelniły i sycząc, trysnęły piwem. Wziął głęboki wdech i wbiegł do sklepu - wąskiego prostokąta ciągnącego się w głąb budynku: regały pod ścianami, po prawej stronie lada, kasa i lodówki z drzwiami z matowego szkła, po lewej stojaki na wino... i dziwnie bezwładna noga, znikająca właśnie za półką z australijskim winem musującym. Logan doskoczył do lady i przesadził jądym skokiem, zanim granat z drambue eksplodował nad jego głową. Przypadł do ziemi i na czworakach zaczął się ewakuować, gdy kolejne pociski zalały go dżinem, whisky i wódką.

- Masz go?! - krzyknęła Steel.

Zaklął pod nosem i ostrożnie wychylił się zza kontuaru. Facet siedział oparty plecami o stojak z włoskimi winami i pociągał taliskera z butelki; lewą nogę miał wygiętą pod bardzo, ale to bardzo dziwnym kątem. Odstawił butelkę, beknął - i wtedy Logan go rozpoznał.

- Tony?

Mężczyzna spojrzał na niego jednym mętłym, przekrwionym okiem. Drugie zamknął, pewnie po to, żeby lepiej skupić wzrok.

- Jezus, Maria, Tony... Coś ty ze sobą zrobił?

- Sss... - Butelka w ruch. - Ssspierdoliłem sprawę, co nie?... - i pokazał swoją wykrzywioną nogę.

Logan nagle zdał sobie sprawę, czym jest sterczący z łydki kostropaty kształt.

- Musimy cię przewieźć do szpitala. Złamałeś nogę. Tony zachwiał się lekko.

- Ale... wssale nie boli! - Pociągnął następny łyk. - Cholerny świetlik! Kolejna butelka rioji wyfrunęła przez frontowe drzwi. Nawet pijany w sztok, Tony miał niezłe oko.

- Tony, pomogę ci. Pływam tu w alkoholu...

- Teraz to juszszsz... - Tony beknął, skrzywił się, podrapał po piersi. - Zzza późno. Chciałem tylko trochę kasssy, nie? Dwie stowy, maks. Tak żeby... wysstarczyło. - Następnny łyk whisky. - Ale paszszszport...

iZabiorę mamę na... na tę, no... Florydę! Zobaczymy Myszki Miki. To Iduża... kurwa... myszka, wiesz?

Logan zadzwonił z komórki po karetkę.

- Ale nie zobaczę Myszki Miki besss... paszszszportu.

- Karetką już tu jedzie, Tony. Będzie dobrze. Wyjdiesz ze mną? f Chodź, posiedzimy na słoneczku. Ładny dzień mamy.

- No i sssso? Nie chsssa mi oddać paszszszportu. A muszę... Lubisz I konie? - Tony zachichotał. - Ja lubię! Ale to szszszmal... kupa szmalu... -I Zachwiał się, postukał znacząco w nos i zniżył głos do pijackiego konspi-racyjnego szeptu. - Moja... Moja mi... - Bam! Przewrócił się. - Paszsz-/ szport... Duuuża myszka...

Nim przybyła karetka, zasnął, pochrapując.

- Śmierdzisz jak gorzelnia.

Steel siedziała na granitowym murku, paląc papierosa przyznanego sobie w nagrodę za przykładne pokierowanie akcją.

- Dzięki za pomoc. - Logan rzucił kurtkę i zaczął wyżywać alkohol z nasączonych nim rękawów. Od oparów, których się nawdychał, dostał zawrotów głowy. - Włamał się około trzeciej w nocy, obszedł instalację alarmową, żeby syrena się nie włączyła, tylko miał pecha, i lina, na której opuszczał się przez świetlik w dachu, pękła. Spadł z wysokości sześciu metrów. Złamał nogę i kwiczał z bólu, dopóki sobie nie uświadomił, że przecież dookoła ma pod dostatkiem środków znieczulających...

Steel wybuchnęła śmiechem; wydmuchnęła kłęb dymu i dostała ataku kaszlu.

- O Boże... - wykrztusiła w końcu. - Chyba popuściłam...

- O wpół do dziewiątej przyszedł właściciel; chciał zrobić mały remanent przed otwarciem. Tyle że zanim wbił kod rozbrajający alarm, w jego stronę poleciały pinot grigio i sherry.

Zgięta wpół inspektor klepała się z uciechy po udach i zaśmiewała do rozpuku, a Logan tłumaczył jej, że Tony Burnett chciał tylko odzyskać paszport, który zostawił u Mamuśki Stewart jako zabezpieczenie pożyczki. A pożyczkę wziął, żeby pokryć straty z zakładów w Pucharze Hennessy.

- Coś pięknego... - Steel otarła łzę z oka. - Mógł, dureń jeden, wystąpić po prostu o nowy paszport, ale nie: on wolał zagrać w *Mission Im-possible* w Oddbins.

I znów parsknęła śmiechem.

Z zewnątrz lokal wyglądał niepozornie, co tylko potwierdzało jego kiepską renomę. J. Stewart i Syn, Bukmacherzy, rok założenia 1974 -jedno

z tych miejsc, w których starsi, flegmatyczni panowie mogli spokojnie popijać piwko z puszki, czekając na koniec gonitw, kiedy to wracali do domów na herbatkę. Nazwa pełniła już wyłącznie funkcję ozdobnika: J. Ste-wart senior od dawna nie żył, a „i Syn” uciekł do Londynu z biologiem morskim Marcusem. Została tylko Donna Mamuśka Stewart: wdowa, samotna właścicielka i jedna z pierwszych aresztantek Logana.

W środku siedziało kilku starszych panów w beretach i puchowych kurtkach - zerkali podejrzliwie na tabliczki z napisem ZAKAZ PALENIA. Na zawieszonych na ścianach kilku szerokoekranowych telewizorach konie tańczyły i podskakiwały niespokojnie, czekając na start Sparrows Offshore Handicap Hurdle.

Mamuśka Stewart stała za ladą, pochylona nad jakimś kolorowym pisemkiem. Ot, ploteczki. Upierścienioną dłońią podparła gruby policzek, a wolną ręką przerzucała strony; Logan i Rickards mogli do woli zaglądać w jej blady, rozedrgany dekollet. Siwiejące włosy zebrała w niechlujny kok. Łańcuszek od okularów ostro odcinał się na tle kolorowej bluzki.

Spojrzała na nich, dopiero kiedy podeszli do kontuaru.

- Dzień dobry, czym... - Rozpromieniła się na widok Logana. - Sierżant McRae! Jak miło! Tak rzadko pan przychodzi... Jesteście panowie głodni? - Odwróciła się i ryknęła: - Denise?! Wstaw wodę. I sprawdź, czy nie został jeszcze kawałek pizzy.

Za otwartych drzwi dobiegło stłumione:

- Jestem zajęta!

- Wstaw wodę, do cholery. Bo inaczej tak cię urządzę, że ten twój Michael wyda ci się pacyfistą.

- Już dobrze, dobrze...

Pani Stewart posłała Loganowi kolejny matczyzny uśmiech.

- Zaraz będzie herbatka. Czym możemy służyć? No, świetnie pan wygląda. Złapało się trochę słońca, co? Tu u nas pogoda po prostu fatalna.

Logan wiedział, że Mamuśka nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat, ale na oko można by jej dać od pięćdziesięciu do stu; wydawała się wiekowa w taki dziwny, ponadczasowy sposób, jak to często się *zdana* podstarzałym paniom o pokażnej tuszy. Gruba warstwa tłuszczu pod skórą skutecznie wygładzała zmarszczki.

Udało mu się nie skrzywić, kiedy sięgnęła ponad ładą i uszczypnęła go w policzek. Zacmokała z troską.

- Ha! Skóra i kości! Pańska kobieta kompletnie nie wie, jak pana karmić. Norman też ma biedę z tym Marcusem: nic, tylko tai-chi i inne cuda. A kartofelki to pies?

- Chciałbym porozmawiać o Tonym Burnecie.

- A kogo nam pan tu przyprowadził? - Mamuśka Stewart uśmiechnęła się do Rickardsa, który natychmiast zaczął się jąkać. - Jejku, jaki nieśmiały! Podoba się nam. Denise?! Gdzie ta przekłęta herbata?

- Idę już, idę... Szlag by to...

- Niedawno właśnie tak sobie rozmawialiśmy i mówiłam, że policja ¹ stanowczo za rzadko u nas bywa. Co prawda częściej niż kiedy mój Jamesy | jeszcze żył, ale...

- Prosiłbym panią, pani Stewart, żeby nie zabierała pani klientom paszportów jako zabezpieczenia kredytu.

- Zwłaszcza teraz: zbliża się Cheltenham Gold Cup i moglibyście urządzić loterię w komendzie.

- Paszporty, pani Stewart...

Z *zapleczka* wyszła niska kobieta z podbitym okiem. Przyniosła tacę /czterema herbatami i jedzeniem, które trochę przypominało odgrzane w mikrofalówce kawałki pizzy.

- Zabrakło mleka. Możecie najwyżej dolać sobie zagęszczonego, z puszki.

Usiedli do pizzy i herbaty. Mały pokój na tyłach lokalu miał ściany i sufit wyłożone kładzioną na zakładkę boazerią z desek podłogowych, co upodabniało go do chałupniczo zbudowanej sauny. Pachniało w nim i potpourri. Mamuśka kolekcjonowała porcelanowe figurki psów i zdjęcia i wnucząt, więc cały kantorek był nimi udekorowany. Ze starego radyka tranzystorowego wysoko na półce sączyła się muzyka.

- Oglądacie *Jak oni śpiewają?* - spytała Mamuśka, odgryzając pokaźny kawał pizzy. - W życiu bym nie pomyślała, że ten kolorowy spiker z wiadomości ma taki piękny głos.

Logan starał się jej nie słuchać. Nie cierpiał dyskusji z nią, i to nie dlatego, żeby była jakoś szczególnie drażliwa. Była... miła. I kompletnie obojętna na fakty. Jakim cudem znajdowała czas na to, żeby odkurzać te wszystkie porcelanowe pieski? Rozejrzał się. Może po prostu...

Przy biurku, tuż obok stóp Logana, stało niepozorne brązowe pudełko. Pokrywka była odsunięta w sam raz na tyle, żeby mógł odczytać tytuł: *Pielęgniarki lesbijki*. Podniósł je i wytrząsnął jego zawartość na biurko: twarda pornografia, i co jeszcze? *Piękna owieczka 5* i inne instruktaże dla „miłośników zwierząt”.

- Pani Stewart... Pani znowu to samo.
- Niby co?

Mamuśka otarła uszmkowane usta czystą chusteczką. Logan rozsiadł się wygodniej i obserwował ją bez słowa. Zapomniana pizza twardniała mu na talerzu.

- No dobrze. Czasem sprzedaję takie niegrzeczne filmiki ludziom, którzy nie mogą wyjść z domu - wyjaśniła w końcu Mamuśka. - Co w tym złego? Przecież tym starym przykom już nawet nie staje, więc tym bardziej im nie zaszkodzi. - Pochyliła się nad biurkiem, odsłaniając jeszcze więcej dekoltu, i postukała w blat pomalowanym na czerwono paznokciem. - Jeżeli mam szansę obudzić płomień żądz w ich pomarszczonych ciałach, nie zawaham się tego zrobić. To mój obywatelski obowiązek. Przecież nie łamię prawa.

- Jak to nie?! -jęknął Logan. - Filmy dla dorosłych można sprzedawać wyłącznie w licencjonowanych sex-shopach! A to... - Pokazał *Figle na farmie*. - To jest absolutnie nielegalne.

- Pizza panu stygnie. Może kawałek ciasta? Mąż Denise pracuje w cukierni, więc dostajemy różne różności...

- Pani Stewart, mówiliśmy o filmach. Skąd je pani bierze? Zniecierpliwione westchnienie wprawiło obfity biust w dygot.

- Nie mogliśmy się jakoś dogadać? Nie wiedziałam, że to nielegalne. Nigdy bym...

- Skąd j e pani ma?! Skrzywiła się.

- A takie dobre sprawiał pan wrażenie... Na pewno nie chce pan ciasta, sierzancie?

W porównaniu ze ściągniętą przez Logana ekipą stoń w składzie porcelany wyglądałby jak tancerka baletowa - co budziło wielki niepokój Ma-muśki Stewart. Stała w epicentrum fali chaosu i pokrzykiwała:

- Ostrożnie! Proszę uważać! To rodzinne pamiątki!

- Same, kurna, pamiątki - mruknął któryś z posterunkowych, wkładając jednego z milionów piesków do pudła.

- Panie sierzancie! - Mamuśka spojrzała błagalnie na Logana. -Niechże im pan powie...

- Znaleźliście coś?

Rickards wskazał dwa pudła na uprzątniętym biurku.

- Filmy. Nie jakieś świństwa, po prostu hity z kin. Jeszcze je wyświetlają. Logan spojrzał na Mamuśkę, czekając na jakieś wyjaśnienie. Nadęła się jak gołębi czempion na wystawie.

- To dla rodziców - odparła naburmuszona. - Nie mogą sobie pójść do kina, a dzięki mnie obcuja z magią Hollywoodu. To nie przestępstwo!

- Wie pani, ile można dostać za piractwo? Nawet za morderstwo dają ziś krótsze wyroki. Federacja Ochrony Praw Autorskich to takie nowe gestapo, tyle że bez poczucia humoru.

- Nie mam nic wspólnego z piractwem. Po prostu świadczę naszej Społeczności określone usługi.

- Sprawdziliście komputery?

- Tak. - Rickards kiwnął głową. - Nic.

- A w piwnicy?

- Tu nie ma piwnicy, sprawdziłem. Ale... - przerwał, spoglądając we ^wskazanym przez Logana kierunku.

Jedno z biurek - sklejka, poobtłukiwany laminat na blacie, ot jedna | z tych zabawek, które za grosze można kupić w sklepie katalogowym -|stało na czerwono-różowo-brązowym

dywaniku ze szlaczkiem w słoniki f wokół obwodu. Posterunkowy wpatrywał się w nie dobrą minutę, zanim I wreszcie przyznał, że nie ma pojęcia, o co chodzi Loganowi.

- Ktoś je przesunął. Spójrz na dywanik: widzisz ten ciemnoczerwony E kawałek? I wgłębienia? To tam stało. Popatrz też na ścianę: pół kalendarza : chowa się pod blatem.

- No tak - odezwała się Mamuśka Stewart. - Dostaliśmy książkę o feng shui i w niej piszą, że...

Rickards poprosił jedną z posterunkowych, by pomogła przestawić biurko.

- ...przesuwanie go przyniesie pecha! Zaburzy przepływ energii w całym pokoju. Nie...

Podwinęli dywanik, odsłaniając fragment kłapy w podłodze.

- Chwała Bogu, że to nie mój pierwszy nalot w tym miejscu - mruknął Logan do zakłopotanego Rickardsa.

Piwnica była mniejsza od kantorka i przez to trochę klaustrofobicz-na. Ściany wymurowano z pomalowanych na biało betonowych pustaków. Z jednej strony aż po sufit piętrzyły się kartony: papierosy, whisky, wino i - niby dlaczego? - pieluchy. Naprzeciwko wygoszparowano miejsce dla pirackiego małego imperium: czterech komputerów i ułożonych w stos nagrywarek DVD. Żadnej automatyzacji: ktoś musiał ręcznie przekładać płytki. W kącie stała mała drukarka laserowa, obok - stosik wydrukowanych okładek i dwa pudełka czystych płyt.

- Tylko je przechowuję, ktoś mnie o to poprosił - wyjaśniła Mamuśka Stewart, uśmiechając się tak niewinnie, jak tylko starsze panie potrafią. -Może jeszcze herbatki? Mamy ciasteczka z dżemem porzeczkowym.

Logan ją aresztował.

Wie pan co? - odezwał się Rickards, kiedy uporali się z papierami i Ma-muśka trafiła do celi. - Spodziewałem się, że... bardziej się przejmie.

- Jest przyzwyczajona - prychnął Logan. - Od lat regularnie łapiemy ją na handlowaniu pornografią. Aresztujemy ją, ona nie zdradza swoich dostawców, bo przecież „nikt nie lubi kapusiów”, potem staje przed sądem, opowiada bajeczkę o tym, jaka to z niej „staruszka, której wszystko się pomieszało”, sędzia się lituje, wyznacza niewielką grzywnę i każe jej popracować społecznie, co nawet się jej podoba, po czym po roku przymykamy ją za to samo i zabawa zaczyna się od początku. - Pokręcił głową. - Zakłęty krąg pornografii.

- Czy mamy...

- Przepraszam, że przeszkadzam... - wyrzucił z siebie zdyszany Ren-nie. - Insch prosi pana do siebie.

- Nie może poczekać?

Rennie przestąpił z nogi na nogę.

- Nie bardzo... Chodzi o... następny gwałt. Logan zamknął oczy.

- Psiakrew...

- Nie to jest najgorsze...

Kiedy Logan wszedł do gabinetu inspektora, ten już chyba zdążył się wykrzyzczyć, ale powietrze zdawało się wprost skwierczeć od skoncentrowanej złości. Fioletowy na twarzy Insch wpatrywał się w Jackie, która stała naprzeciw biurka z rękami założonymi za plecy i wyłamywała palce. W pokoju był jeszcze posterunkowy w mundurze: siedział na krześle, przyciskał do nosa ogromny kłęb zakrwawionego papieru toaletowego i cicho pojękiwał.

- Chodziło mi...

Jackie nie zdążyła dokończyć, bo Insch uniósł palec w ostrzegawczym geście.

- Ani słowa więcej!

Pan Zakrwawiony Papier coś zabelkotał, ale inspektor nie był w nastroju do pogadank.

- Pana też to dotyczy!

Cisza.

Logan zmartwił. Każdy głupi by się domyślił, co tu się wydarzyło.

- Chciał mnie pan widzieć, inspektorze?

- No nareszcie... Proszę zabrać stąd to coś. - Insch wskazał na Jackie. -1 z tym czymś porozmawiać. Niech zrozumie, że jest o włos od zawieszenia i jeśli się wreszcie nie opanuje, skopię jej dupę tak, że pofrunie do Balmora! - Drobinki śliny bryznęły w powietrze. Inspektor przeniósł złowrogie spojrzenie na Jackie. - Wynocha!

Jackie jeszcze przez chwilę stała jak skamieniała, ze wzrokiem utkwionym w dywan, a potem okręciła się na pięcie, wyminęła Logana i wyszła na korytarz. Logan się nie poruszył. Oderwał wzrok od Inscha, popatrzył na Zakrwawionego, uznał, że lepiej o nic nie pytać, i wybiegł za Jackie. Zamykając drzwi, usłyszał jeszcze wstęp do kolejnej lawiny złorzeczeń.

Dogonił ją i zatrzymał dopiero przy schodach.

- Powiesz mi, o co poszło?

- Co się z tymi ludźmi porobiło?

- O co poszło?

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Ruszyła dalej. - Kobieta została zgwałcona, a on sobie żarty stroi!

- To dlatego dałaś mu w dziób? Jeśli złożę skargę, Napier wezwie cię na dywanik.

- Na jedną noc spuściliśmy tego kutafona Macintyre'a z oka... Złapał ją za ramię.

- Jak to? Co się stało? Wyrwała mu się.

- Wendy Smith. Uczy się w szkole pielęgniarstwa. Osiemnaście lat. Macintyre napadł ją, kiedy skończyła swoją zmianę w szpitalu i wracała do domu, i tak ją pobił i pociął, że straciła wzrok w jednym oku, a jej twarz wygląda jak surowa wątroba! Założyli jej trzysta szwów. Trzysta szwów, rozumiesz?! Ludzie, z którymi pracowała na izbie przyjęć, nie mogli jej rozpoznać, a ten skurwiel właśnie podpisał umowę na książkę! Siedmio-cyfrowe honorarium!

- Gdzie to się wydarzyło? Gdzie?!

- W Dundee, kurwa. W Dundee. Jak zwykle. Sukinsyn...

- W takim razie to nie on.

- Oczywiście, że on!

- To nie mógł być on! - Logan zaczynał tracić zimną krew. Zaciśnął zęby. - Pamiętasz, jak przesiedzieliśmy całą noc pod jego domem? Był w domu, kiedy doszło do poprzedniego gwałtu. Ma to na taśmie.

- To był on.

Jackie odwróciła się i ruszyła w stronę schodów.

241

- Jakim cudem?!

- To był on!

To nie miało sensu, zupełnie jak jego kłótnie z matką. Jackie nigdy nie przyzna się do błędu.

Nie zatrzymywał jej dłużej.

Nie chciał wracać do domu, kiedy Jackie była w tak podłym nastroju, dlatego po zejściu ze służby zapytał, czy ktoś nie wybrałby się z nim do pubu. Nikt się nie zgłosił, nawet Rennie.

- Próba- wyjaśnił. - Ale zapraszam, będzie fajnie. John też przyjdzie, prawda?

Rickards z zapałem pokiwał głową.

- Jestem suflerem - powiedział.
- Dobra, mniejsza z tym... Pójdę do kina albo coś.
- Nie, naprawdę zapraszam! - Rennie zaczął wykonywać dziwne, teatralne gesty. -A potem skoczmy na curry, tak jak planowaliśmy. Męski wieczór!

Logan wzruszył ramionami. Czemu nie?

Wyszli na Union Street. Renniemu gęba się nie zamykała, kiedy tłumaczył im, jak to jeden z wątków w *EastEnderach* jest parafrazą *Otella*.

- Panie sierżancie... - wtrącił Rickards, kiedy Rennie na pół minuty stracił weneę. — Widziałem, że Tina się wczoraj na pana uwzięła.

- Tina? - Logan dopiero po chwili skojarzył, o kim mówi posterunkowy: pani Sługa-Ma-Władzę. - Tak... Jest dosyć... zdeterminowana.

- Cała ona. Ale ci ludzie wcale nie są tacy źli. Tina okazuje może trochę za dużo zapału. Odkąd mąż rzucił ją dla higienistki, rozpoczęła misję samodoskonalenia się. W ubiegłym roku zaciągnęła nas nawet na swój występ w jakiejś okropnej pantomimie.

- Mówiła mi o tym.

Zatrzymali się na czerwonym świetle przy Union Terrace i patrzyli na wlokące się ulicą samochody. Ciepły dzień dawno się skończył i z głębi Bridge Street wiał lodowaty wiatr. Stara gazeta szamotała się na wietrze jak umierająca mewa.

- Zdziwiłby się pan, ilu ludzi rajcuje jedno i drugie: BDSM i aktorstwo. Nawet sam myślałem o tym, żeby spróbować, no i na razie dałem się namówić na suflerkę. W przyszłym roku...

Rozdzwoniła się komórka Logana.

- Przepraszam na chwilę.

Na wyświetlaczu pojawił się napis R. TULLOCH - ZP. Stał i patrzył na ekranik, nie mógł się zdecydować, czy odebrać, czy udać, że jest zajęty. Nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie.

- Odbierze pan? - zainteresował się Rennie.

Powinien z nią porozmawiać. Naprawdę powinien. Za chwileczkę...

Telefon umilkł. Połączyła się z pocztą głosową.

- Cholera jasna...

Teraz będzie musiał oddzwonić. Postanowił sprawdzić wiadomości. Po serii syków i trzasków usłyszał głos matki, której unikał od tygodnia. Pomiął to nagranie. Następna była Steel- mówiła coś o kradzionym sprzęcie z biura. Na koniec zostało najważniejsze:

- „Cześć, Logan. To ja... To znaczy... Rachael. Posłuchaj... Dobrze się z tobą bawiłam, więc pomyślałam, że może... - Głos przycichł, jakby przez chwilę mówiła do siebie. - Kurczę, kiedy to obmyślałam w samochodzie, jakoś łatwiej szło. Dobra: kolacja, jutro, u mnie. Zaryzykuję jakieś cudo ze starej książki kucharskiej. Umówmy się na wpół do siódmej; ja będę gotowała, a ty pozabawiasz mnie rozmową i nalejesz nam wina”.

Chwila przerwy, potem przypomniała sobie, że powinna podać swój adres, i się rozłączyła.

Logan zawahał się nad opcją „Usuń”. Teraz to już naprawdę musi oddzwonić.

- Psiakrew, psiakrew, psiakrew...

- Dobre nowiny? - Rennie się uśmiechnął.

- Zamknij się.

Schował telefon i podreptał na próbę trupy Inscha. Może odrobina kiepskiej aktorskiej amatorszczyzny ułatwi mu tę rozmowę. A może po prostu jest sukinkotem pozbawionym zasad.

Dobrze wiedział, co jest bliższe prawdy.

Otworzył oczy. Sen nagle się skończył. Było bardzo ciemno. Skrzywił się i wyrzął spod kołdry: zegar na radiu pokazywał dziewiętnaście po czwartej. Nic dziwnego, że tak zmarł: od wpół do dwunastej grzejniki były wyłączone.

Wysunął rękę i pomacał materac po stronie Jackie: nic, tylko rozległa połać lodowatego prześcieradła. Jeszcze nie wróciła do domu. Czyli niewiele się zmieniło, nadal...

Hałas w przedpokoju, to pewnie on go obudził. Ktoś dobierał się do drzwi wejściowych. Zaklął pod nosem, wygramolił się z łóżka, chwycił przerzucone przez oparcie krzesła spodnie i naciągnął je po omacku. Włożył coś, co - sądząc po dotyku - musiało być bluzą i boso wyszedł do przedpokoju - w samą porę, by ujrzeć, jak drzwi się otwierają i do środka wparowuje znajoma sylwetka: Jackie w przebraniu włamywacza.

Zamknęła drzwi za sobą i trzęsąc się z zimna, zdjęła kurtkę i rękawiczki. Weszła do kuchni.

- Jackie?

Zatrzymała się na chwilę, ale nie odwróciła, po czym podeszła do pralki i zaczęła się rozbierać. Wrzuciła do środka czapkę, szalik, kurtkę, rękawiczki, koszulkę, adidasy, spodnie, bieliznę... Dodała dwie porcje proszku i włączyła maszynę. W kuchni rozległ się szum zasysanej wody.

Objęła się ramionami i - blada i wciąż roztrzęsiona - bez słowa poszła do łazienki. Kostki palców miała opuchnięte i czerwone.

- Jackie? Co się stało?

Pstryk. Włączyła nagrzewarkę przy prysznicu. Pstryk. Termowentylator napęlił łazienkę basowym buczeniem i słabą wonią przypalonego kurzu. Pstryk. Światło. Ciało Jackie zdawało się emanować białym blaskiem, kiedy stanęła pod prysznicem i zaciągnęła foliową zasłonkę. Kłęby pary buchnęły na pokój.

Zamknął za sobą drzwi.

- Jackie? Co się stało, do cholery?!

- Nic. - Szum wody i pomruk termowentylatora tłumiły jej głos, ale było słychać, że drży.

-Nic się nie stało. Gdyby ktoś pytał, całą noc byłam w domu.

O żesz w mordę...

- Jackie?

- Całą noc, rozumiesz? Nigdzie nie wychodziłam. Byliśmy razem.

- Co się stało, Jackie?!

- Nic. Nie wychodziłam z domu, dotarło?

- Jackie?

Nie odpowiedziała. Czekał, ale daremnie. Dla posterunkowej Jackie Watson sprawa była zamknięta.

Ledwie zadzwonił budzik, zerwał się z łóżka. Spędzili noc plecami do siebie: Jackie śmierdziała dużą whisky, którą wypita po prysznicu, Logan wpatrywał się w świecące cyfry na wyświetlaczu - i czekał, aż wstanie dzień.

Do pracy przyszedł pół godziny przed czasem. Usiadł w biurze WK z tekturowym kubkiem kawy ze stołówki i dwoma bułkami z masłem. Miał nadzieję, że kofeina szybko zadziała i świat wypięknieje - ale zdawał sobie sprawę, jaka ta nadzieja płonna.

- No dobrze. — Poranna odprawa u Steel dobiegła końca, wszyscy jeszcze tylko zgodnie wyskandowali: „Nie jesteśmy pierdołami!” - Czym się teraz zajmujesz?

Logan nie musiał się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

- Niczym. Wszystkie ważne sprawy poszły do prokuratury. Mam tylko jakieś drobiazgi do domknięcia. - Ziewnął rozzdzierająco.

- No i dobrze. Weź sobie ze dwa dni wolnego: wyglądasz jak śmierć, a zastępca komendanta suszy mi głowę o rachunek za nadgodziny. Tak jakby to była moja sprawa.

Co racja to racja: przysługujące mu trzy dni przerwy spędził w większości w komendzie, więc rzeczywiście odpoczynek mu się należał. Steel sięgnęła po papierosa. Włożyła jednego w kącik ust; podrygiwał, niezapałony, kiedy mówiła dalej:

- Jak wrócisz do roboty, rzucimy okiem na listy z pogrózkami, które przychodzą do rodziców Seana Morrisona.

- Z pogrózkami?

- Może przesadziłam. „Wasz syn jest mordercą!”, i temu podobne. Jakiś dupek się wyżywa. No, ale mniejsza z tym: na razie posprzątaj po sobie i spadaj.

W kąciku stało pudło z DVD, zarekwirowane z lokalu Mamuśki Stewart, wciągnięte do ewidencji dowodów rzeczowych, a potem pospiesznie z niej wypisane, żeby ludzie mogli sobie wypożyczyć jakiś filmik na wieczór. Oczywiście te najostrzejsze zniknęły pierwsze. Logan przejrzał resztę, szukając czegoś, co wypełniłoby ciężką ciszę w domu. Nie mógł znieść myśli o następnym wieczorze z Mikado Inscha.

Podeszła jakaś policjantka i wrzuciła do pudełka kilka hollywoodzkich przebojów; części nawet jeszcze nie wyświetlono w kinach.

- Ten nowy z Tomem Cruise'em jest w porządku. Ale trzeba uważać, bo trafiają się kiepskie kopie.

- Tak? - mruknął Logan, słuchając jej jednym uchem.

- No. Mogę wziąć ten? - Wybrała jakiś animowany filmik z pingwinem na okładce. - Wieczorem przychodzi do mnie siostrzenica.

- Byle zwróciła go pani jutro przed lunchem. Po południu mają to wszystko przenieść do centralnego magazynu.

- Zdążę.

O dziewiątej mógł już zbierać się domu. Liczył na to, że nie zastanie tam Jackie. Wziął kilka filmów z wierzchu stosu, schował je do kieszeni kurtki i wyszedł.

Mieszkanie, o dziwo, lśniło czystością. Dywany wytrzepane, kurze wytarte... Podejrzał, że nawet łazienka doczekała się małego sprzątnięcia. Poczł też smakowity zapach - i nagle bardzo się zaniepokoił. Zajrzał do kuchni, ale w pasiastym fartuchu nie stała jego matka, lecz Jackie. Co chyba jeszcze bardziej go przeraziło.

- Nie przewróciłaś się gdzieś w nocy? Nie uderzyłaś w głowę? Nie odwróciła się.

- Nie wygłupiaj się, przecież nie wychodziłam z domu. Idź się przebrać. Wstawię wodę.

Cokolwiek knuła, nie zamierzała mu o tym powiedzieć bez potężnej awantury, a na to w tej chwili nie miał siły.

- Przyniosłam parę filmów z wczorajszej rewizji. Jackie wyjrzała przez okno. Grube krople deszczu łączyły się i spływały strużkami po szybie.

- Fajnie, bo pogoda gówniana. Obejrzymy coś, zjemy, kupimy wino, ciastka... Spędzimy przyjemne, leniwe popołudnie. Co ty na to?

Taką propozycję mogłaby mu złożyć dawna Jackie, sprzed obsesji na punkcie Roba Macintyre'a.

- No... Super. Będzie fajnie. - Kciukiem wskazał przedpokój. - Są w kurtce, w tej dużej kieszeni.

Poszedł do sypialni, przebrał się w dżinsy i koszulę. Cały czas się zastanawiał, jak długo utrzyma się ten stan normalności. Kiedy Jackie zacznie...

- Rany, a to co?

Z przedpokoju dobiegł go zdumiony, rozbawiony głos Jackie; chwilę później stanęła w drzwiach, trzymając w rękach DVD.

- Przecież ci mówiłem: zrobiliśmy nalot na Mamuszkę Stewart...

- To jakaś aluzja? - Pokazała mu pierwszy z brzegu film: *Crocodildo Dun-dee*. - Uważasz, że nasze życie erotyczne wymaga ożywienia? Ostre porno?

- Słucham?! Nie...

Wyciągnął rękę, żeby zabrać jej film, ale odskoczyła lekko w głąb przedpokoju.

- Niezły z ciebie zboczek, McRae.

- Jakby ci to... Facet, który to nakręcił, dał mnie i Rickardsowi po kopii, w nagrodę za zwrot swojej własności. Insch też taki dostał.

- Dołącz do Michelle „Crocodildo” Dundee, zagubionej w wielkim mieście- zaczęła czytać Jackie z mocno przerysowanym australijskim akcentem. - Michelle jest niegrzeczną dziewczynką, która wprost marzy o wielkiej przygodzie na antypodach.

- Na śmierć o tym filmie zapomniałem! Słuchaj, nie chciałem... Po prostu...

- No, to zaraz go sobie obejrzymy.

- Jackie...

Ale Jackie już pobiegła do salonu, zaciągnęła zasłony i włączyła odtwarzacz.

- Chodź! Tylko ustaw ogrzewanie na maksa, bo jak nas żądze poniosą i zaczniemy się rozbierać...

Było to jedno z najbardziej zenujących doświadczeń w życiu Logana. Jackie ryczała ze śmiechu, patrząc, jak aktorzy brną przez całkiem znośny pastisz oryginalnego *Krokodyla Dundee*. Wcześniej oglądał go tylko w przyspieszonym tempie, podczas wyszukiwania podejrzanych pasujących do portretu pamięciowego Franka Garviego, ale teraz musiał przyznać, że dziełko nie jest aż takie beznadziejne, jak by mogło być: niezła fabuła, żarty naprawdę śmieszne, mnóstwo seksu... a Jackie zwijała się ze śmiechu, gdy mieszkańcy północno-wschodniej Szkocji udawali Australijczyków. Z trudem jednak przychodziło mu siedzieć obok niej i udawać, że widok ludzi uprawiających seks wcale go nie kręci.

Bohaterka stała akurat w ciemnym zaułku, gdy z półmroku wynurzyła się kobieta w skąpym stroju, z ogromną burzą włosów na głowie.

- „Oddaj mi wszystkie pieniądze!” - zażądała, wymachując dwudziestocentymetrowym wibratorem. Przekręciła pokrętko u nasady i przyrząd zaczął drgać w jej rękach.

- „Co to za zabawka?” - zdziwiła się Michelle Dundee i z kabury na plecach wyjęła gigantycznego, blisko półmetrowego sztucznego penisa. - „To jest prawdziwy wibrator!”

Jackie ze śmiechu omal nie spadła z kanapy.

- O taaak! - zawołała. Jej australijski akcent był o niebo lepszy niż w wykonaniu aktorów w filmie. -Nie wiem jak ty, bracie, aleja się podja-rałam jak grzechotnik na grillu. Pokaż no swojego węża!

I wskoczyła na Logana.

- Nie...

- Rany, jaki duży! Hurra! - Wsunęła mu rękę w spodnie.

Na ekranie pojawił się Jason Fettes w swoim filmowym debiucie. Nie wiedział jeszcze, że za dwa lata będzie leżał na stole w kostnicy, obfotografowany przez policyjnego specja. I jak tu mieć chęć na amory? - pomyślał Logan.

- Och, nie! - krzyknęła Jackie z udawanym zaskoczeniem. - On umiera! Szybko, usta-usta!

I nagle Logan stwierdził, że łatwo mu zapomnieć o Jasonie Fettesie i jego rozległych obrażeniach wewnętrznych.

Blogie rozleniwienie po seksie trwało całe dwie godziny; wylegiwali się w łóżku, śmiali się, żartowali, cieszyli sobą pierwszy raz od niepamiętnych czasów. I nie przejmowali się dzwoniącym telefonem — w końcu od czego jest automatyczna sekretarka.

Dopiero kiedy jakiś pieprzony uparciuch na przemian dzwonił i się *rozłączał*, dzwonił i się rozłączał, i tak w kółko, Logan zwał się na golasa z łóżka i podreptał do salonu.

- Kiego diabła?

- Niezbyt miło mnie witasz. - Inspektor Steel.

- Jesteśmy... zajęci.

- No to zrób sobie pięć minut przerwy i włącz wiadomości na ITV.

Logan westchnął, sięgnął po pilota i włączył telewizor: serwis informacyjny - spiker mówił właśnie o kolejnych niepowodzeniach w wojnie z terroryzmem.

- Włączyłem. I co...

Na ekranie pojawiło się zdjęcie paskudnej gęby Roba Macintyre'a. Nagłośnił.

- „...nie wrócił na noc do domu. Dwudziestojednoletni piłkarz podpisał w tym tygodniu umowę na wydanie trzech tomów autobiografii. Podobno kontrakt opiewa na...”

- Może siedzi gdzieś i pije?

Zdjęcie Macintyre'a zniknęło i na ekranie pojawiła się jego narzeczona na konferencji prasowej: w bluzeczce z głębokim dekoltem, nienagannie uczesana, bardzo zaniepokojona opowiadała, szlochając, całemu światu, że jej przyszły mąż nie wrócił na noc do domu, a rano nie przyszedł na trening. Wszyscy się martwią, czy nic mu się nie stało.

Ktoś z biura rzecznika prasowego policji pojawił się obok niej przy stole i zwrócił się do widzów z prośbą o pomoc.

Logan wcisnął guzik *mute*.

O żesz kurwa... O kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa...

- McRae? Jesteś tam?

- Eee... Tak, jestem.

Odwrócił się w stronę sypialni. Jackie podśpiewywała pod nosem.

- No to przyjeżdżaj na komendę. Wąż zapluwa się na potęgę, dziennikarze opadli nas jak psy, a komendant dostaje szału.

- Ale przecież... Kazała mi pani wziąć wolne...

- Biegiem, sierżancie! Logan rozłączył się i zaklął.

- Jackie? - Znalazł ją w kuchni. Popijała sok pomarańczowy z kartonika. - Macintyre zaginął.

- Tak? - Wzruszyła ramionami, otarła usta i odstawiła sok do lodówki. - Co zjesz: włoską kuchnię czy coś tajskiego?

- Co się stało wczoraj w nocy, Jackie?

- Nic. Cały czas byłem tutaj, z tobą, nie pamiętasz?

- Jackie...

- Mam ochotę na makaron. Wychodzisz, prawda? Przynieś jakiś makaron, dobrze?

- Ale...

- Kolacja o siódmej. - Cmoknęła go w czubek nosa. - Tylko się nie spóźnij.

43

Niebo przybrało złowrogi szarosiny odcień. Granitowe mury domów lśniły w złotych promieniach zachodzącego słońca jakby płonęły. Ziąb przenikał Logana do szpiku kości, kiedy robił obchód zespołów poszukiwawczych.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego zadajemy sobie tyle trudu - powiedział. - Macintyre jest dorosły, zaginał dopiero... Ile, trzynaście godzin temu? Czternaście?

To, że zniknął, nie znaczy przecież, że leży martwy w rowie, prawda? O Boże, proszę, niech się nie okaże, że Jackie go zabiła!

- Dlatego że Macintyre to gwiazda - odparła idąca obok niego Steel. Krzywiła się niemiłosiernie, uszy i nos poczerwieniały jej na mrozie. -A gwiazdy są o wiele ważniejsze od zwykłych szaraczków jak ty czy ja. Znani ludzie nie mogą tak po prostu zniknąć, kiedy są w centrum zainteresowania. - Zatrzymała się przy rzędzie łysych drzew i kępie kolczastych krzewów. - Nikt nie patrzy?

- Nie, wszystko okej.

- Chwała Bogu... - Drżącą ręką wyjęła papierosy i zapaliła. *Zaciągnęła* się, wydmuchnęła dym, zadygotała z rozkoszy, a potem się rozkaszała. - O rany... Tego mi było trzeba. Kto wpadł na pomysł, żeby nagradzać kablowanie na kolegów?

Logan wzruszył ramionami. Do tej pory zarobił dwadzieścia funtów za donoszenie na Steel oficerowi prowadzącemu program „Bądź sprawny!”

- Uwaga, idą.

Umundurowana posterunkowa wspinała się na pagórek. Między Bo-naccord Crescent i Willowbank Road był park w kształcie klina: pożółkła trawa, śnieg i przemarznięte drzewa. Nieduży, ale położony najbliżej okolic, gdzie ostatnio widziano Roba Macintyre'a - i na pewno nie brakowało w nim miejsc, gdzie można by ukryć zwłoki.

Steel ostatni raz zaciągnęła się papierosem, schowała go za plecami, a wolną ręką pomachała sobie przed twarzą, jakby naprawdę mogła w ten sposób rozwiązać dym.

- No i co?

Posterunkowa pokonała ostatnie metry śliskiej ścieżki i pokręciła głową. - - Nic. Ma pani może papierosa? Muszę zapalić. Steel ją poczęstowała.

- Nie znaleźliśmy nic tutaj, nie znajdziemy i w ogródkach. Gnojek wyleguje się pewnie u jakiejś głupiej cizi w łóżku. Trudno, musimy poszerzyć obszar poszukiwań. Kto wie, może... O cholera. - Mrużąc oczy, spojrzała przed siebie: do parku, gdzie podjeżdżała właśnie szara furgonetka z anteną satelitarną na dachu. - Telewizja, psia ich mać! Trzeba wszystkim powiedzieć, żeby wyglądali na bardzo zapracowanych. - Ruszyła w dół wzgórza, zabierając ze sobą posterunkowa. - A ty pogoń tego lenia Ren-niego! - rzuciła przez ramię do Logana.

Przy Langstane Place i Justice Mili Lane pełno było modnych barów i nocnych klubów. Miejscowe gwiazdeczki w rodzaju Macintyre'a lubiły się pokazywać w takich miejscach: mógł tu łatwo poderwać jakąś naiwną, zauroczoną nim laleczkę, pojechać do niej do domu i poćwiczyć dośrodkowanie i strzały.

Boże, błagam, niech się okaże, że Macintyre wyszedł z jakąś dziewczyną.

Druga możliwość wydawała się Loganowi zbyt przerażająca, żeby o niej myśleć.

Znalazł Renniego w ogromnym, eleganckim klubie. Buczały odkurzacze, wyło przenośne

radio nastawione na Northsound 2, a posterunkowy siedział przy barze, pił cappuccino i mizdrzył się do szefowej. Ale przynajmniej miał dość wstydu, żeby się spieszyć na widok Logana.

- To ja... dziękuję pani bardzo. - Odstawił filiżankę obok niedojedzonego ciastka. - Bardzo mi pani pomogła. Wstał i podszedł do Logana.

- Bingo. - Zajrzał do notesu. - Przyjechał tutaj taksówką o wpół do dwunastej, prosto z jakiejś imprezy dobroczynnej. Był wstawiony, ale wpuścili go, bo wiadomo: sławny facet. Na nagraniu z kamer ochrony widać, jak o pierwszej dwadzieścia trzy wychodzi w towarzystwie... głównie fajnych pań, farciarz jeden. Ale do żadnego innego klubu przy tej ulicy już nawet nie *zajrzał*.

Logan odetchnął z ulgą. Jednak wyglądało na to, że Macintyre urządził sobie zwykłą nocną popijawę i bzykanko. Bogu dzięki!

- Leć do rzecznika. Szukamy świadków, którzy wychodzili z klubu razem z Macintyre'em, i takie tam bla bla.

- Już to zrobiłem.

- Może jednak będą jeszcze z ciebie ludzie. A na razie... Drzwi otworzyły się z łoskotem i na tle dogasającego nieba zarysowała się sylwetka inspektor Steel.

- Co tak stoicie? Chodźcie! Znaleźli ciało!

Cromwell Road. Karetka przecisnęła się przez uchyloną bramę z siatki, złościąc błotniste koleiny w trawiastym placu zabaw. Rennie tymczasem nieporadnie próbował zaparkować na ulicy. Dwa radiowozy już na nich czekały; koguty kręciły się leniwie w zapadającym zmroku, a policjanci odgradzali teren białą-niebieską taśmą. Biorąc pod uwagę nagłośnienie sprawy w mediach, lada chwila można się było spodziewać gapiów z aparatami fotograficznymi i kamerami; *zaczną* się dopominać o soczyste komentarze i zawracać wszystkim głowę.

Logan prześliznął się pod taśmą, podążając z inspektor Steel wygniecionym w trawie śladem karetki. Ambulans wkrótce się zatrzymał; ratownicy wyskoczyli ze środka, wyciągnęli niezbędny sprzęt i podbiegli do umundurowanej policjantki, która wymachiwała dramatycznie rękami, jakby się topiła.

- Tutaj! - krzyczała. - Tutaj!

Popędził za nimi, zaciskając kciuki i modląc się w duchu:

- Oby żył, oby żył...

Pierwszy z ratowników rzucił okiem na ciało, które znalazła policjantka, okręcił się na pięcie i ruszył do ambulansu. Loganowi serce przestało bić.

Trup. Macintyre nie żył. A Jackie wróciła nad ranem do domu i wygotowała wszystkie ciuchy w pralce...

- Z drogi, do cholery!

Ratownik biegł już z powrotem na miejsce wypadku. W ręce trzymał opatrunkowy kołnierz usztywniający, pod pachą ścisnął koc, a przez ramię miał przewieszoną butlę z tlenem. Wpadł w krzaki i zniknął im z oczu.

Logan krok za krokiem posuwał się naprzód.

Macintyre leżał na boku, na zimnej, wilgotnej, nasiąkniętej krwią ziemi. Z rozrzuconymi rękami i nogami wyglądał jak połamana swastyka. Zamknięte oczy, rozchylone usta, a twarz tak spuchnięta, że ledwie dało się go rozpoznać. Strużka śliny i ciemnej krwi spływała na rękawiczki ratowników, kiedy układali mu głowę w kołnierzu i nasuwali maskę tlenową na zmasakrowane usta i nos.

- Jezus Maria - wyszeptał Logan. - Coś ty zrobiła, Jackie?

A przyłożyła się do pracy. Każdy odsłonięty kawałek ciała pokrywały fioletowe krwiaki, wyraźnie odcinające się od białej, woskowej skóry. Rób Macintyre został zakatowany na śmierć - tyle że po prostu nie zdążył umrzeć.

Logan stał pod ścianą i walczył z mdłościami. Błyskały flesze. Komendant odczytywał oświadczenie dla prasy, oficjalną wersję wydarzeń. Rób Macintyre padł ofiarą wyjątkowo brutalnego napadu rabunkowego. Za stołem na podwyższeniu zebrał się spory tłumek: inspektor Steel, narzeczona Macintyre'a i jego matka, Sandy Wąż, przedstawiciel FC Aberdeen i rzecznika policji - wszyscy zgodnie prosili widzów i słuchaczy o informacje o tym, co tej feralnej nocy robił Rób Macintyre. Apelowali również do napastnika, aby się przyznał i oddał w ręce policji.

Chciało mu się śmiać: wykluczone, żeby Jackie z własnej woli zgłosiła się jako winna pobicia Macintyre'a. Jeżeli nie będzie świadków ani dowodów rzeczowych, zapowiada się jedna z wielu nierozwiązanych spraw, bo on, Logan, nie piśnie ani słówka. Nie zamierza się wychylać. Uda, że nic się nie stało. Zostanie współnikiem *post factum* i będzie utrudniał śledztwo -nawet jeśli wyrzuty sumienia go zabiją. No bo czy ma inne wyjście?

Kiedy rzeczniczka zaczęła pokazywać repliki przedmiotów, których brakowało przy ciele Macintyre'a: gruby skórzany portfel, rolex, trzy złote sygnety, potężna złota bransoletka i kolczyk z rubinem, znak firmowy piłkarza - gdyby ktoś znalazł którąś z tych rzeczy, niech natychmiast skontaktuje się z policją- do Logana podszedł Colin Miller.

- Po co to pieprzenie? - Kiwnął głową w kierunku podium. - To nie rabunek. - Czekał, aż Logan coś powie. Daremnie. - No daj spokój, przecież byłem w szpitalu, to wiem: połamane nogi, ręce, żebra... Robota zawodowca. Rozmawiałem z lekarzem: twierdzi, że prawdopodobieństwo rozległych uszkodzeń mózgu wynosi osiemdziesiąt procent. W dodatku gość jest w śpiączce. Atak między nami, powiem ci jeszcze, że ma zmiążdżone oba jądra. -1 dodał szeptem: -Nie obite czy spuchnięte. Zmiążdżone. Gdyby nie wyiębienie organizmu, dawno by nie żył.

Kiedy komendant poprosił o zadawanie pytań, wystarczyły trzy sekundy, by jeden z dziennikarzy skojarzył fakty podobnie jak Miller. Przyszło mu to łatwo, bo tuż obok siedział posiniaczony Moir-Farquharson, który nie omieszkiał wspomnieć o tym, że zaledwie dzień wcześniej policja wycofała spod domu piłkarza ochraniających go policjantów. No i się zaczęło. Przedstawiciel AC Aberdeen upierał się, że policja mogła - i powinna była- lepiej chronić Macintyre'a; Wąż zarzucał policjantom liczne i poważne błędy w prowadzeniu śledztwa, zapłakana narzeczona pytała, jak

ma wychowywać dziecko bez ojca, a matka wpatrywała się w obiektywy kamer i żądała sprawiedliwości. Ktoś musi zapłaci za to, że jej kochany synek leży w śpiączce!

Nie trzeba było długo czekać, żeby komendant bezceremonialnie zakończył konferencję.

Logan patrzył, jak obolały Moir-Farquharson wychodzi z pokoju, w ostrych słowach domagając się oficjalnego śledztwa.

- Pieprzony hipokryta!

- Co powiedziałeś? - Miller włączył komórkę i wpatrywał się w wyświetlacz, obracając go pod różnymi kątami do światła. - No, obudźże się... - Uśmiechnął się, wcisnął jakiś guzik i przyłożył telefon do ucha. Przez chwilę słuchał, potem rozłączył się i zerknął niepewnie na Logana. -Izzy od rana ma bóle. Tutaj beznadziejna impreza, a ona może w każdej chwili dostać skurczów... - Znów coś wystukał. - Komórka chyba mi się rozładowuje...

- Co powiesz na materiał na wyłączność?

- To nie nauka ścisła! Mówią czterdzieści dwa tygodnie, ale czasem wychodzi mniej, a czasem więcej. Poza tym skąd wiedzą, kiedy dokładnie mijają te czterdzieści dwa tygodnie? Przecież...

- Na wyłączność, Colin?
- Co mówisz? A tak, dobrze. Byłoby super. - Znowu obrócił telefon. - Tylko wiesz co? Chodźmy gdzieś, gdzie będzie zasięg, dobra?

Steel krążyła nerwowo w tę i z powrotem pod oknem w swojego gabinetu, popatrując na zebranych przed komendą dziennikarzy.

- Katastrofa! Dramat! Nie mogli tej sprawy dać Inschowi? Czym sobie na nią zasłużyłam?

Logan starał się nie słuchać jej marudzenia - udawał, że czyta zapisy przesłuchań. Odkąd znaleźli zmasakrowanego Macintyre'a, wezwali jego domniemane ofiary, ich partnerów i rodziny. Oczywiście nikt nie wyraził wielkiego współczucia dla piłkarza - i wszyscy mieli alibi. Policja z Tay-side również zamierzała przepytac ofiary, ale Logan z góry wiedział, że to nic nie da.

Jak prowadzić śledztwo w sprawie pobicia Macintyre'a, jeśli mieszka się pod jednym dachem z odpowiedzialną za to osobą? Przecież nie mógł nikogo w to zrobić!

Podszedł do Steel. Reflektory gasły jeden po drugim, kamerzyści się zwijali. Na parkingu została tylko narzeczona Macintyre'a - blond czupryna -jego straszna matka, ufarbowana na niebiesko, i poobijany adwokat.

- Nieważne, co zrobimy - powiedziała Steel, patrząc, jak Moir-Farquharson żegna się z kobietami i kuśtyka do swojego jaguara. - Mamy przerabane.

Logan odprowadził wzrokiem panie: wsiadły do czerwonego hatchbacka i wyjechały z parkingu. Steel się nie pomyliła: to katastrofa, absolutna i nieodwracalna katastrofa.

45

Czytał raport z laboratorium - przebadali ubrania Roba Macintyre'a-i modlił się, żeby nic nie znaleźli, kiedy dopadła go posterunkowa. ., - O właśnie, mam coś dla pana. - Wskazała pudełko z zarekwirowanymi DVD. - Chodzi o ten cholerny film: siadamy z moją sześciolletnią f siostrzenicą, wkładamy go do odtwarzacza, spodziewając się jakiejś disnejowskiej bajeczki, i co dostajemy? Jakież chałupniczo kręczone ostre sado-maso. I jak tu wytłumaczyć się jej matce?

- To nie moja wina. Wiedziała pani przecież, że Mamuśka Stewart handluje pornołami.

- Zwyczajne bzykanie by mnie tak nie ruszyło, ale takie ohydztwo?! -By to udowodnić, chwyciła pudełko, znalazła film, który tak ją wzburzył, i wręczyła go Loganowi. - No, proszę bardzo. Niech pan sobie obejrzy.

Westchnął, zwłóknął się z krzesła i włożył płytkę do odtwarzacza obok lodówki, podłączonego do starego, dwunastocalowego telewizora. Ekran zaśniewił, a po chwili z chaosu zakłóceń wyłonił się amatorski, zamazany obraz mężczyzny leżącego na brzuchu na stole z szeroko rozrzuconymi nogami; ktoś okładał go po plecach, tyłku i udach czymś, co wyglądało jak obciągnięta skórą paletka pingpongowa.

- Jak się wypożycza dowody przestępstwa, to się trzeba...

Urwał w pół zdania. Przekrzywił głowę, obserwując akcję filmu. Za stołem stało wysokie lustro w połączanej ramie: wszystko się w nim odbijało. Mężczyzna przykuty do stołu miał jasne włosy i knebel w ustach. I do złudzenia przypominał Jasona Fettesa.

- Widzi pan? Jak by pan to wyjaśnił sześciolletniemu dziecku? Naprawdę, to mną...

- Niech pani biegnie po Inscha! Natychmiast! - Usiadł, oglądając ostatni film porno z udziałem Jasona Fettesa. - Nie ma czasu do stracenia!

Obraz przeskoczył i się zatrzymał. Fettes leżał na brzuchu; stojąca nad nim osoba w czarnym stroju i masce, z przypiętym do bioder sztucznym penisem, była doskonale widoczna w lustrze.

Logan postukał w ekran.

- Widzi pan? Garvie to był kawał chłopca, z brzuszkiem, zapuszczony. A tu? Proszę spojrzeć na uda i górną część tułowia. Owszem, piersi ściśnięte, ale jestem prawie pewien, że to kobieta.

Insch odchrząknął.

- Przebranie deformuje...

- Poza tym Garvie miał tylko jedno takie wdzianko, czerwone, nie czarne.

Inspektor nie odrywał wzroku od ekranu.

- Chyba pan wie, co to znaczy? Logan pokiwał głową.

- Tak. Zaszczuliśmy niewinnego człowieka... i w końcu popełnił samobójstwo.

- Komendant urwie mi jaja.

Na ciemnej i cichej ulicy tylko zgrzyt wycieraczek o przednią szybę dotrzymywał im towarzystwa. Zajechali pod dom Mamuśki Stewart. W żadnym oknie nie paliło się światło.

- Cholera jasna. - Insch schował telefon do kieszeni. - Jeden raz nie mogę przyjść na próbę i wszystko się wali.

Logan wolał nie pytać o szczegóły. Sięgnął po leżące na tylnym siedzeniu akta i wysiadł. Było zimno; przenikliwa mżawka - specjalność Aber-deen - rozpuszczała resztki śniegu. Miasto wyglądało szaro, nijak. Insch obejrzał film i się wściekł: nie lubił, kiedy udowodniano mu, że się myli.

Dał znak Loganowi, żeby zadzwonił do drzwi. W środku rozległo się metaliczne pringgg. I nic; Logan spróbował więc jeszcze raz: prrrringggg. Tak długo wciskał guzik, aż w przedpokoju zapaliło się światło. Ale i tak nikt nie przyszedł im otworzyć.

- Pani Stewart! - Insch uderzył otwartą dłońią w drzwi, aż ściany się zatrzęsły. - Wiemy, że pani tam jest!

Bum, bum, bum!

Zapaliły się światła w sąsiednim domu. Zasłona w oknie drgnęła. I znowu: bum, bum, bum! Inscha.

- Policja! Otwierać!

- Hej! - Starszy pan, pod siedemdziesiątkę, z laską. - Ciszej tam!

- Policja, pani Stewart. Proszę otworzyć. Bum, bum, bum!

- Dajcie jej spokój!

Logan postanowił udawać sympatycznego gliniarza.

- Proszę, niech pan wraca do domu.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Żyjecie z moich pieniędzy! Bum, bum, bum!

- Pani Stewart, trochę rozsądku!

- Odwalcie się od niej! Nic nie zrobiła.

- Wiemy, że pani tam jest!

Bum, bum, bum!

Logan położył dłoń na ramieniu Inscha.

- To chyba nic nie da, inspektorze.

- Pytałem pana o zdanie? - Bum, bum, bum! - Otwierać!

Zanim rozczochna Mamuśka Stewart pojawiła się w drzwiach, postawili na nogi pół ulicy: panowie i panie, w szlafrokach i sztruksach, oburzali się: jak im nie wstyd nachodzić starszą panią! Mamuśka wyszła na próg, mrugając, jakby dobrze nie widziała. Wyglądała fatalnie: wory pod oczami, deformujące twarz fałdy tłuszczu. Bez makijażu i anielskiego

uśmiechu - po prostu staruszka.

- Pfff... - Pulchną dłonią potarła policzki. - Herbata. Tak, zrobię herbatę. .. - Stłumiła ziewnięcie. -1 podam ciasto. Wszyscy lubią ciasto... Zebrali się w kuchni.

- Herbatka, herbatka, herbatka, herbatka...

Krzętała się, na przemian otwierała i zamykała szafki, dopóki Logan nie posadził jej na krześle i nie powiedział, żeby o nic się nie martwiła, on się wszystkim zajmie.

- Wie pani, po co przyszliśmy? - spytał Insch, kiedy Logan szukał herbaty. - Jeden z filmów, które zarekwiraliśmy u pani, okazał się produkcją amatorską. - Przerwał, czekając, aż Mamuśka coś odpowie, ale ona tylko ziewnęła. - Przedstawia scenę, w której ktoś morduje przywiązanego do stołu mężczyznę. To tak zwany snuff*.

Prawda i nieprawda, bo Jason Fettes nie umarł przed obiektywem kamery, ale sądząc po wskazaniach zegara w prawym dolnym rogu, zmarł jakby pół godziny później.

- Ciasto!

Mamuśka Stewart zerwała się na równe nogi i przykucnęła przed jedną z niskich szafek. Najpierw przez chwilę mocowała się z drzwiczkami,

* *Snuff, snuff movie* - film nakręcony w celach komercyjnych i przedstawiający autentyczną śmierć przed kamerą (przyp. tłum.).

a potem *zaczęła* po kolei zaglądać do plastikowych foremek w środku, ustawiając je na podłodze jak klocki.

- Pani Stewart? Mówiliśmy o filmie.

- No chyba nie pozwolę, żeby nasi dzielni policjanci umierali z głodu, prawda?

Insch uderzył dłonią w blat. Huknęło jak z armaty, a inspektor niebezpiecznie poczerwieniał.

- Skąd wzięła pani ten film?! Mamuśka złapała go za rękę.

- Mój Jamesy, Panie, świeć nad jego duszą, był w pańskim wieku, kiedy dostał wylewu. Padł jak święty, ciach! I po nim. Niech się pan tak nie denerwuje, bo to panu szkodzi...

I wtedy Insch naprawdę się rozeźlił.

- Nic jej nie będzie - powiedział Logan, kiedy powłócząc nogami, wrócił do salonu.

Pokój był schludny: ściany wyłożone aksamitną tapetą, porcelanowe pieski i zdjęcia uśmiechniętej gromadki wnucząt - zupełnie jak w lokalu bukmacherskim Mamuśki. Honorowe miejsce nad kominkiem zajmowały toporne akwarelki z Benachie. Jedynym obiektem w salonie, który nie bardzo pasował do domu starszej pani, był inspektor Insch - a on, siedząc na sofie, przeprowadzał właśnie swoje ulubione ćwiczenie oddechowe; zacisnął kurczowo powieki i przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej.

Logan po cichu zamknął drzwi i usiadł w fotelu. Zaczynał się zastanawiać, kiedy w końcu organizm inspektora nie wytrzyma. Człowiekowi o takiej tuszy stres na pewno szkodzi bardziej niż innym.

- Nie wiem, czy nie lepiej byłoby się odwołać do jej poczucia przyzwoitości - odezwał się, widząc, że twarz Inscha odzyskuje normalny kolor. - Moglibyśmy...

- Przyzwoitości?! Pan chyba żartuje. Przecież ona sprzedaje pornografię dzieciakom ze szkoły!

- To prawda, ale uważa, że postępuje uczciwie. Bo według niej skąd się dzieci będą uczyć o seksie? - Logan podniósł rękę, zanim Insch zdążył coś powiedzieć. - Wiem, ale ona wierzy, że ma rację. Myślę jednak, że jeśli pokażemy jej film i parę zdjęć z sekcji zwłok, pomoże nam. Dla dobra ogółu.

Inspektor prychnął; Logan udął, że nie słyszy.

- Pomaga przy wyprzedażach dla staruszków, urządza zbiórki pieniędzy dla miejscowej drużyny skautów... Jej się wydaje, że jest opoką miejscowej społeczności.

Insch znów spurpurowiał.

- Jest chodzącym koszmarem!

- Panie inspektorze... - Zaraz pożałuje, że o to zapytał. - Dobrze się pan czuje?

Wygląda pan...

Nie istniał żaden dobry sposób zakończenia tego zdania. Insch rzucił mu wściekle spojrzenie.

- Osiemdziesiąt kilo. Zadowolony? Tyle kazali mi rzucić.

- Aha...

- Jak można schudnąć o połowę, ja się pytam?! Nie ma to jak wyznaczyć człowiekowi realistyczny cel, prawda? „Bądź sprawny”, do diabła! Jeśli kiedyś znajde...

- Przyniosłam herbatę.

Mamuśka Stewart wparowała do salonu. Wreszcie wyglądała tak, jak powinna: bluzka i sukienka w kwiaty, pastelowy zapinany sweter, promienny uśmiech i stanowczo za gruba warstwa makijażu. Nikt by się domyślił, że przez ostatni kwadrans wyplakiwała sobie oczy, bo pan Insch na nią nakrzyczał. Ba, teraz dała mu nawet największy kawałek ciasta. A inspektor jakby zapomniał o osiemdziesięciu kilogramach nadwagi, bo zjadł go ze smakiem.

Logan odczekał, aż Insch będzie miał pełne usta, zanim zaproponował:

- Pani Stewart? Mamy tu film, który chcielibyśmy obejrzeć razem z panią. - Wyjął z kieszeni DVD w opakowaniu z narysowanym pingwinem. - Z pani piwnicy.

Mamuśka klasnęła z uciechy.

- To ja przyniosę sherry.

Oglądała film w milczeniu, nieporuszona, gdy Jason Fettes krzyczał i szarpał się w więzach.

- Kiepski - stwierdziła na zakończenie. - To znaczy, efekty specjalne są w porządku, ale po co on tak skamlał? Przecież w tym nie ma nic seksownego.

- To nie były efekty specjalne. - Logan wyjął z akt sprawy błyszczące zdjęcia z sekcji zwłok Fettesa. - Jason miał dwadzieścia jeden lat. - Położył jedno z nich na stoliku przy sofie. - Chciał być aktorem. Pisał własny scenariusz. Zmarł w mękach. Jego rodzice wyjechali akurat na urlop; kiedy wrócili, dowiedzieli się, że ich syn nie żyje.

Po każdym zdaniu dokładał kolejną fotografię, aż cały stół pokrył się mrożącymi krew w żyłach kadrkami jak z makabrycznego Technicoloru.

- Mogę... - Mamuśka Stewart oblizała spierzchnięte wargi. - Mogę dostać szklankę wody?

Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na zdjęcia.

- Skąd ma pani ten film?

- Trochę mi niedobrze...

- Młody człowiek został zabity, pani Stewart. W dzieciństwie należał do drużyny skautów, tak jak pani wnuki.

- Ja nie... Boże święty...

Zerwała się z fotela i wybiegła do kuchni; usłyszeli, że wymiotuje. Logan pozbiierał zdjęcia do koperty.

Kiedy wróciła do salonu, wyglądała kiepsko. W dłoni ścisnęła szklankę z wodą.

- To jak? Teraz nam pani powie, skąd się wziął ten film? - zapytał Insch.
Pani Stewart zadygotała.
- Nie miałam pojęcia... Myślałam, że po prostu... No, wiecie panowie. .. Ktoś się... zabawiał. Gdybym wiedziała...
- Kto go pani przyniósł?
- Większość towaru dostaję od takiego jednego gościa z Dundee. Przyjeżdża mniej więcej raz w miesiącu, przywozi filmy i... - Przerwała, jakby nagle zdała sobie sprawę, że za chwilę powie coś, czego absolutnie mówić nie powinna. Odkaszlnęła. - Ostatnio źle się czuła. Biedaczysko, ma rwę kulszową, a z Dundee jest kawał drogi. Mój Jamesy, niech Bóg się nad nim zlituje, też tak cierpiał. Kiedy pojechaliśmy do Prestwick na wakacje...
- Pani Stewart. - Logan ujął jej zimną, miękką dłoń. - Film. To ważne. Odetchnęła głęboko, spojrzała na swoją rękę i zaczęła mówić:
- Czasem się zdarza, że ludzie cienko przędą, na przykład jak przegrali na wyścigach czy coś... Przynoszą nam wtedy różne rzeczy, żebyśmy je przechowali albo dla nich sprzedali.
Logan w życiu nie słyszał tak subtelnego opisu procederu przejmowania majątku za długi.
- Ten film... - Mamuśka aż się wzdrygnęła. - Był w odtwarzaczu, który klient nam przyniósł.
Insch pochylił się nad stolikiem.
- Co to za klient?
- Nie wiem, musiałabym sprawdzić. - Pani Stewart wstała i, mamrocząc pod nosem, zaczęła grzebać w starej komódce; po chwili wyjęła stary niebieski zeszyt. - Derek MacDonald...

Zapisała nazwisko i adres na karteczce w różyczki i podała ją inspektorowi, który chrząknął i przekazał ją Loganowi.

- Coś panu mówi to nazwisko?
- Derek MacDonald? - Wzruszył ramionami. - To może być każdy. Tu mieszkają setki MacDonaldów, a my nawet nie wiemy, czy to jego prawdziwe nazwisko. Ale ten adres wydaje mi się znajomy...
- Niech pan to sprawdzi.

Logan wyszedł do przedpokoju, zamknął za sobą drzwi i zadzwonił do centrali; podała mu szczegółowe informacje na temat kilku różnych Dereków MacDonaldów, zamieszkałych na pomocnym wschodzie kraju i notowanych przez policję. Tylko trzech z nich mieszkało w Aberdeen. Jeden miał wyrok za prowadzenie po pijanemu, drugi - *zarzut* kilku napaści, trzeci - kradzieży samochodów w Tillydrone; żaden nie mieszkał pod podanym przez Mamuśkę adresem, ale dom był pod obserwacją na zlecenie wydziału narkotykowego, namierzającego dilerów z Newcastle, którzy poważnie szykowali się do wejścia na aberdeński rynek. A to oznaczało, że Insch będzie musiał uzgadniać dalsze posunięcia z nadkomisarzem śledczym, zamiast po prostu tam wparować jak rozjuszony niedźwiedź.

- Adres jest notowany - poinformował, kiedy wrócił do salonu. - Na zlecenie inspektora Finnego. Ale nie mieszka tam żaden Derek MacDonald.

Pani Stewart zacmokała. Splotła ręce pod swoim gigantycznym, cia-stowatym biustem.

- Mieszka, mieszka. Uwierzcie mi. My takie rzeczy bardzo dokładnie sprawdzamy. Kiedy ludzie są ci winni pieniądze, zawsze dobrze jest wiedzieć, gdzie mieszkają.

Reggae. Logan nie cierpiał takiej muzyki, ale ona, niewzruszona, płynęła z radiobudzika, wyciągając go z otchłani snu. Jęknął, wyłączył zegarek i zanurkował pod kołdrę. Z drugiej połowy łóżka dobiegło go jakieś niewyraźne mamrotanie. Jackie przetoczyła się na niego, oplotła go ramionami i wtuliła mu głowę pod szyję. Zrobiło się ciepło i przytulnie...

Dopiero kiedy budzik włączył się po raz drugi, Logan uświadomił sobie, że on i Jackie nie rozmawiają ze sobą. I przypomniało mu się dlaczego.

Rangę rover Inscha wskoczył łagodnie na krawężnik. Wyłączony silnik zaczął cichutko stukać i szczełkać metalicznie w zimnym porannym powietrzu.

- To tu?

Mamuśka Stewart spojrzała przez okno, a potem na trzymaną w rękach kartkę papieru.

- Próbował pan kiedyś tych odświeżaczy w kształcie choinek? Cudownie działają na psie zapachy.

W ten uprzejmy sposób dawała inspektorowi do zrozumienia, że w jego samochodzie śmierdzi.

- Czy - to - jest - ten - cholerny - dom?

- Owszem. Ale naprawdę nie musi pan być taki niemiły. Ja tylko dałam panu dobrą radę.

- Pani Stewart pociągnęła nosem. - Można kupić różne zapachy, niekoniecznie sosnowy.

Siedzący z nią z tyłu Logan przewrócił oczami. Mamuśka i inspektor żarli się, odkąd o wpół do dziewiątej po nią przyjechali: ona bajdurzyła jak zwykle, od rzeczy, Insch w końcu na nią warczał, ona wtedy na jakiś czas się obrażała - a potem wszystko zaczynało się od początku.

Dom pod wskazanym przez nią adresem znajdował się w najciemniejszym zakamarku Mastrick, w drugim ciągu szarych, granitowych szeregowców, które pod sinoszarymi chmurami wyglądały wyjątkowo ponuro. Mamrocząc pod nosem złowrogo na temat starszych pań, tępych narzędzi i płytkich grobów, Insch zadzwonił do centrali i oświadczył, że ci od narkotyków mogą mu skoczyć: on wchodzi do środka.

- To mnie nie interesuje - odpowiedział człowiekowi po drugiej stronie. - Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa; to ważniejsze. A Finnie niech się...

Ktoś zapukał w szybę: mężczyzna w średnim wieku o obwisłych policzkach, szerokich, gumiatych wargach, przylizanych włosach i ze zbolałym wyrazem twarzy. Miał na sobie skórzaną marynarkę. Insch rozłączył się i otworzył okno.

- Nie chciałbym być wścibski, ale co wy sobie wyobrażacie, palanty?

- Derek MacDonald.

- Prowadzimy obserwację tego domu, kretynie! Spadaj mi stąd!

- Bez Dereka MacDonalda nigdzie się nie ruszę.

- Tego już za wiele. - Inspektor Finnie wyjął radiotelefon. - Dzwonię do nadkomisarza.

- Jak chcesz. - Insch uśmiechnął się wrednie. - Tylko nie zapomnij mu powiedzieć, że ja ścigam mordercę, a wy się tu bawicie w policjantów i ćpunów. Na pewno mu zaimponujesz.

- O rany... - Finnie obejrzał się przez ramię na dom. - Jak się nazywa ten gość, którego szukacie?

- Derek MacDonald.

- No to nie mogę wam pomóc. A teraz spierdalajcie, z łaski swojej, zanim was ktoś zobaczy. Mam tu ważną operację...

- Nie interesuje mnie twoja operacja.

- Ale z ciebie kutafon...

- Prowadzę sprawę morderstwa.

- Pewnie. Byle było po twojemu. Pieprzyć sześć tygodni harowy innych ludzi. Oto przykład pracy zespołowej, Insch.

- Ja chcę tylko Dereka MacDonalda.
- On tu nie mieszka!
- Taki wysoki... - wtrąciła Mamuśka Stewart, uśmiechając się do Finniego. - Szatyn, z baczkami, ma dwadzieścia kilka lat, skrzywiony nos i okulary jak Harry Potter...
- Finnie obszedł samochód dookoła i wsiadł z przodu, obok Inscha.
- Podjedź do końca ulicy. Potem skręć w lewo...
- Co ty, głuchy jesteś? Nigdzie się nie...
- Próbuje wam pomóc! Do końca i w lewo!

Po dwóch skrętach w lewo znaleźli się w wąskim zaułku, równoległym do uliczki, z której wyjechali.

- Zatrzymaj się tutaj. - Finnie wskazał wolne miejsce obok podejrzanie znajomo wyglądającego vauxhalla w stanie przedzawałowym. - Pięć minut.

Wysiadł i przez żelazną furtkę wszedł do ogródka domu z zabitymi oknami. Okrzyknął go i zniknął im / oczu.

- Widział pan dzisiejsze gazety? - spytał Insch, wyciągając spod siedzenia nowy „Press & Journal”. Nagłówek na pierwszej stronie: ADWOKAT

WYMUSIŁ NA POLICJI ODWOŁANIE OCHRONY MACINTYRE'A! Do tCgO duZC zdjęcie

posiniaczonej twarzy Sandy'ego Węża. - Muszę powiedzieć, że zaczynam lubić tego pańskiego brudasa z Glasgow.

Insch wgrzył się w paczkę miętówek, a Logan zaczął przeglądać artykuł. Colin Miller rzetelnie obsmarował Moir-Farquharsona - zaprzeczył połowie tego, co Wąż powiedział innym mediom, i zrobił z niego egoistycznego sukinsyna. Nic dziwnego, że inspektor był zadowolony.

- Oprawę to sobie w ramki - stwierdził, zabierając Loganowi gazetę. Rozłożył ją na kierownicy i przyglądał. - Zdjęcie też niczego sobie, prawda? Świetnie widać siniaki.

- A ja myślę, że to straszna szkoda - mruknęła Mamuśka z zawziętą miną i rękami założonymi na piersi. - Chłopak miał całe życie przed sobą, dziecko w drodze... Ten, kto go pobił, powinien się wstydzić. Wie pan, rozmawiałam niedawno z Denise...

Insch kazał się jej zamknąć.

Mamuśka nadal się gniewała, kiedy wrócił Finnie, niosąc szarą kopertę formatu A4. Wyjął z niej zdjęcie.

- To on?

Mamuśka zmrużyła oczy.

- Ależ tak! Ma śliczne włosy, prawda? Zupełnie jak chłopak naszego Normana. Na pewno używa świetnego szamponu.

- To Jimmy Duff. Miejskowy. Drobny diler.

- Jest nam potrzebny — oświadczył Insch i rozpoczął negocjacje z Fin-niem.

Tylko Logan zauważył wyraz twarzy Mamuśki Stewart, kiedy dowiedziała się, że Derek MacDonald wcale nie jest Derekiem MacDonaldem. Nie był to miły widok.

Informatycy z policyjnego laboratorium komputerowego przestali im wreszcie maile z hotmailowego konta Jasona Fettesa. Logan zaczął się przez nie przekopywać, ignorując spam i inne śmieci i wyszukując wiadomości od ludzi ze środowiska BDSM: oferty pieniędzy za seks i propozycje schadzek.

Wyglądało na to, że Fettes miał grono stałych znajomych i klientów, z których żaden nie posługiwał się prawdziwym nazwiskiem. Adresy mailowe też niewiele pomogły, bo najczęściej wyglądały tak „okrutnandomi-na69yahoo.com” albo tak

„kotkaktoralubibolhotnmail.co.uk. „Najpierw spotykali się w jakimś aberdeeskim lokalu, po czym umawiali się: „U mnie, czwartek o szóstej. Przynieś żel”. Żadnych nazwisk, żadnych adresów, żadnego pożytku.

Uporządkował maile chronologicznie, wydrukował i poszedł z nimi do Inscha.

- Nie, wcale nie... Nie... Słuchaj, to, że uważasz się za... tak... Po prostu go zgarnijcie. Bo jak wy go nie zgarniecie, to ja to zrobię! - Inspektor rzucił słuchawką, skrzywił się i wygrzebał z szuflady opakowanie oranżady w proszku z laseczką lukrecji. - Poczęstowałbym pana - powiedział do Logana. -Ale sam pan rozumie, jedna słomka...

Logan położył mu na biurku plik maili i zafascynowany patrzył, jak Insch oblizuje koniec lukrecyjowej laseczki, macza ją w białym proszku, oblizuje, macza, oblizuje, macza... I tak cały czas.

- Jasne, wiem. - Kiwnął głową, kiedy się otrząsnął. - To są maile Fettesa. Przejrzałem je. Nie ma nic z tej nocy, kiedy został zabity, ale *zaznaczyłem* wszystkie spotkania z wielbicielami BDSM z poprzednich dwóch tygodni.

- Jakież nazwiska? - spytał inspektor. Białe proszki osiadały mu na górnej wardze jak kokaina.

- Tylko pseudonimy: Domina Nicky, Jenny-Daj-Mi-Klapsa i tym podobne.

- Uhm. - Znów skupił się na maczaniu i oblizywaniu. - No to niewiele nam pomogą.

- Możemy sobie darować wszystkich niewolników, sługi i masochistów - stwierdził Logan, przesiewając stertę. - Oni pierwsi daliby się przypiąć do stołu, zamiast wiązać Fettesa. Musi to być pan/pani, dominant albo switch.

Inspektor spojrzał na niego, unosząc brwi. Lukrecyjowa laseczka sterczała mu z ust jak termometr.

- Widzę, że się pan... wciągnął, sierżancie.

- Najważniejsze, że ci ludzie są stąd, z Aberdeen. Jeśli działają w środowisku, namierzemy ich po tych ksywkach. Może nawet Rickards zna ich osobiście!

Insch oblizwał resztkę oranżady, opukując papierową torebkę, żeby nic się nie zmarnowało.

- No to na co czekamy? Niech pan po niego idzie!

- Tak jest.

W centrali poinformowano go, że Rickards pojechał na akcję z inspektorem McPhersonem, więc Insch będzie musiał poczekać. A tymczasem Logan miał do nadrobienia trochę papierkowej roboty. Film z Fettesem przysparzał im samych zmartwień: Garvie się zabił, bo oni spieprzyli sprawę i pochopnie wyciągnęli błędne wnioski. A teraz, jakby Loganowi mało było wyrzutów sumienia, to jeszcze komendant się wściekł. Insch upierał się, żeby nie rezygnować z Gandego: osoba w czarnym kostiumie mogła być kobietą, ale pozostawał jeszcze kierowca z irlandzkim akcentem, do którego rysopisu Garvie doskonale pasował...

Logan miał jednak coraz więcej wątpliwości.

Schodził właśnie do pokoju telewizyjnego, żeby jeszcze raz przejrzeć nagranie z kamer przy wejściu do szpitala, kiedy z dołu, z aresztu, dobiegły go niosące się echem krzyki i przekleństwa. Łomot, trzask, łoskot. I znowu stek wulgarności. Ktokolwiek to był, Logan nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Kiedy dotarł na parter, minęło go paru posterunkowych,

pędzących w kierunku źródła hałasu. Rozległ się następny głośny huk i przekleństwa.

Zostawił ich z tym samych.

- Ja pierdolę... - Steel chwiejnym krokiem podeszła do stolika Logana, przyciskając do skroni kompres z lodu. Osunęła się ciężko na krzesło. - Nie pytaj. Idź po kawę. Trzy kostki cukru. I weź mi pączka albo jakieś inne ciacho.

Logan chciał coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do słowa:
- Powtarzam: nie pytaj.
Wzruszył ramionami i poszedł po kawę.
- Pączków zabrakło. Wziąłem pani kitkاتا.
Chyba się tym nie przejęła, zajęta siorbaniem, mlaskaniem i krzywieniem się z bólu.
- Ten pieprzony McPherson przyciąga nieszczęście jak magnes - odezwała się w końcu. -
Wiesz, ile czasu przesiedział na zwolnieniach przez ostatnie cztery lata?
- Nie wiem.
- Ja też nie. - Zmarszczyła brwi. - Ale na pewno dużo. Chyba częściej jest na chorobowym niż w pracy.
- Co się stało?
- Mówiłam, żebyś o nic nie pytał? Którego słowa nie zrozumiałeś? A w ogóle co ty tu robisz? Kazałam ci przecież wziąć sobie wolne... Logan wstał i zaczął zbierać puste naczynia na tacę.
- Trafiliśmy na nowy ślad w sprawie zabójstwa Fettesa.
- Tak? - Steel dojadła batonik i zgmiotła papierek w dłoni. - Myślałam, że Cudowny Grubcio Insch już rozwiązał tę sprawę.
- No cóż, jak by to... Udało nam się ją na nowo zaplątać.
- Siadaj.- Inspektor wskazała mu krzesło, z którego przed chwilą wstał. - Chcę to usłyszeć.
- Niewiele jest do opowiadania. Znaleźliśmy film z Fettesem. Leży przypięty do stołu, a jakaś domina najpierw go bije packą, a potem dokonuje penetracji. Ręką. Fettes praktycznie wykrwawia się na śmierć przed kamerą.
Steel wzięła kubek z kawą i dźwignęła się.
- Chodź, obejrzymy to sobie.
- Ale...
- To ja prowadzę sprawę Fettesa, zapomniałeś? Gruby inspektor tylko mi pomaga. Więc rusz tyłek i idź po ten film.

Obejrzała go w milczeniu.

- Jeszcze raz - zarządziła.
Logan włączył odtwarzanie od początku. Kiedy tajemnicza kobieta zaczęła kapać parafiną z pałacej się świecy na plecy Fettesa, rozległo się pukanie, drzwi się uchyliły i posterunkowy Rickards wetknął głowę do pokoju.
- Sierżant Mitchell mówił, że chciał mnie pan widzieć...
- Mam tu listę pseudonimów, chciałbym, żebyś ją przejrzał... Logan nie dokończył zdania. Z twarzą posterunkowego było coś nie tak. Bardziej niż zwykle nie tak. Lewy policzek wyraźnie mu spuchł.
- Co ci się stało?
- Inspektor McPherson. Tak jakby to coś wyjaśniało.
- Jaka diagnoza? - spytała Steel, nie odrywając oczu od ekranu.
- Złamana ręka, dwa pęknięte żebra, wstrząśnienie mózgu. *Zatrzymali* go w szpitalu.
- Pięknie. Wiecie chyba, komu dostaną się jego sprawy? Znowu! Logan spodziewał się dalszych wyjaśnień, ale się nie doczekał. Sięgnął więc po listę znajomych Fettesa z kręgu BDSM i podał ją Rickardsowi.
- Potrzebne mi są ich prawdziwe nazwiska i adresy. Rickards zbladł.
- Rozumiem... ale, panie sierżancie, ja... to byłoby nieetyczne... oni...
- Chodź no tu. - Logan wskazał na ekran: kobieta okładała Fettesa skórzaną paletką. - Widzisz? To nasza ofiara, facet, któremu ktoś wyrócił bebechy na lewą stronę. Jak myślisz, co jest ważniejsze: anonimowość twoich kumpli czy złapanie człowieka, który go zabił?

- Ale... Ja tylko...

Odgłosy bicia stały się głośniejsze, jęki i postękiwanie zakneblowanego i unieruchomionego Fettesa również. Na ekranie pojawił się olbrzymi sztuczny penis.

- No dobrze... - Rickards poczerwieniał. - Część z tych osób można od razu odsiać; nie wszyscy bawią się w penetrację... - Wyjął długopis i zaczął kreślić po liście. - Owszem, zdarza się, że domina zmienia coś w swoim zachowaniu, żeby uwzględnić nową fantazję niewolnika, ale zwykle ludzie po prostu robią to, co lubią najbardziej.

Sytuacja na filmie stawała się coraz poważniejsza. Twarz Rickardsa wprost eksplodowała czerwienią.

- Emm... No, taka penetracja to już naprawdę rzadkość... Dalsze pseudonimy zaczęły znikać z listy, aż zostały tylko trzy: Wielki nurek, Niegrzeczna Nicky i Pani Barclay.

Insch siedział u siebie w gabinecie i zgrzytał zębami, kiedy Logan przyniósł mu okrojony spis podejrzanych. Fakt, że naprzeciwko siedziała Steel, bawiąc się ramiączkiem stanika - i nadzorując pracę inspektora pewnie mu nie pomagał. A Logan wiedział, że w jakiś pokrętny sposób koniec końców okaże się, że to wszystko jego wina.

- Wielki Nurek odpada - powiedział, podając listę Inschowi. - Oglądałem ten film chyba z dziesięć razy: to na pewno jest kobieta. Rickards twierdzi, że te dwie lubią takie gierki jak na filmie z Fettesem, ale wątpi, żeby tak je poniosło. Mają duże doświadczenie.

- Mimo to trzeba je tu ściągnąć. Tego Nurka też. Przyciśniemy ich i... - Insch zerknął z ukosa na Steel. - Co jest?

- Nic. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu wydaje mi się, że należałoby to rozegrać delikatnie. Pomalutku. Insch spochmurniał.

- Dziękuję za cenne spostrzeżenie, pani inspektor, ale nie zamierzam się cackać z bandą gumolubnych...

- To była tylko sugestia, nic więcej. Znam parę osób z tego środowiska i wiem, że jak pogra pan z nimi za ostro, zamkną się przed panem jak uda dziewczicy. To nie są jakieś szczeniaki, którymi można pomiatać: to adwokaci, księgowi, analitycy biznesowi...

Logan musiał jej przyznać rację.

- BDSM to rozrywka dla klasy średniej.

- No jak Boga... Dobrze, niech wam będzie. Proszę ich tu ściągnąć. Poczestujemy ich herbatką i ciasteczkami, psiakrew!

- A tymczasem niech pan każe szukać Jimmy'ego Duffa - powiedziała Steel, już nie bawiąc się ramiączkiem. - Tylko radzę uważać: to niezły cwaniak.

Krew napłynęła Inschowi do twarzy.

- Tak jest, pani inspektor. Coś jeszcze, pani inspektor?

- Właściwie tak... Zabiorę panu na chwilę Łazarza.

- Ale...

- Proszę mnie informować o postępach w śledztwie. Fajnie by było, gdyby tym razem się panu udało, nie tak jak poprzednio.

Steel zdążyła wyjść z pokoju, zanim Insch zaczął przeklinać. Logan wybiegł za nią, nie chcąc oberwać rykoszetem.

- Do czego jestem pani potrzebny? - spytał, oglądając się przez ramię. Spodziewał się, że Insch wyłamie drzwi, wyskoczy na korytarz i zacznie siać zniszczenie niczym ogromna, różowiotka Godzilla.

- Sean Morrison: listy z pogróżkami. Pamiętasz?

— Ale Fettes...

- Oboje wiemy, że bez Jimmy'ego Duffa Insch nie ruszy tamtej sprawy z miejsca, więc jaki jest sens siedzieć i patrzeć, jak partoli kolejne przesłuchania tych ludzików od BDSM? - Steel

poklepała Logana po plecach. -Pomyśl, świetnie się zabawisz, nie widząc tej jego paskudnej facjaty.

Logan myślał jednak tylko o tym, co Insch mu zrobi, kiedy znów się spotkają.

47

Pod domem Morrisonów stała furgonetka firmy szklarskiej Bon Accord Glass. Dwóch pracowników zmagalo się z olbrzymią płytą sklejkę, by nie odfrunęła w siną dal we wściekłych podmuchach wiatru. Niepewne krople deszczu wystukiwały na niej nierówny rytm, kiedy wreszcie udało się przyłożyć ją do wybitego okna i spróbować umocować. Zanośli się na sztorm: mroczne chmury, ciemne morze, ponure domy - ale Logan tego nie zauważał. Razem z inspektorem Steel podbiegli do drzwi.

Pan Morrison wyglądał kiepsko: fioletowoszare sińce pod oczami, zapadnięte, niedogolone policzki i włosy sterczące na wszystkie strony. Wpuścił ich bez słowa, powlókł się do salonu, klapnął na fotel i zagapił na sklejkę, która przestoniła okno. W radiu na kredensie podekscytowany spiker czytał wiadomości: najpierw coś o naręczach kwiatów dla Roba Macintyre'a, potem o jakimś lokalnym zespole muzycznym, który podpisał kontrakt z dużą wytwórnią płytową.

Na podłodze wśród rozbitego szkła leżał granitowy blok. Potężny. Wrzucić go do środka przez podwójnie oszklone okno mogły tylko wspólnym wysiłkiem dwie, a nawet trzy osoby.

- Ogródek skalny pod dachem, coś dla ludzi z klasą. - Steel podrapała się po ramieniu i wyjęła paczkę gum nikotynowych, częstując wszystkich jak papierosem. - Dalej dostaje pan pogródki w listach? Czy tylko ten kamulec?

Morrison nawet na nią nie spojrział.

- Komuś mogła się stać krzywda. Gwen źle się czuje...

- No tak, racja. Przepraszam.

Logan ze zdumieniem stwierdził, że przeprosiny inspektora brzmią całkiem szczerze.

- Nadal dręczą państwa telefonami?

Morrison pokręcił głową.

- Zmienił numer, kiedy Sean... się znalazł.

- No, to już coś. - Steel podeszła do ocalałego okna. Odłamki szkła zgrzytały jej pod butami.

-A gdzie się podziali dziennikarze? Morrison wzruszył ramionami.

- Chcemy tylko odzyskać syna.

- Aha. Nie wie pan, kto mógł tu wrzucić taki kawał granitu?

- Pozwolą mu chyba odwiedzić matkę, prawda? Gwen źle się czuje... Steel przymknęła oczy; potarła nasadę nosa żółtymi od nikotyny palcami, jakby od tego przestawała boleć głowa.

- Sierżancie McRae, zaparzy pan herbaty? I może znajdą się jakieś ciasteczka...

W kuchni był potworny bałagan: brudne naczynia piętrzyły się w zlewie, pranie wysypywało się z kosza, na płycie kuchenki czarna, oleista warstwa spalenizny przypominała ogromne strupy, obok kosza stały pękate torby ze śmieciami, tak jakby Morrison bał się wyjść na dwór i wyrzucić je do pojemnika. Logan czuł się jak wścibski intruz, kiedy buszował w tym chaosie, udając, że szuka herbaty. W szafkach nie znalazł dosłownie nic, nawet jakiejś zapomnianej zupy w puszcze. Niedługo pan Morrison będzie musiał wyjść do sklepu, jeśli nie chce, żeby oboje z żoną umarli z głodu. Ciekawe, czy mógłby bezpiecznie zamówić jedzenie z dostawą do domu -czy raczej należało się spodziewać, że w charakterze dodatków otrzyma gratisowo porcję flegmy i psiego gówna. Nie ma to jak być rodzicami niesławnego

dziecka.

Na blacie stał mały pojemnik z napisem HERBATA - równie pusty jak szafki. Logan otworzył szufladę pełną kopert — nareszcie coś interesującego. Niektóre zostały otwarte, ale większość nie. Logan włożył lateksowe rękawiczki i wyjął jeden z listów: „Wasz syn to potwór! Pomścimy emeryta! Krew za krew!” Ciągnęło się to przez półtorej strony, ale intencja była z grubsza taka: powinno się znowu wprowadzić karę śmierci i orzec jaw przypadku Seana Morrisona. Nawet jeśli ma dopiero osiem lat, śmierć przez powieszenie to i tak dla niego wielka łaska.

Wygarnął wszystkie koperty z szuflady i zaniósł do salonu.

- Przykro mi - powiedział, kładąc je na stoliku. - Nie ma ciasteczek. Ani mleka. Ani herbaty.

- Ojej... - Steel była zawiedziona, ale ożywiła się na widok korespondencji.

- Znalazłem je w kuchni, kiedy szukałem herbaty.

- Kazaliście nam je zbierać, to zbieramy. - Morrison się wzdrygnął. — Ale już ich nie czytam...

Steel pokiwała głową, pożyczyla od Logana rękawiczki i zaczęła grzebać w listach. Wyciągała je z kopert i czytała, mrużąc oczy.

- A to wredne gnojki... - mruknęła i spytała Logana, czy ma ze sobą torebkę na dowody rzeczowe. - Zabierzemy je i zobaczymy, czy na coś się przydadzą. Przyślę też do państwa jakiegoś specja od odcisków palców, żeby obejrzał ten kamulec, dobrze?

Morrison nie odpowiedział. Wpatrywał się tępo w zabite okno.

- Tak się zastanawiałem...- odezwał się Logan, kiedy szli do drzwi. - Ten kolega Seana, Ewan. Jego ojciec kontaktował się w ogóle z państwem?

Morrison spojrzał na niego zdziwiony, jakby nieprzytomny. Logan miał wrażenie, że facet nie spał od tygodnia.

- Nie. Ani razu, odkąd Sean przestał bywać u Ewana. Odkąd wróciliśmy z Guildford.

- Czyli nie mówił panu o wandalach, którzy zaturawają mu życie?

- Bardzo państwa przepraszam, ale muszę podać Gwen lekarstwo. -Morrison wstał z fotela. — Źle się czuje.

Wyszli i przebiegli w deszczu do samochodu.

- Nie mógłbyś się skupić na jednej rzeczy? - spytała Steel, kiedy Logan włączył ogrzewanie. - Wandalizm! Wyskoczyłeś z tymi wandalami...

- Nie zastanawiała się pani, dlaczego Sean...

- No nie, jak Boga kocham, znów to samo. Wystarczy mi, że muszę się użerać z tymi psychologami dziecięcymi. Sean jest paskudnym, wrednym gówniarzem i nie ma co tego roztrząsać.

Ruszyli w drogę powrotną do komendy.

- Mnie to nie przekonuje. Nikt nie zmienia się tak po prostu z grzecznego chłopczyka w złodzieja i nożownika, który bez powodu morduje staruszków i dźga policjantów. Coś się musiało stać.

- Posłuchaj - westchnęła Steel. - Tylko uważnie. Mam. To. Gdzieś. Jasne?

- Rany, naprawdę nie uważa pani, że to trochę...

- Mam to gdzieś, do diabła! Kiedyś wszystko było prostsze: łąpało się bandziora, zamykało go i zapominało o nim na siedem, osiem lat. A dzisiaj? Wszyscy pieprzą o „dobru społeczności” i „analizie zachowania przestępcy”. Tym z wydziału społecznego należałoby solidnie skopać dupsko, najlepiej kowbojkami.

- Dlaczego Sean niszczył dom swojego najlepszego kumpla?

- Czy my na pewno oboje mówimy po angielsku? Halo, McRae? Gównu mnie to obchodzi!

- Dlaczego tamci nie powiedzieli, kto ich prześladowa? Przecież wiedzieli, że to on. Moglibyśmy...

- Cholera by cię wzięła... Dobrze! Niech ci będzie. Dziesięć minut. Wpadniemy do nich na dziesięć minut. Ale jeśli niczego nowego się nie dowiemy, nigdy więcej... Słyszysz? Nigdy więcej nie wspomnisz o bachorze... Jak zacięta płyta... - Poczerwieniła z wściekłości.

Ewan Whyte, kiedyś najlepszy przyjaciel Seana, był jeszcze w szkole, a jego ojciec w pracy, ale zastali w domu matkę i siostrzyczki: dziewczynki bawiły się w kuchni w malowanie obrazków palcami, a pani Whyte pilnowała, żeby nie robiły głupstw - czyli nie jadły farby i nie ozdabiały ścian. Steel wyłagała u niej filiżankę kawy i herbatnika, a Logan wyszedł do ogródka porozmawiać z dziadkiem Ewana.

Znalazł go w drewnianej szopie - śmierdziało w niej olejem silnikowym i ręcznie skręcanymi papierosami. Pan Whyte czyścił właśnie noże starej kosiarki do trawy. Na widok Logana uśmiechnął się i pomachał mu ręką.

- Może pan potrzymać? - poprosił, kładąc kosiarkę na boku i sięgając po odrzewiacz.

- Pamięta pan, jak byłem tu poprzednim razem? Rozmawialiśmy o Seanie Morrisonie. Whyte kiwnął głową.

- Czytałem w gazecie o jego aresztowaniu. Wie pan, że policjanci strzelili mu w twarz gazem pieprzowym? Ośmiolatkowi, gazem w twarz! Dziękuję, już może pan puścić.

- Zastanawiam się, dlaczego pański syn na niego nie doniósł. Przecież wiedział, że to on wybija wam okna. Pan Whyte uśmiechnął się smutno.

- Chciał to zrobić, a jakże, ale nigdy nie mieliśmy dowodów. A ja uważałem, że Seanowi i tak nie jest łatwo. Jego dziadek walczył o życie, chłopak zawałał szkołę... Nie mogliśmy mu tak dokładać. - Zdjął kosiarkę z warsztatu. Stęknął z bólu. - Stara kontuzja. Zawsze mnie rwie, jak jest wilgotno. Napije się pan herbaty? To dla mnie żaden kłopot.

Ruszyli przez trawnik w stronę domu, ale pan Whyte zatrzymał się jeszcze przy oczku wodnym. Duża pomarańczowo-biała ryba podpłynęła do lustra wody i zaraz zniknęła w ciemnej toni.

- - Mój syn to dobry człowiek, sierżancie. Pod wieloma względami lepszy z niego ojciec niż ze mnie. Czasem się tylko niepotrzebnie unosi... Ale

jestem pewien, że z czasem wybaczy Seanowi. Bardzo przeżył śmierć brata, a Sean jest taki podobny do Craiga... - Zadrżał. - To jak z tą herbatą?

W deszczu komenda policji wyglądała jeszcze bardziej ponuro, niż kiedy dzień był pogodny. A w środku - kałuże naniesionej z ulicy brudnej wody. Sierżant Mitchell dopadł Logana, ledwie ten zdążył przekroczyć próg.

- Co z tobą? - Nastroszył wąsy. - Nie masz komórki? Nie jestem twoją sekretarką!

Logan wyciągnął telefon i spojrzał na wyświetlacz: bateria się rozładowała. Żadne usprawiedliwienie.

- A na pewno masz dobry numer? Bo ja...

- Chyba nie bez powodu wszyscy dostajecie służbowe radiotelefony?

- Ale o co chodzi?

- Ten twój dziennikarz z Glasgow wydzwaniał tu jak głupi. Weź, od-dzwoń do niego, na Boga. Jak jeszcze raz będę musiał wysłuchać tego jego bełkotu, to chyba naprawdę kogoś zabiję. Reszta wiadomości w mai-lu. - Mitchell pogroził Loganowi palcem, jak zdenerwowany nauczyciel. - I włącz ten cholerny telefon, bo inaczej cię podkabluję. Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż wciąż cię szukać.

W biurze WK zawsze można było znaleźć przeróżne ładowarki, więc Logan podłączył się do takiej, która pasowała do jego telefonu. Wygrzebał z szuflady biurka radiotelefon: cztery razy większy niż komórka, ale chwilowo musiał mu wystarczyć. Akumulator naładowany prawie na maksimum - nic dziwnego, skoro Logan właśnie nie korzystał z aparatu.

Najpierw zadzwonił do Millera, ale połączył się z pocztą głosową, więc zostawił tylko wiadomość i numer kontaktowy; jeżeli sprawa jest naprawdę ważna, Miller oddzwoni - a on tymczasem pogrzebie w komputerze.

Minęła ponad godzina, a on nie posunął się ani o krok naprzód. Ze wszystkich policyjnych baz danych wynikało, że rodzina kiedyś najlepszego kumpla Seana Morrisona jest czysta jak lza. Nikt nie dostał nawet mandatu za złe parkowanie. Jediną skazą na honorze Whyte'ów był Craig, nieżyjący stryj Ewana. W wieku szesnastu lat wdał się w bójkę: kijem bilardowym trwale okaleczył kierowcę ciężarówki za to, że ten nazwał go pedałem. Trafił do więzienia, wyszedł, pobił swoją dziewczynę, zaliczył terapię, po czym przedawkował proszki nasenne. Daniel nie miał żadnych powodów, aby być o niego zazdrosnym: Craig nie dożył swoich dwudziestych czwartych urodzin.

Kiedy służbowy radiotelefon zadzwonił, nieznajomy dźwięk kompletnie zaskoczył Logana. Mało brakowało, a nie zdążyłby odebrać.

- Gdzieś ty się podziewał, facet?! Dzwonię i dzwonię!

Colin Miller był podekscytowany, jak zwykle w ostatnich dniach.

- Witam. - Logan pociągnął łyk kawy, niestety zupełnie już zimnej. Wypłuł ją do kubka. - O Jezu...

- Udało się!

Spojrzał podejrzliwie na mętną ciecz i wylał ją do doniczki.

- Co się udało? Komu się udało?

- Chłopiec! Trzy i pół kilo! I kurde, taki śliczny! Te paluszki, te stopki, super!

- Aha... — Świeżo upieczonym ojcom powinno się mówić miłe rzeczy. - Gratuluję. Jak się czuje Isobel?

- Jest wykończona. Grozi, że jak się jeszcze kiedyś do niej zbliżę, odrąbie mi wacka. - Miller parsknął śmiechem. - Wyobrażasz sobie? Sześć dni przed terminem!

- No, to chyba...

- Musisz przyjechać go zobaczyć!

- Widzisz, Colin...

Logan obrzucił biurko spojrzeniem: żadnych pilnych spraw, trzeba po prostu wyręczyć Steel w przetruceniu papierów - czyli wypełnić za nią obowiązki, do czego jej się nie spieszy. A im prędzej wróci do Inscha, tym prędzej ten stary nudziarz wydrze się na niego, że uciekł do Steel. Tak jakby on, Logan, miał coś do gadania.

- W porządku. Przyjadę.

Zaparkował służbowy samochód najbliżej oddziału położniczego, jak tylko się dało, i w deszczu przebiegł do szpitala. Pielęgniarka wskazała mu drogę, i po szybkich zakupach w sklepiku Królewskich Ochotniczek skręcił we właściwy korytarz, niosąc napełniony helem balonik w kształcie kota, bombonierkę i okolicznościową kartkę z napisem „To chłopiec!” Tak jakby rodzice o tym nie wiedzieli.

Miller czekał na niego przy drzwiach porodówki.

- Łazarz, chłopie! Chodź, zobaczysz brzdąca!

Następne dwadzieścia minut zlało się w pamięci Logana w mętną całość. Dziecko, mimo zachwyty dumnego tatusia, do złudzenia przypominało ogoloną małpkę, ale Logan udawał, że tego nie widzi, i nic nie powiedział. Isobel wyglądała fatalnie: blada, spocona,

wyczerpana, podkrążone oczy. Dłuższe odwiedziny by ją wykończyły, szybko więc pożegnał się

i obiecał Colinowi, że spotkają się o dziewiątej, kiedy to wyganiano ze szpitala wszystkich ojców, i ochrzczą malucha trzydziestopięcioletnią jed-nosłodową whisky, kupioną specjalnie na tę okazję.

Deszcz przestał padać i wieczorne słońce przedarło się przez nisko zawieszone chmury, malując miasto złotem i ochrą i wydłużając cienie, w miarę jak chyliło się w stronę widnokręgu. Logan wsiadł do samochodu i włączył radiotelefon, próbując przypomnieć sobie, jak odsłuchać wiadomości - bez powodzenia.

Zadzwoił więc do centrali i poprosił o przełączenie do sierżanta Mitchella.

- Jak pragnę zdrowia, nie jestem twoją...

- Sekretarką, do diabła. Wiem. Posłuchaj, przynajmniej już zacząłem używać tego cholerstwa. Czego jeszcze chcesz?

- Ach, cuda się zdarzają... Insch cię szuka.

- Nie wiesz może...

- Nie. Więc nie pytaj.

I tyle.

Dochodziła piąta: gdyby udało mu się jeszcze przez dziesięć minut nie wpaść w szpony inspektora, mógłby się odmeldować i czmychnąć do domu, odkładając nieuniknioną awanturę do następnego dnia. Tylko że oznaczałoby to spotkanie z Jackie...

Zadzwoił do Inscha na komórkę.

- Gdzie pan jest?

Mógłby skłamać, ale uznał, że nie warto drażnić byka.

- W szpitalu.

- Gdzie?... - Na moment w słuchawce zapadła cisza. - Jakim cudem się pan... Nieważne. Ten sukinsyn już przyjechał?

- To znaczy... - Logan rozejrzał się po parkingu, zachodząc w głowę, kogo inspektor może mieć na myśli. - Który sukinsyn?

- Jak to: który? Sandy Wąż, któżby inny? Jak tylko przyjeżdżają z telewizji, kręci się wokół nich jak smród po gaciach.

- Jeszcze go tu nie widziałem — odpowiedział Logan zgodnie z prawdą.

- O wół do siódmej mam próbę, więc muszę się zdać na pana: proszę pilnować, żeby ten łajdak nie palnął jakiejś głupoty, dobrze? Nie chcemy nowego zatargu z mediami.

O co chodzi Inschowi? Znow jakaś przykra niespodzianka. Normalka.

Zebrali się przy wejściu, z transparentami „Kochamy cię, Rób!” „Wracaj do zdrowia!” „AFC Mistrz!” Po obu stronach drzwi piętrzyły się stosy kwiatów, a wśród nich tu i ówdzie poniewierały się pluszowe misie w barwach FC Aberdeen. Co druga osoba w tłumie miała pod kurtką klubową koszulkę. Wszyscy rzewnymi głosami śpiewali piłkarskie songi.

- O Boże... - mruknął Logan. Stał obok jednej z umundurowanych funkcjonariuszek przydzielonych do ochrony szpitala. - Długo tak zawodzą?

Pokiwała głową. Kiedy się krzywiła, jej twarz marszczyła się jak kurzy kuper.

- Od rana, odkąd napisali o nim w gazetach. Jakiś koleś rzucił wiecheć paskudnych goździków, kupionych na stacji benzynowej, a potem wszyscy zaczęli tu znosić kwiaty, jakby Macintyre był co najmniej księżną Dianą... A ci tylko pogarszają sprawę. - Wskazała dziennikarzy telewizyjnych. Stali z boku w grupce, popijając kawę i herbatę ze styropianowych kubków.

Musieli czekać jeszcze dobre pół godziny, zanim coś naprawdę zaczęło się dziać: matka i narzeczona Macintyre'a wyszły ze szpitala, całe rozszlochane na użytek fanów i kamer. Mrok wieczoru rozpraszały ostre światła reflektorów. Matka Macintyre'a stanęła przed kamerami, ocierając chusteczką łzy.

- Dziękuję wam wszystkim, że przyszliście tutaj, żeby życzyć mojemu synkowi powrotu do zdrowia.

To był wstęp, potem się roztkliwiła: jej najdroższy Robert jest najlepszym synem na świecie, z całą pewnością nie zasługuje na to, co go spotkało, i jeśli ktokolwiek wie, kto go skrzywdził... Mniej więcej to samo mówiła na konferencji prasowej, z tą tylko różnicą, że bez udziału Moir--Farquharsona.

- Dobre dziecko, akurat - mruknęła posterunkowa, ale po cichu, półgłosem, żeby nikt nie słyszał. — Pieprzony gwałcieł. Oberwał, bo mu się należało, a ten, co go załatwił, powinien dostać medal.

Posypały się pytania - głównie w stylu: „Jakie to uczucie mieć syna w stanie śpiączki?”, tak jakby dziennikarze spodziewali się, że matka albo narzeczona Macintyre'a odpowiedzą, że to supersprawa. Potem zaczęli wypytywać o zdrowie piłkarza i wpływ całej sytuacji na plany matrymonialne młodych. Ashley wyprostowała się dumnie, kładąc rękę na niedużym jeszcze brzuszku.

- Na pewno się pobierzemy! Robert musi wyzdrowieć. Jego dziecko potrzebuje tatusia, a ja zawsze będę go wspierać.

- Jego i jego bajońską umowę na książkę - syknęła posterunkowa. -Według pana, jak się dogadały z matką? Fifty-fifty? To góra forsy.

- Wie pani... On jest w śpiączce...

- Dobrze mu tak.

Pytania nie ustawały. Wcześniej to Sandy Wąż dbał o medialny aspekt sprawy - manipulował, kręcił, łgał; teraz, kiedy go zabrakło, matka Macintyre'a musiała wziąć to na siebie - i spisywała się doskonale, wysługując się Ashley tylko sporadycznie, gdy trzeba było zapłakać do kamery.

Ashley tłumaczyła właśnie dziennikarzom, że jej ukochany Robbie muchy by nie skrzywdził, kiedy jakiś pijaczek zatoczył się i wpadł w tłum.

- Skurwiol zasługuje na śmierć! - zawołał.

Logan od razu go rozpoznał: Brian Jakiśtam, chłopak szóstej ofiary Macintyre'a, Christine Forrester - po niej piłkarz spotkał na swojej drodze Jackie, dostał kopa w jaja i trafił do aresztu.

- No, zaczyna się...

Facet nie był lekko wstawiony, tylko po prostu zalany w sztok. Łzy ciekły mu po twarzy, kiedy wrzeszczał, że ten pieprzony łajdak Macintyre zasłużył na śmierć; że śpiączka to za mało; że zniszczył życie Christine; że ją zabił. Kamery natychmiast zwróciły się w jego stronę, rejestrując cierpienie, które świetnie sprzeda się w serwisie informacyjnym.

Logan przepchnął się przez kordon dziennikarzy i chwycił Briana za łokieć.

- Chodź, Brian. To nie ma sensu. Pójdziemy...

Ale Brian był silniejszy niż się wydawało: wyrwał się i obrzucił rodzinę piłkarza stekiem wyzwisk. Logan gestem przywołał posterunkowa i kazał jej wyprowadzić chłopaka — ale Brian nie zamierzał się poddać bez walki: przyskoczył do Ashley, krzycząc:

- Dalaś mu alibi, kurwo jedna! Ty kłamliwa suko! Mogli go powstrzymać! - Zamachnął się, ale chybił. - To wszystko twoja wina.

- Proszę pana...

Posterunkowa złapała go za nadgarstek i wykręciła mu rękę, zanim zdążył komuś zrobić krzywdę. Odciągnęła do stamtąd. Kamerzyści pospieszyli za nimi.

Logan zasugerował matce i narzeczonej Macintyre'a, żeby korzystając z chwili wytchnienia od mediów, odjechały do domu.

- Zanim znów się coś wydarzy - dodał.

Matka patrzyła wściekle na Briana. Szarpał się przez cały czas, nawet już za szpitalnymi drzwiami.

- Chcę wnieść skargę! Nikt nie ma prawa tak się do nas odzywać; mój synek jest w śpiączce!

- Może wrócimy do tej rozmowy jutro, jak emocje trochę opadną?

Logan przeprowadził kobiety przez tłum życzliwych kibiców na drugą stronę ulicy, do samochodów. Matka Macintyre'a pilotem otworzyła srebrne audi, jeden z kilku luksusowych wozów w kolekcji piłkarza. Najwyraźniej mały czerwony hatchback już jej nie wystarczał.

- Fajne auto - powiedział Logan. - Nowe?

Udając, że nie słyszy, usiadła za kierownicą. Przytrzymał drzwi, zanim zdążyła je zamknąć.

- Co się stało z waszym adwokatem, panem Moir-Farquharsonem? Spiorunowała go wzrokiem.

- To przez niego mojemu synkowi stała się krzywda! Czytałam o tym w gazetach: kazał odwołać ochronę Roba. - Miała brzydką, zaciętą twarz. - Od nas nie dostanie już ani pensa!

Zapięła pasy. Ashley - wyraźnie poruszona wybrykiem Briana — usiadła na miejscu dla pasażera. Logan puścił drzwi, a pani Macintyre zatrzasnęła je głośno. Otworzyła za to okno.

- Mój synek omal nie zginął. Powinien pan szukać tych, co go pobili, a nie wypytywać ludzi o samochody i adwokatów! Tak zachowuje się policjant?! Jak panu nie wstyd?!
I odjechała.

A Logan musiał jej przyznać rację: rzeczywiście, powinien się wstydzić.

- To było głupie. - Oparł się plecami o ścianę, patrząc na zapłakanego Briana. - Matka chce wnieść skargę. Spróbuję ją przekonać, żeby tego nie robiła, ale nawet jeśli mi się nie uda, skończy się na upomnieniu. To nie koniec świata.

Zamiast odpowiedzieć, chłopak Christine rozplakał się jeszcze głośniejsze. Wyglądał jak wrak człowieka.

- Chodź, odwiozę cię do domu.

Zanim dotarli na miejsce, przestał płakać i tylko cicho szlochał. Dom był ciemny, zasłony rozsunięte, światła pogaszone — jakby coś wysssało z niego życie. Logan czekał, aż Brian wysiadzie, ale ten ani drgnął.

- Christine na pewno na ciebie czeka.

Żadnej reakcji. Logan wysiadł. Cała ta zabawa naprawdę nie była mu do szczęścia potrzebna - miał dość problemów i bez niańczenia pijanego, beczącego dzieciaka.

Brian nawet nie spojrzął na dom. Nie zauważył, że zapomniał zamknąć drzwi, kiedy wybiegł nawrzeszczeć na matkę i dziewczynę Macintyre'a. Żaden to powód do

zmartwienia, a jednak Logan czuł, jak lodowata łapa zaciska mu się na żołądku.

- Może... - Popatrzył na wymarły dom. - Zaczekaj tutaj, a ja...

- Jest w łazience.

Lodowatej łapie wyrosły pazury.

O osiemnastej dziewiętnaście załoga karetki stwierdziła zgon Christine Forrester. Umarła w kąpieli. Woda, kiedyś pewnie gorąca, już wystygła i poróżowiła. To nie było żadne wołanie o pomoc, Christine odwaliła kawał rzetelnej roboty: długie rany o jasnych krawędziach ciągnęły się od łokci do nadgarstków, poprzeczne cięcia poharatały też żyły. Obok wanny znaleźli dwie puste fiołki: na wszelki wypadek łyknęła opakowanie mocnych środków przeciwbólowych i tabletek nasennych.

Czy po śmierci wyglądała spokojnie? Niestety nie. Śliczne niegdyś oczy wpatrywały się tępo w sufit, usta były półotwarte, jakby chciała coś powiedzieć - na przykład obwinie Logana, że nie powstrzymał Macintyre'a od zgwałcenia jej. Nawet blizna przecinająca krzywą linią jej twarz wydawała się bardziej widoczna niż za życia - bolesna ścieżka wyżłobiona w skórze.

- Zabrać ją? - zapytał jeden z ratowników, zdejmując jednorazowe rękawiczki.

- Nie... Dzięki. Zostawcie ją, tak jak jest.

Musiał zadzwonić do Inscha i - zapewne - do pani prokurator, mimo że ewidentnie mieli do czynienia z samobójstwem. Christine zostawiła list, w którym przeproszała, że okazała się słaba; że nie dała sobie rady; że wszystkim sprawiła zawód.

Tak jakby to była jej wina.

Nie mógł dłużej na nią patrzeć. Zamknął drzwi łazienki i odprowadził ratowników do karetki.

Dopiero za trzecim razem Insch odebrał telefon.

- Co jest?! - Nie był zachwycony.

- Christine Forrester nie żyje. Podcięła sobie żyły i połknęła fiołkę tabletek nasennych.

Cisza. Przekleństwa. Stłumiony głos, jakby inspektor zasłonił mikrofon dłonią. Logan słyszał jednak, jak krzyczy, że finał muszą powtórzyć -i tym razem naprawdę postarać się go nie spieprzyć. Rozległ się trzask i łoskot, jakby zamykanych ciężkich drzwi.

- Kiedy?

- Trzy, może cztery godziny temu. Jej chłopak wrócił do domu i znalazł ją w wannie. Zalał się w trupa i poszedł do szpitala się mścić. Podejrzewam, że gdyby dostał się do Macintyre'a, to by go zabił.

- Chryste Panie...

- Mam zadzwonić do prokurator? Insch się zastanowił.

- Nie, ja zadzwonię... Dlaczego musiała zrobić coś tak głupiego, do diabła?

Obaj znali odpowiedź na to pytanie: dlatego, że to, co zrobił jej Macin-tyre, uszło mu na sucho. Przez nich.

Pracownicy zakładu pogrzebowego włożyli Christine Forrester do stalowej trumny. Wcześniej ekipa z BIO obfotografowała zwłoki, ale obeszło się bez fajerwerków: po prostu zarejestrowano koniec życia człowieka. Wobec braku podejrzanych okoliczności zgonu nie trzeba było wzywać prokurator ani reszty wędrownego cyrku, *przez* co cała scena stawała się jeszcze bardziej przygnębiająca - tak jakby życie Christine było mniej warte od życia

anonimowego ćpuna, zadżganego w zaułku dla garści drobnych na hamburgera.

Logan zostawił Briana pod opieką kogoś z Wydziału Spraw Rodziny i pojechał za karawanem do komendy. Dzienna zmiana skończyła się dwie i pół godziny wcześniej, ale miał masę papierkowej roboty.

Biuro WK było wyludnione, ciszę mąciło tylko powtarzające się popiskiwanie faksu, w którym zabrakło papieru. Usiadł przy swoim komputerze i zaczął pisać.

- No nie! To znowu ty?! - Duży Gary podniósł wzrok znad „Evening Expressu”: Tłumy wielbicieli życzą Macintyre'owi powrotu do zdrowia. -Zacznę ci naliczać czynsz! - pogroził, kiedy Logan podpisał się na liście.

- Jedna z ofiar Macintyre'a popełniła samobójstwo. Gary spoważniał.

- O kurczę...

- No właśnie. Więc przestań się nade mną pastwić; dość już się nasłuchiwałem takich pierdoł od Erica.

- Nie bierz tego tak do siebie - odparł Gary, już uśmiechnięty. -Wczoraj jego córka wzięła rodzinny samochód i owinęła go na słupie. Nic jej się nie stało, ale auto do kasacji. Coś ci powiem. - Wychylił się nad biurkiem i zniżył głos do scenicznego szeptu. - To jego wina, że w ogóle dał je kluczyki. Ja bym wątpił nawet w to, że potrafi sama się wysmarkać, a co dopiero pojechać do sklepu. No ale dziecko to dziecko... Co jest?

Logan okręcił się na pięcie i ruszył tam, skąd przyszedł, ignorując okrzyki Gary'e go:

- Hej! Tak nie można! Musisz się jeszcze raz podpisać!

Technicy od monitoringu śledzili grupę młodzieży na Union Street, przełączając się na kolejne kamery, gdy nastolatkiwie zataczali się, śpiewali i darli wniebogłosy, mijając pozamykane sklepy. Logan zawołał inspektora.

- Możecie sprawdzić stare taśmy ASRTR?

- To zależy, jak stare.

- Z niedzieli i poniedziałku.

- Chyba dałoby radę - odparł inspektor po namyśle. - Ale to potrwa. Logan zmarszczył brwi.

- Długo? Interesują mnie nagrania po... - Szybka kalkulacja. - Powiedzmy po dziesiątej wieczorem.

- Ma pan numer rejestracyjny?

- Nie, ale szukam czerwonego hatchbacka, najprawdopodobniej zarejestrowanego na matkę Macintyre'a.

- No to najszybciej będzie włożyć kasetę do multipleksera i przewijać na podglądzie, aż trafi się jakiś czerwony samochód. - Inspektor wskazał pijane dzieciaki na ekranie. - Jak tylko to skończymy, pomogę panu.

- Pan chyba żartuje! - Insch rozdziawił usta. Nieprzeżute żelki kleiły mu się do zębów. Chór rozpoczął swoją partię w uwerturze po raz drugi, odkąd Logan wszedł do kaplicy. - Pożyczył wóz od matki?!

- Właściwie od ciotki. Trochę to trwało, zanim go namierzaliśmy po numerach, ale kamery zarejestrowały, że wyjeżdżał z miasta i w niedzielę, i w poniedziałek. Zleciłem już przejrzeć nagrania z tych dni, kiedy doszło do gwałtów w Dundee, przynajmniej z tych, z których są jeszcze taśmy. Ludzie z Tayside robią to samo.

- Jest pan pewien, że to on prowadził?

Logan poczęstował się zielonym żelowym ludzikiem i z uśmiechem odgryzł mu główkę.

— Mamy doskonałe ujęcie jego twarzy za kierownicą, jedno na Drive, i drugie, jak wraca

cztery godziny później. Czasu miał aż nadto.

- Ale przecież nagrał was na wideo. - Inspektor wyraźnie nie wiedział, co o tym myśleć. — Pana i Watson...

- Wystarczy, że przed nagraniem przestawił wskazówki zegarka. Wpół do czwartej rano ja czuwałem, a Jackie spała. A u niego na taśmie oboje czuwamy. Ale dotarło to do mnie, dopiero jak znaleźliśmy samochód.

Śpiew ucichł. Ułynęła długa chwila, zanim Insch zdał sobie sprawę, że cała obsada się w niego wpatruje. Wstał i posłał im ponure spojrzenie.

- Kazałem wam przestać? Śpiewać, śpiewać! - Chór wziął się do roboty. - No. Dobra, poczekamy na kontakt od tych z Dundee, i jak tylko dadzą nam cynk, idziemy do prokuratury.

Policjanci z Tayside obiecali oddzwonić, gdy tylko coś znajdą, więc Logan usiadł spokojnie i śledził przebieg próby. Musiał przyznać, że podopieczni inspektora radzą sobie coraz lepiej, a Debbie, którą wszyscy tak wychwalali, wyrasta na niekwestionowaną gwiazdę przedstawienia. Wystarczyły dwa kroki na scenie, żeby zabłysła: z pięknowłosej kobiety pod czterdziestkę zmieniła się w zgryźliwą, zgorzkniałą megierę po zawodzie miłosnym. Jakim cudem zaplątała się pomiędzy Inschowych amatorów?

Minęła blisko godzina, zanim zadzwonili z Dundee.

- I co? - zainteresował się inspektor, kiedy Logan podziękował na rozmowę i się rozłączył.

Logan próbował nie dać po sobie poznać, jak bardzo się cieszy - ale mu się nie udało.

- Mamy go.

Alkohol lał się strumieniami. Po próbie przenieśli się do *Noose and Monkey*, gdzie Insch - w szampańskim nastroju - postawił wszystkim kolejkę. Rickards siedział przy końcu stołu, pograżony w rozmowie z Debbie, a Logan znalazł sobie miejsce obok Renniego i jego wielbicielki. Zamiast jednak słuchać opowieści posterunkowego z cyklu „Jak poznałem Billy'ego Conolly”, obserwował Rickardsa, zarykującego się z żartów jedynej utalentowanej aktorki w całej obsadzie. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtego wieczoru w pubie, kiedy przypadkiem zajrzał Debs do torebki; ciekawe, czy tamten łan Rankin, którego u niej widział, to było *Black and blue*, czy coś innego. Może mieli z Rickardsem znacznie więcej wspólnych tematów, niżby się mogło wydawać? Na pewno wyjaśniałoby to, dlaczego nosiła w torebce kajdanki z futerkiem.

Facet grający *Poo-Baha* podszedł do nich i zaczął namawiać Debbie, żeby odstawiła swój popisowy numer ze wszystkich imprez: wcieliła się w ich ukochanego reżysera. Debs odsunęła kieliszek, nadeła się, dźwignęła ciężko z krzesła i zaczęła im złorzeczyć - całkiem nieźle naśladując bas

Inscha - że mogliby się wreszcie nauczyć tych swoich cholernych kwestii. I cały czas pojadała niewidzialne słodycze z niewidzialnej torebki. Całe towarzystwo się śmiało, nawet Insch.

- Co robimy z Macintyre'em? - spytał Logan inspektora, kiedy śmiech przycichł.

- Ściągniemy na komendę jego matkę i tę puszczałską narzeczoną. Oskarżymy je o utrudnianie śledztwa, zapewnianie fałszywych alibi... Przyciśniemy. .. Poza tym trzeba zarekwirować samochód i kazać go obejrzeć chłopakom z laboratorium. Sukinsyn może być w śpiączce, ale to nam nie przeszkodzi go udupić. - Insch wstał od stolika. - Czas na następną kolejkę!

Spod kołdry wyrzała rozspana twarz Jackie, kiedy Logan, zataczając się, wpadł do sypialni, włączył światło i zaczął się szarpać z ubraniem, które oplotło go jak ośmiornica. Najtrudniej poszło mu ze skarpetkami.

- Nie zgadniesz... - wymamrotał. - Ale spróbuj.

- Daj mi spokój! - Jackie schowała głowę pod poduszkę. - I zgaś to światło!

- No nie bądź taka, zgadnij. - Cisnął skarpetką w wyłącznik, ale nic to nie dało, musiał przełączyć ręcznie. - Mamy go!

- Jest po pierwszej!

- Wszyscy byli... byli... - Zwalił się na łóżko. Zapomniał, co chciał powiedzieć. - On...

- Beknął. - Ale i tak nie powinnaś była tego robić. - Język mu się plątał. - To jednak był on, więc teraz to nieważne. - Poklepał ją po nodze przez kołdrę. - Oj ty, ty...

- Uchlałeś się. Kładź się.

- Nikomu nie powiedziałem - zapewnił ją i zachichotał. - Dupa jestem, nie policjant.

I nagle przestało go to bawić. Na szczęście zasnął, zanim wyrzuty sumienia dopadły go na dobre.

- No proszę, jak miło - mruknął Insch.

Przechylił delikatną porcelanową filiżankę, trzymając na kolanie karmelowy wafelek. Atmosfera w domu Macintyre'a była ponura, lodowaty deszcz łomotał o szyby. Ashley, jej przysła teściowa, Logan i Insch popijali herbatkę w salonie od frontu.

Matka piłkarza pociągnęła nosem i zerknęła znad okularów na inspektora.

- Pańskie oskarżenia są oburzające. Mój Robbie był wtedy w domu.

- Nieprawda.

- Właśnie, że prawda! Nie ma pan prawa zarzucać mi kłamstwa, na dodatek w moim własnym domu! Jak pan śmie?!

Insch dał jej się trochę wykrzyczeć, zanim jej przerwał:

- Skoro pani nie kłamie, skąd wzięliśmy nagrania z monitoringu, na których widać, jak wyjeżdża samochodem pani siostry z Aberdeen do Dundee w każdą noc, kiedy dochodziło do gwałtów?

Inspektor bacznie obserwował panią Macintyre, a Logan Ashley, ubraną na czarno, w naszyjniku z rubinem, kolczykach i bransoletce do kompletu, z idealnie zrobionym makijażem. Kiedy Insch wspomniał o gwałtach, skuliła się odruchowo, jakby ją ktoś spoliczkował. Nic jednak nie powiedziała.

Matka Macintyre'a odstawiła swoją filiżankę i wycelowała palec w inspektora.

- To pan kłamie.

- Policja w Tayside rozpoznała pani syna na tych nagraniach. Jeździł do Dundee.

- Nie będę rozmawiać z takim kłamliwym tłuściochem. Złożę skargę. — Wstała i spojrzała na Inscha z góry. — Nie zamierzam tolerować takiego zachowania. Mój syn jest w śpiączce!

- Pozwoli pani, że coś sobie wyjaśnimy, raz na zawsze. - Uśmiechnięty Insch rozparł się wygodnie na sofie. - Twierdzi pani, że Robert Macintyre we wszystkie interesujące nas noce, bez wyjątku, był w domu. Nigdzie nie wychodził.

- Niech się pan stąd wynosi!

- Czy tak właśnie pani twierdzi? Pani syn nie jeździł samochodem pani siostry do Dundee, aby tam dokonywać gwałtów?

- Ogłuchł pan?! Dobrze, powtórzę: mój Robby to dobre dziecko!

- Co ty na to, Ashley?

- Powiedz im, Ashley! Powiedz, że Robby był w domu! Narzeczona Macintyre'a spojrzała

Inschowi w oczy. Logan zauważył, że nogi leciutko jej drżą.

- Robert był tu ze mną przez całą noc.
- Doskonale. - Inspektor wstał. - W takim razie aresztuję was obie za celowe utrudnianie śledztwa. Wrócimy do tej rozmowy w komendzie. Zaczęły kłaść, dopiero kiedy wyją kajdanki.

- Rany boskie! — Sierżant Mitchell skrzywił się z niesmakiem. Stali z Loganem na korytarzu przed celami kobiet. - Czy ona nigdy się nie zamknie?

Logan wzruszył ramionami.

- A bo to wiadomo?

Matka Macintyre'a bluzgała na nich przez całe przesłuchanie, zarzucając im korupcję, niekompetencję i żądę zemsty na jej biednym synku.

- Myślisz, że zdenerwuje naszych bandytów i złodziei?

- Na pewno zdenerwowała już mnie.

W pokoju przesłuchań numer 2 narzeczona Roba Macintyre'a wierciła się niespokojnie na krześle.

- Jest przyśrubowane do podłogi - powiedziała, kiedy Logan wrócił ze stołówki, niosąc trzy ogromne kubki kawy. - Wiedział pan, że to krzesło jest przyśrubowane do podłogi?

- Ze względu na ćpunów i morderców - wyjaśnił Insch. Nawet nie podziękował za latte z podwójnym cynamonem, gałką muszkatołową, czekoladą i wanilią. - Mogliby sobie zrobić krzywdę.

- Aha... - Ashley utkwiała wzrok w kubku, który Logan przed nią postawił. -Ja...

Inspektor dał jej szansę na spokojne dopowiedzenie zdania, ale niczego się nie doczekał.

- No dobrze, Ashley-odezwał się w końcu. -Wiemy już, że kłamałaś, kiedy mówiłaś o miejscu pobytu Macintyre'a. Mamy dowody. To oznacza, że dając mu alibi, składasz fałszywe zeznanie. Za to można dostać siedem, osiem lat. Jesteś ładna... - Upił łyk kawy i ciągnął spokojnym, rzeczowym tonem: - Pewnie dasz sobie radę w więzieniu. Zostaniesz dziwką jakiejś lesbijki i nie będziesz się musiała bać, że ktoś zadźga cię pod prysznicem. Tych kilka lat zleci jak z bicia trzasnął.

- Miałam... Robert to dobry człowiek. Nic złego nie zrobił. - Wierchem dłoni otarła łzy z oczu, rozmazując tusz. - Nie... Nie będę z wami dłużej rozmawiać. Chcę wrócić do domu.

Głos jej się załamał. Insch wziął ją za rękę, ale wyrwała mu się jak oparzona i schowała ją pod stół. Łzy kapały na blat.

Inspektor smutno pokiwał głową.

- W porządku, Ashley, rozumiem. To niełatwe. Ale jeżeli z nami porozmawiasz, jeśli powiesz, gdzie jest samochód, wstawimy się za tobą u prokurator. Prędzej czy później i tak go znajdziemy, bo rozestaliśmy już ekipy po całej okolicy. Jeżeli ty nam pomożesz, my pomożemy tobie.

Odpowiedział mu tylko głośny śmiech.

Kiedy Logan wrócił do pokoju operacyjnego, dynamiczny duet - Ren-nie i Rickards — bawił się w najlepsze, wspominając wieczorną próbę.

- Ażebyś widział, jak Liz na mnie leci! - mówił właśnie Rennie, przeglądając się w monitorze komputera.

- Marzy ci się, co? - prychnął Rickards. - Przecież ona ma męża!

- Mężatki są najlepsze. Ale, ale... Widziałem, że zakumplowałaś się z Debbie?

Rickards wzruszył ramionami i poczerwieniał, kiedy Rennie grzmotnął go w plecy i nazwał

pączuszkami w skórkach.

- Jest bardzo... utalentowana.

- Ona jedna. Tylko nie złam jej serca, na Boga, bo jak się obrazi i nas zostawi, nic nie wyjdzie z przedstawienia.

- No właśnie, Debs... - wtrącił się Logan, starannie dobierając słowa. - Widziałem, że lubi Rankina.

Rickards zmarł. To wystarczyło Loganowi; wiedział już to, co chciał: Debbie należy do środowiska BDSM.

- Widziałem u niej w torebce jego książkę.

- Aha. - Posterunkowy poruszył się niespokojnie. - Ale to chyba żaden problem, prawda?

- Dla mnie żaden.

- To fajnie.

Chyba nie powinien się dziwić, że główna gwiazda Inscha lubił sado--maso - zwłaszcza po tym, jak Tina z Cafe lei wbijała mu do głowy, że aktorstwo jest jak wkładanie drugiej skóry; jak zmienianie się w innego człowieka. Albo wkładanie gumowego kombinezonu. I chyba właśnie to pociągało w niej Rickardsa. Ciekawe, myślał Logan, czy automatycznie staje się przez to panią, czy sługą. Patrząc na posterunkowego, widział go raczej w roli bitego niż bijącego, ale nigdy nic nie wiadomo...

Zmarszczył brwi. Trybiki w mózgu zaczęły mu się kręcić szybciej.

- Cholera jasna!

Przecież to oczywiste. Wystarczyło chwilę się zastanowić.

- Tak, panie sierżancie?

Chwył DVD z ostatnim występem Jasona Fettesa i wybiegł z pokoju. Musiał jeszcze coś sprawdzić, ale miał smutne przeczucie, że się nie myli. I że inspektor Insch raczej nie będzie tym zachwycony.

" Nie. - Inspektor zerknął ze złością na wydruki, które Logan porozkładał mu na biurku. - To jedna wielka...

- Ale jeśli pan się przyjrzy...

- Nie! To nie ona!

- Proszę obejrzeć te zdjęcia! Taka sama sylwetka jak kobiety na filmie. Aktywna w środowisku, niech pan spyta Rickardsa. W dodatku jest switchem, a Fettes szukał switcha. No i jako nowa, niedoświadczona, mogła popełnić błąd.

Musiał nieźle się wysilić, żeby wyciągnąć te informacje z Rickardsa, nie mówiąc mu, dlaczego go interesują, ale w końcu posterunkowy puścił farbę.

- To nie ona! A pan lepiej by zrobił, pilnując ekipy poszukiwawczej, zamiast marnować mój czas! Logan przełożył zdjęcia.

- Tu jest portret pamięciowy kierowcy. Proszę odjąć wąsy, okulary i bródkę: wykapaną ona. - Przy drugim zdjęciu trochę oszukiwał: opierając się na plakatach do *Mikado*, które Insch porozwieszał po całej komendzie, dopasował kierowcy usta i oczy Debbie Kerr. Uzyskał uderzające podobieństwo. - Nie było żadnej drugiej osoby. Działała sama.

Insch wziął obie fotografie i położył obok siebie.

- Debbie ma bardziej sercowatą twarz, a tu...

- Pamięta pan, jak pana udawała? Jest świetną aktorką, wystarczyłoby, żeby sobie przykleiła brodę i mówiła z irlandzkim akcentem.

- Niech pan przestanie... To zbieg okoliczności.
- Nawet porusza się podobnie! Niech pan jeszcze raz obejrzy film; zobaczy pan, jest dobrą aktorką i umiałaby coś takiego zagrać! Wszyscy mówią, że dzięki BDSM człowiek się zmienia, wykracza poza swoje ograniczenia. To właśnie robi Debbie na scenie, prawda? Staje się kimś innym.

Inspektor westchnął, pokręcił głową i zaklął. Logan zdawał sobie sprawę, że jego argumenty są naciągane - ale w głębi, w bebeczach, pod bliznami czuł, że ma rację. Niesamowita Debbie zabiła Jasona Fettesa. Teraz musiał to tylko udowodnić.

Dwóm mundurowym kazał pogrzebać w przeszłości Deborah Kerr, licząc na to, że znajdą coś ciekawego: narkotyki, przemoc, mandat za parkowanie - cokolwiek, nie zamierzał wybrzydzać. Gdyby przy okazji odkryli, dokąd mogła zabrać Fettesa, byłaby to niespodziewana premia. Domy kolegów i krewnych, wynajęte mieszkania, chatka letniskowa, tajny loch dla sadomasochistów? Miejsca, które sprawdzali w przypadku Franka Garviego - zanim popełnił samobójstwo.

Dopiero potem skontaktował się z wysłaną przez Inscha ekipą, która szukała samochodu Macintyre'a.

Wiatr skowyczał na granitowych ulicach, wysysając ciepło z grubo opatulonych ciał. W Holburn, Ruthrieston i Mannofield policjanci szukali czerwonego hatchbacka, którym Rób Macintyre wypuszczał się na południe.

- Znaleźliście coś? — spytał Logan.

Postawił kołnierz, ręce wetknął głęboko w kieszenie i patrzył, jak wysoki, mocno zbudowany sierżant pomału przegrywa walkę z mrozem.

- A gdzie tam... - Sierżant chuchnął w zgrabiące dłonie. Uszy i nos miał purpurowe. - Taki samochodzik może być wszędzie. Na miejscu właściciela dawno bym go wyprowadził gdzieś za Ballater i spalił. Albo zepchnął do jeziora. Nigdy byśmy go nie znaleźli.

Loganowi też to przyszło do głowy. A bez samochodu nie mieli wystarczających dowodów.

Zrobiła się czwarta po południu, a hatchbacka nadal ani śladu. Logan z Inschem wrócili więc do pokoju numer 2 i narzeczonej Macintyre'a. Dzień spędzony w celi jej nie posłużył: miała rozmazany makijaż, przekrwione, załzawione oczy, tusz spłynął jej na policzki, a nos poczerwieniał od wycierania rękawem bluzki upstrzonym srebrzystymi smugami smarków. Logan przypuszczał, że od rana, od pierwszego przesłuchania, nie przestała płakać.

Insch nie zamierzał owijać w bawełnę.

- Gdzie samochód? - zaczął.

- Może ciocia Roba go zabrała. - Ashley wzruszyła ramionami. Ze spuszczonego wzrokiem zdrapywała czerwony lakier z paznokci.

- Ciotka mieszka w domu opieki w Ellon. Jeździ na wózku.

Sprawdzili to.

Znów wzruszyła ramionami.

- To nie moje auto.

- Spróbujemy inaczej. - Logan otworzył akta sprawy i zaczął wyjmować fotografie ofiar, kładąc je kolejno przed Ashley. - Christine. Gail. Sa-rah. Jennifer. Joannę. Sandra. Nikki. Jessica. Wendy. To są zdjęcia sprzed napadów.

Uśmiechnięte młode kobiety wdzięczyły się do aparatu; miały całe życie przed sobą i nie przeczuwały, co je czeka. Kiedy widziało się je wszystkie naraz, biło w oczy, że Macintyre wybierał ofiary na chybił trafił. Nic ich nie łączyło - poza tym, że były młode, atrakcyjne i znalazły się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

- Chcesz zobaczyć, jak wyglądały, kiedy twój narzeczony z nimi skończył?

Ashley się zachnęła.

- Mój Robert nie zrobił nic złego.

- Sarah Calder.

Logan przykrył uśmiechnięte zdjęcie „przed” - fotografią wykonaną po wyjściu Sarah ze szpitala. Ciemne włosy, strach w oczach, posiniaczony podbródek, na lewym policzku czterocentymetrowa szrama: żywe, czerwone mięso spięte czarnymi szwami.

- Dwadzieścia trzy lata. W kwietniu miała wyjść za męża, a teraz nie może nawet znieść dotyku swojego chłopaka.

Następne zdjęcie przesłoniło drugą wesołą buzię: fioletowy krwiak na czole, nos spuchnięty i zdeformowany po uderzeniu w krawężnik, cięcie noża wijące się od lewego ucha po kącik ust.

- Jennifer Shepherd, druga ofiara. Pracowała z niepełnosprawnymi dziećmi. Teraz musi brać środki uspokajające. Boi się wyjść z domu.

Dalej były numery trzeci, czwarty, piąty i szósty; obrażenia stawały się coraz poważniejsze, blizny coraz brzydsze.

- Christine popełniła samobójstwo. Połknęła fiołkę środków nasennych, fiołkę przeciwbólowych, weszła do wanny z wodą i podcięła sobie żyły aż do łokci, o tak. - Logan wziął Ashley za rękę i czubkiem palca przesunął po jej przedramieniu. Wyrwała mu się z jękiem, rozcierając skórę, jakby bała się zakażenia.

- To nie on! Ja...

- Zapewniałaś mu alibi, Ashley. Kłamałaś dla niego, a on wychodził z domu i robił właśnie to. — Logan wskazał na zdjęcia. — Każde twoje kłamstwo to jedna dziewczyna z tej listy.

Sięgnął po pierwsze zdjęcie przysłane z Dundee.

- Nikki Bruce.

Kontynuował wyliczankę, a Ashley stawała się coraz bledsza. Płakała cicho, wybałuszała przekrwione oczy i kołysała się na krześle, obejmując się wpół jedną ręką, jakby w ten sposób chciała powstrzymać rozpad otaczającego ją świata.

Prawie było mu jej żal.

Rzucił na stół ostatnie zdjęcie w ułożonej przez Roberta Macintyre'a mozaice bólu. Insch pochylił się nad blatem.

- Za jaką cenę? - Postukał grubym palcem. - Co ci dał, żebyś dla niego kłamała? Nowy samochód? Biżuterię? Nie, nie mów, już wiem: ty to zrobiłaś z miłości!

Logan obstawiał biżuterię. Taką jak złoty naszyjnik z rubinem, który nosiła po pierwszym gwałcie w Dundee, którym bawiła się bezwiednie,

gdy ktoś wspominał przy niej o tej napaści. Kolczyki, bransoletka... Nowiutki, czerwony jak krew rubin za każdą ofiarę Macintyre'a.

Dolna warga jej drżała, kiedy wierzchem dłoni wycierała łzy, a one nie przestawały płynąć.

- Ale dlaczego...

- Co dlaczego?

- Dlaczego to robicie? Przecież on jest w śpiączce, na litość boską! Głos Inscha dudnił jak burzowy grzmot:

- Nie widzisz zdjęć? Myślisz, że śpiączka twojego kochasia cokolwiek zmienia? Że dzięki niej te dziewczyny już się nie budzą z krzykiem? Zastępują na coś więcej.

Ashley zerwała się na równe nogi. W załzawionych oczach zapłonął ogień.

- A ja? Na co ja zasługuję?! Insch też wstał. Wyglądał groźnie.

- W tej chwili na pięć do ośmiu lat. Kryłaś go, a on skrzywdził dziewięć kobiet. Zniszczył im życie. Ty pewnie po trzech, czterech latach zostaniesz warunkowo zwolniona, a one już zawsze będą cierpieć. Przez ciebie.

Zanim Logan uporał się z papierami, od zakończenia dziennej zmiany minęła ponad godzina. Czerwony hatchback się nie znalazł, a matka i narzeczona Macintyre'a nadal nie zamierzały zeznawać. A żeby dopełnić obrazu nędzy i rozpacz, ekipa grzebiąca w przeszłości Debbie Kerr wpadła tylko na dwa wysokie mandaty za parkowanie i na jedno upomnienie za zakłócanie porządku publicznego - Debs miała wtedy osiemnaście lat. Beznadzieja.

Wyłączył komputer, odchylił się na oparcie krzesła i zagapił w sufit. Pora wracać do domu i stawić czoło Jackie. Nie mógł się zaangażować w związek z jakąś spokojniejszą kobietą? Taką jak...

- O w mordę...

Rachael: zaproszenie na kolację, stara książka kucharska, wino. Kiedy to miało być - wczoraj wieczorem? Przedwczoraj? Nawet nie oddzwonił, żeby to odwołać, a teraz nie mógł znaleźć komórki i odsłuchać wiadomości.

- Niech to wszystko szlag trafi... Insch wparował do biura.

- Gdzie pan był, do diabła?! - Ściany zawibrowały od jego ryku. -Dzwonię do pana od pół godziny! • Logan sięgnął po radiotelefon.

- Ja...

- Dzwoniłem na komórkę! — Insch zawrócił w stronę drzwi. - Radzę się zbierać, bo inaczej spóźnimy się na próbę.

Rany boskie, tylko nie to: następny wieczór z Gilbertem i Sullivanem.

- Prawdę mówiąc, dziś nie bardzo mogę...

- Właśnie, że pan może! To pański idiotyczny pomysł i jeśli upiera się pan, żebym przesłuchał jedyną osobę w całej mojej zakichanej obsadzie, która ma choć szczyptę talentu, musi pan przy tym być.

Może było to tylko złudzenie, ale Logan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że im bardziej oddalali się od komendy, tym gorszym kierowcą stawał się inspektor: na skrzyżowaniach ruszał z piskiem opon, co chwila straszył klaksonem innych użytkowników dróg, a staruszki, które śmiały wejść na przejście dla pieszych, wyzywał od najgorszych. Logan wolał więc siedzieć cicho, w dodatku wciąż łamał sobie głowę nad tym, co zrobił z komórką. Gdzieś przecież musiała być.

- A wie pan, że jeszcze nie zgarnęli Duffa? -mówił tymczasem Insch, skręcając w Summer Street. -Twierdzą, że nie mogą go znaleźć, ale chyba wszyscy wiemy, jaka jest prawda. Nie chce im się nic robić, więc... Jak jeździsz, palancie?! - Klakson rangę rovera ryknął na malutkie minimetro, skręcające w prawo z Crimon Place. — Finnie sam się prosi, żeby dostać po gębie. Tym z narkotyków to się pewnie wydaje, że tu rządzą...

Umilkł i wparował samochód w wąziutką wolną przestrzeń na parkingu tuż przy kaplicy. Wysiedli. Wieczór był chłodny.

- Jutro pogoni pan kota mundurowym. - Dźgnął Logana palcem w pierś. - Majami znaleźć Jimmy'ego Duffa. Jeżeli Finniemu się nie spieszy, załatwimy to za niego.

W kaplicy panował chaos. Jedna połowa zespołu już włożyła kostiumy, druga dopiero się przebierała, wszyscy mówili jednocześnie.

- Nie moglibyśmy poszczuć go nadkomisarzem? - spytał Logan, gdy Insch usadowił

się ostrożnie na trzeszczącym plastikowym foteliku. — Niech powie Finniemu, żeby ruszył tyłek i zaczął działać.

- Rzecz w tym, że nadkomisarzowi zależy na załatwieniu tych dylemów. Według niego to ważniejsze niż śmierć jakiegoś zboka, który za pieniądze wynajmował się maniakom sado-maso. - Inspektor odwrócił się do swoich aktorów, uśmiechnął z fałszywą jowialnością i powiedział: - Na miejsca, bardzo proszę! Dzisiaj powtarzamy całość.

Aktorzy rozbiegli się po scenie, pozamierali w orientalnych pozach, trzymając w rękach papierowe wachlarze i plastikowe miecze samurajskie.

Panie przycupnęły pod ścianami, czekając na swój występ w chórze i szansę na pięć minut sławy. Logan szukał wśród nich Debbie.

- A co na to komendant?

Fortepian zaczął uwerturę. Insch pokiwał głową.

- Jestem z nim umówiony na jutro, na wpół do dwunastej.

Melodia się zmieniła — i nagle wszystkie nieruchome sylwetki ożyły, ścigając się po wyklejonej taśmą scenie.

A potem zaczęły śpiewać.

Logan patrzył, jak na twarzy Inscha odmalowuje się coraz większe cierpienie. Zapowiadała się bardzo długa noc.

Nie miał ochoty nigdy więcej oglądać operetek Gilberta i Sullivana. Od początku nie był ich wielbiciele, ale wytrzymanie całej próby spektaklu Inscha - po raz kolejny! - okazało się prawdziwą torturą. Kiedy inspektor zakończył rytualną sekcję zwłok przedstawienia, dżentelmeni i damy wygramolili się z kostiumów i przebrali w grube zimowe kurtki. Inspektor wezwał do siebie swoją gwiazdę.

- Debs, spisałaś się doskonale. Z każdą kolejną próbą idzie ci coraz lepiej, a *Bellow of the Blast* byłem wręcz zachwycony.

Debbie zaczerwieniła się lekko, zadowolona z komplementu. Rozplatała surowy kok, który pasował do roli, i rozpuściła kasztanowe włosy. Inspektor poruszył się nerwowo na krześle, odchrząknął i mówił dalej:

- Muszę cię o coś zapytać...

Minęła ich grupka rozgadanych pań w średnim wieku. Insch uśmiechnął się, powiedział im, że były wspaniałe, po czym wziął Debs na stronę, żeby nikt nie słyszał, o czym rozmawiają.

Logan nie ruszył się z miejsca. Inspektor przegonił Rickardsa od biurka suflera i przysiadł na blacie. Bez względu na to, jak oczywisty wydawał się udział Debbie Kerr w zabójstwie Jasona Fettesa, Insch nie zgodził się na nic bardziej oficjalnego niż krótka, dyskretna rozmowa po próbie. Odkąd okazało się, że jego najlepsza aktorka jest podejrzana o morderstwo, wyraźnie skłaniał się ku teorii „nieszczęśliwego wypadku o podłożu seksualnym”. Tyle, jeśli chodzi o Jasona Fettesa, który „zmarł w męczarniach”, i „traktowaniu śledztwa jak dochodzenia w sprawie morderstwa”. Hipokryta.

Rickards podszedł do Logana z rękami w kieszeniach. Obejrzał się przez ramię na aktorów - zbierali się do pubu.

- Szkoda, że nie zająłem tu ze dwa miesiące temu. Chciałbym teraz być na scenie...

- Mhm - mruknął Logan.

Nie słuchał posterunkowego, zajęty obserwacją Debbie i ciekawy, jak zareaguje na pytania inspektora. Założyła ręce na piersi, zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Znam wszystkie kwestie na pamięć, a ruchów na pewno szybko bym się nauczył...

Insch podniósł ręce w uspokajającym, pojednawczym geście.

- Myśli pan, że inspektor się zgodzi? Wiem, że to trochę późno... Wściekłe „nie!” poniosło się echem po sali. Wszyscy zwrócili się w stronę Inscha i Debbie.

- No to co? Myślisz, że jak się obracam w tym środowisku, to od razu muszę być winna? Oskarżasz mnie z powodu moich preferencji seksualnych?! Tylko Rickards nie spojrział na nich; nie odrywał wzroku od Logana.

- Pan chyba... Pan chyba nie... Jezu, nie zrobiłby pan tego? - Zbladł jak ściana. - Panie sierżancie, niech mi pan powie, że pan tego nie zrobił!

- Tss - syknął Logan.

Insch coś powiedział, ale na tyle cicho, że poza Debbie nikt go nie usłyszał. Za to ona wrzasnęła:

- Kto będzie następny?! Aresztujesz homoseksualistów?! Żydów? Może przy okazji od razu pozbadź się wszystkich mniejszości? Ty zaściankowy, głupi, gruby skurczybyku!

Okręciła się na pięcie. Insch biegł za nią i przepraszał.

- Debs, zaczekaj! To nie był mój pomysł, ale musiałem cię o to spytać! Chciałem cię wyłączyć z kręgu podejrzanych...

- A ty... - Podeszła do Rickardsa i wymierzyła mu tak siarczasty policzek, że omal się nie przewrócił. - Zaufałam ci! Teraz powiem wszystkim, jaki z ciebie gnojek. Więcej w żadnym naszym lokalu się nie pokażesz!

Rickards:

- Ale... Insch:

- Tylko spokojnie, Debs... Debbie:

- Chrzańcie się.

Ruszyła do drzwi; inspektor szedł za nią i tłumaczył, że nie miał nic złego na myśli.

Wrócił po dwóch minutach, bardziej chyba wstrząśnięty niż zły.

- Oświadczyła, że nie będzie u mnie grała... — Powiódł wzrokiem po pozostałych członkach obsady. - To tylko... - Odkaszlnął. - Małe nieporozumienie. Nie martwcie się. To się jakoś ułoży.

Rickards trzymał się za obolały policzek, na którym rozkwitał już czerwony ślad.

- Powie wszystkim! Mój Boże...

- Co z Fettesem?

Insch odwrócił się do Logana.

- Nie było jej wtedy w kraju: wyjechała do Bristolu na konferencję branży IT, razem z półtuzinem ludzi z firmy...

- Jutro to sprawdzę. Poza tym to nie wyklucza... Inspektor ukrył twarz w dłoniach.

- Dlaczego ja pana posłuchałem?

W zaistniałej sytuacji Logan postanowił nie iść z nimi do pubu. Insch szybko otrząsnie się z szoku, a wtedy zaczną się krzyki i oskarżenia. Skierowane pod jego adresem.

Kiedy otworzył drzwi do mieszkania, usłyszał dobiegające z salonu dźwięki jakiegoś telewizyjnego koszmara. To oznaczało, że Jackie jest w domu. Westchnął, poszedł prosto do łazienki, rozebrał się i wskoczył pod prysznic.

Przyszła do niego pięć minut później.

- Złóścisz się jeszcze? - Jej głos wzniósł się ponad pomruk termo-wentylatora.
- Nie złószczę się - skłamał, stojąc w strugach gorącej wody.
- No to co się dzieje? Chcesz rozwodu? Próbujesz mnie wkurzyć? Kosmici odcieśli ci jaja? O co ci chodzi? Zwiesił głowę i zamknął oczy.
- O nic - odparł, siłąc się na neutralny ton. - Po prostu miałem zły dzień, okej?
- Od tygodnia się do mnie nie odzywasz! Nagrałam ci się chyba z milion razy na komórkę!
Wreszcie sobie przypomniał, gdzie zostawił telefon: podłączony do ładowarki w biurze WK.
- Komórka mi nie działa. Od wczoraj używam radiotelefonu.
- Nie w tym rzecz! W ogóle cię nie ma w domu. Unikasz mnie. I nawet nie próbuj zaprzeczać, bo dobrze wiesz, że to prawda!
- Jackie, posłuchaj...

- To z powodu Macintyre'a, prawda?
- Ja...
- Nie dość, że skurwiel zgwałcił tyle kobiet, to jeszcze teraz...
- Dość tego! — Logan wystawił głowę zza zasłonki prysznic; woda zaczęła kapać na podłogę. — Rozumiesz? Dość. Nie chcę rozmawiać o...
- Tak? A ja chcę! Nie zamierzam dłużej znosić twoich dąsów! Wylaż...
- Przez ciebie gość jest w śpiączce!
Zrobiło się cicho, słychać było tylko miarowe buczenie termowentylatora i szum prysznic.
Logan usiadł na brzegu brodzika i oparł się plecami o zimne kafelki.
- Mogłaś go zabić. Zrobiłaś ze mnie współnika, a ja prowadzę śledztwo w sprawie tego pobicia! To dla mnie patowa sytuacja! Jackie otworzyła szeroko oczy.
- A nie przyszło ci do głowy, że to nie ja?
- Daj spokój! Nienawidzisz go. Wracasz po nocy, wrzucasz ciuchy do pralki, każesz mi kłamać, że nie wychodziłaś z domu, a jego znajdują rano w takim stanie, że nie wiadomo, czy przeżyje. Spójrz na swoje paluchy; jeszcze ci się otarcia nie zagoiły.
Jackie podniosła ręce. Na przedramionach miała fioletowe sińce.
- Wdałam się w bójkę, kapujesz? Byłam w pubie, a tu nagle jakiś dupek zaczął najeżdżać na policję, że powinna zostawić Macintyre'a w spokoju, bo to bohater narodowy. Gliny to skorumpowane tępaki, a tamte kobiety same się o to prosiły. Potem czymś rzucił, zrobiło się nieprzyjemnie. Chyba rozwaliłam mu szczękę... - Wyłamała palce i skrzywiła się z niesmakiem.
- Nie jestem z siebie dumna, ale nie chciałabym mieć przez to kłopotów. Pewnie by mnie zawiesili, jeśli nie gorzej. A to on zaczął! Nie dam się wyrzucić z policji tylko dlatego, że jakiś bezszczy półmózg rwie się do bitki.

Logan przyglądał się jej badawczo, próbując wyczuć, czy mówi prawdę; szukał czegoś, co by ją zdradziło - bez powodzenia. Jeśli kłamała, to naprawdę dobrze.
- Czyli nie tknęłaś Macintyre'a palcem?
- Kiedy go aresztowałam, kopnęłam go w żebra i kolanem w jaja, to fakt. Ale przecież nie pobiłam go do nieprzytomności, tak żeby zapadł w śpiączkę. Jak mogłaś sobie w ogóle pomyśleć, że zrobiłabym coś takiego?! Jestem policjantką!
- Ja... - Ukrył twarz w dłoniach. - To był gówniany tydzień.
Pokiwała głową, zrzuciła buty i wśliznęła się obok niego pod prysznic, w ubraniu. Pod mokrą bluzką, teraz przezroczystą, rysował się paskudny szary stanik.

- Posłuchaj... - Pomogła mu wstać i przytuliła się do niego. - Jeżeli uważasz, że jestem złą policjantką, chyba powinienes dać mi klapsa. Potem były pocałunki, pieszczoty i dużo piany.

Do siódmej rano w piątek Insch nie pojawił się na komendzie. Logan zrobił odprawę i

pospiesznie przydzielił ludziom zadania, modląc się, żeby zdążyć przed przyjściem inspektora. Nie wierzył własnemu szczęściu, kiedy naprawdę mu się to udało.

Było jeszcze za wcześnie, żeby sprawdzić alibi Debbie Kerr- z informacji w Internecie wynikało, że jej firma zaczyna pracę o dziewiątej -więc zostały mu tylko matka i narzeczona Macintyre'a.

Wybrał mniejsze zło.

W mieszczącym się na dole areszcie było dziwnie cicho, tylko z którejś z męskich cel dobiegało przypominające zgrzyt piły łańcuchowej chrapanie; niesło się echem przez krótki odcinek betonowych schodów prowadzących do części dla kobiet. Ashley wyglądała kiepsko - potargane włosy, sińce pod zaczerwienionymi oczami, popielata twarz i czerwony nos. Miała za sobą fatalną noc, wypełnioną płaczem i wyrzutami sumienia. Swoje wycierpięła. I na to właśnie liczył Logan.

Siedziała sztywno na niebieskim materacu, w zalatującej kwaśnym odorem potu celi. Nie spojrzała na niego, kiedy wszedł i usiadł obok.

- Przemyślałaś sobie to, co wczoraj ci pokazaliśmy? Nadal wpatrywała się w ścianę.

- Kiedy poznałam Roberta, wydał mi się taki fajny... Miał dwadzieścia lat i forsę jak lodu. Dom, samochody, modne ciuchy, wakacje za granicą. .. - Pociągnęła nosem. - Oczywiście mamusia nie odstępowała go na krok, w ogóle nie spuszczała z oka. To silna kobieta, tak... wie pan, psychicznie. Tata Roberta umarł jakieś pół roku po tym, jak zaczęliśmy się spotykać, a ona nawet nie zapłakała. Była jak kamień. I polubiła mnie. Mówiła, że jestem inna niż te dzidziury, co to leciały na kasę i wcześniej próbowały usidlić Roba. Ich nie cierpiała, ale dla mnie była dobra. Robert też.

- Ale potem się zmienił, prawda? Coś się stało, i się zmienił.

- Chcieliśmy założyć rodzinę, mieć dzieci: dwóch synków i córeczkę.

Spojrzała na wąskie, poziome okno pod sufitem. Na dworze było ciemno i matowe szkło miało mlecznoszary odcień. Westchnęła i pogładziła się po brzuchu.

- Teraz pewnie już nam się nie uda. " - Ashley, nie musisz go już kryć. Nie zrobi ci krzywdy. Popatrzyła na niego urażona.

— Rób nigdy mnie nie skrzywdził. Niechby spróbował! Nos bym mu złamała. A mamusia urwałaby mu jaja!

Logan wziął ją za rękę i spojrział w przekrwione oczy. Jeszcze raz:

— Przypomnij sobie, co wczoraj widziałaś. Te wszystkie kobiety. Ty mu...

— Dużo myślałam, bardzo dużo. - Rozchyliła usta w złym uśmiechu. - Dzisiaj o czwartej mam się stawić w sądzie, z tym nedorzecznym zarzutem utrudniania śledztwa. Wszyscy usłyszą, że Robert jest prawdziwym dżentelmenem, a wy draniami bez skrupułów. Potem porozmawiam z tym adwokatem, który mu pomógł, pozwę was i ogolę do ostatniego pensa, sukinsyny.

Puścił jej dłoń i wstał.

— Śmiało. Przynajmniej będziesz miała zajęcie w więzieniu. Roześmiała się.

— Jestem w ciąży, frajerze. Ciężarnych się nie wsadza. A wy nie macie nic: ani dowodów, ani świadków, nic! Bo mój Robert jest niewinny!

Pani Macintyre radziła sobie znacznie lepiej niż jej przyszła synowa. Umieścili ją w celi piętro wyżej, na końcu korytarza -jednej z dwóch, które oddzielała od pozostałej części aresztu gruba, żelazna krata. Leżała na pryczy na wznak, w ubraniu, wpatrując się w namalowaną na suficie reklamę Crimestoppers.

- No i proszę... - Logan oparł się plecami o ścianę. - Można by myśleć, że będzie twardsza.

Matka Macintyre'a nie pofatygowwała się, żeby wstać.

- Czego znowu chcecie?

- Mówię o Ashley: jedna noc w celi i już opowiada mi różne ciekawe rzeczy o małym Robbym Macintyre.

- Matka nigdy nie wyparzyła ci gęby za kłamstwa? - Łypnęła na niego jednym okiem. - Nasza Ashley to porządna dziewczyna. Nic nie opowiedziała, bo nie ma nic do opowiadania.

- Nie obchodzi mnie to, że Rób jest w śpiączce. Proces i tak się odbędzie i wszyscy się dowiedzą, co zrobił. Ashley dała nam więcej niż...

- Dość tych kłamstw!

- ...oczekiwaliśmy. Jeśli Rób kiedykolwiek się wybudzi, pójdzie siedzieć na co najmniej trzydzieści lat, a może dłużej. I trafi...

- Ależ z pana ohydny drań!

Pani Macintyre zerwała się z pryczy i podeszła do krat.

- ...do celi z innymi zbrojcami, gwałcicielami i pedofilami. Napłuła mu w twarz.

Insch nadal się nie pojawił, co wcale nie poprawiało Loganowi humoru: bez względu na to, co zatrzymało inspektora, nieunikniona awantura tylko się odwlekała. Dlatego kiedy odebrał telefon od Colina Millera, nie szukał kolejnych wymówek, żeby wymknąć się z komendy.

Zimny wiatr chłostał ulice pod matowoszarym niebem, gdy jechał do szpitala położniczego na Schoolhill. Ojcowie, przyszli i ci, którzy już nimi zostali, stłoczyli się przy narożniku budynku, niedaleko drzwi wejściowych, i ćmili papierosy. Miller trzymał się trochę z boku i ziewał rozdzierająco, osłaniając papierosa dłonią, jakby go chował. Zerknął na Logana, zaciągnął się ostatni raz i zgniótł niedopałek butem. Wyjął z kieszeni grubą kopertę i dał ją Loganowi.

- Trzymaj.

- Co to jest?

- Zobacz.

W środku znajdowało się ponad dwadzieścia wyciągów z rachunku bankowego Franka Gandego.

- Jak ci się...

- Nic mi się... Nie wiem, skąd je masz, ale na pewno nie ode mnie. Logan przejrzał wyciągi. Garvie większości zakupów — elektroniki i gadżetów — dokonywał przez Internet.

- Czego powinienem szukać...

Zmarszczył brwi. Co miesiąc na konto Garwiego wpływała suma opisana jako BACS — wynagrodzenie za pracę. Ale także inne wpłaty powtarzały się regularnie.

Miller otworzył paczkę supermocnych miętówek, wrzucił do ust trzy naraz i pogryzł.

- Facet wynajmował szyfrowaną przestrzeń dyskową.

- Czy ty to...

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz — rzucił Miller i wszedł do szpitala.

Logan zadzwonił do Inscha na komendę, chociaż wcale nie chciał z nim rozmawiać. Poczta głosowa. Nagrał mętłą wiadomość i zadzwonił do inspektor Steel.

- Guzik mnie to obchodzi. — Kaszel z głębi piersi, przekleństwa. -Już lepiej się czułam, jak paliłam... Garvie nie robi się od tego mniej

martwy, prawda? A ja muszę znaleźć człowieka, który pobił Roba Drania Macintyre'a. Całe te poszukiwania psu na budę się zdały, łażenie po domach też, a ci, którzy twierdzą, że wyszli z nocnego klubu razem z tym pierdziłkarzykiem, nic więcej nie pamiętają, bo byli narąbani w trzy dupy. A mnie komendant głowę suszy...

Mówiła dalej, ale Logan przestał słuchać. Notował na kartce numery czeków, którymi dokonywano wpłat na konto Garviego. Kiedy Steel się w końcu rozłączyła, zatelefonował do biura prokurator, trzymając kciuki, żeby odebrał ktoś inny niż Rachael.

Nie miał szczęścia. Przedstawił się, zapadła niezręczna cisza, a po chwili:

- Nie zadzwoniłeś.

Cholera. Ruszył w stronę samochodu, oddalając się od szpitala, kiedy pierwsze krople deszczu zaczęły rozbryzgiwać się na karoseriach.

- Przepraszam, wiesz... Macintyre, Fettes...

Łobuz ze mnie bez cienia zasad moralnych, powinienem był zadzwonić i odwołać spotkanie, wściekał się na siebie.

- Wołowina po burgundzku. Połowę musiałam wyrzucić. Dureń, dureń, dureń, dureń.

- Naprawdę, bardzo cię przepraszam. Znów chwila ciszy. I westchnienie.

- Nie spotykałam się jeszcze z policjantem. Czy to zawsze tak wygląda? Nigdy nie wiadomo, czy przyjdiesz?

Zamknął oczy. Starał się nie myśleć o tym, dokąd *zmierza* ta rozmowa.

- Mniej więcej... -Powiedz j ej.-Muszę...

- Ale co... - Urwała. - Ty pierwszy.

- Muszę... - Powiedz j ej! - Muszę zidentyfikować kilka osób na podstawie numerów czeków, które wystawiły.

Wrócił do komendy, cały czas przeklinając się w duchu. Rachael wybaczyła mu, że ją wystawił, i obiecała, że odezwie się, jak tylko załatwi nakaz. Czuł się z tym jeszcze bardziej podle.

W operacyjnym panował spokój; samotny posterunkowy wpisywał spływające z terenu dane do HOLMES-a. Poszukiwania czerwonego hatch-backa traciły impet: przeczesali wszystkie ulice w promieniu trzech kilometrów od domu Roba Macintyre'a i nic nie znaleźli. Pytanie brzmiało: skąd matka Macintyre'a wiedziała, że trzeba się pozbyć tego cholernego samochodu? Ashley dała rano całkiem wiarygodne przedstawienie, jakby naprawdę nie miała pojęcia, co robił jej ukochany, albo przynajmniej nie chciała w to wierzyć. Zostawała więc tylko ta stara wywłoka, co od urodzenia

kryła Roberta i w razie potrzeby kłamała jak z nut. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak zastrasza dziewczynę, która w końcu zaczyna powtarzać żadaną śpiewkę: Tak, panie władzo, Robert całą noc spędził ze mną.

Ashley była najłagodniejszym ogniwem. Należało ją tylko jakoś złamać.

Właśnie się nad tym zastanawiał, kiedy do pokoju wparował Insch. Wyglądał, jakby lada chwila miał eksplodować: czerwona nabrzmiała twarz, zaciśnięte zęby, pałające gniewem świńskie oczka.

Logan wyprostował się jak struna. Oto chwila prawdy.

- Co pan tak stoi? Proszę brać marynarkę i za mną!

- Ale... Garvie... Czekam na...

- Migiem!

Logan złapał marynarkę i pognał za inspektorem, który zdążył już wypaść z pokoju i dobiec do schodów. Sierżant Mitchell poderwał się z krzesła, kiedy go mijali, ale na widok miny Inscha od razu na nie opadł.

Posterunkowi, sierżanci, inspektorzy i ludzie z personelu pomocniczego zgodnie schodzili Inschowi z drogi, kiedy pędził na tylny parking do swojego brudnego rangę rovera. Otworzył go pilotem i rzucił kluczyki Loganowi.

- Pan prowadzi.

W środku na lusterku wstecznym wisiał nowiutki odświeżacz powietrza.

- Dokąd?

- Słyszał pan o tym skurczybyku Finniem? Nie rozumiem, jakim cudem ktoś taki w ogóle został inspektorem... - Insch grzebał i grzebał w schowku pod deską rozdzielczą, aż znalazł paczkę galaretek; zaczął pożerać je po dwie naraz. - Wydawałoby się, że gramy w jednej drużynie: wykrywamy przestępstwa, pilnujemy, żeby ulice były bezpieczne, zamykamy bandziorów w pierdlu. Ale nie Finnie, o nie: on musi rządzić!

Logan wiedział, że lepiej o nic nie pytać. Uruchomił silnik i ruszył w stronę Mastrick. Przeczuwał już, do czego Insch zmierza.

- Co on sobie myślał, żądając od nadkomisarza, by odrzucił moją prośbę?! „Dla dobra trwającego śledztwa”, akurat! - Grubas zjadł ostatnią galaretkę i zmiażdżył opakowanie w dłoni. - Jak go dorwę...

Nie dokończył, ale nadal trząsał się ze złości. Oddychając ciężko przez nos, zaczął swoje tradycyjne ćwiczenie relaksujące. Jego zachowanie napawało Logana coraz większym przerażeniem. Chudnięcie - między bajki włożyć: w tym tempie Insch wykończy się, zanim rzuci choć jeden kilogram.

- No dobrze - sapnął inspektor, kiedy trochę się uspokoił. - Szukamy Jimmy'ego Duffa, więc niech się pan...

Urwał, widząc, że Logan *zjeżdża* do krawężnika naprzeciwko domu, który poprzednio wskazała im Mamuśka Stewart. Tu niby mieszkał Jimmy Duff.

- No tak... *Zgadza się*.

Logan sięgnął do sprzączki pasów, ale Insch złapał go za rękę i przytrzymał.

- I co?

Teraz się nie wymiga.

- Zadzwoiłem dziś rano do niej do firmy, potem do hotelu i centrum konferencyjnego w Bristolu, na lotnisko i...

- Proszę się streszczać, sierżancie!

- Ma mocne alibi, panie inspektorze. Przykro mi. Insch pokiwał głową, ale zamiast puścić jego rękę, ścisnął ją mocniej, aż zatrzeszczały kości.

- Chce mi pan powiedzieć, że wkurzyłem jedyną utalentowaną aktorkę w moim zespole tylko dlatego, że pan się pomylił? Ścisnął jeszcze mocniej. *Zaczynało boleć*.

- Eee... No tak, panie inspektorze. Przepraszam. - Rozpaczliwie starał się wyszarpnąć dłoń, zanim inspektor ją zmiażdży. - Mógłby pan...

- Jeśli nie uda mi się przekonać jej do powrotu, zażądaj pańskich jąder na talerzu, sierżancie. Czy wyrażam się jasno? - Mówił spokojnie i wyraźnie, twarz wcale mu bardziej nie szczerwieniła... i to chyba było w tym wszystkim najgorsze.

- Tak jest!

- Świetnie.

Insch puścił jego rękę i wysiadł, zostawiając mu pilota, by zamknął samochód. Wtedy zadzwonił telefon - w chłodnym powietrzu pogodnego ranka rozległy się dźwięki *Patrzenie, oto kał*, tematu muzycznego z *Mikado*. Insch wyłączył komórkę.

W tej samej chwili zapiszczał radiotelefon Logana. Odebrał, gimnastykując palce i czekając, aż wróci mu w nich czucie, i ruszył za Inschem w stronę drzwi wejściowych.

- McRae, słucham.

- Kurwa mać, co z wami jest, ludzie?!

Odsunął radiotelefon od ucha i spojrzął na wyświetlacz, gdzie pojawił się nieznany mu numer. Głos w słuchawce rozpoczął tymczasem tyradę o lojalności, pracy zespołowej i w ogóle o tym, co im zrobi, jeśli natychmiast się nie wycofają.

Postukał Inscha w ramię, zanim ten zdążył zapukać do drzwi.

- Panie inspektorze? To chyba do pana.

Insch wziął od niego radiotelefon, wyłączył go jednym ruchem masywnego kciuka, oddał aparat i zaczął bębnić w drzwi z taką siłą, że wprawił w drżenie cały front domu.

Logan zamknął oczy i zaklął w duchu: inspektor mógł gwizdać na swój ą dalszą karierę, ale on naprawdę nie chciał znowu stanąć na dywaniku u Napiera.

W końcu drzwi się uchyliły i w szparze mignęła im czyjaś twarz.

- Czego? - Obcy akcent, gdzieś pomiędzy Manchesterem a Liver-polem.

- Jimmy Duff.

- Czyja wyglądam na jakiegoś pieprzonego Szkota?

- Gdzie jest Jimmy Duff?

- A bo ja wiem?

Z wewnętrznej kieszeni kurtki Insch wyjął złożoną kartkę papieru.

- Mam nakaz jego aresztowania. Wybieraj: albo go sam wykopiesz, albo wyłamiemy drzwi i trochę się rozejrzymy. Jak chcesz.

- Zaczekajcie.

Twarz zniknęła, drzwi się zamknęły. Otworzyły się ponownie dwie minuty później i ktoś bezceremonialnie wypchnął zza nich poturbowanego, otumanionego mężczyznę: wysoki, ciemne włosy, bokobrody... Tylko nos nie był już skrzywiony, a po prostu rozplaszczony. Zakrzepła krew wokół nozdrzy, opuchnięte usta i policzki, siniaki maskujące naturalną bladość cery, prawa noga w świeżym, jeszcze białym gipsie, lewa ręka też, z unieruchomionymi wszystkimi palcami. Ktoś bardzo się nad nim napracował -ale Jimmy nie czuł bólu.

Żrenice miał wielkości łebków od szpilki i ledwie trzymał się na nogach. Insch złapał go za kołnierz, zawiółkł do rangę rovera i wsiadł razem z nim na tylną kanapę, pokrzykując na Logana, żeby się pospieszył i odpalał.

Logan westchnął i usiadł za kierownicą. To się musiało skończyć płaczem. Innego wyjścia nie było.

Kiedy wrócił ze stołówki z tacą czarnych kaw, przed drzwiami pokoju przesłuchań numer jeden zastał inspektor Steel.

- Na pewno słyszałeś, że nadkomisarz dostał małpiego rozumu?

- Proszę tak na mnie nie patrzeć! -jęknął. - Ja tylko...

- Macie najwyżej pół godziny, zanim sprawa się rozniesie. — Steel ruchem głowy wskazała zamknięte drzwi. - Zdążycie wyciągnąć od niego zeznanie?

- Wątpię. Jest zalany w pestkę.

Pokiwała głową w zadumie.

- No to dajcie mi znać, jak dojdzie do siebie. Przy odrobinie szczęścia zdążą do tego czasu zawiesić Grubasa Inscha, a my spokojnie pożyjemy sobie dalej. - Mrugnęła porozumiewawczo i poczęstowała się kawą. -Zdrówko - zażartowała i się zmyła.

Logan wszedł do pokoju. Insch tracił czas. W takim stanie Jimmy Duff nie mógł powiedzieć nic do rzeczy. Zresztą jak już w ogóle coś mówił, nie nadawało się to do powtórzenia w sądzie.

Kołysał się na krześle w przód i w tył, przyciskając złamaną rękę do piersi. Trząś się, zalewał potem, a kiedy inspektor tubalnym głosem wypytywał go o Jasona Fettesa, mamrotał,

że ściany chcą go zmiażdżyć. Zgodnie z przewidywaniami cztery kawy wcale go nie otrzeźwiły - wprawiły tylko w jeszcze większe drgawki.

Steel nie doceniła nadkomisarza: minęło zaledwie dwanaście minut, kiedy rozległo się pukanie i nadkomisarz bezceremonialnie wparował do pokoju.

- Panie inspektorze? - powiedział głosem jak świeżo naostrzony nóż. Kciukiem wskazał drzwi. - Proszę przerwać przesłuchanie i pójść ze mną. Natychmiast.

I poszli. Logan usiadł i zaklął paskudnie. Tym razem Insch przesadził: szef WK wyglądał, jakby zaraz miał go trafić szlag. Finnie na pewno kłął w żywy kamień tych, którzy przerwali mu pieczołowicie przygotowaną operację... tylko po to, żeby ściągnąć na komendę jakiegoś naoliwionego półmózga, co to złopał kawę, trząśnięt jak osika i narzekał, że ściany chcą go zmiażdżyć.

Jimmy Duff oparł się na stole, zdrową ręką drapiąc laminowany blat, jakby go swędziało. Spojrzał Loganowi prosto w oczy.

- Zawsze chciałem być strażakiem.

Poprzedniego dnia to matka Macintyre'a bluzgała tak, że słyszeli ją w całym areszcie. Dziś palmę pierwszeństwa przejął Jimmy Duff-wrzeszczał, że oblażą go węże, a policjanci są z ostrego, tłuczonego szkła. Logan dał mu spokój.

W biurze WK trwał konkurs na najbardziej nieprzyzwoity dowcip świata. Zasiadająca w jury inspektor Steel przyznawała punkty za oryginalność, pomysłowość i poziom obsceny. Należało się spodziewać, że zaniedbała jakąś papierkową robotę, która spadnie na Logana.

Sierżant Beattie opowiadał właśnie o dwóch paczkach frytek, co to wybrały się na bzykanko, kiedy rozległa się znajoma polifoniczna melodyjka. Odpowiedziały jej zgodne jęki „Znowu!” i wszyscy zaczęli się nerwowo

macać po kieszeniach, wyjmować telefony i z ulgą stwierdzać, że to nie do nich. Dopiero po ósmym dzwonku Logan namierzył swoją komórkę, zagrzebaną w plątaniu kabli, wtyczek i ładowarek na biurku pod oknem.

- McRae, słucham.

- Cześć, Logan. - Rachael. - Przycisnęłam prawników z banku. Nie było łatwo, ale mam kilka nazwisk. Prześłać ci je mailem?...

- Bardzo proszę.

Podszedł do okna i wyrztał na parking, gdzie dwie mewy biły się o resztki kanapki. Rachael czytała mu listę nazwisk. Znajoma potężna sylwetka otworzyła z rozmachem drzwi, przemaszerowała do brudnego jak nieszczęście rangę rovera i władowała się za kierownicę. Nawet przez podwójne szyby wyraźnie było słychać pisk opon, kiedy Insch wcisnął gaz do dechy i wypruł z parkingu, omal nie rozjeżdżając dwóch mundurowych, którzy wyszli na papierosa na zalany słońcem zjazd na Union Street. Przez chwilę stali jak skamieniali, odprowadzając wzrokiem wóz, a potem pokręcili głowami i przypalili sobie papierosa.

- ...wporządku?

- Słucham...? Tak, oczywiście.

Nie widział wyraźnie z tej odległości, ale założyłby się o każde pieniądze, że twarz Inscha była ciemnofioletowa.

- No to się cieszę... Oj, przepraszam, mam drugi telefon! Nie zapomnij: punkt siódma. O w mordę...

- Zaczekaj... Siódma? A co...

Rozłączyła się. Odsunął komórkę od ucha i spojrzał na nią z przerażeniem.

- Co j est? - Steel stanęła za nim, j edną ręką podciągaj ąc sobie spodnie prawie pod

pachy. - Wyglądasz, jakby ktoś podrzucił ci gówno do skarpetki. Uważaj: z taką miną niedługo upodobnisz się do Grubasa Inscha. A skoro już o nim mowa... - Pokazała drzwi.
- U mnie za pięć minut. Przynies herbatę i kanapki z bekonem. Tylko tracimy tu czas.

53

biedział w gabinecie Steel, wiercił się nerwowo i zastanawiał, na co się właściwie zgodził, umawiając się z panią wiceprokurator na siódmą wie-

czór. A Steel miała i dobre, i złe informacje: Inspektor Insch trochę przesadził, to prawda, ale nie można zaprzeczyć, że umie wsadzać ludzi za kratki.

- Dwa tygodnie? - powtórzył, patrząc, jak Steel ociera keczup z brody.

- Tak. Komendant uznał, że samo upomnienie tym razem nie wystarczy. Kto wie: może po powrocie stanie się lepszym człowiekiem? Chociaż ja obstawiam, że będzie jeszcze bardziej marudny i upierdliwy niż zwykle. Ale zgadnij, kto w tym czasie ma przejąć jego sprawy? - Podniosła rękę, na wypadek, gdyby Logan nie wyczuł ironii. - A kto mi w tym pomoże?

On jęknął, a ona prychnęła, wepchnęła sobie do ust ostatni kęs bułki i mówiła dalej:

- Nie marudź, mnie czeka jeszcze sprawa Pechowca McPherso-na. - Wyjęła teczkę z poczty przychodzącej, rzuciła ją Loganowi i zaczęła czegoś szukać w szufladach biurka. - Czytaj. Chcę usłyszeć, w co mnie wrobili.

Posłusznie otworzył teczkę i przeczytał krótki przegląd ostatnich dokonań Inscha. Steel - zmagając się z zamknięciem paczki plastrów nikotynowych - czasem mu przerywała i dopytywała się o szczegóły, ale większość spraw komentowała krótkim:

- Nie, tę też możesz wziąć.

Odrobinę zainteresowania wzbudziły u niej tylko dwa śledztwa -w sprawie Jasona Fettesa i Roba Macintyre'a.

- Jeśli udupimy Macintyre'a za te gwałty, może prasa zapomni o jego śpiączce, a komendant przestanie mi głowę suszyć, żeby złapała tego przykładowego obywatela, który go tak skatował - terkotała, podwijając rękaw bluzki i odsłaniając bladą skórę. Przylepiła plaster i spojrzała na opakowanie. -Ana razie dowiedz się, co słyhać w BIO. Musieli przecież coś wygrzebać z tych krzaków, gdzie go znaleźliśmy: odciski palców, DNA, włosy, laleczkę voodoo; cokolwiek, nie wymagam za dużo... Kurwa mać, wiesz, że muszę czekać całe cztery godziny, zanim będę mogła przykleić następny?

- Jason Fettes. - Logan pokazał jej plik papierów. - Duff nie wytrzeźwiał, ale...

- Jeszcze nie? - Steel spojrzała na zegarek. - Rany, musiał się naprawdę nieźle napruć... Będziemy go musieli wypuścić, zanim powie coś z sensem. Przesuń go na ostatni jutrzejszy termin w sądzie.

- Wpadliśmy też na ślad w sprawie Franka Garwiego. To ten...

- Gwiazderek porno, miał jakieś zaszyfrowane komputery, powiesił się. Kojarzę. Widzisz? Ja naprawdę wiem, co w trawie piszczy. Zajmij się

tym, mnie już się ulewa od roboty i nie potrzebuję dodatkowego szamba. -Wskazała na stosik akt. - Możesz je zwalić, na kogo chcesz; daję ci cały WK do dyspozycji. Zresztą wystarczy Rennie. Niech się czymś zajmie, zamiast pętać mi się pod nogami, aż go któregoś dnia zamorduję. Logan zgarnął akta do teczki. Stłumił westchnienie.

- Tak jest, pani inspektor.

- Nie krzyw się. Straciliśmy dwóch inspektorów. To może być twoja szansa, żeby

zabłysnąć. Wyróżnić się z tłumu. Nie spieprz tego.

Policjanci z WK marudzili okrutnie, ale w końcu udało mu się zepchnąć na nich wszystkie niechciane sprawy. Wydrukował sobie mail od Rachael, licząc na to, że znajdzie w nim coś więcej o zaplanowanym na wieczór spotkaniu - niestety, rozczarował się. Dostał po prostu listę nazwisk ludzi, którzy regularnie wpłacali pieniądze na konto Franka Gawiego. Domyślał się, że to dopiero wierzchołek góry lodowej - każdy rozsądny klient wolałby przecież płacić Garviemu gotówką, żeby w razie kłopotów nie został żaden ślad ich kontaktów.

Nie wszyscy jego klienci byli jednak na tyle bystrzy, żeby to pojąć. Na przykład Kevin Massie: czterdzieści pięć lat, wysoki, włosy nastroszone jak szczotka do sedesu, dłonie drobne jak u pedofila. I właśnie z powodu swojego pociągu do dzieci znajdował się na liście notowanych za przestępstwa na tle seksualnym.

Dom- połówka bliźniaka z dwoma sypialniami wNorthfield- lśnił czystością; próżno by w nim szukać choćby najmniejszego pyłku. Kuratorzy opiekujący się Massiem twierdzili, że odkąd wyszedł z więzienia w Peterhead- a minęło już trzy i pół roku- zachowywał się wzorowo. *Zaliczał* wszystkie kursy, na które go kierowali, chodził na terapię, nie zadawał się z podejrzanymi indywidualami i przestrzegał warunków zwolnienia. Był całkowicie wyleczony - na tyle, na ile to możliwe w przypadku człowieka, który molestował swojego siedmioletniego siostrzeńca.

Logan kazał Rickardsowi zaparzyć herbaty, a sam z gospodarzem i jego kuratorem został w salonie. Wsłuchiwał się w ciche trzaski gazowego grzejnika. Massie siedział na kanapie - cały spięty, nerwowo wyłamywał spocone palce u rąk.

- Laura mówiła mi, że chce pan ze mną porozmawiać - odezwał się, wskazując siedzącą naprzeciwko siwowłosą kobietę.

Logan nawet nie kiwnął głową. Kevin odchrząknął, zerknął na wiszący nad kominkiem obrazek, a potem wbił wzrok w swoje dłonie. Zakaszłał.

- Ja... No więc... Nawet nieźle mi się ułożyło. Zatrudniłem się w biurze rachunkowym w Dyce, to miła praca... - Dłuższa przerwa. - Eee... Jak pan myśli, mamy jakieś szansę w ten weekend? Niby to tylko Dundee, ale bez Roba Macintyre'a nie będziemy...

- Frank Garvie.

Kevin oblizał usta i zaczął jeszcze mocniej wyłamywać palce, wyciskając z bielejących kostek resztki koloru.

- Właśnie mówiłem Laurze, że nasi naprawdę muszą się wziąć do roboty, jeśli chcą coś w lidze osiągnąć...

- Wynajmowałeś od niego zaszyfowaną przestrzeń dyskową.

- Ja... To znaczy, my... - Uśmiechnął się niepewnie do swojej kurator. - Lubimy futbol, prawda? Laura pozostała niewzruszona.

- Opowiedz sierżantowi, co się stało, Kevin.

- No... Tak jakby...

- U Garviego znaleźliśmy towary pochodzące z kradzieży - wyjaśnił Logan. - To znaczy, że był przestępcą, a ty jego współnikiem. To wbrew warunkom zwolnienia.

- Ja... - Na widok Rickardsa niosącego tacę z czterema kubkami herbaty Kevin zerwał się z kanapy. - Ja... Ciasteczka! Na pewno znajdę gdzieś jakieś ciasteczka...

Kurator westchnęła i zakryła twarz dłońmi.

- Na Boga, Kevin, przecież o tym właśnie rozmawialiśmy! Nie możesz się zadawać z przestępcami, bo znowu trafisz do więzienia! Chcesz wrócić do Peterhead?

Drobne dłonie zatrzępotały nerwowo.

- Przepraszam. - Kevin wbił wzrok w dywan. - Nie chciałem... Nie byłem... Nie chciałem nic zrobić. Nic złego. Tylko... - Potarł policzek. - Gorąco tu, prawda? Przykręć grzejnik.

- Kevin!

Skulił się, zaplątał różowitkie palce w supeł i zaprowadził ich do sypialni dla gości - jednocześnie pokoju do pracy. Ściany wyłożone tapetą w różyczki, ze srebrnym paskiem. Pod oknem tanie biurko komputerowe, pewnie z supermarketu. Na samym środku - symetria idealna - laptop.

- Ja... Nie chciałem nikogo dotykać. - Kevin zadrżał. - Chcę się poprawić. Nie chcę... Kurator uśmiechnęła się z zawodową wyrozumiałością, współczująco, fałszywie.

- W porządku, Kevin. Jeżeli nie chcesz o tym mówić, po prostu nam pokaż.

Pokazał. Włączył komputer, otworzył folder na pulpicie i uruchomił jeden z plików. Ekran wypełniła sieczka. Wyjął z szuflady pendrive -błyszczące maleństwo, podłączane do portu USB i nie większe od małego palca Logana - wsunął go do gniazdka w laptopie i uruchomił program deszyfrujący.

Wyświetlił się film. Jakiś blondynek - mały, najwyżej ośmioletni, rozebrany do majtek - stał tyłem do kamery. Laura westchnęła.

- Kevin...

- Przepraszam! Przepraszam, nikogo nie dotykałem, nawet nie... Ale czasem muszę...

Ktoś położył chłopcu dłoń na ramieniu i odwrócił go do kamery. Oczy pełne łez.

- O zesz kurwa! - zaklął Logan.

To był Sean Morrison.

Teraz dłoń ustawiła go bokiem do obiektywu i w kadr wszedł mężczyzna, widoczny i tylko od pasa w dół, z rysującą się wśród siwych włosów blizną przez całe udo aż do kolana. W głośniczkach laptopa zaszeleścił uspokajający szept:

- „Ćśś, cicho, malutki, cicho... Grzeczny chłopczyk...”

Przeżony Sean spojrział w kamerę i...

Logan odwrócił wzrok. Wystarczyło mu to, co już zobaczył.

Musiał się bardzo pilnować, żeby nie przyłożyć Kevinowi Massiemu, kiedy ten bełkotał, że nikogo nie dotknął, że tylko oglądał film, a w ogóle to wina jego stryja, że wyrósł na takiego człowieka, i wcale nie chce wrócić do więzienia.

- „Grzeczny chłopczyk, tak, bardzo grzeczny... O tak...” Kazał Rickardsowi wyłączyć film.

- „Grzeczny chłopczyk... Tak, Craig, tak...”

Pstryk.

Cisza.

Późne popołudnie. Ołowiane niebo zalewało miasto deszczem. Jezdnia lśniła odbitym niebieskobiałym światłem koguta radiowozu A27. Logan wysiadł ze służbowego vauxhalla. Na Hamilton Place panował spokój. Rozejrzeli się — samochodu Whyte'ów ani śladu.

- Masz nakaz?

Rennie pokiwał głową, wyjął kartkę z kieszeni kurtki i mu podał. Logan upewnił się, że na papierze są wszystkie wymagane prawem podpisy, zanim podszedł do drzwi frontowych i zabębnił w nie prawie jak Insch. Odpowiedziała mu cisza.

- Może nikogo nie ma?

Logan zabębnił jeszcze raz, odczekał chwilę i obszedł dom od tyłu. Rennie i Rickards

dreptali za nim. Z szopy przy ogrodzeniu dobiegała muzyka - / *Can 't Get No Satisfaction* Rolling Stonesów tonęło w szumie deszczu; ktoś sobie podśpiewywał, lekko fałszując.

Pan Whyte senior, z własnoręcznie skręconym papierosem w kąciku ust, ostrzył dłuto na kamieniu szlifierskim. Podniósł głowę i uśmiechnął się na widok Logana.

- Sierżant McRae! Jak się pan miewa? W czym mogę pomóc?

- Chcę zobaczyć pana udo.

Whyte uniósł brwi i zgasił niedopałek na porcelanowym spodeczku.

- Tak na pierwszej randce? Co z pana za...

- Ja nie żartuję. - Logan pokazał mu nakaz. - Aresztuję pana pod zarzutem seksualnego molestowania dziecka.

- To na pewno jakaś pomyłka. W życiu nie tknąłbym dziecka, to obrzydliwe...

- Pamięta pan Seana Morrisona, panie Whyte? Pamięta pan, jak bardzo przypomina Craiga, pańskiego pupila? Tego, który popełnił samobójstwo, bo nie mógł znieść tego, co mu pan zrobił?

Whyte spojrział na dłuto w swojej dłoni i na Logana.

- Nie będę tego dłużej słuchał. - Zacisnął dłoń na rękojeści. - Wynocha!

- Odgrywał pan dziadka wobec Seana? Wiek by się zgadzał. Chłopiec martwił się o dziadka, a pan to wykorzystał...

- Jeśli natychmiast pan stąd nie wyjdzie, nie odpowiadam za siebie. - Whyte się cofnął. Dłuto w jego dłoni poruszało się w przód i w tył, jak łeb węża. - Wynocha z mojego ogrodu, ale już.

- Na dodatek był pan na tyle głupi, żeby to nagrać na wideo.

- Kłamstwo! Nie masz tu czego szukać.

- Dziś rano znaleźliśmy film. Molestował pan ośmioletnie dziecko, a na dodatek, jak ostatni dureń, nagrał to na DVD! Stara kontuzja. - Logan wskazał udo Whyte'a. - Kiedy okaże się, że pańska blizna jest taka sama, jak u tego człowieka na filmie, zamknę pana tam, gdzie...

- Nie zrobiłem nic złego! - Whyte się zapluł. - Wynocha! - Krok w przód. Blade słońce zalśniło na świeżo zeszlifowanym ostrzu dłuta.

Logan wyszarpnął miotacz gazu i wycelował go z bliska w twarz Whyte'a.

- Odłożyć broń i wyjść z szopy.

Whyte spojrział na Renniego i Rickardsa - odcinali mu drogę ucieczki - a potem na miotacz gazu w ręce Logana i wyrzucił dłuto. Przekoziółkowało i wbiło się w miękką ziemię.

- Żądam adwokata. Nic...

Logan trysnął mu gazem w oczy. Whyte krzychał jeszcze głośniejszym głosem niż Sean Morrison.

No, nie wytrzymam... - Steel z niedowierzaniem czytała raport Logana. - I nie przyszło mi do głowy, że Garvie udostępni filmik innym zboczonym dzieciolubom?

- Nawet nie wiemy, czy Garvie rzeczywiście to zrobił. Kevin Massie wykręca się jak tylko może, co nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę, że grozi mu powrót do Peterhead. Mówi, że było ich pięciu, sześciu. Wymieniali się filmami i zdjęciami, czasem robionymi chałupniczo, czasem ściągniętymi z Internetu. Szyfrowali je, tak żeby nikt oprócz nich nie mógł ich obejrzeć, i wrzucali na serwer Garwiego. Massie twierdzi, że nie zna tych niby kumpli. Nie używali prawdziwych nazwisk, więc nam ich nie wskaże.

- Wygodne.

- Whyte nic nie mówi, ale blizna na jego udzie pasuje do tej z filmu, więc tak czy inaczej ma przerąbane. Steel w zadumie pokiwała głową.

- A widzisz? Mówiłam, że z tym Morrisonem nie wszystko jest do końca jasne...
Nawet nie chciało mu się tego prostować - wybiórcza pamięć pani inspektor miała się doskonale. Usiadł ciężko na krześle i wyrżał przez zasnuite nikotynowym osadem okno.

- Informatycy użyli klucza na pendrivie z domu Whyte'a do odszyfrowania serwerów Garviego.

Steel wyraźnie się ożywiła; cała jej pomarszczona twarz wyrażała podniecenie.

- I co?

- Dobrali się do dwudziestu filmów i koniec, reszty tym kluczem nie ruszą. A tam są jeszcze tysiące plików.

- Aha... - Ekscytacja ulotniła się bez śladu i Steel znów wyglądała jak zwykle. - Trudno, raz się wygrywa, raz przegrywa. Ściągnijcie do komendy wszystkich przygłupów, którzy płacili Gandemu czekami. Przyciśniemy ich. A tymczasem... - Zaczęła się huścić na krześle. - Musiałam przerwać poszukiwania dziwkolotu Macintyre'a. Nigdzie go nie ma, a nadkomisarz już zaczął drzeć japę, że wyrabiamy za dużo nadgodzin. Najwyraźniej operacja inspektora Finniego jest ważniejsza- dodała z przesadnym wiejskim akcentem z Banff and Buchan. Zmarszczyła brwi. - Nadęciak pieprzony... Spróbuj załatwić jakąś herbatę, dobrze? Umieram z pragnienia.

Dwadzieścia po czwartej Logan gapił się tępo na telefon, rozważając wszystkie za i przeciw ewentualnej rozmowy z Rachael Tulloch, w której musiałby ją przeprosić za odwołanie tajemniczego spotkania o siódmej wieczorem, gdy nagle padł na niego olbrzymi cień. Skulił się odruchowo, spodziewając się zobaczyć fioletową twarz inspektora Inscha - ale to był tylko Duży Gary z plikiem zgłoszeń w jednej ręce i kubkiem herbaty w drugiej. W zębach trzymał bułkę.

- Mmmuau, goufmmm musmpfff.

Logan wytrzeszczył oczy. Gary wyjął plackowatą bułkę z ust i spróbował jeszcze raz:

- Nie mów nic Watson. Twoja dziewczyna stoi przed wejściem.

- Co?!

Jakim cudem Gary dowiedział się o Rachael? Poza tym jeśli on wie, za parę minut usłyszy o tym cała komenda. A Jackie ukręci mu jaja!

- Ashley? Tak się nazywa? Ta panna Macintyre'a. Stoi przed wejściem i wszystkim opowiada, jakie z nas gnojki. Pięć minut temu wyszła z sądu i już ma konferencję prasową, zdzira jedna.

- Aha. Chwała Bogu...

- Trzymaj. - Gary rzucił mu na biurko połowę zgłoszeń. - Steel powiedziała, że te są twoje.

Odgryzł kawał buły i się zmył.

Logan tylko zerknął na stertę papierów - i stwierdził, że mogą poczekać. Włożył marynarkę i wyszedł: czuł masochistyczną potrzebę usłyszenia nowych kłamstw narzeczonej Macintyre'a.

Zanim zbiegł na parter, ekipy filmowe już zaczynały się zwijać. Ri-ckards stał na najwyższym stopniu schodów i patrzył na występującą przed kamerą spikerkę Sky News. Ślad

po uderzeniu Debbie zbladł przez noc, ale żałosna mina pozostała. Posterunkowy westchnął jak ogromny szczeniak, kiedy Logan stanął obok niego.

- Co powiedziała?

Rickards wzruszył ramionami.

- To co zwykle.

Logan powiódł wzrokiem po tłumie, szukając charakterystycznych blond włosów Ashley, i zauważył ją w chwili, gdy razem z matką Macintyre'a wsiadała do taksówki.

- Na ich miejscu... - zaczął.

Zawahał się. Zmarszczył brwi i patrzył, jak taksówka odjeżdża. Stracili tyle czasu na przeczesywanie miasta w poszukiwaniu czerwonego hatch-backa, chociaż byli przekonani, że na pewno został porzucony gdzieś na pustkowiu, całe kilometry od cywilizacji, i prawdopodobnie spalony... A jeśli nie? Jeśli nie się mylili?

Chwyił Rickardsa za ramiona.

- Leć po samochód!

Wyjął komórkę, zadzwonił do inspektora z monitoringu i poprosił, aby zaczęli tropić taksówkę z firmy Rainbow, która właśnie wyjeżdża na Broad Street.

- Będzie mi też potrzebne wsparcie, dwóch...

- Nie da rady. Finnie prowadzi dużą akcję antynarkotykową i wszyscy pojechali się bawić w *Miami Vice*. Nie mam nikogo wolnego. A jeszcze ten gang złodziei sklepowych...

Logan nadal utyskiwał, kiedy dwie minuty później Rickards podjechał po niego starym vauxhallem. W środku śmierdziało potem.

Wskoczył na fotel pasażera.

- Dlaczego to tyle trwało?!

- Był...

- Nieważne, jedź. Skręć w lewo w Broad Street... - Logan podniósł telefon do ucha. - Schoolhill...

Rickards dodał gazu i zardzewiały vauxhall podjechał do skrzyżowania, gdzie musiał przepuścić telepiący się, zasapany autobus przegubowy. Posterunkowy wychylił się przez okno, szukając przerwy w strumieniu samochodów.

- Nie rozumiem. Dlaczego...

- Dopiero wyszły z sądu, gdzie postawiono im zarzut utrudniania śledztwa. Wiedzą, że chcąc udowodnić winę Macintyre'a, musimy znaleźć ten czerwony samochód. Bez samochodu nie będzie dowodów, a bez dowodów wyroku. Co byś zrobił na ich miejscu?

- No tak...

- Właśnie.

Jechali za kobietami Macintyre'a, prowadzeni wskazówkami z centrali monitoringu - Logan odbierał je przez telefon i przekazywał Rickardsowi, który wciskał gaz do dechy.

- Jest!

Logan stuknął palcem w przednią szybę. Taksówka stała na światłach na skrzyżowaniu z Union Street, pierwsza w kolejce. Czerwone, żółte... Ruszyła, a za nią kilkanaście aut, ale taksówka jadąca tuż przed vauxhallem musiała gwałtownie zahamować, żeby nie rozjechać pijanej w dym, obrzyganej nastolatki, która wparowała na jezdnię; wymachiwała bezładnie rękami, śpiewała bełkotliwie i popisywała się przed równie narąbany-mi przyjaciółkami. Obtrąbiona i zwyzywana od najgorszych, zachichotała i cofnęła się na chodnik. Samochody znów zaczęły jechać, światło jednak tymczasem zmieniła się na czerwone.

Rickards włączył syrenę. Ogłuszający jazgot wdarł się w szum deszczowego popołudnia

- i nic: samochody na Chapel Street stały tak gęsto, że nie mogły dać pierwszeństwa

vauxhallowi. Zanim znów włączyło się zielone, taksówka zniknęła im z oczu. Na szczęście Logan dostał nowe namiary z monitoringu i Rickards przyspieszył. Przepisnęli się wśród samochodów i autobusów, które zjeżdżały im z drogi, i śmiertelnie wystraszyli staruszkę z wózkiem sklepowym na pasach na Union Grove.

Logan zaparł się rękami o deskę rozdzielczą, kiedy posterunkowy wduślił hamulec, by nie rozjechać emerytki.

- Wyłącz to!

- Co?

- Syrenę, durniu. Wyłącz syrenę. Jeśli nas usłyszą, raczej nie zaprowadzą nas do samochodu, nie sądzisz?

Rickards wykonał polecenie.

Błąda jak ściana staruszka pokuśtykała dalej, trzymając się za pierś. Logan poprosił monitoring o dalsze wskazówki; niestety, okazało się, że taksówka wyjechała poza zasięg kamer.

- No żesz kurwa mać! - Wyrznął pięścią w deskę rozdzielczą. Rickards skulił się odruchowo.

- To nie moja wina!

Logan wybrał numer Rainbow Taxi i czekał, aż ktoś odbierze telefon.

- No szybciej, szybciej...

Ktoś się zgłosił, ale sierżant nie dał mu dojść do słowa.

- Mielicie państwo przed chwilą kurs z Queen Street, spod komendy. Dziesięć minut temu. Dokąd pojechał ten wóz?

- Przykro mi, nie mogę udzielać takich informacji przez telefon...

- W porządku. W takim razie niech pani zadzwoni na policję i powie, dokąd pojechała taksówka. Proszę zgłosić, że pyta sierżant McRae i że sprawa jest pilna.

- No... To znaczy...

- Nie słyszała pani? Pilna! Dyspozytorka obiecała, że się postara.

Chwilę później odebrał telefon z centrali i dowiedział się, że taksówka pojechała pod dom Roba Macintyre'a. Zaklął szpetnie. Szlag trafił jego teorię.

- Powiedzieli, że matka wysiadła, a ta młodsza pojechała dalej.

- Dokąd? Dokąd kazała się zawieźć?

- Jest pan pewny, że to tutaj?

Rozglądał się po płaskim jak deska, nijakim parkingu w cieniu wysokościowca na obrzeżach Kittybrewster. Wzmagający się wiatr toczył po mokrym betonie pusty styropianowy karton.

- Absolutnie. - Taksówkarz serdelkowatym palcem wskazał róg parkingu, gdzie w ogrodzeniu z siatki ziała nieregularna dziura. - Wysadziłem ją tutaj, a ona poszła prosto w tamtą stronę, z pudełkiem pod pachą. - Pociągnął nosem i spojrzał w lodowate błękitne niebo.

- Dla odmiany nawet niezła pogoda się nam zrobiła, nie uważa pan?

- Z pudełkiem? Jakim pudełkiem?

- Pojęcia nie mam. — Wzruszył ramionami. — Matka weszła do domu, wyniosła nieduże pudełko i podała tej blondynie z tyłu. I kazała mi tu jechać.

Pudełko. Trofea Macintyre'a, których bezskutecznie szukali. Matka i narzeczona postanowiły się pozbyć dowodów zbrodni. Podziękował taksówkarzowi i szybkim krokiem ruszył w stronę dziury w siatce, starając się nie słuchać biadolenia Rickardsa. Posterunkowy włókł się za nim i narzekał, że Debbie Kerr rozpowie wszystkim w całym Aberdeen, że on jest

niegodnym zaufania gnojkiem.

Wydeptana w trawie ścieżka biegła od ogrodzenia w stronę bloku. Logan schylił się i przeszedł na drugą stronę. O czwartej po południu w piętek miejsca parkingowe przed blokiem były puste. Również przy sąsiednich

dwóch osiemnastopiętrowych blokach — szarych wieżach z betonu — stało niewiele samochodów. Czerwonego hatchbacka nie było nigdzie widać.

Taksówkarz twierdził, że Ashley wysiadła na parkingu dosłownie kilka minut wcześniej - więc gdzie się, do diabła, podziała?!

- Przecież nie zrobiłem tego specjalnie! Dlaczego Debs musiała...

- Posłuchaj: zamknij się, na dwie minuty zapomnij o swoich kumplach z BDSM i pomóż mi szukać samochodu Macintyre'a, dobrze?

Posterunkowy zaczerwienił się, wymamrotał przeprosiny — i po upływie pięciu minut znów zaczął marudzić.

Obok skupiska małych sklepów odchodziła w bok wąska uliczka, przy której stały zamykane na kłódkę garaże. Głębokie kałuże mieniły się olei-ście w słońcu. Stara farba płatami obłaziła z bram, a nowej dawno nikt nie położył. Tylko jeden garaż był otwarty - w głębi, przy końcu uliczki. Ze środka dobiegał głos, którego nie zagłuszało ani skrzeczenie sroki, ani nawet zrzęczenie Rickardsa.

- I co ja mam teraz zrobić? Przecież nie... Logan pacnął posterunkowego w ucho.

- Cicho! - Pokazał otwarte drzwi garażu. - Jest tam. Podkradli się bliżej. Z każdym krokiem dobiegający ze środka głos stawał się wyraźniejszy, aż go rozpoznali. Ashley. Klęta jak szewc.

- Pieprzone lamusy... Żeby ich szlag... - Coś szczerknęło metalicznie. - Cholera.

Logan zajął do środka: Ashley na czworakach, z zadkiem zadartym wysoko w górę, zaglądała pod mały czerwony hatchback. Miał ogromną ochotę kopnąć ją w ten wypięty kuper, ale się pohamował.

- Zgubiłaś coś?

Zamarta, znów zakłęta i powoli odwróciła się do niego, z wybałuszonymi oczami i rozdziawionymi ustami.

- To jest... teren prywatny... Tu nie wolno...

- Odsuń się od samochodu.

Nie mógł się nie uśmiechnąć, więc nawet nie próbował: w końcu im się udało... Zmarszczył brwi. Przez woń kurzu i oleju przebijał inny zapach, niepokojący. Wybielacz. Pudełko, które zabrała z domu, zawierało środki czyszczące i mały, przenośny odkurzacz.

- Chciałam... - Ashley spojrzała w stronę wyjścia, ponad ramieniem Logana. Wyrzeszczyła oczy. - A to co znowu?! Logan nawet się nie obejrzał.

- Doceniam, że się starasz. Wstawaj. Zakłęta i się poderwała.

- Dranie.

- Rickards? Zaopiekuj się panią.

Posterunkowy sięgnął po kajdanki i zaczął recytować przysługujące jej prawa. Doszedł do „Wszystko, co pani powie”, kiedy wyrznęła go kolanem w jądra.

- O kurwa...

Była szybka. Kiedy Rickards zgiął się wpół, uderzyła go łokciem w potylicę, a zanim zwałił się na beton, wyciągnęła z kartonu miękką plastikową butelkę i prysnęła wybielaczem w twarz Logana.

Zdażył zasłonić twarz rękami, ale cała głowa utonęła mu w chemicznym oparze. Ashley

pchnęła go w bok, prosto na otwarte drzwi samochodu, i rzuciła się do ucieczki. Zatoczył się do tyłu, potknął i z impetem wyrzniętą na tyłek.

Natychmiast się poderwał. Rickards jęczał z bólu, trzymając się za obolałe genitalia. Chwilowo był bezużyteczny. Logan zaklął pod nosem, wybiegł z garażu i wyhamował z poślizgiem na dziurawym jak rzeszoto asfalcie.

Ashley biegła w kierunku głównej drogi, najszybciej jak pozwalały jej na to buty na obcasie, i darła się ile sił w płucach:

- Pomocy! Ratunku! Gwałcą!

Dogonił ją przy kiosku z gazetami, złapał od tyłu za kołnierz i obrócił do siebie. Wymierzyła mu zamaszysty sierpowy, ale zdążył zrobić unik i jej pięść chybiła. Odpłacił jej pięknym za nadobne, tyle że jego cios jej dosięgnął! rozległ się mokry trzask i Ashley, jęcząc i trzymając się za rozkwaszony nos, wyładowała na ziemi. Krew ciekła jej spomiędzy palców.

Logan podniósł ją, pchnął na okno kiosku i skuł jej ręce za plecami. Na szkle została czerwona plama.

- Ty chuju! Tu kutasie pierdolony! Jestem w ciąży, palancie! Pozwę cię, zobaczysz! Policja bije!

Drzwi kiosku uchyliły się i ze środka wyjrzał mały człowieczek. Pogroził Loganowi pięścią, zachowując bezpieczny dystans.

- Puść ją!

Ashley zwróciła zakrwawioną twarz w stronę nieśmiałego bohatera, czającego się za osłoną.

- Widział pan! Jest pan świadkiem, że się na mnie rzucił, skurwiel! Policja bije!

- Policja? To ja... tego...

Kioskarz zbladł i szybko zamknął drzwi. Ashley plunęła na nie krwią.

Logan zabrał ją z powrotem do garażu.

55

Inspektor Steel bawiła się paczką papierosów, patrząc, jak ekipa BIO pastwi się nad hatchbackiem Macintyre'a. Od czasu do czasu zerknęła na karetkę i siedzącą z tyłu, pod otwartą klapą kobietę. Z rozbitego nosa nadal płynęła krew, a siniaki pod oczami zaczynały nabierać koloru.

- Łazarz, jak Boga kocham... Nie mogłeś jej zwyczajnie poprosić, żeby z tobą poszła? Jak to będzie wyglądało: „Policjant pobił ciężarną kobietę!” Media nie zostawiana nas suchej nitki. Widywałam... - Zmarszczyła brwi. - Co się stało z twój ą marynarką?

Logan popatrzył na swoją pierś, a kiedy nie zobaczył nic niezwykłego, obejrzał rękawy: w wielu miejscach blakły od wybielacza.

- A niech to... - Będzie musiał kupić nową marynarkę. - Omal nie wykastrowała Rickardsa.

- Poważnie? - Steel wzruszyła ramionami i schowała papierosy. -Nie byłoby to takie złe, przynajmniej by się skurczybyk nie rozmnażał. - Przeszapiła niespokojnie z nogi na nogę i znów wyjęła papierosy. - Cholera, czemu to tyle trwa?

Wskazała ubranych w białe kombinezony ludzi z BIO. Jeden przeszukiwał wnętrze samochodu, a drugi grzebał w bagażniku: wyjmował najróżniejsze śmieci, fotografował je i pakował do ponumerowanych torebek.

- Pewnie wiedzą, co robią... Ale wyobrażasz sobie, co by było, gdyby cała ta sprawa okazała się naszą jedną wielką wtopą? Ten od bagażnika stęknął i wyciągnął koło zapasowe.

- O w mordę...

- Co jest? - Steel doskoczyła do przedzielającej garaż biało-niebieskiej taśmy policyjnej i wspięła się na palce, próbując dostrzec coś sponad wciśniętych w bagażnik białych kombinezonów. - Co tam macie? Bo jeśli kasę, to ja też chcę działkę!

Kamerzysta filmował, fotograf robił zdjęcia, ludzie z BIO wsadzali

łapy...

Inspektor wzięła głęboki wdech.

- Co tam się dzieje, do kurwy nędzy?!

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Szef ekipy techników odwrócił się, trzymając w rękach torbę FC Aberdeen — takie torby sprzedawały wszystkie sklepy sportowe w mieście. Wyjął z niej nóż.

- Tu sajeszcze biżuteria i różne inne rzeczy - powiedział.

- No to zajebście. - Steel odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do Lo-gana. — Widzisz? Zawsze wszystkim powtarzam, że może i jesteś brzydki, ale na pewno nie głupi.

Parking na tyłach komendy pękał w szwach. Radiowozy i furgonetki stały w ciasnym rzędzie, a mundurowi policjanci prowadzili do aresztu kilku mężczyzn, którzy nie szczydzili im wyzwisk i próbowali się wyrwać. Dwóch innych funkcjonariuszy wyładowywało paczki do złudzenia przypominające cegły, zawinięte w czarną folię i oblepione brązową taśmą klejącą. Układali je na małym wózku. W samym środku tego zamieszania, dowodząc akcją niczym wyższy i mniej przystojny brat Napoleona, stał inspektor Finnie. Na widok Logana i Steel wyciągających z radiowozu Ashley podniósł dłoń we władczym geście powitalnym.

- No proszę, kogo my tu mamy? Sierżant McRae... - Wziął jedną cegłę z wózka i pomachał nią Loganowi. - Heroina za pół miliona! Dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że towar jeszcze na nas czekał, kiedy zrobiliśmy nalot. Po tym parszywym numerze, jaki wykręciliście nam rano razem z Grubym Inschem, mogli przenieść magazyn i następnym razem zobaczylibyśmy tę herę w detalu, na ulicach. Nie jesteś policjantem, tylko chodzącą katastrofą, McRae.

Wyminął ich, potracając Logana ramieniem.

- Nie słuchaj go - powiedziała sierżantowi Steel. - Pewnie dawno już nie dupczył, onanista jeden.

Wydawało się, że pani prokurator ze szczęścia zacznie fikać koziołki. Znalazona w schowku biżuteria idealnie pasowała do tej, którą skradziono ofiarom — wszystkim, tym z Aberdeen i tym z Dundee. Gdyby Macin-tyre wybudził się kiedyś ze śpiączki, trafiłby do więzienia na bardzo, bardzo długo. Steel pozwoliła Loganowi przekazać dobrą nowinę do Tay-side, gdzie nadkomisarz-zasraniec Cameron skwitował ją chrząknięciem i stwierdzeniem: „Najwyższy czas!”

- No i co? - zapytała, kiedy skończył rozmawiać. - Rozpływają się z wdzięczności?

- Nie. - Logan spojrział na zegarek: osiemnasta trzydzieści jeden. -Co z Jimmym Duffem?

Inspektor zrobiła zdziwioną minę.

- Rany, nie mógłbyś się nacieszyć chwilą sławy? Złapaliśmy Gwałciela z Granitowego Miasta! Czas na baloniki, watę cukrową i lody! — Pokręciła głową. - Te dzisiejsze dzieciaki... Dobra, jak chcesz. Idź, pobaw

się z Duffem, ale radzę ci tu wrócić na siódmą. Będzie konferencja prasowa. A potem ty, ja i Klapsik idziemy się napić.

No pewnie. Powinien świętować — ale zupełnie odeszła mu na to ochota. Pokazówka Finnego zepsuła mu humor. Mógł nie lubić skurczybyka, ale facet miał trochę racji: narazili na niepowodzenie operację Wydziału Narkotykowego, bo Insch koniecznie chciał dorwać ćpuna, który mógł -ale nie musiał — mieć coś wspólnego z przypadkowym zgonem Fettesa. Przecież nic nie wskazywało na morderstwo: Fettes lubił ostry seks, partnerka się zagalopowała, on umarł. Koniec, kropka. Ale nawet jeśli był to tylko nieszczęśliwy wypadek, należało sprawę domknąć, co pozwalało Loganowi przynajmniej na coś skupić myśli, a nie rozpamiętywać popełnione błędy: głupią akcją Inscha; wejście w paradę Finniemu; niesłuszne oskarżanie Inscha, że niepotrzebnie stara się obciążyć Macintyre'a; a przede wszystkim brak zaufania do Jackie. W jej przypadku nie było mowy o żadnej obsesji. Zwyczajnie miała rację.

Zadzwoił do aresztu z pytaniem, czy Jimmy Duff wrócił już z orbity na ziemię.

- Proszę poczekać, sprawdzę - usłyszał. A po chwili: - Nie, nadal dzielnie eksploruje niezmiernie przestrzenie, które przed nim badało już miliony frajerów. Ma się stawić w sądzie... - Szelest dokumentów. - Jutro o wpół do czwartej. Kupa czasu. Chce pan, żeby ktoś go przesłuchał dziś

wieczorem?

- Nie - odparł Logan po chwili zastanowienia. - Przyjdę do niego rano.

Po co się spieszyć! Jason Fettes bardziej martwy już nie będzie.

Konferencja prasowa wypadła zdumiewająco dobrze. Wszyscy dziennikarze jakby zapomnieli, że dzień wcześniej o tej samej porze zasypywali pierwsze strony gazet i serwisy informacyjne nagłówkami i wiadomościami w rodzaju Odrażająca policyjna kampania pomówień wymierzona przeciwko dzielnemu Robby'emu Macintyre'owi! Nagle piłkarz stał się potworem i należało się cieszyć, że dopóki jest w śpiączce, nikogo więcej nie skrzywdzi.

Potem poszli do pubu, we trójkę: Logan, Steel i Rickards. Przyplątał się jeszcze Rennie, zawsze łasy na darmowego drinka.

- No tak... — Steel odprowadziła wzrokiem Rickardsa, który zamawiał przy barze następną kolejkę. -A gdzie Watson? Myślałam, że chętnie strzeli sobie uroczyste piwko albo trzy.

Logan wzruszył ramionami. Nadal dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Ma wolny dzień. Nagrałem jej wiadomość.

Jackie wyłączyła telefon - w przeciwieństwie do Inscha, który mimo zawieszenia nie zamierzał przegapić takiej biby.

- Teraz, oczywiście, każdy jest mądry - mówiła Steel, biorąc do ręki podaną przez Rickardsa whisky. - Wszyscy mówią, że od początku wiedzieli o winie Macintyre'a. Ale go nie złapali, prawda? Prawda. Bo złapali go Klapsik z Łazarzem!

Wzniosła toast za nich obu - Rickards aż spurpurowiał -jednym haustem opróżniła szklankę i posłała Renniego po dolewkę.

Opowiadała właśnie świński dowcip o dwóch pielęgniarkach i skrzynce ogórków, kiedy ktoś postukał Logana w ramię i zapytał, czy miejsce obok niego jest wolne.

- Tak, proszę...

Zamarł, bo dopiero teraz rozpoznał ten głos. Rachael Tulloch, prosto z pracy. W końcu do niej nie zadzwonił.

- Domyśliłam się, że cię tu znajdę. - Usiadła i zwróciła się do wszystkich: - Pani prokurator powiedziała tak: „Dobra robota. Stawiam wszystkim kolejkę!”

Głośnie okrzyki i brawa.

Inspektor wróciła do przerwanej żartu, a z komendy napływali coraz to nowi ludzie: posterunkowi po służbie, sierżanci, inspektorzy - i wszyscy powtarzali Steel, że cały czas w nią wierzyli i wiedzieli, że w końcu rozwikła tę sprawę.

Rachael wybrała moment, kiedy nikt nie patrzył, i położyła dłoń na udzie Logana. Udało mu się nie podskoczyć, a ona się do niego uśmiechnęła.

- Wiedziałam, że dzisiaj prędko stąd nie wyjdiesz. Trzeba opić Macintyre'a, i w ogóle...

- No... Tak, to prawda... Chcieliśmy...

- Wpadnij jutro. Będzie fajnie. Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, powinnam mieć wolny weekend. Ścisnęła mu udo. O Boże.

- My... To znaczy ja... - Powiedz jej! - Mieszkam z kimś.

- Wiem - odparła z uśmiechem.

Logana zamurowało. Jednym haustem wypił pół kufła piwa, oznajmił, że idzie do toalety, i wymknął się, zanim zdążyła zareagować. Zakręcił, drzwi, schody na górę... Zatrzymał się na półpiętrze, oparł pleca-

mi o ścianę i zamknął oczy. Cholera by to wzięła! Co teraz? Uporał się z najtrudniejszym zadaniem: powiedział jej, że mieszka z Jackie. A na niej nie zrobiło to żadnego wrażenia! Kurwa, kurwa, kurwa mać! Nie żeby mu się nie podobała - przecież nawet ją pocałował, na Boga! I sprawiło mu to przyjemność. A ona pewnie jest znacznie bardziej zrównoważona niż Jackie, z którą, oględnie mówiąc, trudno się mieszka. Poza tym... Nie wiedział, co robić.

- Psiakrew!

Sam fakt, że w ogóle się nad tym zastanawiał, go zaniepokoił.

Wrócił na dół i zobaczył Inscha, górującego nad stolikiem Steel i jej towarzystwa. Poklepywał wszystkich po plecach i przypominał im, że przecież od początku twierdził, że to sprawa Macintyre'a.

Brakowało tylko... O wilku mowa. Jackie Watson, z mokrymi włosami, w ociekającej wodą kurtce. Logan zatrzymał się i patrzył, jak Jackie uśmiecha się szeroko, chwilę jeszcze się waha - a potem obejmuje i ściska Inscha. Inspektor sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale szybko się otrząsnął i zawołał:

- Kolejka dla wszystkich!

A Rachael cały czas się śmiała.

O Boże... Odetchnął głęboko i przyłączył się do zabawy.

Oobotni poniedziałek był bolesny — może nie tak bardzo, jak by mógł, ale wystarczająco, żeby Logan pożałował picia w pubie do drugiej nad ranem. Wytoczył się z łóżka, stęknął i przetarł twarz rękami. Spod kołdry obok niego dobiegło niewyraźne mamrotanie. Wyłączył budzik i powłókł się pod prysznic.

W komendzie panował spory ruch: dziesięć po siódmej rano dzienna zmiana

zapoznawała się z aresztantami z tradycyjnie suto zakrapianej piątkowej nocy w Aberdeen. Logan podpisał listę, wziął dużą kawę ze stołówki i dopiero wtedy poszedł zobaczyć, kto ma dyżur. Sierżant Mitchell spojrzał na niego gniewnie.

- Dziś powinieneś być na drugiej zmianie.
Logan wzruszył ramionami.

- To przez Jimmy'ego Duffa. O wpół do czwartej ma stawić się w sądzie.
- Diabli nadali... Weźże wreszcie jakiś urlop, człowieku! Wyobrażasz sobie, ile się trzeba namęczyć, żeby rozliczenia nadgodzin się zgadzały? Przez takich jak ty są same problemy.
- Steel już przyszła?
- Nie. Insch też nie... - Mitchell nachylił się i *zniżył* głos do scenicznego szeptu: - Zawiesili go! - Wyprostował się i pociągnął nosem. - Jeśli jesteś zdesperowany, zostaje ci Finnie.
- Mniejsza z tym. —Aż tak zdesperowany nie był. — Dam sobie radę. Areszt cuchnął środkiem odkażającym, moczem i wymiocinami.
- Brudasy pieprzone... - mamrotał sprzątac, /mywając posadzkę. Logan zerknął na wiszącą na ścianie listę.
- Coś ciekawego?
- Bójki, pijaństwo, zakłócanie porządku, sikanie po bramach... Jak zwykle. — Sprzątac zamoczył mopa w szarej wodzie. — Jak to się dzieje, że zawsze ja muszę...
- JimmyDuff wytrzeźwiał?
- Kto? - Na zielonej posadzce tworzyły się brudne smugi. -A, ten... Tak. Skarży się, że go pobili; odkąd przyszedłem, gęba mu się nie zamyka. „Och, jak boli! Cierpię! Umieram! Dajcie mi środki przeciwbólowe!” Bla, bla, bla. - Zdrapał przyklepioną do podłogi gumę do żucia. - Mnie też plecy rwą, a się przecież...
- Zrób coś dla mnie: niech go zaprowadzą do pokoju przesłuchań.
- A na co umarł twój poprzedni niewolnik, hę? ... Dobra, zaraz. Nie żebym nie miał ciekawszych zajęć... — Westchnął i wsadził mopa do wiadra. -Do jedyńki?
Logan się zastanowił.
- A piecyk tam działa?
- Tak. W trójce też działa, ale na maksa. Jest zepsuty.
- To daj go do trójki.

W dawnym pokoju operacyjnym inspektora McPhersona panowała -przez skacowanego posterunkowego Rickardsa, nadal zamartwiającego się Debbie Kerr i narzekającego na swoje zrujnowane życie - ciężka, ponura atmosfera. Siedział przy biurku razem z Rennie, który sprawiał wrażenie, jakby bohaterko starał się ignorować biadolenie kolegi i popychać robotę "do przodu. Zmagał się /papierami, które Logan dzień wcześniej zwałił mu na głowę.

- Cześć - rzucił Logan, rozglądając się po pokoju. - Jest ktoś wolny? Rennie bez namysłu wskazał Rickardsa.
- John nic nie robi, prawda, John? Proszę go wziąć. Może humor mu się polepszy, jak się rozerwie.
Logan spojrzał na nieszczęśliwego posterunkowego.
- No...
Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Rickards spojrzał na niego, westchnął i wstał.
- Właściwie to poradzę sobie sam. - Logan cofnął się od biurka, próbując rozegrać to na spokojnie. - Widzę, że jesteście zajęci, a ja muszę po prostu przesłuchać aresztanta. Zawsze mogę...

Ale Rickards sięgnął już po wiszącą na oparciu krzesła marynarkę i zaczął ją naciągać na wymiętą służbową koszulę; potem stanął bezradnie, z taką miną, jakby cały świat zawałił mu się na głowę, i powiedział:

- Mam przynieść kawę. To nie było pytanie.

- No... Właściwie...

- W porządku.

Rickards powłókł się do stołówki.

Rennie osunął się na krzesło tak nisko, że oparł głowę o blat.

- Boże, błagam ... Niech on tu nie wraca.

Pokój przesłuchań numer 3 przypominał saunę. Słońce prażyło przez szparę w żaluzjach, grzejąc Jimmy'ego Duffa w potylicę i rozświetlając jego wzburzone włosy jak aureola. Chyba tylko na takie przybliżenie do stanu boskiego mógł w życiu liczyć. Już poprzedniego dnia sińce prezentowały się fatalnie- ale dziś wyglądały jeszcze gorzej: fioleto, granat, zieleń i żółć pokrywały większość jego twarzy niczym tandetny makijaż maskujący. Strażnik skonfiskował mu rozbite okulary, więc Duff musiał mrużyć podbite oczy. Narzekał, że mimo licznych obrażeń dostał tylko paracetamol.

- Potrzebuję morfiny! Albo nawet coś... Przecież na pewno macie tu jakiś towar, nie?

- Mówię to po raz ostatni: nie. Jestem policjantem, a nie dilerem. -Logan wycelował pilota w telewizor, który Rickards ustawił w kącie i po-podłączył. Obraz zaśmieżył, głośniki zatrzęszczały, w końcu przyszedł sygnał z odtwarzacza DVD. - Poznajesz?

Duff spojrział na ekran oczami jak szparki. Patrzył, jak ktoś przypina Jasona Fettesa do stołu i zaczyna go bić.

- Niech pan posłucha, ja naprawdę cierpię. Bez jaj. Dajcie mi coś przeciwbólowego.

- Poznajesz czy nie? Wzruszenie ramion, grymas bólu.

- Nigdy tego nie widziałem.

- Nie? A Mamuśka Stewart mówi, że dostała ten film od ciebie. Jako zabezpieczenie pożyczki.

Na dźwięk nazwiska Mamuśki Duff drgnął.

- No tak... - Obliznął popękane, obrzmiałe wargi. - Skoro Mamuśka tak mówi, to widocznie tak było. Poznają. Faktycznie, dałem go jej. Zgadza się. - Zdrową ręką pogładził się po gipsie. - Skoro Mamuśka mówi...

- Mhm. Ona cię tak załatwiła? Za to, że podałeś jej fałszywe nazwisko?

- Nie, skąd! To nie miało z nią nic wspólnego. Po prostu... Takich dwóch gości w pubie... Rozlałem im piwo... No wie pan...

- Jasne. - Druga „bójka w barze”, o jakiej słyszał w tym tygodniu. Z tym że Jackie była bardziej przekonująca. - Film. Skąd go wzięłeś?

- Na pewno nie może mi pan załatwić morfiny? Bo to...

- Film, Jimmy! Skąd... go... wzięłeś?

- ..tomazepam jakiś czy coś... Żeby chociaż na chwilę przestało boleć...

Logan uderzył rękaw stół. Duff podskoczył, zadrżał i umilkł.

- Jeżeli nie powiesz mi, skąd wytrzasnąłeś ten pieprzony film, pójdę do Mamuśki i powiem jej, że zamierzasz oskarżyć ją o pobicie i lichwę. Duff przeraził się nie na żarty.

- Nie! Przecież to nieprawda! Wcale nie chcę tego robić!

- Ale ona o tym nie wie.

Jimmy znów zadygotał i podrapał się nerwowo po gipsie.

- Bo ja... - Przeniósł wzrok z ekranu telewizora na Logana, potem na Rickardsa i na kamerę na ścianie. - Była taka jedna dziunia... Kobita, rozumiecie. Potrzebowałem kasy. Normalnie mnie to nie kręci, zupełnie, ale byłem splukany...

Logan słuchał, jak inspektor Steel wygraża komuś przez telefon, strasząc okrutnymi konsekwencjami, jakie poniosą, jeśli nie przyjdą jej naprawić kibla. W końcu rzuciła słuchawką i pokazała jej środkowy palec.

- Co powiedział Duff? - zainteresowała się. - Przyznał się do czegoś?'
- Dziś miało pani nie być w pracy...

- Ale jestem. - Steel odpakowała nikotynową gumę do żucia. - Matka Susan przyjechała z Dundee i działa mi na nerwy. Wymówiłam się pilną robotą i przyjechałam. Więc jak z tym Duffem?

- Zdobyliśmy adres. Duff twierdzi, że film zgarnął przez przypadek: DVD było w odtwarzaczu, który ukradł razem z biżuterią, płytami i innym sprzętem elektrycznym. To miała być rekompensata za to, co zrobiła mu właścicielka tych przedmiotów.

- Ach tak? - Inspektor zaczęła żuć. - Niech no zgadnę...
- Przypięła go do stołu i wyłomotała.
- TakjakFettesa.
- Identycznie. Pokazała mu film i wyjaśniła, że to wszystko ścierna, efekty specjalne. Chciała, żeby się szarpał i krzyczał, tak jak Fettes.
- Dziwadło. — Steel chciała zrobić balona, ale udało jej się tylko wypluć gumę na biurko.
- Cholera jasna... - Włożyła jaz powrotem do ust. -I co? Dał się jej... spenetrować?
- Przez tydzień nie mógł potem normalnie siedzieć. Dlatego wrócił, włamał się do jej domu i pozabierał fanty. Uznał, że mu się należą.
- Pewnie miał rację. - Steel wstała, rozmasowała obolały kark i wzięła żakiet z oparcia krzesła. - Chodź, musimy się ruszyć. Złap Klapsika, a ja zajrzę jeszcze do kibelka. Czort wie, co było w tym kebabie, ale mi zaszkodziło.
- Może lepiej... Renniego? Przynajmniej...
- Bierzemy Klapsika. Rennie jest na czarnej liście po tym wczorajszym numerze ze skwarkami. Daj znać do biura prokurator, że mamy podejrzaną.

Wyminęła Logana, chwytając z biurka nowy „Press and Journal” z materiałem — na wyłączność — zatytułowanym STARY ZBOCZENIEC ZROBIŁ

Z MOJEGO SYNKA MORDERCĘ!

Najwyraźniej długo w kiblu posiedzi, pomyślał Logan.

Ledwie drzwi za nią trzasnęły, jęknął i pokręcił głową. Zamknął oczy. Policzył do dziesięciu. A potem wyjął komórkę i zadzwonił do biura pani prokurator. Po dwóch dzwonekach połączenie zostało przekierowane -prawdopodobnie na komórkę osoby pełniącej weekendowy dyżur.

- Tylko nie Rachael, tylko nie Rachael, tylko nie... Odebrała Rachael.
- Cholera jasna...
- Słucham?
- Eee... Nie, to nie do ciebie. Ehm... Jak by to... Posłuchaj...
- Wiedziałam, że zadzwonisz. Fajnie było wczoraj.

Logan wcale dobrze się nie bawił: przez cały wieczór siedział jak na szpilkach, czekając, aż Rachael opowie Jackie o ich wspólnej kolacji i całowaniu.

- Mamy...

- Proponuję dzisiaj lasagne, czerwone wino i jakiś film. Ty przynieś sałatkę i deser.
- Nie... Rachael, nie mogę... Posłuchaj; podobasz mi się. Jesteś bystra, ładna, dowcipna...
- Jeżeli za chwilę zamierzasz powiedzieć „ale”, to lepiej przerwij już teraz.
- Mieszkam z kimś. Nie mogę... Cisza.
- Rozumiem... Czyli co, to była dla ciebie... chwilowa odskocznia? Jasny gwint...
- Nie, wcale nie. Chodzi o to, że... No... - Cisza. Kurwa mać. - Przepraszam.
- Usiądź sobie spokojnie, Logan, i pomyśl, czego naprawdę chcesz. Tylko się pośpiesz: nie będę jak idiotka czekała w nieskończoność, aż się zdecydujesz.

Ale się popieprzyło, niech to wszyscy diabli...

Rozmowa przybierała fatalny obrót, więc postanowił zmienić temat: powiedział jej o Jimmym Duffie, o kobiecie, której Duff ukraść DVD, i poprosił o nakaz rewizji i aresztowania.

- Co to, żart?! — usłyszał, kiedy podał jej wszystkie szczegóły. — Macie tylko zapewnienie Duffa, że ta kobieta jest zamieszana w tę sprawę! Duffa: znanego narkomana, dilerka i złodzieja. Trudno go nazwać wiarygodnym świadkiem.

- Ale on... Zrozum, twierdzi, że właścicielka tego domu związała go, obita, i brutalnie zgwałciła. Myślisz, że kłamałby w taki sposób, żeby sobie poprawić reputację albo samopoczucie?

Musiła mu przyznać rację - ale nie zamierzała wydawać żadnego nakazu. Na to potrzeba czegoś więcej niż słowa honoru ćpuna. I to był koniec dyskusji.

- Pamiętaj - dodała, zanim się rozłączył. - Nie będę czekać w nieskończoność.

- Gdzieś ty się podziewał?

Przemarzniętą Steel znalazł przy tylnym wyjściu. Był zimny, szary poranek. Wcisnęła dłonie pod pachy i dalej żuła gumę. Podeszedł do niej.

- Nie dostaniemy nakazu.

- Tak myślałam. Ale zawsze warto spróbować, nie? - Odwróciła się i zawołała: - Klapsik?! Ruszaj się, do diabła!

Markotny Rickards wysiadł z brudnego, zdezelowanego vauxhalla, niosąc stertę opakowań po frytkach i pudełek po hamburgerach. Przebrał się w „wyjściowe” ciuchy: zamiast wymiętej koszuli i krawata miał na sobie czarny T-shirt i kamizelkę ochronną. Kiedy na wierzch narzucił żółtą odblaskową kurtkę przeciwdeszczową, wyglądał jak grubiotki człowiek--lizak. Wyrzucił śmieci do niemal pełnego drucianego pojemnika na tyłach komendy i wrócił po następne.

- No naprawdę... — Steel wyjęła gumę z ust i wkleiła ją między cegły przy wejściu. - Niektórzy traktują to miejsce jak wysypisko śmieci. - Złapała Rickardsa za rękę. - Świetnie, wystarczy. Ty się pewnie dobrze bawisz, aleja tu sobie cycki odmrażam.

Pod wskazanym przez Duffa adresem znaleźli niepozorny piętrowy domek w ciągu identycznych szeregowców, przycupniętych smętnie pod szarym niebem na skraju Blackburn. Przy krawężniku stało niebieskie mini. Gipsowe krasnale zdobiły zaniedbany ogródek.

Rickards zatrzymał się naprzeciwko i zgasił silnik.

- Wiecie co? - odezwała się Steel. - Mam ochotę ufarbować się na blond.

Logan sprawdził informacje na sporządzonym w komendzie wydruku.

- Yicky Peterson... Na pewno jej nie znasz? - spytał posterunkowego.

- Mówi się, że blondynki dostają więcej od życia... Ale mówi się też, że dwoje to

kompania, a troje to już tłum, a my dobrze wiemy, że to guzik prawda. Mam rację, Klapsik? W łóżku trójka to świetna liczba.

- No... - Rickards odkaszlnął i odwrócił się do tyłu, do Logana. - Nie kojarzę nazwiska, ale pewnie na spotkaniach używa pseudonimu. - Nagle spochmurniał. - Niestety, ja już nie będę co na nie chodził. Jestem...

- Srutu-tutu. - Steel wysiadła z samochodu. - Znosiliśmy twoje marudzenie cierpliwie przez całą drogę. Twoje życie legło w gruzach, wszyscy cię nienawidzą, to nie fair, i tak dalej. Ale teraz już się zamknij.

Trzasnęła drzwiczkami. Rickards skulił się w fotelu.

- Ona nic nie rozumie! Nikt mnie nie rozumie... Ci ludzie byli dla mnie jak rodzina. Tylko oni wiedzą, co to... - Westchnął ciężko. - Jak by się pan czuł, gdyby nagle się okazało, że nikt z rodziny nie chce z panem

rozmawiać?

- Byłbym wniebowzięty — odparł Logan bez zastanowienia.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał posterunkowy, przynajmniej jednak skutecznie zamknęła mu usta.

Steel czekała na nich przy wejściu, przytupując i chuchając w dłonie, aż otoczył ją obłoczek pary.

- Nareszcie. - Kciukiem wskazała dzwonek. - Klapsik, do dzieła. Rickards z ciężkim westchnieniem nacisnął guzik. Brrring.

- Co o tym myślicie? - spytała inspektor, kiedy czekali, aż ktoś się odezwie.

- Czy ja wiem... - Logan zadarł głowę, spojrział w okna na piętrze. - Sprawdziłem w kartotece: właścicielka nie zgłosiła włamania. Nie pierwszy raz nacięlibyśmy się na gadce Duffa. Nie jest zbyt uczciwy.

- Pieprzyć Duffa! - Steel pacnęła go w rękę. - Mówiłam o sobie: blond czy kasztan?

- Aha...

Logana uratowały kroki w przedpokoju. Drzwi się uchyliły i stanęła w nich znajomo wyglądająca kobieta. Była nieco niższa od Rickardsa, ubrana w markowe, swobodne ciuchy; miała zielone oczy, brązowy koński ogon, lekką nadwagę - i bardzo zdziwioną minę.

- Tina?

Rickards pomachał jej na powitanie.

Tina. Zdeterminowana aktoreczka z sadomasochistycznej ekipy Rickardsa, która mogła bez końca opowiadać o swoim występie w *Jasiu i magicznej fasoli*.

- Eee... Możemy wejść?

Yicky Peterson, znana również jako Tina, zmierzyła posterunkowego wzrokiem.

- Nigdy nie mówiłeś, że jesteś policjantem.

- Eee... Przepraszam, tak wypadło. Krępująca cisza.

- Pozwalają wam zabierać kajdanki do domu? Posterunkowy wykrztusił kolejne „Eee”, kiedy Steel szturchnęła go w plecy.

- Pospiesz się, Klapsik. Zimno jest! Rickards poczerwieniał.

- Moglibyśmy... eee...

Tina przewróciła oczami, westchnęła teatralnie i cofnęła się w głąb domu.

- " Jasne, proszę. Tylko wytrzyjcie buty.

Logan zwlekał, przeklinając w duchu Jimmy'ego Duffa.

- Co z tobą? - syknęła Steel, gdy przez zalatujący gumą przedpokój weszli do schludnego saloniku.

- To nie ona! Ona jest uległa, a kobieta, która w ten sposób zabiła Fette-sa, musiała być

panią. Domina. Zresztą proszę na nią spojrzeć: za niska i za gruba, nie pasuje do tej kobiety na filmie. Duff nas okłamał, łądak jeden.

Steel zaklęła.

- Tego mi jeszcze brakowało: kolejny chybiony pościg.

- No to słucham. - Tina przybrała swoją pozę z pantomimy: pięści na biodrach, lekki rozkrok. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Rickards posłał Steel spanikowane spojrzenie. Inspektor wzruszyła ramionami i odbiła piłeczkę do Logana.

- Przyjechaliśmy w sprawie... włamań.

- Włamań?

- Tak, włamań. Mieliśmy kilka zgłoszeń w tej okolicy, więc chodzimy po domach, pytamy, czy nikt nic nie widział. Sprawdzamy przy okazji, czy domy są dobrze zabezpieczone.

- Aha. - Tina przekrzywiła głowę jak kot. - Słyszałam, że pani Ross ukradli samochód, ale to było w centrum, nie tutaj.

- Czyli nic pani nie widziała? - Na bezczelnego.

- Nie.

Logan pokiwał głową i zrobił zatroskaną minę, jakby tego się właśnie obawiał.

- Chyba najlepiej będzie, jak się trochę rozejrzemy. Trzeba się upewnić, że wszystko w porządku, zanim pójdziemy do sąsiadów.

Przy odrobinie szczęścia Tina nawet się nie domyśli, że ją podejrzewali. Po porażce z gwiazdą z obsady Inscha wolał nie ryzykować następnych oskarżeń o dyskryminację na tle seksualnym.

„Inspekcję” zaczęli od kuchni, skąd przeszli do maleńkiej jadalni, salonu i po schodach na piętro. W głównej sypialni nie znaleźli nic niezwykłego: stos książek na nocnej szafce - Marian Keyes, dwie powieści o seryjnych mordercach, podręcznik psychologii - przerzucony przez oparcie krzesła frotowy szlafrok, wystająca spod łóżka skarpetka. W łazience okno było otwarte, co dało Loganowi pretekst do pogadanki o „zapobieganiu przestępczości” i złodziejach, którym wystarczy zostawić najmniejszą szparę, żeby wszystko wynieśli. Na koniec została im druga sypialnia, mniejsza, pusta, jeśli nie liczyć taniej szafy. Tu również poczuli charakterystyczną woń gumy, zmieszaną z zapachem świeżej farby i elektrycznego odświeżacza powietrza. Logan wiercił obcasem w dywanie, mierzwiąc niebieskie włosie. Szur, szur. Szur, szur.

Steel skrzywiła się i złapała za brzuch.

- Mogłabym skorzystać z toalety?

- Oczywiście. Jest w przedpokoju. - Tina wskazała jej drogę, chociaż dopiero przed chwilą stamtąd przyszli. — Tylko proszę uważać na zamek. Zacina się. A wy napijecie się herbaty? Tak się powinno podejmować policjantów, prawda? W telewizji zawsze tak robią.

- Bardzo chętnie - Logan kiwnął głową. Słuchał jednym uchem. Tina i Rickards wrócili do kuchni. Szur, szur. - To nowy dywan?

- Tak - dobiegło z parteru. - Remontowałam ten pokój i rozlałam całą puszkę białej farby. Szlag trafił dwa dywany: w nim i w korytarzu. - Szum wody gotującej się w czajniku. - W ubezpieczalni powiedzieli mi, że nie pokrywają szkód wyrządzonych przez właściciela polisy. Nie do wiary, co? — Szczęk naczyń. — Jaką herbatę chcecie?

Rickards:

- Ja czarną, sierżant z mlekiem niesłodzoną, inspektor z mlekiem i dwoma łyżeczkami cukru. Pomóc ci?

Remont przynajmniej wyjaśniał, dlaczego dywany były takie czyste. Otworzył szafę w

sypialni: gumowy kostium, packi, przeróżne paski ze sprzączkami, gorset, kneble, maski z dziwnymi nadmuchiwanymi elementami, wysokie buty na szpilkach, elektrostymulator, kolekcja gadżetów erotycznych. Wszystko schludnie porozwieszane albo ułożone na półkach. Obok kostiumu wisiało wysokie lustro w złoczonej ramie.

Zdjął je, oparł o ścianę i zaczął się cofać, aż...

Idealnie. Brakowało tylko Jasona Fettesa i stołu, do którego można by go przypiąć. To nie rozlana farba zniszczyła dywany. Zostały zalane krwią.

Gorset wyszczuplał Tinę, szpilki dodawały jej wzrostu — i wyglądała dokładnie tak jak na filmie. Poza tym grała przecież główną rolę w *Jasiu i magicznej fasoli*; wystarczyłyby przyklejona bródka i irlandzki akcent, aby wcieliła się w rolę kierowcy, który odwiózł Jasona do szpitala.

Wyglądało na to, że Jimmy Duff jednak nie kłamał.

57

Westchnął i zamknął szafę. Insch będzie zachwycony, kiedy się dowie, że wreszcie kogoś złapali, ale dla Logana to nie był żaden happy end. Tina

nie zabiła Jasona umyślnie. Zabawiali się, trochę może za ostro, i źle się to skończyło. Ale i tak stanie przed sądem, wszystkie gazety opiszą proces i zrujnującej życie - a Jasona Fettesa to nie wskrzesi.

Wrócił na parter, udając, że nie słyszy odgłosów z łazienki przywodzących na myśl bombardowanie. W kuchni Rickards zalił się, że nie ma dla niego powrotu do Aberdeen, a Tina pocieszała go, że przecież zawsze może spróbować w Ellon.

Na widok Logana uśmiechnęła się i zaproponowała mu ciasteczko w czekoladzie, a on zapytał, gdzie była tej nocy, kiedy zabito Jasona Fettesa.

Czajnik pstryknął i umilkł. Tina zbladła jak ściana. A potem wydarzenia potoczyły się zupełnie nie tak, jak powinny.

Otworzyła szufladę, wyszarpnęła z niej ogromny, piłkowany nóż do chleba i złapała Rickardsa za klapy.

- Co ty...

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo okręciła go w miejscu i stanęła za nim, tak że znalazł się między nią a Loganem, jak żywa tarcza. Chwyciła go za włosy, odgięła mu głowę w tył i przyłożyła nóż do gardła. Rickards zakwicział przeraźliwie.

- Argh... Tina, rany boskie!

- Czekaj! - Logan podniósł ręce, nie ruszając się z miejsca. - Nie rób mu krzywdy. Z Fettesem to był nieszczęśliwy wypadek i...

- Proszę... Proszę stąd wyjść.

Przerażony Rickards spojrzał Loganowi w oczy.

- Wszystko jest w porządku. Nie będziesz miała żadnych kłopotów.

- Żadnych kłopotów? - Omal nie parsknęła śmiechem. - Zabiłam

człowieka!

- Panie sierżancie...

Posterunkowy wydał jakiś dziwny odgłos i umilkł. Cieniotka strużka krwi ściekała mu spod brody i wsiąkała w czarną koszulkę.

- Często mam takie fantazje. Bardzo często! Tyle razy oglądałam film z umierającym

Jasonem, że znam go na pamięć: każde słowo, każdy krzyk.

I jeszcze raz. I jeszcze.

- Daj spokój, Tina, puść... - Logan przez sekundę rozpaczliwie szukał w pamięci imienia Rickardsa. - Puść Johna. Przecież nie chcesz go skrzywdzić.

- Nie? - Puściła włosy Rickardsa i przesunęła ręką w dół po jego piersi, brzuchu, poniżej pasa i chwyciła go przez spodnie. - John na pewno by chciał, żebym go skrzywdziła. Prawda, John? - Zaciśnęła dłoń. Posterunkowy miauknął słabo i zamknął oczy. - O tak, tego właśnie chce...

- Tina, to ty jesteś tą uległą, nie zapominaj. Robiłaś tylko to, co ci kazał Fettes. To nie była twoja wina.

- Hej? - Z piętra dobiegł stłumiony głos inspektor Steel. - Halo?! Zamek się zaciał!

Zaklekotały szarpnięte drzwi. Tina spojrzała Loganowi w oczy.

- To była moja wina. - Zaczęła płakać. - Jestem seryjną morderczynią.

- Nie chrzań, nie jesteś żadną morderczynią. Fettes lubił ostry seks, pojechaliście po bandzie, źle się to dla niego skończyło. I tyle.

- Hej tam! - Steel szarpała drzwiami coraz głośniejsze. - Gdzie wyście wszyscy poszli, do diabła?!

- Właśnie, że jestem seryjną morderczynią, palancie! Kupuję książki przez Internet, czytam je, to wiem! Jestem taka, jak tam piszą! Próbowałam to powtórzyć z tym drugim skurczybykiem, tym, co mnie później okradł, ale nie chciał zdechnąć!

- Nie jesteś morderczynią!

Cierpliwość inspektor Steel najwyraźniej się wyczerpała, bo rozległo się potężne walenie w drzwi łazienki.

- Co tam się dzieje, do kurwy nędzy?!

Tina pokręciła głową, dając Loganowi do zrozumienia, żeby nie odpowiadał.

- Pani Peterson wzięła Rickardsa jako zakładnika. Przystawiła mu nóż do gardła!

- Ty draniu!

Oczy Tyny się rozszerzyły. Mocniej ścisnęła genitalia posterunkowego, który zapiszczał, a potem krzyknął z bólu.

- Co?! No żesz kurwa...

Odgłosy z łazienki świadczyły o tym, że Steel próbuje wykopać drzwi, ale po chwili ucichły. Zaczęła coś mamrotać.

- Nie jesteś morderczynią, Tina. To był wypadek. Zgoda, masz takie fantazje, ale co innego fantazjować, a co innego grozić policjantowi nożem. Wiesz, co w tej chwili robi pani inspektor? - Logan wskazał na górę, gdzie Steel kontynuowała swój monolog. - Dzwoni po antyterrorystów.

Tina - nie odrywając wzroku od Logana - przesunęła wolną dłoń wyżej, namacała kajdanki w skórzanej kaburze przy pasie Rickardsa i wyjęła je. Nóż nadal przyciskała mu do gardła.

- Ręce do tyłu. Nadgarstki razem.

Posterunkowy wykonał polecenie. Rozległ się jeden metaliczny szczęk, drugi, a po chwili Tina zaczęła rozpinąć klamrę pasa.

- Nie rób tego, proszę! - zakwilił Rickards, ale kazała mu być cicho. Dobrała mu się do guzika w spodniach.

- Daj spokój, Tina. Oni już tu jadą, ale jeszcze nie jest za późno. Puść Johna, zanim

zaczną się problemy.

Tina przytknęła usta do ucha posterunkowego, jednocześnie rozpinając mu rozporek. Spodnie zsunęły się Rickardsowi do kostek.

- Oni nic nie rozumieją, prawda?- Złapała za gumkę od majtek i ściągnęła je w dół. Uśmiechnęła się na widok wzwidzonego członka. -Ale my tak...

- Proszę, nie... - W oczach Rickardsa zaszklily się łzy.

- Ćśś... - Chwyciła go i zaczęła poruszać dłonią. - Nie odzywaj się, dopóki ci nie pozwolę.

- Ale... Auć!

Wbiła mu paznokcie w ciało - a potem wróciła do delikatnego pocierania.

- Rany boskie...

Logan naprawdę wolałby tego nie widzieć.

Łomot na piętrze, cisza - i Steel, kulejąc, zeszła po schodach.

- Co wy sobie...

Stała jak wryta na widok roztrzęsionego Rickardsa: spodnie zsunęte do kostek, bielizna ściągnięta prawie do kolan, członek w dłoni Tiny... I nóż na gardle.

- No, nie co dzień ma się okazję oglądać coś podobnego. Nikt się nie roześmiał.

- Oddział z bronią już tu jedzie; będą za pięć, góra dziesięć minut. -Wyciągnęła z kieszeni nowiutką paczkę papierosów i zębami zdarła celofanową osłonkę. - Mogę, prawda?

Wyciągnęła papierosa i wsunęła go do ust.

- Nie życzę sobie, żeby paliła pani u mnie w domu!

- Nie mów... - Steel wzruszyła ramionami. Wysupłała z kieszeni tanią, plastikową zapalniczkę, drżącą ręką przypaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. -A ja sobie nie życzę, żebyś obciążała moim posterunkowym, pomagając sobie przy tym nożem. Więc jesteśmy kwita.

Wpatrywały się w siebie długą chwilę, zanim Tina się odezwała: - Ja... Ja się bardzo zmartwiłam, kiedy się okazało, że Jason nie żyje. Był taki... wyjątkowy. Nigdy przedtem nie byłam domina.- Zadygotała. - Słyszałam, jak krzyczy, czułam, jak się wije i wykrwawia mi się na rękę. Taka ciepła krew...

Rickards jęknął. Tina przyspieszyła ruchy - ale tylko po to, żeby za chwilę znowu zwolnić. Nie dawała mu dojść. Koszulka posterunkowego lśniła od wsiąkającej w nią krwi.

- Dopiero później zrozumiałam, jakie to niesamowite uczucie - ciągnęła Tina z uśmiechem. - Władza nad życiem i śmiercią.

Kiedy w salonie zadzwonił telefon, wszyscy podskoczyli. Steel wyjęła z ust niedopałek i przypaliła następnego papierosa. Peta rzuciła na dywan, tam gdzie wcześniej inne.

- To oni.

Zamiast pięciu albo dziesięciu minut czekali prawie dwadzieścia.

Tina pokiwała głową.

- Co zrobią? Ci z karabinami... Co zrobią? Steel wydmuchnęła pod sufit słup dymu.

- Najpierw będą negocjować. Potem ponegocjują jeszcze trochę, a jeśli to nic nie da, wejdą tu, żeby negocjować dalej.

- Nie zastrzelą mnie?
- Tylko w ostateczności. Za dużo jest z tym potem papierkowej roboty.
Tina przygryzła wargę, nie przestając pieścić Rickardsa; trzymała go na krawędzi - i nie pozwalała mu z niej spaść.
- A jeśli go zabiję?
- Tego naprawdę nie chciałybyś zrobić. Uwierz mi. To główniany pomysł.
Drrryń, drrryń. Drrryń, drrryń...
- Może powinnaś odebrać?
- Ty! - Tina na ułamek sekundy puściła członek Rickardsa i wskazała na Logana. - Odbierz. Powiedz im, że nie wyjdę.
- Kiedyś będziesz musiała. Przecież nie możesz do końca życia siedzieć w domu.
- Odbierz ten zasrany telefon!
Tina przycisnęła mocniej nóż. Krew obficie pociekła na pierś Rickardsa.
- Dobrze! Już odbieram!
Logan wybiegł do salonu i chwycił słuchawkę. Ponieważ telefon był bezprzewodowy, wrócił z nim do kuchni, słuchając negocjatora, który zapewniał, że chce pomóc i nikomu nie musi się stać krzywdą.
- Wiem, Jim, zaczekaj - przerwał w końcu, zanim negocjator zapędził się zbyt daleko w przekonywanie go, jak doskonale rozumie sytuację. - Zaraz ci ją dam.
Wyciągnął do Tiny rękę z telefonem: musiałaby albo odłożyć nóż, albo przestać się zabawiać z Rickardsem. Jedno i drugie dobre.
- Czyja wyglądam na głupią? Ty z nim rozmawiaj.
- W porządku. Co powiedzieć?
- A bo ja, kurwa, wiem?!
- No... Może na początek powiedziałybyś nam, czego chcesz? Przedstawiła swoje żądania? Co mamy zrobić, żebyś...
Logan przerwał. Czerwona plamka światła rozkwitła na ręce trzymającej nóż i powoli prześliznęła się na czoło Tiny. Po chwili dołączyła do niej druga, potem trzecia - jak maciupeńkie neonowe biedronki.
- O co chodzi?
- Nie...
Logan spojrzał na Steel - westchnęła ciężko, zaciągnęła się papierosem i dmuchnęła dymem w przestrzeń pomiędzy nimi a Tina. Promienie laserów zaśniły jak fosforyzujące nici.
- Odłóż nóż.
Tina przytknęła wargi do ucha Rickardsa, szepnęła coś - a potem rozchyliła usta i wgryzła mu się w małżowinę. Szarpała głową w przód i w tył, aż w końcu w zębach został jej kawałek chrząstki. Trysnęła fontanna krwi.
Posterunkowy wrzasnął przeraźliwie. Z telefonu dobiegł krzyk. Tina wypluła odgryziony kawałek ucha i zaczęła szybciej poruszać dłonią zaciśniętą na członku Rickardsa.
- Nie! - krzyknęła Steel i rzuciła się naprzód. Coś zasyczało w powietrzu. Na czole Tiny, nad lewym okiem, pojawiła się mała kropka. Czarna i idealnie okrągła. Tył głowy Tiny eksplodował.

Krew

Nastał dzień premiery. Wesoła gromadka trubadurów inspektora Inscha dokładała wszelkich starań, aby na oczach krewnych i znajomych zamordować Gilberta i Sullivana. Logan siedział na widowni Centrum Sztuki sam, w otoczeniu obcych ludzi, pogrążony w zadumie. Wyjął z

kieszeni przedmiot znaleziony w szafce nocnej Jackie i po raz setny tego wieczoru zaczął obracać go w palcach. Lśnił nawet w słabym świetle ze sceny. *Znalazł* go, szukając zapasowych kluczyków do samochodu - tych, które Jackie zawsze pożyczała, bo regularnie gubiła swoje.

Narastający jazgot ściągnął go z powrotem do świata żywych. Finał. Dwa wyjścia przed kurtynę, jeden bis, krótkie przemówienie Inscha, jak to wszyscy ciężko pracowali, kwiaty dla gwiazd, oklaski — i do baru marsz.

W barze panował niemiłosierny ścisk. Aktorzy wysypywali się z garderób, promieniejąc dumą, gdy najbliżsi zapewniali ich - nawet tych najbardziej beznadziejnych — że wypadli znakomicie.

Logan wypatrzył sobie spokojniejszy kąt; schował się tam, tuląc do piersi butelkę piwa Newcastle Brown; żałował, że dał się namówić na curry po przedstawieniu. Naprawdę nie był w nastroju do zabawy.

Ktoś wyrznął go w plecy. Odwrócił się: Rennie. Posterunkowy s/cze-rzył zęby w uśmiechu, miał spoconą, błyszczącą twarz i resztki makijażu we włosach.

- No i jak? Byliśmy fantastyczni, prawda? Logan skłamał, mówiąc, że świetnie się bawił.

- Widziałeś, że udało się ściągnąć Debs z powrotem? Insch musiał się przed nią nieźle płaszczyc, ale...

- Rickards się odezwał?

- Nie. Chciałem go po południu odwiedzić, niestety, pielęgniarka powiedziała, że nie przyjmuje gości. O, dzięki... - Rennie w/iał butelkę od jednej z dziewczyn przebranych za uczennice - Loganowi cały czas się

myliły - i pociągnął solidny łyk piwa. - Nie mam do niego pretensji, że nie przyszedł. Podobno się załamał.

Logan wcale by się nie zdziwił. Wystarczyło, żeby zamknął oczy, a pod powiekami znów widział — w zwolnionym tempie — jak mózg Tiny rozbryguje się po kuchennym oknie. Czerwone kropelki i szare grudki. Potem Tina osuwa się na podłogę, nie puszczając Rickardsa, obryzgując go krwią, mózgiem i drobinkami kości. A Rickards krzyczy, i krzyczy, i krzyczy... Przyjaźnili się. Nic dziwnego, że mu się w głowie porąbało.

- Tak między nami... - Rennie nachylił się do Logana. - Na mój gust to niedługo zwolni się ze służby. Taki stres... Nikomu nie robi dobrze, kiedy martwa kobieta ściska go za wacka...

- Spojrzył w tłum: Insch szedł w ich stronę, potrząsając wyciągniętymi ku niemu dłońmi i przyjmując gratulacje z lewa, prawa i środka. - Tylko ani słowa o Finniem, dobrze? Insch ma na jego punkcie... Panie inspektorze! Proszę spojrzeć, kogo tu znalazłem!

Insch w smokingu i muszce wyglądał jak przerośnięty, obżarty pingwin.

- Słyszeliście o tym draniu Finniem? - spytał, popijając guinnessa z butelki. - Co oni sobie myśleli, kiedy takiego palanta awansowali na nadinspektora?

Rennie jęknął cicho i przewrócił oczami, kiedy Insch nie patrzył. Logan udał, że tego nie widzi.

- Wie pan, co tu dużo gadać, jednak przechwycił heroinę za pół miliona. ..

- Czterysta tysięcy. - Insch się nachmurzył. - Nie pół miliona. - Powiół wzrokiem po tłumie. - Gdzie Watson?

- Ma drugą zmianę.

Logan zmienił temat i skierował rozmowę z powrotem na *Mikado*. Zachwytom nie było końca. Nie chciał ani rozmawiać o Jackie, ani myśleć o przedmiocie w swojej kieszeni. Potem ktoś zaczął gratulować Inschowi, ktoś inny porwał Renniego do pamiątkowej fotografii i

znów został sam. Dopił piwo, wyszedł z baru i stanął na schodach Centrum Sztuki. Noc była mroźna. Patrzył na sunące po King Street samochody i czerwone światła stopu.

Jeszcze raz wyjął z kieszeni przedmiot znaleziony w nocnej szafce Jackie. Podniósł go do światła, podziwiając, jak mieni się w żółtym świetle sodowych lamp.

Duży złoty kolczyk, sztyft z rubinem, taki sam jak ten, który skradziono pobitemu do nieprzytomności Robowi Macintyre'owi.

Z rubinem czerwonym jak barwy FC Aberdeen.

Czerwonym jak świeża krew.

Ci, bez których...

Przygotowując się do pisania książki, zawsze świetnie się bawię - zwłaszcza kiedy ludzie, z którymi rozmawiam, są otwarci i chętnie dopuszczają mnie do swoich sekretów. Pisząc *Otwarte rany*, potrzebowałem specjalistycznych informacji o środowisku BDSM. Osoby, które podzieliły się ze mną swoją wiedzą, proszą o niewymienianie ich z nazwiska - ale ja serdecznie im dziękuję.

Chcę również podziękować wszystkim pracownikom policji Grampian, którzy udzielali mądrych odpowiedzi na moje głupie pytania: sierżantowi Johnowi Souterowi (telewizja przemysłowa); inspektorowi Johnowi Soutarowi (centrala); nadinspektorowi Jimowi Bilslandowi; Bruce'owi Duncanowi i Zoe z BIO; Gary'emu Dempsterowi, specjalście od daktyloskopii. Szczególne podziękowania należą się posterunkowemu Derekowi Bainowi, który musiał mnie znosić dłużej niż inni. Dziękuję!

Kolejny raz zaciągnąłem dług wdzięczności u pięknej specjalistki od wszystkiego, co niezwyłe: Ishbel Gali. Nie znam nikogo, kto tak jak ona znałby się na zwłokach.

Oto ludzie, dzięki którym udało mi się w książce napisać parę rzeczy z sensem. Wszelkie przekłamania są wyłącznie moją winą.

Dziękuję także Philipowi Pattersonowi - pozostaje najlepszym przyjacielem i agentem, o jakim brodaty pisarzyna może marzyć - Luke'owi, Isabelli i innym z Marją; urzędującemu w redakcji zespołowi berberyjskich ninja z łyżeczkami, czyli wspaniałym Jane Johnson i Sarah Hodgson; niezrównanym Amandzie, Lucy, Andrei, Pionie, Kelly, Clive'owi, Wendy, Damonowi, Leisie, Domowi i całej ekipie HarperCollins - za kawał dobrej roboty; Kelly Ragland z St. Martin's Press za udzieloną mi pomoc; i Jamesowi Oswaldowi za wszystko, co nie zostało do końca ustalone.

Chcę również podziękować Ianowi Burdisowi: przekazał okazałą darowi/m; na rzecz Fundacji Badań nad Cukrzycą Dziecięcą, aby jego partnerka, Debbie Kerr, mogła wystąpić w tej książce. Dwie inne autentyczne postaci, które też pojawiają się na jej kartach, to mój przyjaciel Alexander Clark (nieocenione źródło wiedzy na temat technologii informacyjnych) oraz John Rickards (kiedy tylko nie występuje w moich trochę pokręconych książkach, pisuje świetne kryminały). Nie muszę chyba dodawać, że dzięki Debs, Aleksowi i Johnowi morderstwo uszło mi na sucho ;)

Ostatnie - choć wcale nie najmniej szczerze - podziękowania składam mojej niegrzecznej

żonce Pionie. Nie każdy byłby skłonny tolerować coś takiego...